

**Ian R. MacLeod**

# **PODRÓŻE**

# **PIEŚŃ CZASU**

*Journeys. Song of Time*

PRZEŁOŻYŁ GRZEGORZ KOMERSKI



# Spis treści

Spis treści.....	2
PODRÓŻE .....	3
OPOWIEŚĆ MŁYNNARZA.....	4
DBAJ O SIEBIE.....	46
BUNT ANGLIKÓW .....	49
ZWIEŃCZENIE .....	68
ŻYWIOLY .....	73
WAINWRIGHTOWIE NA WAKACJACH .....	102
DYWAN Z HOBÓW .....	120
O SPOTKANIACH Z INNYMI WYSPAMI .....	166
DRUGA PODRÓŻ KRÓLA.....	168
PIEŚŃ CZASU .....	184

# PODRÓŽE

# OPOWIEŚĆ MŁYNARZA

Na Burlish Hill pozostały już tylko ruiny, nierówny kamienny krąg. Trakt, który przedtem wił się pod górę z leżącej w dolinie wioski Stagsby, stał się zaledwie wgłębieniem wśród traw, a skrzydeł wiatraka, niegdyś się tu obracającego, nie pamiętał już nikt. Czas pobiegł naprzód, unosząc ze sobą życie. Pozostał tylko wiatr.

Dawniej Westoverowie byli młynarzami. Należeli do swego młyna tak samo, jak on do nich, a Burlish Hill tak mocno kojarzyło się wszystkim z ich profesją, że słowa „młyn” i „wzgórze” zlały się w lokalnym dialekcie w jedno. Młyn stał się wzgórzem, wzgórze młynem, a jeden czy drugi Westover, syn lub ojciec, sprawował nadzór nad jego obracającymi się skrzydłami i żaden z mieszkańców Stagsby czy robotników pracujących na okolicznych farmach i gospodarstwach nie potrzebował wiedzieć nic więcej. Sam wiatrak, z czterema pochyłymi żebrowanymi ścianami z desek bielonych wapnem i pogodą, dopóki nie stały się niemal bielsze od skrzydeł, należał do typu zwanego koźlakiem. Jego konstrukcja została osadzona na słupie, który stanowił oś, umożliwiającą obracanie całości w tę stronę, z której wiały najbardziej korzystne wiatry. Co prawda, w Alford zbudowano wiatrak wieżowy, a w Lough i Screamby pracowały młyny wodne, ale Burlish, stojący na Burlish Hill od dawna, dobrze służył swemu celowi. W innych okolicach można było niekiedy otrzymać lepsze ceny, ale równoważyły je koszty dłuższej podróży, myta, jakie należało uiszczać po drodze, oraz to, że Stagsby to Stagsby, a Westoverowie pracowali w swym fachu od niepamiętnych czasów. Pokolenie za pokoleniem, młynarze cementowali ten związek, biorąc za żony córki farmerów, którzy wjeżdżali wozami na Burlish Hill, podczas gdy ci synowie, którzy żony nie znaleźli, podejmowali pracę na kilku z wielu tysięcy akrów, na jakie spoglądał wiatrak. Wszyscy oni rodzili się bladymi mężczyznami o piaskowych włosach, tęgich ramionach i blisko osadzonych oczach, które - będąc niemal przezroczystymi - jakby

nosiły w sobie część górującego nad ich domem nieba. Wcześniej łąsili - niektórzy żartowali, że to wiatry porywają im włosy - ciężko pracowali i w charakterystyczny sposób oszczędzali oddech, mówili niewiele, poświęcając energię na pracę.

\* \* \*

Chociaż, żeby się tego dowiedzieć, musiał przeżyć niemal całe swoje życie, Nathan Westover był ostatnim z młynarzy na Burlish Hill. Dorastając, nigdy nawet nie pomyślał, że cokolwiek może się tu zmienić.

Niekończące się zgrzytanie, mamrotanie obracającego się wiatraka nie opuszczało go ani na chwilę, wrosło głęboko w jego kości.

Kazano mu obserwować grożący awarią element mechanizmu.

- Zobacz, jak ten blok osiada, a ta metalowa obręcz ledwie utrzymuje go na miejscu... - tłumaczyła mu matka, która często zajmowała się drobniejszymi naprawami młyna. - Pracował dłużej, niż pamiętam ja sama czy twój ojciec, lecz teraz jego życie dobiega końca...

Blok drgnął, mąka syknęła, wiatrak zahurgotał, a mała rolka obróciła się dziwnie rwanym ruchem.

- ...A my nie możemy zatrzymać młyna na czas naprawy. Mamy zbyt dużo pracy. Dlatego potrzeba nam kogoś, kto będzie się temu elementowi przyglądać. Chcę, żebyś śpiewał tej rolce, to pomoże jej utrzymać cały blok w jednym kawałku. Rozumiesz?

Nathan skinął głową. Wiatrak bez przerwy wyśpiewywał zaklęcia swym głębokim, zwielokrotnionym, grzmącym głosem, a teraz matka podjęła niewielką część pieśni swym własnym, miękkiem. Jej usta układały kolejne frazy ze słownika maszyny i Nathan się dołączył. Rolka i cały mechanizm zaczęły się obracać swobodniej. Po niedługim czasie Nathan wykonywał coraz więcej podobnych obowiązków. Nauczył się nawet śpiewać niektóre silniejsze zaklęcia, zapewniające nieprzerwane działanie wiatraka, i wkrótce nabral takiej wprawy, że był w stanie unieść z ich pomocą pełen worek ziarna. Obsługiwał wciągarki, zwilżał mlewo, zamiatał zsypanie, oliwił maszynię. Uwielbiał elegancję, z jaką młyn zachowywał równowagę wagi, długości, ilości, jakości. Zadania z wioskowej szkoły, w których piętnastu ludzi kopało dół głęboki na ich łączną wysokość, nie znaczyły dla niego nic, ale nawet w snach bez trudu rozwiązywał wszystkie, które miały cokolwiek wspólnego z ziarnem, mąką, a zwłaszcza z wiatrem.

Czasami składali im wizytę tędzy mężczyźni, przedstawiciele lokalnej filii Cechu Młynarzy. W takich przypadkach wszystko musiało być jak należy - księgi sprawdzone i aktualne, górne piętra wyczyszczone, niższe nawoskowane, skrzydła umyte, a wszystkie

żelazne elementy miały lśnić czernią niczym nowe buty - ale Nathan wkrótce dowiedział się, że ci goście szczególnie upodobili sobie łowienie chwil, kiedy młyn się blokował, zwalniał i zatrzymywał. Traktowali go po prostu jak martwą konstrukcję stojącą pod zimnym niebem i Nathan zaczął czuć do nich, do tych tak zwanych mistrzów cechowych, taką samą wzdargę, jaką czułby każdy szanujący się młynarz.

Na trzecim piętrze wiatraka, ponad księgami rachunkowymi, kałamarzami z zielonym i czerwonym atramentem, w przesłoniętej kratką wnęce stał trzytomowy Tezaurus zaklęć. Pewnego cichego dnia pod koniec przedwiośnia, gdy skrzydła miarowo cykały, obracając się powoli i spokojnie, ojciec wyjął te księgi i zdmuchnął z ich okładek warstwę tego samego białego pyłu, jaki - bez względu na to, jak często sprząтали i wietrzyli - piętrzył się na wszystkim we młynie.

- To, mój synu... - Odchrząknął. - Cóż, sam już wiesz co to jest. Któregoś dnia przejdzie na twoją własność. W pewien sposób już teraz należy do ciebie...

Pożółkłe karty falowały i szeleściły. Zupełnie jak sam wiatrak, nie mogły spocząć choćby na krótką chwilę. Pokrywały je rzędy znaków fonetycznego kodu, takie same, jakie Nathan widział wymalowane, wyrte lub wyrzeźbione na belkach, dźwigarach i mechanizmach młyna. Były tam też diagramy. Ręcznie dopisane komentarze. Ciemniejsze smugi i zagięcia w miejscach, gdzie na szczególnie użytecznych zaklęciach często spoczywał kciuk czytelnika. Nathan chłonał to wszystko. Znajdowały się tu owe pierwsze frazy, których nauczyła go matka przy bloku, a także bardziej złożone melodie, zdolne powstrzymać cztery apokaliptyczne demony ich profesji: wołki zbożowe, korniki, pożary i szczury. Jak zawsze, gdy poznawał cokolwiek związanego z wiatrakiem, Nathan odniósł wrażenie, że dowiaduje się czegoś, co wiedział już wcześniej.

\* \* \*

Zdarzały się okresy zastoju i wzmożonej pracy. Późny sierpień, kiedy farmerom pilno było zemleć i zapakować w worki ich letnie żniwa i kiedy na nieruchomym niebie nie pojawiała się ani jedna chmura, należał do najgorszych. To właśnie w takie długie, gorące, duszne dni, gdy rozedrgana brązowa ziemia ciągnęła się po czysty horyzont, a młyn szeptał i trzeszczał suchymi jękami, na Burlish Hill pojawiał się sprzedawca wiatrów.

Ojciec Nathana stał już wtedy przygotowany i czekał z założonymi na piersi rękoma. Przyglądał się niewielkiej samotnej postaci pojawiającej się na tle wyblakłego blasku doliny. Sprzedawca wiatrów był niski, ciemnowłosy, wychudzony i blady. Nosił skrzypiące wysokie

buty i płaszcz o barwie burzowej szarości, takiej samej jak kolor worka, który dźwigał na szczupłych barkach. Właśnie w nim przechowywał wiatry.

- Więc to twój następca, co? - Pochylił się i przyjrzał Nathanowi. Jego powieki niemal nie mrugały.

Chłopak zamarł, nie był w stanie dobyć z siebie nawet słowa, póki ojciec nie odciągnął przybysza na bok.

- Zajmijmy się interesami, dobrze?

Było jasne, że ojciec nie darzył gościa szczególną sympatią. W końcu każdy młynarz wart tego miana szczyił się umiejętnością sprowadzania najlepszej pogody dowolnego rodzaju, nadejścia burz i ciszy, podtopień lub suszy. Niemniej, gdy sprzedawca zrzucał worek na ziemię i wyciągał z niego splątane, wystrzępione węzłki - zwłaszcza w taki upalny i beznadziejny dzień jak ten - nie można było nie chcieć na nie patrzeć, nie chcieć nimi oddychać i czuć ich dotyku.

- Proszę, spróbujcie tego... - Patykowate palce przegrzebały syczący, rozszepłany stosik i wydobyły szare pasemko czegoś, co według Nathana wyglądało jak brudna owcza wełna, której kłębki widuje się czasem na nagim żywopłocie w najmroczniejsze zimowe poranki. - ...Zupełnie nowy, świeży wiatr ze wschodu. Rozcina letni zaduch tak lekko, jak nóż kroi masło. Ostry jak cytryna i dwakroć tak słodki. Owszem, delikatny, ale jednocześnie dobry i mocny. Bez trudu poradzi sobie z waszymi skrzydłami.

Nathan od razu zwał smak wiatru, jego życie i siłę. Ojciec, niechętnie i powoli, wziął supełek do rąk, a usta sprzedawcy wykrzywiły się w grymasie, który nie był ani promienny, ani kpiący.

- A ten... Tak, ten dopiero potrafi się rozszaleć. Ogon burzy, ogon nocy, ogon zimy. Pozwala odczuć prawdziwe ukąszenia mrozu, nieprawdaż? Owszem, bywa kapryśny, ale jest też silny, chłodny i czysty...

W dłoniach trzymał zwykłe kawałki starej wierzbowej kory, oderwane podczas wichury i zmiękczzone we wzburzonych kałużach, ale już w tej chwili skrzydła wiatraka tęsknie skrzypnęły. Ojciec Nathana kręcił głową i burmuszył się, ale targi, jakie następowały po tak bezpośrednim rytuale zachwalania towaru, okazywały się zawsze rozczarowująco krótkie. Wszyscy wiedzieli, zanim jeszcze postać sprzedawcy wiatrów po raz pierwszy ukształtowała się we mgle doliny, że - choć były to dziwne rzeczy, splątane oddechy zapomnianych dni - młynarz będzie musiał niektóre z nich kupić.

\* \* \*

Choć nikt w to nie wierzył, młynarze z przekonaniem twierdzili, że są w stanie rozpoznać smak konkretnego wiatru w zmielonej za jego pomocą partii mąki. Na Burlish Hill najczęściej wieją wschodnie wiatry; ich aromat o delikatnym, słonawym posmaku i morskiej jasności pochodzi z fali porywczego Morza Północnego. Nie ma jednak dwóch takich samych wiatrów, każdy powiew każdego dnia jest odmienny, a ustawienie wiatraka pod właściwym kątem, by wyłowić ten odpowiedni, stanowiło wedle Nathana największą tajemnicę młynarskiej sztuki. Śpiewając wiatrakowi, kotwicząc go w należytej pozycji, odpowiadał na zmienne nastroje wichrów i chwycił je w skrzydła. Niemniej, uczucia i smaki rodzące się z wiatrów skupionych u sprzedawcy były jeszcze innego rodzaju. W martwe, suche popołudnia, gdy niebo robiło się twarde jak moździerz, ojciec Nathana porzucał wszelkie zajęcia i, gderając pod nosem, szedł za młyn otworzyć przybudówkę, w której trzymał zakupione towary. Wszystkie wyglądały równie podle jak wówczas, gdy wypadały z worka handlarza - luźne kawałki starych, żeglarskich lin, splątane pnącza z którejś suchej jesieni, znoszone resztki zapomnianego prania - ale każdy z nich tętnił utkaną, zaplecioną w węzeł zawiłą magią. Jak inaczej mogłyby wyglądać w dzień taki jak ten?

Od razu wyczuwało się wokół nich wijącą i syczącą - szarą, na pół przeczowaną, na poły widzialną i szukającą wolności - obecność jakiegoś wiatru.

W skrzypiącym bezruchu piętra z kamieniem młyńskim, z błyskiem w oku, ojciec rozrywał węzeł i do wtóru głośnego syku, uwalniał zawarty w nim wiatr. Natychmiast, niczym po otwarciu niewidzialnych drzwi, przeistoczeniu ulegała atmosfera w całym młynie. Belki jęczały w odmienionym powietrzu, a skrzydła, z początku lekko drgające na głównej osi, napierały na kolejne elementy mechanizmu, które przekazywały wzbierający dech wiatru dalej, poprzez wszystkie przekładnie wiatraka. Odległe niebo, cały szeroki świat wciąż pozostawały w pułapce tego samego dusznego dnia. Ale zeschnięta trawa na Burlish Hill srebrzyła się i falowała, a młyn demonstrował innym wzgórzom, że tutaj, właśnie dziś, jest wystarczająco wiele powiewu, by skrzydła mogły wznowić pracę.

Same wiatry okazywały się często kapryśne, zbyt gorące i suche jak na daną porę roku lub nieodpowiednio mokre i ponure. Wydawało się, że wieje - o ile wiały skądkolwiek - z kierunków kompasu, które znajdowały się gdzieś poza północą i południem, poza wschodem i zachodem. W takie dni atmosfera w wiatraku pozostawała osobliwa. Wyglądając na zewnątrz, pomiędzy obracającymi się skrzydłami, Nathan był niemal pewien, że ujrzy przeobrażony horyzont; znajdzie świat w jakiejś innej, niezwyklej konfiguracji. Potem, leżąc w cichej nocy na swej pryczy, gdy wiatry już wygasły, wyobrażał sobie sprzedawcę wędrującego po zachmurzonej krainie wieczystej jesieni, ukradkiem zbierającego i związyującego swymi



zręcznymi palcami węzełki zagubionych resztek burz, mamrocącego zaklęcia nad gałązkami i szmatkami.

\* \* \*

Inne dzieci z wioskowej szkoły - synowie i córki farmerów, stolarzy, robotników rolnych, sklepikarzy - młodzież, która wkrótce miała podjąć profesję rodziców lub wżenić się w inną - od zawsze były bez wyjątku zwyczajne. Może - jak wspominał później Nathan - Fiona Smith wyróżniała się nieco, ale wtedy była po prostu jedną z tych dziewcząt, które siadają z tyłu klasy i swym sennym zachowaniem sugerują, że tkwią właśnie na skraju jakiegoś nieokreślonego wybryku, na który jednak nigdy nie wystarcza im energii. Niemniej, kiedy dochodziło do bójek, potrafiła się sama obronić i zdumiewająco - jak na dziewczynę - celnie rzucała kamieniami. Gdyby Nathan poświęcił jej więcej uwagi, dowiedziałby się również, że Fiona Smith mieszkała w Stagsby Hall - budynku o wiele większym niż pozostałe i najmniej typowym dla wioski - obok którego rozlewało się jezioro, migocące pod zmiennym niebem, gdy oglądało się je z wysokości Burlish Hill. Chłopak nikomu jednak nie zazdrościł wielkich domostw, miał przecież u swych stóp całe Lincolnshire i żył w skrzypiącym, obracającym się, oddychającym wiatraku.

Zaskoczył go zamęt wszczęty przez rodziców, gdy do Westoverów i najwyraźniej do wszystkich pozostałych mieszkańców Stagsby - dotarło zaproszenie na przyjęcie, mające uświetnić czternaste urodziny Fiony Smith. Zdziwił się też, widząc stroje, które miała włożyć cała rodzina. Gdy w wyznaczone popołudnie szli ku otwartej bramie Stagsby Hall, przez cały czas czuł, że ociera go nowy, sztywny kołnierzyk i cisną buty. Martwił się tym, że marnują taki porządny, południowy wiatr.

Potem jednak musiał z wielką niechęcią przyznać, że dość ciekawie było ujrzyć imponującą rezydencję z bliska, miast przyglądać się jej ze wzgórza. Pod licznymi złączącymi się światłem oknami budynku rozciągały się przestronne, zielone trawniki, sięgające aż po ciemną linię lasu i jezioro, w którym nawet tutaj, na dole, odbijały się błękitne spojrzenia niemal bezchmurnego nieba. Były tam też nieprzyzwoicie skąpo odziane posągi i wijące się między nimi, jakby wiedzione własną wolą, alejki. O wiele jednak ważniejszy dla Nathana - i dla większości pozostałych wieśniaków - był poczęstunek. Jedzenia było tak wiele! Galaretki i kielbasy. Sery i biszkopty z owocami. Ciasta i pieczyste. Podano również wielobarwne syropy, słodkie wina i wielką różnorodność gatunków jasnego piwa. Młodsze dzieci - z lepkiimi palcami i wysmarowanymi łakociami buziami - spierały się o swą kolej w rozmaitych zabawach. Także rówieśnicy Nathana wkrótce odrzucili własne poczucie wyższości i

dołączyli do gier maluchów, podczas gdy dorośli, z identyczną ekscytacją, tłoczyli się wokół namiotu z piwem. Pojawił się też prawdziwy osioł, osiodłany i przystrojony wstążkami, gotowy do przejażdżek. Kiedy jednak spróbowano złapać zwierzę, zaczęło ryczeć i uciekać, przewracając przy tym wyładowany jadłem stół, pod którym powstała w trawie lśniąca masa wymieszanych galaretek, biszkoptów i ciast. Dorośli się śmiali, a dzieci szalały, gdy osiołek pomknął ku drzewom, ścigany przez posepnych mężczyzn i kobiety w ciasnych, czarnych strojach, którzy, jak się dowiedział Nathan, byli w Stagsby Hall służącymi. Popołudnie - przynajmniej wieśniakom - upływało w beczasowym, pełnym szczęścia wirze. Pito dużo piwa i wina, a syropy dla dzieci wydawały się równie upajające. Wspinano się na drzewa, czynili to także ci w wieku, w jakim - zdawałoby się - powinni być już mądrzejsi. Puszczano kaczki na jeziorze - kamieniami oraz kilkoma srebrnymi tacami. Potem z rezydencji wyniesiono jeszcze więcej łakoci, tym razem pod postacią niemal niewiarygodnie olbrzymiego, wielopiętrowego tortu. To dzieło zostało ustawione w cieniu jednego z potężnych, rosnących na skraju trawnika dębów. Kiwając głowami, trącąc się łokciami, pomrukując z uznaniem, zebrali się wokół niego wieśniacy. Strzelistą słodkość ozdobiono lukrowymi wstęgami i kwiatami; wznosiła się niczym katedra, którą wieńczyło czternaście świec, uroczyście zapalonych przez służbę. Jeszcze głośniejszy szmer niż ten, który towarzyszył pojawieniu się płomyków, przebiegł przez tłum gości, gdy przy torcie pojawiła się Fiona Smith. Nathan aż do tej pory nie zarejestrował świadomie jej obecności. Teraz jednak wywarła na nim wstrząsające wrażenie. Zarówno on, jak i wielu jego szkolnych kolegów, byli już wyżsi i silniejsi niż rodzice, do których cechów mieli wkrótce wstępować. Niektórzy łączyli się w pary - „szli wspólną drogą” jak to się w okolicy mawiało - i nawet Nathan zauważył, że część dziewcząt przestała już być po prostu dziewczynkami. Niemniej, żadna z nich nie wyglądała nigdy tak, jak Fiona Smith tego wieczoru.

Mimo że sukienka, którą miała na sobie, była podobna krojem do tych, w jakie przystroili się inne kobiety, została uszyta z substancji tak intensywnie lśniącej i błyszczącej, że ciężko było określić jej kolor. Gęste, rude włosy dziewczyny - Nathan widywał je dotąd jedynie spięte w kucyk - luźno opadały jej na ramiona i połyskiwały jeszcze mocniej niż strój. Było trochę tak, jakby przed tortem zjawiała się inna, zupełnie nowa Fiona Smith, a płomienie świec rozbłyły jaśniej, niczym muśnięte niewidzialnym powiewem, zanim jeszcze zdążyła nadać policzki. Potem dmuchnęła i wszystkie świeczki poza jedną zmalowały i zgasły, a w powietrze poniosło się trzynaście smużek dymu. Dziewczyna z uśmiechem wyciągnęła dłoń, jakby chciała zdławić ostatnią świeczkę, lecz gdy ją odsunęła od tortu, płomyk wciąż się chybotał niczym gorejąca igła pomiędzy jej palcem wskazującym i kciukiem. Wtedy

delikatnie poruszyła ręką i światelko zgasło. Poruszony mocą zaklęcia zadrżał cały dąb. Kilka suchych liści i kawałków kory spłynęło w dół - niektóre na tort. Wieśniacy wracali już przez trawnik, mamrocąc i kręcąc głowami. Służący zaczęli odkrawać miękkie, żółte porcje. Ta zbędna demonstracja cechowej magii nie wywarła na gościach najmniejszego wrażenia. Żaden też nie czuł się już szczególnie głodny.

Nie do końca rozumiejąc, w jaki sposób do tego doszło, Nathan znalazł się sam na sam z Fioną Smith przy resztkach tortu.

- Mieszkasz tam na wzgórzu, prawda? - Skinęła poprzez konary w stronę młyna. - Założę się, że wolałbyś być teraz u siebie, co? Patrząc, jak obracają się skrzydła? Zamiast siedzieć tu i marnować dobry dzień.

Mimo że nie do końca się z nią zgadzał, skinął głową.

- Sprytna sztuczka - zauważył. - Ze świeczką.

Roześmiała się.

- Te ich twarze i zdębiałe spojrzenia! Poczułam, że muszę coś zrobić, albo wybuchnę. Powiem ci coś, może wybierzemy się obejrzyć twój młyn?

Nathan przestąpił z nogi na nogę.

- Nie jestem pewien. Mój ojciec nie lubi, kiedy obcy kręcą się koło maszyn. Poza tym, są twoje urodziny i...

- Chyba masz rację. Wiesz co? Pokażę ci kilka moich rzeczy.

Ogłupiały Nathan ruszył za Fioną Smith ku wielookiennemu budynkowi. Przeszli przez wysadzane ćwiekami drzwi. Wnętrze było duszne i ciepłe. Pomieszczeń nie był nawet w stanie zliczyć, nikt nie mógł mieszkać w tylu pokojach naraz, większość mebli była przykryta prześcieradłami. Zupełnie jakby cały dom zasypał gorący, przykurzony śnieg.

- Tutaj. - Fiona otworzyła podwójne drzwi. Zaskrzypiały. Pokój za nimi miał wysoki, niebieski sufit, ozdobiony wizerunkami cherubinów i wieloramiennych gwiazd. - To... - potrząsnęła wielką paczką, kształtem przypominającą nieco trumnę, leżącą wśród innych prezentów na podłodze - ...to dostałam od ojca. Niedorzeczne, prawda?

Ze środka, martwymi, szklistymi oczyma wpatrywało się w nich porcelanowe ciało. Nathan od zawsze uważał lalki za głupie, ale ta konkretna robiła wrażenie, choćby tylko wielkością. - Tak przynajmniej myślę, że to od niego. Bilecik jest napisany straszliwie paskudnym charakterem. Nie mogę przeczytać.

- Twojego ojca tu nie ma?

- Oczywiście, że nie. Zapewne jest w Londynie, w jednym ze swoich klubów.

- W Londynie?

- To takie miasto, wiesz. - Fiona wzruszyła ramionami i kopnęła pudełko z lalką. - Zresztą postanowił, że nie mogę już dłużej zostać w naszej szkole. Ani nawet w Stagsby. W zasadzie jestem pewna, że podjąłby tę decyzję już dawno, gdyby tylko częściej sobie o mnie przypominał. Dlatego właśnie wszyscy tu dziś jesteście. I dlatego mam na sobie tę głupią sukienkę. To ma wam uświadomić kim jestem, zanim odeślą mnie do jakiejś beznadziejnej akademii dla tak zwanych młodych dam.

Fiona przeszła przez duży pokój do największego z przysłoniętych mebli, który, gdy ściągnęła prześcieradło, okazał się olbrzymim łóżem. Emaliowane ptaki wzbijały się ze spowitych jedwabiem słupków, jakby chcąc wzlecieć do gwiazdzistego nieba na powale. Nathan widywał mniejsze domy. I mniejsze sprzęty.

- To była dawniej sypialnia matki. Przychodziłam tu i rozmawiałam z nią, kiedy zachorowała, próbując urodzić syna. Oczywiście, to i tak nie pomogło, więc teraz ojciec ma za spadkobiercę jedynie dziewczynę, chyba że się ponownie ożeni, co według jego słów nastąpi dopiero po jego trupie.

- I to wszystko przypadnie kiedyś tobie?

Fiona wzięła się pod boki i rozejrzała dookoła.

- Wiem, co myślisz, ale ojciec powiada, że toniemy po uszy w długach. Jestem pewna, że wy, Westoverowie, macie więcej pieniędzy niż moja rodzina. W końcu ten młyn należy do was. Mój dziadek, o, ten to był dopiero sprytny! Miał żyłkę do interesów. Był prawdziwym mistrzem kowalskim. Zaszedł w cechu wysoko, ale nigdy nie zapomniał, jak to jest stać przy kowadle. Pokazywał mi wiele różnych rzeczy. Jak rozniecić ogień w palenisku, lub najlepsze zakłęcia, dzięki którym powstaje mocne żelazo...

- A ta sztuczka z płomieniem?

Fiona spojrzała na Nathana i się uśmiechnęła. Miała chłodne, niebieskozielone oczy. Chłopak nigdy wcześniej nie doznał tak zawrotnego poczucia wspólnoty, nawet w chwilach, kiedy ciężko pracował w wiatraku.

- Pokażę ci jego stary pokój - mruknęła.

Udali się na górę po białych marmurowych stopniach, minęli kolejne zasłonięte meble, i okna o zamkniętych okiennicach. Między ich deszczułkami Nathan widział błyszczące na zewnątrz jezioro, trawniki, Burlish Hill, i znów jezioro. Korytarze były tu węższe. Weszli na kręte schody. Wreszcie dotarli na ciasny, zagracony książkami, dokumentami i szafkami strych. Zupełnie nie przypominał przestronnych pomieszczeń z parteru. Fiona z wysiłkiem otworzyła okiennicę, wpuszczając do wnętrza wąskie pasmo jaskrawych promieni słońca. Nathan zmarszczył nos i kichnął potężnie jak wulkan.

- Nosisz na sobie więcej kurzu niż te wszystkie rupiecie - powiedziała ze śmiechem.

Stojący w kolumnie światła chłopak zauważył, że istotnie otoczyła go ulotna, zwiewna mgła.

- To nie kurz - burknął. Trafiła w jego wrażliwy punkt. W szkole koledzy często nabijali się z tej białej, pylistej aury. - To mąka.

- Wiem.

Coś załopotало mu w piersi, kiedy wyciągnęła rękę i potarła jego czuprynę. Mgiełka zgęstniała jeszcze bardziej.

- Przecież jesteś mistrzem swego fachu. Albo będziesz. Mąka to część ciebie. A teraz patrz.

Fiona przetarła do czysta kawałek rozświetlonego słońcem blatu i otworzyła stare księgi, o wiele większe i dziwniejsze niż młynarski Tezaurus zaklęć. Te same ciepłe palce, których dotyk czuł jeszcze na głowie, powędrowały pośród symboli i diagramów. Cechy zazdrośnie strzegły swych tajemnic i chłopak wiedział, że nie powinna mu takich rzeczy pokazywać, lecz coś go przyciągnęło.

- W ten sposób hartuje się żelazo... To jest zaklęcie do wyżarzania, znamy takich wiele... - Karty znów zaszeptały. - A tutaj masz nazwy ognia. Przynajmniej jakąś ich część. Bo zawsze coś się zmienia, za każdym razem, kiedy dosypujesz do paleniska, kiedy rozniecasz płomień, czy nawet zapalasz świeczkę.

Nathan skinął głową. Wszystko to było dla niego dziwne, ale rozumiał wystarczająco wiele, by zdać sobie sprawę, że dla Fiony Smith ogień jest - zupełnie jak wiatr - wiecznie zmienny.

- Oczywiście, mojego ojca zupełnie to nie interesuje. Lubi żartować, że zdał egzaminy w cechu tylko dlatego, by mieć zawód pasujący do nazwiska. A ja jestem kobietą i nie ma możliwości, żebym uczyła się kowalstwa... Na chwilę umilkła. Słońce usiało jej włosy miedzianymi refleksami.

Dziewczyna zapatrzyła się w otchłań wypełniających stronicę płomieni.

- Co więc będziesz robić?

- Nie wiem. - Podniosła na niego spojrzenie. Oparła się pięściami o stół, jej twarz pokraśniała. - To jest właśnie frustrujące, Nathan. Te nasze czasy. Wszystkie te stare zaklęcia, wiesz, głupie obyczaje, mamrotane przesady i amulety, pradawne metody pracy. Wszystko to wychodzi z użycia. Nowoczesne zaklęcia są inne od tych stosowanych przez tradycyjnie pracujących rzemieślników, teraz magię można wydobywać wprost spod ziemi. Właśnie tak

się teraz robi na północy, w miejscach takich jak Redhouse czy Bracebridge. Czerpią ją z gruntu, prawie dokładnie tak samo, jak wykopuje się węgiel, sól, smołę czy saletrę.

Nathan pokiwał głową. Wiedział to wszystko, ale tylko na zasadzie znajomości suchych faktów. Nigdy jednak nie słyszał, żeby ktoś na te tematy rozmawiał, a już na pewno nie z taką pasją.

- Mam szczęście. To właśnie powtarzał mi dziadek. Mówił, że mam szczęście, że urodziłam się w takiej epoce. - Pokręciła głową i zachichotała. - Przyszłość otacza nas zewsząd, zupełnie jak świat, który na pewno widzisz ze swojego wzgórza. A teraz zobacz to... - Odepchnęła księgę na bok i zdjęła z półki dziwny, złożony mechanizm. - Sam to zrobił, na swój egzamin cechowy.

Urządzenie zajmowało niemal cały stół. Składało się z wielu różnej wielkości ceramicznych kulek, zainstalowanych na połączonych w skomplikowany system wysięgnikach i kółkach zębatych. Wszystkie sfery zwisały dookoła większej i jaśniejszej środkowej, która została chyba odlana ze srebra, złota lub jakiegoś jeszcze cenniejszego metalu.

- To planetarium, model wszechświata. To są planety, a tu Słońce. Te maleńkie paciorki dookoła to nasze największe gwiazdy. Widzisz... - pochyliła się i blask maszyny zlał się z lśnieniem jej loków - ...znajdujemy się tutaj. Ty, ja i wszyscy inni. Nawet pogańscy Hotentoci. To właśnie jest nasza planeta. Nazywa się Ziemia...

Nathan obserwował jej dłonie, włosy, sunące, frunące ze światła w cień wśród delikatnych i pięknych ramion modelu. Jego myśli i jego płuca, i serce, i żołądek poszybowały wraz z nimi. Choć nie miał serca do filozoficznych rozważań, nie był w stanie oprzeć się wrażeniu, że jest świadkiem czegoś egzotycznego, że coś zakazanego tkwi w tym dziwnie bezbożnym przedstawieniu wszechświata, jaki opisywała Fiona Smith. A jednak było to fascynujące.

- A teraz uważaj.

Dziewczyna pochyliła się nisko nad stołem, jakby płynęła w promieniach słońca, nadeła policzki i dmuchnęła, tak samo jak wtedy, gdy gasiła świece na torcie. Planety, gładko i bezszelestnie, zaczęły się obracać.

- Sam spróbuj.

Ustąpiła mu miejsca i Nathan podszedł do planetarium. Równie świadomy ciepłego sąsiedztwa Fiony, jak słonecznego żaru, schylił głowę i dmuchnął.

- I to naprawdę działa w ten sposób?

Roześmiała się.

- Nathanie ze Wzgórza, akurat ty powinieneś rozumieć to doskonale.

Planetarium - ciche, jakby gnane własną wolą, w błysku i pysze planet oraz ich szeroko oplatających pokój cieni - kręciło się nadal. Nathan patrzył. Chciał, by ta chwila trwała, by nigdy nie przeminęła. Ale wreszcie nastął koniec. Kiedy, oszołomiony, pomógł Fionie zamknąć okiennicę i zszedł za nią na dół po schodach i dalej korytarzami domu, miał wrażenie, że jakaś część jego głowy wciąż wiruje. Wszystko, zasłonięte prześcieradłami meble, gorące powietrze, wszystko się zmieniło. Na dworze nawet słońce znalazło się już niżej i było teraz bardziej czerwone. Rzucało na trawnik dziwne, długie cienie. Nathan pomyślał, że świat naprawdę się obrócił. Poczul zawrót głowy.

\* \* \*

Gdy Nathan i jego koledzy wrócili potem do szkoły, miejsce w ławce, które zwykle zajmowała Fiona, było puste. Nie znaleźli w tym jednak niczego szczególnie godnego uwagi. Wkrótce wszyscy kończyli naukę, wciągani przez swe życia, zawody i odpowiedzialność, do której od początku byli przeznaczeni. Urodzinowe przyjęcie Fiony Smith, o ile jeszcze w ogóle ktoś je wspominał, pamiętano głównie ze względu na poczęstunek i trunki. Wiatrak na Burlish Hill obracał się jak zawsze i w jego rytm zmieniały się pory roku. Nathan przejmował coraz więcej ważnych zadań i śpiewał młynowi co bardziej skomplikowane zaklęcia, których nie potrafił już unieść głos jego ojca. Jedyłą rozrywką, jakiej się świadomie oddawał, był udział w kościelnym chórze. Kiedy otwierał płuca, by wypuścić słodki, przydymiony tenor, który pojawił się u niego wraz z zarostem na policzkach, kiedy podnosił oczy na łuszczących się z sufitu świętych i gwiazdy, odnosił wrażenie, że śpiewa Starszemu Bogu i jednocześnie wiatrakowi, i że obie te rzeczy były prawie jedną i tą samą. Potem, zamiast zaglądać do pubu lub wałęsać się i grać w piłkę, śpieszył z powrotem na Burlish Hill, bacznie obserwując horyzont. Zawsze potrafił dokładnie powiedzieć, jak sprawnie miele młyn, wiedział, na jakim ziarnie pracuje - poznawał to po sposobie, w jaki obracały się skrzydła. Jednakże pewnego dnia, z niewyjaśnionych przyczyn stało się coś złego. Oczywiście nie aż tak złego, jak zniszczony tryb, ale ruch wiatraka nie do końca odpowiadał słodkiemu smakowi powietrza. Nathan puścił się biegiem. Wołając matkę, wbiegł po schodach i drabinach do młyna. Piętro, na którym pakowano mąkę do worków, było ogarnięte szarą burzą. Mąka unosiła się wszędzie i coraz więcej jej lało się ze zsypani. Ojciec Nathana, skulony wśród tych chmur, dyszący rwanym oddechem, wyglądał jak umęczony duch. Mimo że był słaby, udało mu się oprzeć Nathanowi i żonie, którzy starali się go wyprowadzić na świeże powietrze. Bez przerwy mamrotał, że „młynarz nigdy nie opuszcza swojego młyna”, i próbował zająć się

resztą worków, zanim dopadnie je wiatr, mimo że ta partia mąki i tak została już zniszczona. Ostatecznie jednak udało się im go przekonać, by udał się do łóżka na wyższym piętrze wiatraka. Leżał w nim przez kilka dni, na pół świadomy i na pół pogrążony w majakach, wykrzykując między okresowymi atakami kaszlu zakłęcia do swojej maszyny, która wciąż skrzypiała i się obracała.

Jako że nieszczęścia chodzą parami, wkrótce umilkły wiatry. Zrobiło się również gorąco. Wydawało się, że niebo się zatrzasnęło na cztery spusty. Nathan tęsknił za powiewem, bardziej nawet ze względu na ojca niż na sam młyn. Poszukał więc ukrytego klucza do przybudówki i znalazł go bez trudu w puszcze z gwoździami, w miejscu, które nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy. W niewielkim pomieszczeniu wciąż było kilka węzełków. Wisiały na żelaznych hakach, niczym zasuszone nietoperze. Nathanowi przebiegło przez myśl, że przez całe życie nie widział niczego tak zniszczonego i bezużytecznego, lecz od razu poczuł też tę dziwną, radosną emocję, jaką zawsze przynosiły ze sobą wiatry. W młynarskim Tezaurusie nie znalazł żadnego zakłęcia, które pomogłoby mu uwolnić zamknięty w supelkach powiew, nie dowiedział się też, jakie dźwięki powinien przy tym wyśpiewać. Kiedy jednak stanął na piętrze z kamieniem młyńskim, przyszło mu to równie łatwo, jak innym ludziom przychodzi śmiech czy płacz. Powietrze się zmieniło. Wypełniły je donośne jęki. Skrzydła wiatraka skrzypnęły i poruszyły się. Wreszcie! Czekająca na niego praca i Nathan zajął się nią w o wiele już lepszym nastroju. Nawet nie wchodząc po drabinie na górę, wiedział, że teraz, kiedy młyn znowu się obraca i pracuje jak należy, jego ojcu oddycha się o wiele lżej.

Mimo że był zbyt wyczerpany, by z niego skorzystać, chłopak uwolnił o zmroku jeszcze jeden wiatr - po to tylko, by poczuć ten wspaniały moment, kiedy bryza szumi na wszystkich dziurawych piętrach wiatraka. Ten wiatr, w o wiele większym stopniu niż większość towarów handlarza, odpowiadał jego kwiecistym zachętom, pełnym jasnych, wiosennych poranków i wysokich traw falujących na wzgórzach, nad którymi gnały obłoki. Gdy Nathan wreszcie poszedł na górę do ojca, matka - siedząca cały dzień przy mężu - uśmiechnęła się przez ły. Chłopak ujął dłoń starego mężczyzny i poczuł jej gorącą lekkość, poczuł odciski powstałe wskutek długich lat dźwigania worków i napierania na dźwignie, poczuł gładkie, miękkie ziarenka mąki pokrywającej skórę każdego młynarza. On także rozpromienił się i zapłakał. Ostatnią noc starca spędzili razem, oddychając humorami wiatraka, obserwując poprzez jego pracujące skrzydła obroty gwiazd.

\* \* \*



Matka Nathana zamieszkała w starym, przerobionym na przytułek magazynie nieopodal wydm w Donna Nook, gdzie dawniej, zanim muł zatkał kanały, przechowywano chmiel z południa. Odwiedzał ją tam w świąteczne dni, jechał wtedy o świcie na wozie mleczarza, a ostatnie mile słonych równin pokonywał piechotą. Mimo że oddech kobiety także stał się już chrapliwy i łatwo się męczyła, wydawała się szczęśliwa, dni spędzała, rozmawiając z wdowami po innych młynarzach, mówiły o jaśniejszych, bardziej wietrznych godzinach i pomyślniejszych zbiorach. W tamtych czasach Cech Młynarzy wciąż dbał o swoich, ale oczywiście w przytułku nigdy nie pojawiali się sami mistrzowie. Nathan wiedział i to od dawna - że młynarz nigdy nie opuszcza swego młyna.

On także stał się teraz mistrzem - choć ceremonia nadania mu owego tytułu, która, jak sobie dotąd wyobrażał, miała się odbyć pod złocistym dachem wspaniałej siedziby cechu, przybrała formę opatrzonego odpowiednimi podpisami, sporządzonego w trzech kopiach dokumentu - i był z tego dumny. Wracając po ciemku z Donna Nook na Burlish Hill, spotykał czekający na niego wiatrak, cykający, skrzypiący, wzdychający niecierpliwie, by wziąć w objęcia kolejny powiew. Często śpiewał mu na głos, mimo że żadne zaklęcia nie były akurat potrzebne. Dopiero w towarzystwie innych ludzi zdarzało mu się pomyśleć, że niekiedy czuje się samotny. Młyn należał do Nathana, i to rekompensowało niemal wszystko, chociaż miał coraz mniej i mniej czasu na chór i na wszystkie te spisane w szepcących księgach zaklęcia. Jego życie kształtowały teraz skrzypnięcia i nastroje, i wonie, i smaki, każde nasiono kukurydzy i każda szczypta mąki. Jeśli w ogóle odpoczywał, to po to, by posmakować wiatru na szczycie Burlish Hill. Stamtąd, w najlepszą pogodę, naprawdę było widać całe Lincolnshire, kulące się dachy Stagsby i rozmigotane wiatrem fale jeziora rozlanego obok Stagsby Hall, rezydencji o zamkniętych drzwiach i oknach.

W tych latach wszyscy doceniali energię Nathana Westovera. Młynarze nigdy nie bywali leniami, lecz niewielu harowało tak ciężko i sumiennie jak on. Farmerzy i handlarze zbożem mogli udawać się gdzie indziej, ale to tutaj pracował młynarz, który zawsze wykonywał zlecenia na czas i nigdy nie marnował ani jednego worka. Podczas pełni księżyca, nocami, można było unieść głowę i zobaczyć, że skrzydła wiatraka wciąż się obracają. Wydawało się, że Nathan nigdy nie sypia, ponieważ następnego dnia, wczesnym rankiem, widywano go już na rynku w Alford czy Louth, kupującego i sprzedającego mąkę na własny rachunek, dobijającego targów, poklepującego po ramionach i wymieniającego uściski dłoni, co zyskiwało mu zarówno pieniądze, jak i szacunek.

Był to pomyślny czas dla całego żywnego, rolniczego Lincolnshire. Wielkie miasta środkowej Anglii rozrastały się, wsysając pod swoje obłoki dymu licznych robotników. Tych

nowych pracowników - wraz z coraz liczniejszą, bogacącą się dzięki nim klasą średnią i wyżej postawionymi członkami cechów, którzy spekulowali udziałami, akcjami i długami należało wykarmić. Rozmaite towary, pośród których mąka na ciasta, biszkopty i chleb nie była najmniej ważnym, jechały ku metropoliom nieskończonym strumieniem wozów, a potem po torach, ciągnięte maszynami napędzanymi tymi samymi płomieniami i parą, które poiły rozkwitający przemysł.

Czasami - choć jakby rzadziej niż w dzieciństwie Nathana - na Burlish Hill pojawiał się sprzedawca wiatrów. W te rzadkie, gorące i bezwietrzne dni coś pobłyskiwało - z początku mógł to być zwykły mamiący oczy tuman kurzu - i formowało się na drodze z doliny. Nathan zastanawiał się wówczas, jakie inne miejsca odwiedzał handlarz i czym się zajmował, gdy pogoda nie była tak niepomyślna. Zawsze kupował kilka towarów, choć prawdę rzekłszy, nieczęsto ich potrzebował, ponieważ skrzętnie wykorzystywał wszystkie wiatry, które zsyłało mu samo niebo, i staromodne zaklęcia przestały być niezbędne. Świat się zmieniał, dokładnie tak, jak to niegdyś przewidziała Fiona Smith. W miastach północy pompowano magię spod ziemi. Można było nabyć natchnięte nią oleje i nowe łożyska. Zwano ją najczęściej eterem. W jasnym świetle dnia rzucał dziwomrok, a w ciemności płonął dziwoblaskiem. Nathan korzystał z niego z zadowoleniem - przynajmniej w tych przypadkach, kiedy wiązało się to z korzyścią dla jego pracy. Wiedział, czy też po prostu przypuszczał, że dawniej samo Wzgórze stanowiło źródło mocy młynarskich zaklęć. Może jednak zaczęło właśnie wysychać, a co innego można było począć, jak żyć i pracować na takich warunkach, jakie dyktował czas; i śpiewać, i czekać, i uśmiechać się z nadzieją na poprawę losu?

Niewielu ludzi na tym świecie panuje nad czymkolwiek w taki sposób, w jaki Nathan Westover panował nad swym wiatrakiem. Radość sprawiały mu nawet zajęcia znieawidzone przez większość innych młynarzy, i w najzimniejsze noce, gdy lód obciążał skrzydła młyna, uwielbiał wypełniać kolumny ksiąg zielenią i czerwienią zysków i strat. Liczby miały swój własny klimat, swą własną magię. Nawet kiedy atrament zamarzał, a palce płonęły od chłodu, powtarzały mu szeptem, jak daleko zaszedł.

Oszczędności gromadził na rachunku bankowym w Louth - potem korzystał z nich, inwestował, bez przerwy zwiększając swój stan posiadania, i czasami wydawało mu się, gdy stawał na mroźnym powietrzu, a noc skrzyła się drobinami szronu, że ciemny kształt wielkiej rezydencji nad jeziorem raz jeszcze rozbłyska światłami.

„Jestem pewna, że wy, Westoverowie, macie więcej pieniędzy niż moja rodzina”. Nawet jeśli wtedy nie było to prawdą, to teraz niemal na pewno tak. Któregoś dnia gruchnęła

plotka, że wielka mistrzyni Fiona Smith wkrótce wróci do swego domu w Stagsby Hall. Nathan czekał. W końcu Londyn i wszystkie inne odległe miasta były takimi samymi zwykłymi miejscami jak Stagsby, a kapryśna pogoda Lincolnshire wyćwiczyła go do tego stopnia, że nie pozwalał się dręczyć niecierpliwości. Sprawił sobie nawet garnitur, którego po przymiarce u krawca nie włożył ani razu, choć często go wyjmował i z podziwem oglądał, po starannym oczyszczeniu z szarej warstewki pyłu.

Następną wiosną Nathan wzbogacił się jeszcze bardziej na handlu żytem i pszenicą, a skrzydła wiatraka obracały się jeszcze bardziej rzutko. Potem nadeszło kolejne lato. Słowiki śpiewały, fruując nad dojrzewającą kukurydzą, a niebo przystroiliło się w błękit tak głęboki i niezmienny, że prawie nie było już niebieskie. Wtedy pogoda się ustabilizowała i nie spadła już ani jedna kropla deszczu. Od upału skurczyło się jezioro opodal Stagsby Hall, kukurydza wyschła, psy ciężko dyszały i nawet skrzydła wiatraka na Burlish Hill zwołniały, aż wreszcie nadeszło popołudnie, kiedy można było odnieść wrażenie, że zatrzymał się cały świat - w tym i młyn.

Nathan wyglądał właśnie z ostatniego piętra wiatraka, gdy ujrzał ciemny kształt wyłaniający się z rozedrganej upałem, nieruchomej drogi wiodącej z doliny. Z pewnością nie był to farmer. Kukurydza umierała i nikt nie miał jej na sprzedaż. Zszedł na dół po linach i drabinach i wpatrywał się w zakurzony miraż, mrużąc oczy, ocierając pot z czoła, czekając, aż przemieni się w sylwetkę.

Gorąco płatało figle. Postać nie chciała znieruchomieć, a jej ruch był zbyt szybki. Z gęstego, płaskiego powietrza doleciał Nathana rażny tętent kopyt. Czekał. Jeździec na lśniącym, spoconym kasztanie zbliżył się, zeskoczył z siodła i podszedł szybkim krokiem. Kobieta, wysoka i dobrze ubrana. Zdjęła kapelusz i odrzuciła w tył rude włosy.

Uśmiechając się na widok jego zdumienia, wielka mistrzyni Fiona Smith postąpiła o krok bliżej i Nathan zauważył, że choć wiele się w niej zmieniło, ognista, niebieskozielona iskra w jej spojrzeniu pozostała taka sama. Spojrzała w górę na skrzydła i jej uśmiech przeszedł w wyraz zachwytu, jaki Nathan widywał dotąd jedynie na twarzach kolegów po fachu. Wciąż rozpromieniona, wciąż z zadartą głową ruszyła wokół brązowego wierzchołka Burlish Hill.

Nathan poszedł za nią. Fiona Smith miała na sobie ciemny strój do konnej jazdy - wysokie buty, kurtkę, długą spódnicę - zupełnie nowy, o surowym kroju i obrębiony lśniącymi jedwabnymi tasiemkami. W niczym nie przypominała dziewczyny, która stała kiedyś przed świeczkami na wielopiętrowym torcie. W tym rzecz, że nie marzył, nie w tym, że nie ośmielał się zastanawiać - lecz, patrząc na tę kobietę, obserwując sposób, w jaki się

porusza, nie mógł wyjść z podziwu nad tym, jak się odmieniła i jak wyrosła na kogoś tak bardzo różnego od jego wyobrażeń, a mimo to, nadal pozostała Fioną Smith. Wszystkie te niedorzeczne myśli, wszystkie te lata, i w końcu jednak była tu - tak prawdziwa, że aż nierzeczywista.

- To tutaj trzymasz wiatry? - Mimo gorąca, powietrze wokół kamiennej przybudówki smakowało inaczej.

- Wiesz o sprzedawcy?

- Dowiedziałam się co nieco na temat twojego fachu. - Fiona zadrżała. Oczy jej zabłyśły. - Może skorzystasz teraz z któregoś? - Jej spojrzenie przybrało nowy odcień. - Ale to zbyt staromodne, prawda? A żaden szanujący się młynarz nie lubi się przyznawać, że nie wystarczają mu jedynie naturalne powiewy. Poza tym, to kosztuje. I to właśnie w tobie podziwiam, Nathanie Westover. Jesteś człowiekiem pasji, ale jednocześnie pozostajesz praktyczny. Powinieneś usłyszeć, co mówią ludzie. Wszyscy - obróciła się pod nieruchomymi skrzydłami, rozłożyła ramiona, obejmując cały horyzont - dobrze cię znają.

- Ale pewnie nie z nazwiska.

- Młynarz z Burlish Hill. - Zaśmiała się. - Ale tym właśnie jesteś, prawda? To dziwne, że tak konkretny mężczyzna uczynił fundamentem swego życia coś do tego stopnia ulotnego, jak tchnienie powietrza.

Nathan również się roześmiał i poczuł, że coś się w nim rozluźnia, jakby puścił w nim jakiś zastały trybik. Nigdy dotąd nie pomyślał o tym w ten sposób, ale miała rację.

- Zawsze miałem nadzieję - wyznał - że się tu pojawisz.

- I jestem. - Wykonała gest, który, jak uznał, był dygnięciem. - Mam dla ciebie propozycję, Nathan. Może mógłbyś mi pokazać wiatrak od środka?

W innej sytuacji odjęłoby mu mowę, ale młyn był tym jedynym tematem, na który zawsze miał wiele do powiedzenia, i wkrótce дума wyrwała go ze wstrząsu spotkania z Fioną. Zdołał nawet odegnąć myśli o tym, jak fatalnie musi wyglądać, z nagimi ramionami, w ogrodniczkach wciąż uwalanych pyłem po porannym sprzątaniu, zapewne cuchnący potem i lnianym olejem. Na szczęście, dzisiejszy trud sprawił, że jego wiatrak był niemal w idealnym stanie. Nawet gdyby Fiona Smith była jednym z cechowych inspektorów, którzy zjawiali się tu za życia jego ojca, wątpił, by udało się jej zgłosić choć jedno zastrzeżenie. Nieskazitelny młyn, jak zawsze gotów do podjęcia swych obrotów, powitał ich ukośnymi kolumnami słonecznych promieni, wpadających przez ściany do wonnego, rozgrzanego wnętrza.

- Ty i ja - szepnęła, gdy wspięła się na ostatnią drabinę i ujęła go za rękę, by bezpiecznie wejść na piętro. - Zawsze patrzyłam na wzgórze, na ten wiatrak i zastanawiałam się, czy nie mogłabym stać się jego częścią.

Zbliżyła się do niego tak bardzo, że poczuł wyraźnie jej szybki oddech i zauważył, że świeży brąz jej skóry składa się z konstelacji niezliczonych piegów.

Cudownie blisko siebie, schylili się do okna i wyjrzeni na świat z połączonych wyżyn Burlish Hill i młyna. Łaskotały go jej ciepłe włosy. Tego dnia było mglisto, ale w swej głowie widział wszystko tak wyraźnie jak w najpogodniejszy dzień. Leżało przed nimi całe Lincolnshire. Przysunęła się jeszcze bardziej i poczuł miękki nacisk jej ciała. Mimo że wszystko to go rozpraszało, okazało się, że rozmowa z nią jest czynnością równie prostą, jak wyśpiewanie najłatwiejszego zaklęcia. Większość osób, które wyglądały z tego okna, wypytywała o nazwę tego czy tamtego miasta, starała się dojrzeć morze lub wieżę katedry w Lincoln. Widzieli budynki, miejsca, życia, odległości do przemierzenia, ale Nathan dostrzegał i wyczuwał przyciąganie nieba, niezmiennie zmienne nastroje powietrza. A Fiona Smith to rozumiała. Rozumiała też - tak naprawdę już wcześniej - wymagania rozmaitych odmian zboża. Wiedziała, jak należy ustawiać kamień młyński w zależności od rodzaju mlewa i pogody, rozumiała złożone procesy przesiewania i odsiewania, sprawdzania i nawilżania, na których nie znali się nawet farmerzy produkujący mąkę i piekarze wytwarzający z niej chleb. Mogła być urodzoną żoną młynarskiego mistrza.

Potem, nie odrywając się od niego, opowiedziała o latach spędzonych poza Stagsby. Szkoła, do której posłał ją ojciec, okazała się tak okropna, jak się obawiała, ale po jej ukończeniu zaczęła podróżować. Zbiegła z Anglii i ruszyła na dalekie południe, ku ciepłym, przyprószonym piachom krainom. Wyglądając przez okno, Nathan czuł zapach tamtejszego powietrza, ostry żar żywotów tych ludzi o ciemniejszej skórze, którzy - jak to ujęła - spali, kiedy chciało im się spać, i tańczyli, gdy tylko nachodziła ich ochota. On sam nigdy nie interesował się podróżami, ponieważ wiatry z całego świata zawsze przybywały do niego same, lecz teraz pojął. Obrócił młyn prosto na południe i skierował go ponad Anglią ku innym, dalekim regionom. Wtedy, choć nie wypowiedział ani jednego zaklęcia, cała wielka maszyna zadrżała, tryby zaczęły się kręcić i skrzydła wykonały jeden powolny obrót. To był znak.

Pomagając Fionie zejść, unosząc ją w ramionach, czuł jej zadziwiającą lekkość i ciepło. Śmiała się, oddychała coraz szybciej i przysuwała się wciąż bliżej. Gdy znaleźli się na piętrze z kamieniem młyńskim, oparła się o niego całą sobą i złożyła mu na wargach długi,

gorący pocałunek. Kiedy wyszli chwiejnie na zewnątrz, wiatrak na powrót znieruchomiał, ale Nathanowi świat wirował w głowie.

- Prawie żałuję, że wróciłam do Anglii. - Westchnęła, poruszyła głową i odgarnęła włosy. - Nie cierpię Londynu, całego tego tłoku, mgły i smrodu. Ale tutaj, tutaj, być tutaj. Wiesz, niemal o tym zapomniałam, ale w Lincolnshire czuję się u siebie. A ty i ja, Nathan, naprawdę moglibyśmy zostać partnerami, równymi sobie. Pozwól, że ci pokażę... - Sięgnęła do kieszeni spódnicy i dobyła z niej coś małego i okrągłego. Moneta, koralik albo zwykły kamyk. A jednak przedmiot połyskiwał czarnym lśnieniem eteru.

Przykucnęła i rzuciła go niczym kość na szorstką, zbrązowiałą trawę i czerń rozeszła się dookoła. Nathanowi skojarzyło się to z upadającym na ziemię workiem handlarza wiatrów, ale zjawisko było inne i o wiele bardziej potężne. W czerni pojawiły się wzorzyste płomienie, przyćmiewające nawet blask słońca. Wywołały iskry we włosach Fiony. Kiedy podniosła na niego wzrok, ujrzał w jej oczach ten sam ogień.

- To - powiedziała - jest mapa, plan. Sięga o wiele dalej niż twój wzrok, nawet z tego wzgórza. Tutaj są wielkie miasta, porty, osady i fabryki całej Anglii. Spójrz, Nathan, jak świecą! Nawet ty, tutaj, na swojej wyżynie, musisz się posługiwać ogniem. Ale zastanów się, co on tak naprawdę oznacza. Ogień to potęga. Ta sama, jaką czujesz, kiedy rozgrzewają ci się ramiona, gdy poruszasz tymi wszystkimi przemysłowymi dźwigniami, ta sama, lecz pomnożona, zwielokrotniona niemal poza wszelkie wyobrażenie. I teraz wyobraź sobie tę moc, ten żar, ujarzmione.

Jasność na mrocznym zwierciadle przed nimi nabrała intensywności. Rozlała się i zaczęła pulsować rozedrganymi żyłami. Nathan poczuł się jak sam Bóg, spoglądający z wyżyn na świat. Każde poruszenie i szczegół widział tak wyraźnie, jak delikatną opaleniznę na odsłoniętej szyi Fiony. Widział migotanie pary, paszcze pieców, nieskończoną pracę metalowych tłoków. Poczul smak węgla i dymu.

- Świat się zmienia, Nathan, a ty i ja, my, musimy się zmieniać wraz z nim. Zapomnieć o dawnych czasach, o starych pieśniach i zaklęciach. Spójrz tutaj, kolej sięgnęła już do Spalding. Wkrótce dotrze i tutaj, i tu jeszcze, i tu. Z jej palców kapał ogień, rozlewając się szeroko pomiędzy węgielkami miast. - Lokomotywy, pociągi zbliżą wszystko wzajem do siebie. A także ludzi, ich pracę i życie.

Nathan zamrugał. Widział, jak maleńkie maszyny stają się większe i niebywale potężne dzięki zmyślnej złożoności żelaza. Tylko dlaczego ona mu to wszystko mówi? Głowił się, ale nie rozumiał.

- Kazałam już zbadać tereny wokół Stagsby Hall. Samą drogę z łatwością da się poszerzyć, a jezioro zapewni nam aż nadto wody, przynajmniej wtedy, gdy porządnie popada. Czy wiesz, że całe Nottinghamshire leży na węglu? Transport też nie powinien okazać się przeszkodą, nawet zanim podciągną do Stagsby tory. Inżynierowie już teraz projektują parowozownię. Ale oni są tylko ekspertami, Nathan, ludźmi, którzy siedzą za biurkiem z piórem w dłoni. Ja potrzebuję kogoś, kto naprawdę rozumie lokalne rynki i wie o mieleniu zboża prawdopodobnie więcej od dowolnie wskazanej osoby w kraju. Potrzebuję kogoś, kto ma ten interes we krwi.

- Mówisz o...

- Mówię, że moglibyśmy pracować wspólnie. Tutaj. Żyjemy u zarania nowego wieku. Zapomnij o cechach i wszelkich dawnych ograniczeniach. Możemy stać się królem i królową nowych czasów. Gdy tylko pieniądze zostaną uwolnione, czyli zaraz po ślubie, a jeśli uda mi się dopiąć swego, jeszcze przed nim, wydam polecenie, by zaczęto kopać fundamenty młyna parowego.

Nathan Westover był co prawda człowiekiem interesu, ale rozmowa zaczęła zbaczać w zaskakującym kierunku.

- Ale co z tym? Co z wiatrakiem?

- Wiem, wiem, to wspaniała maszyna. Oczywiście miną długie miesiące, zanim zdobędziemy dość zleceń, by w pełni wykorzystać młyn parowy. A nawet potem, uważam, że nie powinniśmy od razu zamykać wiatraka. Wręcz przeciwnie. Jestem przekonana, że będzie nam potrzebny jeszcze przez lata, na chudsze okresy, a także na sezonowy wzrost zamówień. Ale to nie jest zwykła mrzonka, Nathan. Tu nie chodzi o sentymenty czy fantazje. Mój narzeczony jest starszym mistrzem Cechu Erudyków. Ma udziały w niemal wszystkich liczących się spółkach kolejowych, które rozwijają najnowszą i najpotężniejszą magię pary i żelaza. Jest oczywiście stary, ale wciąż...

- O kim ty mówisz? Chcesz mi powiedzieć, że jesteś zaręczona?

- A skąd, myślisz, miałabym pieniądze na sfinansowanie tego projektu?

Nathan się wyprostował. Mimo że słońce nadal jasno świeciło, ciemność mapy jakby się rozprzestrzeniała. Wybuchnął śmiechem, potężnym, zmuszającym płuca do czerpania wielkich haustów powietrza.

- I myślałaś, ty, nikt inny, pomyślałaś, że z tego zrezygnuję? Z całego swojego życia? Przyjechałaś tu pracować... - Uniósł drżącą dłoń.

- A co ty sobie wyobraziłeś, Nathan? - Znów stanęła tuż obok niego, o wiele za blisko. Musiał się odwrócić.

- Przez wszystkie te lata, przez te wszystkie, cholerne lata... Miałem nadzieję...

- Nadzieję? Na co, Nathan? - Światło się wzmogło. Wyczuł zmianę w jej oddechu. - Żałuję, naprawdę żałuję, że życie nie wygląda inaczej. Ale to nie tak działa, Nathan, a nawet gdyby... Nawet gdyby, to czy jesteś sobie w stanie wyobrazić, ile pieniędzy potrzeba na realizację takiego projektu, o jakim ci opowiadam? Myślisz zapewne, że jesteś bogaty, ale takich sum nigdy sobie nawet nie wymarzyłeś. Mąż odbierze mi nazwisko i będzie wymagał towarzystwa, kiedy pojedę do miasta, a ja w zamian dostanę jego fortunę i swobodę, by tu zamieszkać. To uczciwy układ. A co do reszty. Co do reszty, to wcale nie znaczy... Lubię cię, Nathan, naprawdę. I poczułam w młynie to samo co ty. A gdybyśmy byli razem, gdybyśmy zostali wspólnikami w interesach, gdybyś został kierownikiem mojego młyna, wtedy kto wie... - Jej dłoń znalazła się na jego ramieniu, urabiając ciało, sunąc ku szyi. - Kto wie...

Obrócił się. Wściekłość zmaćla mu wzrok.

- I sądziłaś, że zatrudnisz mnie do pracy przy jakiejś piekielnej maszynie?! Równie dobrze mogłaś się spodziewać, że pójde do piekła.

- Do piekła? Czyżby? - Cofnęła się i podniosła z ziemi kamień. Jego czar zawirował wokół niej ciemną otchłanią płomieni. Moment później mapa zgasła. - Według ciebie, byłoby to piekło? - Chwyła wodze swej klaczy, wskoczyła na siodło i szarpnęła lejce dzikim, gniewnym ruchem. Koń stanął dęba i wyszczerzył zęby. - Istnieje tylko jedna piekielna maszyna, Nathanie Westover! - krzyknęła. - I oboje się na niej znajdujemy, my i wszyscy inni na tym świecie!

Dźgając wierzchowca piętami, wielka mistrzyni Fiona Smith pogalopowała w dół Burlish Hill.

\* \* \*

Upał wreszcie zelzał przy wtórze huku grzmotów. Wielkie chmury gnały nad Lincolnshire, i to zboże, które mimo wszystko tego roku obrodziło - słabe, spłaszczone i zmoczone - zaczęło wreszcie zwozić błotnistym szlakiem na wzgórze do mielenia. Młynarz był nawet bardziej rzutki i gderliwy niż dotychczas, ale nie przykładano do tego większej wagi, albowiem rozprawiano przede wszystkim o tym, co działo się w wielkiej rezydencji. Gdy burze wreszcie się wyczerpały, nadszedł ostatni dzień zaskakującego ciepła; ostatnie echo lata rzucone na nagie horyzonty jesieni. Było to niezwykle szczęśliwe zrządzenie losu, ponieważ we wspólnej opinii wieśniaków, weselne śniadanie, na które zostali zaproszeni, nie mogło wypaść bardziej udatnie. Sądząc po tych kilku przelotnych chwilach, gdy ukazała im się panna młoda ze swymi płomiennymi włosami i w ozdobionej sznurami pereł sukni,



zgodzono się także co do tego, że ciężko było o piękniejszy od niej widok. Szkoda tylko, że nie dało się podobnie pochwalić pana młodego, który wyglądał na zupełnie zaszuszonego i przyprawiał ludzi o dreszcz na samą myśl o nim i niej w trakcie... Oczywiście, mieszkańcy Stagsby - przy winie i piwie - doszli do porozumienia, że wiele z tego być nie mogło, a już na pewno nie dziecko. Gdy rozwinął się zmierzch, zapalono światła. Na środku trawnika ustawiono wielką, sapiącą maszynę o żarłocznym palenisku i trąbiących rurkach. Wydawała z siebie dym, parę i muzykę. Wkrótce goście puścili się w tany. Wśród tych wszystkich atrakcji niewielu tylko spojrzało w kierunku Burlish Hill. Jeszcze mniej osób zauważyło, że skrzydła wiatraka przez cały czas pracują.

Zima była ciężka. Ziemia pokryła się bielą i zamarzła, po czym zaczęła dzwonić pod żelaznymi kołami licznych wozów, które przejeżdżały przez bramę Stagsby Hall, odciskając ślady na zniszczonych trawnikach. Wraz z odwilżą nadeszła ciężka praca. Wieśniacy, zginając grzbiety, zajęli się kopaniem czegoś, co wyglądało jak nieskończenie złożony system okopów. Kinkiety i koksowniki płonęły, gdy trud przeciągał się głęboko w noc, a wielka mistrzyni często sama była przy tym obecna, obdzielając pracowników uśmiechami i zachętami, które mężczyźni łapczywie chwyтали, choć nadal niewielu rozumiało, co ma z ich wysiłku wyniknąć. Niemniej, siedząc po pracy w pubie i przepijając dodatkowe pieniądze, doszli do wniosku, że dzięki temu projektowi Stagsby ma szansę trafić na mapę. Ani razu nie przyszło im do głowy, że Stagsby od stuleci głosiło swoje istnienie na całe Lincolnshire dzięki zwieńczonemu wiatrakiem Burlish Hill.

Samo owo wielkie, nowe urządzenie, po części maszyna, a po części fabryka, wydawało się zupełnie nie na miejscu, rozparte wśród wiosennych błot na brązowym skraju brudnego jeziora. Z okazji jego otwarcia urządzono w Stagsby Hall jeszcze jedno przyjęcie. Mieszkańcy wioski powoli zaczęli traktować te okazje jak rzecz oczywistą. Z minami koneserów komentowali rozmaite ciasta i piwa, i z radością oraz zupełnym brakiem zaskoczenia zareagowali, gdy wielkie koło zamachowe maszyny nie chciało zacząć się obracać. Niemniej, wielka mistrzyni weszła na podium i wygłosiła mowę, a oboje - ona i urządzenie, wyglądali bardziej niż ładnie.

Nathan, spoglądając w dół z Burlish Hill przez całą tę długą zimę i wiosnę, która po niej nadeszła, chłonał opowieści i plotki wraz z wonią unoszącego się w powietrzu węglowego dymu. Teraz światła w Stagsby Hall paliły się często, ale były zupełnie blade wobec blasku i oparów, które były obok rezydencji. W spokojne dni słyszał krzyki posługujących się dziwnym akcentem ludzi, nawoływania gwizdków, mozolne posapywanie i obroty wielkiej, niezgrabnej maszyny, zew niecodziennych zakłęb. Mimo to jednak, pierwsze

lato tej nowej konkurencji wypadło dla niego pomyślnie. Nathan postanowił być nadal tak rzetelny jak dotąd, a nawet bardziej. Ograniczył swoje zarobki, zredukował marże, a plony tego roku były szczodre. Mlewa miał dość, by znów pracować w dzień i w nocy, a wiatr najczęściej przybywał zawsze wtedy, gdy młynarz go potrzebował.

Tymczasem maszynieria z doliny produkowała jak dotąd przede wszystkim niedotrzymane terminy. Jeśli miejscowi farmerzy zawozili wielkiej mistrzyni nieco swojego ziarna, to raczej z ciekawości, po to, by ujrzeć wielką parową bestię przy pracy, i dlatego że podobała im się kobieta, a nie z uwagi na jakość świadczonych przez nią usług. Nathan, znając nieco rolników i ich naturę, nie wątpił, że zainteresowanie nowością wkrótce wygaśnie. Młynarzem był on, a młyn od zawsze stał na Burlish Hill. Był gotów zaufać wiatrom i porom roku. Był cierpliwy.

Z optymizmem również obserwował inne zmiany, jakie zachodziły w świecie. Na długo, zanim wielka mistrzyni Smith wyłożyła mu to na swej sprytnej mapie, zrozumiał, że jedną z głównych przyczyn jego powodzenia w fachu jest usprawnienie przewozu i komunikacji, które nadeszło wraz z nowymi, parowymi kolejami. Gdy tory dotarły wreszcie aż na morskie wybrzeże Lincolnshire, z radością jeździł pociągiem w odwiedziny do swej matki w Donna Nook. Pozwalało mu to oszczędzić kilka ładnych godzin i nie musiał już poświęcać tym wyprawom całego dnia pracy. W letnie poranki, zatłoczone, trajkocące wagony ciągnięte przez te dziwne maszyny wypełniały się rodzinami z wielkich miast, udającymi się na jednodniowy wypoczynek w nowo powstałych kurortach. Czasami sam nawet tam wysiadał, by się przespacerować po promenadzie, choć dla niego wybrzeże Lincolnshire pozostało przede wszystkim zimowym miejscem. To właśnie - myślał w lodowaty, wietrzny dzień, gdy krzykliwie kolorowe, świeżo zbudowane domki kryły się za okiennicami, a piasek szorował ulice - jest prawdziwa pogoda; rześka, zimna i ostra.

Tory prowadziły teraz również na miejskie targi, gdzie para i przenikliwy głos gwizdków mieszały się z tradycyjnym smrodem i chaosem bydłących zagród, rozjazgotanych koszy z gęśmi i kurczakami, wołaniami ludzi i fajkowym dymem. Pojawiły się też nowe zwierzęta, konie, zbyt szerokie, silne i głupie, by wciąż nazywać je końmi, i przerażająco osobliwe odmiany kaczek i kur. W nowym wieku nowej magii swoje miejsce znalazły poza tym dziwaczne nowe zawody. Niemniej, wysokie sale, w których odbywały się aukcje ziarna, pozostały miejscami złotego, choć gwarne go spokoju. Samo zboże przechowywano w stodołach i magazynach. Tutaj demonstrowano jedynie wiklinowe kosze z próbkami. Można było każde z ziaren rozetrzeć kciukiem i popróbować miękkiego, białego mięszu. Nathan cieszył się każdym takim dniem i wszystkim, co musiał wtedy robić. Zdarzało mu się myśleć,

że przychodziłby na te aukcje także wtedy, gdyby nie pracował w zawodzie. Radował się nawet rozmowami, które niezmiennie dotyczyły wiatrów, ziemi i plonów.

Tego września dzień targowy w Louth był równie tłoczny jak zawsze, a ryk głosów i gęstwina ludzkich rąk wydawały się zupełnie swojskie. Stojący nieco z tyłu Nathan był dość wysoki, by widzieć ponad kapeluszami i głowami faktorów i farmerów, i wciąż miał głos, który stłoczeni z przodu młynarze zdążyli już stracić. Potem, gdy rozpoczynała się właściwa część aukcji, zauważył zmianę w normalnym zgiełku. W pobliżu stołu licytatora powstał wir zainteresowania, skupiony wokół samotnej głowy, na której pyszniły się płomiennorude włosy.

To samo wydarzyło się podczas następnej aukcji, i jeszcze kolejnej. Wbrew wszelkim tradycjom, wielka mistrzyni Fiona Smith - kobieta niebędąca członkiem żadnego szanowanego cechu rolnego - licytowała we własnym imieniu. Co więcej, okazała się o wiele lepsza w zwracaniu uwagi licytatora niż pozostali obecni na sali. Co gorsza, męska rezerwa tych miejskich członków cechu powodowała, że wycofywali się z licytacji o wiele za wcześnie. W skrócie, skupowała ziarno za bezcen, głównie dzięki zaletom własnego wyglądu.

Wstrząśnięty Nathan odkrył, że pozornie rozsądni ludzie mogą zachować się jak głupcy. Jeśli widział, że partia kukurydzy lub owsa miała być jej sprzedana za cenę, którą uznał za niedorzeczną, rzucił większą sumę. Czasami posuwał się zbyt daleko i ruda głowa, absorbująca tak wiele uwagi, kręciła się odmownie na boki. Niemniej, zboże to zboże, i przechowywał je na własny koszt, dopóki nie znalazł czasu i energii, by kazać je dostarczyć i przerobić. Zawsze uważał się za ciężko pracującego człowieka, ale w tym sezonie i następnych zaskoczył sam siebie. Wiatrak kręcił się jak nigdy, codziennie pozostawało coś jeszcze do zrobienia, i nie wystarczał mu już nawet porządny wiatr.

W dni, gdy wiał umiarkowany wschodni lub słaba, rześka północna bryza, Nathan wciąż i wciąż podnosił poirytowane spojrzenie na powoli kręcący się wiatrak. Odnajdowanie w przybudówce wiszącego na haku wiatru, który przypominał ten naturalny, aktualnie wiejący, okazało się zupełnie nową umiejętnością, ale opanowaniu jej poświęcił się w najwyższym stopniu. Czasami, we właściwe dni, cały młyn obracał się i dudnił z prędkością i wigorem, jakich nigdy wcześniej nie widział. Było to emocjonujące, a potrzeby wielu nadwerężonych mechanizmów dobywały z jego gardła kolejne pieśni, dopóki schrypnięty nie padał z wyczerpania. W inne dni jednak wiatry walczyły wściekle, a belki młyna skrzypiały, prężyły się i wydawały z siebie zbolące jęki. W takich przypadkach elementy wiatraka zużywały się prędzej, a koszta jego utrzymania szybowały pod niebo.

W zimne zimowe noce, gdy zboże wciąż jeszcze czekało na przerobienie, lub miał mąkę, którą należało wysuszyć przed sprzedażą, siedł do biurka z tomami zakłęb i księgami rachunkowymi, przy którym siadywał jego ojciec i wiele innych pokoleń Westoverów. Ale stalówka drżała, bolały go płuca, a czerwone i zielone cyfry nie chciały się już sumować. Dotąd nigdy nie zostawiał żadnej pracy niedokończonej, ale teraz kuśtykał często na prycz, aby złapać kilka godzin snu, podczas gdy barwne atramenty wciąż zmagaly się w swych kolumnach. Śnił potem o burzy liczb, lub że sam młyn jest burzą i że w Lincolnshire już nigdy nie powieje wiatr, jeśli nie trafi przypadkiem na skrzydła wiatraka.

\* \* \*

Kiedy Nathan - co zdarzało się z rzadka - pytał kolegów młynarzy o sprzedawcę wiatrów, w odpowiedzi otrzymywał niewiele. Czy handlarz odwiedzał ich w te same duszne, gorące dni, w jakie przybywał do Nathana? To nie wydawało się możliwe. Czy istniał tylko jeden sprzedawca wiatrów, czy ludzi tego fachu, tego cechu, było więcej? I skąd dokładnie pochodził? I z jakiej substancji powstawały jego wiatry?

Mdły, upalny dzień. Młyn jęczy i skrzypi, a kości Nathana przepelnia tęsknota za czasami - wydawałoby się - minionymi ledwie chwilę temu, kiedy zboża było zawsze za dużo i zawsze miał za mało czasu, by je zemleć. Tego lata jednak musiał ograniczyć zakupy, by móc spłacić zobowiązania wobec banku, a wozy zwoziły ziarno na Burlish Hill mniej regularnie i w mniejszych ilościach. Farmerzy nigdy nie spoglądali Nathanowi prosto w oczy, ani nie opowiadali o tym co robią, ale za wszelkie dowody wystarczała mu bijąca z doliny, huczająca mgła żaru i hałasów. Czy to możliwe, by ludzie pracowali w takich warunkach, mimo że dzień sam w sobie był już rozpalony jak piec? Nathan otarł pot z twarzy. Odchrząknął, zakaszlał i splunął, po czym wtarł krwawą flegmę obcasem w ziemię Burlish Hill. W zeszłym tygodniu w Gainsborough udał się na lunch do jednego z zajazdów przy rynku. Potem zamierzał wsiąść do pociągu, który teraz docierał aż do Burwell, odległego od Stagsby ledwie o pięć mil. Bułka okazała się mączysta i smakowała siarką. Wypluł ją. W oddali zagrała lokomotywa, ciągnął się za nią szal pary. Gdzieś rozległ się dźwięk gwizdka. Nathan zakaszlał. Co prawda, zboże nie czekało na przerobienie, ale zaczął się zastanawiać, czy nie otworzyć przybudówki i nie wydobyć jakiegoś wiatru, tylko po to, by ułatwić sobie oddychanie i poczuć na ramionach chłodny dotyk powietrza...

Na drodze z doliny pojawiła się szara, migocąca mgiełka. Była jednak zbyt zgarbiona i samotna, by jego serce mogło na ten widok zabić żywiej. Nathan pamiętał swój lęk i emocje z czasów, kiedy młynem rządził jego ojciec, gdy wszystkie zakłęcia były nowe, a wiatry świeże

i młode. Niemniej, miło było pomyśleć, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, i niemal uśmiechnął się do sprzedawcy wiatrów, niemal pozdrowił go wesołym „dzień dobry”. Przybysz załopotał swym znoszonym płaszczem. Przyjrzał się gorącym, suchym horyzontom i wydawało się, że zadrżał.

- Najtrudniejsza pora roku, co?

Nathan wzruszył ramionami. Niemal każdy farmer mówił coś podobnego, pojawiając się na wzgórzu. Zwykle było to preludium do wyjaśnień i tłumaczeń, że nie stać ich na jego zwykłe ceny. Nieczęsto mógł się z nimi dogadać bez straty. Niemniej, kiwnął głową. To naprawdę była najtrudniejsza pora roku. Ze wszystkich dotychczasowych.

- Mam tu setkę środków zaradczych... - Handlarz zdjął z ramienia worek i pokazał je: splątane, związane szmaty, lecz jakże piękne, zwłaszcza w dzień taki jak ten. Mgliły się w nich burze, wiatry i bryzy, mieniając się tysiącami śpiesznych odcieni błękitu, czerni i szarości.

Nathan potrafił się targować, a sprzedawca zdawał sobie sprawę, że nie jest w sytuacji pozwalającej na ekstrawagancje, lecz młynarz nie był w stanie wyzbyć się ekscytacji. Czy to jego świszczący oddech, czy może sam wiatrak wydał ten wygłodniały jęk?

Nathan ledwie słyszał paplaninę zachwalającego swe produkty handlarza. Akurat jemu nie trzeba było tłumaczyć poezji nieba. Podniósł umorusany smołą zwój północnej liny, która wcale nie pochodziła z północy, i poczuł jej gorzką wibrującą wspaniałość, potem sięgnął po miękki szpagat południowo-zachodniego, który przywiał daleko spoza wszelkich znanych południowo-zachodnich horyzontów. Jego powiew na twarzy okazał się roześmianym ciepłem pocałunku. Chwytał wszystkie chciwymi, wirującymi garściami i niósł do kamiennej przybudówki, gdzie zawieszał je na żelaznych hakach i zostawiał niepewne, wijące się w oczekiwaniu na uwolnienie. To było słodkie zajęcie, przepyszna praca - trzymać i dawać się trzymać tej burzy związanych wiatrów, i Nathan stwierdził, że nie dba już o to, ile ich mu potrzeba ani na ile go stać. Gdy skończył, worek był pusty i - gdyby tylko sprzedawca zechciał mu go odstąpić - kupiłby i to.

Nathan pocił się, dyszał. Opadły go gorące spazmy i lodowate dreszcze. Ile właściwie zapłacił za ten przepych? Nie pamiętał. I prawdę rzekłszy, nie bardzo go to obchodziło. Kiedy jednak handlarz zagwizdał przez swe cienkie wargi i zarzucił pustą szmatę na plecy, Nathan poczuł, że dziś należy mu się coś więcej.

- Powiedz mi, sprzedawco wiatrów - zaczął, choć wiedział, że pytań tego rodzaju nie powinno się zadawać komuś spoza własnego cechu i profesji - w jaki sposób powstają twoje wiatry?

- Mężczyzna, z którym tu dawniej handlowałem, był twoim ojcem, prawda? - Chłodne spojrzenie mężczyzny niemal nie drgnęło, a jednak ogarnęło całego Nathana, jego wiatrak i wzgórze. - Choć tak naprawdę moglibyście być jedną osobą. Ten sam młyn, taki sam człowiek, te same poświęcenia, co? Ale to zawsze się trochę wymyka, prawda? Mam na myśli najlepsze dni, najostrzejsze wichry, najśłodsze zboże. Nigdy nie można ich znaleźć. A im dłużej się pracuje, tym częściej się rezygnuje, tym szybciej umyka czas, tym silniej podejrzewasz, że najbardziej porywiste wiatry, najbielsze chmury, przeminęły już wczoraj lub jeszcze dawniej.

- Chcesz powiedzieć, że twoje wiatry pochodzą z przeszłości?

Handlarz wyciągnął szyję i pokręcił głową.

- Był kiedyś taki czas, że nie było na tym wzgórzu skrzydeł ani młyńskiego kamienia, nie było też młynarza. Wiatry jednak wiały, a słońce wschodziło i zachodziło. Wtedy ludzie lepiej widzieli świat, wyraźniej. Ty, młynarzu, ty po prostu poświęciłeś swój pot i lata, i zdrowie własnych płuc, by ten wiatrak nie przestał się obracać, ale tamci ludzie dbali o nieprzerwany cykl pór roku i słońca. - Handlarz wybuchnął śmiechem. Oстрыm, nieprzyjemnym. - Wyobraź sobie krew, którą tu upuszczano, ofiary, jakie składali, by mieć pewność, że nadejdzie wiosna, by wstał nowy dzień! Ale, młynarzu, przeszłość już odeszła, zupełnie zużyta. Jest teraz równie sucha i martwa jak ta ziemia, wyzuta z całej swej magii. Zostały nam tylko łupiny własnych wspomnień. Zupełnie, jak temu niebu i całej tej krainie...

Nathan patrzył, jak postać sprzedawcy tonie w mgłę doliny. Równie dobrze, pomyślał, mogłem porozmawiać z samymi wiatrami.

\* \* \*

Rozmowy, jakie odbywały się w pubach Lincolnshire po dniu targowym, zawsze były swobodne i głośne. Nathan nigdy nie należał do ludzi szukających towarzystwa, lecz teraz stwierdził, że wspólne wychylenie szklaneczki lub dwóch i wysłuchanie kilku skarg po jeszcze jednej bezcelowej aukcji niesie ze sobą pewną pociechę. Wielkiej mistrzyni Smith nie otaczała już taka aura nowości jak dawniej i wygrywała kontrakty z mniejszą łatwością, tym bardziej że pojawiły się inne młyny parowe w Woodhall i Cranwell - a nowocześniejszy i większy budowano właśnie w South Ormsby. Świat zmieniał się w zawrotnym tempie na przestrzeni jednego pokolenia, a przegranymi nie byli tylko korzystający z siły wiatru czy wody młynarze. Łokieć w łokieć z nimi siadywali w tych gorących i tłocznych pubach ręczni tkacze, furmani, a nawet kowale. Mimo że Cech Kowali był w bliskich stosunkach z członkami finansjery, którzy konstruowali nowe maszyny, to dobrze żyło się jedynie grubym

rybom, biurokratom, tym, którzy męczyli swe tyłki siedzeniem nad księgami. Diabli brali dawny sposób pracy i lokalne wiejskie zakłady osadzone na przyzwoitych, tradycyjnych umiejętnościach. Dziwna to była koalicja, zarazem niepokojąca i uspokajająca. Rozmowy - w miarę jak ciemniały wieczory i płynął alkohol - rozgrzewały się coraz bardziej.

Wykluwały się plany, następnie, po zakupie kolejnej szklanki piwa, ze śmiechem je odrzucano. Wciąż jednak powracały te same utyskiwania, a wraz z nimi poczucie gniewnej bezradności. Nathan nigdy nie był typem przywódcy, lecz zarówno on, jak i wszyscy inni przy stołach wkrótce się zgodzili, że istnieją lepsze sposoby trawienia czasu i energii niż beczynne siedzenie w pubie. W końcu byli członkami cechów, prawda? Mieli swą dumę. Lepiej odejść z tarczą niż na niej. A jeszcze lepiej podjąć zawzięty opór i nie odchodzić w ogóle.

Pewnej nocy spotkali się w Benniworth. Rankiem, dopiero co dostarczony i zmontowany cenny piec, został odnaleziony pod postacią masy pociętego metalu, jakby spadła na niego burza, gradobicie młotów. Ponowne spotkanie odbyło się w Little Cawthorpe. Nasyp pod nową drogą żelazną, która miała przewozić węgiel z Nottingham o wiele szybciej niż tradycyjne kanały, został wysadzony w powietrze, choć zniszczenia okazały się o wiele mniejsze niż można się było spodziewać, biorąc pod uwagę ilość użytych materiałów wybuchowych. Ziemia w Lincolnshire - co może potwierdzić każdy farmer - cieszyła się opinią odpornej i z trudem dającej poruszyć. Potrzebowali więc czegoś mocniejszego i lepszego. Nathan przyniósł coś takiego ze sobą następnym razem, gdy zeszli się pod Torrington, w lesie pełnym sowych pohukiwań.

- Co tam masz, młynarzu?

Zebrały się wokół niego oblane blaskiem lamp twarze, przepychające się, roztrącające, by się przyjrzeć dziwnie złachanemu węzłowi, który trzymał w dłoni.

- To coś żywego, prawda?

- Coś, co sprawi, że zastanowią się dwa razy, zanim znowu zabiorą się do okradania porządnych rzemieślników.

Nathan nie był w stanie zmusić się do udzielenia wyjaśnień. Skinął po prostu głową i poczuł wspaniałą lekkość wiatru, przybyłego z miejsca na wschodzie, którego nie wskazywał żaden kompas. Ci ludzie zresztą nie oczekiwali zrozumienia. Łączyło ich luźne przymierze, a swych umiejętności i tajemnic strzegli przed sobą równie pilnie, jak przed tymi, z którymi podjęli walkę. Ochrzcili się mianem Ludzi Przyszłości, ponieważ było to określenie wprost przeciwne do tego, które wykrzykiwały za nimi ich żony i sąsiedzi. Ich następnym celem stała się kolejna góra ziemi, tym razem o wiele większa niż kolejowy nasyp. Młyny parowe i

towarzyszająca im maszynaria jeszcze chciwiej czerpały wodę niż urządzenia, które zastąpiły, więc niedawno w Torrington zbudowano zbiornik, mający zasilać jeden z nich. Zalano przy tym dobre pastwiska i rozzłoszczono jeszcze więcej ludzi. Gdy, bezustannie się uciszając i potykając, dotarli w bezksiężycowej ciemności do zapory, wydała im się ogromna. Złożyli u jej podstawy kilka skrzynek, po czym zwrócili się do Nathana.

- Cokolwiek przyniosłeś, młynarzu, teraz nadszedł czas, byś tego użył.

Nathan pokiwał głową, choć poruszał się powoli. Wiatr wijący się w jego dłoni mocno pachniał wiosenną trawą. Pozostawienie go w tej bagiennej okolicy przypominało niszczenie cennego wspomnienia. Cóż jednak mógł na to poradzić?

Kiedy lont zaczął syczeć i migotać, pobiegli z powrotem przez ciemność. Nastąpiło długie oczekiwanie. Wreszcie wydawało się, że nastąpił wybuch. Głuchy huk, ciężka chwila ciszy, po której uderzył kwaśny wicher ognia i ziemi, a z mroku wykwitła spieniona woda.

Wykrzyknęli radośnie, ale grzmot trwał nadal, wstrząsając gruntem, na którym stali. Niektórzy padli i zasypał ich deszcz gorącej gleby i kamieni. Jeszcze więcej ognia, a potem wrząca, rozszalała fala. Uciekali, pędzeni przez potęgę wszystkich rozgniewanych żywiołów, jakie wypuścili na wolność. Wielkim szczęściem było - co ustalili, gdy wreszcie zatrzymali się na pobliskim wzniesieniu i przeliczyli głowy - że nikt nie został pogrzebany, spalony, zatopiony, czy wysadzony w powietrze.

Wyglądało na to, że zaporą została całkowicie zniszczona. Kilka pól z pewnością zamieniło się w mokradła. Teraz wszyscy będą musieli wysłuchać Ludzi Przyszłości.

Nathan długo wracał do domu. Przemoczony, umorusany błotem, trzymał się poboczy traktów, choć i tak nie spodziewał się kogokolwiek spotkać w tak ciemną noc. W pewnej chwili jednak usłyszał za sobą hurgot. Odwrócił się i ujrzał coś, co przypominało kosz pełen ognia. Zrozumiał, że widzi jakiś rodzaj wozu, tyle że napędzanego parą. Mimo swej rosnącej znajomości tego rodzaju silników, nigdy dotąd nie słyszał, by mogły się poruszać po zwykłej drodze, i ciekawość zabroniła mu się ukryć.

Terkocący pojazd przejechał obok. Wielkie koła. Potężny silnik. Naprawdę trzęsła się pod nim ziemia. Plując i sapiąc, zatrzymał się kilka jardów za nim. Z tyłu otworzyły się drzwi.

- Jak sądzę, zmierzamy w tym samym kierunku, Nathanie Westover rozległ się głos. -  
Może dasz odpocząć zdrożonym nogom?

Oszołomiony Nathan wyszedł z rowu i wsiadł do środka.

- Wyglądasz, jakbyś... - Wzrok wielkiej mistrzyni Smith omiół go całego.

- To ciężkie czasy.



- Owszem. Wracam właśnie z Londynu, gdzie pochowałam męża. Przywiązaliśmy się do siebie, wbrew temu, co gadają ludzie. Był przyzwoitym, porządnym człowiekiem. Chcę też zapewnić, że nie mam zwyczaju zabierać ze sobą przygodnie napotkanych mężczyzn, choć słyszałam, że i taka plotka już się pojawiła.

Nathan nie słyszał podobnych opowieści. Gdy znalazł się w gorącym, dusznym wnętrzu maszyny, wyłożonym pikowanym aksamitem, oświetlonym światłem bijącym z jakiegoś dziwnego źródła, poczuł w piersi ciężar. Siedząca naprzeciwko kobieta była odziana w czerń w odcieniu o wiele głębszym niż ten, który pamiętał z jej jedynej wizyty w młynie. Tym razem nie miała też żadnych jedwabnych zdobień. Włosy również nieco przygasały; wily się wśród nich siwe nitki. Niezmienny był tylko płomień w jej oczach.

- Podejrzewam - szepnęła - że według ciebie, staliśmy się śmiertelnymi wrogami?

- A to nieprawda?

Machnęła ręką.

- Jestem po prostu konkurentką, jak twoi koledzy młynarze. Nigdy nie było...

- Koledzy młynarze! - zaświszczał Nathan i odchrząknął. - Niewielu nas już zostało.

- Dlaczego, gdy mówisz „nas”, brzmi to tak, jakbyś mnie wykluczał? Produkujemy to samo. Kupuję takie samo zboże jak ty, na tych samych aukcjach. A ty i ja... Istnieje pewna nowa gałąź nauki. Nazywa się ją frenologią; nauka ta pozwala określić naturę człowieka poprzez badanie kształtu jego głowy. Kazałam przeprowadzić takie studia na sobie i moja czaszka wskazuje, że jestem uparta i zatwardziała, często wbrew własnemu, dobrze pojętemu, interesowi. - Zdobyła się na uśmiech. - Ty tymczasem... - Wyciągnęła ku niemu rękę. Palcami musnęła jego skroń. - Jesteś łatwym obiektem badań, Nathanie. Nie trzeba być ekspertem, by zrozumieć, że jesteś niemal identyczny. Domyślałam się, że nie zapomniałeś propozycji, jaką ci złożyłam... - Parowy powóz, niezgrabny, hałaśliwy pojazd, skakał na nierównościach. - Propozycji połączenia naszych umiejętności. Nadal możemy to zrobić. Oczywiście musiałam zatrudnić ludzi z nowych cechów, by zapewnić sobie zakłęcia i nowinki techniczne, konieczne do prowadzenia parowego młyna. Z całej ich gadaniny o ciśnieniu, rekondensacji i dziwnej magii nie rozumiem prawie nic, nawet kiedy nie rozmawiają w języku swych cechów. Dawniej potrafiłam strzelać palcami i... - Zrobiła to, ale nie pojawił się między nimi nawet najmniejszy płomyk. - A ten twój młyn. Zapyłone powietrze. Każdy widzi, jak to na ciebie wpływa. Wciąż moglibyśmy...

Urwała. Maszyna toczyła się przez noc, rozchlapując kałuże, ciągnąc za sobą snop iskier i ognia.

- Wiesz, to nie ma sensu - podjęła wreszcie, gdy dojeżdżali do Stagsby. - Nie możesz opierać się temu, co już się wydarzyło. Ci ludzie, którzy nadali sobie tę niemądrą nazwę i powodują tak poważne szkody... Wyobrażają sobie, że biorą udział w jakiejś grze, ale to nie jest gra. Policja zrobi z nimi...

- Nie o to chodzi. Ktoś musi podjąć walkę z parą!

Zmarszczki wokół jej oczu wyraźnie się pogłębiły.

- Nie walczysz z parą, Nathan. Walczysz z samym czasem.

\* \* \*

Wiatry należały teraz do Nathana w jeszcze większym stopniu niż zboże i mąka, bardziej nawet niż wiatrak. Pracując czy nie, bez względu na pogodę i wygląd chmur, otaczały jego i cały młyn. Rozmawiał z nimi w przybudówce, wyjmował je. Gdy cała reszta świata pod wzgórzem zajmowała się swoimi sprawami, wiatrak Nathana obracał się, a on obracał się wraz z nim. Śmiał się i tańczył. Ostre wichry z ciemnej północy kąsały jego ciało i mroziły serce. Wiatry wirowały z hukiem dookoła, gdy śpiewał uwalniające je zaklęcia, i obejmowały we władanie jego ramiona i skrzydła wiatraka. W tych chwilach, momentach pełnych radosnej wolności, wydawało mu się, że sam jest częścią powietrza, że zmieniają się horyzonty. Przez pryzmat wiru dostrzegał przelotnie zupełnie inne Lincolnshire. Widział pobłysk jaśniejszych zachodów słońca, poświatę innych księżyców. Przywodziły mu na myśl czas - choć zdawał sobie sprawę, że zbyt niedorzeczny, by go wspominać - gdy jak Bóg spoglądał w dół na jaskrawą, płynącą tkaninę całego wszechświata, obracającego się niczym wielka maszyna. Widział przypyływy i odpływy miast. Nadejście ognia, lodu, wypiętrzenie się wysokich gór, odpychających na bok oceany. Widział szklane wieże i lśniący ruch szybkich maszyn pędzących po jasnych drogach. Wierzył, że ujrzał samo niebo w przeblysku srebrnych skrzydeł wśród chmur. Kiedy młyn przyjmował na siebie ciosy wiatru, wizje znikwały, ale nigdy nie opuszczały go bez reszty. Powracały wraz z wichrami, gdy leżał w łóżku, chwytając się okrawków nienadchodzącego snu. W takich wypadkach przychodziły spokojniej, bez krzyku, zgrzytu i ryku, ale w pomruku lasów, westchnieniu pustyń, iskrzeniu fal, miękkim szeleście sukni. Oddychały nad nim, a on oddychał wraz z nimi, pozwalał im się unosić, chwycić w wonne ramiona. W snach i poza nimi Nathan śmiał się i tańczył. Podczas ostatniej wizyty handlarza kupił wiele wiatrów, ale zdawał sobie sprawę, że nie gospodaruje nimi oszczędnie. Niekiedy, gdy niebo twardniało, a miraż pokrywały ziemię, wypatrywał charakterystycznej sylwetki kroczącej po nieczęsto używanej ścieżce z doliny. Sprzedawca jednak się nie pojawiał i Nathan w głębi ducha rozumiał, że nie zobaczy go już nigdy - nie z

powodu niedyskretnych pytań, jakie zadał, i nie dlatego, że nie miał już wystarczającej ilości pieniędzy, ale ponieważ zawód handlarza przypominał fach młynarza i tak samo jak ten, upadał. Co więcej, Nathan słyszał, iż żeglarze, którzy musieli stanowić drugi główny rynek zbytu dla cechu sprzedawców wiatru, instalowali teraz na statkach przemysłne, mosiężne urządzenia, dzięki którym mogli przywołać bryzę w żagle nawet w czasie ciszy. Częściowo wydawało się to fantazją zrodzoną w zadymionym pubie, ale tak właśnie wyglądał obecnie widziany oczyma Nathana świat. W kwaśne dni niepogody - które zdarzały się coraz częściej - wciąż wyglądał sprzedawcy, choć wiedział, że ta postać nigdy już nie powstanie z dymu i mgły doliny. Jego ostatnie zakupy, ten cudowny przepych wiatrów był jak nagły wysyp mąki, gdy pojemniki na nią były już prawie puste. Wkrótce zostanie tylko pył. Nathan traktował posiadane wiatry jak głodujący człowiek traktuje kurczący się zapas pożywienia. Bawił się z nimi w wyobraźni, nosił je ze sobą, doglądał ich, wachał, śpiewał im, smakował je. Niemniej, chwila ich uwolnienia musiała nadejść i wszystko kończyło się aż nazbyt szybko. A w jaki sposób powstawały - skąd się brały? Pytanie mogło się wydawać teraz pozbawione znaczenia, ale nie chciało Nathana opuścić. Przyglądał się węzłom jeszcze bardziej uważnie niż dotąd, nie tylko, by poczuć ich gwałtowność, lecz by poznać naturę ich wiązań. Oczywiście wiedział, jak je rozplatać - czynił to z równą łatwością, jak przenosił worek mąki - ale w ich splotach tkwiło coś jeszcze. Muskał palcami długi, wijący się wór, który - co pojął dopiero teraz - był zawsze taki sam, bez względu na substancję, z jakiej stworzono węzeł. Obserwował te wyczerpane resztki, które pozostawały po uwolnieniu wichru. Mając ich już tak niewiele - pod przeciągającą się nieobecność handlarza - uznał, że powinien sprawdzić, czy sam nie zdoła schwytać choćby kilku niewielkich powiewów.

Były słabe. Domyślił się, że brakuje mu czegoś istotnego, nawet sam sprzedawca powiedział mu, że coś wyciekło już z samej ziemi. Niemniej, dręczony poczuciem winy Nathan porzucał czasem swój wiatrak, by przez kilka godzin zbierać trawy i błądzić wśród żywopłotów, w poszukiwaniu kłębków owczej wełny, jeleniej sierści, porzuconych wężowych skórek: czegokolwiek, co dałoby się zawiązać i dzięki czemu kiedyś dął wiatr.

Węzły raniły mu palce. Przyprawiały go o ból serca. Rozmywały mu się przed oczyma. A jednak to, co mogło być niegdyś w nich zamknięte, nie zniknęło zupełnie, ponieważ kiedy je rozplatał, wydawały z siebie westchnienie, oddech wiatru z zapomnianej pory. Nigdy nie okazywały się wystarczająco silne, by poruszyć coś tak dużego jak wiatrak, ale dostatecznie świeże, by ułatwić mu oddychanie w te ciężkie noce, kiedy miał wrażenie, że zamykają mu się płuca, i by uczynić pożary wywoływane przez Ludzi Przyszłości nieco bardziej spektakularnymi.

Choć sprzedawca wiatrów przestał się pojawiać, Burlish Hill odwiedzali inni goście. Mężczyźni z laskami i kobiety w ekstrawaganckich kapeluszach, dowiezieni pociągami niemal przez całą drogę do Stagsby z miast środkowej Anglii, wspinali się do wiatraka w letnie popołudnia i z uśmiechem dopytywali o koszt wycieczki z przewodnikiem. Nieco mniej opryskliwie niż z nimi obszedł się z malarzem, który wgramolił się na szczyt ze swymi pudłami, płótnami i sztalugami, i którego gadanina o „pozostawieniu pamiątki dla przyszłych pokoleń” okazała się tak odstręczająca, że Nathan musiał odprawić go z kwitkiem. Podobnie przepędzony został mężczyzna, który dotarł na wzgórze z drewnianym pudłem, wyposażonym w szklane oko, twierdzący, że potrafi dzięki temu urządzeniu chwycić samo światło.

Do Donna Nook jeździł coraz mniej regularnie, a po raz ostatni odwiedził matkę w gorzki i wietrzny zimowy dzień, taki, w którym - gdyby je tylko miał - rzuciłby na pożarcie wytęsknionemu wiatrakowi ostatnie worki zboża. Miał nadzieję, że po ciasnocie pociągu świeże nadmorskie powietrze ułatwi mu oddychanie, ale gdy ruszył skulony w stronę starego magazynu na chmiel, przez którego dolne okna dostawał się do wnętrza piach, odniósł wrażenie, że zмага się z jakąś nową, zupełnie obcą mu substancją. Nie zastał matki w pokoju. Ogień w kominku nie płonął. Znalazł ją wreszcie, zgarbioną, zapatrzoną na morze, na szczycie jednej z wydm. Stała przyprószona szronem, który przypominał najbardziej delikatną, najlżejszą mękę.

Teraz od młyna i jego potrzeb odrywał się jedynie nocami, gdy pracował z Ludźmi Przyszłości. O świecie poza Burlish Hill coraz częściej myślał jako o mrocznym i bezksiężycowym miejscu, nabrzmiałym gorącym żelazem i czarnymi górami żużlu oraz węgla. Ludzie Przyszłości działali w owym okresie w bardziej zorganizowany sposób, a cele ich odwiedzin każdorazowo znała tylko niewielka grupka wybrańców, do której Nathan nie zamierzał dołączać. Był szczęśliwy - choć zdawał sobie sprawę, że to nie do końca właściwe słowo - mogąc po prostu spotykać się z nimi w jakimś lasku czy na wrzosowisku i długo maszerować ku kolejnej cytadeli dymu i płomieni. Stały się teraz tak liczne, służyły wielu celom. Nie tylko tkwały i meły, ale także młóciły, kładły drogi, kuły metal: pojawiło się tak wiele nowych technologii i zaklęć.

Para napędzała tartaki - nawet prasy drukarskie - a z każdym zagrożonym zawodem wzrastała liczebność szeregów Ludzi Przyszłości. Błazi mężczyźni o szczupłych obliczach, przybysze z odległych miast, robotnicy posiadający umiejętności, których Nathan nie był nawet w stanie się domyślić, przejmowali kierownictwo, o wiele lepiej wiedząc, w jaki sposób skutecznie zniszczyć tę czy inną maszynę parową. Nie posługiwali się już młotami,

oskardami, ani nawet materiałami wybuchowymi. Podobnie brutalne metody pochłaniały zbyt wiele czasu, były ogromnie hałaśliwe, a przy tym nie do końca efektywne. O wiele lepiej - twierdzili nowi ze swym bełkotliwym akcentem - będzie wykorzystać moce i czary zawarte w samych tych urządzeniach. Nathan doceniał przemyślność takiego ustawienia kamienia młyńskiego, by jego dwie tarcze niszczyły się wzajemnie. Dostrzegał również, jak sprytnym posunięciem jest dorzucenie wapna do zimnego pieca, albo melasy do zbiornika na wodę, choć niektóre z bardziej wyrafinowanych umiejętności, którymi zaczęli się ci ludzie posługiwać - mamrotanie krótkich magicznych fraz, podkładanie pokrytych symbolami zwojów, sprawiających, że paleniska i urządzenia psuły się przy ponownym rozruchu, wydawały mu się nieco zbyt podobne do działalności członków nowych cechów parowych. Coś jednak trzeba było robić, a oni to robili. Ponadto, ci nowi Ludzie Przyszłości wciąż korzystali ze słabych wiatrów, jakie przynosił Nathan. Rozumiał, że nie były najważniejsze, lecz ich widmowe prądy napełniające przekłete młyny i fabryki dziwną, świeżą atmosferą, stały się czymś w rodzaju ich sygnatury, znaku firmowego rozpoznawalnego w całym Lincolnshire.

Noce ich spotkań nigdy nie były zwyczajne. Zawsze towarzyszyła im podobna mieszanka strachu i pełnej nadziei ekscytacji. Nathan myślał niekiedy, że wyprawy te stanowią nocny odpowiednik letnich wycieczek, które odbywały pociągami rodziny mieszcuchów, wędrując nad jeziora, w góry czy nad morze. Nawet niektórzy z Ludzi Przyszłości jeździli na swe eskapady koleją żelazną - ostatnim kursem, by potem pierwszym o świecie wrócić do domów. W ten sposób dotarli tu też i dziś, raz jeszcze spotkali się w jakimś typowo odludnym miejscu, choć Nathan nie musiał oddalać się od młyna tak bardzo jak zwykle. Znał nawet farmera, na którego ziemi stali: dawniej był jednym z jego lepszych klientów. Ze zgarbionymi grzbietami i spuszczoneymi głowami, Ludzie Przyszłości zmierzali ku swemu celowi w ostrożnym milczeniu. Noc, jak zwykle, była ciemna i bezksiężycowa, ale Nathan dobrze wiedział dokąd idą. Nie był bowiem głupcem i już dawno temu domyślił się, że w końcu uderzą w Stagsby. Rok czy dwa lata temu zapewne zostawiłby ich samych i wrócił do wiatraka, albo nawet spróbował przekonać towarzyszy, by zniszczyli cokolwiek innego. Ale nie teraz. Kiedy po jednym z podpaleń wracał szarym świtem do domu, przejeżdżający mimo handlarz zboża zatrzymał swe bezwłose zwierzęta ciągnące wóz i zapytał o drogę do młyna w Stagsby. Nathan poznał po zapachu worków, że zapowiadają one kilka dni pracy nad przyzwoitym jęczmieniem, i powitał mężczyznę nietypowo radosnym dzień dobry. Kupiec jednak przerwał mu wskazywanie kierunków. Szukał, rzecz jasna,

parowego młyna w dolinie, nie tego drugiego dziwactwa - to tylko relik, prawda? - na wzgórzu.

Gdy Ludzie Przyszłości szli przez wioskę, Burlish Hill wydawało się jedynie widmem wśród nocy. Nikt się nie odzywał. Nie płonęło ani jedno światło. Gdy dotarli do zamkniętej bramy rezydencji, powitał ich delikatny poblask żelaza. Wtedy - co Nathan widywał już przedtem - jeden z mężczyzn o chudych obliczach, idący na czele pochodu, szepnął coś kojąco do metalu, który natychmiast ustąpił i wrota stanęły otworem.

W Stagsby Hall nie było już trawnika, zniknęły drzewa, zostawiając po sobie jedynie cegły i błoto. Nathan jednak, obracając się co chwila i wpadając na towarzyszy, nie był w stanie powstrzymać wspomnień, nie mógł się nie rozglądać. To był najbardziej niebezpieczny moment wyprawy. Wiedzieli, że pewnej nocy z pewnością natkną się na pułapki, na uzbrojonych strażników, regimenty policjantów, czy te obdarzone jadowitymi kłami bestie, które mimo wszystko nazywano psami. Co więcej, wielu Ludzi Przyszłości, zwłaszcza ci starsi, chętnie zatraciłoby się w walce, i kiedy wśród całunu mroku dostrzegli błysk oczu żywej istoty, przebiegł ich dreszcz. Potem jednak rozległy się zdławione chichoty, poświęta uśmiechu. Zwykły osioł, stary i parchaty, uwiązany do żelaznej obręczy. Raz jeszcze udało im się utrzymać wizytę w tajemnicy.

Ludzie Przyszłości dotarli do drzwi samej maszyny. Pokonali je równie łatwo jak wszelkie poprzednie bariery. Wewnątrz było ciepło, coś migotało w ciemności. Piec wciąż pomrukiwał, nakarmiony wystarczającą ilością węgla, by dotrzeć do następnego poranka bez konieczności ponownego rozpalania. W rurach, których Nathan dotknął dłońmi, tętniło żywe ciepło. Odwiedził już do tej pory wystarczająco wiele podobnych budynków, by niektóre ich cechy dziwiły go coraz mniej, ale tutaj, szczególnie gdy otworzono palenisko i wylało się z niego światło, zaczął się nad czymś zastanawiać. W końcu przerabiano tu zboże. Choć miejsce było mu obce, pewne jego aspekty - rozrzucone dookoła worki, woń na wpół sfermentowanych łupin, beczki wody z długimi chochłami do zwilżania - znał na wylot. Czyli jednak kryło się tu coś więcej. Nathan wachał i dotykał. Myśli tak bardzo go pochłonęły, że uderzył głową w belkę i krzyknął. Od razu otoczyły go złe spojrzenia. Rozległy się karcące szepty. Rozcierając łyse czoło, zrozumiał. To miejsce, w porównaniu z niektórymi innymi, jakie ostatnio wzięli sobie za cel, było ciasne, niewygodne i zabałaganione. W końcu młyn w Stagsby działał w tej dolinie od bez mała dwudziestu lat. Zaczął się już starzeć. Na jego oczach chudzi mężczyźni zabrali się do pracy, w milczeniu wrzucali łopatami węgiel do pieca, zwiększając panujący w nim żar, podczas gdy inni zajęli się dźwigniami i kranami kontrolującymi ciśnienie, mamrocąc jednocześnie pod nosem swoje tajemne zaklęcia.

Temperatura stopniowo wzrastała. Cegły i żelazne elementy maszyny zostały poddane działaniu nowej energii, świeżym siłom. Główny przełącznik kołyskowy wydał z siebie przeciągły jęk. Syk, szybki znak palców i Nathan został wezwany ku gorejącemu palenisku. Wiatr, który trzymał w rękach, należał do jego najlepszych znalezisk - kilka delikatnych węzełków, w dotyku miękkich i mocnych jak promienie letniego słońca - i niechętnie myślał o jego uwolnieniu, mimo że wiedział, że musi to zrobić. Cisnął go w rozjarzoną paszczę i buchnęły zęby płomieni. Piec wydał z siebie głęboki ryk. Młynarz zakaszłał, zakrztusił się i odciągnięto go do tyłu. Ludzie Przyszłości ruszyli pośpiesznie z powrotem; zadowoleni i podekscytowani wycofali się z budynku. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej chłodnej ciemności, zaczęli się przyglądać, osłaniając oczy przed blaskiem bijącym z otwartych drzwi. Gdy cień postaci przesłonił widowisko, rozległy się śmiechy i jęki zawodu; jakiś idiota stanął za blisko i wszystko psuł.

- Martin, Arthur, Josh!

Głos należał - kto by pomyślał? - do kobiety. Żaden z nich nie znał wymienionych imion. Zawołała raz jeszcze i dodała kilka innych, wraz z paroma „choleraami” i „a niech to”. Wkrótce stało się jasne, że została sama. Buchnął szyderczy śmiech. Tak właśnie sumiennie pracowali wynajęci osiłkowie i ich wściekłe ogary. Gdy wielka mistrzyni Fiona Smith ruszyła przez błoto i kałuże ku stadku mężczyzn kryjących się w głębokim cieniu, zauważyli, że dzierży w dłoni broń.

- To teren prywatny! Ostrzegam was... Użyję tego... - Uniosła pistolet. Był starego typu, lecz syknęła; - Nie nabiłam go śrutem!

Śmiech wezbrał, stał się głośniejszy. Przyjemny dodatek do przedstawienia. Wielka mistrzyni rzuciła okiem za siebie i w tej samej chwili ze wszystkich szczelin budynku za jej plecami buchnęła jasność.

- Co wyście zrobili z moim...

Wtedy cały młyn wyleciał w powietrze. Nathan pobiegł, przedzierając się przez palące powietrze, pomiędzy spadającymi cegłami i grudami ziemi. Żar był niesamowity - miał wrażenie, że toczy walkę z samym słońcem. Ujrzał przed sobą leżącą postać, drgającą, miotającą się w dzikim tańcu płomieni i dymu. Chwycił ją, poderwał i szarpnął po płonącym podłożu, które stawiało mu nieskończony opór, aż wreszcie, w końcu, gorąco nieco zelżało. Kaszląc, zachłystując się, złożył Fionę Smith w błocie, obok resztek tego, co dawniej było jeziorem Stagsby Hall. Woda była teraz brudna, jej języki migotały wszystkimi barwami tęczy, pochłaniał ją ogień liżący mu plecy. Mimo wszystko zdołał zaczerpnąć jej nieco w dłonie i polać poczerniałą, poparzoną kobietę. Chwilę potem jednak pojął, że jest za późno.

Na zwęglonym ciele Fiony Smith tańczyły płomyczki i nitki dymu, ale iskra opuszczała jej oczy. Pochylił się, przeczesał palcami jaśniejące pasma jej włosów i w gasnącym błysku jej wzroku zauważył coś, co mogło być świadectwem rozpoznania. Potem jednak westchnęła, jakby z ulgą. Dłonie Nathana wciąż pracowały. Spojrzał w dół i zauważył, że jego palce nieświadomie splotyły węzeł z ostatniego, niezniszczonego ogniem kosmyka jej wspaniałych rudych loków.

\* \* \*

Powrotna wspinaczka na wzgórze jeszcze nigdy nie była tak ciężka. On także doznał poparzeń. Płuca miał zawałone sadzą i przypalone ogniem. Kiedy wreszcie - na wpół pełną - dotarł na szczyt, uświadomił sobie, że pierwszy raz w życiu, wchodząc na Burlish Hill, nie wyczuwał nastroju wiejących tu wiatrów. Teraz, gdy podźwignął się i rozejrzał po świecie, który z wyjątkiem szalejących w dolinie płomieni ciemniał jak okiem sięgnąć, zrozumiał, że nie wyczuwa ani jednego choćby najslabszego powiewu - poza tym znajdującym się w ostatnim kosmyku włosów odciętych kawałkiem rozżarzonego metalu, który ścisnął teraz palcami w kieszeni i który był zbyt niebezpieczny, by kiedykolwiek go uwolnić.

Nathan zakaszłał. Resztkami powietrza z płuc spróbował zaśpiewać wiatrakowi. Dźwięk, jaki z siebie dobył, okazał się niczym: zwykły szept martwych liści z jakiejś dawno zapomnianej jesieni. To niemożliwe, by jego wielka maszyna odpowiedziała na tak żalorny zew, jednakże w jakiś niezrozumiały sposób, z jękiem, potężnie i radośnie jak zwykle, zareagowała. Skrzydła jąły się obracać. W pewnym sensie młynarz od zawsze uważał, że wiatry - w równej mierze w jakiej spadały z nieba - rodziły się w samym młynie, ale nigdy dotąd nie rozumiał i nie doświadczył tego tak, jak tej nocy.

Niewidoczne, skryte daleko pod księżycem i gwiazdami, rozwinęły się chmury, rozwarły się horyzonty i - z równą łatwością, z jaką człowiek tańczy bądź zasypia, i o wiele łatwiej niż się zakochuje - powiał ostry wschodni wiatr, który często przeważał na Burlish Hill, ten sam, który nigdy nie był taki sam jak dzień wcześniej.

Nie zostało mu nawet jedno ziarno do zmielenia, lecz Nathan wciąż kochał swój wiatrak. Uruchomił wszystkie mechanizmy, do których śpiewał przez całe swoje życie, i obserwował, jak zaczynają pracować, obracać się, nikać, coraz mniej wyraźne, pędząc bez nadzoru. Dźwięk, jaki wydawał z siebie młyn, był niewiarygodny - zupełnie jakby wspominał wszystkie głosy, które go kiedykolwiek czarowały. W tym głębokim, wielogardłowym hurgocie usłyszał swego ojca, nawołującego wiatrak mocnym, jasnym tonem, jakim niegdyś władał, słyszał pomruki pracujących dźwigni i niekiedy radosne pomruki, które wydawał z



siebie, pracując dla samej, prostej radości z pracy. Pojawiły się również łagodniejsze nuty głosu matki i wszystkich innych żon młynarzy. „Zobacz, jak ten blok osiada, a ta metalowa obręcz ledwie utrzymuje go na miejscu... Pracował dłużej, niż pamiętam to ja czy twój ojciec, ale teraz jego życie dobiega końca...”. Nathan Westover usłyszał dźwięk tego jękającego się bloku i potem swój zdrowy jeszcze głos, którym go zreperował. Wszystkie wiatry tej i każdej innej ziemi westchnęły wraz z nim, i zagrały skrzydła, i świat się obrócił, i niebo się rozplątało, a gwiazdy i planety zaczęły się szaleńczo kręcić, a pory roku nadchodziły i przemijały. Zobaczył Fionę Smith, młodą jak wówczas, kiedy nadymała policzki przed tym olbrzymim tortem w Stagsby Hall, gdy jeszcze były tam trawniki i nikt nawet nie myślał o ścięciu dębów. Ujrzał ją ponownie, we własnym młynie. „Mam dla ciebie propozycję, Nathan...”. Zobaczył ją taką, jaką była na aukcjach, zalaną wpadającym przez wysokie okna światłem, rozpalającym jej rude włosy, a potem jeszcze siedzącą w tej niebywałej maszynie, która z hurgotem przemierzała okolicę, kiedy te same włosy srebrzyły się już pasemkami siwizny. Widział te chwile, przede wszystkim jednak poczuł ciepły, miękki nacisk jej ciała z tych kilku bezcennych chwil, gdy zetknęli się w wiatraku, i gorącą, zadziwiającą rzeczywistość smaku jej ust przywierających do jego warg.

Wiatrak huczał i Nathan krzyczał wraz z nim. Osie dymiły, łączenia wrzeszczały, tryby fruwały, aż wreszcie, kiedy coś ważnego puściło, górna połowa młyńskiego kamienia wgrzyzła się w niższą, sypiąc pyszną kaskadą jasnych iskier.

\* \* \*

Tej pamiętnej nocy mieszkańcy wioski Stagsby, rojący się niczym mrówki wokół tego, co zostało z parowego młyna, unieśli wzrok i ujrzeli, że płonie też wiatrak na Burlish Hill. Pośród tego chaosu ustawili się w szeregu i powoli, z ręki do ręki przekazywali sobie wiadra, napelnione resztkami wody z jeziora. Było jednak za daleko, a młyn ogarnęły już potężne płomienie. Wielkie, stojące w ogniu skrzydła obracały się mimo braku wiatru. Bardzo szybko zrobiło się zbyt gorąco, by podchodzić, choć wielu po prostu stanęło i oglądało - taki to był straszliwy, piękny widok - jakby świadcząc jakiemuś mitycznemu, wielkiemu ptakowi.

Potem pojawiły się liczne plotki. W samym Stagsby najpopularniejszą była ta, w myśl której parowy młyn długo stał zapuszczony i że wielka mistrzyni rozmyślnie doprowadziła do katastrofy, by zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia. Równie popularną teorią, zwłaszcza wśród tych, którzy nie wiedzieli czym jest ubezpieczenie, była ta, wedle której pani Smith, wraz z jednym z robotników, oddawała się nadgodzinom, o ile wiecie o co chodzi, aż wreszcie atmosfera stała się, cóż, zbyt gorąca. A co do starego wiatraka, ten zapewne zajął się od

wyniesionej wiatrem iskry. Zresztą, wszyscy wiedzieli, że i tak był już zrujnowany i zapewne nazbyt suchy. Wszyscy też - z braku lepszych pomysłów - założyli również, że młynarz zginął w pożarze. Oficjalne dochodzenie nie pozwoliło ludziom zmienić zdania. Konkurencyjna wersja wydarzeń, w myśl której bogaci właściciele maszyn skorzystali z usług tak zwanych Ludzi Przyszłości, by zniszczyć konkurencję, nie okazała się godna uwagi gawiedzi, a jeśli już ktoś jej zawierał, to tylko osoby bezpośrednio zainteresowane jej potwierdzeniem.

Niedługo potem, gdy wiatr rozniósł popioły i zaciągnął je na zachód, a deszcze rozmiękczyły zwęglone deski i kiedy odrosła trawa, na Burlish Hill został już tylko kamienny krąg. Nie odbudowano również parowej maszyny w dolinie.

Farmerzy sprzedawali teraz swoje zbiory hurtowo do nowych, wielkich zakładów, rezygnując tym samym z finansowej niezależności na rzecz tego, co przynajmniej wtedy wydawało się rozsądną ceną. Stagsby Hall wykupili członkowie jednego z ważniejszych rodów z cechów parowych i urządzili tam swą letnią rezydencję. Wkrótce wyrosły nowe trawniki, a jezioro zostało osuszone i na nowo wypełnione lśniąca, niebieską wodą. Wnętrza odświeżono, urządzając je zgodnie z ostatnią modą. Ruiny młyna zostały oplecione i upiękzone pnączami oraz kosmatym mchem. Pięć lat potem mogły uchodzić za resztki starego zamku, relikwium zupełnie innej epoki. Większość tych informacji opierała się głównie na pogłoskach. Sądząc po sapiących, dyszących nowoczesnych powozach, które jechały w tamtą stronę przez wioskę, nierzadko urządzano w Stagsby Hall przyjęcia, lecz nie zapraszano już na nie nikogo z miejscowych. Aby pochwycić choć przelotne spojrzenie nowej wspaniałości wielkiego domu, trzeba było wspiąć się na Burlish Hill. Ze wzgórza wciąż było widać chmury ścigające się ze swoimi odbiciami na tafli jeziora, a także refleksy promieni słońca w oknach. Można było odetchnąć falowaniem liści tamtejszych drzew. Poza jednak kilkoma szukającymi odosobnienia parami niewielu się na to decydowało - bo i po co?

\* \* \*

Wołki zbożowe, korniki, pożary i szczury to cztery apokaliptyczne demony każdego młynarza. Spośród nich najgorszy jest ogień. Mimo to - jak pomyślał Nathan, gdy poparzony, pozbawiony tchu patrzył na rzekę płomieni ze szczytu Burlish Hill - istnieją rzeczy jeszcze gorsze. Idąc przed siebie, powtarzał sobie, że przynajmniej nie porzucił swego wiatraka, ponieważ nie miał już czego porzucić.

Szedł tak do rana, nie kierując się ku żadnemu konkretnemu celowi. Dotarł wreszcie do stacji kolejowej, którą mgliście przypominał sobie ze swych wypraw wraz z innymi

Ludźmi Przyszłości. Usiadł i zaczekał. Wsiadł do pierwszego pociągu i dojechał nim aż na wybrzeże. Dzień wstał jasny. Mimo że lato było wciąż jeszcze wczesne, na plaży już rozłożyły się całe rodziny, chroniące się przed wiatrem za kolorowymi parawanami. Roześmiane dzieciaki dokazywały w lodowatej płytczynie oceanu, inne trzymały w rękach szarpające się linki latawców. Nathan przyglądał się temu wszystkiemu i czuł na twarzy ukłucia drobinek soli. Był zadowolony, widząc, że świat nadal się kręci, a bryza nadal wieje, bez względu na to, co się stało z młynem na Burlish Hill.

Tory kolejowe docierały teraz już wszędzie. Można było nimi dojechać do miejsc, których istnienia nawet się nie podejrzewało, zanim nie dosięgnęły ich stalowe szyny. Nawet gdy kończył się już rozkład i Nathan stawał na pustym peronie w porze, o której nie jeździły żadne pociągi, te lśniące rzeki żelaza wciąż jakby niosły go dalej i dalej. Podróżował. Wędrował. Wychylał się z okien wagonów, patrzył na rozplómięte, dymiące zachody słońca i zlizywał z warg słonawy osad. Gdyby został w nim jeszcze oddech, na pewno zaśpiewałby rozedrganemu powietrzu.

Zbliżało się kolejne lato i na polach całej tej ciężkiej i rozległej krainy dojrzywało zboże. Siedział na schodach opodal mostu w pewnym nadrzecznym mieście i przyglądał się matce i córce karmiącym okruchami kanapek gęsi i łabędzie. Obie były rudowłose. Palce Nathana musnęły związany kosmyk, który wciąż nosił w kieszeni. Często czuł pokusę, by go rozplątać i doznać tej szczególnej emocji, jaka musiała towarzyszyć rzuceniu ostatniego wietrznego zaklęcia. Pamiętał jednak spojrzenie, które zobaczył w gasnących węglach oczu Fiony, i zastanawiał się, co tak naprawdę schwytał w te włosy, co takiego mógłby wypuścić na wolność. Podróżował na północ i na południe, podróżował nocami, oglądając fastrygowane płomieniami, mroczne krajobrazy. Świt powoływał na horyzontach dachy i kominy. Połykany przez wielkie budynki, wypływany na ulice wraz ze śmieciami i gołębiami, gapił się i wędrował. Przeklinano go, wpadali na niego ludzie. W zamian za pieniądze, których już nie posiadał, składano mu zwodnicze propozycje. Niebo było tu niezmiennie szare, a wiatry, jakie wypadały Nathanowi na powitanie z wąwozów ulic, pachniały odrażająco. Przywykł już do pływów i opóźnień pociągów, ale tutaj się zgubił.

Maszerował przez pogrążające się w mroku miasto, skręcając bez ładu i składu, w poszukiwaniu kierunku, który nie byłby północą, południem, wschodem ani zachodem. Daleko za nim wznosiły się żebra jakiejś olbrzymiej, nieukończonych jeszcze budowli. Ich belki dzieliły niebo na kraty, ale ludzi było tu mniej, a ci, którzy się pojawiali, śpiesznie ukrywali swoje spojrzenia, lub od razu uciekali przed nim przy wtórze wrzasków i stukotu chodaków. Domyślił się, że nie jest to miejsce, w którym powinien się znaleźć ktokolwiek,

kto nie miał tu sprawy do załatwienia. Coraz bardziej dochodził jednak do wniosku, że on ma tu sprawę. Niemal biegł przed siebie, mijały go cegły murów szepecących echem jego wyschniętych płuc. Szepecących również poświęcą wszystkich wyrysowanych na nich zaklęć i ochronnych symboli. Niektóre z nich - był pewien - należały do jego własnego cechu. Inne, jak mu się wydawało, były naznaczone morzem. Widział też znaki ludzi, którzy doglądali najwyższych dachów i rozmaitych cechów zajmujących się pracą na wysokościach, tych, którzy oddychali innym powietrzem, z góry obserwując odmieniony świat.

Dyszząc chrapliwie, wyczerpany, z zawrotami głowy, potykał się i parł naprzód. Mijał bramy i chodniki. Ukryty rytm potężnych maszyn wstrząsał ziemią. Świt jednak przyniósł ze sobą zmianę krajobrazu. Nathan był zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie i nie miał pojęcia, jak to możliwe, że wciąż powłóczy nogami, że jego serce jeszcze niekiedy uderza, że w jego płucach grzechoce jeszcze cień powietrza; miasto jednak zostało daleko za nim - tak daleko, że nowy horyzont wymazał je zupełnie z pamięci i istnienia. Tutaj, brudne i pełne kałuż drogi wiły się i rozgałęziały pod pochyłymi drogowskazami, pomiędzy nieskończonymi żywopłotami: płotami, bramami, barierkami, ogrodzeniami z drutu i kolców. A wiatr wiał wszędzie i ze wszystkich stron - świat zaś furkotał śmieciem przypominającymi pokłosie jakiejś archetypicznej burzy. Kapelusze i szaliki, pojedyncze buty, gazety, stronice książek, parasolki, całe sznury prania, zniszczone flagi cechów, a nawet podziurawione okrętowe żagle, wszystkie łopotały dookoła albo pozwalały się porwać pod skłębione chmury niczym zdziczałe latawce.

Palce Nathana raz jeszcze zacisnęły się na supełku włosów Fiony Smith. Jeśli gdziekolwiek, to właśnie tu znajdowała się odpowiedź na pytanie, w jaki sposób można ją uwolnić. Zrozumiał, do czego zmierzały wszystkie jego wędrówki - do tego, by tu dotrzeć, bez względu na to co to za miejsce, i by odnaleźć zaklęcie, sekret, który mógł rozplątać ten ostatni węzeł. Był jednak zmęczony. Wprost niewiarygodnie zmęczony. Oparł się o jakiś pusty drogowskaz i pomyślał, że iść jeszcze może. Nie był jednak pewien, czy da radę oddychać bądź podtrzymać rytm swojego, coraz częściej utykającego serca. Ruszył jednak dalej, a wiatry, wiejące z każdego i z żadnego kierunku naraz, pchały go, szarpały na nim ubranie, wypełniały go lodowatymi i gorącymi dreszczami, okręcały go wśród jęków i pohukiwania. Potem usłyszał jakiś inny dźwięk - przypominał ludzki krzyk. Nie miał pojęcia, co to może być, ale dał mu się przyciągnąć.

Kolejny płot o połamanych, butwiejących i kołyszących się sztachetach. Jeszcze jedna brama, która na przemian otwierała się i zatrzaśniała na wicherze. Ale to nie ona powodowała ten niepokojący hałas. Nathan nie mógł się nie uśmiechnąć. To był po prostu

stary kurek dachowy, zamocowany na słupku w płocie, obracający się we wszystkie strony, szaleńczo, radośnie. Tak znajomy, mimo że nigdy nie zbliżył się do żadnego zbyt blisko. Słuchając krzyku i obserwując wirowanie kurka, zrozumiał co jest dziwne. Pod takimi urządzeniami zazwyczaj mocowano metalowe strzałki wskazujące strony świata. Tu ich nie było, nie było nawet zardzewiałych pozostałości po nich. Wtedy brama znów stanęła otworem, kurek wrzasnął i wskazał kierunek niemożliwy do znalezienia na żadnym kompasie. Zmienił się też wiatr, który popchnął go po ścieżce ku temu, co leżało za płotem.

Zobaczył dom, o kłapiących oknach i zniszczonych dachówkach i kominach. Był tam także ogród. Niewyraźne, mgliste przecucie, które nie odstępowało go przez cały ranek, stało się tu jeszcze bardziej intensywne. Zobaczył drzewa i przez chwilę odnosił wrażenie, że kwitną, ale moment później wydawały się już zielone, potem brązowe i złote, aż wreszcie rozpadły się na czarne kości swych szarpanych nagłymi porywami burzy gałęzi. Róże rozchyłały czerwone usta i wędły. W tym miejscu panowały naraz wszystkie pory roku. Zrozumiał to i, posapując, poszedł dalej, choć uznał, że zima jest tu silniejsza od lata, podobnie jak jesień od wiosny.

Jak wszystko dookoła, skulona postać, którą zauważył przed sobą, wydawała się utkana z wiecznie zmiennych dziedzin powietrza. Nie tylko z wietrznych dni, czy nagłego wybuchu letnich burz, lecz także z nieruchomej duchoty popołudni, w które wątpliwe było pojawienie się nawet najłżejszego powiewu, przynajmniej dopóki na drodze z doliny nie pojawiła się szara, rozedrgana postać. Przed sprzedawcą wiatrów leżał jego otwarty worek. Zrywał witki z rosnącej w pobliżu wierzby, trzęsącej i wachlującej swymi ramionami. Gdzieś w głębi Nathana wciąż krzyczał kurek. Poczul w płucach łkającą agonię. Wiedział, że nie ma już siły, by powiedzieć handlarzowi to, co zamierzał. Ulgą był dla niego po prostu fakt, że mężczyzna wyciągnął ku niemu blade palce, wyglądające jak pozbawiona liści wierzba, i przyjął ten wspaniały rudy supełek. Gdy Nathan Westover potknął się i padł w mokre błoto, zobaczył, że sprzedawca wiatrów porusza palcami - nie po to jednak, by uwolnić ostatnie tchnienie Fiony Smith, lecz po to, by zadzierzgnąć ostatni, najciaśniejszy węzeł z jej włosów.

# DBAJ O SIEBIE

Pracownik socjalny pojawił się dzień lub dwa przede mną. Zachowywał się tak dziarsko i uprzejmie, jak pozwalala na to sytuacja, której nadejścia obawiałem się zresztą od dawna. Był ubrany raczej dziwacznie, lecz ludzie z przeszłości rzadko kiedy noszą się zwyczajnie.

- Będziemy musieli razem z panem przysłać kilka maszyn do pomocy - mruknął, oglądając naszą drugą sypialnię i łazienkę, a potem kuchnię, która bez wątpienia wydała mu się nedorzecznie prymitywna. - Ale oczywiście nic takiego, co mogłoby przeszkadzać.

Kiedy wieczorem wróciła do domu Helen, zareagowała równie krzepiąco.

- To olbrzymie wyzwanie - powiedziała. - A przecież zawsze powtarzałeś, że lubisz wyzwania.

- Chodziło mi raczej o rzeczy typu wspinaczka czy latanie na lotni, i w ogóle o poszerzanie granic własnych możliwości, a już na pewno nie o opiekowanie się jakąś zniedołężniałą wersją siebie.

- Josh. - Obdarzyła mnie jednym z tych swoich spojrzeń. - Nie masz wyboru.

Miała rację - a w naszym ładnym domu było dużo miejsca. Zupełnie, jakbyśmy od dawna planowali właśnie to. I ta myśl bardzo mi się nie spodobała.

Przybyłem dwa dni później, eskortowany przez eleganckie i czyste automaty, choć sam byłem dokładnie tak blade i zdziadziały, jak się tego obawiałem. Istota, w którą miałem się kiedyś przeobrazić, nie była w stanie chodzić, ledwie co widziała i z pewnością nie rozumiała, co się z nią dzieje. Ciekawe jak długo - zacząłem się zastanawiać (z niejaką nadzieją w głębi ducha) - dam radę w tym stanie pociągnąć? Snując się po naszym domu niczym chromowane cienie, maszyny zajmowały się wieloma mniej przyjemnymi i bardziej uciążliwymi obowiązkami, choć i mnie zostawało ich wiele. Musiałem siedzieć i ze sobą

rozmawiać, aczkolwiek mój starszy odpowiednik odpowiadał tylko z rzadka i zawsze niespójnie.

Musiałem też pomagać sobie przy jedzeniu i wycierać potem swą zaślinioną brodę. Musiałem trzymać swoją zwiędłą dłoń.

- Pamiętasz ten dom? Bo przecież musiałeś tu mieszkać?

Odleciałem już jednak zbyt daleko, by zrozumieć nawet takie pytanie.

Może nie znajdowałem się jeszcze w stanie wegetatywnym, ale z pewnością byłem już zatechłym starym pierdzielem. W najlepszym razie.

Czasami wyprowadzałem się na dwór, udając, że pcham ten przemyślny fotel, który tak naprawdę był o wiele sprawniejszy we wszystkim - z wyjątkiem pozbycia się tego wynędzniałego ducha - gdy robił to sam. Ucierpiała na tym wszystkim moja praca. A także związek z Helen. Zapisalem się do grupy pomocowej. Siadywałem w salkach, w których tłoczyli się inni nieszczęśnicy, którym narzucono rolę opiekunów starszych siebie. Wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego nasze przyszłe dzieci, tudzież inteligencje nimi kierujące, uznały za stosowne uczynić nam coś takiego. Czy była to kara za chaos, w jaki zmieniliśmy ich świat? A może te bezradne stworzenia, ze swymi beużytecznymi umysłami, wyblakłymi wspomnieniami, cienką granicą, za którą traciły kontakt z tą i jakąkolwiek inną rzeczywistością, były w istocie sposobem, w jaki chcieliśmy spełnić własne marzenia o podróży w czasie? Co było do przewidzenia, dyskutowano też o rozmaitych metodach ich uśmiercania, od cichej eutanazji, po brutalne morderstwa z użyciem noża lub wypadki podczas górskich wycieczek. Ale w tym właśnie tkwił problem choć narzekaliśmy jak najęci, żadne z nas nigdy nie zdobyło się na to, by samych siebie skrzywdzić. A w każdym razie nie tych siebie, którymi mieliśmy się kiedyś stać. Po jakimś czasie mój stan znacznie się pogorszył. Maszyny, kierowane własną wolą, podjęły bardziej wyrafinowane czynności opiekuńcze i bezustannie czuwały przy moim nieruchomym ciele, spowitym w kołyskę stalowych rurek i kryształowych wenflonów. Karmiły mnie świeżą krwią i świeżym powietrzem. Wątpiłem, by łupina, w jaką się zmieniłem, była świadoma czyjejkolwiek obecności poza tą jedną - własną i gasnącą. Wciąż jednak siadywałem obok siebie i opowiadałem bez końca o rzeczach, które zaraz potem zapominałem. Zupełnie jakbym wpadał w trans lub jakby ta część mnie także umierała. Potem leżałem zupełnie nagi pod inteligentną, samoczyszczącą się pościelą.

Czasem, w nieunikniony sposób, unosiłem ją, wdychałem zatechłą woń własnej śmiertelności i przyglądałem się uważnie cienkim kończynom i pomarszczonemu ciału, które miały się kiedyś stać moimi własnymi.

Sama śmierć okazała się zaskakująco łatwa. Maszyny dopilnowały, by nie towarzyszył jej ból, a ja trwałem przy sobie, zadbałem o to, by nie umrzeć w samotności. Niewielki dreszcz, nikły spazm. Potem człowiek zaczyna się zastanawiać, o co w ogóle cały ten szum.

Po pogrzebie, który oczywiście także musiałem zorganizować sam i na który przyszło o wiele mniej osób, niż miałem nadzieję, po rozsypaniu prochów z wietrznego szczytu jednego z moich ulubionych wzgórz, przyjrzałem się swemu życiu jak człowiek budzący się ze snu. Helen mnie zostawiła, lecz muszę przyznać, że uczyniła to bez zbędnych afer i po cichu. Dom wydawał mi się bardzo pusty, choć wiedziałem, że ma to więcej wspólnego z odejściem starca niż jej. Wróciłem do wspinaczki, uprawiam ją regularnie. Wróciłem też do skoków na spadochronie i lotniarstwa. Okazuje się, że teraz te sporty, jak i wiele innych niebezpiecznych, wymagających aktywności fizycznej, sprawiają mi jeszcze więcej przyjemności niż dawniej. W końcu wiem już, że nie mogą mnie zabić i że ostatnia faza mojego życia nie będzie znów taka najgorsza. Mimo że wiele się zmieniło i wciąż siadam niekiedy w drugiej sypialni i spoglądam na naciągnięte, czyste prześcieradło na pustym łóżku, choć nie ma tu już ani mnie, ani tych maszyn z przyszłości. Smutne jest tylko to, że teraz, kiedy odszedłem, bardzo za sobą tęsknię.



# BUNT ANGLIKÓW

Byłem tam, ja tam, kurwa, byłem. Wiem, że tak mówią wszyscy, a przynajmniej my, Anglicy, i jeszcze połowa całej reszty Imperium na dokładkę. Fakt, że ludzie mają czelność tak twierdzić - opowiadając chętnym słuchaczom o tym, jak przetrwali wszystkie potworności i oblężenia - ma być dostatecznym dowodem prawdziwości ich słów. Ale ja tam byłem. Ja tam byłem naprawdę. Od samego początku, a nawet jeszcze szmat czasu wcześniej. Znałem starszego szeregowca sipajów Johnny'ego Sponsona z pułku z Devonshire na długo, zanim jego nazwisko nabrało jakiegokolwiek znaczenia. Zresztą, nie tylko go znałem - tego drania, tego błogosławionego, tego *sadhu*, tego świętego - nazywajcie go sobie jak chcecie. Ja go kochałem. I nienawidziłem. Ocalił mi, kurwa, życie.

A ja? Ja byłem tylko żołnierzkiem, mięsem armatnim, jednym z sipajów Imperium Mogolów. Nie liczyłem się. Davey Whittings, na rozkaz, panie! Sahib, gdzie mam wykopać tę latrynę? Tak właśnie wyglądało całe moje życie - podobnie jak życie mojego ojca, a przedtem jego ojca. Wszyscy brali rupie rezydenta i oddawali w zamian swą krew. Byliśmy przede wszystkim celami dla wrogich dział. Baczość i salutuj, albo padnij i zdychaj. Nikt się zanadto nie przejmował, którą możliwość wybieraliśmy. My zresztą też nie.

Ale Johnny Sponson był inny. Johnny pojawił się znikąd i przyniósł ze sobą historie, w które nie chciało się wierzyć. Przyniósł też swój lekceważący sposób mówienia. Opowiadał tak, jakby się przez cały czas odlewał. I w pewnym sensie tak właśnie było. W pewnym sensie olewał nas wszystkich, czuł się lepszy - w końcu świetnie wyglądał. Był przy tym dość afektowany. A jednocześnie śmiertelnie poważny.

Działo się to na początku kampanii szkockiej. Którejś kolejnej - ci Szkoci to buntownicze plemię i bez przerwy wywołują powstania. Kiedy jeszcze maszerowaliśmy przez Anglię na północ, nie widywałem Johnny'ego zbyt często. Wiedziałem jednak, że idzie z

nami nowy gość, który uwielbia widok swojego odbicia w lustrze i kocha brzmienie własnego głosu. Słyszałem go czasami, gdy leżałem, próbując złapać nieco snu. Nie przestawał mówić.

Ale nie. Nie... Źle zacząłem. Gdyby Johnny Sponson był taki, jak go opisałem, nie udałoby mu się nawet dotrzeć do chwili, w której szkockie armaty miałyby szansę rozerwać go na strzępy. Kopnąłby w kalendarz o wiele wcześniej, omyłkowo zastrzelony przez jakiegoś sipaja podczas musztry - och, przepraszam, sierżancie, fajtłapa ze mnie - który oparłby się niezdarnie o spust swojego muszkietu. Albo wyzionąłby ducha uduszony garotą podczas snu. Tak naprawdę niewielu cofnęłoby się przed czymkolwiek, byle tylko zamknąć temu rozgadanemu skurczybykowi gębę. Ale w Johnnym od zawsze wyczuwało się coś więcej - opowiadał ważne historie, lub wymyślał jakiś nowy kant, po którym nasi podoficerowie-mieszkańcy wychodzili na jeszcze większe bydlęta niż dotąd. Nawet i wtedy, nawet przed rewoltą, buntem, wojną wyzwolenczą, zwijcie to sobie jak chcecie, Johnny po prostu zupełnie nie przejmował się panującymi w wojsku zasadami. Był oryginałem. Był jedyny w swoim rodzaju.

Był też co prawda zwykłym szeregowcem, sipajem, najmarniejszym z marnych, ale dorastał jako dziecko lorda w jednej z angielskich posiadłości. W swej rezydencji nauczył się czytać, bić, fechtować, tańczyć, mówić i robić te wszystkie inne rzeczy, które robił o wiele lepiej niż my wszyscy razem wzięci. Zanim przekroczyliśmy Mur Hadriana, nawet ja zacząłem słuchać jego opowiadania. Chłonął je każdy z nas. A miejsce, które w nich opisywał, to, z którego do nas przybył, zupełnie nie przypominało znanej mi Anglii. Nie było tam fabryk, ruder ani żebraków. Wyobrażałem je sobie jako magiczną krainę - jak coś w rodzaju tak zwanych Matczynych Indii czy rajów, tylko od obu innego i lepszego. Krajobrazy były tam przyjaźniejsze, a niebo nie tak ogromne. Widziałem zielone trawniki i przytulne, wypełnione złotym ciepłem pokoje, a wszystko to wydawało mi się tak rzeczywiste, jak może się wydawać komuś, kto idzie na wojnę i kogo bolą plecy i nogi. Posiadłość Johnny'ego była pięknym miejscem i została mu odebrana, ponieważ jakiś hinduski *vakil*, prawnik, wygrzebał gdzieś starożytny dokument, pozbawiający ród Sponsonów tytułu.

Opowiadana przez niego historia wiła się i kluczyła niczym północne drogi, na które nas rzucono. Używał słów, jakich nie słyszeliśmy nigdy wcześniej. Słów takich, jak „prawo”, „wolność” i „naród” i jak „bezprawne przejęcie”, które opisywały sposób, w jaki Imperium Mogolów wchłonęło Anglię, podczas gdy kraj należał się nam. Zrujnowany, wydziedziczony, wyrzucony na ulicę Johnny nie miał wyboru. Musiał zgłosić się po rupie rezydenta jak my wszyscy. Tak właśnie znalazł się tutaj i maszerował na północ za słoniami, wraz z całym pułkiem z Devonshire, by walczyć z dzikimi, krwawymi Szkotami. Nigdy przedtem nie

widziałem takich gór. Nigdy jeszcze nie było mi tak zimno. Szkoccy chłopcy mieszkają w norach, wobec których takie żalosne slumsy jak York czy Bristol wydawały się piękne jak Hydreabad. Cuchną palonym gnojem. Nocami do naszego obozu przychodziły ich kobiety i pozwalały się pieprzyć za pół bochenka chleba. Czasami zaraz potem wbijały nam noże między żebra i uciekały z pieczywem.

Sytuacji, w której oberwałem, nie pamiętam zbyt dokładnie. Szliśmy po wysokiej, kąsanej wiatrem drodze. Słonie przed nami mozolnie ciągnęły ciężki sprzęt. Nagle coś świsnęło. Potem zapadła całkowita cisza i spojrzałem w kałużę własnych, parujących flaków. Okazało się to dość łatwe, tak sobie leżeć na lodowatym szlaku. Bo cóż to w końcu za różnica? Szeregowy Davey Whittings, piąty razem! Wyprostuj się, chłopie, zaszaluj sztandarowi Imperium i dopilnuj, by twój muszkiet był zawsze czysty! Śmierć lub sława - mój ojciec zawsze to powtarzał, a potem lał mnie za coś, czego nie zrobiłem.

Jednakże głos, który wtedy usłyszałem, nie należał do ojca, tylko do szeregowca Johnny'ego Sponsona. Ojciec nie żył już od piętnastu lat i mam tylko nadzieję, że sepy, które go rozwłóczyły, nie nabawiły się rozstroju żołądka. Kiedy jednak Johnny wepchnął moje wnętrzności na miejsce, podniósł i przywiązał do tego, co zostało z wozu, mającym o ojcu i o matce, która zachowała się tak, jak kobieta powinna się zachować, i owdowiała weszła do pieca. Wtedy Johnny, upewniwszy się, że wszystkie słonie zginęły, a woły zmieniły się w góry mielonego mięsa, zaczął mnie ciągnąć tą wietrzną drogą o własnych siłach i tak ciągnął przez... nie mam pojęcia jak wiele dni i ile mil.

Wreszcie pojawił się wojskowy szpital. Już wówczas wiedziałem, jak te, kurwa, szpitale wyglądają. Jeśli ktoś chciał żyć, unikał ich jak zarazy. A kiedy komuś przyszło do głowy szukać śmierci, wolał się z nią spotkać na polu bitwy. Bez Johnny'ego Sponsona nie miałbym najmniejszych szans. Było tak zimno. Mokre namioty rozstawiono na jeziorze błota. Ale pomógł mi przez to przejść, Johnny mi pomógł. Znalazł dość koców, żebym nie zamarzył na kość. Zmieniał moje opatrunki i suszył głowę pielęgnowałam, by przekazywały mi to na wpół przyzwoite jedzenie, które inaczej zatrzymałyby dla siebie. Drań ocalił mi życie, kurwa. W pewnym sensie stałem się więc pierwszym z cudów Johnny'ego Sponsona, żadne wcześniejsze nie są znane, przynajmniej mnie. Ważne jest jednak to, że sprawił ten cud on, a nie Chrystus, Mahomet czy Shakti. Johnny nie był duchem ani aniołem, co zresztą można od niektórych usłyszeć. Był po prostu sobą, był Johnnym, który wypełniał mi głowę swymi opowieściami. I to wystarczyło.

Dowiedziałem się od niego, że podczas tego szkockiego bombardowania zginęła lub odniosła rany połowa naszego plutonu. Opowiedział mi o tym, jak wywinął się spod kul.

Rzecz jasna, szczęśliwym trafem, czyli w ten sam sposób, w jaki migał się od większości innych kłopotów. Potem zobaczył mnie z połową flaków na ziemi i uznał, że przyda mi się pomoc. Podejrzewam, że mógł uratować kogoś innego - na przykład, kogoś, kto miał większe szanse na przeżycie. Więc dlaczego mnie? Znałem go długo, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, by o to zapytać.

Johnny opowiedział mi wiele historii. Między innymi o tym, że mała Anglia była niegdyś potęgą, z którą liczył się cały świat. I o tym facecie, Williamie Hawkinsie, który opłynął Przylądek Dobrej Nadziei i trafił do Indii, w czasach gdy Imperium Mogołów nie zajmowało nawet całego subkontynentu, o Europie nie wspominając, i kiedy nikt nawet nie śnił o Kanale Sueskim. Opowiadał o pompie, z jaką Hawkins zawitał na dwór Dżahangira. Był wówczas - naprawdę kiedyś tak było - emisariuszem z królestwa o równym statusie. A w zasadzie kimś jeszcze znaczniejszym, ponieważ to Hawkins przypłynął z Anglii do Indii, a nie na odwrót. Potem, oczywiście, rozkwitł wzajemny handel. Z Indii kupowano przede wszystkim przyprawy korzenne i jedwab - Anglicy w rewanżu wysyłali wełnę i rozmaite, tanie świece, w produkcji których byliśmy wówczas coraz lepsi. Jak zapewniał mnie Johnny, stały się one w tamtych czasach bardzo modne, co dodatkowo pomogło.

Tak więc zostaliśmy - my, Anglicy i Mogołowie - równorzędnymi partnerami, bezpiecznie oddzielenymi od siebie połową świata. Ponadto, pomiędzy nami znajdowali się Portugalczycy, również podróżujący i handlujący. Potem jednak coś się zmieniło. Wciąż chwilami majaczyłem w gorączce, ale zapamiętałem widok kręcącego głową Johnny'ego. Zupełnie jakby akurat na to pytanie nie znał odpowiedzi. Powtarzał tylko „coś”, jakby nie mógł sobie uzmysłowić co to jest. Później przyszły ciężkie czasy, niekiedy opowiadają o nich jeszcze kapłani - w Anglii, pewnego bezsłonecznego sierpnia spadł śnieg i głodujący ludzie zjadali umarłych, a Mogołowie rozciągnęli swe Imperium na całe Indie, szukając źródeł pożywienia, a także sojuszników. Podejrzewam, że mogli się wtedy zwrócić ku Anglii - tak przynajmniej twierdził Johnny - ale wybrali Portugalię. Wspólnie stworzyli wielką armadę i pokonali nas, Anglików. W ten sposób Imperium Mogołów zajęło szmat ziemi, aż po północny skraj Europy. Wiem, wiem - pamiętam, jak Johnny klaskał w dłonie, śmiał się i kręcił głową. Cholernie śmieszne, Indie i Anglia zjednoczone w ramach Imperium, które od tamtej pory rozrosło się na południe i zachód, na Francję, Hiszpanię i Prusy, a także na wschód, z Indii i Arabii przez wszystkie znane ziemie. Jakby w roztargnieniu i nie bardzo wiedząc dlaczego, Mogołowie zajęli pół świata...

Wyzdrowiałem więc w tym szpitalu, z blizną na brzuchu i dziwnym, nowym sposobem patrzenia na świat. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że Johnny mówi to wszystko do

siebie. I w pewnym sensie tak chyba było. Ćwiczył to, co zamierzał powiedzieć podczas swych sławetnych przemówień, które wygłaszał niedługo potem. Z pewnością miał gadane, owszem, tego mu nie można odmówić. Teraz wiele prawd zostało już zapomnianych, ale on naprawdę był wykształcony. Zamiast posługiwać się jak należy farsy, hindi czy arabskim, uciekał się do słów pisarzy, którzy tworzyli lata temu po angielsku i w innych językach, jakby były świeże niczym poranny chleb.

Wspominał też o tym Szeks-coś tam i z początku myślałem, że Johnny opowiada o jakimś arabskim księciu. Pamiętam nawet fragmenty. „Lecz jeśli grzech jest za honorem gonić, jestem największym na ziemi grzesznikiem”<sup>1</sup>. Tak brzmiał jeden z nich. Nauczył się tego wszystkiego - historii dawnej Anglii - od guwernerów, jeszcze w swojej pięknej posiadłości, zanim odebrali mu ją Mogołowie - chciwe bękarty. Oczywiście, on nie wyłożył tego tak wprost, ale dowiedziałem się od niego, że sprawy nie mają się tak prosto, że to wszystko nie sprowadza się jedynie do tego, że Hindusi zaczęli rządzić, a my, Anglicy, zostaliśmy ich sługami, sipajami, tymi, którzy harują w kopalniach i krztuszą się własną krwią, by ogrzać ich pałace.

Śmierć. Muszkiety. Ślina, krew i pasta do butów. Jak walczyć bagnetem w ogniu bitwy i jak zadzierzgnąć garotę w ciemności. Przed pojawieniem się Johnny’ego Sponsona nie znałem i nie potrafiłem nic innego. Nigdy też nie byłem pijakiem, cwaniakiem ani hazardzistą. Nie wyróżniaj się - to jedyna rzecz, jakiej nauczył mnie ten drań, mój szczęśliwie zmarły ojciec. Tę krztynę wolnego czasu, jaki miałem, i jeszcze mniejszą porcję wolnych myśli, trawiłem, przechadzając się po miejscach, gdzie mnie akurat zakwaterowano. Lubiłem oglądać budynki, patrzeć wzdłuż mostów, stawać przed świątyniami i obserwować. Przyglądałem się *sadhu* - wysmarowanym popiołem żebrakom o wychudłych bokach i pokręconych lub amputowanych kończynach.

Fascynowało mnie wszystko, co robili, a także sposób, w jaki ozdabiali i malowali to, co zostało z ich ciał, te haki i gwoździe i bambusowe szpikulce. Najbardziej jednak uderzał mnie kontrast - piękno ich dążenia do zlania się w jedno z Bogiem i brzydota powierzchowności. A to, jak się uśmiechali, kiwali, jęczeli i wrzeszczeli - czy to był ból, czy ekstaza? Nigdy do końca nie zrozumiałem.

Tych z naszego pułku, których uznano za wystarczająco żywych, a zatem wartych ocalenia, załadowano na pokład okrętu mającego nas zabrać do Londynu. Podczas całego rejsu na południe zima traktowała nas łaskawie. Lodowate wiatry gnały statek chyżo, morze

---

<sup>1</sup> W. Szekspir. *Życie Henryka V*, tłum. L. Ulrich (przyp. tłum.)

szumiało spokojnie, a żeglarze okazali się świetni w niezauważaniu niczego nieregulaminowego. My, sipaje, wylegiwaliśmy się na pokładzie pod gwiazdami, wśród płonących świec, gdzie rozmawialiśmy, tańczyliśmy i piliśmy. A Johnny, jak to Johnny, mówił tańczył i pił najwięcej ze wszystkich. Pamiętacie, jak wyglądał ten okres przed buntem? Pamiętacie te plotki? Projekt przedłużenia okresu służby sipajów z piętnastu do dwudziestu lat? Plany przymusowej konwersji na islam? Nie to nawet, że byliśmy szczególnie przywiązani do jakiegokolwiek religii, ale obrzezanie... Sami możecie się domyśleć, jak nas to rozżłościło. Potrzebne było tylko coś... Przypominam sobie chwilę, gdy Johnny powiedział - staliśmy oparci o reling i patrzyliśmy na białe fale i szybujące mewy - że Hindusi byłiby niczym bez nas, Anglików, że całe ich Imperium runęłoby jak domek z kart, gdyby ktoś usunął z niego choć najmniejszą część...

Robiliśmy także wiele innych rzeczy. Snuliśmy nadzieje i plany na przyszłość. Mówiliśmy o tym, czym się zajmiemy, gdy nastanie dzień. A Johnny wydawał się ośrodkiem tego wszystkiego, przynajmniej ja tak to widziałem. Skąd jednak pojawiły się te plotki - czy to on je rozpuścił, czy ktoś inny, czy może powstały naraz w kilku miejscach - naprawdę nie mam pojęcia. Niemniej pojawiły się pogłoski, że Anglia czeka na Johnny'ego Sponsona - jakby ktokolwiek już o nim słyszał, lub jakby ludzie wymyślili go mocą jakiegoś czaru w godzinie potrzeby... Nie jestem w stanie powiedzieć, czy to była prawda. Istnieje jednak wiele rodzajów kłamstwa - tego nauczyło mnie przebywanie w towarzystwie Johnny'ego. I może to kłamstwo, że całe pułki sipajów tylko czekają na pojawienie się kogokolwiek, kto choć trochę przypominałby Johnny'ego Sponsona... Cóż, może to kłamstwo było prawdzie najbliższe.

Dotarliśmy więc do Londynu i zostaliśmy zakwaterowani w koszarach Whitehall. Kłopoty wisiały w powietrzu jeszcze przed nadejściem wiosny. Wszyscy gadali o buncie. Słyszało się tego tyle, że pogłoski zaczęły krążyć nawet wśród oficerów - którzy w obawie o życie w większości nie odzywali się nigdy ani słowem po angielsku, czego zresztą wkrótce mieli pożałować. Restrykcje, regulaminy, wszystkie te pułkowe bzdury zostały dodatkowo zaostrzone - co samo w sobie wiele już znaczyło. W całym przeklętym mieście wprowadzono godzinę policyjną, ale Johnny i ja i tak wychodziliśmy za mury koszar. Działały wówczas w Londynie pewne bary - na Charing Cross - takie, w których mężczyźni i kobiety mogli ze sobą tańczyć i gdzie można było napić się czegoś mocniejszego. Tego rodzaju spelunki zakładano rzecz jasna nielegalnie. Ze ścian kapał pot, a podłogi wyglądały jeszcze gorzej. To jednak nie było ważne. Liczył się fakt, że mogliśmy tam chodzić - nabijać sobie głowy fajczanym dymem, wesołością i muzyką tak głośną, że aż dzwoniła w uszach.

A potem, kiedy alkohol, taniec i pewnie kilka dziewcząt, zmęczyły już wszystkich, Johnny, ja i reszta sipajów wracaliśmy chwiejnym krokiem przez zakazany, ciemny Londyn. Pamiętam, że ostatnim razem wyszliśmy w noc przed paradą z okazji miesiąca *muharram*, od której zaczął się bunt. Johnny tańczył wtedy jak nigdy. Przewracały się stoły, ławki nie stanowiły przeszkody - w jego oczach zagościła dzikość. Jakby wiedział. I zapewne wiedział. W końcu był Johnnym Sponsonem. Ręka w rękę przetoczyliśmy się przez *ghaty* nad Tamizą. A on nie przestawał mówić. Opowiadał o tym, jak przyjaźni i gościnni byli wobec Hindusów muzułmańscy Mogołowie, i o tym, jak Hindusi brali w zamian wszystko co mogli. Wspominał o klasie oficerów i klasie kupców, które świetnie się ze sobą porozumiały, co poskutkowało tym, że wszystkie pozostałe religie zaczęto traktować jak gówno. Na przykład, Żydów. Albo Romów. A nawet katolickich Portugalczyków, którzy przez kilka następnych stuleci mieli żałować, że pomogli Mogołom podbić Anglię. A także nas - protestanckich chrześcijan w Anglii - choć tutaj każdy wystarczająco bogaty bił pokłony ku Mekce lub wkupywał się do jednej z kast. Co więcej, Johnny zaprowadził mnie nad rzeką do miejsca tuż za miejskimi murami i pokazał to, co w przeszłości miało się stać nową, wielką katedrą - ponoć miała zostać nazwana imieniem Świętego Pawła. Na w pół ukończona ruina, mimo że konstrukcję rozpoczęto ponad dwieście lat temu, jeszcze zanim straciliśmy niepodległość.

Pamiętam, jak wyplątał się spod mojego ramienia i podszedł do muru, tym swoim afektowanym krokiem, jaki przychodził mu z wielką łatwością, gdy był pijany. Ten facet nawet sikał teatralnie! I nie przestawał mówić. O tym, że ten mur otacza to, co zwano Skarbnicą Angielską, gdzie zgromadzono na zatracenie większość tego, co należało do naszych królów - wszystko, co nie zostało przetopione bądź odesłane do Indii. Trony i szaty. Wielkie dzieła literatury. Szekspira, Chaucera - ludzi, których nazwisk już nikt teraz nie znał... Nikt tu nie przychodził, poza może kilkoma szalonymi naukowcami, czy artystami poszukującymi nieco staroangielskiej egzotyki, którą doprawiali swe posępne wiersze. Oni i przedstawicielki jeszcze innego fachu... Johnny wciąż sikał, opowiadając.

- Z tego, co wiem, w cieniu między półkami uwielbiają się pojawiać dziwki. Klienci nazywają je skarbeńkami... - Wreszcie się wyprostował, odwrócił i puścił do mnie oko. - Ponoć mają bardzo rozsądne ceny. Powinieneś kiedyś spróbować, Davey.

Poszliśmy dalej. Niemniej - co może wam potwierdzić dowolnie wskazany żołnierz - z koszar o wiele łatwiej jest się wymknąć, niż do nich wrócić. Johnny'ego i mnie wartownicy zauważyli dokładnie w chwili, w której przerzucaliśmy swe cielska przez mur. Dlatego właśnie dostaliśmy karną służbę podczas słynnej parady następnego dnia i może dlatego też wydarzyło się wszystko inne.

Dzień rozpoczął się pięknym, zimowym porankiem. Ludzie najwyraźniej zapominali, że trwa *muharram*, i pamiętam, że pomyślałem, że całe to nieznośne miasto jest prawie piękne. Zebrano nas, żołnierzy, o świcie nad Tamizą. Nawet ta zjełczała rzeka wyglądała jak pokryta aksamitem. Obsługiwała cały ruch statków Imperium. Holowniki o czerwonych żaglach, łodzie wiosłowe i barki. Pamiętam, jak pojawił się aeropil floty. Wielka kula silnika obracała się, a niebo migotało pokryte cienkimi jak pajęczyna linkami jego latawców. Przemknęło mi przez myśl, że może, pomimo wszystko, co usłyszałem od Johnny'ego, to Imperium, w którym spędziłem całe swoje życie, nie jest jednak takie złe.

Potem rozpoczęła się parada. Wiecie zapewne, że Hindusi lubują się w pompie i przepychu, zwłaszcza w dni świąteczne. A my, sipajowie pułku z Devonshire, byliśmy tam, by uczcić wielkie zwycięstwo, jakie ponoć odnieśliśmy nad dzikimi Szkotami. Wszystko jedno, dla nas była to tylko kolejna pieprzona parada. Po niedługim czasie niebo pociemniało i spadł deszcz ze śniegiem. Podejrzewam, że musiał to być jednak piękny widok. Zawsze jest. Słonie kroczyły pod górę Whitehall, z tymi wielkimi kołyszającymi się na ich grzbietach wieżami. Bajadery rzucały kwiaty, wokół było widać szeregi ociekających wodą parasoli i flag modlitewnych ludzi, którzy porzucili na ten jeden dzień swoje mordercze fabryki w Holborn, Clerkenwell i Chelsea. Lśniące kopuły balkonów Pałacu Rezydenta na Downing Street. I wielbłądy, i woły, i rumaki, i kobzy, i sitary.

Johnny i ja dostaliśmy po szufli z długą rękojeścią. Naszym zadaniem było jechać na wozie za słoniami, zbierać z ulicy ich gówno i wrzucać je na pakę. Jak już wspomniałem, była to kara, i muszę przyznać, że mieliśmy szczęście, że nie wymierzono nam gorszej. Tłum jednak uznał nas za niezwykle pocieszne widowisko - po prostu, kurwa, teatrzyk z kupletami. Ślizgaliśmy się i potykaliśmy w odchodach. Podejrzewam, że uraziło to godność Johnny'ego, który był na dodatek zmęczony i mocno skacowany. Możliwe, że była to właśnie ta jedna kropla poniżenia za dużo w pucharze życia przepełnionego upokorzeniem.

Wśród gapiów znalazł się gość, który uznał, że ja i Johnny, człapiący i przewracający się w łajnie w naszych najlepszych mundurach, jesteśmy wręcz prześmieszni. Był gorszy od pozostałych. Przeciskał się w ślad za nami, by nabijać się jak najdłużej. Ja ledwie go zauważyłem, ale Johnny w pewnej chwili ryknął i rzucił się ku niemu, wywijając swą pokrytą gównem łopatą niczym halabardą. Nie jestem pewien, czy miał zamiar kogokolwiek uderzyć, ale wściekły był na pewno. Ludzie zaczęli się cofać, uciekać, by zejść mu z drogi. To spłoszyło słonie i zaraz potem ujrzałem, jak fala chaosu rozprzestrzenia się wzdłuż całej parady.



Wkrótce rozległy się wystrzały. Było wyraźnie słychać, że to hinduskie karabiny powtarzalne, a nie powolne i stare muszkiety, które powierzano nam, sipajom. Świąteczny nastrój przysł bez reszty - było bardziej jak podczas bitwy, i jeżeli w ogóle na czymś się znaliśmy, to właśnie na tym. Rozszalałe, trąbiące panicznie zwierzęta potęgowały ogólny rozgardiasz. Pamiętam, że cała ściana pozłacanej świątyni runęła, kiedy wpadł na nią szczególnie potężny słoń. Z wnętrza wypadli wrzeszczący kapłani i prostytutki, a marznący, angielski deszcz ze śniegiem wciąż opadał na bruk. Kurwa, piękne to było. Londyn huczał i wrzał. Tego dnia poradziłem sobie całkiem gracko, mając do dyspozycji tylko szufłę i bagnet. Uwierzcie mi. Oczywiście doszło do rozlewu krwi, choć na o wiele mniejszą skalę, niż można się tego było spodziewać, a na pewno nie taką, jaką sugerują wam opowieści. Hindusi - tak zwane lojalne regimenty, oddziały wielbłądów z Hydreabad i cała reszta kawalerii - oddali kilka salw, po czym wycofali się za mury. Londyn wtedy nie spłonął, choć dostało się świątynnym małym i oczywiście tygrysom z Hyde Parku i wszystkiemu innemu, co nie wyglądało na dostatecznie angielskie. Jak mówię, plotki o zbliżającym się powstaniu krążyły już od jakiegoś czasu i większość Hindusów z wyższych kast, bogaci kupcy, rezydent z całym dworem, wszyscy oni opuścili miasto wiele dni wcześniej. Londyn wpadł w nasze ręce.

Byliśmy jak dzieci rozszalałe wskutek wielu lat zbyt rygorystycznego wychowania. Rabowano sklepy i magazyny, bungalowy w Chelsea i świątynie oraz pałace w Whitechapel. Wyglądało to jak najazd armii mrówek na kuchnię, tyle że zamiast ziarenek ryżu i owadów na ulicach pojawiły się tłumy niosące wielkie kredensy i kanapy. Dobytek wylewał się z niezliczonych drzwi, a my tańczyliśmy i się śmialiśmy. Większość naszych strzałów padała w powietrze. Sipaj, londyńczyk, mieszaniec czy Anglik - tego pierwszego dnia powstania nie miało to żadnego znaczenia. Staliśmy po tej samej stronie. Przez jakiś czas nie miałem pojęcia, co się dzieje z Johnnym - zatraciłem się wśród wiwatującej cizby. Odnalazłem go dopiero późnym popołudniem i bez zdziwienia zauważyłem, że ludzie wokół niego świętują głośniej niż gdzie indziej - wymachiwali karniszami, sierpami i tasakami, łomotali w skradzione ze świątyń bębny. Działo się to przed wielką świątynią Ganesza w Whitefriars, w której jak myślę wybito już kapłanów i skąd wyniesiono większość kosztowności. Wtedy Johnny wspiał się na wysoką wieżę i przemówił.

Nie będę was zanudzał całą jego mową. Albo i tak już ją znacie, albo was to nie interesuje, a poza tym, wciąż możecie dostać ulotki, te których nie zniszczyli cenzorzy, o ile oczywiście wiecie, do kogo się w tej sprawie uśmiechnąć. A mówił wprost...

Cóż, dla mnie Johnny zawsze był po prostu Johnnym. Opowiadał jak zawsze, tyle że tym razem miał znacznie większą widownię. Niektórzy w tłumie wiedzieli już, że to ten facet,

który jako pierwszy zamachnął się łopata, od czego rozpoczął się cały bunt, a nieświadomieni i tak uwierzyliby w tamtym momencie we wszystko. Tego dnia chcieliśmy wierzyć. Historie, które snuł, trzymając się kamiennych lotosów wyrzeźbionych na tej wieży - wciąż padał mokry śnieg i kamienie musiały być śliskie, a gdyby spadł na bruk, zabiłby się niechybnie - były typowymi opowieściami Johnny'ego Sponsona. Mówił o tym, że wbrew powierzchowności Londyn jest wspaniałym miastem, podobnie jak wspaniały jest cały nasz kraj. Kraj! Nie jakaś tam prowincja Imperium, tylko Anglia, Anglia sama w sobie i dla siebie! Wspomniał też imiona, które słyszałem wiele razy przedtem - imiona, jakie były na ustach innych sipajów i które wznosiło pod niebiosa całe miasto. Elżbieta! Artur! Król Henryk Któryś! Nie, nie - grzmiał - to nie powinna być świątynia Ganesza. Jeśli w ogóle musi tu stać miejsce kultu, to należy się Chrystusowi, gdyż Chrystus był Anglikiem, podobnie jak Anglikiem jest sam Bóg. A skoro Hindusi uważają nas za szczury, to powinniśmy przemianować ją na świątynię Karair Matr - bogini-szczurzy, a potem obleść ich wszystkich i wyrzeć im oczy...! Skoro Johnny już zaczął, nic nie mogło go powstrzymać. Wszyscy wiwatowali i nikt nie chciał, by zamilkł. Tego pierwszego, wspaniałego dnia Buntu Anglików Londyn był cudownym miejscem.

Ponownie spotkałem go, kiedy zapadła noc. Do tego czasu mieszkańcy rozpalili już wiele ognisk - w końcu było zimno i trzeba się było rozgrzać. Miasto rozbłyskiwało płomieniami niszczonego dobytku. Wyglądało to jak kufer, z którego ktoś wysypał drogocenne kamienie. Ci wszyscy, którzy zebrali się wokół Johnny'ego, zorganizowali się, jak to zwykle czynią ludzie wyczuwający źródło władzy. Już zaczął wydawać polecenia i już wykonywał je cały Londyn. Musiałem się nieźle napocić, by się do niego przebić, gdy siedział przy wielkim ognisku na miękko wyściełanej ławce rozbitego palankinu, otoczony przez wartowników. Poszło prawie na noże, ale Johnny wreszcie mnie zauważył i kazał przepuścić.

- Cóż, Davey - powiedział. - Coś się zaczęło dziać. Ruszyło się chyba Birnam Wood. Albo Hampstead Heath, podobno... - mówił swym zwykłym tonem i poznałem po oczach, że już dawno zdążył wytrzeźwieć.

- Co teraz będzie?

Uśmiechnął się do płomieni.

- To już zależy od nas, nieprawdaż? „Ci, którzy mogą krzywdzić, lecz krzywdy nie czynią... ci z woli niebios słuszną ich łaskę dziedziczą”<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> W. Szekspir. *Sonet 94*, tłum. Jerzy S. Sito (przyp. tłum.).

Mimo ciepła ogniska, poczułem, że robi mi się zimno. Przestał mi się już podobać cały ten chaos, rozlew krwi i zniszczenie, które, jak się obawiałem, miały nastąpić. Wydaje mi się, że w pewnym sensie, w tym buncie czy rewolcie ucierpieliśmy wszyscy - Hindusi, Anglicy, bez względu na stronę, po której staliśmy. Dziwiło mnie też, że my, sipaje, którzy w końcu znaleźliśmy się na wojaczce, nie dostrzegaliśmy, w jaki sposób musiało się to skończyć. Wydawało się nam, że po prostu przemaszerujemy przez całą Anglię i że kraj dostanie się nam równie łatwo jak Londyn tego pierwszego, cudownego dnia.

Przez jakiś czas zresztą wyglądało na to, że tak właśnie będzie. Z Chester dotarły do nas wieści o powstaniu, które wybuchło tam kilka dni wcześniej i podczas którego wymordowano całą nieangielską ludność, co tłumaczyło w pewien sposób niepewność oddziałów hinduskich w Londynie i łatwość z jaką się wycofały. Podobne wiadomości otrzymaliśmy też z Bath i Derby. Nie powiem, że mnie dobrze idzie czytanie map, ale Johnny przyglądał się im bezustannie, gdy jego zbuntowane pułki wyruszyły z Londynu, by pozamiatać to, co wydawało się resztkami hinduskiej obrony. Naprawdę przypominało to padające kostki domina lub rozsypujące się domki z kart, czy może jakąś niepowstrzymaną powódź - wszystkich tych wymyślnych porównań uwielbiał używać, kiedy wspinał się na wysoką wieżę świątyni Ganesza, z której raczył nas przemówieniami.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie mieliśmy planu. Byliśmy żołnierzami, byliśmy zdyscyplinowani - wiedzieliśmy, jak należy prowadzić walkę, i wiedzieliśmy, że cały ten kraj słusznie należy się nam. Oczywiście potrzebowaliśmy zaopatrzenia i oczywiście zabieraliśmy je cywilom, choć nie więcej niż każda inna armia. Co do tych pozostałych rzeczy, o jakich mogliście usłyszeć - cóż, wojska całego świata robią to równie często. Taki fach. Ale plotki o płonących stosach usypanych ze zgwałconych i zmasakrowanych zwłok to zwykle hinduskie gadanie. Ciała w żadnym razie nie płoną tak łatwo. A Johnny... on tego nie chciał i kiedy dochodziło do podobnych wypadków, wpadał w prawdziwy szal. I przez cały czas, w miarę jak angielska zima przeobrażała się w ciepłą *wiosnę*, czerwień Imperium na jego mapach przechodziła w angielską zieleń. Co rusz słyszeliśmy, że kolejne miasto przepędziło okupanta, lub jeszcze jeden batalion czy cały pułk przeszedł na słuszną, angielską stronę. Wówczas wydawało się jedynie kwestią czasu wpadnięcie całego kraju w nasze ręce. Niemal spodziewaliśmy się lada chwila dowiedzieć, że sam rezydent poddał się swoim Gwardzistom Zenana, którzy strzegli jego kobiet, dzięki czemu moglibyśmy odłożyć bagnety, muszkiety i garoty. A potem... Potem wszystko byłoby jak przedtem, tylko lepiej.

Jednakże marzenia Johnny'ego sięgały znacznie dalej, a my ich potrzebowaliśmy. Potrzebowaliśmy jego. To chyba dziwne, że cieszyliśmy się, bijąc czołobitne pokłony

*omrahowi* wysokiej kasty, jakim był Johnny Sponson, grabiąc jednocześnie posiadłości, w których rezydowali tacy jak on. Tak jednak po prostu było i ten fakt działał na korzyść Johnny'ego. Na swoją siedzibę wybrał stary pałac Świętego Jakuba, to prawda. Twierdził jednak, że to miejsce jest łatwe do obrony, gdyby doszło co do czego. Co prawda, nie zasiadał na tronie - był na to zbyt zajęty przechadzaniem się tam i siam oraz wydawaniem rozkazów - ale w wielkiej sali, w której urządził swą kwaterę, stał tron, a ściany i posadzki były usłane świetnymi dywanami i innymi pięknymi bibelotami, zrabowanymi z hinduskich pałaców całego Londynu. Za każdym razem, kiedy wdrapywał się na pozłacaną wieżę Wielkiej Świątyni Ganesza, wspinał się nieco wyżej, a jego stroje z dnia na dzień wyglądały bardziej pysznie. Rozpościerał ramiona i obejmował nimi tysiące tych, którzy czekali poniżej, a szata z czerwonego aksamitu, wysadzana klejnotami i przetykana złotymi nićmi, rozwiewała się wokół niego niesiona wiatrem.

Ja, owszem, byłem najlepszym przyjacielem Johnny'ego od najdawniejszych czasów, ale tak naprawdę nie zostałem wtedy nikim szczególnym. Nie miałem ochoty wydawać rozkazów - nasłuchiłem się ich dosyć od tego bydlaka, mojego ojca, a potem od tych pieprzonych podoficerów, pod którymi służyłem. Zresztą, do wydawania ich znalazło się wielu innych chętnych. W nowej Anglii, którą jak myśleliśmy, tworzymy, była to jedyna rzecz, jaka nie zmieniła się ani na jotę - jedni wciąż mówili drugim, co mają robić. Niemniej, Johnny dbał o mnie jak zawsze. Przekazywałem wiadomości. Słuchałem. Poprosił mnie, żebym był jego uszami i oczami.

Rozmawiałem z ludźmi. Z pułkami, które świeżo przybywały do stolicy, i z tymi, które powracały wykrwawione i wyczerpane z kampanii. Nie zasięgałem języka u tych, którzy stawali się kapitanami, majorami i generałami - przypinając sobie orderzy i dystynkcje osób, które torturowali i zabili - ale u takich jak ja, u zwykłych sipajów, przeciętnych żołnierzy, którzy wciąż jak dawniej byli zmuszeni do walki o życie. I mówili ze mną otwarcie. Nie mieli pojęcia, że czymś się od nich różnią.

Dzięki temu, co moglibyście nazwać wojskową intuicją, zacząłem pojmować, co się dzieje w całej Anglii. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że rozumiem wszystko o wiele lepiej od generałów Johnny'ego i że wiem więcej, niż oni widzieli na swych cennych mapach. Hindusi i lojalne wobec nich pułki wycofali się, to było pewne, ale przecież nie wyparowali. Ukryli się w większych miastach, które obiegliliśmy my, sipaje, nie mając jednak dość sił, by zaatakować. Przyczaili się w potężnych, nowych fortecach, takich jak Dover, oraz w dobrze ufortyfikowanych, niedawno rozbudowanych zamkach, na przykład, w Liverpoolu, Portsmouth czy Bristolu. W skrócie, zauważyłem, że te bydlęta, Hindusi, zapewnili sobie

kontrolę nad wszystkimi głównymi portami poza Londynem, z którego zrezygnowali, ponieważ jego mury były zbyt staroświeckie, by można je było utrzymać. Zachowali również potęgę swej floty, zarówno kupieckiej, jak i wojennej, której załogi - marynarze zawsze byli ignoranckimi gnojkami - pozostali lojalni wobec okupanta. Według mnie, sprawy miały się tak, że Hindusi przewidzieli rozwój buntu o wiele lepiej niż my, sipaje. Dochodziły mnie nawet słuchy o okrętach i posiłkach z Portugalii, i to wcześniej, niż inni w te opowieści uwierzyli.

Z początku Johnny słuchał tego, co mam mu do powiedzenia, ale potem - w końcu nie przestał być sobą - przykładał do moich słów coraz mniejszą i mniejszą wagę. Johnny Sponson, lord całej Anglii, po prostu śmiał się i tańczył na zrabowanych dywanach i wokół stert pozłacanych mebli zalegających jego wspianiałe, rozbrzmiewające echem komnaty. Robił to, w czym zawsze był dobry, a wszyscy jego nowi przyjaciele, nowi dowódcy - także nowe kochanki - potakiwali, bili brawo i śmiali się i tańczyli wraz z nim. Kobiety, rzecz jasna, szalały za Johnnym. Uwielbiały go za swobodę, z jaką poruszało się jego ciało, za to, kim był, i za to, co mógł dla nich zrobić. I jeśli nawet jego spojrzenie, sposób, w jaki się uśmiechał, nie przypominały już Johnny'ego, jakiego pamiętałem, kto poza mną mógł to, do diabła, zauważyć? I kto by się tym przejął?

Wiosna przeszła w lato i Hindusi dysponujący świeżym zaopatrzeniem i posiłkami wyszli ze swych fortec. Pokonali nas pod Bewdley i pod Oksfordem. Przekroczyli rzeki Severn i Tamizę. Nadsięgnęły upały i zaczęliśmy cierpieć niedostatek pożywienia, ponieważ większość farm wokół Londynu, z których czerpaliśmy my, zbuntowani sipaje, porzucono i nie było komu zebrać plonów. Hindusi dysponowali samopowtarzalnymi karabinami, jakich nam nigdy nie wydano. Mieli też porządną artylerię, w przeciwieństwie do naszych antyków, nadających się przede wszystkim na wiwat. Dostali świeże słonie i opancerzone aeropile, którymi orali pokonane rzeki, mieli też beczki pełne straszliwego ognia greckiego. Ich zwycięstwa były nie tyle militarnymi wiktoriaми, ile pogromami - zorganizowanym zniszczeniem. Zemsta, jakiej dopuszczali się na pojmanych sipajach, była okropna. Przywiązywali jeńców do luf dział i strzelali, rozdzierając nas na kawałki. Zdawali sobie sprawę, że chrześcijanom w obawie o los duszy - zależy na właściwym pochówku ciał. Nabijali nas na haki. Piekli nas na rozżarzonych węglach. Karmili nami - poparzonymi, lecz wciąż żywymi - kruki.

Pod koniec sierpnia okrążyli Londyn, a wielka armia sipajów, jaką zgromadził wokół siebie lord Johnny, zebrała się za jego wątłymi murami. Temperatura nie zmalała, było tłoczno. Kanalizacja poszła w rozsypkę. Rzeka cuchnęła. Studnie wybijały. Mimo to,

mieliśmy jeszcze nadzieję. Wciąż tańczono. Odrąbane głowy nowo schwytanych kolaborantów i Hindusów regularnie obnoszono po ulicach, podczas gdy mogolscy generałowie czekali tuż pod miastem.

Pamiętam, że pewnego ranka błądziłem po tym dziwnym miejscu, jakim stał się wówczas Londyn. Świątynie opustoszały, budynki i mosty leżały w gruzach. Nie spotykało się już *sadhu* ani żebraków. A może wszyscy się nimi staliśmy? Trudno powiedzieć. Dymy wisiały nisko nad domami. Przesłaniały słońce. Zaciemniały niebo. Bruk w tym niecodziennym półmroku tracił kształty. Przeciskałem się przez dźwięki muzyki. Deptałem podszwami strzaskane mosiężne skorupy skradzionych z wystaw zegarków. Kiedy pochylałem się, by obejrzeć je lepiej, dostrzegłem blask złocień. Podniosłem jeden. Przypomniał mi się dzień, kiedy szedłem - wydawało się, że nie tak dawno temu - ramię w ramię z Johnnym w drodze powrotnej z pobliskiego baru w Charing Cross. Teraz jednak nie było już piwa. W zasadzie ciężko było nawet o wodę. Ale ujrzałem przed sobą pokrytą grubą warstwą świeżych sloganów ścianę Skarbnicy Angielskiej, tę samą, na którą sikał Johnny.

Kątem oka pochwyciłem jakiś ruch. W mieście nie było już bezpiecznie - moja ręka automatycznie sięgnęła po bagnet - ale chwilę potem zobaczyłem kobietę, niewysoką i chyba młodą, odzianą w obsypane brokatem czerwone sari. Skinęła na mnie. Mimo że nie miałem pojęcia, czego chce, posłuchałem.

Wejście do Skarbnicy musiało w dawnych czasach wyglądać wspaniale. Brudne posągi, które jak sądzę, miały kiedyś uosabiać Sztukę czy Miłość, chyliły się pod zniszczałą bramą. Tego dnia mroczno było nawet na zewnątrz, a w środku panowała niemal zupełna ciemność. Była to tego rodzaju ciemność, jaka zbiera się pośród cieni i wilgoci nieodmiennie towarzyszących przedmiotom skazanym na zapomnienie i gnicie. Dymiło kilka świec z baraniego tłuszczu i zobaczyłem dokładnie to, co kiedyś opisał mi Johnny - stare rupiecie, dawniej majestatyczne i piękne, lecz teraz zniszczone do tego stopnia, że nie zwróciły na nie uwagi nawet rozszalałe tłumy. Nasiąknięte deszczem ceremonialne powozy. Obite zieloną, zgrubiałą tapicerką łoża, napuchnięte jak trupy topielców, które widuje się nad rzeką. Wszędzie walały się książki. Nie tylko na półkach, ale też w stosach na podłodze, rozkładały bezradnie stronicę wśród kałuż. Było bardzo wilgotno, nawet w środku lata. Cuchnęło szczykami. Skarbnica Angielska nie poddałaby się płomieniom, nawet gdyby spłonął cały Londyn.

Kobieta w błyszczącym, niegdyś pięknym sari nadal kroczyła przede mną. Co rusz kiwała ręką i mówiła coś łamiącym się głosem - jej słowa nie miały sensu, lecz brzmiały dziwnie znajomo. Mówiła o okrawkach czasu i miłości niepoddającej się rozsądkowi - choć

ładne, były to same bzdury, książkowe nonsensy, jakie znałem aż za dobrze. Wtedy dotarło do mnie, kim ona jest, a gdy weszliśmy na dziedziniec wypełniony zniszczonymi, martwymi pozostałościami mebli i pordzewiałymi zbrojami, ujrzałem wiele takich jak ona. Przypominały wrony - tak samo sejmikujące i rozkrakane. „Skarbeńki”, tak nazwał je Johnny. Pomyślałem, że to dziwne i samotne miejsce do zamieszkania - niemniej, poddałem się tej kobiecie, mimo że cuchnęła tak samo kwaśno jak całe miasto.

Gmerała wronimi palcami w moich portkach. A ja patrzyłem na butwiejące grzbiety książek i pokryte grzybem regały za jej plecami. Zauważyłem nawet te same nazwiska, którymi posługiwał się Johnny. Szeks-coś tam. I Chancer - Chaucer? Donne - Dun, Donny, czy tak się to pisze? I jeszcze dzieła kogoś, kto nazywał się Marlowe. Zebrano tutaj te wszystkie dawne brednie Johnny'ego. Tak mi się przynajmniej wydawało. A jeszcze dalej, oparty o omszałą ścianę, porośnięty zeschniętym bluszczem, stał wielki i stary łuszczący się obraz, przedstawiający jakąś dawną angielską posiadłość.

Od razu było widać, że ona już nie istnieje. Od razu było widać, że przedstawia Anglię, która została splądrowana i zniszczona wiele lat temu. Odepchnąłem kobietę i rzuciłem przed siebie te okrawki złota, które zebrałem przed splądrowanym sklepem, by nie szła za mną - oczywiście, jak wszystko w tym mieście, i to okazało się to bezowocne. Krzyczała, że ma syna, ładnego chłopca, także na sprzedaż.

Kiedy przebywałem w Skarbnicy, Londynem wstrząsnął dreszcz. Ulice nagle zaroily się od ludzi. Rąbali to, co jeszcze dotąd nie zostało zniszczone. Śpiewali, zawodzili i darli na sobie ubrania. Strzelano w powietrze - marnotrawstwo cennej amunicji. Przestraszyłem się, że Hindusi już przedostali się za mury. Ale ja wiem, jak kończą się oblężenia, a wtedy na ulicach czuło się coś innego, chociaż hałas i zamieszanie były tak potężne, że zrozumiałem to dopiero po dłuższym czasie. Nawet i wtedy nie uwierzyłem. Johnny Sponson, lord protektor Anglii, wybrał się tego poranka na przechadzkę, by podtrzymać morale, dotykać chorych i rannych wołających o pomoc, po to, by pokazać swe oblicze uwielbiającym go tłumom. Jestem pewien, że uznał, iż jest dobrze chroniony, ale Hindusi musieli rozmieścić strzelców wyborowych na tyle przemyślnie, by któryś zdołał go wyłowić. W końcu, ubrany tak jak zwykł się teraz stroić, był dla nich łatwym celem. Chwytałem ludzi za ręce i wrzeszczałem im prosto w twarz. Czy przeżył? Czy zginął? Nikt nie miał pewności.

Brnąłem naprzód ku pałacowi Świętego Jakuba. Gdybym choć spróbował ruszyć w jakąkolwiek inną stronę, z pewnością zostałbym stratowany. Nigdy czegoś takiego nie widziałem - nie słyszałem nawet takich dźwięków. I właśnie wtedy - choć wydawało się to niemożliwe - usłyszałem własne nazwisko wykrzykiwane przez wartowników strzegących

pałacowych bram. Poczułem na sobie ludzkie ręce i uniesiono mnie. Tak! To on! Tak! To jest szeregowiec sipajów Davey Whittings. Nie, nie! Cofnijcie się! Do tyłu, pieprzeni idioci! To on! Bałem się o swe życie, mimo że już dawno temu zawarłem ze śmiercią porozumienie. Tak czy inaczej, ponieśli mnie ponad tłumem, przez bramę pałacu, niosły mnie zdobne ramiona gwardzistów Johnny'ego Sponsona, a potem poprowadzono mnie między zniszczonymi, złotymi meblami, które nie tak bardzo różniły się od tych, jakie oglądałem w Angielskiej Skarbnicy. Jeszcze jedne drzwi zatrzasnęły się za mną i stanąłem sam w wielkiej komnacie tronowej Johnny'ego. Sala wydawała się nazbyt przestronna i dziwnie nieruchoma, opuszczona przez stałych bywalców, tak zwanych generałów i roześmianych głupców. Na środku zauważyłem coś wielkiego - wysoką rzecz z czerwonymi zasłonami, z rzeźbionymi w kwiaty lotosu kolumnkami, tak potężną, że mogłaby stać się oddzielnym pokojem. Zjrzałem do środka i ujrzałem Johnny'ego. Zrozumiałem, że stoję przed potężnym łóżem. Pół leżał, pół siedział, oparty o poduchy. Uśmiechał się - prawie chichotał - miał na sobie płaszcz, wysadzany drogocennymi kamieniami turban i wiele oficjalnych łańcuchów. Prawe ramię było zawieszona na temblaku. Dopiero po chwili ogarnąłem całe to widowisko.

- Zatem nie zginąłeś?

- A tak mówią?

- Nikt nie wie na pewno.

- I płaczą? Wykrzykują moje imię?

- A czego się spodziewałeś?

Zachichotał.

- Chwała - mruknął - jest jak krąg na lustrze wody, który nigdy nie przestaje się rozszerzać, aż wreszcie staje się niczym. Myślisz, że to prawda, Davey?

- Wiesz, że takie pieprzenie do mnie nie przemawia. Nigdy tego nie rozumiałem.

- Naprawdę? - Wydawał się niemal boleśnie zaskoczony. - Może i nie.

- Dlaczego mnie szukałeś, Johnny? Po kiego mnie tu sprowadziłeś?

Z jednej strony - zastanawiałem się - było możliwe, że on naprawdę umierał i chciał zobaczyć starego kumpla, Daveya Whittingsa, po raz ostatni. Z drugiej jednak, nie wyglądał tak źle, a ponadto wielu innych było bliżej niego - przydupasy, kobiety odziane jak księżniczki i zachowujące się jak kurwy, mężczyźni cuchnący jak rzeźnicy, noszący na bogatych strojach smród śmierci. Moi dawni koledzy, niektórzy z nich, choć trudni teraz do rozpoznania. Ja jednak byłem dawnym Daveyem Whittingsem, tak jest, starszym szeregowym sipajów. Wiedziałem, że cały Londyn wypłakuje jego imię, ale zacząłem podejrzewać że Johnny Sponson chce mnie widzieć po prostu po to, by sobie uświadomić jak daleko zaszedł.



Oczywiście nie odpowiedział na moje pytanie wprost. Nigdy tego nie umiał. Zachichotał tylko raz jeszcze, jak to miał w zwyczaju. Uśmiechnął się swoim słynnym uśmiechem Johnny'ego. A potem zaczął mówić o tym, że Anglia bardzo kogoś potrzebuje. Niekoniecznie Johnny'ego Sponsona, tyle że on okazał się tym, który tę potrzebę najlepiej zrozumiał i umiał ją zaspokoić. Powiedział, że sam jest niczym angielska ziemia, ta monarsza wyspa, ten majestatyczny tron... wszystkie zwykłe bzdury. Tak naprawdę wyglądało to tak, jakby rozmawiał ze mną na łożu śmierci, choć przecież żadną miarą nie umierał. Albo, co bardziej prawdopodobne, robił to samo co wtedy, gdy siedział przy moim szpitalnym łóżku, kiedy ćwiczył to, co zamierzał powiedzieć potem, o wiele większej widowni ze szczytu wieży Wielkiej Świątyni Ganesza. A skoro był ranny, zachowywał się, jakby przybito go do drewnianego krzyża.

Wyobraziłem sobie jego słowa rozbrzmiewające dźwięcznie wśród pełnego uwielbienia tłumu. I stało się jasne, że teraz, kiedy oszukał samą śmierć, pokochają go jeszcze bardziej. I miał też rację, mówiąc, że dodawał im ducha walki. Że potrzebowali go tak samo, jak on potrzebował ich. Bez niego stanowili jedynie zbieraninę rabusiów i łotrzyków - żołnierzy bez rozkazów. A on bez nich... stawał się zwykłym, starym Johnnym Sponsonem. Facetem, który uratował mi życie. Mężczyzną, którego niegdyś pokochałem.

Ten nowy Johnny Sponson wydawał się jednak zadowolony, podekscytowany draśnięciem kuli wyborowego Strzelca. Przepelniała go świeża dzikość, dziwna nadzieja i niezwykle nowe teorie, które dodał do dawniejszych. Na przykład, ta, w myśl której Hindusi rozbudowali swoje Imperium do obecnych rozmiarów, ponieważ po prostu chcieli przetrwać te kilka strasznych lat i lodowatych zim ponad dwieście lat temu. Twierdził, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby coś nie spadło z nieba i nie pokryło naszego świata cieniem. Jak zwykle mówił bez przerwy. Nie zmieniło się nic. W głębi duszy był coraz bardziej tym, kim był już wcześniej.

Mimo że Londyn oblegała o wiele większa i lepiej wyposażona armia, Johnny był przekonany, że to nie jest koniec Buntu Anglików. Mówił o Szkotach, którzy skorzystali z dogodnego momentu, przeszli przez Mur Hadriana i maszerują na południe, i o Holandczykach z Niskich Krajów, którzy wkrótce przełamią blokadę i wpłyną na Tamizę z nowymi statkami i zaopatrzeniem. Zaczął mnie nawet przekonywać. Czuję, że to się może wydarzyć - widziałem, jak na jego ukochanych mapach barwy zmieniają się na powrót w angielską zieleń. Zdawałem sobie też sprawę, że inni uwierzą mu jeszcze bardziej niż ja. Różnica jednak polegała na tym, że nienawidziłem samej myśli o każdej kolejnej bitwie, nawet gdyby miała okazać się zwycięską. Nie rozumiałem też, dlaczego miałbym nagle

podjąć walkę po tej samej stronie, co ci przekłęci Szkoci, którzy mnie niemal zabili. Jedynym, co mogło się stać, gdyby sipaje przerwali oblężenie i nadciągnęli Holandczycy, i gdyby Szkoci przyszli nam na pomoc, było dalsze zniszczenie i kolejne zmarnowane żniwa. A przede wszystkim, więcej śmierci. Zabijanie było jedyną rzeczą, w której my, sipaje, byliśmy dobrzy. Zawsze, gdy ktoś próbował zmusić nas do robienia czegoś innego, pieprzyliśmy to koncertowo.

Rozejrzałem się po tej wielkiej i pustej sali tronowej. Johnny wciąż rozprawiał o obowiązku i o flagach, i o potrzebie lojalności, obrony tego, co naprawdę ważne, i konieczności walki za własny naród, posłuszeństwa rozkazom i dokonywania słusznych wyborów, nawet jeśli oznaczają śmierć. Może rana jego ramienia była bardziej poważna niż myślałem, a może przyjął jakiś środek na złagodzenie bólu, a może po prostu był już nieco pijany, ale zaczął bełkotać - ja już to wszystko od niego słyszałem. Słyszałem to także na koszarowych placach, z ust oficerów i jeszcze wcześniej, gdy byłem dzieckiem, w tej norze, którą nazywaliśmy domem.

Sięgnąłem ręką do kieszeni i zacisnąłem dłoń na drucianej pętli, którą jako dobry żołnierz przez cały czas ze sobą nosiłem. Wyjąłem ją i rozwinąłem, a Johnny wciąż mówił. Wydaje mi się, że dopiero po chwili zrozumiał, co zamierzam zrobić. A nawet wtedy nie wyglądał na zaskoczonego. W końcu po części nadal pozostał tym, kim byłem ja, wciąż był sipajem. Wiedział, że śmierć zawsze czyha tuż za rogiem, zwłaszcza gdy nabiera się przekonania, że już się jej wymknie.

- Dlaczego...?

Walczył, ale był ranny - obciążony opatrunkiem i swym nedorzecznym strojem - a ja poruszałem się szybko i miałem już naprawdę dość tej jego gadaniny. Niemniej, nie jest to łatwa ani szybka śmierć. Żeby posługiwać się garotą, trzeba mieć mocne ręce i silną wolę. Jego wiotczące ramiona były mnie po bokach. Nogi mu drgały spazmatycznie. Twarz poczerwieniała, a potem stała się fioletowa. Wywalił język. Z jego ciała pociekły szczyny i krew. Wywrócił oczy. Ale ja nie puściłem. Byłem żołnierzem, sipajem. Zabijanie stanowiło mój zawód. Jednakże, prawdę powiedziawszy, to nie myśl o nowych bitwach, do których chciał nas, sipajów, pchnąć, sprawiła, że wciąż zaciskałem ten drut. Nawet nie te wszystkie martwe ciała, szlochające kobiety, zasnuć dymem niebo i zniszczone miasta, które przyniosłby nowy rok wojny. Ten drań brzmiał po prostu jak mój podpity ojciec. Zatem nie zrobiłem tego dla sławy ani po to, by kogokolwiek uratować, ocalić Londyn bądź zachować Imperium. Zabiłem Johnny'ego Sponsona, ponieważ chciałem, żeby skurwieli się wreszcie zamknąć.

Ktoś widocznie uznał, że już zbyt długo przebywam ze swoim rzekomo najlepszym kumplem w sali tronowej. Może, znając go dobrze, stwierdzili też, że zrobiło się trochę za cicho. W każdym razie wpadli do nas wrzeszczący strażnicy i natychmiast zobaczyli, co zrobiłem. Wieść rozeszła się niewyobrażalnie szybko - pomknęła za pałacową bramę, przez całą Londyn, za mury i do oczekujących hinduskich żołnierzy z ich artylerią i powtarzalnymi karabinami. Johnny Sponson, lord czegoś tam, nasz książę i nasz król - starszy szeregowy sipajów, genialny łgarz, wspaniały tancerz i sekretny syn kurwy ze Skarbnicy Angielskiej - nie żył. Ból i chaos były niewiarygodne. Tej nocy spłonął Londyn. Zmienił się w ruinę, jeszcze zanim następnego ranka do miasta wkroczyły hinduskie wojska. Tak mi przynajmniej powiedziano. Spodziewałem się, że gwardziści Johnny'ego mnie po prostu zabiją. Nie wziąłem jednak pod uwagę faktu, że byli takimi samymi sipajami jak ja i wiedzieli, że śmierć nie jest mi straszna - że przypomina mi twarz osoby, którą przestałem już starać się pokochać. Wiedzieli też, że ich własne szanse na przeżycie i na powodzenie całego tego Buntu Anglików zniknęły wraz ze śmiercią Johnny'ego Sponsona. Widzieli też zapewne ciała swoich pojmanych towarzyszy lub - jeśli Hindusi zdążyli się zabawić - to co z nich zostało.

Sami rozumiecie, co sipaje Johnny'ego mi zrobili. Mieli na to całą noc, dopóki Hindusi nie przeszli przez mury. A pracowali ciężko. Potem mnie tam zostawili, zniszczonego, w sali tronowej, leżącego obok ciała człowieka, którego zabiłem, a płomień lizały dywany, gobeliny i ściany. Możliwe, że chcieli, bym stał się znakiem, sygnałem, choć wątpię, by wyobrażali sobie, że przetrwam tak długo, jak przetrwałem.

Jak już zapewne jakiś czas temu zauważyliście, zostawili mi usta i język, już po tym, jak obcięli mi nogi i wyłamali rękę. Żałuję tylko swojego wzroku, bo chciałbym zobaczyć, jak wygląda to świeżo odbudowane miasto na zimnej, północnej rubieży wielkiego Imperium. Chcę wierzyć, że jest tak piękne jak niekiedy, w przyływie nadziei, światła czy ciemności, wyobrażałem je sobie w przeszłości. Nie słyszę też ciebie, dobry panie, sahibie, brahminie, begumie, fakirze, lordzie, damo, ale nie proszę o słowa ani jałmużnę. Dotknijcie tylko mej piersi, o tu, gdzie rozsmarowałem garść białego popiołu. Dajcie mi znak, że to prawda, że miasto zostało pięknie odbudowane - że naprawdę oparto mnie o marmurowe stopnie pysznej, nowej świątyni, pełnej blasku, mozaik, oddechu Chrystusa, Mahometa i Brahmy - że na niebie roi się od flag, latawców, wież, minaretów, nawoływań mułłów i dźwięków dzwonów. Dotknijcie mnie tutaj, gdzie ciało nie jest tak popalone. Wtedy będę wiedział. Wtedy zrozumieć. I proszę się nie przejmować popiołem, panie, sahibie, nawet jeśli masz czyste ręce, a strój elegancki. To się łatwo spierze.

# ZWIĘCZENIE

Ojciec Thomas z trudem przełknął ślinę, mocniej ścisnął rozkołysaną, sznurową balustradę, po czym zmusił się do otwarcia oczu i podniósł wzrok na wieżę. Było tak źle, jak się obawiał. A nawet gorzej. Nigdy w życiu nie czuł tak dojmującego strachu. Był pewien, że stąd, ze skraju dachu kościoła, mimo że prawie nie był w stanie spojrzeć w dół, widzi cały świat. Samo miasteczko wydawało się maciupkie. Ziemia była niewiarygodnie daleko. Dlaczego biskup - sam bezpieczny wraz z resztą dygnitarzy na dziedzińcu - akurat jemu przeznaczył przywilej poświęcenia wieńczącego wieżę kamienia? Przecież koledzy ojca Thomasa od dawna żartowali z tego, że w seminarium nie był nawet w stanie wspiąć się na drzewo, by zerwać jabłko, i że nikomu nie udało się go przekonać, by spał na górnej pryczy piętrowego łóżka. A teraz kazano mu wejść tak wysoko - a potem jeszcze wyżej - zupełnie samemu.

Wczoraj poszedł późnym popołudniem do kościoła szukać wsparcia. Okolice wielkiej budowli bardzo się zmieniły. Warsztaty, kuźnie i kuchnie polowe zostały już porzucone. Pamiętał jeszcze, jak w dzieciństwie bardzo fascynował go ten cały gwar i ruch. Płomienie, przekleństwa, trzeszczenie wyciągów, niekończący się grzechot kamieni. Podejrzywał, że to po części dlatego, że nie mógł zostać murarzem, postanowił podjąć karierę duchownego.

Gdy wszedł do środka skrzypiącymi, wewnętrznymi drzwiami, zastał kościół pusty i chłodny. Na niektórych znajdujących się niżej fragmentach tynków i fresków, położonych i namalowanych ponad pięćdziesiąt lat temu, zagościły już wilgoć i pleśń. Co prawda, świątynia miała zostać ukończona już jutro, lecz wszyscy rozumieli, że praca nie może się skończyć, o ile rzeczywiście chcieli opanować drzemiacą pod nią moc. W bocznych kapliczkach płonęło kilka ofiarnych świec. Ojciec Thomas spojrzął w górę na wysoki, niknący w mroku dach, powtórzył sobie, że wspaniała budowla jest niezwykle mocna, po czym skłonił się, przeżegnał i ukląkł przed piękną, złotą barierką ołtarza.

- Pomóż mi, Panie, w tym dniu największego lęku...

Buchnął blask, całe przestronne atrium nagle zaroilo się wirującymi łabędzimi szybkami światła. Thomas umilkł i się rozejrzył. To chyba nie z jego powodu? Manifestacje obecności pogańskich sił, zwłaszcza tak silne jak ta, były na szczęście rzadkie. Poświata skryła wyobrażone na witrażach dzieje apostołskie pod zasłoną niewyraźnych cieni. Przygasila rzeźbionych świętych i gargulce. Zmniejszyła ołtarz do rozmiarów jaskini z połyskliwego kamienia.

Przez moment miał wrażenie, że w widmowym blasku rozpuści się cały kościół. Kolumny centralnej nawy stały się drzewami w lesie. Ich sklezione konary kołysały się pośród gwiazd nieba na suficie. W jego uszach rozszalał się chaos dźwięków, po części szum wiatru, po części śpiew ptaków i jakieś dolatujące z oddali, przypominające wycie wilków, zawodzenie. Krzyknął, w połowie z przestachu, w połowie z podziwu dla tego, co powinno wzbudzać w nim odrazę. Ci dawni bogowie odeszli - o ile w ogóle kiedykolwiek byli bogami. Ich potęga została ujarzmiona. To, co teraz wznosiło się na tej ziemi, było o wiele bardziej rzeczywiste. Prawdziwa, dosłowna opoka, na której można było budować lepszą i istotną wiarę. Po chwili wszystko się uspokoiło i wraz z nieziemską poświatą wyciekły z kościoła ostatnie promienie wpadającego przez wielkie okna dziennego światła. Zgasło kilka ostatnich świec, pochwyconych przez gasnący oddech emanacji. Ojciec Thomas znów klęczał samotnie w mrocznej ciszy niemal ukończonej świątyni. Miał nadzieję na ułaskawienie - na przybycie posłańca od biskupa, który poinformowałby go, że plany jutrzejszej ceremonii zwieńczenia wieży uległy zmianie i na górę wejdzie ktoś inny. Wszystko jednak było ustalone, biskupia siedziba zamknięta, a czas cudów już dawno się skończył.

Gdy zaczynał swą wspinaczkę, na twardej i pewnej ziemi, nie czuł prawie żadnego powiewu, tutaj jednak, na górze, wiatr szarpał jego sutannę strasznymi, rozdokazywanymi palcami. Cienka, drewniana struktura rusztowania kołysała się i gwizdała, gdy przelewały się wokół niej mocniejsze podmuchy. Stopa za stopą przeszedł po ostatnim pomoście na dachu i stanął przed drabinami, związanymi ze sobą linami i opartymi z upiorną beztraską o stromą ścianę wieży. Rozejrzył się. Czując zawroty głowy, przyjrzał się niebu i ziemi, tym wszystkim maleńkim figurkom poniżej, ich zadartym obliczom wielkości główek od szpilki. Wirowało mu przed oczyma. Trzęsły mu się dłonie. Dygotały kolana. Gdy chwycił pierwszą z drabin, zadrżała niczym żywe stworzenie. Nienawidził własnych członków za to, że się poruszają. Nienawidził drabin. Nienawidził poświstującego wiatru. Nienawidził wagi ostatniego, wieńczącego iglicę kamienia, który niósł w sznurowej uprząży na plecach. Spojrzał wyżej, na platformę otaczającą szczyt wieży. Zbito ją z dwóch cienkich desek. Tam na górze nie było

żadnej poręczy. Nawet jednej liny. Roześmiał się. Wizja wspinaczki po tych drabinach tylko po to, by stanąć tam bez oparcia, wydała mu się niedorzecznie śmieszna. O wiele bardziej wolałby spędzić resztę życia tutaj, w połowie wysokości świątyni. Przypomniawszy sobie lekcje w seminarium. Pamiętał obrzydliwe opowieści z pogańskich czasów. Historie o tym, jak owo bezkształtne coś, co czcili mieszkańcy tych północnych ziem, powstało i rozniosło się w powietrzu, dzikie jak śnieg z zimowego snu. Zupełnie nie nadawało się - ojciec Thomas zgadzał się co do tego z wykładowcami - na fundament prawdziwej, rozsądnej i solidnej wiary. Kilka głupawych mitów i parę porośniętych mchem kamieni ustawionych w nierówne kręgi nie było w stanie tego odpowiednio zamknąć i ujarzmić. Po to właśnie rozpoczęła się budowa kościołów, nie tylko tutaj, ale na wszystkich chrześcijańskich ziemiach. I dlatego wciąż trwała, kamień za kamieniem. Niemniej, nawet w tych nowych czasach, tak samo jak zeszłej nocy, gdy klęczał przed ołtarzem, dawne wizje niekiedy wyciekały. Pewnej nocy, za młodu, Thomas wyrzwał przez okiennice ze swego słomianego łóżeczka i ujrzał światłość bijącą ku górze, ku niebu, niczym płomień olbrzymiej świecy, i niemal zrozumiał nieopanowany podziw, jaki jego przodkowie musieli czuć w tym świętym miejscu, zanim przejął je Kościół. Wówczas jeszcze było pewne, że Thomas zostanie murarzem. Nie oczekiwał od życia niczego więcej niż to, by móc przelewać tę wizję w kształty twardego, godnego zaufania kamienia. Potem przegrał ze swym głupim lękiem wysokości - wtedy gdy ojciec łagodnie namawiał go, by wszedł po kilku drabinach na górę i obejrzał z bliska nadproże, z którego rzeźbięń rodziciel był szczególnie dumny.

Ale, jak to wyjaśnił biskup, kiedy Thomas wyznał mu, że nieodmiennie boi się wdrapać nawet na stołek w seminarystycznej bibliotece, by sięgnąć po księgę z górnej półki, strach jest sam w sobie znakiem od jedyne prawdziwego Boga, znakiem i jednocześnie zachętą do przezwyciężenia go.

Zaciskając zęby, by nie słyszeć ich szcękania, zmuszał się, by wspinać się wyżej i wyżej. Wiatr gryzł coraz mocniej i coraz bardziej lodowatymi kłami. Wchodził na ostatnią z połączonych drabin, wygramolił się na maleńki, odsłonięty pomost, chwiało się przez jedną straszliwą chwilę i chwycił wdzięcznymi rękoma czubek iglicy kościoła. Wiatrowskaz nad nim obracał się i migotał odbijając promienie słońca. Jedno ramię i bok przycisnął do gontów wieży, drugą rękę wsunął do sutanny, szukając pajdy wapiennej zaprawy, którą wniósł tu ze sobą. Poczul, jak gęsta substancja ścieka mu po palcach i spada kroplami na dół. Mimo wszystko udało mu się wyciągnąć dłoń dostatecznie wysoko, by po omacku nałożyć ją na półkolisty kamień nad głową.

Wykonał już prawie połowę zadania. Wciąż tuląc się do iglicy, zdołał w jakiś niezrozumiały sposób zdjąć sznury z ramienia, wyplątać z nich kamień, opuścić i przenieść przed siebie. Przytulił go do rozkołatanego serca. Wiatr huczał. Cienkie deski trzeszczały. Co dziwne, teraz bał się nieco mniej. Pamiętał rozczarowanie ojca i to, jak wyśmiewali go koledzy - Thomas bał się nawet stanąć na pniu ściętego drzewa, gdy bawili się w „króla na zamku”. Teraz spojrzą na niego inaczej. Z tej odległości nie zobaczą jego trzęsących się kolan, drżących rąk, nie zauważą bladości oblicza, z jaką umieszczał na miejscu kamienne zwieńczenie. Strach, co prawda nieklamany, nie wypełniał go już całego. Czuł wsparcie czegoś silniejszego i zarazem bardziej kruchego niż platforma, na której stał, niż sama iglica; uznał, że to wiara. Oto dotarł aż tutaj, tak wysoko, skąd widać cały świat. Po dzisiejszym dniu zostanie bohaterem - a przynajmniej ludzie nie będą go już uważać za durnia. Może nawet biskup przestanie go łajać za nieudacznictwo. Gdy wciskał kamień w zaprawę, zranił sobie palec. Rozległ się nikły chrobot, jakby zamknęły się jakieś drzwi prowadzące znikąd donikąd. Coś zamknęło się również w ojcu Thomasie. Poczł zmianę. Gdy znów objął drżącymi ramionami wieżę, ona także wydała się inna. Bardziej solidna, lecz przygaszona. Uleciało z niej życie.

Z daleka, z dołu, doleciały go przytłumione wiwaty, łoskot bębnów i dźwięk trąbek oczekującego tłumu. Budowa kościoła dobiegła końca. To on go ukończył. Spojrzał niepewnie ku górze, na obracający się wiatrowskaz, a potem w dół, ku ogromnemu dachowi, i zobaczył tylko ciężkie kamienie, niema miedź, martwe drewno i ciemny ołów. Mdła ziemia falowała aż po horyzont, gdzie kryła się we mgle. Nawet niebo nad jego głową było puste - tylko chmury i słońce. Przez całą wspinaczkę, mimo strachu, spodziewał się czegoś wspaniałego. Teraz dotarło do niego, że właśnie tę wspaniałość zniszczył. Dawniej ludzie podziwiali to święte miejsce. Cztili je, składali tu ofiary, doznawali wizji i opowiadali sobie ukształtowane w snach historie. Teraz zobaczą tylko stworzony ludzkimi rękoma budynek. Moc i światło zostały wreszcie ujarzmione.

Mimo pobranych w seminarium nauk ojciec Thomas miał pewne wątpliwości w kwestii składania ofiar. I nagle wydało mu się dziwne, że właśnie w taki dzień jak dziś nikt nie zostanie poświęcony. Komu miałby zostać złożony - starym bożkom mgły i światła czy dającemu pewność, samotnemu bóstwu z ksiąg i kamienia? - nie miał pojęcia. Pewien był tylko jednego: od dziś wszystko się zmieni. W końcu właśnie to miała uczcić uroczystość zwieńczenia iglicy.

Zmusił się, by po raz ostatni spojrzeć w dół, po to tylko, żeby sprawdzić drogę przez te wszystkie zygzakujące drabiny. Gdy jego wzrok omiótł kamienie, parapety, łuki i nadproża,

przelotnie musnął go ostatni promień utraconej chwały, ciemniejszy, jaśniejszy i piękniejszy od jakiegokolwiek innego zachodu słońca. Po chwili zniknął. I Thomas widział już tylko szare kamienie i puste powietrze.

Uchwycił się mocniej wieży. Oddech huczał mu w gardle. Krew pulsowała w uszach. Próbował sobie powtarzać, że teraz wystarczy już tylko zejść. Przywoływał w umyśle pocieszające obrazy ciepłego ognia, kubków pełnych wina z korzeniami, jakie pili w seminarium. Starał się wyobrazić sobie siebie samego, puszczającego iglicę i powoli cofającego się po tej cienkiej, trzeszczącej desce, wychylającego się nad karkołomną przepaść, by jakoś stanąć na pierwszej rozedrganej drabinie, skąd miał rozpocząć drogę ku odległej ziemi. Wizje tłoczyły się jedna za drugą. Nie nabierały konkretności. Ale przecież zejść będzie chyba łatwiej niż wejść? W końcu miała mu w tym pomóc przyzywająca ziemia. Czuł się jednak niewiarygodnie zmęczony. Ojciec Thomas zamrugał przez łzy, wciąż trzymając się wieży i słuchając wzbijających się ku niemu na wietrze śpiewów, wykonał krok do tyłu i przygotował słabnące ciało na czekającą go absurdalną podróż.



# ŻYWIÓŁY

Nie pamiętam, kiedy dokładnie mój przyjaciel, James Woolfendon, po raz pierwszy przedłożył światu swą teorię żywiołów. James posiadał bardzo żywy umysł i łatwość wyrażania kolejnych pomysłów. Zawsze było wiadomo, gdy gościł w klubie - zbierał się wokół niego pokaźny tłumek, pośród którego rozbrzmiewał dźwięczny, wysoki, rozemocjonowany głos. Jeśli nie przedstawiał właśnie jednej koncepcji czy idei, rozprawiał o innej. Hipnotyzm, magnetyzm, koncepcja pustej Ziemi, nowe rodzaje regulatorów silnika, nieuchronność odkrycia lotu napędzanego wyłącznie siłą ludzkich mięśni bądź metody edukowania sierot - pojawiały się wszystkie. Prawdę powiedziawszy, w głowie Jamesa teorie te wirowały i mieszały się ze sobą. Pewnego dnia, na przykład, można było hipnotyzować sieroty. Innego wysyłano na Atlantydę upadłe kobiety (gdy tylko zostanie odkryta, co wedle Jamesa nie ulegało wątpliwości). Istniała też możliwość, że, aby uchronić owe damy przed upadkiem, należało je nauczyć latać. Wtedy więc teoria żywiołów, teraz brzmiąca bardzo dziwnie, nie wydawała się nam aż tak zaskakująca. James chłonał wszystko to, co wówczas, pod koniec ubiegłego stulecia, uważaliśmy za nowoczesne. Chłonał tak samo entuzjastycznie jak wszyscy. Co więcej, światłu jego radosnych badań nie umykało nic. W kostnicy Pentonville przeprowadzał sekcje zwłok przestępców. Wspinał się na pomnik wielkiego pożaru, z którego wyżyn pobierał próbki miejskiego powietrza. Projektował nowe modele kieratów i kajdan, mających posłużyć powstrzymaniu i naprawieniu zbrodniczych tendencji u zatrzymanych przez policję osób. Mierzył kończyny płodów. Jego dom przy placu nieopodal Grafton Street był po brzegi wypełniony tyloma cudami, że niektórzy żartowali, że musi na stałe zatrudniać grupę ludzi, których zadaniem jest wynoszenie tylnymi drzwiami jednych eksponatów, by zrobić miejsce dla tych wnoszonych od frontu.

Nie chcę jednak powiedzieć, że James żył w chaosie. Od tego był daleki. Jeśli cokolwiek trwale charakteryzowało Jamesa Woolfendona, to schludna precyzja i wręcz nieskazitelna punktualność. Jeśli ktoś spóźnił się choć raz na jeden z popołudniowych wykładów, jakie miał w zwyczaju wygłaszać na temat swych teorii i odkryć w małym teatrze w pobliżu Strand, otrzymywał w ramach kary miazdzące spojrzenie i równie nieprzyjemny, upokarzający komentarz. James nie miał czasu - jak sam często powtarzał - na czcze fidrygały. Jeśli miał jakąś słabość, był nią właśnie całkowity brak słabości.

Jak już powiedziałem, nie jestem w stanie ściśle przypomnieć sobie pierwszej wzmianki na temat teorii żywiołów. Zapewne pojawiła się wraz ze zwykłą mieszanką wielu innych myśli i supozycji. Równie prawdopodobne jest to, że nastąpiło to w naszym klubie, zapewne o tej porze wieczoru, gdy otoczenie zaczyna się przyjemnie rozmazywać w oczach. Na miejscu byli wszyscy stali bywalcy, młodzi dżentelmeni, których ojcowie lub dziadkowie wzbogacili się na odkrytym na terenie rodowej posiadłości węgłu, na kopalni gipsu odziedziczonej po strawionej staropanieństwem ciotce bądź na lukratywnej sprzedaży ziemi pod planowaną stacją kolejową, czy też - jak w moim przypadku - dorobili się na handlu z Ameryką Południową. Jeśli jednak w te radosne chwile zaprzętailiśmy swe głowy czymkolwiek, było to rozważanie, czy należy poprosić o kolejne cygaro z humidora, czy też może wezwać powóz i popробować kobiecych wdzięków, jakich można było zakosztować na gorszych ulicach pomiędzy Drury Lane i Covent Garden.

Żywioły, jak formułował to James, nie są niczym nowym. W zasadzie są najstarszym znanym ludzkości fenomenem. Ich istnienie odnotowali już Sumerowie i starożytni Egipcjanie - czcili je i nazywali bogami, tak samo jak czynią to nadal dzicy Hotentoci i plemiona afrykańskich negrów. Żywioły - wołał James przekrzykując nasz szyderczy śmiech - są rzeczywistymi, fizycznymi bytami. Tyle że nie składają się z żadnego typu materii, który zdołaliśmy już poznać i zrozumieć. Miał jednak dowód ich istnienia. Dowód - i to jest zdanie, które bez wątplenia zapamiętałem dokładnie - który może pokąsać wasze palce lub sparzyć dłoń. Zarówno ja, jak i wielu moich przyjaciół, byłem wtedy mocno rozluźniony i idea żywiołów szybko przepłynęła gdzieś mimo. Bez względu na to, czym wypełniliśmy sobie resztę owego wieczoru, od tego momentu przez następne kilka miesięcy James Woolfendon pokazywał się coraz rzadziej. Urwały się wykłady w przytulnym teatrze. W klubie pojawiał się sporadycznie lub zgoła wcale. Jeśli o nim w ogóle rozmawialiśmy, powtarzaliśmy tylko, że musi być obrzydliwie zajęty. Być może - żartowaliśmy - następnym razem ujrzymy go na dachu katedry Świętego Pawła z przymocowanymi do barków skrzydłami lub płynącego

Tamizą na pokładzie łodzi podwodnej. O ile w ogóle pamiętaliśmy o koncepcji żywołów, wkrótce o niej zapomnieliśmy.

\* \* \*

Było szczególnie upalne letnie popołudnie. Pamiętam je dokładnie. Popołudnie tak gorące, że miało się nadzieję, że uda się wyjść z własnej skóry i lec w jakimś ukrytym, chłodnym miejscu. Wracalem właśnie przez ten żar do swego kawalerskiego mieszkania z porządnego obiadu, z klarującym się planem zwalczenia rodzącego się bólu głowy, gdy stwierdziłem, że droga przywiodła mnie w okolice Grafton Street. Nawet wtedy nie od razu pomyślałem o Jamesie, ale kiedy mijalem wylot jego placzyku i zobaczyłem wysokie, białe domy, przyszło mi do głowy, że mógłbym w swej biedzie poprosić jego służbę o nieco lodu i chininy. Co do samego Jamesa, uznałem, że zapewne wybrał się w jakąś podróż. Swego czasu odwiedzał wiele dziwnych miejsc. Nie powstała więc w mej głowie idea, że mógłby tego równikowego popołudnia przebywać w domu i pracować nad jakimkolwiek projektem.

Zajmował elegancki, czteropiętrowy budynek, z rodzaju tych, jakich obecnie nie da się nabyć, chyba że jest się niezwykle bogatym. Wskutek upału popołudnia nie poświęciłem temu głębszego zastanowienia, lecz zauważyłem zaskakujące oznaki zaniedbania. Fragmenty rynien zwisały krzywo. Białe tynk odchodził od ścian. Okna były brudne, zasłony nie do końca zaciągnięte. W tamtym konkretnym momencie ta nagła zmiana nie wydała mi się dziwna. Niemniej, taka z pewnością była. Chodnik przed domem wydawał się dziwnie nierówny, a z brzydkich, ustawionych szeregiem, pokrytych smołą słupów, jakie niebawem miały stać się bardzo pospolite w całym mieście, ciągnęły się ku budynkowi druty. Miażdżące spojrzenie, jakim obdarzyła mnie dama, która wyszła z budynku stojącego kilka domów dalej, powiedziało mi wszystko. Gdy więc stanąłem przed wejściem i sięgnąłem do dzwonka, zacząłem się już nieco o mojego przyjaciela Jamesa Woolfendona niepokoić. Moje zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy otworzył mi we własnej osobie.

- O! Ach, to ty! - Wydawał się zachwycony, mimo że przyjął mnie praktycznie w stroju robotnika: podwinięte rękawy koszuli, spodnie z moleskinu i poplamiony, skórzany fartuch. Na twarzy był zarumieniony i zarazem poblady. Gdybym spotkał go na ulicy, wyminałbym go szerokim łukiem i może nawet rzuciłbym mu kilka pensów.

- Dzień dziś taki gorący... Ja... - Rozejrzałem się dookoła, po czym zwróciłem na powrót ku Jamesowi. Zbrakło mi słów. - Przechodziłem akurat w pobliżu...

- I trafiłeś tutaj. - Skinął głową, po czym roześmiał się gardłowo, jakby ostatnie zdanie było najprzedniejszym dowcipem, jaki tego lata usłyszał. - Może zechcesz zobaczyć, nad czym pracuję?

W środku był mroczno i goręcej niż w Hadesie. Początkowo nie widziałem nic. Ale woń - woń była niezwykła. A raczej wiele zapachów naraz. Każdy mój oddech, każdy ruch przynosił mym nozdrzom nowe aromaty. Nie były wcale odpychające, przynajmniej większość z nich, ale nie należały bynajmniej do zapachów z rodzaju tych, jakich uczciwy człowiek spodziewa się w rezydencji dżentelmena, nawet jeśli owym jegomościem jest James Woolfendon. Czułem na przykład gaz węglowy. I rozgrzany metal. Oraz różnorodność innych mrocznych woni, które niejasno kojarzyłem z transformatorami i telegrafem. Coś pachniało też wilgocią - w ten sposób, jaki odczuwa się ją, stojąc nad wielkim zbiornikiem. Ponadto, od czasu do czasu nieprzyjemnym kontrapunktem odzywał się swąd kanałów.

- Chodź, chodź. - Zanim zdążyłem się wycofać, objął mnie ramieniem. - Jak sądzę, wspominałem o tym projekcie, gdy się ostatnio widzieliśmy. Od tamtego czasu poczyniłem pewne postępy. Kiedy opublikuję wyniki, nic już nie będzie takie samo.

W niektórych pokojach, przez które mnie prowadził, było na szczęście jaśniej, jednakże światło - wpadające przez zakurzone okna i butwiejące nadproża - jeszcze bardziej uwidaczniało wszechobecny chaos. W bibliotece najwyraźniej nastąpiła jakaś eksplozja - tyle było dokumentów, papierów i książek, które leżały w nieładzie wszędzie gdzie to możliwe, w tym na podłodze. Część, jak mi się wydało, została przyszpilona do sufitu, gdzie furkotały szukające wolności uwięzione ćmy. W łazience z kolei znalazłem tyle rur, że wejście do niej wymagało gibkości człowieka-gumy. Słyszałem bezustanne syki, trzaski, bulgotanie i jęki. Cały dom wydawał się przepompownią lub siłownią jakiejś fabryki. Nie zauważyłem też żadnej służby. Nic dziwnego, że sąsiadka rzuciła mi takie spojrzenie. Miałem wrażenie, że wszystkie siły i energie, mogące oświetlić, zapewnić energię i wodę, a także - wybaczenie - odprowadzić nieczystości całego miasta, zebrały się w tym jednym miejscu.

- Ile zużywasz na to prądu?! - krzyknąłem do Jamesa. - Rachunki muszą być astronomiczne.

- W tej chwili, owszem. - Znów się roześmiał. - Ale to nie potrwa długo. Wkrótce to wszystko będzie samowystarczalne. A zaraz potem podobnie stanie się z każdym domem w tym mieście.

Na widok mojej miny zaśmiał się jeszcze głośniejsze.

- Nie ukończyłem jeszcze badań - podjął. - Kiedy już wypracuję i opatentuję bardziej precyzyjną metodę kontrolowania żywiołów, ta maszyna będzie zajmować o wiele mniej przestrzeni.

Po raz pierwszy dziś posłużył się tym słowem. Wciąż nie do końca rozumiałem, co ma na myśli. James dobył z podartej kieszeni spodni klucz francuski i zaczął manipulować przy wylewkach i zaworach. Unikając cienkich strumieni wody, chlapiąc i ślizgając się, przedstawił mi bliżej swoją teorię. W pewnym sensie nigdy potem nie dowiedziałem się niczego więcej.

- Na wstępie należy przypomnieć, że nasi przedchrześcijańscy przodkowie oddawali trwożną cześć wielu pomniejszych siłom. - Machnął kluczem. - Wiesz o czym mówię. Duchom drewna, duchom ognia, duchom zwierząt, na które polowaliśmy i które zasadały się na nas. Były to duchy tego, co nazywano wówczas czterema żywiołami. Nawet gdy nasi dziadowie zajęli się uprawą pól, budowaniem domów i kościołów, nie porzucili dawnych wierzeń.

Skinąłem głową. To wydawało się oczywiste. Aczkolwiek, będąc człowiekiem dobrze wykształconym i kulturalnym, nie cieszyłem się, słysząc, że tak często używa zaimka „nasi”.

- Zapewne - wciąż machał swym narzędziem - zaraz powiesz mi, że żyjemy w oświeconych czasach. Powiesz, że tego rodzaju przesady zostały wyeliminowane i żaden rozsądny i zdrowy na umyśle dżentelmen nie daje im wiary.

- Całkiem zgrabnie oddałeś moje wrażenia.

- I w rzeczy samej masz rację. Zwłaszcza co do ostatniego stulecia. Lasy zostały wycięte, pola i farmy porzucone. Nawet w sprawach ziemi dawne wierzenia zastąpiła nauka. Przygasła też moc owych duchów, która z owych wierzeń czerpała. Ale co się stało z tymi istotami, co? Jak myślisz?

Roześmiałem się. Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej.

- Gdybym cię nie znał, James, pomyślałbym, że opowiadasz mi o jakichś gnomach.

- Nie używam tego terminu, z powodów, które widzę dobitnie wypisane w twojej minie. Dlatego też wolę nazywać je żywiołami - mówił ze spokojnym wyrazem twarzy.

- Żywioły... - Pokiwałem głową. Z jednej strony zastanawiałem się, dlaczego tak długo rozmawiam z kimś, kto najwyraźniej postradał rozum, ale z drugiej pocieszałem się, że przynajmniej przyniosę wieczorem do klubu zabawną anegdotę. Poza tym, naprawdę lubiłem Jamesa, a on zawsze był przekonującym mówcą i możliwe, że w głębi ducha już mu uwierzyłem.

- Jeśli teraz usłyszysz jakąś dotyczącą podobnych przesądów opowieść, zapewne będzie traktować o zjawie w zadymionym warsztacie lub alejce na West Endzie, albo o widmowym tramwaju, który ktoś zobaczył o północy, bądź o dzwonku na sklepowej ladzie, odzywającym się nawet po godzinach. To wszystko składa się w jedną, sensowną całość. W końcu, zastanów się, jak wielu z nas żyje w ścisłości w tym mieście. Pomyśl o wszystkich ludzkich marzeniach i nadziejach, o ułudach i modlitwach... Przemierzyłem pod tym kątem niezliczone ulice i boczne zaułki, zbadłem dziedzińce fabryk. Jeśli dostatecznie długo naświetlać płytę fotograficzną, można niekiedy pochwycić ruch, ale jedynie pod postacią rozmazanego kształtu. Zanotowałem gwałtowne spadki temperatury, lecz tylko o pół stopnia. Pojawiały się także nieznaczne zmiany potencjału elektrycznych przewodów. Próbowałem mącznego pyłu i opiłków żelaza, w których żywoły pozostawiają niewyraźne ślady. Stosowałem oczywiście też wszelkie pospolite metody, które mogą pozwolić na schwytanie istot bardziej zwyczajnych. Wszystko zawiodło. Ale wtedy wpadłem na pewien pomysł. W końcu miałem już teorię, w myśl której żywoły powstają spontanicznie z życia i przemysłu miasta. Dlaczego więc, uznałem, nie stworzyć własnego...?

Urwał na moment. Naprawił cieknącą rurę i mocno dokręcił uszczelkę. Miałem olbrzymią liczbę wątpliwości wobec tego, co usłyszałem, ale gdy otworzyłem usta, dobył się z nich tylko niezręczny jęk.

- Rozumiem - podjął - że wciąż trzeba ci dowodu. To najzupełniej zrozumiałe... i godne pochwały. Chodź tutaj, przyjacielu. - Wskazał na niskie drzwi. - Pozwól, że ci pokażę.

Za nimi zaczynały się strome, pograżone w mroku schody. W miarę jak schodziliśmy niżej, robiło się coraz goręcej. Odkąd wszedłem do tego domu, zdumienie niemal pozwoliło mi zapomnieć o niestrawności i bólu głowy. Teraz jednak oba te niedomagania powróciły.

Pomieszczenie, do którego przyprowadził mnie James, musiało być niegdyś dość przestronną piwnicą, ale teraz wydawało się zbyt duże, nawet jak na tak świetny budynek. Możliwe, że zostało poszerzone. A może - przyszła mi do głowy niedorzeczna myśl - dom został wzniesiony bezpośrednio nad naturalną grota? Tak czy inaczej, wewnątrz przypominało jednocześnie warsztat, fabrykę i jaskinię. Wszystkie dźwięki, brzęczenie, łomot i syki, wypełniające pokoje na górze, spotykały się tutaj i wpadały we wspólny rytm przypominający bicie jakiegoś mechanicznego serca. Nad głębszymi rozpadlinami, niemal przepaściami, w których wiły się i krzyżowały grube kable, przerzucono żelazne pomosty. Rury było widać wszędzie. A także druty, pompy i urządzenia, które mgliście kojarzyłem z zabawkami służącymi do demonstrowania potęgi elektryczności. Szczękały elementy przypominające części telegrafu, syczały gazowe płomienie. Uderzyłem głową w przewody, zmaścił mi się

wzrok. James poprowadził mnie w przestronniejsze miejsce, na środku którego stał wysoki szary przedmiot. Był prostokątny, trzykrotnie wyższy niż szeroki, zbudowany z siatki otaczającej metalową kratę. Jeśli w ogóle cokolwiek przypominał, to prymitywną klatkę na kanarki lub wnyki na zające.

- Cóż to, na Boga? - uznałem za stosowne zapytać.

- Klatka Faradaya, nazwana imieniem wielkiego wynalazcy. Od dziesięcioleci używa się jej do izolowania przedmiotów eksperymentów od zewnętrznych zakłóceń i pól.

- A jaki tym razem jest to przedmiot? - Pochyliłem się, jakby w nadziei, że ujrzę w środku jakiegoś uwięzionego ptaka bądź zwierzę.

- Nie widzisz? - Ponownie wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał niczym umierający sopran w ostatnim akcie opery, był taki wysoki i piskliwy. - Nie wierzysz?

Przyjrzałem się bliżej, tak jak czyni się, oglądając rozczarowujący eksponat w ZOO. W tym samym czasie James Woolfendon przykucnął i zaczął buszować pomiędzy gorącymi i syczącymi urządzeniami, wciąż mówiąc z uśmiechem. Słuchając go, traciłem powoli przekonanie, że klatka Faradaya jest pusta. Istotnie, w samym jej środku coś się wiło. Dostałem gęsiejszej skórki. Włoski na moim karku stanęły dęba.

- Ach, zobaczyłeś wreszcie, prawda? Mówiąc jaśniej, to jeden ze sposobów, w jaki manifestują się żywioły. Z początku był mały. Zwykły kłębek energii. Kolumb czuł zapewne to samo, kiedy ujrzał odległy ląd.

Rzecz owa była tak nikła, że ledwie dało się wyodrębnić jej kształt bardziej idea niż wizja, ciemna skaza, drżenie rozgrzanego powietrza, zakłócenie pochwyconego w powidoku obrazu. W pierwszej chwili wydało mi się, że była nieco niebieskawa. Opadająca ciemność, obrębiona tańczącymi iskierkami.

- Ty to stworzyłeś, James?

- Jeśli „stworzyć” jest dobrym słowem, to owszem. Ale nie zostało chyba najlepiej dobrane.

Światło wiło się teraz bardziej wyraźnie. Nie było już niebieskie - lub było niebieskie tym odcieniem, który często można zobaczyć nad miastem tuż przed zachodem słońca - błękit naznaczony szarością i cętkami czerni, migocący gastryczną zielenią, podkreślony ognistymi żółcieniami. Przywodziło to na myśl inne rzeczy. Żywioł był pomrukiem telegrafów - grzechotem wypisywanych śpiesznie cyfr i na pół wyraźnych liter. Był również rykiem pieców, brzękiem tramwajów, nawoływaniem gazeciarzy, zgrzytem kolei i odorem - który uwiązał mi głęboko w gardle - tysiący wybijających kanałów i miliona plujących kominów. A

James, obskakujący mnie, przemykający obok, jakby sam był żywiołem, nie przestawał mówić.

- Tak, tak! Mam go. Jest teraz tak silny jak nigdy przedtem. Teraz widzisz, rozumiesz już, co się stało? Pochwycone pod ulicami, ledwie powstrzymywane w drutach i kablach, w maszynerii fabryk, kryją się nieskończone żywioły, moce, energie. Wyobraź sobie służącego, który odkręca gaz, lub czekającego na telegram kochanka... Pomyśl o wszystkich sytuacjach, gdy napełniamy filiżankę lub wyciągamy zatyczkę ze zlewu... To rytuały, bezustannie i bez końca powtarzane przez miliony. Są to istoty, w które wierzymy tak mocno, że uznajemy je za zawsze obecne. Niemniej, to my od nich zależymy, to my w nie wierzymy, podobnie jak dawni leśnicy wierzyli niegdyś w moc pór roku. I nie bez powodu. Żywioły są realne, są tutaj. Istnieją. I mogą stać się samodzielne. Oczywiście, termin „żywioły” może być sam w sobie nieco mylący. To, co tutaj stworzyłem, jest wirem wszystkich energii miasta, nie tylko jednej. Z początku próbowałem posługiwać się wyłącznie gazowym światłem, wodą z kranu, lub parą pod ciśnieniem. Wszystkie te eksperymenty zakończyły się fiaskiem. Potem doszedłem do przekonania, że starożytni mylili się, kojarząc żywioły z konkretnymi siłami - ogniem, wodą, czy ziemią. Żywioły nie są emanacjami jednej potęgi, lecz ich wszystkich. Widzisz, jak on pulsuje i się zmienia? W jednej chwili myślisz o płomieniu, zaraz potem już o połyskującej wodzie. Sądzę jednak, że w wierzeniach starożytnych kryje się pewna metoda. Bo czymże jest nieopanowana moc? Należy ją skanalizować, ujarzmić. I dlatego, jak podejrzewam, dawne żywioły kojarzono z konkretnym źródłem, drewnem czy polem. Istniały ku temu wyłącznie praktyczne powody. Dzięki temu przekonywano wodę, by płynęła czysta, płomień, by grzał mocniej, a zboże, by dojrzewało zdrowe...

James pozwolił się zupełnie ponieść swej wizji - wirował wokół mnie i się śmiał. Opowiadał o żywiołach tramwajów i żywiołach kolejowych rozkładów jazdy. O żywiołach wystaw sklepowych i żywiołach pieniędzy. Gorąca, ciasna przestrzeń wewnątrz klatki Faradaya jakby ciemniała, z każdą chwilą stawała się bardziej niezwykła. Kształt widziałem teraz wyraźniej. Prawdę powiedziawszy, tak wyraźnie, że dziwiłem się, dlaczego przedtem ledwie go dostrzegałem. Żywioł był wysoki, kształtem z grubsza przypominał człowieka, choć wrażenie nieokreśloności nie zanikło zupełnie. Krył się pod światłem i chybotliwymi cieniami. Miał ramiona i twarz. Oczy niby nieukożone płomienie. Uwięziona za drutami istota wydała mi się piękna, jej długie włosy jaśniały blaskiem. Żywioł uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę. Dłoń była smukła i blada - najwdzięczniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem. Wtedy - jak uczyniłby to każdy w mojej sytuacji - wyprostowałem swoją, by ją ująć. Zrobiłbym wszystko, by dotknąć, by zrozumieć, by uwierzyć.



Następne, co pamiętam, to pomagający mi wstać James.

- Zdaje się, że omdlałeś, przyjacielu. Już jakiś czas temu stwierdziłem, że klatki lepiej nie ruszać. Ale powiedz, co zobaczyłeś?

Oszołomiony i słaby, z trudem wróciłem przez piwnicę i schody do domu. Szło mi się o wiele ciężiej, niż kiedy schodziliśmy. Niemniej, z ulgą powitałem widok korytarza i jeszcze bardziej ucieszyłem się, śpiesznie wychodząc na zewnątrz i uciekając z tego łomocącego, bulgocącego, śmierdzącego budynku.

Kilka minut potem zacni mieszkańcy placyku przy Grafton Street zyskali jeszcze jeden powód do oburzenia. Pochyliłem się nad ryszotkiem i obficie zwymiotowałem.

\* \* \*

Tym samym stało się oczywiste, że opowieści, którą zamierzałem przedstawić przyjaciołom z klubu, nie dało się oddać rozsądnymi słowami. Czy James oszalał? Czy naprawdę widziałem to, co widziałem? Czy udzielił mi się jego obłąd? Zbyt wiele pytań pozostało bez odpowiedzi, w tym te, które podsuwały mi moje pełne zdenerwowania myśli, pojawiające się za każdym razem, gdy prosiłem kamerdynera, by włączył światło lub przygotował kąpiel. Przez całą resztę lata to rojne miasto wydawało mi się dziwnie odmienione. Tramwaje turkotały niczym karoce wrózek, bijący z kominów dym układał się w postaci aniołów.

Choć zająłem się sobą i nie próbowałem nawet ponownie odwiedzić placyku przy Grafton Street, czułem się w niezwykle sposób dumny, można nawet powiedzieć usprawiedliwiony, gdy gruchnęła wiadomość, że James Woolfendon zamierza dać kolejny ze swych sławetnych wykładów w małym teatrzyku przy Drury Lane. Nikt nie miał pojęcia, co ma być jego przedmiotem, ale panowała powszechna zgoda, że temat prezentacji będzie doniosły, taki który może zepchnąć Newtona, Archimedesesa i Galileusza na boczny tor naukowej myśli. Zatem jednak będzie mówić o nauce - ta nowina nieco mnie uspokoiła, choć sam James nigdy nie nazywał swych koncepcji inaczej.

Po kilku zmianach terminu wykład odbył się wreszcie w środowe popołudnie pod koniec października. Powiedziałem: popołudnie, choć dzień był tak pochmurny, że powozy od rana jeździły z włączonymi lampami, a i tak wyglądały jak zjawy we mgle. Można się było zagubić na własnej ulicy. Miasto przeobraziło się w labirynt pełen niemożliwych do zidentyfikowania kształtów i na wpół słyszalnych dźwięków. Jeśli istnieje jakaś pogoda sprzyjająca wierze w żywioły, to właśnie taka.

W teatrze zjawiłem się wcześniej i stanąłem z boku widowni, by przyjrzeć się przybywającym szacownym członkom miejskiej socjety. Wszyscy pokasztywali i mieli zaczerwienione oczy. Pojawili się pisarze i profesorowie, dziennikarze i wynalazcy, ludzie nauki i zwyczajni ciekawscy. W tamtych czasach zresztą nie istniała między nimi szczególnie wielka różnica.

Owego dnia teatr wchłonął wiele mgły, a także wyziewów z kominów i wszystkich zmieszanych emanacji, jakie produkuje rodzaj ludzki. Zajmujący swe miejsca goście natychmiast zaczęli komentować zdziwionymi głosami widoczną na scenie maszynę. Mnie wydawało się to sensowne. Wszak teatry zawsze potrzebowały korzystać na znaczną skalę z dobrodziejstw miasta - oświetlenia i tak dalej - i te przybrały teraz kształt płataniny drutów, rur i bloków otaczających wysoki, przesłonięty płótnem prostokątny obiekt na środku sceny. Otaczający go mechanizm pulsował już i terkotał. Ciekł z niego jakiś płyn i dobywały się dziwne zapachy, a nawet niewielkie języki płomieni, które wywoływały wśród części widzów niespokojne jęki i głośne wyrazy lęku o własne bezpieczeństwo. James, punktualny jak zwykle, choć bardziej jeszcze wymięty i zmęczony, niż gdy widziałem go ostatnio, pojawił się do wtóru donośnych, pełnych wyczekiwania okrzyków.

Zaczął mówić swym wysokim, pełnym pasji głosem - bez kartki czy mównicy - przechadzając się tam i siam, niekiedy potykając się niespodziewanie. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem kojarzył mi się z operowym śpiewakiem. Brakowało jedynie płaszcza i maski - i orkiestry na dodatek. Ludzie szurali niepewnie butami, trącali się łokciami i wymieniali spojrzenia. W końcu byli w teatrze. Mimo że temat miał dotyczyć nauki, przyszli tu dla rozrywki. Tymczasem przedmiot na środku sceny wciąż trwał pod swą płachtą niczym niemy strażnik. Niech wątpią, myślałem, gdy James mówił mniej więcej to samo, co powiedział mi latem, o mocach, zjawach i zapomnianych wierzeniach. Niech prychną. Wkrótce ogarnie ich zdumienie.

- Poproszę was teraz, byście na chwilę wyobrazili sobie dom przyszłości, kiedy to rozmiar takich oto klatek Faradaya - wskazał za siebie - będzie mógł zostać znacznie zredukowany. Po ustabilizowaniu żywiołów zniknie potrzeba korzystania z wszelkich zewnętrznych kabli i rur, które tak psują wygląd naszego miasta. Co więcej, wierzę, że będzie można zmusić żywioły do mnożenia się i podziału. Panowie i panie, przedstawiam wam nowy świat niewyczerpalnej energii!

Wtedy, po wielu manipulacjach przy kranach i galkach, od których zatrzęsała się cała scena i zahuczało jeszcze głośniejsze, wykonawszy zamasztysty gest, ograniczony jedynie przeszkadzającymi mu przewodami, James ściągnął zasłonę z klatki Faradaya. Na widowni

rozległy się jęki. Był to moment, na który czekałem przez całą godzinę, a prawdę powiedziawszy, od dnia letniej wizyty w domu Jamesa. Ludzie co prawda mamrotali pod nosem i rzucali kpiące uśmiešky, a moje własne wizje mogły zostać zniekształcone gorączką, lecz tutaj znajdował się niepodważalny dowód istnienia żywiołów i tego jeszcze, że James Woolfendon nie był szaleńcem.

Jęki nie ustawały. Przeszły z wolna w kpiące okrzyki i szydercze śmiechy. Ostre światła reflektorów padły na tanio wykonane pudło z drucianej siatki, otoczone chromą pajęczyną rur.

Nie licząc kilku drobin kurzu, klatka Faradaya była pusta.

\* \* \*

Pod wieloma względami sława Jamesa wzrosła po tym nieudanym wykładzie co najmniej do tego stopnia, jaki zapewne by osiągnęła, gdyby mu się powiodło. W końcu widzowie przybyli do teatru dla rozrywki i otrzymali ją w iście królewskim wymiarze. Początkowa niepewność, wśród której ogłupiały James zbadał klatkę i fale śmiechu, który, zdawało się, że wypływa z teatru i rozbrzmiewa w całym mieście, rozślawiły go o wiele bardziej niż wszelkie jego wcześniejsze, potwierdzone badania i odkrycia w mniej spektakularnych dziedzinach. Stał się bohaterem brukowych pisemek. Śpiewano o nim popularne piosenki. Każdy osobnik o zbyt wybujałej wyobraźni był przez jakiś czas - dopóki tłum nie znalazł sobie innej ofiary - określany mianem Jamesa Woolfendona.

Co do samego Jamesa, to, o ile mi wiadomo, wycofał się do swego domu i wrócił do dociekań, kryjąc się wśród niejasności, jakie mogą otaczać jedynie ludzi, którzy doświadczyli przelotnej sławy. Ja tymczasem wysłuchiwałem ze wstydliwą wesołością wszystkich dowcipów na jego temat. Oczywiście, w cichości ducha byłem zadowolony, że nigdy nie uznałem za stosowne wspomnieć przyjaciółom o tym, co - jak wciąż byłem pewien - widziałem owego letniego popołudnia. Nie uśmiechało mi się wystawienie na pośmiewisko i bycie traktowanym z taką pogardą, jaka spotykała Jamesa. Sprawa jednak dziwnie się mnie trzymała. Czy żywioły istnieją, czy nie? Kiedy więc tej wyjątkowo paskudnej zimy koledzy wpadali do klubu, otrzepując płaszcze z cuchnącej mgły, i oświadczaali głośno, że zostali właśnie napadnięci przez kilka szczególnie złośliwych żywiołów, śmiałem się wraz z nimi, lecz towarzyszyły temu ukłucia wyrzutów nieczystego sumienia.

Choć moje życie tej zimy biegło swym zwykłym, zdawkowym torem, myślami często powracałem do Jamesa Woolfendona i jego niebywałej teorii. Omal do niego nie napisałem. Omal nie posłałem do niego lokaja z bilecikiem. Gdy wychodziłem na spacer, nogi niosły

mnie niekiedy w kierunku Grafton Road, lecz nigdy nie dotarłem w jej bezpośrednie okolice. Co prawda, wiele czasu poświęcałem rozważaniu nawiązania kontaktu z Jamesem Woolfendonem, ale zawsze powstrzymywały mnie przed tym połączone siły lęku i znużenia.

Pewnego wieczoru, później tej samej zimy, gdy wszyscy pozostali już o nim zapomnieli, to on dziwnym trafem zgłosił się do mnie. Bawiłem się w klubie. Zapewne możecie to sobie wyobrazić. Siedem dań kolacji okazało się wybitnymi dziełami sztuki kulinarnej, a klaret, którym popijaliśmy posiłek, był przyjemnie starej daty. Prawdopodobnie przyglądałem się nowym elektrycznym żarówkom, które zamontowano na kandelabrach, być może dostrzegając sytym spojrzeniem, że każde z cieniutkich włókienek tańczy i przybiera hipnotyzujące kształty, i to jeszcze, że kiedy drgał pieńek w kominku, wybuchające gwałtowniej płomienie formowały zarys twarzy. A także to, że samo powietrze i opary, unoszące się nad ciemną studnią mojego kieliszka porto, poruszają się i splatają niemal jak żywe istoty. Wtedy jednak podsunęto mi na srebrnej tacy bilecik. Senny, nieco znudzony, wziąłem go do ręki i przeczytałem. Spodziewałem się, że to nic więcej jak tylko kolejne zaproszenie na czyjś wieczorek. Pismo jednak było na to zbyt chwiejne, a wiadomość nadto zdawkowa.

„Muszę się z tobą bezzwłocznie zobaczyć. J.W.”.

Portier wyjaśnił mi szeptem, że autor notki czeka na mnie w jednym z prywatnych apartamentów klubu.

Nie wiem, w jakim stanie spodziewałem się znaleźć Jamesa. Gdy ukazywał mi się w snach, wyglądał jak nieokreślony kształt pochwycony światłami teatralnej rampy, ukryty za przypominającą twarz maską. Z ulgą więc ujrzałem go najzupełniej cielesnego i żywego, mimo że wszystkie szczegóły jego aparycji były nader dziwaczne. W wykwintnym oświetleniu salki, w otoczeniu francuskiej porcelany, holenderskich malowideł, weneckiego szkła i dywanów z Kidderminster, nie wyglądał nawet nie na miejscu, tyle że jego postać została sztucznie nałożona na przepyszny fotel, na którym kulił się niczym wystrzępiona dziecięca wycinanka. Jego najgłębsza istota, mimo że był niewątpliwie witalny, zdaje się przebywała zupełnie gdzie indziej.

- Przyjacielu... - Wyciągnąłem ku niemu rękę i uniośł się lekko, by ją uścisnąć. Jego dotyk wywołał we mnie wstrząs. Miał skórę zarazem zimną i gorącą. Apartament, wraz z moim poczuciem przebywania w nim, zadrgał i się wycofał. - Cieszę się, widząc cię znów pośród... - Urwałem. Nie wydawało mi się szczególnie stosowne powiedzieć „żywych”, jako że martwy najwyraźniej nie był.

Wrażenie pośpiechu i ekscytacji, które zawsze mu towarzyszyło i które zeszłego lata, a potem jeszcze w teatrze, było bardzo wyraźne, jeszcze bardziej się zintensyfikowało.

- Przykro mi, że tamtego popołudnia w teatrze sprawy nie potoczyły się po twojej myśli - dodałem cicho. - Tego rodzaju rzeczy czasem się po prostu zdarzają, a Newton i Galileusz... cóż, jestem pewien, że i oni borykali się z licznymi przeciwnościami. Idee uwielbiają się nam wymykać, nieprawda? Pojawiają się i znikają jak... - byłem świadomy, że właśnie to słowo dukam - ...cóż, jak żywioły.

Klasnął w dłonie i skulił się na powrót w fotelu.

- Trafiłeś w samo sedno.

- Doprawdy? - Poczułem się niepewnie. Był co prawda mym dawnym przyjacielem, lecz nieszczęśliwie chętnie słyszałem, że mam rację, od kogoś pokroju Jamesa Woolfendona.

- Zrozumiałem wszystko niemal natychmiast po zakończeniu tamtego wykładu. Widzisz, stałem na tej pustej scenie i wpatrywałem się w pustą klatkę Faradaya, gdy żywioł zaczął się na powrót manifestować. - Roześmiał się głosem wysokim jak u mewy. - Po niedługim czasie stał się równie wyraźny jak przedtem i dotarła do mnie prosta prawda. Ta sama, którą tłumaczyłem ci zeszłego lata. Moc żywiołu zależy od poziomu wiary, jaka go otacza. Spójrz...

Wydobył coś z kieszeni i rozwinął. W pierwszej chwili uznałem to za zużytą chustkę do nosa, ale okazało się wymiętą kartką papieru.

- To równanie określa moc istnienia żywiołu. Jest tak samo proste jak wszystkie wielkie wzory, te które decydują o ruchu planet i geometrii tego apartamentu. Sprowadza się do kwadratu poziomu wiary, podzielonego przez odległość.

Ja - który w szkole unikałem lekcji matematyki na rzecz dodatkowych godzin na polu krykietowym - nie potrafiłem osądzić trafności formuły. Wydało mi się jednak, że metoda mająca zapewnić miastu energię i czystość, tak bardzo zależna od ulotnej wiary, była czymś zgoła wątpliwym, nawet ujęta w matematyczne ramy. Być może nawet coś takiego powiedziałem, ale oto James mnie uprzedził i stwierdził, że właśnie w tym rzecz.

- Potrzebny jest - ciągnął - proces zestalenia, sposób takiego przepisania równania, że „b” podzielone przez „s” kwadrat zawsze da wartość większą niż jeden. To prosta kwestia nadania żywiołom fizycznej konkretności...

I tak to szło. Podejrzuwam, że zamówiłem sobie szklaneczkę na uspokojenie. Szykowałem się na jakąś dziwną prośbę, lub jeszcze bardziej niezwykle rewelację, ale nawet po milionie lat rozważań nie odgadłbym tego, co usłyszałem potem.

- Chciałbym, żebyś mnie zabrał na przejażdżkę, mój drogi przyjacielu. Na przejażdżkę do jednej z tych części miasta, o których opowiadacie z innymi członkami klubu wszystkie te moralnie bulwersujące historie.

- Masz na myśli... Chcesz znaleźć dziewczynę? - Nie mogłem uwierzyć, że zadaję Jamesowi to właśnie pytanie, ale poczułem też pewną ulgę. Będąc nieco oszołomiony trunkami, wyobraziłem sobie, że prośba ta wynikła z potrzeby nagłej zmiany tematu, do czego James był zawsze zdolny.

Dobre choć to, myślałem, prosząc o płaszcz, że zrezygnował wreszcie z niebezpiecznych i nonsensownych teorii na temat żywiołów i próbuje odkryć tradycyjne przyjemności dżentelmena.

\* \* \*

Rynsztoki zmieniły się w rzeki. Ulice lśniły wilgocią. Padał ulewny deszcz. Transport, jaki zawezwał dla nas portier, okazał się jednym z tych nowomodnych, zmotoryzowanych pojazdów. Stał przed wejściem do klubu, hałasując, terkocząc i sapiąc dymem. Sam nie zdecydowałbym się na przejażdżkę czymś takim, ale noc nie zachęcała do dyskusji. Przez odsuwaną szybkę wykrzyczałem kierowcy nazwę ulicy i ruszyliśmy.

Za siedzibami wielkich instytucji, banków i gazet, poważnych firm oraz innych klubów pojawiły się niższe budynki. Taksówka kołysała się i grzechotała. Było za późno lub za wcześnie, by mogły działać sklepy, teatry zamknięto już dawno temu. Dziewczyny, które zajmowały się tu swym fachem - w każdym razie te lepsze i zdrowsze - albo już znalazły sobie klientów, albo udały się do domów, bądź po prostu nie wyszły w taką noc. Poza przecinającymi ciemność reflektorami naszego pojazdu nie było tu światła, gazowych czy też tradycyjnych. Nie byłem już pewien, dokąd zabrał nas taksówkarz, ale miejsce to wydawałoby się mroczne i wilgotne nawet w letni dzień.

- Naprawdę nie sądzę, że dziś nam się poszczęści! - krzyknąłem do Jamesa. - Może powinniśmy spróbować innego wieczoru. Chyba że u Madame Suzie...

Poczułem jego dłoń na swojej.

- Patrz, tam ktoś jest!

Wyrzałem przez ociekające wodą okno, wątpiąc z początku w to, czy ma rację, i niekoniecznie pragnąc, by ją miał. Przed nami leżała istota jakby upleciona ze szmat, mokra jeszcze bardziej niż cała ta przeklęta pogoda. Nie było wiadomo czy żyje ani nawet czy rzeczywiście jest to człowiek.

- Sądzę, że się nada - oświadczył. - Prawdę mówiąc, jest idealna.

Idealna do czego? Jednakże, gdy wraz z Jamesem pomogliśmy dziewczynie - gdyż istota okazała się kobietą, może nawet i młodą - wstać z błota i wejść do pojazdu, dotarło do mnie, że intencje mojego przyjaciela nie były wcale miłosne, jak z początku naiwnie założyłem. Taksówka ruszyła. Stworzenie padło bezwładnie na siedzenie, ociekając kałużami brudnej cieczy. Prawie jej nie było. Oblicze dziewczyny składało się z pustych otworów: ust, oczu i nosa. Bił od niej chorobliwy smród. W oczywisty sposób umierała - zapewne grożąc nam zarazkami - ograniczyłem się więc (choć to najmniej trafne z możliwych sformułowań) do przesłonięcia twarzy chusteczką oraz do myśli, że cokolwiek James dla tej nieszczęsnicy zaplanował, musiało być łagodniejsze od zamierzeń miasta.

Noc, a wraz z nią nasza podróż, zapewne potoczyły się dalej. Pamiętam z pewnością, że obudziłem się we własnym łóżku, we własnym mieszkaniu, z niezupełnie mi obcym poczuciem, że nie do końca wiem, w jaki sposób się tam znalazłem. Kamerdyner nie okazał się zbyt pomocny. Podobnie jak moje zwykle krzepiące śniadanie, ani irytacja, w jaką wpędziły mnie listy od właścicieli sklepów, narzekających na niezapłacone rachunki. Zostałem jedynie z wrażeniem powrotu na lepsze ulice, wraz z ową szarą, mokrą istotą, którą znaleźliśmy w kałuży. Potem na pewno trafiliśmy do domu Jamesa. Schody do piwnicy pokonaliśmy z trudem. Wydawało się, że nie mają końca. Byłem słaby i zmieszany, ale towarzyszył nam zasapany taksówkarz. A może było to jakieś nowe mechaniczne urządzenie projektu Jamesa? Wydaje mi się bowiem, że między jego płaszczem a nogawkami dostrzegłem jakieś stalowe tłoki, a nawet połyskujący olej tam, gdzie powinny znajdować się oczy i zęby. Wtedy znaleźliśmy się znów na dole, pośród płataniny silników i rur, która wyglądała na zdolną do zasilenia, oświetlenia i oczyszczenia połowy miasta. W samym środku stała klatka Faradaya, ku której zaciągnęliśmy dziewczynę, a wewnątrz wirowała ciemność. W całkowicie niezrozumiały sposób wcisnęliśmy do niej naszą zdobycz i podparliśmy ją, czy raczej stanęła sama, jakby podtrzymywana jakimś niewiarygodnym powiewem. Jej brudne włosy furkotały w powietrzu. Podobnie jak przemoczone ubranie, które zresztą po chwili zaczęło pękać i się drzeć. A James skakał od rury do rury, od przełącznika do przełącznika, od zaworu do zaworu. Zamykał obwody i obiegi. Odniosłem wrażenie, że cała piwnica, całe miasto, zaczyna nas zalewać. James krzyczał, wrzeszczał, mówiąc, że to mogło się wydarzyć wyłącznie dzięki mojej pomocy - ponieważ jego cudowne równanie wymaga kogoś, kto wierzy...

Potem wszystko stało się jednym wielkim hukiem. W jakiś sposób, jak sądzę, opuściłem jego dom. W jakiś sposób wróciłem do siebie. A wszystko to miałoby o wiele

więcej sensu - uznałem, brodząc widelcem wśród niedojedzonego śniadania i odsuwając na bok rachunki - gdybym był potężnie pijany.

\* \* \*

Po tej dziwacznej nocy nie otrzymałem żadnych wieści od Jamesa Woolfendona, choć kiedy wiosna przeszła w lato, ku swemu zaskoczeniu stwierdziłem, że nazwisko jego kuzynki, Chloe Sivorgny - która niedawno przyjechała ze wsi i wkraczała w towarzystwo tak zwanych młodych elegantów - coraz częściej pada w moim klubie.

Kim jednak była ta Chloe Sivorgny? Kilka razy widziałem jej fotografie w rubryce towarzyskiej „Timesa”, którego przeglądałem w poszukiwaniu wyników wyścigów konnych, a raz nawet przelotnie spostrzegłem ją, gdy pośród wielkiego zamieszania i w towarzystwie licznego grona wielbicieli wysiadała z powozu przed hotelem Clavendon. Wykryłem w niej wówczas pewne podobieństwo do istoty, którą wiele miesięcy wcześniej uratowaliśmy nocą z rynsztoka. Oczywiście, obu tych stworzeń nie mogło dzielić więcej, jeśli chodzi o pozycję i zamożność. W jaki sposób James dokonał takiej sztuki? Czy była to jedynie kwestia eleganckiego stroju oraz nauki manier i stylu? Przeobrazić umierającą ulicznicę w sensację sezonu za pomocą dziwacznej maszyny...? Po raz kolejny stwierdziłem, że tego wszystkiego nie da się rozsądnie opowiedzieć w klubie.

Żałuję, że nie mogę was zabawić wszystkimi krążącymi wówczas anegdotami o Chloe Sivorgny. O jej wdzięku, dowcipie, urodzie, obejściu - nie mogę jednak, byłem bowiem obrażony na tych wszystkich rozkochanych w niej dandysów. Poza tym dręczyła mnie niepewność. I musiałem też prowadzić własne życie - prowadzić, a w każdym razie przyjemnie przez nie dryfować. Ponadto nie chciałem wierzyć, nie chciałem stać się elementem niebywałego równania Jamesa Woolfendona. Zresztą, od zawsze byłem osobą z natury mało ciekawską, posiadającą własne zajęcia, które wkrótce pochłonęły mnie całkowicie. Ojciec przysłał mi telegram wzywający do rodzinnej posiadłości.

Zamiejska podróż okazała się dla mnie niecodziennym doświadczeniem. Przypomniały mi się przygody, jakie przeżyłem podczas swego młodzieńczego objazdu po Europie, utracone emocje ryzyka, ekscytacji i odkrycia - poczucie, że cały świat należy do mnie i czeka tylko, aż wyświadczy mu się zaszczyt zwrócenia na niego uwagi. Niemniej, gdy poszukiwałem właściwego peronu na dworcu King's Cross, a potem dobrego powozu, cała ta awantura zaczęła mi się wydawać obca. Kiedy wreszcie zająłem swe miejsce, nie byłem w stanie dać wiary, że osoby posługujące się takim akcentem, noszące takie stroje i zachowujące się w taki sposób, dopuszcza się do przedziałów pierwszej klasy. Gdy pociąg ruszył,



spojrzałem przez okno na znikające miasto i zauważyłem odbicie osoby przyglądającej mi się zza szyby. Złakłem się i krzyknąłem, co spowodowało na mnie spojrzenia współpasażerów. Okazało się jednak, że była to tylko moja własna, niestety, postarzała już nieco, twarz.

Co takiego mówił James o żywiołach, które opuszczały wieś i przenosiły się do miasta?

Okolica z pewnością wyglądała na wyludnioną. Rozrzucone z rzadka, opustoszałe farmy, zamknięte młyny i sypiące się kamienne murki. Nasza posiadłość miała identyczny, żalostny pozór. Dawniej była pomnikiem handlu z krajami Ameryki Południowej - a przynajmniej fortuny, jaką na nim zbiliśmy. Fontanny tryskały. Trawniki rozciągały się dookoła niczym chłodne prześcieradła latem. Jeziora połyskiwały jak drogocenne kamienie. Jednakże większość tych luksusów została teraz zlikwidowana i zmieniona w pastwiska, a cała reszta wyglądała tak, jakby opuściła ją wszelka duma. Podobnie mój ojciec. Ciężko dysząc, siedział w fotelu w swym mrocznym gabinecie, owiany dziwnie odpychającą wonią. Ogień w kominku, którego strzegło tych kilku służących, jacy się jeszcze ostali, przypominał jego samego - na pół wygaszony, markotny i sapiący.

Biurko w kącie, które niegdyś uważałem za piękne - wielkie, inkrustowane orzechem i kością słoniową, jaką mój rodzic zdobył od zamorskich kontrahentów - również przygasło. Osiadły na nim grube warstwy dokumentów, telegramów i papierów wartościowych.

- Ach, to ty - wyjęczał, choć odniosłem wrażenie, że wcale nie pamięta, by prosił mnie o przyjazd.

- To daleka droga - odparłem - z miasta.

- Z miasta? - Wciąż był zaskoczony. Po chwili jednak pokiwał głową, przy czym zadrgały jego obwisłe policzki. Niemniej, nie było to skinienie pełne zrozumienia. Maleńkie iskielki życia, te które wciąż pojawiały się w jego zmaconym, reumatycznym spojrzeniu, zajaśniały. - To właśnie miasto przywiodło nas do tego stanu. Nie chcę słuchać o tym twoim... mieście...

Mówił podobne rzeczy jeszcze jakiś czas. Nie warto tego dokładnie notować. Zapewne słyszeliście takie refleksje wyrażone w bardziej elokwentny sposób. Ja słyszałem. Zwłaszcza w klubie, od znajomych, którzy z odrazą ciskali na ziemię gazety z raportami giełdowymi i złorzeczyli bankom. Albo rządowi. Bądź Francuzom lub Belgom. Albo robotnikom, którzy mają lenistwo we krwi. Słuchając diatryb ojca, myślałem tylko o tym, że zbyt długo nie interesowałem się rodzinnymi sprawami i inwestycjami. Uznałem, że gdy tylko wrócę do miasta, które mój rodziciel łąjał swym świszczącym głosem, natychmiast muszę się spotkać z

adwokatami i przejąć odpowiednie pełnomocnictwa w kwestiach rodzowego majątku, a przynajmniej przekazać je któremuś z bardziej odpowiedzialnych krewnych.

- Czy wiesz, na czym polegają interesy naszej rodziny? - spytał mnie ojciec.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak zawsze opowiadam przyjaciołom, dotyczą głównie Ameryki Południowej.

- Czy jednak wiesz dokładnie?

- Interesuję się giełdą - skłamałem. - Ale nie. Jak sędzę, nie zajmowałem się tym zbyt dogłębnie. W końcu wszystko to dzieje się tak daleko. A Ameryka to dziki kraj, tak sobie wyobrażam. Co właściwie miałbym wiedzieć?

- Najwyższy czas, żebyś się dowiedział... - Ojciec pokiwał głową i zamrugał.

Nie widziałem dotąd nikogo, kto byłby tak wyczerpany i poszarzały. Jednocześnie jednak miał nade mną nieco władzy, przynajmniej do chwili, w której mogli wkroczyć moi prawnicy. Nagle zdjęło mnie przerażenie na myśl, że zaproponuje mi zaraz podróż za ocean. Całe pomieszczenie jakby drgało. Zakręciło mi się w głowie. Osłabłem.

- To gdzieś tu jest... - Dłonie ojca migotały, łysa czaszka połyskiwała, zaczął prawie po omacku grzebać wśród otaczającego go bałaganu. Niemniej, nie chwycił biletu na parowiec, który miał mnie zagonić na pokład jakiegoś upiornego statku handlowego, czego bardzo się obawiałem. Sięgnął po niewielkie pudełko. Nawet w tym brudnym pokoju szkatułka wydawała się tania, lecz podał mi ją gestem księdza unoszącego nad głowę kielich.

- No dalej, otwórz.

Tak też uczyniłem. Spodziewałem się... nie wiem, jakiegoś rodzinnego skarbu, akcji, klejnotów lub listów intencyjnych. Ujrzałem jednak tylko szary proszek. Na domiar złego okropnie cuchnący. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to właśnie ten swąd poczułem, gdy wszedłem do gabinetu. A prawdę mówiąc, w całym domu. Odór należał do tych, które nie ulatniają się już nigdy.

- Proszę. Powąchaj. Popatrz. Dotknij. Właśnie z tego bierze się całe twoje bogactwo. Całe twoje życie, szkoły, do których uczęszczałeś, stroje, jakie nosiłeś, jedzenie, którym się rozkoszowałeś i, nie wątpię, kobiety, z którymi spałeś.

- Nie rozumiem.

- To jest guano. Przywozimy je statkami z Ameryki Południowej i handlujemy nim od pokoleń. Najlepszy nawóz na świecie. Na tym właśnie wzrastają rośliny, które karmią wszystkie puste brzuchy twego ukochanego miasta, wzrastają jak w niczym innym. Suszone gówno nietoperzy - odchody pewnego konkretnego gatunku nietoperza zamieszkującego peruwiańskie jaskinie. Jak sędzę, ich stada stanowią dość malowniczy widok. Roją się od nich

sklepienia i ściany pieczar, jakby ożył sam kamień. Wieczorami, gdy wyruszają na łów, przesłaniają niebo. Tubylcy twierdzą, że to one wywołują noc. A srają znakomicie. I robiły to od stuleci. Ich guano zalega jaskinie grubymi warstwami. Poza tym żyją w nim miliardy owadów. Gdybyś w to wpadł, zginąłbyś pożarty przez nie, rozpuściłbyś się...

Nawet bez tego niepożądanego opisu substancja była odrażająca. Z pewnością mogła skłonić dowolnego jarosza do podjęcia czysto mięsnej diety.

- Może więc zrozumiesz, synu, dlaczego trzymamy się od tego na taki dystans. Niemniej, mimo całej gadaniny o przyszłości, opcjach i indeksach, wszystko sprowadza się do jednego. A przynajmniej do niedawna sprowadzało.

Miałem chęć zamknąć puzderko, ale nie mogłem się do tego zmusić. Guano dyszało prosto we mnie.

- Rynek guano zaczął się kurczyć. Co prawda, nietoperze wciąż srają jak najęte, ale nie są w stanie nadażyć za naszymi potrzebami. - Zakaszłał. W kominku trzaskał ogień.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Chcę ci powiedzieć, że już po wszystkim. Że jest za późno.

Cały gabinet zakołysał się chorobliwie wokół mnie. Pokręciłem słabo głową.

- Nigdy nie jest za późno.

\* \* \*

Ojciec zmarł niedługo po tej ostatniej rozmowie. Miałem jednak dość czasu, by skontaktować się z prawnikami, a oni zdążyli mi odpowiedzieć, że otrzymali już kilka wezwań i listów, które powinny mi posłużyć, jako że starzec najwyraźniej przestał być mentalnie kompetentny. Mężczyźni w melonikach i tanich koszulach o kołnierzykach z celulozy - tacy, jakich dawniej odprawiałbym, grożąc policją - pojawiali się na schodach mojego klubu. Zacząłem ich uniżenie przyjmować. Dochodziło do scen, do których my, członkowie, musieliśmy niestety przywyknąć. Rzucano przedmiotami. Niszczono je. Rozmaite bóstwa - wyobrażone lub prawdziwe, nie byłem już pewien, czy istnieje różnica - padały ofiarą przekleństw. Bez wsparcia prawników i księgowych, po odejściu kamerdynera i zamknięciu mego rachunku u kilku sklepikarzy i dostawców, zostałem zmuszony zorganizować pogrzeb starca własnymi środkami. Musiałem też dopilnować odpowiedniego sposobu przechowania jego ciała, jako że nasza rodowa kaplica się rozpadła. Mimo obietnic na temat rynkowej koniunktury, jakimi mnie obsypywano, kremacja okazała się wielce kosztowna. I wszystko po to, bym w rezultacie otrzymał pudełko z taniego drewna, pełne szarej, obrzydliwej substancji. Nie mogę powiedzieć, by pozostałości mego ojca cuchnęły jak

próbka guano, którą mi przedstawił, ponieważ owa woń - bogata, amoniakalna, niezbywalna jak swąd gnijącego mięsa położonego ukradkiem na twarzy śpiącego - już wtedy zajęła trwale miejsce w moim życiu. Była wszędzie na długo, nim ujrzałem to, co zostało ze starca, i usadowiła się we wszystkich zakamarkach mojego ciała, uszu, oczu. Towarzyszyła mi wszędzie, nawet wówczas gdy próbowałem cisnąć jego prochy z mostu do rzeki.

\* \* \*

Lato zwiędło w zwykłych upławach deszczu. Moje mieszkanie nie było już tym czym dawniej - stało się mroczne i puste. Nawet sąsiedzi narzekali na bijący z niego odór. Klub także nie był bezpiecznym azylem. Podobnie jak jego członkowie, zanurzył się w świecie. Nie opłacało się już wydobywać gipsu, ponieważ ktoś wynalazł nowy, dziwny proces tworzenia cementu. Złóża węgla pod posiadłościami wyczerpywały się, a nowe rezydencje rozpadały się wskutek podziemnych prac, na których wzbogacały się spółki węglowe. Każdego wieczoru witał mnie widok gnijącego aksamitu i mokrych plam pod ciekącym jesienią dachem klubu, służących ślamazarzących się niczym starcy i pustych ścian, gdzie dawniej wisiały cenne malowidła, sprzedane o wiele poniżej wartości.

Wszystko to wydarzyło się bardzo szybko - w zasadzie niewiarygodnie szybko. Przyglądałem się dawnym przyjacielom w migocącym, gazowym świetle i w płomieniach taniego, pełnego siarki węgla. Na starych garniturach pojawiły się smugi kurzu. Rozedrgane kończyny wspomagano laskami. Oblicza niszczyły podagra, zbyt wystawny tryb życia lub syfilis. Ja sam poszarzałem na twarzy, a moja cera stała się porowata i tchnął od niej - co wyczytałem z min odsuwających się ode mnie rozmówców nieprzyjemny zapach.

Czy tylko ja to wszystko dostrzegałem? Czyżbym był jedynym, który rozumiał? Moc tego miasta była wirującą rzeczą, niebieskawoczną i iskrzącą się kapryśnie. Widziałem ją pod mostami kolejowymi i w cieniu nowych, elektrycznych świateł, które ustawiono nad rzeką. Słyszałem, jak połyskuje w szczękę stacji telegrafu i pomruku transformatorów oraz w dzwonek nowych telefonów. Była też obecna w oczach ludzi i w ich strojach, przynajmniej w spojrzeniach tych nowoczesnych, zajeżdżających swymi silnikowymi pojazdami przed bary i kluby, które - podobnie do ich gości - wydawało się, że powstają z nicości, a jednak przecież były tam od zawsze. Bogactwo, nawet to najświeższe, cechuje się pewnym rodzajem trwałości. Bieda i niepowodzenie są przemijające niczym szron.

Spacerowałem po odmienionych ulicach ku dziwnym nowym odnogom miasta. Widziałem zakłete wieże nowoczesnych przepompowni, które obdarzały nas wodą z jakiegoś odległego jeziora, wydartego ziemi przez człowieka. Widziałem metalowe lasy pylonów,

iglice nowych zakładów chemicznych i stalowe zamki silosów gazowych, ceramiczne smoki kanalizacji. Wszystko to wydawało mi się obce, a jednak miało pewien sens. Przeklinałem Jamesa za jego opowieści o żywiołach, a jeszcze dobitniej łajałem siebie za to, że mu uwierzyłem.

Nie byłem już tym samym człowiekiem co dawniej. Stałem się jedną z owych istot, jakie często widuje się w tym mieście - mamrocząca do siebie, odziana w obszarpane, dawniej dobre ubrania, za którymi ciągnie się nieprzyjemny zapach, wyczuwalny nawet przez innych przechodniów, omijających mnie szerokim łukiem. Jednego dnia można wieść przyzwoite życie, mieć świetne mieszkanie, perspektywy tak solidne, że mogą nawet wydawać się ciężarem. Nazajutrz pojawiają się wierzyciele, ulubiony klub zostaje zamknięty w celu przebudowy, a w drzwiach mieszkania ktoś montuje nowe zamki. A kiedy wychodzisz wtedy chwiejnym krokiem na ulicę, dociera do ciebie, że nawet nie zauważyłeś, że minęło Boże Narodzenie i że spadł śnieg.

Biały puch. Sypiący wszędzie. Zalegający koronką na barierkach i poręczach. Szczypiący w twarz jak gorący popiół. Brniesz dalej, a inni ludzie - jeśli istotnie są ludźmi - mijają cię niczym mgliste widma, wiry miejskiej ciemności. Wtedy jednak coś zauważyłem - nie jestem w stanie powiedzieć, czy było to konkretne, ale mnie przynajmniej wydawało się prawdziwsze od otoczenia. Ludzkie w formie, a przynajmniej zbliżone kształtami do człowieka, dzikie i obszarpane. Poczulem, że wygrzebało się z jakiejś głębszej sfery, ku której sam, z czego zdawałem sobie sprawę, spadałem. Jeszcze wcześniej ujrzałem przelotnie zniszczoną maskę twarzy, która dawniej należała do Jamesa Woolfendona. Poczulem pewien rodzaj więzi z tym, czym się stał. Zawołałem za nim - lub za tym. Pobiegnęm jego śladem.

W ten właśnie sposób - w pogoni za cieniem - nogi raz jeszcze zaniósły mnie ku Grafton Street i niewielkiemu placykowi. Przed najlepszymi i najczystszyimi z białych domów stały dymiące rzędy nowych, smukłych samochodów. Musiałem kilka razy zamrugać i przyjrzeć się dokładniej wśród zamieci, by się przekonać, że naprawdę patrzę na dawny dom Jamesa, a nie iluzję wywołaną przez padający z nieba puch. Pozostał jednak na miejscu i trwało w nim jakieś przyjęcie czy spotkanie - z rodzaju tych, jakich w przeszłości zapewne zechciałbym uniknąć, a które teraz wydawały mi się przepełnione niemal nieosiągalną pompą i przepychem. Słyszałem śmiech i muzykę, a gdy podszedłem bliżej schodów, uznałem je za najwspanialszą z symfonii. Z okien były światła, podobne tym, które wzywają umierających żeglarzy na wieczny odpoczynek. Poczulem niemal niemożliwe ciepło. Powłócząc stopami, wdrapałem się niezgrabnie na stopnie.

Nie znalazłem Jamesa, ale przy drzwiach czekali lokaje. Odbierali kapelusze, futra, otrzepywali parasole z wilgoci i proponowali gościom pierwszą z wielu filiżanek rozgrzewającego ponczu. Bez wątplenia polecono im również nie wpuszczać do środka indywidualistów typu, do jakiego się zapewne zaliczałem. Jednakże ich wzrok - gdy prześliznąłem się za plecami niemieckiej hrabiny i jej lubego, głośno narzekających na trudy i znoje podróży - przenikał mnie na wylot bez zatrzymywania. Znalazłem się w środku.

Salony starego domu mego przyjaciela były wypełnione głośnymi rozmowami i jeszcze głośniejszymi, krzykliwymi strojami. Wszystko tu - pod palącym blaskiem elektrycznych kandelabrow, które zwisały u połączanej powały niby szklane słońca - wydawało się nowe, świeżo przycięte, wyczyszczone, ufarbowane. Zwłaszcza sami ludzie. Było też bardzo gorąco, choć w kominkach nie czerwieniło się nic poza ułożonymi na podobieństwo ognia wiązkami kwiatów. W każdym kącie czuwały nowomodne grzejniki, przypominające zdobne, żelazne potwory morskie. Ciekło ze mnie. Pociłem się. Dyszałem jak obite zwierzę, zapewne też cuchnąłem, ale wciąż nikt nie zauważał mojej obecności. Goście rozprawiali ze sobą, stojąc w grupkach, jakie tradycyjnie powstają przy tego typu okazjach. Mężczyźni uśmiechali się szeroko, a rozbawione kobiety odrzucały w tył głowy. Wszyscy częstowali się napojami i kanapkami serwowanymi przez przewijających się wśród tłumu służących, którzy także zupełnie mnie ignorowali. Na wiele sposobów scena ta nie była mi obca, lecz już do niej nie pasowałem. Stanowiłem zaginiony element jakiejś innej układanki. Nie byłem już częścią tego, co się tu działo. Tak naprawdę w ogóle mnie tam nie było.

Powlokłem się z powrotem do holu. Drzwi do biblioteki - tak, ona jedna wydała mi się częścią dawnego domu. Wszedłem do niej przez rozgrzane, rozedrgane powietrze. Na suficie nie było żadnych furkocących papierzysek, jak wtedy, pewnego letniego popołudnia, kiedy zaszedłem do Jamesa. Prawdę powiedziawszy, całe pomieszczenie było utrzymane w nieskazitelnym porządku i pięknie oświetlone licznymi elektrycznymi latarniami i bielą, która wpadała przez okna z ogrodu. Po Jamesie wciąż nie było śladu, ale przy szerokim biurku siedziała kobieta. Pisała, otoczona prezentami, papierem do pakowania, wizytówkami i bilecikami. Podniosła wzrok. Prosto na mnie. Przyjrzała mi się bacznie. To, że mnie zauważyła, okazało się przyjemną odmianą. Odłożyła pióro, wstała z niewysłowionym wdziękiem i okrążyła mebel, stąpając po świetnym, perskim dywanie. Zrozumiałem, że to właśnie jest owa słynna Chloe Sivorgny.

Była piękna do tego stopnia, że wydałem z siebie niekontrolowany jęk. Sam pomyślałem, że była w jakikolwiek sposób podobna do stworzenia, które wraz z Jamesem uratowaliśmy, natychmiast wydał mi się nedorzecznym. Niemniej, i tak ją poznałem: stanowiła

ucieleśnienie wizji, jaką przelotnie ujrzałem w klatce Faradaya tamtego pierwszego popołudnia. Choć to pewne niedopowiedzenie.

- Ciekawe kim pan jest...? Nie, proszę nie mówić... - Na jej wargach zamajaczył uśmiech. Było widać, że wszystko robi w ten sam, kokieteryjny sposób. Że życie jest dla niej pasmem tańca, igraszką, zabawą. - Wiem, jest pan jednym z dawnych przyjaciół Jamesa.

- Co pani z nim zrobiła? Z całym tym domem? Jestem pewien, że widziałem go dziś na ulicy. Wie pani, że to jego dom, nieprawdaż? Pani i pani towarzystwo nie macie prawa tu przebywać.

- Jestem pewna, że James bawi gdzieś w pobliżu. Zazwyczaj jest niedaleko, choć nigdy nie czuł zacięcia do tego rodzaju zgromadzeń, o czym pan, jako jego przyjaciel, z pewnością doskonale wie. Co do samego domu... - Znów się uśmiechnęła. - W rodzinach wszystko się zmienia, sprawy biegają naprzód, czego, jestem pewna, pan jest równie świadom. Dom należy teraz do mojej gałęzi rodu.

Mimo że mącił mi się wzrok, a głowa rozboleła mnie wskutek oglądania tych wszystkich niewłaściwych i dziwacznych rzeczy, niemal się uśmiechnąłem. Nie można było nie dać się porwać przekonaniu tej kobiety, że wszystko jest jedynie nieszkodliwą towarzyską szaradą.

- Wiem... - wydukałem z trudem. - Wiem, w jaki sposób powstałaś. Wzięłaś się z rynsztoka. Z deszczu.

- Naprawdę tak pan myśli? - Podeszła do ustawionych rzędami, oprawionych w brąz i złoto książek, których pełne półki stały po obu stronach biblioteki. Pewnym ruchem wybrała jeden z tomów. Kiedy go otworzyła, nie było wątpliwości, że znalazła od razu właściwą stronę. Przyniosła mi książkę i poczułem ochotę, by ukłęknąć i wstrzymać oddech. - Zobacz pan, iż ród Sivorgny otrzymał swe pierwsze posiadłości ziemskie w nagrodę za zasługi podczas krucjat. A tu... - jej palec przesunął się w dół wirujących kolumn słów - ...przeczyta pan, że jeden z mych przodków poślubił niejaką lady Woolfendon, niedługo po reformacji. Ten związek między rodzinami utrzymuje się od tamtych czasów. - Zachichotała. Dźwięk jej śmiechu przypominał szemranie chłodnej wody na omszałych kamieniach. - Można by więc w zasadzie twierdzić, że my, Sivorgny, jesteśmy, w istocie starszą i bardziej godną linią naszego szacownego rodu. A co do obecnego statusu, choć nie czuję się komfortowo, rozprawiając o czymś tak prymitywnym jak majątek, widać to tutaj... - migocące kartki wywołały delikatny wietrzyk - ...że posiadaliśmy sporo ziemi w pewnej wiosce, położonej w jednej z walijskich dolin. Dolina ta została zalana, za sowitym odszkodowaniem, co miało na

celu zaspokojenie pragnienia tego miasta. Od tamtej pory, przyznaję, wiedzie nam się niezgorzej. - Wzruszyła z gracją ramionami i zamknęła książkę.

Patrzyłem na nią. Strój miała tak świetnie dobrany, tak pasujący do tego, czym była, że ledwie wyglądał na ubranie. Stanowiła z nim jedną, niepodzielną całość. To samo dotyczyło jej twarzy, jej zachowania, jej rzecznej woni, jej falujących włosów. Przypominała mi posągi z włoskich fontann, jedwab jej sukni opływał kształty w podobny sposób. Tutaj jednak efekt był bardziej delikatny i mroczny. Przenikały ją przebłyski światła.

- Nie jesteś człowiekiem - usłyszałem własny, stłumiony głos, raczej pełen zachwytu niż oskarżycielski. - Jesteś żywiołem. Istotą zrodzoną z nadziei i marzeń tego miasta.

- Doprawdy? - Słyszac to, musiała się roześmiać. Sam stwierdziłem, że z trudem powstrzymuję własny uśmiech. Było to równie śmieszne, jak oskarżenie młodej klaczy, która dopiero co zwyciężyła w derby, że nie jest koniem. - Żywiołem... - Odniosła książkę na miejsce, przesunęła dłoń wyżej i wyjęła inny, cieńszy, bardziej zakurzony i brudnawy tom. Otworzyła go do wtóru syku starego papieru. - Czy to miał pan na myśli?

Na tanio wydrukowanych stronach, zniszczonych przez wilgoć i zaniedbanie, widniały ciemne drzeworyty i ledwie czytelne słowa. Obrazy przypominających gobliny istoty czyhających nad studniami, pozbawionych wdzięku stworów na pół z ziemi i na pół z ciała, zmagających się w uścisku ze słońcem lub księżycem. Były tam istoty płomieniste i powietrzne. Sylfidy, nimfy, salamandry, gnomy. Gdy przyglądałem się książce i jej zawartości, stało się dla mnie jasne, że nie powstała współcześnie.

- Naprawdę wierzy pan w takie rzeczy?

Spojrzałem na nią, prosto w jej błękitne oczy, i zrozumiałem, że podobny pomysł jest wprost absurdalny. Nie byłem jednak w stanie do końca odrzucić wszystkiego, co dawniej usłyszałem od Jamesa, co poczułem we własnym sercu, co zobaczyłem na własne oczy.

- Tak - przyznałem. - Tak, wierzę. Ale rzeczą, z której przedtem nie zdawałem sobie sprawy - czymś, czego James nigdy mi nie wytłumaczył - jest fakt, że wszyscy jesteśmy żywiołami. Zostaliśmy stworzeni nie tylko z ciała, lecz także z elektryczności, wody, pieniędzy, giełdy, opcji rynkowych, posiadłości, z czystej i prostej chciwości... Oglądałem to przez całe życie - widziałem, jak starzy przyjaciele i znajomi upadają wskutek nadejścia gorszych czasów. Najpierw przestaje się ich widywać na przyjęciach i wieczorkach, nawet jeśli się pojawiają. Potem fotele, jakie zwykli zajmować w klubie, przez jakiś czas stoją puste, później dziwnie bledną, aż wreszcie pojawiają się na nich nowi ludzie, świeża krew, tacy, którzy szczęśliwie się ożenili lub odziedziczyli znaczny spadek, a nawet ci, którzy popadli w zamożność i sławę własnym staraniem. Otacza ich wtedy powab świeżości, pewien



szczególny blask... Ale wszystko to sprowadza się do tego, w co wierzymy. Wszystko sprowadza się do sił i energii, które przepływają nad i pod nami, przez całe to miasto.

Chloe Sivorgny patrzyła mi w oczy. Przez chwilę miałem wrażenie, że wyłowilem z jej twarzy ulotną zmianę. Przyływ czegoś, przebudzenie, powiew chłodnego powietrza. Przez jeden niewiarygodny moment miałem wrażenie, że znika. Wtedy jednak pokręciła głową i zauważyłem, że jest wyższa ode mnie, nieskończenie młodsza i piękniejsza, a także silniejsza.

- Jest pan - powiedziała z uśmiechem na twarzy, który chyba nigdy jej nie opuszczał - pełen najniezwyklejszych teorii.

W tej samej chwili usłyszałem jakiś trzask. Opuściłem wzrok i zobaczyłem, że sterana książka, w której opisano starożytne istoty, zapada się w jej dłoniach. Nie rozsypywała się, nie rozpadała na części, ale zwijała się, niczym jakaś dziwaczna salonowa zabawka, aż nie zostało z niej nic. Nie było nawet ciemnej smugi. Nawet drobinki kurzu.

Odniosłem wrażenie, że biblioteka ode mnie ucieka, grzbiety książek sunęły obok jak podkłady torów kolejowych, aż stanąłem w jakimś pustym korytarzu, niezauważony przez rojące się tłumy, patrzące na wszystko wokół prócz mnie. Mogłem wtedy wyjść, lecz dom znów się zmienił i urósł do takich rozmiarów, że gubiłem się na jego schodach i w kolejnych pomieszczeniach. I wtedy coś ujrzałem. Postać w wysokim zwierciadle wiszącym na końcu długiego, wyłożonego karmazynowym dywanem holu. Nic dziwnego, pomyślałem wpatrując się w swoje odbicie, że mnie ignorowano. Ledwie mnie było widać i ciężko było we mnie rozpoznać człowieka, o ile nim jeszcze w ogóle byłem. Gapiliśmy się na siebie, ja i moje odbicie. Podszedłem chwiejnie do lustra. Wyciągnąłem rękę i odkryłem, że to, co uznałem za ramę zwierciadła, jest w istocie drzwiami, a postać, która zza nich wyszła, nieco jednak różni się ode mnie.

- Czy to ty...? - Wydaje mi się, że James i ja odezwaliliśmy się w tej samej chwili i że nasze palce się zetknęły. Obaj prawie nic pod nimi nie poczuliśmy. W innym miejscu i czasie byłoby to nawet komiczne.

- To ty, prawda?

- Mój stary przyjaciel.

Byliśmy zbyt nikli, zbyt słabi, by się uściskać.

- Miałeś rację we wszystkim - powiedziałem.

- Marne to pocieszenie, nie sądzisz?

- Nie...

Gdyby James wciąż miał bardziej konkretną głowę, zapewne by nią pokręcił.

- Byłeś jedynym, który uwierzył - powiedział.

- Co się z nami teraz stanie?

- Będziemy blednąć i znikać dalej. To już się przecież zaczęło i trwa. Ja ze swymi zdyskredytowanymi teoriami, ty z utraconym bogactwem Ameryki Południowej. Wraz z tym znika wszystko, czym byliśmy, co robiliśmy i co posiadaliśmy. To wcale nie najgorszy koniec, prawda? I pozostaje w ramach mojej teorii. Skoro żywioły powstają z energii życia i mocy, która je otacza, muszą też wraz z nimi niszczyć.

Wyraz „niszczenie” zabrzmiał dość nieprzyjemnie. Spojrzałem po sobie tym, co uchodziło teraz za moje oczy, i dostrzegłem skutki tego procesu aż nazbyt wyraźnie. W końcu, tym, na czym opierała się moja rodzina, tym, z czego byliśmy stworzeni, były parujące sterty nietoperzych odchodów. I tym teraz się stałem - stuletnim deszczem gówna i szczyń, mgłą odorów i owadów, i martwych stworzeń spoczywających w podziemnej ciemności gdzieś na odległym kontynencie. Gdyby zostały mi jeszcze jakieś siły, na pewno bym krzyknął. Zamiast tego przyszło mi do głowy coś, co mogło uchodzić za moją ostatnią myśl, ostatnią ideę.

- Ale przecież to nadal ten sam dom, w którym prowadziłeś swoje eksperymenty. Wciąż jest tu piwnica z klatką Faradaya?

\* \* \*

Teraz nie były to już drzwi, a coś w rodzaju wejścia do zapomnianej szafy. Wydawało się, że odgłosy przyjęcia rozbrzmiewają milion mil dalej, gdy przeciskaliśmy to, co z nas zostało, przez zwały starych mebli i zniszczonych sprzętów kuchennych. Także prowadzące w dół schody, które nigdy nie były zbyt solidne, rozpadły się i zmieniły w rumowisko, jakiego można by oczekiwać po wnętrzu piramidy.

Piwnica - czy też jaskinia - wciąż trwała na swym miejscu. Okazała się jednak niebezpieczna, pełna smrodu kanałów i pomruków stłumionych płomieni. Mile rur i przewodów splątały się w grube węzły, jak nagie zaciśnięte pięści, wymierzone wśród wilgoci i pajęczyn w stojącą na środku klatkę Faradaya. W jej wnętrzu, choć z początku niemal niezauważalny, tkwił wir - widmo - surowiec, z którego są stworzone wszystkie żywioły.

Skinałem na Jamesa. Wydawało mi się po prostu słuszne, by wszedł pierwszy.

- Nie, to musisz być ty - usłyszałem czyjś głos. - To ty wierzysz.

Klatka była zakurzona, przerdzewiała. Gdy wcisnąłem swoje niksujące jestestwo do środka, zaskrzypiała niczym stara brama. Aura żywiołu była bardzo delikatna. Ledwie ją

czułem, choć zdawałem sobie sprawę, że musi migotać gdzieś we mnie. Ale na zewnątrz klatki, pośród tych wszystkich wijących się zjaw miasta, coś poruszyło się jak derwisz, i zaczęło skakać od kranu do transformatora, jak targany wiatrem płomień, i na pół uśpione urządzenia piwnicy zadrżały, napelniając się świeżą energią, która chwilę potem wpłynęła we mnie. Chciałbym powiedzieć, że było to niesamowite przeżycie, ale wcale się takim nie okazało. Nie poczułem nic poza wrażeniem przebudzenia, jak wtedy, gdy się przeciągamy i wstajemy z własnych łóżek. Uczucie przypominało też nieco zaspokojenie lekkiego pragnienia czy rozgrzanie dłoni przy kominku po krótkiej, zwawej przechadzce. Było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Po prostu byłem tam. To byłem ja. Teraz zrozumiałem, dlaczego tak rozbawiłem Chloe Sivorgny. Sam też teraz chichotałem - pomyśleć, że wtargnąłem do jej pięknej biblioteki pod postacią istoty złożonej z odorów i cieni i zacząłem ją oskarżać o to, że nie jest człowiekiem. Gdy wyszedłem z klatki Faradaya, wybuchnąłem jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Proszę, proszę, to chyba działa...

Wydawało się, że w piwnicy towarzyszą mi tylko cienie. Rozejrzałem się w poszukiwaniu źródła głosu.

- Nie tyle działa - stwierdziłem - ile zadziało na mnie.

- Ale rozumiesz, co trzeba zrobić dla mnie?

Rozumiałem. Oczywiście, że tak. Skinąłem głową. Uśmiechnąłem się. Przyjrzałem się sobie. Co prawda, przed lustrem byłoby mi wygodniej, ale już wtedy wiedziałem, jak świetnie wyglądam i jak dobrze przyjmie mnie to miasto. Wiedziałem to z tym rodzajem pewności, jaki wynika jedynie z najwyższej pewności siebie i wspaniałego przekonania, że rzeczy mają się dokładnie tak, jak powinny. Świat przestał być mi cokolwiek winny, ponieważ wszystko i tak należało już do mnie.

Coś przemknęło ku klatce. Jej skrzypiące drzwi otworzyły się i zamknęły.

- ...teraz...

Istota wewnątrz - to, czymkolwiek James był lub miał się stać - natychmiast zaczęła wzrastać w siłę. Zupełnie jak stało się to w moim przypadku, nabierała konkretności, substancjalności i mocy. Przestał wydawać się strzępkami mgły i przeobraził się w zaranie człowieka, takiego jakiego ten nowy wiek niewątpliwie miał powitać z otwartymi ramionami. Człowieka, przed którym otwierały się ekscytujące perspektywy. Nowe idee. A jedną z tych idei była ta piwnica - a przynajmniej stojąca w niej maszyna. Widziałem to wyraźnie. James Woolfendon stawał się tym, kim od zawsze chciał być. Już nie był przeciekającym urządzeniem skleconym ze starych rur i znalezionych na wysypisku elementów, ale smukłym

urządzeniem, potokiem nowych energii. Huczał i jaśniał. Sama klatka Faradaya nie była już dawną zardzewiałą wolierą na ptaki, lecz zgrabną, kształtną maszyną, pięknym sarkofagiem, zawierającym nie śmierć, a bezkresne życie.

Zdałem sobie sprawę, że w pewnym sensie James się pomylił. Mówił o jakiejś prozaicznej maszynie, mającej zapewnić temu miastu gaz i wodę, podczas gdy tak naprawdę stworzył środek do produkcji ulepszonych istot ludzkich. W tej chwili sam stawał się jedną z nich. Prawie. Widziałem zarys pięknej postaci, jaką miał niebawem przybrać. I słyszałem jego głos, już spokojniejszy, choć nadal czarująco piskliwy, i zrozumiałem, że nie tylko ja, lecz całe miasto usłyszy i uwierzy. A potem teoria żywiołów stanie się odkryciem, które zmieni wszystko, i niedługo otoczą mnie ludzie poruszający się tak, jak ja się poruszałem, czujący to samo, co ja. Powstanie raj na Ziemi, odmienionej na zawsze. Nieskończona, niekończąca się parada żywiołów mieszkających w pięknych domach i strojących się w wyrafinowane stroje. Żywiołów, które będą ze mną rywalizować o władzę i wpływy. Żywiołów, które będą ze sobą konkurować i zawsze zwyciężać.

Sposób działania maszyny wydał mi się niezwykle prosty. Jej wyłączenie, powstrzymanie przepływu energii było banałem. Gdy jednak się za to zabrałem, poczułem od razu dziwny opór. Nie chodziło przy tym o to, że stare przekładnie, dźwignie i przełączniki zastały się w jednej pozycji, lecz o to, że chciały, że wyrażały wolę maszyny żywiołów, którą zbudował z nich James - a sklecona z cieni istota wewnątrz szamotała się i krzyczała w swej klatce. Wkrótce jednak wszystko dobiegło końca, tak musiało się stać. Równie prosto, jakbym zakręcił kran.

Druty zwiotczały. Rury przestały huczeć. Otaczały mnie już tylko takie same pozostałości dawnych projektów, jakie można znaleźć na wszystkich ulicach. Raz jeszcze pomyślałem o zwierciadle, ale uznałem, że go nie potrzebuję. Strzepnąłem pyłek i pajęczą nić z rękawa swego świetnego garnituru. Gdy szykowałem się do wejścia na górę po sypiących się schodach, do wkroczenia w radosny tłum, który - byłem pewien - powita mnie jak jednego ze swoich, czułem się odświeżony, ukończony.

Tutaj również kończy się moja opowieść o Jamesie Woolfendonie i jego teorii żywiołów - dziwna historia, wiem o tym doskonale. Jak sobie zapewne możecie wyobrazić, moje życie potoczyło się potem niezwykle pomyślnie. Jestem teraz żonaty. Znalazłem kobietę, dziedziczkę praw patentowych do jednego z nowych procesów przetwarzania stali, i żyjemy szczęśliwie w swym towarzystwie, złączywszy również swe koneksje i fuchy. Mamy nawet dzieci, tak radosne i żywiołowe, jak tylko dzieci być mogą. Co do odbudowania mego majątku i powodzenia po tym krótkim okresie zwątpienia i upadku, o którym mówiłem

wcześniej - i choć trudno mi zwierzać się z tego rodzaju spraw tak bezpośrednio, jest to w końcu prostactwo - okazało się to niezwykle łatwe, dzięki kilku osobom, jakie poznałem jeszcze na owym zimowym przyjęciu u Chloe Sivorgny. Był tam pewien człowiek, młody i pełen energii - z rodzaju tych, jakich można często spotkać, o ile wie się, jak wyłowić ich z tłumu - z pewnym pomysłem, teorią, opatentowanym wynalazkiem, dzięki któremu mógł osiągnąć bogactwo i sukces, gdyby tylko znalazł odpowiednie wsparcie. Wsparcie, jakiego - wiedząc lepiej niż ktokolwiek inny, że pieniądze gromadzą się wokół pewności siebie w ten sam sposób, w jaki perły powstają na ziarenku piasku w głębinach oceanu - z radością mu udzieliłem. Teraz więc nikt już nie słyszy ode mnie, że zarabiam na życie dzięki handlowi z Ameryką Południową. Zamiast tego trudnię się, czy raczej zatrudniam innych, którzy zatrudniają innych, by trudnili się tym za mnie, finansowaniem nowych procesów chemicznych, zapewniających farmerom tak poszukiwany azot. Rynek guana upadł tak dawno temu, że niemal nikt już o nim nie pamięta, choć czuję niejaką dumę z faktu, że wciąż - podobnie jak czynił to mój ojciec - bogacę się, pomagając roślinom wzrastać.

Pojawiło się wielu ludzi dysponujących nowymi fortunami. Ludzi, którzy w tym nowym stuleciu prowadzą zupełnie nowe życie. Ludzi takich jak moja żona, którzy czerpali swą zamożność z przetwarzania nowych rodzajów metali, jak sądzę szczególnie przydatnych do konstruowania broni, pancerników i drutu kolczastego, potrzebnych w naszej niekończącej się konkurencji z Niemcami, a także ludzi, którzy we współpracy z rządem eksperymentują z nowymi gazami bojowymi. To w rzeczy samej wspaniała epoka i cieszę się, mając tak cudowne potomstwo, trzech chłopców i dziewczynkę, i jestem zadowolony, że przyszło im żyć w erze, w której powstaje tak wiele nowych możliwości.

Co do całej reszty, co do Jamesa Woolfendona i jego dziwnej teorii, to wszystko stało się teraz tak odległe, uleciało tak dalece w przeszłość, że sam się zastanawiam, jak to możliwe, bym mu kiedykolwiek wierzył. Przynajmniej przez większość czasu. A nawet, gdy spaceruję po zalanym elektrycznym światłem brzegu rzeki po udanym wieczorze w palladiańskim budynku mego nowego klubu i dostrzegam jakiś niezwykle cień, niepasujący do wzoru światła tego oszałamiającego miasta, kręcę tylko głową i idę dalej. Jeśli w ogóle wierzę teraz w żywoły, są to niszczące resztki wiary, i mam nadzieję, że znikną wraz z przelaniem ich na te karty, które przekazuję wam.

# WAINWRIGHTOWIE NA WAKACJACH

To dziwny zapach. Po części znajomy, a jednak dziki i obcy. Głęboka woń stłamszonej trawy i użyźnionej przez dżdżownice ziemi, zmieszana z odorem płótna i świeżego powietrza. Nawet wysuszony, złożony i odłożony na zimowy sen na poddaszu, nasz rodzinny namiot był zawsze obecny. Gdy leżałem w łóżku, mogłem go sobie wyobrazić, powąchać spoczywający nad belkami sufitu - jego niezgrabny kształt, przypominający cudzoziemską mumię, otoczony spowitymi w pajęczyny wotami lata: patelnią, metalowymi śledziami, wodoodporną matą zastępującą podłogę, składanym krzeselkiem. Kiedy wchodziłem na strych, co zdarzało się w takich sytuacjach jak wtedy, gdy przed świętami szukałem choinkowych ozdób, lub po to, by porzucić tam podręczniki z minionego roku szkolnego, aura namiotu tchnęła najsilniej ze wszystkich. Potężniejsza niż ta opływająca moje stare zabawki czy zardzewiały wózek dziecięcy. Mocniejsza od klimatu samego Bożego Narodzenia, i to nawet w czasach, gdy wierzyłem jeszcze w migotliwe obietnice przyćmionych lampek choinkowych.

My, Wainwrightowie - tata, mama, moja starsza siostra Helen i ja - byliśmy wielbicielami kempingów. Obozowaliśmy w każde wakacje. Nawet wtedy, we wczesnych latach osiemdziesiątych, gdy słowo „obóz” tętniło innymi znaczeniami. Tata bez przerwy opowiadał o tym sąsiadom bądź kompanom w pubie. Zapewne ogłaszał to nawet swym szkolnym uczniom, którzy prawdopodobnie nie kwitowali owych wywodów ani jednym uśmiechem. Obóz. Obozowanie. Obozować. Tacy właśnie byliśmy: namiot, smażony nad ogniskiem bekon, wielkie, otwarte przestrzenie i północne spacerunki pod prysznicami z zawilgłą rolką papieru toaletowego w dłoni. Wszystkich nas określały te dwa tygodnie każdego lata i owe kilka weekendów, które spędzaliśmy, sypiając pod płóciennym dachem.

Wyprawy na kemping stanowiły dla taty niekończącą się przygodę. Rodziły się w planach, pośród sprytnie rozkładanych map, plastikowych łatek na macie i wypraw mających

na celu ponowne napełnienie butli z gazem. Miał oczywiście swój tradycyjny obozowy strój, szorty - rzecz jasna, także płócienne - które trzymał starannie złożone w specjalnej szufladzie. Pamiętam zimowe noce, kiedy oglądaliśmy slajdy z poprzednich wakacji. Wciąż słyszę jego nucenie, to szczególne, które wypełniało nam uszy wyłącznie wówczas, gdy zajmował się czymś związanym z namiotem. Ten skompresowany, atonalny dźwięk wraca do mnie wyraźnie, wraz z bezustannym dzyń, dzyń, dzyń narzędzi, rozbrzmiewającym, gdy przykucnięty na patio w mroźną noc, gdzieś w połowie listopada, prostował młotkiem śledzie, szykując je do kolejnej letniej ekskursji.

Byliśmy w to zaangażowani wszyscy. Nie było innego wyjścia. Odbywały się rodzinne sesje - ojciec planował je i ogłaszał na wiele tygodni wcześniej - w trakcie których rozkładał na kuchennym stole przed mamą, Helen i przede mną swą najnowszą kolekcję ulotek, broszur i map topograficznych, po czym niezwykle szczegółowo tłumaczył, czego zamierzamy dokonać następnego lata. Pamiętam, że w takie wieczory kwaśny i zatechły zapach namiotu ściekał ze strychu i wypełniał cały dom. Później - w nocy - gdy zmagalem się ze snem, głos taty wciąż przedostawał się przez ścianę sypialni, przecinany monosylabicznymi odpowiedziami mamy. Rozprowiał o wycieczkach, na jakie się wybierzemy, o wielu historycznych i moralnie krzepiących miejscach, które mieliśmy odwiedzić.

Nie mogę powiedzieć, byśmy byli z Helen szczególnie zżyci - dzieliły nas zainteresowania i trzy lata różnicy wieku - ale zdarzało się, że rozmawialiśmy o wakacjach wspólnych szkolnych kolegów, którzy zwykle odlatywali w jakieś słoneczne rejony południowej Europy. Sama myśl o tych jasnych budynkach z białego kamienia, o prawdziwych łóżkach i widoku na morze, o porządnej toalecie - a nawet prysznicu - i krzesłach, które nie składały się, gdy tylko próbowało się na nich usiąść, wydawała się nam niedościgłym marzeniem. Rozmyślaliśmy o plażach tak rozgrzanych, że nie można było po ich piasku stąpać bosą stopą, o krajach, w których nie trzeba się było chować przed nieustannie lejącym deszczem w „sali rodzinnej” jakiegoś przydrożnego pubu, ani też - co było jeszcze gorsze - siedzieć w mokrej ciasnocie namiotu i w nieskończoność grać w scrabble. Pewnego razu, wracając ze szkoły, wstąpiłem do biura podróży, skąd zabrałem kilka broszurek pod wymamrotanym pretekstem zbierania materiałów do pracy domowej z geografii. Przemyciłem je do domu z taką samą ekscytacją i poczuciem winy, z jakimi inni chłopcy szmuglowali kolejne numery „Penthouse’a”. Na tych połyskujących stronicach mogłem znaleźć wszystko, nawet seks: te plaże, na których aż roiło się od ciał w bikini, zamiast pustych przestrzeni upstrzonych jedynie kilkoma kryjącymi się za parawanami

rodzinami i paroma miejscowymi wyprowadzającymi swe psy na spacer. Niemal czułem tamtejsze słońce, smakowałem cudowny brak namiotu. Potem, któregoś z następnych wieczorów, dobyłem owe broszurki z ukrycia pod dywanem i zauważyłem, że ich strony zostały straszliwie wymięte i ubłocone. Zupełnie jakby jakiś pies, mimo że my - Wainwrightowie - psa nie mieliśmy, przeciągnął te gazetki przez kilka mokrych ogrodów. Co jednak mogłem powiedzieć? Nawet gdybym zapytał tatę wprost, zaprzeczyłby wszystkiemu lub wymyślił jakieś połowicznie wiarygodne wyjaśnienie.

Po wszystkich tych długich miesiącach przygotowań i rozmów nadciągał dzień, w którym znów wyruszyliśmy na nasze rodzinne wakacje pod namiotem. Mama, cicha nawet jeśli wszystko szło dobrze, stawała się jeszcze bardziej milcząca, a tata robił się o wiele głośniejszy. Jego nucenie zamieniało się w piosenki lub okrzyki bezmiernego zachwytu. Proces znoszenia na dół namiotu i reszty kempingowego ekwipunku ciągnął się niemożliwie. Każdy element należało wyczyścić, ocenić jego stan, zastanowić się nad nim dwa razy. Rozpocynały się oświecające wyprawy do dziwnych sklepów po nowe aluminiowe patelnie albo po młotek do wbijania śledzi. I wszystko to wymagało widowni, a także wytypowania odpowiedniej delegacji. Mało znaczące zadania, które przypadały w udziale mamie, Helen i mnie, zadania, które w zupełnie niemożliwy do przewidzenia sposób zazwyczaj strasznie się komplikowały. Nasz namiot był w miarę nowoczesnym sprzętem - ciemnozielony, z wydzielonymi izbami, wspierany przez szkielet z metalowych rurek, wysoki na tyle, że wewnątrz swobodnie mógł się poruszać mężczyzna nawet tak wysoki jak tata. Przypominający mumię wór, w którym go przechowywaliśmy, był zbyt duży, by zmieścić się w bagażniku naszego volvo, i podróżował na zadaszonej przyczepie, jakie niekiedy można jeszcze spotkać na letnich szosach. Gdy nadchodził wreszcie wczesny poranek, kiedy mieliśmy wyruszyć w drogę, gdy przyczepa, samochód, wszystkie nasze bagaże i każdy możliwy szczegół zostały już przygotowane, po raz wtóry sprawdzone i odnotowane, wczolgiwaliśmy się, ziewając, do samochodu i jechaliśmy przez świat udziwniony poranną mgłą i bzyczeniem elektrycznych wózków mleczarzy. Trasa była od dawna wytyczona, podobnie jak przystanki.

Tata nie cenił sobie autostrad, więc mama przez cały czas miała ręce pełne jego skomplikowanych, wymagających odszyfrowania, ręcznie wypisanych wskazówek dotyczących wiodącego podrzędnyimi drogami szlaku.

Podróż akompaniowało nucenie ojca, przemieszane z jego radosnymi okrzykami oraz dźwiękami płynącymi z magnetofonowych kaset, które wciskaliśmy w otwór w desce



rozdzielczej volvo. Będąc dzieckiem lat pięćdziesiątych, tata cechował się szczególnym upodobaniem do dzieł Mantovaniego, Syda Lawrence'a i Perry'ego Como.

- Posłuchajcie tylko! - przekrzykiwał cukierkowe tony, podczas gdy matka zmagiała się z sypiącymi się dookoła kartkami. - O ile to lepsze od tego współczesnego łomotu!

W nieunikniony sposób bładziliśmy, choć i tak nie psuło to doskonałego nastroju taty. Krążyliśmy więc wokół jednego ronda lub blokowaliśmy skrzyżowanie, a za nami zbierały się całe karawany wakacyjnych pojazdów. Dla niego jednymi z najjaśniejszych punktów tych wielogodzinnych podróży były chwile, gdy zwalniał na głównej ulicy jakiejś zabitej dechami wioski, opuszczał szybę i przywoływał do siebie pierwszego napotkanego tubylca. „Całkiem się pogubiliśmy” - stwierdzał. - „Moja nawigatorka nie jest w stanie pomóc. Szkoda czasu. Ale może pan...?”.

I bez względu na to, czy ów losowo wybrany mieszkaniec okolicy miał, czy też nie miał pojęcia, w którą stronę winniśmy się skierować, jednostronna konwersacja mojego ojca ciągnęła się w najlepsze. „Widzi pan, my, Wainwrightowie, uwielbiamy obozować. Od zawsze. Nie ma nic lepszego od kempingu. Ach, te nasze brytyjskie krajobrazy...”. Bezsensowne pogawędki z obcymi stanowiły jedno z ulubionych zajęć taty.

Po kilku takich postojach i tych paru dodatkowych dla Helen, która dostawała choroby lokomocyjnej i wymiotowała (ojciec nie wyłączał w ich trakcie silnika i śpiewał *What Did Della Wear Boy*), i po tym, jak wysłuchał wskazówek mamy i radośnie wskazał nam wszystkim miejsce, w którym się pomyliła, docieraliśmy wreszcie do celu, gdzie rozpoczął się proces rozbijania obozu.

Wszystko musiało zostać odpowiednio wyreżyserowane. Każde z nas miało wyznaczone obowiązki. „Znalazłeś już ujęcie wody pitnej, nasz drogi Terry?” - rzucał w moim kierunku. - „Wydaje mi się, że to gdzieś tam” - choć wcześniej posłał mnie w dokładnie przeciwną stronę. Zaczynało się wbijanie śledzi i naciąganie linek, które miały być - jak to ojciec lubił powtarzać - „napięte jak postronki”, szukanie tego czy innego, niewielkiego, lecz niezbędnego przedmiotu, który ktoś z nas (choć nigdy nie ojciec) miał przecież spakować i który zaginął lub w dziwny sposób ulegał usterce. Tata w takich sytuacjach spoglądał z rozczarowaniem, z uśmiechem, któremu towarzyszyły dwie czerwone plamy na policzkach, jakie zawsze pojawiały się u niego na świeżym powietrzu.

Pochmurne niebo, wilgotna trawa. Falujące pola naznaczone pożółkłymi bliznami dawno zwiniętych namiotów. Woń gnojówki dolatująca z pobliskiej farmy, świergot słowików. Nieco dalej pomruk szosy. Ojciec, przebrany już w swe szorty, nucający, pogwizdujący, niekiedy wydający z siebie dziwaczne zawołania, wybierał się „sprawdzić

okolice” lub „przeprowadzić rozpoznanie toalety”, albo też „przejrzeć, co mają tu w sklepiku” podczas gdy my - pozostała trójka Wainwrightów - wciąż zmagaliśmy się ze zleconymi nam zadaniami. Z dłońmi wciśniętymi głęboko w obszerne kieszenie, z wystającymi z nogawek gliniastobiałymi nogami, wszczynał konwersacje z rodzinami zamieszkującymi sąsiednie namioty i karawaningi, choć tych ostatnich nie lubił - „to zbyt łatwe” i „nie do końca można doświadczyć w czymś takim uroków obozowego życia”. Potem dołączał do meczu futbolowego, który młodsze dzieci rozgrywały przez całe popołudnie, i z wigorem domagał się podań.

- Ach, to dopiero życie... - stwierdzał, siadając na jednym z naszych składanych krzesełek. - Czy herbata nie jest już czasem gotowa, kochanie? Co wyście tu, na Boga, przez ten cały czas robili...?

Po tradycyjnym obozowym posiłku, składającym się z przypalonych, choć w środku nieco jeszcze surowych kielbasek, które mama z wysiłkiem usmażyła mimo braku nieodzownego sprzętu kuchennego, zapadał długi wieczór, a po nim jeszcze dłuższa noc. W Wielkiej Brytanii letnie noce bywają zaskakująco ciemne, zwłaszcza w tych niskich i głębokich dolinach rzek, w których zwykle szukaliśmy kempingu. Są też zadziwiająco zimne. Około dziesiątej, czy dziesiątej trzydzieści, gdy szykowałem się do - zapewne nie ostatniej - wycieczki w głąb cuchnącej, oślizłej pieczary budynku z prysznicami, dygotałem już jak zimą.

- Chyba się jeszcze nie kładziesz, nasz drogi Terry? - powiadał tata, trzęsąc kolanami w szortach. - Taka piękna, ciepła noc! I ty siebie nazywasz obozowiczem?

Wiedziałem jednak, że rosa zdążyła już zmoczyć mój śpiwór i że kiedy zacznę wyplątywać bieliznę spod nóg, zanim zdążę naciągnąć spodnie od piżamy, zgrzytnie suwak mojej izby i w wejściu pojawi się głowa ojca. „Wszystko w porządku, nasz drogi Terry?” - pytał radośnie z tymi dwiema czerwonymi plamami na policzkach, kiedy ja podskakiwałem nieporadnie, nagi i zamarzający. Wreszcie domyśliłem się, że tata zauważał na ścianie namiotu mój rzucany przez latarkę cień, i zacząłem się przebierać po ciemku.

Chór życzeń dobrej nocy. Chrząkanie. Nucenie ojca. Otwierający się i zamykany namiot. Do woni płótna dołączał paskudny, gumowy zaduch dmuchanego materaca. Wiercenie się, by znaleźć wygodną pozycję i jednocześnie nie uronić ani krztyny cennego ciepła. Prowadzona w duchu dyskusja, która mogła ciągnąć się przez długie, mozolne godziny, co do tego, czy nastał już moment, gdy trzeba koniecznie wstać i iść do toalety. Mimo że namiot był podzielony na oddzielne izby, jakiegokolwiek poczucie prywatności było w nim czysto iluzoryczne. Na tle odgłosów nocy było słycać każde westchnienie, każdy ruch,

drapnięcie, przełknięcie śliny, pierdnięcie bądź oddech całej rodziny. Tata chrapał - chrapał tak samo głośno i radośnie, jak robił wszystko inne na wakacjach. W ciasnocie namiotu stawałem się też mimowolnym słuchaczem dźwięków, jakie wydawali z mamą, kochając się. Zaczynało się to od nieco niższej wersji zwykłego nucenia ojca. Potem, po takiej ilości szelestu śpiworów i skrzypieniu materacy, że cały namiot zaczynał się kołysać, rozpoczynał się zdławiony szloch mamy: dźwięk, jakiego można by się spodziewać raczej po osobie pogrążonej w żałobie niż po człowieku doświadczającym jakiegokolwiek rodzaju ekstazy. Potem huczała sowa, krople deszczu uderzały w płótno, a oddech ojca zwalniał i przechodził w rytm chrapania. I przy tym wszystkim nieodłącznie towarzyszyło mi przecucie, że zaraz pięknie mi pęcherz.

Pomimo wszelkich niedogodności, w kempingach jest coś dziwnie słusznego. Właśnie stąd się wywodzimy - my, ludzie, a w każdym razie ci zrodzeni na północy, którym nigdy nie było dane spać pod gwiazdami. Kiedy mówię „słusznego”, nie chcę przez to powiedzieć, że kiedykolwiek dobrze się bawiłem, i z pewnością nigdy nie było mi przytulnie. Chodzi jedynie o to mgliście atawistyczne poczucie, że robi się coś, co ma się gdzieś głęboko w sobie. Takie właśnie wrażenie odniosłem pewnego razu, gdy zwiedzaliśmy na wakacjach neolityczny grobowiec. Pochylając się w wiekowym wejściu do ziemistego pomieszczenia, poznałem natychmiast po zapachu tej ciemnej, wilgotnej ciasnoty, co takiego mieli na celu moi przodkowie, wznosząc ów kopiec. Chcieli wznieść wieczystą replikę przestrzeni, w której ich martwy wódz spędził całe swoje życie: stworzyli dla niego kamienny namiot.

Tego rodzaju wycieczki stanowiły stały punkt naszych wakacji i zwykle przepytywaliśmy się ze zgromadzonych w ich trakcie wiadomości, gdy jechaliśmy z powrotem do obozu. „Powiedz mi, Helen, czy według najnowszych badań geologicznych, materiał na te kamienne nadproża pochodzi z Bretanii czy z Kornwalii?”. Nigdy nie udawało nam się udzielić prawidłowej odpowiedzi, a tata, który przez całą zimę studiował ulotki i broszury, nie mylił się nigdy. Wszystkie te kopczyki ziemi, pionowe skalne bloki i ledwie zarysowane rowy, przemawiały do mnie i traktowałem je z pewną dozą współczucia. Czułem niemal zachwyty, stojąc tam wśród niskich wzgórz, na lodowatym deszczu, patrząc na targaną wiatrem, drgającą mgłą snującą się wokół przypominających zęby kamiennych kręgów. Zdałem sobie sprawę, że czczono w tym miejscu bogów - bóstwa tej błotnistej ziemi, tego deszczu, bogów życia, które ledwie się tliło pod niepewną osłoną zwierzęcych skór. Gdy patrzyłem na kałuże wśród trawy, zauważyłem, że coś podnosi się z ziemi, i pomyślałem o upuszczonej tu dawno temu krwi, o złożonych w tym miejscu ofiarach. Kiedy leżałem tej nocy w namiocie, po kolacji z tłustego kurczaka w sali rodzinnej kolejnego pubu, i gdy

słuchałem nieustannie padającego deszczu, ani na chwilę nie opuściło mnie wrażenie bliskości tych wymagających i kapryśnych istot. I to one pokazały mi lepiej niż cokolwiek, co naprawdę znaczy być Wainwrightem na kempingu.

\* \* \*

Odkąd pamiętam, często nawiedzało mnie poczucie, że rzeczy są nieznacznie nie na miejscu, że wszechświat zachowuje się nie tak jak powinien. Ciężko mi w tej chwili wyłowić pierwsze takie wypadki z ogólnego chaosu i bałaganu dzieciństwa. Ale, na przykład, odniosłem to wrażenie, gdy zniknął mój ulubiony resorak i pojawił się ponownie wiele miesięcy później na grządce, zupełnie zardzewiały. Albo figurka Action Mana, którą znalazłem stopioną na kuchence, choć dokładnie pamiętałem, że odłożyłem ją zupełnie gdzie indziej. Tego rodzaju historie przytrafiają się wszystkim dzieciom i możliwe, że niekiedy rzeczywiście to ja byłem za nie odpowiedzialny, ale jestem teraz pewien - tak samo jak wtedy - że w większości nie było w nich mojej winy. Mama, kiedy przychodziłem do niej ze łzami i niezrozumieniem w oczach, po każdym kolejnym tego rodzaju incydencie, cierpliwie łądziła wszystko obietnicami naprawy zabawek lub, jeśli okazywały się nieodwracalnie zniszczone, wyrzucała je natychmiast. Helen pomagała niewiele bardziej. W kącikach ich oczu dostrzegałem coś wspólnego - zmarszczkę rezygnacji, która jakby mnie pytała: „A czego innego się spodziewałeś, nasz drogi Terry?”. Wkrótce zrozumiałem - obserwując nagle rozplątujące się kłęбки włóczki, co następowało zwykle, gdy mama zabierała się do robienia na drutach, i tracące wyraz oczy lalki Helen - że stanowi to również część ich życia. Tata jednak zawsze bardzo się przejmował, troszczył, a nawet wykazywał pewien rodzaj fascynacji, gdy obracał między swymi długimi palcami dowód jakiejś nowej katastrofy. „Może to jednak sam upuściłeś, co, Terry? Nie zawsze dokładnie pamiętamy, co robiliśmy z naszymi rzeczami... A może kot się tym zabawiał? Czasem zakradają się do domu. Albo wiatr zepchnął to ze stołu? Albo, chłopcze, jednak po prostu zapomniałeś? Tak, to prawdopodobne, drogi Terry, pewnie zapomniałeś, co z tym zrobiłeś...”. W miarę jak dorastałem i zarówno wypadki, jak i wyjaśnienia ojca stawały się bardziej barokowe, nauczyłem się ukrywać swe najcenniejsze rzeczy, choć - jak w przypadku owych broszur z biura turystycznego - owa taktyka nie zawsze się sprawdzała. Był to po prostu jeden z elementów naszego życia, część losu Wainwrightów - istnienie kapryśnego poltergeista, który potrafił całymi miesiącami pozostawać w uśpieniu, by nagle się ujawnić, niszcząc coś, i potem przykucał, by przyjrzeć się szkodzie z szerokim uśmiechem i dwiema blad różowymi plamkami na końskiej twarzy. Nie było to jednak coś, o czym rozmawiało się z innymi Wainwrightami. W końcu, tego

rodzaju rzeczy - martwa mysz znaleziona przez Helen w starym domku dla lalek, czy pranie, które mama rozwiesiła na sznurach, po to tylko, by znaleźć je podarte i zabłocone, rozrzucone po całym trawniku - stanowią element życia każdej rodziny. W miarę jak dorastałem i mamrotanie mamy stało się bardziej rwane i monosylabiczne, a ojciec wciąż jak zwykle radośnie tłumaczył sprawy na swój niemożliwy do naśladowania sposób, pojąłem, że my, Wainwrightowie, niewiele możemy na to poradzić. Musieliśmy po prostu nauczyć się z tym żyć.

Kempingi zawsze były pełne tych dziwnych sytuacji. Wakacje dowolnego rodzaju są najlepszym czasem do gubienia, niszczenia czy zapominania rzeczy, nawet takie wakacje, które nie wymagają rozłożenia całego dobytku na jakimś omiatanym wichrami polu. Na kempingach więc trudno było jednoznacznie określić, czy dany wypadek nastąpił z pomocą z zewnątrz czy bez niej. Nie trzeba było taty, by odkryć żabę w śpiworze bądź martwe żuki na dnie plastikowego kubka Fanty. A może był potrzebny? W którym momencie się to zaczynało? Gdzie, poza pomrukami i smutnymi westchnieniami matki i poza tym niedorzecznym błędzeniem po drodze i poza odnajdowaniem talii kart wysmarowanej psią kupą, kończyło się życie obozującego Wainwrighta, a rozpoczynało to zwykle? W naszym namiocie zimne, zatęchłe i skore do igraszek palce bóstw świata zewnętrznego zawsze były groźne, domagały się nowych ofiar i poniżenia. Ucieczka nie była możliwa.

\* \* \*

Podróż do Walii, na ostatnie wspólne wakacje Wainwrightów pod namiotem, wyglądała jak wszystkie poprzednie. Dzięki podawanym przez mamę wskazówkom zgubiliśmy się na podrzędnych drogach, tata nucił i stukał w deskę rozdzielczą, śpiewając wraz z Perrym Como. „Mam nadzieję, że zabraliście swoje paszporty” - wołał, gdy przekraczaliśmy granicę. - „Czy mógłbyś choć spróbować powtórzyć to walijskie zdanie, którego cię uczyłem, Terry?”. Był nadzwyczaj szczęśliwy i hałaśliwie wyciskał z silnika naszego volvo chmury spalin, a zgięta wół Helen wymiotowała na poboczu. Jedynym rozczarowaniem było to, że kobieta, obok której się zatrzymał, nie zrozumiała jego wersji walijskiego. No i zaczęło padać. Oczywiście, że zaczęło padać; podczas kempingowych wypraw Wainwrightów zawsze pada. Kiedy dotarliśmy wreszcie do celu (pole było spowite tak mokrą i gęstą chmurą, że nie mieliśmy bladego pojęcia, jak wygląda reszta okolicy) tata wyszedł z samochodu i przestał na moment nucić, by wciągnąć głośno powietrze i oświadczyć: „Zdrowe, świeże, walijskie opady!”, zupełnie tym samym tonem, jakim wychwalał deszcz nad jeziorami w Kornwalii, pośród gór Szkocji, i w wielu innych rejonach

Walii podczas poprzednich wypadów. Gdy zdołaliśmy się już rozpakować i rozbić obóz, zarówno my, namiot, jak i wszystko, co zabraliśmy ze sobą, przemokło do suchej nitki.

Tego wieczoru, kiedy w nikłym świetle pod przeciekającym dachem namiotu otwierałem torbę, odkryłem, że kilka kaset z najnowszymi przebojami, które starannie nagrałem z radia, przeobraziło się w zwoje lśniącej taśmy. Gdy wyczułem ją pod palcami, nie byłem zbytnio zaskoczony. W zasadzie wydało mi się to nawet zbyt banalne.

- Jakiś problem, drogi Terry?

Podniosłem wzrok. Z głupoty nie zamknąłem klapy do swojej izby i pociągnęła twarz ojca, jak zwykle uśmiechnięta, zajrzała do środka.

- Tylko to... - Przypomniałem sobie długie godziny, które spędziłem z palcem zawieszonym na przemian nad przyciskami stopu i nagrywania.

Uznałem jednak, że nie mogę mu pokazać swych łez.

- Te taśmy, co? Cóż, nie przejmuj się. Pewnie poluzowały się podczas jazdy. Tyle razy ci mówiłem, że kasety trzeba przewozić w pudełkach.

- To niemożliwe - odparłem. - Ty to zrobiłeś.

Uśmiech ojca niemal się nie zmienił.

- Jak mówię, Terry. Tego rodzaju rzeczy się po prostu zdarzają...

- Nie, nie zdarzają się!

- Dowód masz przed oczami. - Spojrzał na gęste motki taśmy.

Ukryłem rękę. Wyczułem, że bardzo by chciał ich dotknąć, przyjrzeć się im z bliska.

- Nic się nie stało. - Westchnął. - W końcu i tak nie ma nic lepszego do słuchania niż porządna klasyka.

- Przestań! To zupełnie jak ze wszystkim innym. Ze wszystkim, co się nam kiedykolwiek zepsuło czy zniszczyło!

- Oj, Terry... - Przez chwilę kącki jego uśmiechu zadrgały, a te jasnoróżowe plamki, które zawsze znaczyły jego policzki na wakacjach, pociemniały. - Naprawdę sądzisz, że to ja robię to wszystko?

W jego spojrzeniu pojawiło się coś jeszcze. Coś, czego nigdy przedtem nie widziałem. Mogła to być potrzeba zaprzeczenia, zdziwienie, jakiś rodzaj gniewu lub nawet przykrości. Wtedy się wycofał, a ja zostałem sam targany dreszczami.

Mimo bębnienia deszczu, takie rozmowy w namiocie nigdy nie są do końca prywatne i chłodne echo tej ostatniej wciąż jeszcze rozlegało się dookoła, gdy jedliśmy kolację podaną na plastikowych talerzykach. Jedzenie było na wpół zimne: w tym roku ojciec powierzył zadanie napełnienia butli gazowej mamie i teraz okazało się, że jest pusta. „Może przez

pomyłkę zabrałaś starą?... Jesteś pewna, że to załatwiłaś...? Oczywiście mógł się zdarzyć wyciek. Ci nowocześni tak zwani fachowcy...”. Takie same lub podobne wyjaśnienia słyszeliśmy już po milion razy, a matka od początku tych wakacji wydawała się szczególnie krucha. Toczyła pustym wzrokiem, jakby była o wiele starsza i bardziej zmęczona niż powinna być zaraz po czterdziestce. Zdawało się też, że jest chora, aczkolwiek w zielonkawej poświacie pod płóciennym dachem nikt nie wygląda zdrowo. Nikt prócz taty, rzecz jasna. Kiedy jadł, co chwila rzucałem na niego spojrzenie i nienawidziłem różowych plamek, które wróciły mu na twarz, nienawidziłem tego, jak żuł, nie do końca zamykając usta, sposobu, w jaki opierał talerzyk o nagie kolana i stukał palcami w oparcie składanego krzeselka, do rytmu z ulewą. Tej nocy leżałem, słuchając deszczu, i ponownie zapoznawałem się z tym uczuciem jednocześnie dławiącej ciasnoty i pustego wystawienia na świat, jakiego można doznać jedynie pod namiotem. Pojawiła się twarz ojca. Skuliłem się, tonąc wśród płótna. Mokra chmury sunęły po niebie, a ja śniłem o ofiarach składanych bogom wietrznej Ziemi, dopóki nie obudziły mnie w nieruchomej ciemności nieobecność deszczu i niezbyt odległe, ciche popiskiwanie. W pierwszej chwili uznałem, że to mysz, którą powoli rozczłonkowuje w krzewach lis bądź kot. Dźwięk był tak wysoki, tak wyzuty z nadziei. Potem przecięła go seria charakterystycznych, stłumionych okrzyków i zrozumiałem, że słyszę matkę. I zrozumiałem, że nie ma to nic wspólnego z miłością. Płakała.

Następnego ranka wydarzyło się coś niezwykłego - obudziliśmy się i zastaliśmy walijskie wzgórza skapane w promieniach słońca oraz coś, co wyglądało jak Atlantyk, zachęcająco połyskujący za niskim płotkiem na granicy pola. Wiał słaby, ciepły wietrzyk - ściany namiotu ledwie się poruszały - a ojciec, z rękoma głęboko w kieszeniach szortów, krążył dookoła i mamrotał, że prognoza pogody jak zwykle zawiodła, i o tym że spodziewał się, a nawet planował, o wiele bardziej dokuczliwą aurę. Dzień, który rozpoczął się wspaniale ciepło, wkrótce rozgrzał się jeszcze bardziej. Do południa nawet głębokie, zabłocone kałuże przed prysznicami zaczęły się kurczyć.

Jak na początek naszych wakacji, okolica tonęła w niewiarygodnym upale i wszyscy na kempingu chodzili z oszołomionymi radością minami. W końcu nie tak miały wyglądać brytyjskie wakacje pod namiotem - a już na pewno nie w Walii. W pobliżu leżała niewielka wioska z pubem o bielonych ścianach, zawrotnymi klifami i schodami, którymi schodziło się na przestronną, usianą kamieniami plażę. Pamiętam czystą woń soli, gdy ubrany w spodenki kąpielowe rozchlapywałem letnią wodę na płyciźnie. Te spodenki nosiłem zwykle jedynie w popołudnia, kiedy uciekaliśmy przed deszczem pod dach jakiegoś krytego basenu. Mama i Helen rozłożyły się na ręcznikach i czytały tanie powieści. Wszyscy nieco się opaliliśmy. Nic

z tego nie przypominało typowych wakacji Wainwrightów. Prawdę powiedziawszy, było niemal tak, jak w tych broszurach, które przemyciłem kiedyś do domu z biura turystycznego. Tata, dla którego kemping oznaczał przede wszystkim konieczność zmagania się z burzą i piorunami, starał się jak mógł ukryć rozczarowanie. Chodził rozzłoszczony w swych wakacyjnych sandałach i zanudzał sąsiadów niekończącymi się opowieściami. Rzucił rozgrzanemu niebu złowrogie spojrzenia i grał w piłkę z dziećmi, które postanowiły rozegrać mecz nieopodal opalających się mamy i Helen. W pewnej chwili, choć nie było w tym nic dziwnego i mimo że tego chyba jednak nie zrobił ojciec, futbolówka trafiła matkę w twarz.

Nocą, leżąc w czystej suchości mojej izby w namiocie i czując pieczenie opalenizny, dziwiłem się wszystkim tym nowym doznaniom. Czy właśnie tak żyją inne rodziny? Czy w ten sposób spędzają wakacje? Czy to właśnie jest prawdziwe szczęście? Wiedziałem jednak, że ten stan nie może się utrzymać. Kiedy wygrzebałem się z namiotu w sobotni poranek, słońce wciąż jasno świeciło, ale powietrze pachniało już inaczej. Ojciec wracał właśnie żwawym krokiem z kempingowego sklepiku. Wspiął się na trawiaste zbocze, niosąc siatkę pełną kiełbasek i bekonu wraz ze zrolowanym egzemplarzem „Daily Telegraph”. Szorty łopotały na wietrze. Nigdy jeszcze nie widziałem, by uśmiechał się tak szeroko.

- Nie słyszałeś jeszcze, nasz drogi Terry? Na twoim miejscu wykorzystałbym ten dzień jak najpełniej, na przykład na to twoje udawane pływanie. Powinieneś też obudzić te leniuchy, swoją matkę i siostrę, i przekazać im, żeby zaczęły wszystko porządkować na tip-top. - Z połyskującymi, czerwonymi policzkami przyjrzał się walijskiemu horyzontowi i wydał z siebie okrzyk, dzikie zawołanie, radosny zew, głośny na tyle, że mewy zerwały się z krzykiem. - Nadciąga potężna burza. Dobrze, że udało mi się załatwić butlę gazową. Wymieniłem tę, której nie napełniła twoja matka. Wieczorem przyda się wrzucić na ruszt coś ciepłego...

Inni zaczęli już się pakować. Dźwięczały paliki namiotów, samochody grzały silniki, rozlegały się radosne pożegnania ludzi, którzy mieli się już nigdy nie spotkać. „Wy jeszcze nie jedziecie?!” - zawołał ktoś. Pokręciliśmy głowami. W końcu byliśmy Wainwrightami na wakacjach, a tata uwielbiał porządne burze. Zupełnie jak w tej piosence The Carpenters, którą często nucił, mimo jej względnej świeżości - w takich razach trafiał na szczyt świata.

Do południa niebo zaciągnęło się chmurami, a kemping był już niemal zupełnie opustoszały. Kilka innych hardych istot, które postanowiły zostać, zajmowało się naciąganiem płócien, blokowaniem kół przyczep, wbijaniem w ziemię dodatkowych śledzi. Trawa się kołysała, wrzoście skrzypiały, kępy kolczastych zarośli wymachiwały gałęziami, i



kiedy rozwieszałem na linkach namiotu spodenki - mokre jeszcze po moim udawanym pływaniu - odniosłem wrażenie, że znalazłem się w oblężonej twierdzy. Niedawne dni ciepła i słońca wydawały się w tej chwili ledwie snem. Płócienne ścianki już teraz zaczęły cuchnąć tym charakterystycznym kwaśnym odorem. Powracali starzy, kapryśni bogowie mokrej ziemi, ulewnego deszczu, bóstwa nieskończonych małych zniszczeń i ofiar...

Wtedy usłyszałem dobiegający z namiotu głośny jęk. Wszedłem do środka i zobaczyłem mamę klęczącą obok Helen w jej izbie. Obie wpatrywały się we wnętrze torby ze strojami mojej siostry. Ręce miały umazane czymś, co wyglądało jak krew.

- Nie mam więcej ubrań - szepnęła Helen, patrząc na atramentową breję w miejscu, gdzie dwa lub trzy jej dziewczęco wielokolorowe długopisy wyciekły jednocześnie, brudząc wszystko, co schowała do torby. - Nie mam pojęcia jak to uprać.

- W biurze kempingu chyba mają pralkę? - spytałem z nadzieją.

- A co to da? - W tym chorobliwym półmroku oczy mamy wydawały się zupełnie czarne. Jej twarz, oświetlona niczym latarenka na Halloween, miała woskowy, zielonkawy poblask. Wyjęła chusteczkę z kieszeni i zaczęła wycierać palce. - Chyba powinnam zacząć, nim nadejdzie burza. Bo... - Zmiała chusteczkę w ciasną kulkę tak mocno, że usłyszałem pisk. - Bo może być gorzej... - Coś przeskoczyło jej w gardle. - To zupełnie jak z tą cholerną butlą. Zupełnie jak... Nie możemy tak dalej, prawda? Musimy...

Umilkła, słysząc w trawie zbliżający się szelest sandałów ojca i jego nucenie. Gdy wsunął ręce do kieszeni, zabrzęczały klucze. Stał tuż obok nas, ciemny kształt widoczny zaraz za płócienną ścianą.

Wybuchnął nagle.

- Powiedzieć tylko, że zanosi się na mżawkę i patrzcie, co się dzieje! - zawołał. - Pół kempingu znika. Ale my im pokażemy, nie? My, Wainwrightowie, zabawimy się jak nigdy w życiu, nie? Nie?

Późnym popołudniem właściciele obozowiska objechali pole swym zdrożonym landrowerem, proponując maruderom schronienie w zatęchłym karawaniu, który trzymali na uboczu. Tata stanął przed namiotem, na szeroko rozstawionych nogach, ubrany tylko w swoje szorty, z pięściami wspartymi na kościstych biodrach, ostateczne ucieleśnienie siły Wainwrightów, i pokręcił z uśmiechem głową. Tymczasem wielkie, kotłujące się chmury, daleko wyciągnięte ramię jakiejś tropikalnej burzy z drugiego krańca Atlantyku, zbierały się już na dobre. Odplynęła druga fala uchodźców - ci, którzy zrezygnowali ze stawienia czoła żywiołom na odsłoniętym walijskim polu. Słońce rzuciło znad horyzontu ostatnie krwawe spojrzenie. Sprawdziłem linki, śledzie, gumowe obręcze i wszystkie inne sznurki i paliki,

które utrzymywały namiot. Szukałem niedokładności, niedoróbki, rysy, niedociągnięcia, rozdarcia, skręcenia, które - byłem pewny - musiały pozostać po radosnych przygotowaniach ojca. Niczego jednak nie znalazłem - i ta nieobecność okazała się najgorszą rzeczą z możliwych. Mama, skulona pod ciekącymi resztkami ubrań Helen, zajęła się gotowaniem curry. Wraz z siostrą jedliśmy ze stoickim spokojem. Ojciec jednak był napięty jak jedna z naszych linek. Nucił, uśmiechał się, chichotał. W pewnym sensie było to nawet ekscytujące - siedzieć w namiocie, który zaczął się kołysać i skrzypieć, gdy tylko uderzyły w niego pierwsze krople deszczu. Potem otworzyło się niebo i już tylko siedzieliśmy, odliczając godziny. Tego było stanowczo za wiele, mimo wielu mokrych nocy, które my, Wainwrightowie, przeżyliśmy. Normalnie zagralibyśmy w karty, ale syczący, rozłopotany ryk bijącej o płótno burzy był zbyt absorbujący.

Ciekły lśniące strumienie wody. Szkielet namiotu chygotał się i jęczał przy każdym powiewie wichru, przyćmiewającym niepewny płomyk gazowej lampki. Nawet w płaszczu przeciwdeszczowym i plastikowych spodniach natychmiast przemokłem, gdy wybrałem się w swą ostatnią podróż do toalety. W drodze powrotnej przeżyłem moment ślepej paniki, kiedy pośliznąłem się w błocie, a moja latarka nie oświetlała już niczego poza kurtyną deszczu. Byłem pewien, że się zgubiłem. Chwilę potem jednak zobaczyłem namiot: oświetlony od wewnątrz, wybijający się pośród wilgotnego mroku, naprawdę wyglądał na niemal bezpieczne miejsce, prawie przytulne.

- Czyżby troszkę wiało?! - zawołał tata w ten swój żartobliwie kumpelski sposób. Ja zmagalem się z suwakiem, by zamknąć wejście. - Wy możecie się położyć. Ja przypilnuję wszystkich Wainwrightów, zadbam, żeby nie stało się tu nic złego...

Zdjąłem kalosze i plastikowe ubrania, zbyt wyczerpany, by cokolwiek się przejmować, wpełzłem do nasiąkniętego śpiwora i zwinąłem się w kłębek. Sen jest chyba poza zasięgiem - powiedziałem sobie na moment przed zaśnięciem.

I coś mi się przyśniło. Mimo że słońce świeciło tak jasno, że ledwie widziałem, byłem pewien, że w pobliżu jesteśmy wszyscy - my, Wainwrightowie. Potykając się, szedłem w stronę, z której dobiegały radosne, wakacyjne głosy mamy, ojca i Helen. Z wolna dotarło do mnie, że to boleśnie oślepiające światło ma swe źródło w połyskujących stronicach broszur, w które wpadłem. Zobaczyłem jaskrawe bary nad basenami i palmy ze sztucznego tworzywa. Ponieważ były zwykłymi zdjęciami, całość była płaska; rozczarowująca ziemia jałowa. „No chodźże, nasz drogi Terry!”. Głos taty także i tu brzmiał radośnie. „Przydałaby się nam twoja pomoc...”. Ślizgałem się, nie mogłem się niczego chwycić. W gniewie i frustracji szarpałem palcami papier, który zbijał się w ciasne, mokre kulki. Wszystko dookoła przemokło i

powlekle się brudem, cuchnęło ziemią i zamykającym się nade mną płótnem, krępującym moje wymachujące ręce, spowijającym twarz i wciskającym się do ust swym potężnym, pleśniowym odorem. Walczyłem, lecz nie mogłem się ruszyć, krzyczeć, oddychać...

„Przydałaby się nam twoja pomoc, Terry” - powtarzał wciąż tata, gdy się obudziłem i okazało się, że nadal duszę się w zmaganiach z rozszalałymi ściankami namiotu. Jego latarka tańczyła wśród burzy, ukazując płynącą trawę, zamazujący okolicę deszcz, błysk jego kolan. Ojciec, wciąż ubrany jedynie w swoje wakacyjne szorty, walczył o utrzymanie mojego narożnika namiotu, by wicher nie porwał całości.

- Świetna robota, Terry! Mamusiu, śpisz? Helen, a ty? Daję słowo, mógłby ktoś się ruszyć...

Jego głos przebijał się przez hurgot łopocącego płótna i dziki skowyt wiatru. Na wpół pogrzebany pod ściankami i błotem, odganiając smagające linki, z najwyższym trudem wydostałem się z mokrego uścisku śpiwora. Hałas był wszechogarniający. Nogi mi się ślizgały i uginały. Wysysało mi powietrze z płuc. Snop światła padł na twarz ojca. Był cały wysmarowany trawą i błotem, ociekał deszczem, lecz wciąż się uśmiechał - i nucił, śpiewał i wydawał z siebie te dziwaczne okrzyki.

- Ależ to piękne! Taki wiatr, co? Ale mógłby mi ktoś tu pomóc. - Miotał się w uścisku ze ścianką namiotu. - Możesz to potrzymać, nasz drogi Terry?

Zrobiłem jak kazał, mimo że cała koszmarna potęga burzy atakowała chyba wyłącznie mnie. Mama i Helen wyczołgały się ze swych narożników, dokładnie w chwili, w której metalowe słupki szkieletu zaczęły się giąć. Błyskawica przecięła niebo. W jej poświacie obie wyglądały jak ubłocone zombie. Ja zapewne też.

- Ach! Tu jesteście! Widzisz tę linkę, Helen? Spróbuj ją utrzymać, tak żeby nie porwało namiotu. A ty, kochanie...

Było już jednak za późno. Przy wtórce odgłosów darcia i przeraźliwego pisku szkielet namiotu pękł, rozrywając przy tym płótno. Przez mgnienie oka było widać jeszcze delikatną normalność obozowego wnętrza: ręczniki, puszki, gry planszowe i przybory do gotowania, a także klapki i kalosze oraz wiszące ubrania, które mieliśmy próżną nadzieję wysuszyć. Potem wdarła się tam noc i rozruciła wszystko. Posypały się karty i żetony do scrabble. Pusta butelka na wodę wzbijała się w powietrze. Czyjś dmuchany materac pomknął ślalomem po zboczu. W tej burzy dawało się wyczuć szczególnie dziki gniew, niemal fizyczną obecność czegoś, z czym - co zrozumiałem, walcząc nadaremno z namiotem, który wymknął mi się z palców i mnie spolickkował - walczyć nie było można.

Tata jednak zupełnie się tą katastrofą nie przejął. Wciąż się śmiał i rzucał kolejne rozkazy. Dla niego, bez względu na to, jak zła była sytuacja, staliśmy się właśnie częścią kolejnej historii, którą mógł opowiadać sąsiadom, swym uczniom i ludziom, przy których zatrzymywał się po drodze - jeszcze jedna kempingowa przygoda, świeża fala zniszczenia, jakie wniósł w nasze życie, przygoda, której będzie mógł się potem przyjrzeć i o której będzie mógł z nami dyskutować przy kuchennym stole przez niekończące się zimowe wieczory. Gdy bezskutecznie próbowałem utrzymać się na nogach, dotarło do mnie, że nadejdą następne noce, następne namioty i wakacje - pojąłem, że życie Wainwrightów wciąż będzie się toczyć tak głupio i niewiarygodnie źle.

Zajaśniała błyskawica. Podźwignąłem się na nogi i zobaczyłem, że mama trzyma w rękach słynną i szeroko omówioną podczas tego wyjazdu niebieską butlę z gazem. Teraz, gdy tata ją nappełnił, była ciężka, ale mama uniosła ją, jakby nie ważyła zupełnie nic. Ojciec, klęcząc i starając się utrzymać ostatni palik namiotu, spojrzał na nią. Deszcz wyprał nocną koszulę matki do białości. Włosy szalały wokół bladej twarzy. Znów uderzył piorun i uśmiech ojca stał się jeszcze szerszy. Mimo że mama wyglądała dziwnie, upiornie i wściekle, zapewne wyobraził sobie, że zechce przycisnąć butlą nasz rozlatujący się namiot.

- Świetny pomysł, kochanie. Gdybyś mogła...

Z siłą, o jaką jej nie podejrzewałem, mama zamachnęła się butlą i uderzyła. Gdy żelazo trafiło w bok jego głowy, ojciec zrobił zaskoczoną minę.

- ...ostrożnie... mogłaś mnie naprawdę...

Uśmiech zwiotczał, kiedy uderzyła go ponownie i rozległ się mokry trzask. Bok jego czaszki przybrał dziwny kształt. Ojciec zaczął bełkotać.

- Przydałoby mi się... mimo wszystko... trochę pomocy...

Na ustach wykwitły mu bąbelki ciemnego płynu.

- Gdybyś mogła...

Butla błysnęła po raz trzeci i oblicze ojca straciło wyraz. Chwiał się przez chwilę, po czym runął naprzód w ruiny naszego namiotu. Rozległ się plusk. Matka po prostu stała z ociekającą butlą w dłoniach i patrzyła na jego drgające spazmatycznie ciało. Helen też się trzęsła. Padając, ojciec wypuścił latarkę. Pochyliłem się, by ją podnieść z błota.

- Wyłącz to! - krzyknęła mama.

Latarka była wstrętnie oślizła. Kiedy moje palce zmagaly się bezradnie z przełącznikiem, snop jej światła świecił coraz jaśniej i szerzej, przesywał ciemność.

- Czekaaj, daj mi to... - Helen, niemal padając na ojca i przewrócony namiot, wyrwała mi latarkę z ręki. Ona jednak też nie potrafiła jej wyłączyć.

Wkroczyła matka i nasza walka z tym głupim, nieposłusznym przedmiotem trwała jeszcze przez czas, który może liczył się w sekundach, a może minutach. Potem wiatr zawył mocniej, ściana mokrej czerni uderzyła prosto w nas i kiedy latarka wreszcie zgasła, zdaliśmy sobie sprawę, że coś dziwnego dzieje się z tatą i z namiotem. Początkowo był to przede wszystkim dźwięk - natarczywy, rozdzierający. Później, gdy chmury znów zapłonęły, ujrzelśmy, że całe płótno podnosi się na wietrze. Ojciec stał się jego częścią. Patrzyliśmy na jego wymachujące, splątane linkami ręce, na pękające i gnące się słupki i na białą jak kość maskę twarzy. Wydało mi się, że się uśmiecha pokryty zakrwawionym materiałem, owijając się w jego płachty, choć myślę, że to raczej burza go ożywiała. Namiot unosił się coraz wyżej, aż wreszcie, gdy z jękiem puścił jakiś ostatni śledź, uleciał w powietrze i porywając ze sobą tatę, popłynął nad kempingiem, wciąż widoczny w migotliwym świetle burzy. Była to jedna z tych sytuacji, kiedy coś się widzi, a jednak nie widzi; chwila, w której umysł stara się pojąć wydarzenia rozgrywające się tuż przed oczami. Oszołomieni, podążyliśmy za nim. Burza rozdzierała niebo dzikimi pazurami, próbując unieść także nas; potykaliśmy się na podmokłym polu, spoglądając na namiot tańczący przed nami niczym czarna meduza. Wypadały z niego aluminiowe patelnie, druciane wieszaki i plastikowe talerzyki - cały odpad obozowego życia Wainwrightów - aż wreszcie spadł na płot, który oddzielał ziemię od klifu i morza. Jeden ze słupków pękł z głośnym traskiem. Potem wyskoczył z ziemi kolejny i w serii dzikich wrzasków rozwinął się drut kolczasty, aż wreszcie runął cały fragment urwiska i tata wraz z namiotem potoczył się w noc.

\* \* \*

Służby ratunkowe były tej nocy niebywale zajęte, ale i tak przeprowadziły intensywne poszukiwania. Gdy wraz z mamą i Helen siedzieliśmy skuleni pod kocami i czekaliśmy na wieści w bladym, fluorescencyjnym świetle kuchni właściciela kempingu, wyobrażałem sobie, że ojciec zostanie odnaleziony żywy. W końcu cała ta sytuacja była jak żywcem wzięta z jego opowieści, pasowała do jego sposobu objaśniania świata. „Cóż, owszem, namiot porwał mnie w powietrze, ale równocześnie posłużył mi za rodzaj spadochronu, a potem utrzymał się na wodzie... Tak, brzmi to niewiarygodnie, wiem, wiem...”. Już widziałem nagłówki: *CUD NA KEMPINGU. PORWANY PRZEZ SZTORM MEŹCZYŻNA OCALONY DZIĘKI NAMIOTOWI*. Widziałem też bliźniacze czerwone plamy na jego policzkach, tuż nad uśmiechem. Ale ojciec nie żył. Jego ciało znaleziono niedługo po świcie na drugim krańcu tej samej plaży, na której opalały się mama i Helen, kiedy ja się kąpałem. Powiedziano nam, że zginął wskutek obrażeń odniesionych podczas upadku. Zupełnie przy tym - jak zapewniało

nas kilku kolejnych lekarzy i policjantka - nie cierpiał. Wróciliśmy do domu i zastaliśmy go spowitego w zwykłą, powakacyjną senność. Przed drzwiami natknęliśmy się na liścik ze sklepu turystycznego, w którym znajdowały się przeprosiny za przypadkowe przekazanie mamie pustej butli na gaz. Wszystko wydawało się ciche, puste, nedorzecznie suche, czyste i przestronne. Choć trzeba przyznać, że po powrocie z wypraw zawsze nas to uderzało.

Spadły na nas wszystkie te rzeczy, których zawsze jest masa po czyjejś śmierci - wizyty krewnych, dochodzenie przyczyn zgonu, wiele formularzy do wypełnienia, kolejni krewni, prawnicy, pogrzeb - a potem życie powróciło do tego, co my - pozostała trójka Wainwrightów - mieliśmy w końcu uznać za normalność, nawet mimo że jesienne wieczory wydawały się bardziej ciche i spokojniejsze. Fundusze emerytalne i ubezpieczeniowe, które ojciec miał zapewnione dzięki szkole i związkom zawodowym, dość szybko wypłaciły nam pieniądze i matka niebawem kupiła nowy samochód - mniejszy, bardziej sportowy, czerwieniszy i ładniejszy od starego volvo taty. Ten wóz zabierał nas na drogie kolacje, zupełnie odmienne od posiłków, jakie podają w rodzinnych salkach pubów, albo do kina, gdzie oglądaliśmy durne komedie, jakich na pewno nie pozwoliłby nam zobaczyć ojciec. Siadywaliśmy w ciemności, wpatrzeni w ekran, zasłuchani w śmiech innych widzów. A potem wracaliśmy do domu.

Boże Narodzenie, co może potwierdzić każdy, kto stracił bliską osobę, to trudny okres. Sama myśl o tym, by wejść na strych i szukać choinkowych światełek i lamety tak blisko miejsca, w którym przechowywaliśmy nasz sprzęt kempingowy - „Czy rozplątałeś już lampki i ułożyłeś kabelki tak jak cię uczyłem, nasz drogi Terry? To naprawdę niefart, że rozbił się ten gipsowy Święty Mikołaj” - sprawiała nam wszystkim poważny dyskomfort. Zamiast tego więc, pewnego wieczoru mama przyniosła do domu naręczę jaskrawych broszurek reklamujących wakacje w częściach świata, gdzie jest ciepło nawet o tej porze roku, i zrobiło się prawie jak dawniej; rozłożyliśmy je na kuchennym stole i oglądaliśmy widoki pełne palm i basenów, omawialiśmy czas podróży, daty i zastanawialiśmy się nad dostępnymi w hotelach udogodnieniami. Dziwne było to, że rzeczy wciąż się często psuły. Pękł zlew na dole, rozkleiły się moje podręczniki szkolne i wyparowały ulubione perfumy Helen - na pozór wszystko to stało się samo z siebie. Jedyne, co zniknęło, to nucenie taty, te czerwone plamy na jego policzkach, rozlegające się od czasu do czasu radosne okrzyki i dziwaczne, bezsensowne wyjaśnienia, w tle których gładził palcami zniszczone przedmioty.

Wreszcie skończył się semestr i nadeszły święta. Wszyscy troje po cichu zajmowaliśmy się rozważaniem problemu, co takiego zabrać do tej nieznanej, gorącej krainy, w której ludzie pływają, opalają się i nawet w grudniu jadają świeże sałatki. Garnki, patelnie,

składane krzeselka, talie kart i scrabble i tak już nie istniały, choć dziwnie było przygotowywać się do jakiegokolwiek wyjazdu bez ich towarzystwa, a także bez wszechobecnej woni naszego utraconego namiotu. Wylecieć mieliśmy jednak wcześniej rano i zastała nas znajoma sytuacja wczesnego kładzenia się do łóżek, z jednoczesną świadomością, że nie zaśniemy. Mnie wszak udało się zasnąć i śniłem, że klęczy przede mną ojciec w tych swoich płóciennych szortach, obracając raz po raz w długich palcach coś, co wyglądało jak jego własna głowa. „Naprawdę sądzisz, że to ja to wszystko robię?” - pytał z dziwnie smutną, zranioną miną. Potem zadzwonił budzik i zwlokłem się z łóżka. Targając walizkę do schodów, zatrzymałem się przed drzwiami Helen. Zazwyczaj nie wchodziliśmy do swoich pokoi, ale coś w sposobie, w jaki stała przy oknie, sprawiło, że złamałem tę zasadę. W dłoni trzymała jeden ze swoich nowych, ulubionych, wielokolorowych długopisów. Był pokryty smugami i plamami granatu, czerni i czerwieni.

- Zostawiłam go na noc na kaloryferze - wyjaśniła. - I zobacz, co się stało. Wyciekł. Wystarczyło samo ciepło. Pewnie to samo stało się z tymi, które miałam w torbie zeszłego lata. Pamiętasz przecież, jak gorąco było w namiocie.

Popatrzyłem na jej ubrudzone dłonie. Wykręcała palce.

- Pewnie czasem rzeczy dzieją się przypadkiem - przyznałem. - Ale nie wszystkie. Na przykład moje kasety...

Helen wybuchnęła krótkim, rwanym śmiechem.

- Te twoje śmieszne nagrania?! Masz jeszcze gorszy gust niż ojciec. Naprawdę sądziłeś, że ktokolwiek zechce słuchać w namiocie twojej muzyki?

Chwyciła swój popsuty długopis prawą dłonią i udała, że trzyma coś w lewej. Dźgnęła, jakby przebijała serce, i zaczęła nim kręcić i obracać i kręcić. Domyśliłem się, że naśladuje wyciąganie taśmy z mojej kasety.

- Nie wiedziałem, że...

Wzruszyła ramionami i chciała coś powiedzieć, ale spojrzała za mnie i jej mina natychmiast uległa zmianie. Odwróciłem się i ujrzałem stojącą w drzwiach mamę. Mimo że nosiła teraz o wiele ładniejszą fryzurę, spojrzenie jej ciemnych oczu nadal było mroczne, a twarz blada.

- Znieście bagaże na dół - mruknęła i my, wszyscy troje pozostali przy życiu Wainwrightowie, wynieśliśmy walizki do samochodu, po czym wyruszyliśmy na nasze pierwsze wakacje bez namiotu i pojechaliśmy przez świat udziwniony poranną mgłą i bzyczeniem elektrycznych wózków mleczarzy, świat wyzuty z piosenek Mantovaniego, Syda Lawrence'a i Perry'ego Como.

# DYWAN Z HOBÓW

Jestem potworem, aberracją. Tak naprawdę nigdy nie rozumiałem, co znaczy być człowiekiem. Mógłbyś spróbować wysledzić, czym jestem, cofając się aż do dzieciństwa, które mnie ponoć ukształtowało. Spróbowałbyś i zapewne nie powiodłoby się to. Pod tym względem, Czytelniku, mimo że zapewne zechciałbyś temu zaprzeczyć, bardzo Ciebie przypominam.

Zostałem wychowany w umiarkowanie wpływowej rodzinie, w miarę zamożnej. Ojciec wywodził się z rodu dobrze prosperujących kupców - ludzi, którzy dawniej kursowali po Wielkiej Północnej Wodzie, ale na długo przed moimi narodzinami wykalkulowali, że o wiele więcej zarobią, handlując na jej brzegach. Osoby z linii mej matki miały jaśniejszą od zwykłej cerę i być może w związku z tym nieco bardziej dzikie i nieprzewidywalne usposobienie. Taka właśnie była: przybywający i ubywający księżyc, krążący wokół stabilnej ziemi ojca. Jej krewni byli świątynnymi strażnikami, a mój dziadek szczyił się blizną po ranie od włóczni, która naznaczyła go podczas jakiegoś młodzieńczego starcia. Pamiętam, jak odsłaniał ramię, kiedy siedzieliśmy rozleniwieni po procesji bądź uczcie, i zachęcał mnie, bym muskał palcem tę wklęsłą nierówność w jego skórze. Przypominało to dotykanie drugiego pępka, kolejnego elementu mego dziedzictwa. Biorąc pod uwagę fakt, że czasy były od dawna spokojne, otrzymał tę ranę zapewne podczas treningu. Często za dużo pił i zgorzkniał, wykonując monotonne, czysto ceremonialne obowiązki.

Nadal uważam, że wypadek podczas konnej jazdy, który sprowadził nań przedwczesną śmierć, nie do końca był przypadkowy. Wyobrażam sobie, że to właśnie owa odmienność początkowo zbliżyła do siebie moich rodziców, ta sama, która ich potem rozdzieliła. Być może wyjaśnia to również dlaczego byłem jedynym owocem ich związku, choć - o czym akurat ja powinienem wiedzieć najlepiej - niebezpiecznie jest zagłębiać zbyt głęboko w prawdę miłości, o ile taka w ogóle istnieje. Tak czy inaczej, dorastałem przeważnie w samotności, zostałem nieco rozpieszczony i prawdopodobnie otrzymałem zbyt wiele swobody dla własnych myśli i obsesji, by mi to wyszło na dobre. Tak przynajmniej często słyszałem.

\* \* \*



Budynki i ziemie naszego gospodarstwa zajmowały wiele akrów. Dom wznosił się - z tego co wiem, wciąż się wznosi - nad brzegiem tej samej rzeki, dzięki której wzbogaciła się moja rodzina, za Ósmym Mostem, w górę rzeki od Dhiol. Był bardzo ładny, o ile coś tak ogromnego można nazwać po prostu ładnym. Wyrastał z urwiska niczym dziób jakiegoś fantastycznego okrętu, na grubych szańcach ze złotego kamienia, które, odkąd utraciły swe militarne znaczenie, porosły mchem i kwitnącym bluszczem i stanowiły kryjówkę oraz karmnik dla wielu odmian ptaków i nietoperzy. Blanki, wieże obserwacyjne i wysokie chodniki, po których spacerowałem, były udekorowane flagami i ceramiką, altanami i stawami pełnymi ryb. Otwory strzeleckie, zbudowane z myślą o obronie, ozdobiono delikatnymi metalowymi jamami i barwnymi witrażami. Widok na Wielką Północną Wodę był wspaniały, widziało się stąd wszystkie barki i łodzie żaglowe przepływające poniżej, a wieże Dhiol majaczyły w pół drogi do rozległych lasów Severlandu, które z kolei spotykały się w oddali ze szczytami Dachy Świata, połyskującymi w tamtych, lepszych czasach śniegiem nawet w pełni lata. Po drugiej stronie muru rozciągała się schludna szachownica typowego gospodarstwa klasy średniej, rowy i kanały melioracyjne wypełnione wzorami nieba i ocieniających je drzew. W pewnym miejscu, bliżej głównego budynku, w samym centrum całości pola uprawne przeistaczały się w ogrody, choć trudno było zauważyć między nimi wyraźną granicę.

Teraz ten rodzinny dom wydaje mi się niemal niebem. Oczywiście, wówczas był dla mnie czymś zupełnie naturalnym, ale jeśli można wymienić jedną rzecz, którą ignorowałem bardziej niż cokolwiek innego, była to obecność hobów. Kiedy poszło się alejkami łączącymi starannie przystrzyżone bezmiary trawników, po jakimś czasie ich zgarbione plecy spotykało się równie często jak jaskółki wirujące wśród letniego zmięzchu. To oni byli pierwszym, co widziałem każdego ranka, gdy ich dłonie rozciągały grube zasłony w mej sypialni. Byli także ostatnim, gasząc palcami świece i latarnie w miarę jak cienie się wydłużały. W końcu sami również stawali się cieniami. Wyobraź sobie jednak, Czytelniku, że to wszystko jest dla Ciebie nowe, potem pomyśl o tej części własnego istnienia, która jest zawsze obecna, o czymś, co zauważyłbyś, gdyby podjęcie takiego wysiłku nie wydawało się zbyt dużą głupotą. Wyobraź sobie zapach własnych powiek, smak języka, mrugnięcie oczu czy wrażenie dotyku palców u nóg. I potem pomyśl o hobach.

\* \* \*

Podobnie jak Ty, wychowałem się w ich obecności. Nigdy nie byłem na tyle blisko z matką, by zapytać ją, czy wykarmiła mnie piersią jedna z ich samic, sądzę jednak, że sam fakt

tej mojej ciekawości wystarcza za odpowiedź; najprawdopodobniej rosłem przyssany do sutka jakiejś bezimiennej mamki. Bez wątpienia dłonie licznych hobów wykonywały wszystkie brudne zajęcia, jakich wymaga opieka nad dzieckiem. Potem, w zgodzie z wymogami tradycji, gdy zajaśniał mój trzydziesty księżyc, podczas ceremonii, której przebiegu nie pamiętam, otrzymałem załączek mej przyszłej świty, pod postacią dwóch młodych hobów.

Z pewnością oczekujesz, że opiszę teraz, jak rozwinęła się moja szczególnie silna i sentymentalna więź z owymi istotami, ale szczerze przyznaję, że nic takiego się nie stało. Nadałem im imiona Gu i Gog. Dziecinne dźwięki, które władcemu trzylatkowi wydawały się odpowiednie dla ich niemej, ufnej natury. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, dostrzegam, jak sprytnie nauczyli się rozumieć moje nastroje - wyczuwać moje potrzeby na długo, zanim wykonałem właściwy hobowy gest; w zasadzie często wiedzieli, czego zechcę, prędzej ode mnie. Niemniej, byli typowymi przedstawicielami swojego rodzaju. Błękitnoocy. Bładzi. O skośnie ściętych czołach. Pełni szacunku i poczucia winy. Przygarbieni. Pozbawieni języka i jakiegokolwiek świadomości własnej płci, choć byłem wówczas za młody, by pojąć, co oznaczają lśniące blizny, jakie niekiedy dostrzegałem w ich otwartych ustach i pod zgrzebnymi kiltami. Byłem nieświadom - zgodnie z popularnym powiedzeniem - jak dziecko z nowym hobem. W tych nielicznych wypadkach, gdy zauważałem istnienie Gu i Goga, zabijałem czas, zlecając im wykonywanie jakichś bezcelowych i poniżających zadań. „Weź. Odłóż. Przynieś. Zabierz. Kładź się na plecach. Zamachaj nogami. Zjedz gównno. Dysz jak pies. Przynieś”.

Gdy teraz myślę o obu moich milczących i zazwyczaj ignorowanych towarzyszach, nie czuję tej płacziwej nostalgii, z jaką wielu ludzi wspomina swych pierwszych służących, czy to Pipa i Popa, czy Bu i Ba. Czuję jedynie pustkę i nikłe wyrzuty sumienia, które urastają do odrazy, kiedy przypominam sobie częste sytuacje, gdy Gu lub Gog - czy powiedziałem już, że nie zadawałem sobie trudu rozróżniania ich? - byli wiązani i do krwi chłostani za moje własne występki.

\* \* \*

Hobowie są w naszym świecie dosłownie wszędzie, ale ci, którzy nie należą do niczyjej świty, są najczęściej płochliwi jak fauny. Chyłkiem uciekają w głąb korytarzy lub kryją się wśród roślin, gdy tylko wyczują, że się zbliżamy. Znikają tak błyskawicznie i skutecznie, że my, ludzie, rzadko zdajemy sobie sprawę z ich obecności. Jeśli się głębiej nad tymi sztuczkami zastanowić - czego ani razu nie uczyniłem - wydają się bez mała magiczne.

Fakt jest jednak taki, że hobowie słyszą nas i wychwytyją nasz zapach, zanim jeszcze nas ujrzą. Ujmując to w grubsze słowa, śmierdzimy im tak bardzo, jak oni nam, i nauczyli się wykrywać naszą obecność równie dobrze, jak my nauczyliśmy się ich nie zauważać. Hob - człowiek. Ignorowany - zauważany. Na tym - jak mi się czasem zdaje - polega prawdziwa różnica.

Mimo że nie zaprzątałem sobie głowy podobnymi kwestiami, byłem żywym i ciekawskim dzieckiem, a moi rodzice dopilnowali, bym dorastał w odpowiednim towarzystwie akademików i kapłanów, którzy znajdowali mi zajęcia i utrzymywali z dala od matki i ojca. Niezmordowanie poznając świat, o wiele bardziej wolałem spacerować po polach i alejkach naszego gospodarstwa, niż siedzieć w ciasnym pokoju na piętrze, w którym miałem się uczyć. Moi wychowawcy to w większości byli rozsądni i inteligentni ludzie - a także dość szybcy w nogach, jak na uczonych - i zazwyczaj chętnie mi w tych wyprawach towarzyszyli.

Gdy opanowałem podstawy kaligrafii i numerologii, stałem się wyrostkiem o nieustannie zmiennych fascynacjach. Dlaczego kwiaty mają zawsze taką samą liczbę płatków? Dlaczego niebo jest niebieskie, a gwiazdy widać jedynie nocą? I na czym dokładnie polega mechanizm zmian pór roku?

Potem zacząłem zadawać jeszcze bardziej zagadkowe pytania. Na przykład, jak to jest, że skoro bogowie są nieskończenie mądrzy, ludzie otrzymują różne odpowiedzi podczas modlitw? I dlaczego hobowie, których wygląd jest tak bardzo zbliżony do naszego, są tak od nas odmienni...? Być może to ostatnie pytanie zadałem jakiemuś zdyszczanemu nauczycielowi, idąc żwawym krokiem wśród kwiecistych alejek lub po wyłożonym złotem murze. A hobowie z ogrodu, jak zawsze, gdy tylko zwąchali naszą bliskość, uciekli, podczas gdy ci udomowieni, ocieniający nasze głowy baldachimami i wachlujący, czekali na gest przywołania. Nasza dysputa trwała, kiedy rozłożyliśmy się na poduchach umieszczonych na ich zgiętych grzbietach i rozkoszowaliśmy się napojami niemo podsuwanymi przez ich niezauważane ręce.

Zimą Dhiol stawało się mniej przyjaznym miejscem. Mimo że handel nie ustawał, a rzeka w tamtych czasach nigdy nie zamarzała, rody z naszej klasy na mocy niepisanego zwyczaju wybierały się w podróż w dół rzeki, poprzez góry i niziny, by uciec przed najgorszymi chłodami. Niekiedy przepływaliśmy przez Morze Ograniczone, by popробować rozkoszy miast Ulan Dor czy Thris. Na długo, zanim osiągnąłem swój setny księżyc, stałem już na Złotym Szczycie i liczyłem - a przynajmniej starałem się policzyć - święte flamingi. Jechałem też na słońiu podczas Parady Bóstw i dąłem w święty róg, by uczcić wylew Rzeki

Boga. Widziałem kapłanów w karmazynowych szatach, niosących skóry swych ofiar, gdy schodzili po stopniach wielkiej świątyni w Thlug.

Zawsze jednak, bardziej niż samo dotarcie do celu, pociągała mnie droga; procesja krajobrazów zmieniających się, gdy płynęliśmy ku Wielkiej Północnej Wodzie, potem widoki wysp, szerokie horyzonty i zmienne nastroje morza. Jako ród kupiecki, wybieraliśmy zawsze najlepsze okręty. Zatem, bez względu na pogodę, czułem się na ich pokładach bezpieczny. Statki również były miejscami odkryć. Po bezkresnych alejach naszego gospodarstwa mieszkanie w takiej ciasnocie, w której - na trapach i w ładowniach i pod pokładami - czekały świeże niespodzianki, było w pewien sposób wyzwajające.

Podczas rejsów nie dało się uniknąć bliskości hobów. Gdy patrzyło się w górę, na żagle, widziało się ich dziesiątki. Wspinali się po sznurowych drabinkach jak mały w dżungli. Kiedy spojrzano na wodę, oczom ukazywały się niestrudzenie pracujące wiosła; było słycać rytm serca okrętu pod postacią bębna w siłowni. Na samym pokładzie zawsze któryś ciągnął za jakąś linę, lub polerował żelazne i mosiężne elementy. Obchodziłem ich tak, jak omija się na ulicy słup latarni, ale też przyglądałem się ich pracy, z typowym dla siebie abstrakcyjnym zainteresowaniem. Nauczyłem się bawić analizowaniem konfiguracji żagli i wypytywałem żeglarzy o ich role na statku. Co jakiś czas jedna z postaci, które z tak akrobatyczną dezynwolturą poruszały się w takielunku, wskutek źle wymierzonego skoku spadała do morza. Lecąc, nigdy nie wydawali z siebie ani jednego dźwięku. Okręt płynął dalej. Pamiętam, że kojarzyło mi się to ze spadającymi z gałęzi jabłkami. Rozważałem nawet napisanie o tych wypadkach wiersza, choć nigdy się do tego nie zabrałem. Traktowałby zresztą raczej o sadach niż o hobach. Majtkowie, oficerowie i nawigatorzy niezmiernie szcycili się swymi statkami i równie chętnie pokazywali mi cuchnące, hałaśliwe siłownie, jak demonstrowali swą wiedzę na temat gwiazd. Na dole, na wysokości linii wodnej, bez przerwy rozlegało się dudnienie motywacyjnego bębna, któremu towarzyszył ruch - ślizgającego się trzeszczącego drewna wiosła, napinających się mięśni hobów, potężnych jednoczesnych wdechów i wydechów - wszystko to można było wyczuć głęboko we własnej piersi. Gdy schodziliśmy po schodkach, kapitan czy któryś z nadzorców objaśniał mi szczegółowo kwestie długości wiosła, mechanikę dulek i liczby obsługujących je ramion - nigdy nie wspominali przy tym o całych ciałach hobów. Osoby z delikatnym żołądkiem mogłyby uznać podobne sceny za piekielne, ale słuchając o prędkości uderzeń, wymaganym kącie natarcia i wachtach, widziałem hobów w taki sposób, w jaki patrzyli na nich marynarze, jako jednolitą, zbitą masę mięśni. Śwąd i odchody, niedostatek świeżego powietrza, ciała - elementy - które zawodziły podczas zmian i musiały zostać wyniesione, wyrzucone i

zastąpione bez zmiany rytmu - wszystko to były problemy czysto techniczne, rozmawiało się o tym tak, jak inżynierowie od melioracji mogliby rozmawiać o przepływach i zalewach.

Pierwszy mój bliższy kontakt z hobem, nie licząc bezmyślnych spotkań z domową świtą, nastąpił właśnie podczas jednej z tych oceanicznych podróży. Był wtedy blady poranek, a okręt otaczało bezkresne morze. Zbudziłem się wcześniej i zastałem wszystko zasłonięte mgłą, lśniąca, śliskie i popielatoczarne. Wciąż przechodziłem swój okres układania wierszy, których nigdy nie zapisywałem, i pamiętam, że stojąc przy burcie i spoglądając w niknącą pustkę, myślałem o tym, że sam statek, ukryty, poszarzały, jest utkany z tych białych oparów. Bez wątpienia stale bił bęben w siłowni, wiosła młóciły wodę - cały okręt huczał i skrzypiał jak zawsze - ale rejs trwał już kilka dni i czułem tylko ciszę, a oddychałem jedynie mgłą i martwotą.

Potem pamiętam już tylko wirujący świst i to, jak padam na bok na pokład. Gdy odzyskałem zmysły, odkryłem na sobie ciężar innej żywej istoty i ujrzałem czyjąś twarz. Nim się podniósł i odbiegł we mgłę, nie zauważyłem niczego poza ogólnymi cechami typowego hoba - brak podbródka, krzaczaste brwi, szeroki nos, blada skóra i rozczochrana czupryna rudawych włosów. Kilku marynarzy rzuciło się natychmiast ku mnie. W chwili, gdy tłumaczyłem, co zaszło, wydawało się to niemożliwe, by dotknęła mnie - zaatakowała - taka bestia. Wtedy jeden z marynarzy wyszczerzył się w uśmiechu i wskazał na stertę metalu i leżących na pokładzie lin. Zapewne to jeden z bloków wysoko na masztach pękł i trafił mnie wśród mgły. Gdyby nie interwencja hoba, już bym nie żył.

\* \* \*

Minęła kolejna zima i moja rodzina wróciła wraz z ptakami do gór i lasów chłodniejszej północy. Nasze ogrody wynurzały się spod śnieżnych pierzyn, dom zastaliśmy idealnie wysprzątanym, łóżka rozgrzane, pościel wywietrzoną, na stołach znaleźliśmy miski pełne owoców i słodczy, a we wszystkich kominkach płonął ogień. Szczególnie ogrody wyglądały wspaniale o tej porze roku, kiedy roślinność szykuje się do wzrostu. W odpowiedzi na moje nieustanne pytania o cel istnienia owadów oraz mechanizmy rozwoju i dojrzewania żywych istot, rodzice wyznaczyli mi na towarzysza Karika, najstarszego z nadzorców ogrodowych klanów.

Wszystko, co się mówi o nadzorcach hobów, jest prawdą. Karik był wysoki i się nie garbił. Miał szeroką, przystojną twarz, a skórę arystokratycznie ciemną. Na wszystkie sposoby był jak najdalszy wyglądem od swych podopiecznych. Z drugiej jednak strony, pozostałymi cechami nie różnił się od nich wcale. Przechadzając się wśród pól i sadów,

przerywał swe wykłady na temat tego, kiedy powinno się orać ziemię, czy przycinać drzewa i przywoływał jakieś stworzenie, którego ja - zaszuchany - nawet nie zauważyłem, po czym okładał je mocno i skutecznie swą nieodłączną laską. Nigdy nie wyjaśniał dlaczego. Gdy odchodziliśmy, oglądałem się i widziałem hobów, którzy porzucali swe zajęcia i podbiegali, by pomóc swemu... Jak go nazywali? Towarzyszowi? Bratu? Przyjacielowi? Koledze?

Być może fakt, że zacząłem zastanawiać się nad takimi sprawami, stanowił pierwszą oznakę mojej późniejszej obsesji. Karik posługiwał się laską z równą zręcznością, z jaką wykonywał wszystkie pozostałe zadania. Jestem pewien, że niektórzy hobowie kończyli z połamanymi kończynami, mimo że inni podnosili się z ziemi o własnych siłach i wracali do pracy. Podejrzewam, że kilku zabił. Karik jednak wiedział co robi i wydaje mi się, że hobowie również zdawali sobie z tego sprawę. Poza laską Karik zwykle nosił przy pasie kilka narzędzi ogrodniczych. Miał ekscentryczny zwyczaj przystawania co jakiś czas, pochylania się ku ziemi i zrywania pędu lub wykopywania jakiegoś chwastu. Gołymi rękami! O tej gorączkowej porze roku, gdy sadzono nowe rośliny, brał niekiedy drewniany, ostro zakończony przedmiot, który nazywał sadzakiem, wbijał go w glebę i umieszczał w ziemi delikatną sadzonkę lub garść nasion. Przyglądałem się tym czynnościom ze zdumieniem. Wydawało mi się to równie niebywałe, jak na przykład kucharz-człowiek samodzielnie obierający warzywa, kominiarz osobiście wspinający się na komin, czy krawiec zszywający własnymi dłońmi fragmenty sukni. Gdy jednak Karik zachęcił mnie, bym sam spróbował, odkryłem, że naprawdę podoba mi się ziarnisty dotyk ziemi i ciemna woń, która pozostawała na moich palcach. Wciąż to lubię.

Będąc studentem ogrodnictwa, studiowałem również zajęcia hobów. Miałem już wtedy wrażenie, że poznałem całe nasze gospodarstwo, lecz przechadzając się z Karikiem, a potem samotnie - wciąż znajdowałem nowe krajobrazy, pokryte mierzwą roślinności wzgórza i niskie łukowate wejścia, jakie dotąd mijałem bezmyślnie w domu, prowadzące wąskimi schodami ku zadymionym jaskiniom. Hobowie krzatali się tam bez przerwy. Przez cały czas coś wynosili lub przynosili, brodzili w rowach melioracyjnych, dźwigali pranie lub pozbywali się nieczystości. Zaglądając w te niezwykle miejsca, natykałem się na pralnie i szopy garncarzy. Były też przypominające pieczary kuchnie, wielkie szklarnie, gwarne warsztaty i podziemne bezmiary zakurzonych mebli, czekających na powrót mody.

Pewnego razu, gdy badałem ogrody, ponownie odnalazłem zakątek, który Karik pokazał mi kilka księżyców wcześniej. Dzięki wszystkiemu, czego się już nauczyłem, byłem przekonany, że szopy garncarzy będą wręcz przedwiosenną aktywnością, ale wbrew przewidywaniom okazały się puste. Poszedłem dalej i pod ziemię mrocznymi korytarzami,

ciekawski jak zawsze, rozkoszując się dotykiem i smakiem - był zbyt intensywny, by nazywać go po prostu zapachem - tłustej, miękkiej ziemi. Gdzieś w powale otwierały się świetliki, dekorujące ciemność po złotą żyłek słońca. Korzenie i pędy, jakie wyczuwałem pod palcami, mogły być najświetniejszymi koralami. Po jakimś czasie zauważyłem coś przed sobą i dalej poszedłem nieco ostrożniej. Wiedziałem już, że jeśli zajść ich pod wiatr i poruszać się cicho, można niekiedy podkraść się do pracujących hobów niezauważonym.

Opleceni pasmami oślepiającego światła, Karik i hobka zwarli się w jakichś dziwnych, wzajemnych paroksyzmach. Scena wydała mi się niepokojąco piękna. Oboje wydawali z siebie głuche dźwięki, a ich głosy, pomrukiwanie hoba i ludzkie okrzyki, mieszały się w sposób przywodzący na myśl święte pieśni. Ich połyskujące ciała unosiły się i opadały. Zgięta w pół hoba, trzęsła swą grzywą pośród złotej piany. Karik wierzgał i szczyrzył zęby. Spływał potem. A jego penis, długi co najmniej tak jak jego sadzak, na przemian wbijał się i wynurzał z intymnych okolic hobki, odpowiadającej na jego ruchy, wystawiającej się na nie. Po chwili z ochrypłym rykiem, który narodził się gdzieś w głębinach płuc Karika, zagłuszonym niemal pod koniec przez wyższy wrzask hobki - czynność, w której się tak zapamiętali, dobiegła końca.

Oba stworzenia, człowiek i hob, oderwały się od siebie i padły na miękką ziemię. Karik coś wymamrotał i hobka, wstając z kolan, odpowiedziała cichym ryknięciem. Jej spojrzenie powędrowało wzdłuż tunelu do miejsca, w którym stałem ja, i gdy otrzepała brud z piersi, cofnęła się w mrok i natychmiast zniknęła. Karik popatrzył w tę samą stronę, z jego wciąż sztywnego penisa ściekła połyskująca kropelka. Gdy ujrzał mnie skulonego w cieniu, odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się niczym Bóg.

\* \* \*

Hobowie rodzą się samcami lub samicami. Nie składają jaj, nie mają dziobów ani łusek. Nie mieszkają w gniazdach czy głębinach oceanu. Nie zakwitają i nie zapuszczają korzeni. Mają co prawda dziwnie bladą skórę i gęste rdzawe czupryny i są szersi i niżsi od nas, ludzi, ale poza nami są jedynym znanym gatunkiem, który porusza się na dwóch nogach. Ich twarze są, owszem, nieco bardziej płaskie niż nasze, lecz oczy, usta, uszy i nosy bardzo przypominają ludzkie. Prawdę powiedziawszy, ich ciała są podobne do naszych pod każdym znaczącym względem. Posiadają również penisy i pochwy - chyba że zostaną im usunięte.

Jako że przebywający na świeżym powietrzu hobowie pracują zwykle nago, dziecko, nawet o wiele młodsze i mniej ciekawskie ode mnie, od dawna już powinno się zaznajomić ze wszystkimi tymi faktami. Nawet Ty, cierpliwy Czytelniku, rozumiesz już podobieństwa

geometrii ciał ludzi i hobów. Jesteśmy do siebie zbliżeni zupełnie inaczej niż konie i psy, owce i bydło czy wszystkie inne służebne istoty. I właśnie dlatego, jak sądzę, utrzymujemy między sobą tak wielki dystans.

To, co wydarzyło się pomiędzy Karikiem i hobką, bardzo mnie zadziwiło, może nawet nieco mną wstrząsnęło, i przez resztę tamtego lata byłem dzieckiem bardziej cichym i mniej wszędobylskim. Stałem się chłopcem, którego, ku uldze rodziny i nauczycieli, cieszyło siedzenie w pokoju wysokiej wieży i poszukiwanie wiedzy w starożytnych pergaminach.

Po niepewnych początkach pogoda owego roku okazała się gorąca. Bardzo gorąca. Nikt nie pamiętał, by tak daleko na północy temperatury wzrosły tak bardzo. Ludzie chodzili pod wachlarzami i baldachimami - o ile w ogóle chodzili - a gości przyjmowali, siedząc w chłodnych basenach ozdobionych wodnymi liliami. Dywany zwijano. Łóżka wynoszono na balkony. Hobów oderwano od ich zwykłych zajęć i polecono im zaganiać powietrze do złożonego systemu przewodów wentylacyjnych. Widoczne za moimi oknami ogrody migotały i jaśniały. Potem, ledwie na parę dni przed planowaną ucieczką mej rodziny ku chłodniejszym wiatrom wybrzeża, niebo nad Dhiol wreszcie pociemniało. Oderwałem się od pracy, uniosłem wzrok i w duchu prosiłem Bogów, by obdarzyli nas gromami. I - w jednej, przypominającej moment otwarcia śluzy, chwili - tak właśnie się stało. Porzucając swą świeżo nabytą powagę, pomknąłem schodami w dół i wypadłem na rozjaśnianą błyskawicami burzę niczym rozemocjonowane dziecko, którym jeszcze po części byłem. Rozpostarłem ramiona i odrzuciłem głowę do tyłu. Gdy zeskakiwałem z brzegu rybnego stawu, poczułem, że moja prawa noga traci grunt, skręca się i wygina z głośnym trzaskiem.

\* \* \*

Złamanie okazało się paskudne. Przez kilka dni leżałem w malignie, z lekarstwami i bólem. Kiedy wreszcie odzyskałem przytomność, stwierdziłem, że zostałem unieruchomiony w wielkim, obcym łożu. Spojrzałem na zdobne draperie, malowane drewniane łuki i poduchy wielkości drzwi, z których składała się owa - przypominająca kształtem łódź - konstrukcja, i wydało mi się, że ją sobie przypominam. Zalało mnie echo gorączki i krzyknąłem. Przez chwilę bałem się, że umarłem i leżę we własnym grobowcu, lub, co byłoby o wiele gorsze, zostałem pogrzebany żywcem. Między falującymi dekoracjami ukazała się na mgnienie oka twarz hoba. Przeszył mnie ostry ból. Znów głośno jęknąłem i spróbowałem wyrwać się z tego pozłacanego więzienia. Rozległy się czyjeś kroki, zafalowały wyobrażone na zasłonkach sceny polowań i leśne krajobrazy. Skrzywiłem się, oczekując widoku jakiegoś mahoniowego strażnika zaświatów. Ujrzałem jednak tylko matkę. Mówię „tylko”, lecz przyszła jak zwykle



otoczona okazałą świtą osobistych hobów, odzianych w jedwabie jednocześnie uzupełniające i zlewające się z jej własnymi szatami. Dźwigali słupki wielkiego szkarłatnego baldachimu, który bliżej jej głowy ewoluował w kapelusz, i wachlowali ją farbowanymi, posrebrzanymi strusimi piórami i kadzidłami, a także rozsypywali różane płatki, po których miała zwyczaj chodzić, zbierając je, gdy tylko przeszła, oraz taszczyli jej olbrzymi jedwabny tren, przypominający gigantyczny rybi ogon. Brzdąkali też na niewielkich instrumentach, tworząc dla niej nieodłączną aurę dźwięków. Uśmiechnęła się, ujęła - naprawdę - na chwilę moją dłoń i spytała, czy czuję się lepiej. Mimo oczywistej głupoty mojego wypadku, była w łagodnym nastroju. Przyznała, że przez jakiś czas obawiała się najgorszego i kazała przejrzeć rodowe grobowce, a to łożo przygotowano na wypadek, gdyby gorączka zabrała mnie poza tę Ziemię. Kiwałem z uśmiechem głową. Ból i zaskoczenie mijały. Popatrzyłem na gęste, owocowe rzeźbienia i zrozumiałem dlaczego to łożo mi się mgliście przypomniało. Natknąłem się na nie pewnego razu podczas mych wędrówek przez wielkie magazyny, stanowiące część ukrytego krajobrazu tego domu.

- Przygotowania do podróży na południe - powiedziała matka - są zbyt zaawansowane, by ją odwołać. Podpisaliśmy już umowy. Przyrzekliśmy wizyty. Złożyliśmy ofiary. Zorganizowaliśmy uczyty i inne rozrywki. A przede wszystkim zapłaciliśmy. Udamy się z twoim ojcem w dół rzeki jak zwykle, ale omówiliśmy sprawę i postanowiliśmy, że w obecnym stanie nie możesz z nami pojechać. Zostaniesz na zimę w gospodarstwie i się wykurujesz. Wszystko już ustalone.

Wspaniała wizja, klejnot oprawiony jej wonnym blaskiem i muzyką sług. Odwróciła się i zasłona opadła.

\* \* \*

Rodzice dopilnowali, by towarzyszyli mi nauczyciele wykładający przedmioty, których nie chciałem się już uczyć, a także kapłani przypominający mi o sprawach Bogów, w których przestałem wierzyć. Umówiono także odwiedziny krewnych i znajomych, po których - i oni, i ja - mieliśmy przesyłać raporty. Dostałem dla rozrywki papugę - która wkrótce uciekła przez okno i pojawiła się ponownie kilka dni później, pod postacią kępki barwnych piór na śniegu. Mimo to, bardziej dojmująco niż zwykle, nie miałem poza własnym znośnego, ludzkiego towarzystwa. Uderzało mnie niekiedy, że sposób, w jaki poruszałem się po domu i okolicy, był raczej dziwaczny, nawet jeśli jest to coś, co Ty, Czytelniku, zapewne widzisz regularnie ze swego okna, o ile tylko mieszkasz w mieście. Nie mając jednak innego zajęcia dla myśli, zaciekałem się złożonością i różnorodnością procesu, za pomocą którego świta

moich hobów nosiła moją świeżo zniedołężniałą osobę. Jako że nasz dom był równie bogaty w zwierciadła, jak ogród w stawy, mogłem nawet obserwować całą procesję, jakbym przyglądał się komuś innemu. Najpierw dwóch czy trzech hobów przyjmowało pozycję prostego półkucnięcia, niemal jakby siedzieli na nasz ludzki sposób, po czym wyciągałem się na jedwabiach i poduszkach, które ułożyli wcześniej na swych ciałach, a następnie czterech lub sześciu innych, stojących pod tą pierwszą warstwą wyginało plecy w różnaitość postaw, które zapewniały odpowiednią stabilność i mobilność. Do pokonywania schodów i pochyłości służyła pozycja, którą nazywałem „toczącymi się plecami”, polegająca na tym, że około tuzina - lub w razie konieczności więcej - hobów, układało się na wznak twarzami do góry na nierówności i przenosiło skłębiony węzeł tych, którzy mnie podtrzymywali, w górę, względnie w dół. Była też pozycja „ramiona nad rękami”, pozwalająca radzić sobie z ostrzejszymi stromiznami, kiedy to hobowie układali z własnych kończyn coś w rodzaju stopni, i jeszcze - najdziwniejsza ze wszystkich; tę w myślach określałem „dywanem z hobów” - w której, po tym, jak zasygnalizowałem gestem, że jestem zmęczony pozycją siedzącą i chcę rozprostować działające członki, moja spleciona, zręczna świta ustawiała się tak, że mogłem się wyprostować i iść. Tymczasem hobowie podtrzymywali moją usztywnioną nogę jakby nie była złamana.

Tak oto codziennie jeździłem na wijącym się tronie z hobowych ciał, korzystając z przyjemności, które zwykle są zarezerwowane dla dzieci, starców, leni i chorych. Muszę tu przyznać, że jest coś uzależniającego w sytuacji, kiedy wyciąga się rękę po coś poza zasięgiem ramion i już po chwili ma się ów przedmiot w dłoni. Jak sobie wyobrażam, bez większego trudu mogłem im kazać przeżuwać za siebie jedzenie i w ogóle wykonywać wszelkie zewnętrzne funkcje własnego ciała.

Łazienka znajdowała się w przylegającym do moich pokoi korytarzu. Co rano podnosił mnie z łoża delikatny dotyk dziesiątek rąk. Wciąż leżąc, pogrążony w półśnie, miałem wówczas okazję docenić te cechy mojego otoczenia, których wcześniej nigdy nie zauważałem. Patrząc w górę, dostrzegłem, jak pięknie sklepiony jest długi, wysoki sufit, ozdobiony gładzonymi kamieniami. Sama łazienka była przestronna, ociekała kandelabrami, które w mroku tych zimowych poranków lśniły tysiącami świec, dopiero co zapalonych przez niewidzialną armię hobów. Ich blask igrał na kafelkach, na marmurze i filigranowych glicach; lśnił na snach jakiegoś dawno zmarłego architekta, zmaterializowanych dzięki wysiłkowi hobów, którzy odeszli jeszcze wcześniej. Tę scenę, Czytelniku, możesz zapewne porównać z własnym życiem. Możesz też złorzeczyć z powodu prostoty mego opisu, gdyż, jeśli my, ludzie, jesteśmy w czymś dobrzy, to właśnie w projektowaniu budowli wymagających prawie

nieskończonej pracy cudzych rąk. Kąpiel również była prosta, odbywała się w głębokim, parującym jeziorku o brzegach z białego marmuru. Te same ramiona i dłonie, które przyniosły mnie z łoża, delikatnie pozbawiały mnie nocnego odzienia i układały pośród wysepek z płatków róż i wonnych świec. W jakiś niezrozumiały sposób udawało im się nawet podtrzymać nad wodą i uchronić od zamoczenia moją złamaną nogę.

Tak czy inaczej, był to spokojny i bezproblemowy początek dnia. Oczywiście, dość często nie był wcale jeszcze początkiem, ponieważ odpływałem w łatwy sen, ku kontynuacji nocnych marzeń. W nieunikniony sposób, jako że byłem mężczyzną i osiągnąłem już określony wiek, te pólсны miały pewien konkretny wpływ na niektóre elementy mej anatomii. Budząc się, zastawałem swój członek we wzwodzie. I tej samotnej zimy, w kołysce pary i dłoni, odkryłem metody radzenia sobie z owym stanem.

Nie czułem szczególnego wstydu, gdy delikatne, podtrzymujące mnie dłonie zmywały oznaki mej porannej aktywności. Odczuwałem za to pewną ciekawość. Czynności płciowe, nawet tak przyziemne, budzą ją wszak nieodmiennie. Zacząłem się więc zastanawiać, czy skoro można robić to, to dlaczego nie coś innego. Muszę w tym miejscu przyznać, że nie byłem wielkim eksperymentatorem, ale po niedługim czasie stwierdziłem, że podoba mi się sposób, w jaki wierne, służalcze dłonie dotykają niektórych obszarów mego ciała, zwłaszcza w chwili, kiedy osiągałem szczyty zadowolenia. Nieco później zacząłem zlecać tym rękom, by zrobiły to czy owo i, prawdę powiedziawszy, po pokonaniu słabego, wstępnego oporu nie musiałem ich specjalnie do tego nakłaniać.

Śnieg stoczył się z górskich szczytów niesiony przez gęste chmury, które wydawały się zbyt czarne, by móc zawierać w sobie coś tak cudownie białego. Moja noga z wolna nabierała sprawności. Pod nadzorem lekarza zdjęto mi łubki i zastąpiono je lżejszym opatrunkiem. Zachęcano mnie do kąpieli. W ich trakcie, wygibasy, jakich domagałem się od swej świty hobowych ciał, stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Wkrótce zbędne stało się używanie mej własnej ręki i zacząłem korzystać z wijącego się, zręcznego zestawu ich pochw, piersi, ust i odbytów. Później zaczęła mi wadzić sama woda. Mogłem już wówczas chodzić, lecz często żądałem, by transportowała mnie owa zbita orgia. Przetaczałem się przez rozbrzmiewające echem korytarze i pokoje mego domostwa pośród obdarzonych wieloma kończynami, grzbietami i pośladkami pięści zmieszanych, hobowych i ludzkich ciał.

\* \* \*

Śniegi się wycofały, kanały załśniły i Wielka Północna Woda zahuczała topniejącą zmarzliną spod murów.

Zanim powróciła świta mojej rodziny, byłem już w stanie chodzić bez pomocy i bez laski, lecz gdy patrzyłem na flotyllę łodzi płynących w górę rzeki w jasnym, wiosennym słońcu, ujrzałem łopocące czarne flagi i usłyszałem dźwięk żałobnych tręb.

Matka powitała mnie dzień lub dwa później w kaplicy, którą urządziła w swojej części domu. W jednej z przestronnych komnat została wzniesiona ciemna grotka. Ułożono ją z wielkich głazów, upstrzonych mchami i paprociami, które symbolizowały wejście do świata podziemi. Szumiał wodospad. Pobłyskiwały diamenty rozrzucone na strojnym w kwiaty trawniku rozłożonym na posadzce - echa łąz, które powinna ronić.

- Cóż - odezwała się, obrzuciwszy mnie spojrzeniem od stóp do głów, gdy wkroczyłem do tego dziwnego miejsca. Wokół igrały plamy światła. W czerni matka wyglądała wspaniale. - Z zadowoleniem stwierdzam, że przynajmniej niektóre z naszych modlitw i ofiar nie okazały się daremne w tym czasie wielkiej straty. - Westchnęła cicho. Świta jej hobów czekała, chłoscząc pejcjami swe skrwawione torsy. - Choć wierzę, że Bogowie słusznie uczynili, powołując do siebie twego ojca. Prawdę powiedziawszy, niemal żałuję, że nie zrobili tego wcześniej. Na długo przed gorączką, która go ostatecznie powaliła, nawiedziły go słabość i gnuśność. Teraz to ty, mój kochany, musisz się stać mężczyzną, jakim on był dawniej.

\* \* \*

Ciało mojego ojca, gdy tylko balsamiści skończyli swą pracę, złożono w wielkiej łodzi pogrzebowej, która poniosła nas w górę rzeki, przez Dhiol, poza lasy Severlandu, ku grobowcom naszego rodu na Dachy Świata. Wysiedliśmy na rzeźbioną, obsydianową platformę, która czepiała się gładkiego zbocza lodowca, zawieszona na skomplikowanym systemie lin. Otaczały nas teraz olbrzymie góry i tęskniłem do ciszy, w której mógłbym kontemplować kruchość istnienia i bezmiar wieczności - lecz wciąż mimowolnie zauważałem dziwne i nieistotne rzeczy. Dostrzegłem na przykład, że mieszkający w tej mroźnej krainie hobowie, których sfory pracowały, ciągnąc za sznury, nie noszą wcale grubszych ubrań od swych nizinnych pobratymców, podczas gdy my, ludzie, musieliśmy się ukrywać pod warstwami ciężkich futer.

Tunel wiodący do najdalszej komory, którą mój ojciec budował przez wiele lat, był oświetlony za pomocą przemysłnych układów luster i lodowych tafli. W ścianach wryto sceny z jego życia, odtworzone w skali i przepychu, jakie same w sobie czyniły zmarłego równego Bogom. Matka i ja wycofaliśmy się od jego złotego sarkofagu. Za nami wyszli kapłani i ostatecznie drzwi odcięły światło. Zostawiliśmy za nimi nie tylko ojca, ale także dość

pokarmów i sprzętów, by niczego mu w następnym życiu nie zabrakło. Prawdę powiedziawszy, spoczęła tam niepokojąco duża część rodowego dobytku. Wielkie drzewa, w cieniu których zwykłem się dawniej uczyć, wykorzenione i zasadzone w potężnych donicach. Całe biblioteki pergaminów, kolekcje obrazów i posągów, krzesła i dywany, nie wspominając stad żywych zwierząt, których odgłosy i wonie kapłani starannie zamaskowali czynionym przez siebie rwetesem i kadzidłami. W oczywisty sposób pośród całego tego bogactwa, które mój ojciec zabierał ze sobą w zaświaty, znajdowały się również dziesiątki hobów. Oni jednak siedzieli zbici w ciasną grupkę. Podejrzywałem, że panika miała nastąpić potem, gdy dotrze do nich, że kamienne wrota - owoc pracy ich pobratymców odetną im nie tylko dostęp do światła, lecz także powietrze.

- Cóż - westchnęła matka, gdy zatrzymaliśmy się na zewnątrz i kiedy na powrót otoczyła nas biała, połyskliwa wspaniałość szczytów i w ten sposób straciliśmy połowę majątku.

\* \* \*

Mimo że jako kupiec pracowałem ciężko i sumiennie, rozumiem teraz, że moje serce znajdowało się zawsze gdzie indziej, choć co do tego, gdzie dokładnie, można by się spierać jeszcze i dziś. Z pewnością cieszyły mnie podróże i nowe widoki. Lubiłem spotykać ludzi z innych krain i dowiadywać się, w jaki sposób wiodą swe żywoty. Niemniej, proces dobijania z nimi targów, wymieniania jednej ceny i stopniowego dochodzenia do innej po wielu godzinach lub dniach udawanego oburzenia i podstępów, niezwykle mnie nudził. Zdarzały się też okresy niespodziewanych deszczów, nieurodzaju czy zerwanych mostów, kiedy bogaci stawali się ostrożniejsi, a ci, którym po prostu dobrze się wiodło, stwierdzali nagle, że wcale nie wiedzie im się aż tak dobrze.

Gdy matka poruszyła temat małżeństwa, nie było to dla mnie zaskoczeniem. Zawarcie takiego aliansu z innym, podobnie zamożnym rodem nie mogło nam zaszkodzić, a jedynie pomóc. Kinbel okazała się ze wszech miar świetną partią. Córka kapłana, wykształcona tak doskonale, że moja własna wiedza zaczęła mi się przy niej wydawać niepełna. Jej oczy przypominały bursztyny. Jej skóra była gładka jak polerowany gagat. Poruszała się wdzięcznie niczym ożywiony posąg. Ponad wszystko jednak wniosła w moje życie świeże pieniądze i wpływy. Patrząc teraz wstecz, widzę, że pod wieloma powłokami spełnienia, urody i talentów. Kinbel była w pewien sposób niewinna, choć w tych kilku słowach i spojrzeniach, jakimi pozwolono się nam wymienić przed ceremonią, ciężko było dostrzec cokolwiek poza jej zewnętrzną doskonałością.

Jako że byliśmy małżeństwem bliższym kapłanom od wielu innych, rynsztoki wykopane w tym szczególnym celu w ogrodach naszego gospodarstwa, spływały czerwienią przez wiele dni. Rzadko odnotowywanym faktem jest, że być może z wyjątkiem kurew, duchowni są jedynymi spośród nas, ludzi, parającymi się czymkolwiek, co przypomina fizyczną pracę. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zdjęcie z hoba całej skóry w ten sposób, by pozostawić drżącemu zewłokowi pokrycie stóp i dłoni na podobieństwo rękawiczek i butów, stanowi demonstrację tak wielkiej sprawności manualnej, że można by ją nazwać hobową. Oczywiście nie można zapomnieć, że pracy wielu hobów wymagało potem wygładzenie i zszycie całej tej masy, jeszcze cieplej i wilgotnej, w jedną wielką płachtę, którą zwinięto i rozbito niczym namiot, tworząc dach i podłogę - a także dywan - z hobowej skóry.

Łomot bębnow i zawodzenie kapłanów osiągnęły nowe wyżyny, gdy Kinbel i ja wreszcie zeszedliśmy po usłanych wnętrzościach stopniach naszych tronów, by dopełnić swej schadzki w tej dziwnej budowli, którą wzniesiono dla nas poniżej. Kłapa, wyglądająca na uszytą wyłącznie z hobowych twarzy, czekała uniesiona. Kinbel i ja znaleźliśmy się razem - i rzecz jasna nie samotni - w cuchnącej jaskini.

Pamiętam, że gdy z Kinbel zdjęto już wszystkie szaty, pomyślałem, że ze swymi sterczącymi piersiami i kształtnymi udami naprawdę jest zbyt doskonała, by była prawdziwa. Przypominam sobie nawet chwilę, w której przyglądałem się jej perfekcyjnym stopom w krwawym, różowawym świetle i podziwiałem perłowy pobłysk jej paznokci. Wtedy sam także byłem już nagi, lecz - co u mnie częste - pozwoliłem się pochłonać dziwnym abstrakcjom. Gdy w końcu chciałem spojrzeć jej w oczy, zauważyłem, że Kinbel patrzy na mojego wiotkiego penisa. Wyobrażam sobie, że powiedziano jej, że w tak ważny dzień należy się spodziewać tak nikłych przeciwności. Pomruk wyczekiwania i zachwyty rozległ się wśród oczekujących kapłanów, gdy podeszła i objęła mnie, po czym przycisnęła swe usta do moich. To, co tak nagle stało się najważniejszą częścią mego ciała, wciąż pozostawało ignorancko obojętne. Na przestrzeni lat, które upłynęły od mych młodzieńczych, samotnych eksperymentów, seks przestał mnie zajmować, i tego dnia okazało się, że nie interesuje mnie nadal. Kinbel jednak była wytrwała. Pociągnęła mnie w dół i na plecy, aż większa część mego ciała weszła w kontakt z dywanem ze skór hobów, który, jak zauważyłem, był inkrustowany niczym klejnotami kawałkami hobowych uszu, hobowych piersi, sutków i nosów. Kinbel sięgnęła po mnie, kapłani zakrzyknęli i uderzyli w dzwony, mój członek wreszcie zareagował i to co konieczne wreszcie się dokonało.

\* \* \*

W małżeńskie życie wszedłem więc ze szczerym optymizmem. Kinbel - jak to sobie powtarzałem - była wszystkim, na co mogłem kiedykolwiek mieć nadzieję. Wybieraliśmy się na nieformalne, samotne przechadzki w towarzystwie świty złożonej jedynie z kilkudziesięciu hobów. Jadaliśmy nawet w tym samym pomieszczeniu. Ludzie często nazywali nas w rozmowach udaną parą, co odzwierciedliło się w naszych posągach, które wyrzeźbiono z okazji rozpoczęcia budowy małżeńskich grobowców. Trudno było nie cieszyć się jej obecnością: gracją stawianych kroków, mrocznym, słodkim dźwiękiem jej głosu. Kinbel oczarowała nawet mą matkę, choć ta druga unikała chłodnego klimatu i coraz dłużej przebywała na ciepłym południu.

Jeśli czasem różniliśmy się między sobą, przejawiało się to z początku uporem, z jakim protestowała przeciwko moim twierdzeniom, iż rzeczy nie mogą być tak po prostu dziełem Bogów. Z ledwością dawałem wiarę, że ktoś w tak oczywisty sposób inteligentny jest w stanie wyobrazić sobie, że słońce należy przekonywać do wschodzenia tysiącem codziennych ofiar składanych na stopniach wielkiej świątyni Ulad Dor, lub że kształt przyjęty przez bezmyślnie ciśnięte wnętrzości bądź szczególna formacja chmur mogą nieść ze sobą jakiegokolwiek znaczenie.

W tle leżał jednak inny problem. Kwestia, którą z początku uznałem za pomijalną i drobną. Tak drobną jak mój penis, który po swym wyczynie w dzień wesela wycofał się na powrót do swej uwiędłej powściągliwości i uparcie odmawiał spełniania naturalnych zadań. Nasze małżeńskie łóżko było olbrzymie, wypełnione wieloma poduchami, osłonięte tyłoma baldachimami, że my dwoje i sto innych osób mogło się w nim zatracić w spokojnym śnie, lecz Kinbel noc po nocy przedzierała się do mnie przez jego miękkie wzgórza i doliny, zachęcając z początku nieśmiało, a potem posuwając się do bardziej ekstrawaganckich metod uwodzenia, wskutek których - choć doceniałem inwencję i estetyczny walor całości - kluczowa część mnie nie drgnęła jednak ani razu.

- Dlaczego... - spytała wreszcie, klęcząc przede mną w rozświetlonym blaskiem lamp smogu kadzideł i dzwonek, który sama stworzyła na tę noc, i wyprężyła hebanowe, przyozdobione złotymi zawijasami ciało - ...mogłeś zrobić to z taką łatwością w dzień naszego ślubu, a potem ani razu? Czy pomogłoby może, gdybym przyzwała twą matkę, by się nam przyglądała?

- Nie sądzę, by matka ucieszyła się z takiego zaproszenia, Kinbel - wymamrotałem, wciąż udając sen pod lawiną poduszek.

- Więc może modlitwy kapłanów mego ojca nie dosięgają nas tak, jakbym chciała. Moglibyśmy kazać kilku akolitom, by zajęli miejsca na szczycie łóżka.

Tego było już za wiele. Usiadłem.

- Czy to naprawdę ma takie znaczenie? Czy kwestia potomstwa, zwykłego dziedziczenia...

- Dziedziczenia! - Wybuchnęła śmiechem tak dzikim, że aż się cofnąłem. - Myślisz, że to tylko o to chodzi? Czy mężczyzna i kobieta nie mogą robić w małżeńskim łóżu tego, do czego stworzyli ich Bogowie, wyłącznie z czułości i namiętności?

Czułość. Namiętność. Te ludzkie słowa, nawet wypowiedziane jej cudownym głosem, zabrzmiały dziwnie.

- Jeśli chcesz prostego aktu, Kinbel - zaproponowałem - mogłabyś chyba odwiedzić jeden z tych domów o dyskretnych wejściach, jakie znajdują się w zachodnich dzielnicach Dhiol?

Umilkła. Jej oczy zabłyśły. Po raz pierwszy w życiu wydało mi się, że samice człowieka różnią się od samców czymś więcej niż tylko odmiennościami anatomii.

- Czy nie stanowiłoby to jednocześnie rozwiązania problemu i nie zapewniłoby nam potomka, którego jak sądzę pożądasz? - podjąłem. Wierz mi, Kinbel. Nikt nie ucieszyłby się tak jak ja, gdybyś...

- Nie rozumiesz. Chcę od ciebie tylko, byś... byś... Co muszę zrobić, żebyś się ze mną kochał? - Do złotych wzorów na lewej piersi Kinbel dołączyła ła. - Próbowałam strojów i nagości - mówiła cicho. - Tańca i bezruchu. Chcesz mnie brać tutaj? Czy może tu? Nawet to by mi nie przeszkadzało. Ani to... Rozkoszowałabym się wszystkim, czego byś zażądał. Nic nie sprawiłoby mi przykrości tak wielkiej jak ta... pustka. A może chciałbyś, żebym przyzwała do nas inne kapłanki? Może kapłanów? Może sforę świętych psów? Wspominałeś, o ile pamiętam, jakąś papugę, którą lubiłeś... Nie jestem pewna, na czym taki związek mógłby polegać, a ja sama stroiłam się już w niejedne piórka, lecz jeśli myślisz...

- Dość! Dość! - Zasłoniłem uszy i dygotałem jak chłostany hob.

Zamiast odwrócić się i wycofać do własnego obozu w tej krainie jedwabi i poduszek, Kinbel przysunęła się jeszcze bliżej. I zrobiła coś dziwnego. Położyła swą dłoń na mojej.

- Musi na tym świecie istnieć coś, czego pożądasz poza czczymi abstrakcjami. Musi być coś takiego i ja chcę ci pomóc to odnaleźć, bez względu na to, czym się okaże. Możemy się modlić. Możemy składać ofiary. Możemy tarzać się nago w najczystszy śniegu. Nie miałabym ci za złe nawet gdybyś chciał dokazywać wśród szczurów w kanałach. W końcu udał się nam ten jeden raz podczas weselnej ceremonii, który mógłby się przecież wydawać najtrudniejszym. A jednak poradziłeś sobie. - Zaśmiała się znowu, tym razem łagodniej. -



Zaczynam mówić jak ty, jakby to było jakieś straszliwe zadanie, jakaś ogromna praca do wykonania...

Urwała, a nacisk jej dłoni zelżał. Wiedziałem, że jeśli nie powiem tego teraz, drugiej okazji już nie będzie.

- Jest coś... - wychrypiałem. - A przynajmniej było. Dawniej...

Ściszym głosem, w miarę jak świece gasły, dzwonki milkły, a resztki dymu z kadzideł rozpraszają się we mgle wokół materaców i narzut, opowiedziałem Kinbel o swojej samotnej zimie i wstydliwym - jak teraz uważałem - związku ze świętą hobów. Przez cały czas dotyk jej dłoni na mej skórze nie zmienił się ani o jotę. Nie zelżał. Dopiero gdy skończyłem, zdjęty lękiem, że moje oczy lśnią równie mocno jak jej, pochyliła się ku mnie i poczułem na swej twarzy kobiece wargi.

- Czy naprawdę nie słyszałeś - wymruczała mi do ucha - że ludzkie spółkowanie w modnych kregach Yoha i Halu nie uchodzi za udane, jeśli nie uczestniczy w nim co najmniej kilku hobów? W Jasih Noish wiele osób używa ich jako łoża. I wszyscy znają historie nadzorców, a mimo to, nikt nie ma ich za gorszych. Nikt o to nawet nie dba. Nie jest to, przynajmniej, odmiana, miłości, którą... - Usłyszałem dziwny dźwięk w jej gardle. - Nie jest to coś, czego przedtem usilnie pożałowałam, ale teraz, kiedy już wiem, z radością i dumą przywołam tylu hobów, ilu sobie zażyczysz. Można ich w tej sztuce wyszkolić. Podałabym się...

Coś we mnie pękło. Wymachując gniewnie rękoma wśród poduszek i tkanin, wyrwałem się żonie.

- Nie chcę, byś się czemukolwiek poddawała! Nie chcę, żebyś ściągała armię hobów do tej przeraźliwej, jedwabnej klatki. Nie kocham hobów. Nawet ich nie pożądam, a przynajmniej nie teraz. To zwykła, dziecięca fantazja, która utkwiała we mnie na zbyt długo, w jakimś zapomnianym rejonie mózgu. Coś, w czym niegdyś zasmakowałem i co potem porzuciłem. Teraz dbam wyłącznie o wiedzę. Chcę tylko jednego, zrozumieć świat. Dlaczego nie możesz tego pojąć, Kinbel? I, na tych wszystkich Bogów, którzy są ci tak drodzy, daj mi spokój!

\* \* \*

Następnego ranka, po nocy, której nie przerywały już dalsze zaloty, obudziłem się i okazało się, że spałem samotnie. Kinbel zostawiła mi na stoliku śniadaniowym bilecik, w którym obwieszczała, że zamieszka u ojca w domu świątynnym w Dhiol. Czytając papirus, poczułem ukłucie naznaczonej winą rozkoszy. Bez Kinbel, po śmierci ojca, gdy matka

wyjechała na ciepłe południe, nie licząc kilku nadzorców, miałem całe gospodarstwo wyłącznie dla siebie. Przechadzając się po murze, na wietrze i w promieniach słońca, postanowiłem, że od tej pory poświęcę się doskonaleniu tego miejsca.

Nie znaczy to, że przestałem być kupcem, ale potrzeby gospodarstwa inspirowały mnie w sposób, w jaki kupowanie i sprzedawanie nigdy nie zdołały. Stwierdziłem, że o wiele bardziej pożyteczne niż zarabianie pieniędzy jest dla mnie przyjmowanie w zamian za towary innych towarów lub usług. Prosiłem więc kontrahentów o siłę roboczą, umiejętności czy zwykłe porady. Pozostali ludzie interesów użyczali mi z zaskakującą radością swoich hobów zajmujących się dachami bądź irygacją, gdy tylko wyzbyli się niepewności, że właśnie tego naprawdę chcę. Po niedługim czasie moja reputacja ekscentryka jeszcze się umocniła. Jako zapłatę przyjmowałem wykopane z ziemi kamienne płyty i worki zaprawy. Niech się dziwią, myślałem. Niech gadają, że postradałem zmysły. Niech mnie nazywają głupcem, a niechby i miłośnikiem hobów. Jeśli dobrze pamiętam, ten konkretny epitet już wtedy dotarł do moich uszu z kilku różnych źródeł. Zapewne zaczęło się to od moich niekończących się rozmów z nadzorcami. Może też ktoś wiedział coś o moim wyznaniu złożonym przed Kinbel. Ona - tego jestem pewien - nie rozpoznała tego rozmyślnie, ale zapewne była na tyle niewinna, by sądzić, że spowiedź przed kapłanem jest święta, nawet jeśli owym duchownym był jej ojciec. Tak czy inaczej, „miłośnik hobów” to w niektórych krainach pospolite wyzwisko. Nie przejmowałem się tym jednak, a przynajmniej niezbyt mocno. Swoich nadzorców wzywałem na codzienne spotkania. Zastanawialiśmy się na nich nie tylko nad najszybszymi i najłatwiejszymi sposobami uporania się z ich codziennymi obowiązkami, ale także nad nowymi, usprawnionymi metodami pracy, dzięki którym w przyszłości moglibyśmy skorzystać wszyscy. Podczas gdy właściciele innych gospodarstw narzekali na słabe lata i mroźne zimy, mnie wiodło się lepiej niż kiedykolwiek. Nie traciłem czasu na błahostki związane z sadzeniem ozdobnych roślin i dekorowaniem budynków, na co zawsze nalegała matka. Nawet w samym domu, co zauważyłem z wielkim zadowoleniem, niektóre komnaty zostały wykorzystane w charakterze magazynów czy hobowych warsztatów i nie marnowały się, czekając na wystawne tańce czy inne uroczystości, których i tak nie miałem zamiaru urządzać. Wydaje mi się, że przekonałem do swego systemu kilku niedowiarków, choć ci, którzy mnie odwiedzali, po powrocie do Dhiol opowiadali najczęściej o rosnącym zaniedbaniu mej siedziby i bezbożnym sposobie organizacji pracy. O tym, a także o mojej wyraźnej sympatii do wszystkich istot ze swego otoczenia, w tym oczywiście do hobów. Wydawało mi się ewidentne, że perswazja i nagrody działają lepiej niż kary i że lepiej jest podtrzymywać coś przy życiu i dbać o to, niż pozwalać mu umrzeć wskutek zaniedbania czy

ofiarnej ceremonii. Niemniej, plotki - w większości fałszywe - zataczały coraz większe kręgi. Pojawiły się pierwsze groźby. Kapłani z Dhiol bardzo się niepokoiли. Ja jednak wciąż byłem zadowolony. Teraz, kiedy moje gospodarstwo zostało wreszcie odpowiednio zorganizowane i osiągało wyniki produkcji przewyższające sukcesy wszystkich sąsiadów, mogłem swobodnie badać sprawy tego świata, które nadal niezmiennie mnie intrygowały.

Odkryłem, że udomowione świnie i leśne dziki można ze sobą parzyć i że potomstwo takich związków cechuje się smacznym, aromatycznym mięsem, a co więcej, może przetrwać i utrzymać się samodzielnie poza zagrodami. Skonstruowałem maszynę, w której mleko rozkładało się na poszczególne, wielce użyteczne składniki. Okazało się również, że większość mych nadzorców, w tym mój dawny nauczyciel Karik, nie posługuje się dostatecznie sprawnie hobowymi gestami i, widząc, że jakieś zadanie nie zostało wykonane zgodnie z oczekiwaniami, zbyt chętnie ucieka się do kija bądź bata.

Podjąłem więc wysiłki mające na celu ulepszenie bezpośredniej komunikacji z hobami. Gdy kuciałem wewnątrz ich prymitywnych, cuchnących siedzib, często nawet bez towarzystwa nadzorcy, i obserwowałem, trącałem, pytałem i przymilałem się, milczeli i w pewien sposób się wycofywali. Hobowie zazwyczaj czują się w obecności ludzi niepewnie, i to pogłębiło się jeszcze bardziej, kiedy dotarło do nich, że nauczyłem się rozpoznawać poszczególne indywidua po wyglądzie ich oblicz, a także potem, gdy dowiedziałem się, że niektóre z ich pomruków i gestów są w istocie imionami.

Zaczęli się między sobą spierać. Doszło do kilku wypadków śmiertelnych. Świat hobów pod wieloma względami bywa równie brutalny jak nasz. Dopuszczają się na sobie takich samych okrucieństw, jakich wymagamy od nich my; sami wybierają spośród siebie kandydatów do ofiar i agresywnie strzegą tego, co my ze śmiechem uznalibyśmy za nieznaczące różnice społecznego statusu. Mimo to, nie znalazłem ani jednego dowodu na to, by - jak głosi popularna koncepcja - hobowe matki zwyczajowo pożerały swe młode.

Niemniej to, czego się dowiedziałem, sprawiło mi wiele zadowolenia. Poznawszy mowę hobów do tego stopnia, że nadzorcy przestali być mi potrzebni, pojąłem kwestie rywalizacji między ich szczepami i byłem w stanie sam przekazywać polecenia bezpośrednio głównemu hobowi z każdej nowo utworzonej sfory. Powstające od tej chwili rowy melioracyjne okazały się bardziej efektywne i w rezultacie pola rodziły obfitsze plony. Planowałem coraz śmieiej. Nawet gdy lasy Severlandu zniknęły i podaż na rynkach Dhiol zmalała, nie miałem już wątpliwości, że każde z gospodarstw w tej północnej krainie mogło pozostać żyznym i owocnym, gdyby tylko były lepiej zarządzane.

Pewnego dnia, gdy półnagi demonstrowałem hobom w rowie sposób, w jaki powinni zainstalować nowy system ceramicznych rur, uniosłem wzrok i na tle szarego nieba ujrzałem zarys postaci. Byłem tak odzwyczajony od towarzystwa ludzi, że zanim dotarło do mnie, że patrzę na kogoś z mojego gatunku, ryknąłem i wykonałem hobowy gest. W kierunku nie tylko człowieka, ale i kobiety - na dodatek mojej własnej żony.

\* \* \*

Gdy wygramoliłem się z rowu, Kinbel zbyła me przeprosiny uśmiechem. W końcu miała na sobie prosty strój, a przybyła bez świty i uprzedzenia.

- Usłyszałam tyle plotek, iż uznałam, że czas, bym je wszystkie osobiście sprawdziła. - Rozejrzała się dookoła. Pola, które niegdyś należały do nas obojga, jaśniały urodzajem. - I widzę, że dobrze ci się wiedzie.

- Też tak sędzę. - Gestem poleciłem hobom przynieść sobie ręcznik i się wytarłem. - Według mnie, pewnego dnia to miejsce zostanie uznane za prekursorskie.

Kinbel zachichotała. Dźwięk jej śmiechu nie stracił nic ze swego piękna. Ona sama również nie, choć była odziana zwyczajnie i nie nosiła biżuterii.

- W Dhiol dowiedziałam się tylko, że żyjesz wśród hobów, a Bogów traktujesz tak, jakby nie istnieli.

Wzruszyłem ramionami. Staliśmy na błotnistej ścieżce. Okoliczny krajobraz nie był już tak pysznie wspaniały jak niegdyś, choć ja wciąż dostrzegałem urodę jego prostoty i efektywności. Tym bardziej, że teraz pojawiła się tu Kinbel.

- To miejsce... - Obróciła się i zobaczyłem, że w jej oczach odbijają się pola i niebo. - Nie tak je sobie wyobrażałam. A jednak uważam, że jesteś w błędzie, nie przypisując swego powodzenia boskiemu działaniu. Bogowie oddziałują na świat również poprzez ludzi. I zapewne nawet poprzez prostych hobów. Ale powiedz mi, co to za budowla...?

Byłem zachwycony jej zainteresowaniem. Nie była już tak niewinna jak przedtem - dorosła i się zmieniła. Szczególnie ubawiła ją opowieść o kupcach, którzy targowali się o jedną grudkę złota, a potem ustąpili, po mojej sugestii, by dali mi w zamian pewien element systemu nawadniającego, który po kilku drobnych naprawach okazał się wart o wiele więcej.

- Musisz nas uważać za rozrzutnych - stwierdziła, kiedy pokazałem jej zwierzęta w stajni i śmierdzące jezioro odchodów, które miały następnej wiosny użyźnić pola.

- Nas?

- Nas. Ludzi.

Dalej szliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

- Twoja matka prosiła, by przekazać ci pozdrowienia - przerwała ciszę, stając przy bramie gospodarstwa. Zaczęło padać. - Chce, żebyś wiedział, że składała w twej intencji ofiary w licznych świętych miejscach.

- Kinbel, chyba nie jesteś nadal zdania, że Bogowie mogliby być tak głupi i źli, by cieszyć się hobową krwią?

Obdarzyła mnie jednym ze swych zniechęcająco spokojnych spojrzeń.

- To, w co ty wierzysz, nie zmienia faktu, że Bogowie karzą nasz świat.

W tamtym czasie nie było już wątpliwości, że lata stają się coraz krótsze, a zimy bardziej surowe. Biała, lśniąca pokrywa Dachy Świata rozrosła się, a puchnące lodowce groziły zniszczeniem wielu rodowych grobowców. Nawet w świętych, ojczystych krainach południa, gdzie schroniła się moja matka, nocami pojawiały się białe zęby mrozu, a wylewy Rzeki Boga zagrażały świątyniom Ulan Dhor. Moje badania nad uprawą roli ciągnęły się długo i były niekiedy frustrujące, ale żyłem w przekonaniu, że w tych warunkach moje odkrycia okażą się wkrótce wielce istotne. Chciałem powiedzieć jej więcej, ale powstrzymała mnie, unosząc dłoń.

- To, co tu zrobiłeś i co robisz nadal... cóż, jest tak, jak mówisz. Ale są pewne sprawy, których nie rozumiesz. Ludzie w Dhiol mówią na twój temat bardzo złe rzeczy...

- Wygadują to samo od lat. - Zbyłem jej słowa machnięciem ręki, czując jednocześnie, że oblewam się rumieńcem.

- Możliwe, ale teraz wykracza to już poza osobiste przytyki. Zapewne lepiej niż ktokolwiek zdajesz sobie sprawę, że nastąpiły ciężkie czasy. A w takich chwilach ludzie szukają czegoś, co można obwinić za niepowodzenia. A jeszcze chętniej kogoś.

- Nikt nie może być tak głupi, by obarczać mnie odpowiedzialnością za pogodę! - Spodziewałem się, że wybuchnie śmiechem i zaprzeczy, ale popatrzyła na mnie poważnie i pokiwała głową.

- Tak właśnie jest. Mówi się o tym nawet pośród nas, kapłanów.

- Nie mogłabyś jakoś na to wpłynąć?

- A ty?

- Co takiego?

- Gdybyś okazał Bogom choć trochę szacunku, lub rzadziej rozmawiał ze swymi hobami, byłby to dobry początek. Musisz jednak działać pośpiesznie. Inaczej, obawiam się, będzie za późno.

- I wtedy?

- Wtedy, jeśli mnie nie wysłuchasz, wszystko, co osiągnąłeś i o co walczysz, pójdzie na marne.

Wybuchnąłem w odpowiedzi, krzyknąłem na nią, stwierdziłem, że wygaduje niedorzeczności, że to wina jej i ludzi jej podobnych - lecz Kinbel odwróciła się już ode mnie i zniknęła za zasłoną deszczu.

\* \* \*

Przyszli pewnej zimowej nocy. Wówczas spodziewałem się ich już od dawna. Rozważałem nawet przebudowę mego gospodarstwa w fortecę, jaką dawniej przecież było, ale mimo że nadrzeczne urwisko wciąż wznosiło się równie stromo, umocnienia z czasem zwiotczały i marnotrawstwo materiałów wiążące się z takim projektem odstręczało mnie bardziej niż kuszyły ewentualne korzyści.

Widok, jaki ujrzałem, siedząc na murach, na których rozważałem niegdyś zagadnienia liczby płatków na kwiatach i kwestie pochodzenia światła gwiazd, był imponujący. Z pewnością nie była to bezładna ciżba. Zobaczyłem rzekę światła i śpiewów, i dźwięku dzwonów. Niektórzy kapłani jechali na słońcach. Inni podróżowali na ciągniętych przez woły połyskujących wozach z szafiru i złota. Właściciele ziemscy przybyli ze swymi nadzorcami, a możni kupcy w towarzystwie dostawców i sklepikarzy. Wszyscy nieśli ociekające płomieniami pochodnie. Dookoła rozlegał się niski pomruk i brzęk gongów. Tłum był potężny i zorganizowany w sposób przywodzący na myśl wielkie, południowe ceremonie, mające podtrzymać w istnieniu Słońce, Rzekę Boga i Księżyc. Podobnie jak w wypadku wszelkich ludzkich zgromadzeń, najliczniejsi byli hobowie. To oni kierowali i poganiali słońce i woły, to oni także zbierali ich zostawione na drodze odchody. Nieśli wielkie, jaśniejące koksowniki przypominające w ciemności wielkie płonące węgle, dzięki którym ludzie nie marzli. Dźwigali wysokie tyczki i olbrzymie baldachimy zapewniające cień i ochronę przed deszczem i słońcem. Przenosili leniwych i tłustych kapłanów w lektykach lub toczyli się i wili, podtrzymując ciała właścicieli na swych umięśnionych barkach. Gdy dotarli do mnie śpiewy i głosy zebranych, odniosłem wrażenie, że nawet oskarżenia nazywające mnie bezbożnym renegatem, czcicielem diabła, nieczłowiekiem, miłośnikiem hobów, dobiegały przede wszystkim z ust samych hobów.

Obejrzałem się na niewielką grupkę własnych hobów. Stali za moimi plecami w migocącym blasku mroźnej ciemności. Trzymali się ode mnie równie daleko jak zawsze, jakby czekali na kolejne polecenia. Zachowywali się zupełnie - uderzyła mnie ta myśl - jak każda inna świta, nawet ta mej matki, choć byli odziani o wiele mniej wystawnie. Potrafiłem

ich jednak rozróżnić i dzięki temu zrozumiałem, że targają nimi takie uczucia, jakie mogli żywić ludzie, i że boją się o wiele bardziej ode mnie. Reszty swych hobów pozbyłem się już - sprzedając ich na rynkach, do których jeszcze nie dotarła z Dhiol moja niesława, lub po prostu wypuszczając i polecając gestami, by przebyli rzekę i udali się na północ, gdzie według mnie mieli większe od nas, ludzi, szanse na przetrwanie w tym coraz bardziej wrogim świecie.

„Czego chcesz od nas teraz?” - zapytał mnie gestem ich przywódca, którego w przyływie nostalgii nazwałem Gogiem Drugim. Spojrzałem mu w oczy, a on, po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie odwrócił wzroku. Był przysadzisty, krępy, z krzaczastymi brwiami, obdarzony szczególnie potężnymi i zręcznymi rękoma. Sposób, w jaki dyscyplinował swych pobratymców, był zdecydowanie bardziej surowy, niż nadzorcy czynili to dawniej, lecz zawsze miał na celu jedynie wykonanie zadania. Uważałem go za bezstronnego i lubiłem sobie wyobrażać, że on ocenia mnie podobnie.

„Niczego” - odpowiedziałem prostym gestem, jakim mógłby się posłużyć każdy człowiek niepotrzebujący ich asysty. Hobowie jednak, zamiast pozostać na miejscu i czekać na następne rozkazy, odwrócili się ode mnie i zaczęli odchodzić. Po chwili, bez żadnego wyraźnego sygnału lub choćby pomruku, puścili się biegiem.

Patrzyłem, jak pędzą po murze i w dół po schodach, znikając w mroku pól i ogrodów przypominających niegdyś szachownicę. Zmierzali ku przeciwległej bramie, której nie zamknąłem. Zwróciłem się na powrót w stronę ciżby. Jej rozświetlone fale obmywały już mury mej siedziby. Uniosłem ramiona i poczułem pod sobą drżenie. Śpiewy ucichły, a wraz z nimi zamilkło rytmiczne bicie dzwonów. Światło igrało na tysiącu twarzy. Omal nie rzuciłem się głową w dół na ten piękny dywan ludzi i hobów. Możliwe nawet, że tego właśnie się spodziewali. A jednak cofnąłem się. I do dziś często żałuję, że nie skoczyłem.

\* \* \*

Po wstępnym pobiciu i obrzuceniu wyzwiskami, zasłonięto mi oczy, skuto łańcuchami i zawieszono do Dhiol. Traktowano mnie raczej dobrze. Zostałem uwięziony w komnacie wysokiej wieży Świątyni Księżyca, z której rozciągał się widok na liczne dziedzińce, porośnięte ogrodami balkony, zigguraty i tarasy, na których kapłani wykonywali swe uświęcone obowiązki. Za nimi leżały, przedzierające się przez chmury lub jaśniejące w blasku słońca czy księżyca, wspaniałe wierzchołki Dachy Świata. W pewien sposób nowe mieszkanie przypominało mi pokój, w którym uczyłem się za młodu. Jeśli różniło się czymkolwiek, to tym, że meble i ozdoby były tu jeszcze bardziej wystawne, choć kapłanom wydawały się zapewne zgrzebne i prostackie.

Na czas wielu księżyców pozostawiono mnie samemu sobie. Jedynymi gośćmi byli służebni hobowie, nie tylko niemi i wykastrowani, ale też pozbawieni wzroku i słuchu. Te dziwne, smutne istoty poruszały się wyłącznie po omacku, choć zdaje się, że wyczuwały moją obecność dzięki ciepłu mojego ciała, i krzątały się wokół z powolną ostrożnością kameleona zbliżającego się do siedzącej na gałęzi ofiary. Gdy próbowałem dotknąć ich nagich, pokrytych bliznami ciał, umykali z niepokojącą zwinnością po podłodze i ścianach. Przynosili mi wodę, pożywienie, wiaderka na odchody i inne prymitywne sprzęty, które zabierali po użyciu. Po początkowych koszmarach, w których śniłem o przemyślności tortur, jakie mogli zastosować wobec mnie kapłani, uznałem, że moją pokutą ma być wykonywanie czynności, których żaden szanujący się człowiek nigdy nie robił samemu, bez niczyjej pomocy.

Jeśli tak było w istocie, kara okazała się niezbyt dolegliwa. Nadal fascynowały mnie wszelkie procesy życiowe, nawet te, które kończyły się w wiaderkach. Wkrótce doszedłem na przykład do wniosku, że wiele nawozu marnuje się jedynie wskutek ludzkiego oporu przed użyżnianiem pól własnymi odchodami. Pocichę i przyjemność znajdowałem też w prostych rytuałach związanych z przygotowaniem posiłków. Obieranie jabłka czy marchewki może być zadaniem niosącym wiele radości, a rozcinanie kawałka mięsa lub nieznanego rodzaju owocu zawsze wiązało się z obietnicą, że mogę dowiedzieć się czegoś nowego na temat zwierzęcej lub roślinnej anatomii. Lubilem się też golić, spodobало mi się ostrożne przeciąganie ostrzem po namydlonych policzkach, a przecież przez wszystkie lata, gdy nosiłem brodę, nie pomyślałem o tej czynności ani razu.

Widoki za oknem, mimo wspaniałości architektury, nie były już tak podnoszące na duchu. Kapłani Księżyca najwyraźniej nie mieli wielu innych zajęć poza składaniem hobów w ofierze. W miarę jak srebrzysta, czczona przez nich sfera przesuwala się na niebie w rytm swych kwadr, slyszalem krzyki i wrzaski wielu stworzeń, które niegdyś należały do mnie. Wkrótce nawet pomysłowy i prężny Gog Drugi został przeobrażony w łkającą stertę oskórowanego ciała i kości. Nabrałem przekonania, że w nieunikniony sposób czeka to wszystkich hobów, których uwolniłem. W końcu nie znali innego życia poza służbą w niewoli. Szczególną perwersją wydało mi się jednak to, że kapłani wysłedzili i zapewne odkupili wiele setek tych stworzeń, które sprzedałem najzupełniej legalnie. Bez wątplenia uważali to za wspaniałe widowisko - zabijanie istot, które ponoć miłowałem, na uniesionych platformach znajdujących się w zasięgu mego wzroku i słuchu, za pomocą metod bardziej wymyślnych niż się obawiałem i zazwyczaj niemiłosiernie powolnych.

Może zamierzali wpędzić mnie w obłęd, choć pieśni, jakie dobiegały zza zewnętrznych murów świątyni, już i tak nazywały mnie szaleńcem i najgorszym spośród



nieprzyjaciół Bogów. O ile jednak moje dotychczasowe życie - podobnie jak życie każdego rozsądnego człowieka - przygotowało mnie do czegokolwiek, to właśnie do oglądania tych ofiarnych ceremonii. Mimo że rozumiałem błagalne gesty i jęki hobów, jak niewielu innych, i mimo że brzydziło mnie marnotrawstwo owych obrzędów i cierpienie, jakie powodowały, wciąż pozostawałem nieporuszony.

Jeśli rzeczywiście moje uwięzienie sprawiało mi jakieś szczególne cierpienie, było ono dość perwersyjnej natury i polegało na wyrzutach sumienia, z tego powodu, że nie cierpiałem wystarczająco mocno. W najczarniejszych chwilach zaczynałem się nawet zastanawiać, czy ludzie nie mają czasem racji i czy nie jestem odmieńcem - jakimś potworem, któremu brakuje istotnej duchowej iskry lub nawet duszy.

\* \* \*

Pory roku przemijały z pomocą kapłanów bądź bez niej, a klimat ochładzał się coraz bardziej. Szczególnie ucieszył mnie powrót stada jaskółek, o których wiedziałem, że każdej zimy odbywają daleką podróż w dół rzeki, w poszukiwaniu lepszej aury w krainach poza Ulan Dor. Zagnieździły się nad moimi oknami i przyglądałem się przepięknym lotom rodziców, znoszących swym hałaśliwym pociechom tłuste owady w dziobach.

Pewnego z takich poranków, gdy wyglądałem na zewnątrz - choć raz nie składano wtedy żadnych ofiar, za które to błogosławieństwo szczerze Bogom dziękowałem - i przyjemnie zatraciłem się w rozważaniu następstwa pór roku i sposobów, w jakie reagują na nie wszystkie żywe istoty, usłyszałem niecodzienny dźwięk. Odgłos przekręcanej w moim zamku klucza. Oczywiście, niemi, jaszczurczy hobowie nadal mnie odwiedzali, lecz czynili to o ściśle określonej porze - zawsze nocą. Było to tym bardziej niecodzienne wydarzenie, że po chwili usłyszałem również stukot kroków i ludzki głos.

- Jesteś tam? Żyjesz?

Mimo że było względnie ciepło, odniosłem wrażenie, że skuwa mnie lód. Nie dlatego, że głos należał do Kinbel, tylko z tego powodu, że po tak długim czasie usłyszałem znowu innego człowieka.

Weszła, schylając głowę pod nisko sklepionym nadprożem. Miała na sobie prosty płaszcz z kapturem.

- Wyobrażałam sobie, że trzymają cię w o wiele gorszych warunkach...

Od tak dawna z nikim nie rozmawiałem, że przez chwilę tylko otwierałem i zamykałem usta jak zaba na łące.

- Zobacz, przyniosłam ci prezenty. - Odłożyła worek na ziemię, odrzuciła kaptur z głowy i roześmiała się, niemal zupełnie jak za dawnych czasów. Choć nie do końca... Co prawda, nie straciła nic ze swej urody, ale się zmieniła. Miała bardziej ukształtowaną, dojrzałą twarz, podobnie zresztą jak spojrzenie. Wciąż poruszała się wdzięcznie, ale była to gracia, która przywodziła mi na myśl jaskółki, lub nawet moich niemych hobów. W jej gestach kryła się pewna doza ostrożności i lęku, jaka cechuje wszystkie stworzenia, na które czyhają drapieżniki.

- Nie wiedziałam, czy masz lustro. Widzę, że nie... Mimo to, wyglądasz dobrze, choć powinnam była wziąć ze sobą nożyczki. - Uśmiechnęła się. - Twoja fryzura nie całkiem odpowiada obecnej modzie.

- Proszę, proszę. - Mój głos zabrzmiał jeszcze dziwniej od jej słów. Elegancko niczym hob otrzepałem kurz ze swego jedynego krzesła i podsunąłem jej je. - Zapewne musiałoś pokonać wiele schodów, żeby się tu dostać.

- Owszem. - Usiadła. W jej włosach jaśniały pasemka nowej barwy, srebro wśród czerni. Gdy mrużyła oczy w bijącym zza okna świetle, pojawiały się wokół nich delikatne zmarszczki.

- Co to za dźwięk?

- To? To moje ptaki. - Moje wargi ułożyły się w uśmiech. - Oczywiście nie posiadam ich na własność. Niczego teraz nie posiadam. Przylatują i znikają w rytm pór roku. Powracają dokładnie w to samo miejsce. Zapewniają mi zajęcie i rozrywkę.

- Ptaki... Twój sposób patrzenia na świat. Nie zmieniłeś się zbyt.

- Przepraszam.

- Nie, nie. - Pokręciła głową. - To miał być komplement.

Dziwnie było znów rozmawiać z człowiekiem. Poczułem, że oblewa mnie rumieniec. Kinbel opowiedziała mi o świecie. Było dokładnie tak źle, jak się tego spodziewałem, ale życie toczyło się naprzód. Moje gospodarstwo zostało zajęte przez kapłanów ze świty jej ojca, a następnie sprzedane za - co odnotowałem z zadowoleniem - znaczną sumę, którą oczywiście zatrzymali dla siebie duchowni. Nowi właściciele sądzili, że uda im się czerpać z mojej dawnej siedziby zyski równe moim, i z jeszcze większą przyjemnością dowiedziałem się, że ponieśli klęskę. Teraz gospodarstwo leżało odłogiem. Zresztą, podobnie jak wiele innych. Ludzie odchodzili na południe i w odróżnieniu od moich ptaków, nie wracali.

- Twej matce wiedzie się dobrze, a przynajmniej tak donoszą mi w listach, które czasem otrzymuję zza Morza Ograniczonego. Rzecz jasna wyszła ponownie za męż. Nie wiedziałeś? Przepraszam, głupia jestem, skąd mogłeś... Z tego, co pisała, nowy związek był

dla niej konieczny, ponieważ okryłeś rodowe nazwisko niesławą. Teraz sądzi, że paradowanie z pompą po złotych alejach Thris stanowi rodzaj jej misji. Inni moi znajomi twierdzą, że mają wrażenie, że pojawia się w kilku miejscach naraz, zapewne zatrudnia dwie lub trzy fałszywe świty, podróżujące z jej zwykłymi zapachami, dzwonami, baldachimami i różanymi płatkami. Oczywiście bez niej.

- To nie jest chyba ważne.

- Nie. Dla niej. Może nie jest.

- Kinbel, ty i ja... Czy nadal jesteśmy małżeństwem? Bo jeśli tak i jeśli sprawia ci to dyskomfort... Albo grozi ci coś jeszcze...

Popatrzyła na mnie. Swym dawnym, charakterystycznym spojrzeniem.

- Tak, wciąż jesteśmy małżeństwem. Przynajmniej w takim stopniu jak dawniej. Co nie oznacza wiele. Cały czas otrzymuję listy od kamieniarzy przechowujących posągi, które kiedyś zamówiliśmy. Pytają, czy nie powinniśmy zlecić im kolejnych prac, jeśli chcemy zapewnić sobie godne życie po śmierci.

- Być może dostąpimy go tak czy inaczej.

- Tak. Być może.

- Nie przeszkadza ci to?

- Co? Być żoną, która nie ma męża? Czy brak grobowca? A może nazwiska, którym mogłabym się szycić, i własnego gospodarstwa?

Zapomniałem już o tych gniewnych wybuchach. Zapomniałem, jak dziwaczeni i nieprzewidywalni potrafią być ludzie. Ale płomień w jej oczach zgasł równie szybko jak się pojawił. Przynajmniej pod tym względem się nie zmieniła.

- Nie - podjęła. - Pozostajemy małżeństwem. Zresztą, nikt by mnie teraz nie zechciał, nawet gdybym była wolna. Prawdę powiedziawszy, uważam, że pasuje to do mego kapłańskiego stanu. Oczywiście, nikt mnie jeszcze nie prosił, bym się ciebie wyrzekła. Ale wiem, że to zrobię.

- Co ty chcesz powiedzieć? - Poczulem zimny dreszcz.

- Ach, rozumiem. Wyobrażałeś sobie, że to już koniec całej sprawy? Że będą cię tu więzić aż po kres? Przykro mi, ale nie to zaplanowali. Odbędzie się... Wydaje mi się, że posługują się słowem „proces”. Powstaje w tym celu specjalny budynek. Jak sądzę, możesz go sobie obejrzeć z tego okna. W odróżnieniu od reszty nas, ludzi, zostaniesz osądzony w tym życiu, nie w następnym.

- Osądzony i ukarany?

Jej spojrzenie straciło hardość. Podniosła się z krzesła. Myślę, że gdybym się nie cofnął, podeszłaby do mnie, może nawet przytuliła.

- Nie powinnam była ci mówić...

- Nie, nie. To ważne, bym rozumiał. Już od jakiegoś czasu zastanawiam się, cóż to za budowlę wznoszą te tysiące hobów, choć nie miałem tyle arogancji, by wyobrazić sobie, że ma to cokolwiek wspólnego ze mną.

- Och, jesteś sławny. - Na powrót usiadła. Znowu pojawił się między nami dawny dystans. - Kapłanom bardzo na tym zależy.

Niedługo potem wyszła, zostawiając mi zawartość worka.

Znalazłem w nim, zgodnie z jej obietnicą, lusterko - choć pełzający hobowie zabrali mi je jeszcze tej samej nocy - i noże, ponieważ te, których używałem do przygotowywania posiłków i golenia się, były już tępe. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że jestem obserwowany. Kinbel podarowała mi też przyprawy, z którymi z przyjemnością zacząłem eksperymentować. Zdobyła nawet dla mnie kilka pergaminów i mimo że zostały spisane w niedorzecznym żargonie kapłanów, zawierały kilka ciekawych tekstów dotyczących nauk przyrodniczych. Jednakże tym, co uszczęśliwiło mnie najbardziej, były czyste papirusy i niewielka porcja atramentu. Ucieszyłem się zarówno dlatego, że o tym pomyślała, jak i z tego powodu, że mogłem wreszcie pisać.

\* \* \*

Teraz mogłem notować wszystkie swoje idee. Przede wszystkim myślałem o ptakach z ogonami w kształcie strzał. Kapłani, co odkryłem w jednym ze zwojów, które pozostawiła mi Kinbel, uznali ich pojawienie się w tej północnej krainie za wróżbę i zapisywali ich dokładną liczebność i księżyc przylotu już od tysięcy lat. Teraz jaskółek było o wiele mniej i obserwując je fruujące między wieżami, zastanawiałem się, jak wiele tych stworzeń ginie w trakcie każdej z długich podróży.

I tu serce zaczęło bić mi mocniej. Uderzyła mnie myśl, że te ptaki, które latają szybciej i którym wiedzie się najlepiej, wydadzą na świat potomstwo, a pozostałe nie. Skłamałbym, mówiąc, że reszta przyszła do mnie łatwo. Ale z perspektywy widzę, że od tej myśli dzielił mnie już tylko niewielki krok do teorii, że szanse przetrwania zwiększają nie tylko świadome zmiany zachowania, nie tylko zmiany, jakie rozmyślnie wprowadzałem w życiu zwierząt i roślin w swoim gospodarstwie, ale też i te, które następują w sposób naturalny.

Po swej pierwszej wizycie Kinbel zaczęła odwiedzać mnie regularnie każdego księżyca. Przynosiła mi wieści ze świata, choć często odnosiłem wrażenie, że jest od tych

wszystkich wydarzeń równie odległa, jak odległy czułem się ja. O wiele ważniejsze jednak było to, że przynosiła mi świeże przybory do pisania. Niedługo potem zaczęła też znosić naręcza tekstów poruszających interesujące mnie tematy. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, by szukać informacji dotyczących świata przyrody akurat w świętych księgach, ale znalazłem w nich wszystko, czego potrzebowałem, zapisywane od eonów z istic kapłańską pedantycznością. Spróbowałem nawet opowiedzieć Kinbel o swej wizji, w myśl której wszystkie zwierzęta, drzewa, rośliny i owady zmieniają się i rozwijają na przestrzeni eonów w odpowiedzi na przeobrażające się wymagania swego otoczenia. Wyglądało na to, że słucha, a chwilami nawet pojmuje.

- Skoro świnie i dziki są ze sobą spokrewnione - wtrąciła pewnego razu - skoro drzewo i krzew są siostrami, jeśli ryby w oceanach są odległymi kuzynami tych, które znamy z naszych rzek, to czym jesteśmy my?

- Oczywiście, oczywiście. Dlatego właśnie muszę dowiedzieć się więcej! Ten zwój podatkowy dotyczący inwentaryzacji rozmaitych roślin uprawnych, począwszy od pierwszej dynastii, był doskonały, ale może mogłabyś znaleźć mi coś podobnego, traktującego o zwierzętach czy choćby owocach...?

Na zewnątrz, widoczna przez lodowate mgły, wielka budowla mojego sądu rozrastała się o kolejne dachy i kopuły, lecz w porównaniu z moimi teoriami i rozważaniami wciąż wydawała się niewyraźna, pozbawiona konkretności. Z trudem uświadomiłem sobie, że świat Kinbel, świat plotek, ceremonii i pieniędzy, jest rzeczywisty.

Miała czerwony nos i pociągała nim raz po raz. Wyglądała na zmęczoną.

- Przepraszam. Zapadłam na jakąś dolegliwość, której nasi kapłani nie potrafią uleczyć. Cierpi na to coraz więcej osób. Zapewne to skutek tego zimnego lata. Zastanawiam się niekiedy, czy ludzie zostali stworzeni do życia pod tak szarym niebem, tak daleko na północy. Wygląda na to, że hobowie też na to chorują, i to od dawna, a jednak w niczym im to nie wadzi. A teraz zarazili i nas. Przez to wielu z nich zostanie złożonych w ofierze. Już niedługo.

- Dlaczego? Wydawało mi się, że za wszystko zostałem obwiniony ja?

Popatrzyła na mnie gorzko, jak czasem miała w zwyczaj.

- Nie pozwól, by zwiodła cię wspaniałość tej budowli za oknem.

- Przepraszam. Chyba nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jak ciężko ci się żyje.

- Nie. - Nie odrywała ode mnie wzroku. - Nie sędzę, byś był w stanie. Ale prawie się już do tego przyzwyczaiłam. Taki po prostu jesteś i nie sędzę, by to była twoja wina. Widzisz rzeczy, ale ich nie czujesz. Dla ciebie to niemal zaleta. Ale... te wcześniejsze problemy, jakie

mieliśmy w małżeństwie... Od tamtej pory dowiedziałam się, że nie są wcale tak niezwykle. I też mam pewną teorię. Przyznaję, że w porównaniu z twoimi jest skromna, ale jednak... Więc, gdyby ludzie byli wychowywani przez własnych rodziców, tak samo jak wszystkie inne istoty - gdyby matki karmiły nas piersią, gdyby ojcowie nas dotykali, a może nawet gdyby nas niańczyli i laskotali. Gdyby wolno nam było śmiać się i płakać i krzywić i czuć miłość drugiego człowieka, a nie jakichś anonimowych hobów... Cóż...

Nagle poczuła się niezręcznie. Spuściła wzrok.

- Zastanawiam się, czy wtedy bliskość nie przychodziłaby nam łatwiej. Mówiłam ci, że to skromna teoria...

Zdenerwowałem się. Podejrzewałem, że się nie myli, ale nie miałem pojęcia, jak powinienem zareagować.

- Popatrz tylko na siebie - podjęła, wciąż na mnie nie patrząc. - Braknie ci słów na najmniejszą wzmiankę o bliskości z innym człowiekiem. To chyba czegoś dowodzi, prawda?

Pociągnęła nosem, zebrała połę płaszcza i wyszła.

\* \* \*

Dzięki jakiemuś procesowi życiowemu, który bardzo chciałem zrozumieć, lecz nie potrafiłem, Kinbel zaraziła mnie swoją chorobą. Przez jakiś czas kasłałem i kichałem, nie zwracając na to uwagi. Potem jednak pojawiły się dreszcze. Wpełzłem do łóżka. Świty niezliczonych dni pojawiały się w mym oknie i znikaly, a ja cierpiałem bóle i zlewałem się potem.

Ogarnęła mnie dziwna gorączka, która przyniosła ze sobą majaki. Wydawało mi się, że nie jestem już w celi. Wydawało mi się, że latam szybciej i wyżej nawet niż moje ulubione ptaki o rozwidlonych ogonach. Widziałem wszystko. Oglądałem ludzkie miasta takie, jakimi są w rzeczywistości - nie tylko wielkie budowle i place, ale także otaczające je rozległe siedliska hobów. Widziałem niekończące się białe równiny i góry, które rozciągały się we wszystkie strony wokół maleńkiej enklawy ludzkiego świata. Widziałem puchnące lodowce, sawanny, pływy wielkiej Rzeki Boga. Rojne lasy tropików i upstrzone burzami szaroniebieskie oceany, sięgające dalej niż najdalsze opowieści marynarzy. Zrozumiałem, jak wielka jest nasza Ziemia i że jeszcze większy jest czas, i to także, że przemian zachodzących pod księżycem i słońcem nie da się zatrzymać. Rzucając się w malignie, ujrzałem i pojąłem wszystko.

Obudziłem się dziwnie przytomny na dźwięk jakiegoś poruszenia. W pierwszej chwili wyobraziłem sobie, że minął kolejny z tych szybkich dni i że słyszę szelest cieni. Potem

przyszło mi do głowy, że to moi jaszczurczy hobowie zajmują się swymi codziennymi obowiązkami. Hałasy jednak nie pasowały i do nich. Potem zrozumiałem, że słyszę ludzkie kroki. Ogarnęła mnie radość na myśl, że to powraca Kinbel. Jednakże kroków było zbyt wiele, a powietrze i światło w mej celi wydawało się przytłumione obecnością, która nie mogła należeć tylko do niej.

Otworzyłem oczy.

Wokół stała horda kapłanów - wspaniałych w swych szatach i wśród świty, spowitych wonią kadzideł, łopocących wachlarzami i dzwonami. Zrozumiałem, iż nastał wreszcie czas mego procesu.

\* \* \*

Nowy budynek był jeszcze wspanialszy, niż to sobie wyobrażałem. Górował nade mną, gdy potykałem się na oblodzonym bruku, czując się dziwnie pod gołym niebem. Kiedy wciągnięto mnie do środka, szelesty i pomruki licznego audytorium ucichły. W moją stronę zwróciły się tysiące twarzy ze wszystkich zamieszkanym przez ludzi ziem. Wprowadzono mnie po krętych schodach na wysokie podium, gdzie kazano mi usiąść w czymś przypominającym skrzyżowanie klatki i tronu.

Pierwszy księżyc posiedzeń zszedł na wstępnych modlitwach prośbnych i składaniu ofiar. Podobnie upłynęła większa część następnego. W wielu miejscach sali rozpalono dla utrzymania odpowiedniej temperatury ognie i jęki cierpiących hobów oraz fetor ich wnętrzości mieszały się ze smugami dymu. Ja tymczasem miałem wystarczająco wiele czasu, by rozważyć ogrom pracy i inwencji włożonej we wzniesienie owej budowli. Obserwowałem też reakcje zbierających się w niej ludzi: kapłanów, wartowników, kupców, marynarzy i przedstawicieli innych profesji, którzy przychodzili tu w nadziei, że ktoś ich przekona, że to właśnie ja i tylko ja jestem odpowiedzialny za wszystkie nieszczęścia świata, a także - co ważniejsze - w poszukiwaniu rozrywki. Nawet ja dzieliłem z nimi coś, co można by nazwać niecierpliwym wyczekiwaniem. Idea, że sprawiedliwość może zostać wymierzona w tym świecie, zamiast w jakimś następnym, wydawała się pociągająca, choć sam byłem przekonany, że owa sprawiedliwość będzie fałszywa.

Kinbel rzecz jasna też tam była. Zajmowała specjalne podium, umieszczone naprzeciwko mojego, po drugiej stronie wielkiej niecki głównego audytorium. Nie była tam sama. Siedziała na czele roju innych kapłanek, które w odpowiednich momentach obrad śpiewały, tańczyły lub w milczeniu wyrażały minami odrazę bądź troskę. Na Kinbel skupiało się wiele spojrzeń poza moim, a światło, płomienie i nawet dym spiskowały, by otoczyć ją

szczególным blaskiem. Bardziej niż kobietę, którą pamiętałem, przypominała teraz jakąś obleczoną w śmiertelne ciało boginię.

W nieunikniony sposób, bo ona nigdy nie opuszczała wielkich towarzyskich zgromadzeń, proces obserwowała również moja matka. Po niedługim czasie rozpoznałem jej charakterystycznie pompatyczną świtę zajmującą jedną z droższych łóż. Na każdego człowieka przypadała tam zdobna, rojąca się masa stu hobów w liberiach. Wydawało mi się niekiedy, że dostrzegam nawet coś małego, zwiędłego i chyba ludzkiego w centrum tych wspaniałości, ale ani razu nie miałem pewności.

Z ciekawością czekałem na słowa oskarżenia, a gdy wreszcie padły, zdumiały mnie swym rozmachem i inwencją. Wedle nich, dopuściłem się tylu występków, że niemal poczułem się tym mile polechtany. Wszystkie owe haniebne profanacje, straszliwe czyny... - a przecież dotąd sądziłem, że najgorszym przedstawionym mi zarzutem będzie niepotrzebna miłość do natury i umiłowanie hobów. Lista ciągnęła się niemal bez końca. Mimo podniosłości momentu, poczułem się znudzony i zziębnięty. Zacząłem odliczać godziny i tęsknić do szczęśliwych dni samotności w celi, a także do towarzystwa mych ptaków z rozdwojonymi ogonami, które znów uleciały, by umknąć ziemie tak dziękuję, że nie miałem pewności, czy kiedykolwiek jeszcze powrócą. I - choć przecież przyglądałem się jej bez końca dzień po dniu na wskroś tej zadymionej, ociekającej złotem sali - tęskniłem też za wizytami Kinbel.

Proces ciągnął się powoli. Księżyc za księżycem. Ludzie w tłumie szeptali, wiercili się, potem zaczęli kichać i kaszleć, jakby dopadła ich ta sama przypadłość, na którą cierpieliśmy Kinbel i ja. Widzowie pojawiali się i odchodzili. Niektórzy nie wracali. Tej zimy miasto, wznoszące się na brzegu rzeki w wielkiej, obrębionej lodem niecce, zostało odcięte od świata i z trudem radziło sobie z utrzymaniem zalewu gości, którzy przybyli na mój proces. Przyglądając się z góry obliczom, badałem ludzi w zupełnie nowy sposób. Dostrzegałem różnice w stroju i obyczajach przybyszy z odległych regionów. Zauważyłem też zaskakującą różnorodność kolorów ich skóry. Choć hebanowa, piękna cera Kinbel nadal podobała mi się najbardziej - ze zdziwieniem zauważyłem, że wiele osób ma skórę o wiele jaśniejszą - bledszą nawet od mojej i mej matki. Uderzyło mnie również to, że choć jasność skóry hobów ceni się ze względu na jej piękny kontrast z czerwienią krwi, wielu spośród nich, jest zadziwiająco ciemnych. Mój wzrok wędrował z miejsca na miejsce. Umysł zawzięcie pracował.

Mimo że mój więzienny tron był umieszczony dość wysoko, wydawało się, że jego mechanizm może podnieść go jeszcze wyżej. Złożone elementy konstrukcji przechodziły przez kopułę głównej sali i nie miałem pojęcia czym się kończą, aż do pewnego wieczoru,



gdy powróciłem do celi. Zima miała się już ku końcowi i słońce zamarudziło nad krawędzią gór na dość długo, bym mógł ogarnąć spojrzeniem skute śniegiem Dhiol. Właśnie wtedy zobaczyłem, że na zewnątrz głównej kopuły wzniesiono wieżę, bardziej strzelistą niż każda inna iglica miasta, a na jej szczycie, na specjalnej platformie, połyskiwała niezwykła maszyna. Widywałem już podobne urządzenia - używano ich do karania hobów - lecz to było o wiele bardziej ekstrawaganckie. Oczekujące i wykwintne niczym wielki złoty owad, ostrza i cęgi narzędzi mych tortur błyszcząły w ostatnich promieniach wieczornego słońca.

\* \* \*

Wreszcie w Dhiol spróbowała rozgościć się wiosna. Pewna ilość śniegu i lodu stopniała, choć większość pozostała na swym miejscu. Kapłani, którzy prowadzali mnie do i z celi, rozmawiali teraz ze sobą swobodnie i dowiedziałem się o ciałach zamarzniętych gości miasta, które przeniesiono do katakumb. Usłyszałem też o tym, że wielkie lodowce z Dachy Świata rozrosły się tak potężnie, że wielkie grobowce i cała ich zawartość mogą niedługo znaleźć się na ulicach Dhiol.

Mimo że dzięki tekstom, które przynosiła mi Kinbel, poznałem język duchownych dość dobrze, już dawno osiągnąłem taki poziom zniechęcenia, że wszystkie modlitwy i dyskusje procesowe nie wpadały mi do uszu.

Dlatego więc z wielkim zaskoczeniem przyjąłem wiadomość, że nazajutrz zapadnie wyrok, a ja przedtem otrzymam możliwość wypowiedzi. Moje serce zatrzepotało słabo. Tej nocy prawie nie spałem.

\* \* \*

Kapłani przyszli o świcie. Poprowadzono mnie przez poranne błoto na zwykłe miejsce, wysoko ponad olbrzymią salą. Dziś jednak uwolniono mnie z łańcuchów, bym mógł w swej klatce swobodnie stanąć. Tłum, gdy na niego spojrzałem, wydawał się równie liczny i wyczekujący jak pierwszego dnia procesu. Podziękowałem Bogom gorąco za tę niezwykłą szansę.

Nie jestem pewien sposobu, w jaki wszystko tłumaczyłem. Z pewnością w paru momentach wielu słuchaczy było zagubionych i zmieszanych. W końcu przyszli tu, oczekując albo zaprzeczeń, albo przyznania się do winy. Zamiast tego otrzymali nowy sposób rozumienia świata.

- Żywe istoty - zacząłem pośród okrzyków, które wkrótce zmieniły się w pełną niedowierzania ciszę - nie są dziełem Bogów. Powstają dzięki prawom przyrody. Wszystko,

co żyje, żyje po to, by się rozmnażać, a te stworzenia, którym powiedzie się najlepiej, prowadzą na świat większą liczbę potomstwa. I każda istota jest inna. Każda roślina różni się od innych małymi detalami, zupełnie tak samo, jak różnią się od siebie ludzie; to, że ich nie odróżniamy, wynika jedynie z tego, że sami nie jesteśmy roślinami. - W tym momencie rozległy się śmiechy i zrozumiałem, że nadal mnie słuchają. - Jednakże te małe różnice mogą się okazać najważniejszymi: zwawsza stopa, szersze skrzydło, mocniejszy aromat nektaru... Mogą się też tak łączyć i mnożyć na przestrzeni pokoleń, by wreszcie stworzyć istotę zupełnie niepodobną do swych przodków. Tak inną, jak jeden typ kwiatu różni się od drugiego, albo jak różnią się od siebie gatunki ryb.

Tę sugestię powitały pomruki i kiwanie głowami; chyba zabrałem ich już w podróż dalszą, niż zdawali sobie z tego sprawę.

- Proces zmian i rozwoju - mówiłem - jest powolny lecz niebywale potężny. Można nim wyjaśnić nie tylko różnorodność ptasiego upierzenia, ale i sam fakt istnienia ptaków. - Teraz kilka pomruków zabrzmiało wrogo, lecz zgasły uciszone przez innych, bardziej zainteresowanych moimi słowami. - Ziemia jest niemal tak samo stara jak Bogowie. - Początkowo nie zamierzałem tego wtrącać, ale wydało się to pomocne. - I wciąż podlega zmianom powodowanym przez mróz, ogień, powódzie i susze. Gdyby żywe istoty nie potrafiły się do nich przystosowywać, nie przetrwałyby tak długo.

Tu na chwilę urwałem. Czułem lekkie zawroty głowy, brakowało mi tchu. Powiedziałem już wiele z tego, co chciałem, ale widzowie wciąż kiwali głowami i patrzyli na mnie, jakby byli na wpół przekonani. Nawet wielu kapłanów wyglądało na zadowolonych. Może obawiali się, że oskarżę ich o korupcję i inne złe uczynki, których z pewnością byli winni, a zamiast tego usłyszeli ten dziwny wykład. Gdy nabierałem tchu, zauważyłem jednak, że wiele osób straciło już wątek, który przed nimi rozwinąłem, podczas gdy inni rozumieli coraz mniej lub zaczynali się niecierpliwić. Kilka osób rzuciło nawet złe spojrzenia. Poniżej rozlegał się coraz głośniejszy pomruk. Projektanci sali jednak przyłożyli się wielce i zapewnili ludzkiemu głosowi doskonałą nośność w tym nowym budynku, ponadto moja pozycja w uniesionej klatce zapewniała mi znaczną przewagę. Nawet kiedy słuchacze zaczęli krzyczeć i zatykać uszy, moje słowa wciąż rozbrzmiewały.

- Wynika z tego - wyjaśniałem - że wszystkie stworzenia muszą wywodzić się z jednego, prymitywnego organizmu, a życie w całej swej specjalizacji i różnorodności rozwinęło się jako prosta odpowiedź na wymogi konkurencyjności i przetrwania, poprzez mechanizmy doboru i losowych zmian. Zatem świnię i dziki są ze sobą spokrewnione. - Rzuciłem okiem na Kinbel i wydaje mi się nawet, że skinęła głową, słysząc własne słowa. - A drzewo jest

kuzynem krzewu. Dowody tego widzimy wszędzie, w sposobie, w jaki różne zwierzęta dzielą ze sobą podobne, lecz inaczej używane organizmy. Można to dostrzec w kształcie kości nogi, w układzie płatków kwiatu...

Tutaj chyba urwałem. Niewiele zresztą można już było powiedzieć. Tych kilku słuchaczy, którzy byli w stanie pojąć moją ideę, już ją zrozumiało. Co do reszty - ci przyszli do tej sali w poszukiwaniu widowiska i przesądów i nic poza tym ich nie interesowało. Zatem może kontynuowałem z czystej złośliwości, a może nawet wyłącznie dla Kinbel. Gdy raz jeszcze na nią spojrzałem przez dymy i światła, przypomniałem sobie, jak szybko pochwyciła moją myśl i zauważyła, że nie stosuje się ona wyłącznie do drzew, ryb i ptaków.

- My, ludzie - obwieściłem zgromadzonym - jesteśmy takimi samymi wytworami przypadku i walki o przetrwanie, jak każdy inny gatunek na Ziemi. Co więcej - teraz musiałem już krzyknąć, gdyż pojedyncze zawołania z tłumu przechodziły w ryk - dowody naszego pochodzenia znajdujemy w całym świecie przyrody! Spójrzcie na wielkie małpy z dżungli. Przyjrzyjcie się przede wszystkim naszym najbliższym krewniakom - hobom. Jesteśmy w istocie tak blisko spowinowaceni, że możemy się z nimi krzyżować i wydawać potomstwo, podobnie jak koń z osłem, lew z tygrysem i... - w tej chwili oburzenie słuchaczy urosło o kilka kolejnych stopni - różne rasy psów. Przyjrzyjcie się kolorowi swej skóry, rysom twarzy, a potem popatrzcie na ciała hobów z waszej świty...

Już od jakiegoś czasu zdawałem sobie sprawę z jakiegoś poruszenia pode mną. Ostatnie słowa mej wypowiedzi zginęły stłumione w niezgrabnej szamotaninie z kapłanami, którzy wbiegli do klatki i przygnietli mnie ciężarem swych ciał.

\* \* \*

Gdy wróciłem do celi, prawie zapadła noc. Słońce zagrało na ramionach i przekładniach straszliwej maszyny na szczycie najwyższej wieży Dhiol, po czym zaszło. Ja także opadłem ciężko w mroku mego więzienia. Poczucie uniesienia zdążyło już mnie opuścić. Po jakimś czasie usłyszałem dźwięk dobiegający tuż zza mojego okna; odgłos tak dziwny i zarazem znajomy, że odniosłem wrażenie, że znalazłem się w innym czasie. Powróciłem do dni sprzed procesu, kiedy to mogłem swobodnie rozwijać swe myśli, szukając dowodów w tekstach przynoszonych przez Kinbel, nie trapiiony - jak mi się teraz zdawało - zupełnie niczym. Niemniej, tych hałasów nie można było pomylić z niczym innym. Kilka jaskółek odbyło swą zwykłą podróż na powrót do tej zimnej, północnej krainy. Uśmiechnąłem się, choć zdawałem sobie sprawę, że szanse, by wychowały w tym klimacie młode, są prawdopodobnie równie nikłe, jak moje na przeżycie.

Wciąż siedziałem i zastanawiałem się nad tym, co osiągnąłem, gdy pojawili się jaszczurczy hobowie i zajęli się swymi zwykłymi obowiązkami. To miała być ich ostatnia noc. Trudno było oczekiwać, by moje męki zostały odłożone na jakiś późniejszy termin. Jak zwykle, nie zwracałem uwagi na szare ciała poruszające się w celi. W pewnym momencie jeden z nich zbliżył się do mnie bardziej, niż to było w zwyczaju, zsunął z głowy kaptur i się wyprostował. Przemknęło mi przez myśl, że nigdy jeszcze nie widziałem hoba tak wysokiego, tak przystojnego i z tak ciemną skórą.

Dopiero po chwili dotarło do mnie na kogo patrzę.

- Powiedzieli, że już nie mogę się z tobą spotykać - wyjaśniła Kinbel.

Byłem tak zdumiony i uradowany, że niemal się roześmiałem, ale jej oblicze pozostało poważne.

- Wiesz, co się stanie jutro? - spytała.

- Zapewne ogłoszą wyrok, a potem zginę powolną śmiercią na tej maszynie... - Wyciekły ze mnie całe szczęście i ekscytacja. - Mam tylko nadzieję, że nie będzie to tak straszne jak sobie wyobrażam.

- Wcześniej wydarzy się coś jeszcze. Jak myślisz, po co kazali mi siedzieć w tej sali przez wszystkie te nieznośne księżycy? Widziałeś, jak patrzyli na mnie delegaci, słyszałeś, jak śpiewały moje kapłanki. Jestem twoją żoną i oni zechcą usłyszeć o okropieństwach, które mi robiłeś... Spodziewają się rzeczy... Niewyobrażalnych nawet dla siebie, choć zapewne jest takich niewiele.

- Kinbel, jeśli oczekują od ciebie, byś się mnie wyparła i wymyśliła jakieś nedorzeczne historie, to tak powinnaś postąpić.

- Nawet jeśli musiałabym kłamać?

- Moja sytuacja jest zła już w tej chwili. Nie sędzę, byś mogła ją jeszcze pogorszyć.

- Ale to nie byłaby prawda. A moje słowa trafiają do naszych... a przynajmniej moich... Bogów.

- Chyba nie wierzysz w te nonsensy?

- Jeśli masz na myśli to, czy uważam, że słońce zatrzyma się na niebie, jeśli zigguraty Ihris nie spłyną codziennie krwią hobów, to nie. Nie wierzę. Moim zdaniem Bogowie łakną rzezi hobów o wiele mniej, niż wyobraża to sobie duchowieństwo. Mam dość smrodu tej śmierci. Już jako dziecko nie cierpiałam, gdy ojciec wracał wieczorem do domu w szatach splamionych jak fartuch rzeźnika, choć przecież żaden szanujący się człowiek rzeźnik nie zbliżyłby się tak bardzo do pracujących dla niego hobów. Mdli mnie od rzezi. Z drugiej

strony jednak, nadal wierzę, że w tym świecie kryje się więcej, niż doświadczamy zmysłami. Wierzę, że życie nie jest prostym skutkiem walki i ślepego przypadku...

- Nigdy tego nie twierdziłem.

- Może nie. Ale nie pora teraz na rozważanie szczegółów. Obserwowałam cię przez te wszystkie księżyce. Niekiedy myślę nawet, że mogę powiedzieć, że cię poznałam, że wiem, jaki jesteś naprawdę, że jesteś dobrym człowiekiem. Jestem kapłanką i dobrze wiem, co z tobą zrobi ta maszyna na wieży. Nie uważam, że zasłużyłeś na tyle cierpienia ani że tego oczekują od nas Bogowie, o ile oczywiście Bogowie oczekują od nas czegośkolwiek. Może świat zginie w czasie nadchodzącej epoki lodu i może to kara dla nas wszystkich, ale jeśli ktoś ma zostać złożony w ofierze, nie chcę, żebyś to był ty. Niech to spotka kogoś innego. A teraz... - Kinbel odwiązała coś od pasa. Była to szara liberia, podobna do tej, jakie nosili hobowie i ona. - Włóż to.

- Jak ci się to udało? W jaki sposób przekonałaś...

Roześmiała się, po części wesołym, a po części smutnym śmiechem.

- Nawet w takiej chwili nie masz dla mnie nic innego poza kolejnymi pytaniami! Niczego nie przyjmujesz bez wyjaśnień... Wydaje mi się, niech mi Bogowie wybaczą, że właśnie tego w tobie najbardziej nienawidzę i zarazem najbardziej podziwiam, ty uparty, głupi mężczyzno. Ale skoro już zapytałeś, to czy naprawdę sądzisz, że jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek przejął się losem hobów? Czy mimo wszystkich planów i myśli nigdy nie przyszło ci do głowy, by znaleźć sposób na nawiązanie kontaktu z istotami, które od tak dawna dbają o ciebie w tej celi?

Stała pośród nich. Nieme, szare stworzenia poruszały się wokół Kinbel niczym cienie rzucane przez poły jej stroju. Skojarzyły mi się z kapłankami, które otaczały ją w trakcie procesu, ale od hobów biło o wiele silniejsze poczucie szczerzej czci i szacunku.

- Gdybyś tylko poświęcił chwilę i nauczył się rozmawiać z hobami o czymkolwiek poza kopaniem rowów i sadzeniem roślin, dowiedziałbyś się o wiele więcej. Każda żywa istota ma swoją historię, a moi obecni tu przyjaciele przeszli takie trudy i cierpienia, jakim nigdy byś nie dał wiary, nawet gdybyś został jutro zaprowadzony do tej strasznej maszyny. Wystarczyło, byś otworzył swoje serce...

Patrzyłem, jak jej smukłe, czarne palce rysują kształty w bladych kwiatach otwartych dłoni hoba. Po chwili hob musnął jej rękę. Był to taniec dotyku i cienia, mieszanie się dwóch różnych istnień. Przyszła mi do głowy dziwna myśl, że może Kinbel ma rację, że może w tym świecie istotnie kryje się coś, czego umysł nawet tak bystry jak mój nie może dowieść. Wtedy, na jakiś jej sygnał, którego nie dostrzegłem lub nie zrozumiałem, hobowie się cofnęli.

- Musimy iść. Wszyscy - szepnęła.

- A co z wartownikami?

- Zapominasz, że są przyzwyczajeni do tego, że wszystko ktoś robi za nich. Ludzie strzegący tej wieży są tak leniwi jak... - Urwała. Powiedzenie zwykle używane w takich sytuacjach brzmiało „leniwy jak hob”. - Jak ludzie. Szybko! - Uniosła rękę do szyi. Na tasiemce wisiał tam klucz. Musimy iść.

\* \* \*

Hobowie prowadzili nas korytarzami, mijaliśmy kolejne łukowate bramy. Kinbel i ja szliśmy za nimi. Przemykałem zgięty w pół, zgarbiony. Sam stałem się hobem, cieniem, choć słabszym od nich, mniej zgrabnym i zagubionym, mimo że wyczuwałem, że przechodzimy przez miejsca, które kiedyś były mi znajome, w latach młodości - te dalekie zakątki mojego utraconego gospodarstwa, w których każdy zakręt i nowe doświadczenie wiązały się z nauką i zaskoczeniem. Wielkie podziemne sale, wypełnione zapomnianymi wiekami i stylami. Ogromne kuchnie, w których echa kroków odbijają się od tysięcy rozkołysanych patelni. Białe widma pralni. Cuchnące jeziora wina i piwa. Warsztaty garncarzy, pełne zapasów oczekującej, niemal czarnej gliny. Miałem wrażenie, że przechodzimy przez wszystkie te pomieszczenia, choć były zimne, puste i odległe, wyczekujące lata, które miało już nigdy nie nadejść.

Wędrowka ciągnęła się w nieskończoność, jeszcze bardziej niż ciemność. Byłem poobijany, zmęczony, wyczerpany, ale w głębi ducha czułem uniesienie. Czułem się tak, jakby modły, których nigdy nie zanośliem, znalazły swą odpowiedź w postaci tych cichych, subtelnych istot. I Kinbel. Domyśliłem się, że wychodzimy tymi korytarzami nie tylko poza kaplice kapłanów, w których mnie więziono, lecz poza samo Dhiol. Niekiedy wydawało mi się, że w tych zimnych, mokrych tunelach słyszę głosy lub widzę przebliski światła. Byłem pewien, że wyczuwam woń ludzkich odchodów i jeszcze gorszych rzeczy. Szliśmy jednak nieprzerwanie naprzód. W końcu, jaki człowiek zdobyłby się na to, by zwrócić uwagę na procesję kilku anemicznych hobów?

Wreszcie dotarliśmy do wyjścia i ciemność zmieniła swą fakturę. Chłodny oddech nocy owiał mi twarz. Brama otwierała się w zboczu wzgórza już za miejskimi murami i moje badawcze dłonie, gdy podpierałem się, by stanąć na mrozie, powiedziały mi, że, jak wszystko, co w naszym świecie zostało wykonane przez hobów, także i te wrota były dziełem świetnego rzemiosła.

Hobowie zebrali się wokół nas, stykali się dłońmi z Kinbel, unikając jednocześnie moich rąk. Zrozumiałem, że przekazują sobie jakąś wiadomość. Staliśmy pod cienkim sierpem księżycy i kilkoma ściganymi przez chmury gwiazdami. Wyczułem zmianę w ich postawie. Wydało mi się wręcz, że zwracają swe okaleczone oczodoły na mnie, choć zaraz potem obrócili je z powrotem ku Kinbel.

- Stąd - powiedziała - ty i oni macie szansę wydostać się na wolność.

Zęby zaczęły mi szczekać. Żelazne powietrze napierało z ciemnych barków Dachy Świata. Dopiero po chwili pojąłem.

- Co masz na myśli? Ty i oni?

- Ja muszę wrócić do Dhiol. Posłuchaj, niedługo wszędzie słońce. Jeśli będę dobijać się do bram miasta wystarczająco długo, na pewno kogoś obudzę, człowieka czy hoba.

- Kinbel, nie możesz! - Myśli gnały w mojej głowie jedna za drugą.

Poczułem się tak, jak ponoć czują się kapłani, gdy wpuszczają w siebie duszę księżycy i blask gwiazd.

- Jeśli wrócę, będę mogła za siebie odpowiedzieć. Dostanę szansę przedstawienia swej prawdy, tak samo jak ty wczoraj. Jestem kapłanką i jestem to winna Bogom.

- Zdajesz sobie sprawę, co oni...

Powstrzymała mnie, ujmując mą dłoń.

- Ty też to wiedziałeś, a jednak postąpiłeś tak, jak uważałeś za słuszne. Musisz pozwolić mi na to samo.

- Powiedziałem tylko, co myślę. Przecież mogę się mylić. Zwłaszcza w tym, co mówiłem na temat ludzi i hobów - naszego krzyżowania się... To tylko teoria. Nie mam dostatecznych dowodów. Potrzeba dalszych badań. Muszę teraz...

Położyła mi palec na wargach.

- Proszę. To dotyk człowieka. Nigdy nie umiałam w inny sposób zamknąć ci ust. Ale słuchaj, słońce już wstaje. Muszę iść.

- Nie możesz.

- Już to mówiłeś. Muszę.

Cofnęła się i przelotnie dotknęła okaleczonych twarzy każdego z hobów, połyskujących teraz płomiennie w pierwszych rumieńcach świtu. Pod nami leżało Dhiol, popielaty cień w dolinie oświetlonej jeszcze tylko żarzącym się węgielkiem najwyższej wieży miasta. Odwróciła się i zeszła ze wzgórza ku murom. Gdy tak stałem, nie próbując jej powstrzymać, zrozumiałem, że wszystko, co mówiono o mnie w trakcie długiego procesu, jest prawdą.

Jestem potworem.

Aberracją.

Jestem mniej niż człowiekiem i o wiele mniej niż hobem.

\* \* \*

Ze wszystkich tych rzeczy, które Ci opisałem, Czytelniku, najdziwniejsze wydaje się teraz to, co opowiadałem o dawnych czasach: o gorących latach, migrujących ptakach, rozkwitających kwiatach i mglistych jesieniach. Oczywiście tutaj, w górach, pogoda też się zmienia, ale cenimy sobie zwłaszcza twardą, lodowatą ciemność zimy, a wiosnę uważamy za najtrudniejszy okres, nawiedzany lawinami, spadającymi skałami i niebezpiecznymi, dzikimi strumieniami wody z topniejącego lodu. Nie sądzimy, by to była pora błogosławiona. Powiedziałem „błogosławiona” jakby błogosławieństwa w ogóle istniały! Ale coraz częściej łapię się na tym, że myślę w tych śmiesznych, kapłańskich kategoriach. Uśmiecham się do chłodnego, białego słońca lub zadaję pytania wiatrom i księżycowi.

Albo się starzeję, albo słabnie mi umysł. Bo dlaczego właściwie marnotrawię swój cenny zapas papirusu i atramentu na spisywanie tej opowieści? Dawniej te same zwoje wypełniłbym notatkami, opisami, pytaniami, obliczeniami, teoriami. Ale prawda wygląda tak, że część mego umysłu, która się tym niegdyś zajmowała - i pracowała ciężko jak dobrze wysmagany hob, jak to się mówiło - jest już chyba wyczerpana. A czas przestał być dla mnie tak ważny i cenny. Mam go mnóstwo. Moi koledzy - czy też porywacze - nieczęsto znajdują dla mnie jakiegoś zadania. Czasem myślę, że sam również nie potrafię się zagospodarować. Niemniej, przyjemnie jest przypomnieć sobie te dawne czasy - a przynajmniej większą ich część. I cieszy mnie samo pisanie, choć mam przy tym wrażenie, że niewiele udało mi się dzięki temu wyjaśnić, nawet samemu sobie.

Wciąż też myślę o tym, co uczyniła Kinbel. I nie mam pojęcia, czy wszystko potoczyło się zgodnie z jej zamierzeniami. Aczkolwiek okazywała, że wie, co ma się wydarzyć, nie sądzę, by się na to zdobyła, gdyby rzeczywiście znała całą prawdę. Ja jednak wiedziałem i nie zrobiłem nic patrzyłem, jak schodzi ze wzgórza ku miastu, ku swemu przeznaczeniu. Wokół tego właśnie obracają się moje skołatane myśli. Wspinaczka spod Dhiol tamtego zimnego, wiosennego poranka była ciężka: dla mnie, który rozleniwiłem się w swej celi, i dla moich niemych i ślepych towarzyszy, którzy nagle znaleźli się w miejscu najeżonym dzikimi, zębatymi urwiskami. Ja jednak widziałem, a oni czuli i potrafili się wspinać. Dzięki temu odnajdywaliśmy drogę coraz wyżej i wyżej, wśród labiryntu zmarzniętych skał. Po niedługim



czasie wszyscy opadliśmy z sił i krwawiliśmy, ale ręka za ręką, ciało za ciałem, parliśmy ku górze.

To był jasny, pogodny dzień. Około południa, nie słysząc ujadania psów, krzyków ludzi czy porykiwań hobów, które mogłyby zwiastować pościg, postanowiliśmy odpocząć. Spojrzałem w dół. Kopuły, wieże... Dhiol wyglądało jak idealny klejnot, oprawiony niosącą iskierki kry rzeką niczym warkoczem lśniących włosów. Nigdy nie przepadałem za miastami, ale wtedy wydało mi się piękne, być może dlatego, że wiedziałem, że już nigdy tam nie wrócę.

Może nawet pozwoliłem sobie na krótko zapomnieć o Kinbel - ja potwór, aberracja. I kiedy tak patrzyłem, miasto wydało z siebie rozmigotany hałas, zalew dźwięków trąb i ludzkich głosów, wysyczało procesje i flagi. I w tej samej chwili południowe słońce wystrzeliło niewiarygodnie mocnym promieniem przedzierającym się przez warstwy chmur, jakby naprawdę odezwali się Bogowie. I ten promień uderzył prosto w najwyższą z wież Dhiol, tę wznoszącą się ponad salą mego sądu. Powietrze zaczęło drżeć i moi ślepi towarzysze zbili się razem i złączyli dłonie.

Zatrzęśli się. Miałem wrażenie, że widzę wszystko - jakbym to ja był Bogiem - a to, czego nie widziałem, czułem; to, czego nie czułem, słyszałem. Przede wszystkim krzyk Kinbel, który wypełniał dolinę przez całe długie, straszliwe popołudnie. Wciąż go słyszę. Domyślałem się, że kapłani, włożywszy tyle trudu i wydatków w stworzenie maszyny, postanowili się nią posłużyć. Skoro nie na mnie, to na kim innym, jak nie na mojej małżonce - tej, która pomogła mi w ucieczce i która nawet w obliczu tortur, nadal nie chciała się mnie wyrzec?

Niekiedy w zadumie udaje mi się pomyśleć, że powrót Kinbel do Dhiol i jej rozciągnięta w czasie agonii były nieuniknione. Wciąż jednak szczerę się rygorystycznie działającym, logicznym umysłem i zdaję sobie sprawę, że mogłem zapobiec zniszczeniu się tego jej przeznaczenia i że owa pełna cierpienia śmierć była czymś, na co zasłużyłem ja, a z pewnością nie ona.

Nie mogę się od tamtych wydarzeń uwolnić. Zgrzytają ostrzami, jakby w mej głowie zagnieździło się jeszcze jedno narzędzie tortur. Zastanawiam się na przykład nad tym, jak łatwo udało mi się uciec. Po tak długim czasie, po tak wielu wysiłkach, i to akurat w taką noc, czy kapłani rzeczywiście mogli się okazać do tego stopnia niedbali? Może dostrzegali prawdę równie wyraźnie jak ja i wiedzieli, że nie jestem bardziej odpowiedzialny za pogorszenie się pogody niż jaskółki i że moja śmierć nie będzie w stanie niczego zmienić. A przecież składali wiernym nierozważne obietnice dotyczące licznych cudów, jakimi po mojej śmierci Bogowie

mieli obdarzyć ludzi. Lód miał się cofnąć, miały powrócić ciepłe dni, uprawy miały wzrastać, a sama Rzeka Bóg miała popłynąć w błogosławionym spokoju. I może, kiedy pojęli konsekwencje tak wielu niemożliwych do spełnienia przyrzeczeń, może uznali, że lepiej i łatwiej będzie pozwolić mi uciec, a zamordować niewinną ofiarę?

\* \* \*

Idee, teorie - sam widzisz, że nie mogę się ich pozbyć. Ale życie toczy się dalej, a ja - ku swemu wstydy i rozczarowaniu - potrafię znajdować w nim niewielkie źródła zadowolenia, a nawet sugestie czegoś przypominającego szczęście - odszukuję je w obserwacji zwyczajów coraz liczniejszych hobów, którzy przybywają, by zamieszkać tu, na Dachy Świata. Lodowe grobowce, mimo że zniszczone, zapewniają nam dostęp do surowców, a także jedzenia, gdyż zamrożone ofiary złożone umarłym, jeśli je odpowiednio odgrzać i przyrządzić, okazały się bardzo pożywne. Oczywiście czerpiemy stamtąd też kamień, narzędzia i meble. Hobowie, pomijając to, co zwykle się o nich mówi, są przemyślni i przedsiębiorczy - wiedzą, jak działa świat, o wiele lepiej od jakiegokolwiek człowieka. Rzadko jednak wykorzystuje się rzeczy zgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem. Łoże pogrzebowe staje się więc schronieniem dla całego szczepu. Sarkofag przeistacza się w koryto dla zwierząt, które tak sprytnie udaje im się tu hodować - mogę tylko dodać, że mieszkańców sarkofagów oczywiście uprzednio się usuwa. Te przeobrażone, podniszczone sprzęty przypominają jakiś sen o ludzkim świecie, w którym wszystko zostało zniekształcone i przerobione.

Hobowie są nie tylko przedsiębiorczy - są również inteligentni. Rozumieją, że te pogrzebowe skarby wystarczą jedynie na kilka lat. Potem jednak, jak sędzę, również nie będą mieć problemów z przetrwaniem. Już teraz grupy łowców wyprawiają się na niedźwiedzie, kozice i jelenie, a zbieracze znoszą jagody, które wciąż owocują w porze roku uchodzącej obecnie za lato. Niekiedy ryzykują nawet wycieczki na otaczające Dhiol równiny, wyzute teraz w dużej mierze z cywilizowanego życia, ludzkiego czy hobowego. Są nawykli do znoszenia trudów i do ciężkiej pracy. Przede wszystkim jednak myślę, że przetrwają, dlatego że ta mroźna kraina należy się im o wiele bardziej niż kiedykolwiek należała się nam, ludziom.

W chwilach, gdy pozwalam sobie jeszcze myśleć w kategoriach swych dawniejszych teorii, zaczynam rozumieć, w jaki sposób ludzie i hobowie zaczęli żyć ze sobą w znany mi sposób. Podobnie jak głosiły mity kapłanów, my, ludzie - istoty o ciemnej skórze, szczuplejszych kończynach i nieposiadające tolerancji dla zimna - przybyliśmy z ciepłego

południa. Z wolna, gdy świat się ocieplał, a pokrywy lodowe cofały, parliśmy coraz dalej na północ, przez i dookoła Morza Ograniczonego, ku krainom, gdzie mój ród znalazł sukces oparty na handlu na Wielkiej Północnej Wodzie. Tam właśnie natknęliśmy się na naszych bliskich krewniaków, którzy ze swymi mocniejszymi ciałami i jaśniejszą cerą radzili sobie zupełnie dobrze pod zimniejszym słońcem. Nazwaliśmy te dziwne, na pół swojskie stworzenia - o rudych włosach, grubych szczękach i krzaczastych brwiach, posługujące się nie mową, tylko gestami i porykiwaniem - hobami.

Może istniała nawet epoka współpracy i zrozumienia. Bardziej jednak jest prawdopodobne to, że od początku towarzyszyły naszym kontaktom strach i nieufność. Niemal na pewno, kiedy rozmnożyliśmy się i zasoby przyrody stały się cenniejsze, pojawił się konflikt. Wygraliśmy my, ludzie, i podporządkowaliśmy sobie hobów, których zaczęliśmy używać i wykorzystywać tak, jak to czynimy do tej pory. Tego, dlaczego starcie skończyło się tak a nie inaczej, nie jestem w stanie rozstrzygnąć. Życie, jak nadal sądzę, jest poddane przypadkowi co najmniej w tym samym stopniu, jak wszystkim innym procesom. Może istnieje jakaś wersja naszego świata, gdzie triumf odnieśli hobowie, a my przez eony budowaliśmy ich miasta. Może nawet istnieje taki, w którym wiedzeni mściwością, my, ludzie, zniszczyliśmy hobów doszczętnie i jedyne dowody ich istnienia można znaleźć tylko w skałach, podobnie jak szczątki wielu innych stworzeń. Gdyby jednak tak się stało, gdybyśmy żyli samotnie, z trudem wyobrażam sobie, jak taki świat okazałby się lepszy od tego mi znanego. Nadal wymagałby ciężkiej pracy i wątpię, by jej ciężar został równomiernie podzielony. Drzę na myśl o środkach, jakimi moglibyśmy się posłużyć, by podzielić ludzkość na rządzących i rządzonych, na strażników i robotników, na tłustych i biedotę. Za cechę odróżniającą jednych od drugich moglibyśmy uznać coś równie niedorzecznego jak kolor skóry czy miejsce urodzenia.

\* \* \*

Hobowie żyjący w tym schronieniu na wysokościach traktują mnie najczęściej z dystansem i pewnym rodzajem szacunku. Przyznaję, że zdarzają się niekiedy chwile, gdy jestem wykorzystywany czy poniżany - tak samo jak świadkowie mego procesu są świadomi, że zostałem oskarżony o bycie miłośnikiem hobów, i podchodzą do tego z niemal równym obrzydzeniem. Niemniej, przynoszą mi pożywienie i inne dobra, takie jak ten papirus. Pozwalają mi też na samotne wędrowki, pewni, że zginałbym, gdybym odszedł zbyt daleko pośród skał i lodu. Najczęściej jednak nie opuszczam swej jaskini, będącej dawniej przedsiódkiem wielkiego grobowca. Pod wieloma względami nie różni się ona zbytnio od

mojej celi w Dhiol. Hobom pasuje posiadanie takiego dobrowolnego jeńca, podobnie jak pasowało to kapłanom Księżyca. Zbiegli hobowie donoszą nam niekiedy wieści z ludzkiego świata w dolinach i wydaje się, że moje imię stało się tam jeszcze większym przekleństwem niż przedtem. Teraz jestem już odpowiedzialny nie tylko za zmiany klimatu, lecz także za wojny, które w miarę kurczenia się zasobów wybuchały między ludźmi. Oczywiście, gdy mówię „między ludźmi”, wciąż oznacza to głównie „między hobami”, ale choć nadal są to miliony, liczba hobów, które bezdyskusyjnie służą człowiekowi, stale maleje. W naszym świecie zmienia się już nie tylko pogoda.

Drugim imieniem, które wciąż słyszę - jakby i tak nie dręczyło mnie dostatecznie - jest imię Kinbel. Hobowie czczą ją z powodów zbyt skomplikowanych, bym mógł je w pełni zrozumieć. Powiadają na przykład, że dzięki jej cierpieniu żadna dalsza ofiara nie będzie już nigdy potrzebna, mimo że jestem przekonany, że wielu hobów nadal oddaje życie na ołtarzach. Co jeszcze dziwniejsze, zauważyłem, jak wymieniają między sobą ukradkowe gesty, sugerujące, że istnieją również ludzie, którzy oddają jej cześć. Czy to możliwe, by Kinbel nie zginęła jednak na darmo? Czy to możliwe, że jej uczynek stał się symbolem tego, że hobowie i ludzie mogą żyć naprawdę razem, nie jako niewolnicy i panowie, lecz jak równi? Mój umysł podsuwa i takie rozwiązania, choć jestem niemal pewien, że ludzkości wiodłoby się lepiej, gdybyśmy wszystko robili sami za siebie. Może nasze świątynie nie byłyby tak wielkie, a ogrody nie tak ozdobne, lecz warunki zmusiłyby nas wtedy do wykazania inwencji i powstałyby wynalazki pozwalające dokonać więcej przy znacznie mniejszym wysiłku. Pamiętam ten samotny czas spędzony ze złamaną nogą w mym gospodarstwie i to, że hobowie nosili mnie dzięki tworzeniu ruchomej figury, którą nazywałem dywanem z hobów, kiedy to miałem wrażenie, że idę, choć cały wysiłek spoczywał na ich barkach. Myślę sobie teraz, że cała ludzkość żyła w dokładnie taki sposób przez zbyt wiele stuleci. Wyobrażamy sobie, że wszystko robimy sami, a w rzeczywistości nie robimy nic.

Drętwięją mi ręce. Wkrótce znajdę w lodzie miejsce, w którym złożę te zwoje, w mizernej nadziei, że ktoś je kiedyś odnajdzie i przeczyta. Jesteś tam, Czytelniku? Czy jesteś człowiekiem, czy hobem? I czy w ogóle pochodzisz z tego konkretnego świata? A może przybyłeś z miejsca, w którym ludzie pracowali samotnie i tak ciężko, że podgrzali powietrze do tego stopnia, że udało im się powstrzymać powrót straszliwych lodowców. To tylko fantazje. Ten świat, prawdziwy świat, przemija. Szczękają mi zęby. Bolą mnie kości. Przeczuję nadejście kolejnej gorączki. Może moje ostateczne cierpienie nie jest już tak bardzo odległe.

Pory roku jednak wciąż następują jedna po drugiej i życie potoczy się dalej. Czasami wszystko pójdzie ku dobremu, innym razem będzie źle, a najczęściej będzie i tak, i tak. Hobowie, którzy przybywają do naszej reduty, niosą ze sobą blizny i opowieści o potwornościach z nizin. Czasem dźwigają również inne ciężary. Pamiętam pewną młodą hobkę, która dotarła tutaj dwa tuziny księżyców temu. Mimo wycieńczenia długą ucieczką była ładna (proszę bardzo, powiedziałem to) i w wyraźny sposób brzemienna.

Przyglądałem się jej z tą samą zdystansowaną ciekawością, z jaką traktuję większość spraw. Jej brzuch puchł i zbliżał się dzień porodu. Pewnej nocy, niezbyt daleko od mej jaskini, usłyszałem nieomylnie odgłosy towarzyszącego porodowi zamieszania. Hobowie byli zbyt zajęci, by zauważyć moją obecność. Dziecko, miauczące i rozwrzeszczane, wciąż ociekające wodami płodowymi, uniesiono na rękach ku niebu. Potem pojawiło się następne, co wśród hobów zdarza się równie rzadko jak między ludźmi. Z początku myślałem, że wzburzenie, które wciąż narastało, ma swą przyczynę wyłącznie w tym fakcie. Ale oba noworodki bardzo się od siebie różniły. Pierwszy miał bladą skórę i widoczną już kępkę rdzawych włosów. Drugi był smuklejszy i dłuższy. Cerę miał czarną.

Dyskusja, jaka rozpełtała się zaraz potem, toczyła się zbyt szybko, bym mógł nadażyć, ale wniosek był jasny. Gdy młoda matka karmiła dziecię z rudymi włosami, to ciemniejsze, bardziej ludzkie, zostało wyniesione zadymionymi, oświetlonymi przez lampy tunelami ku śnieżnej nocy. Hobowie, o czym przekonałem się już dawno, nie praktykują składania ofiar ani nie pozerają swych młodych, lecz nie boją się zadawania śmierci. Pobiegłem za nimi, gestykulowałem, krzychałem.

Być może w ciągu swego ludzkiego życia ocaliłem lub pomogłem jeszcze jakimś innym istotom, niemniej, szczerze przyznaję, że nie pamiętam, kiedy ani w jaki sposób mogło się to wydarzyć. Abstrakcyjne teorie i skuteczne zarządzanie gospodarstwem są na swój sposób pożyteczne, ale dawno już mi zbrzydła delikatność i wszelkie inne rodzaje nadęcia.

Postanowiłem działać. Jestem przekonany, że to dzięki mojej interwencji pozwolono żyć ciemnoskóremu dziecku. Dziewczynka wkroczyła właśnie w swój trzynasty księżyc, uczy się mowy gestów i chodzenia. Być może z powodu mego szczególnego zainteresowania, nie boi się mnie tak bardzo jak pozostałe młode hobiątka. Matka pozwala jej nawet niekiedy przycupnąć w mojej jaskini, gdzie próbuję rozmawiać z nią ludzkim językiem. Otrzymałem już w odpowiedzi parę bełkotliwych słów. Jest słodziutka, prawdziwy mały klejnocik, i nosi hobowe imię, którego nie jestem w stanie zapisać za pomocą tych symboli. Ja jednak nazywam ją Kinbel i zauważyłem, że kilkoro innych hobów zaczęło gestykulować z nią przy użyciu swej wersji tego właśnie imienia.

# O SPOTKANIACH Z INNYMI WYSPAMI

Unosząca się nad oceanem matka wyspa składała się z wielu elementów. Po części z metalu, po części z lasu, po części z miasta, po części z gór, a po części z sadów i łąk. Rzuciła cień na kotłujące się poniżej wody i wywoływała w nich pływy, prądy morskie, sztormy; zarzucała sieci szmaragdowych błyskawic. Pod jej ciemną od oblepiających ją małży, niespokojną spodnią stroną, bezimienne morskie behemoty, stada ślepych ptaków i srebrzące się ławice ryb zmagaly się ze sobą, szalały wśród pozostawionego przez wyspę, pianistego śladu. Korzenie, rynny i stalowe odpadki spadały w otchłań i ginęły pożerane lub rozrywane na strzępy przez bezustannie młójące fale. Pod pewnymi kątami, z dostatecznej odległości, wydawało się, że wyspa stoi na migocących nogach lub że dopiero co wynurzyła się spod wody, albo że wiecznie ku niej spada. Jednakże z większości punktów widzenia, gdy oko starało się ogarnąć skalę tego widowiska, wyspa wyglądała na to, czym była w istocie: na niedorzecznie piękną, wyraźnie niemożliwą, urzeczywistnioną wizją.

Ci, którzy na niej mieszkali, nigdy jednak nie oglądali jej z takiej odległości. Dla nich stanowiła ląd i dom, pod którym było już tylko morze, a dzieląca ich od fal przepaść była tak wysoka, że strasznie było o niej nawet myśleć. Ocean matka, jak powszechnie sądzono, nie miał kresu, a pomiary odległości w jego wodnym bezmiarze były możliwe jedynie w chwilach tych rzadkich wydarzeń, które nazywano spotkaniami. W najwyższej sięgających wieżach wyspy, pytanie o to, kiedy i gdzie wydarzy się spotkanie następne, zaprzętało umysły największych spośród marzycieli. Niektórzy z ludzi żyjących i pracujących w niższych, bardziej przyziemnych rejonach wyspy twierdzili, że marzyciele posiadają mapy oceanu matki, choć takie dokumenty z pewnością ukazywałyby przede wszystkim zmienne skale szarości, zielenie i błękity, były więc raczej tylko mitem. Inni spekulowali, że marzyciele sterują wyspą, nadając jej pewne konkretne kierunki, aktywnie dążąc do kolejnych spotkań,

choć większość była zgodna co do tego, że to sama wyspa wyznacza swą trasę, o ile w ogóle kierowało nią cokolwiek. Co dziwne, powszechnie przyjmowano, że do spotkań dochodzi jedynie dlatego, że marzyciele powołują inne wyspy do istnienia, doprowadzając do odpowiedniej realizacji konstrukty swych snów, i że gdy usuwały się one na powrót za mgłę horyzontu, rozplywały się w wodnistą, senną esencję, z której, uprzednio powstały.

Po każdym spotkaniu marzyciele w swych wieżach odkładali święte teleskopy i wdawali się w długą i kategoryczną dysputę mającą rozstrzygnąć, co takiego oznacza ten konkretny, zaobserwowany właśnie układ skał, dachów, niepewnych pól i chmurnych szczytów. Od tego zależały decyzje w tak istotnych sprawach, jak wyznaczenie czasu zbiorów, dopuszczalnej w sezonie długości damskich sukni, czy finansowanie budowy nowych kanałów. Na przestrzeni niezliczonych żywotów i spotkań, którymi wyspa odmierzała swą historię, pojawiało się wiele rodzajów owych wizji, z którymi musieli się borykać marzyciele.

Były wyspy ukazujące się o świcie, a także takie, które jakby wynurzały się z nicości pośrodku gorącego, bezchmurnego dnia. Niektóre wyglądały na przezroczyste, bądź składające się w całości z dymu lub lodu czy szkła. Widywano wyspy żelazne i takie, które sprawiały wrażenie obrębionych drogocennymi kamieniami. Niekiedy - i były to wielce pamiętne momenty - wyspy pojawiały się po kilka naraz i - nawet w trakcie tego krótkiego okresu, kiedy można je było obserwować - dzieliły się albo łączyły ze sobą. Najbardziej niezwykłymi wydarzeniami na przestrzeni kilku ostatnich pokoleń było: ukazanie się dziwnych, odległych światła wyspy, którą zauważono równo o północy, i przerażająca wyspa, wisząca do góry nogami nad krwawoczerwonym morzem. Większość jednak tych nieczęstych spotkań była zwyczajna, co skłaniało najśmielszych myślicieli do twierdzenia, że istoty, które z pewnością te konstrukcje zamieszkiwały, wiodą życie niekoniecznie różne od tego, jakie przypadło w udziale im samym. Czasami, powiadano, marzyciele o najlepszym wzroku, mający dostęp do najsilniejszych i najświętszych teleskopów, widywali wysokie wieże wzniesione wedle zasad niemal swojskiej architektury lub zauważali promienie słoneczne odbijające się od skierowanych ku nim soczewek. To także jednak było kolejnym zwyczajnym elementem spotkań, i po krótkim czasie na powrót wplatało się w tkanę snów marzycieli, a wyspa płynęła dalej, unoszona drganiem sztormów nieskończonego oceanu matki.

# DRUGA PODRÓŻ KRÓLA

Podróżował tym samym szlakiem, ale tym razem droga nie była skryta w zimowej ciemności, lecz wiodła wśród upału, i żadna z krain, które przemierzył ponad trzydzieści lat temu, nie wyglądała już tak samo. Zniknęły ciche domy, szachownice pól, nizinni pasterze tak chętnie dzielący się bukłakami wina. Zamiast nich widział niewydojone kozy, martwe ciała puchnące w przydrożnych rowach, gnijące na gałęziach owoce. Ludzie uciekali, armie maszerowały. Strach i kurz opadały na trakty gęstą mgłą.

Wybierał ukryte ścieżki. Obozował w milczeniu i samotności. Nie rozpałał ogniska, żywił się rodzynkami i suchym chlebem. Nie wznosił modłów. Choć był starcem, słabym i bezbronnym, czuł raczej rezygnację niż lęk. Jego wielbłąd był wart o wiele więcej niż on sam. Zdawał sobie sprawę, że już nigdy nie powróci do rodzinnej Persji. A przynajmniej nie za życia. Władca, gdyby dowiedział się o jego podróży, uznałby ją za zdradę, a kapłani Zaratustry wychłostałoby go za oddawanie czci fałszywemu Bogu.

Wreszcie dotarł nad Eufrat. Palmy i zielone wzgórza wyrastały z mokradeł, ale wszystkie okoliczne wioski były wyludnione. Usiadł nad szeroką błękitną rzeką, pozwolił wielbłądowi pić długo i głośno, a sam w ciszy oplakiwał swych dwóch starych przyjaciół: Melchiora, który jako pierwszy przeczytał o mających nastąpić narodzinach w świętych księgach pewnego starożytnego szczepu, i Kacpra, który wyszukał odpowiedni kwadrant wśród gwiazd, dzięki czemu znaleźli drogę. On sam, Baltazar, towarzyszył im, ponieważ utracił wiarę w cokolwiek i chciał na własne oczy zobaczyć ostateczny dowód pustki świata i niebios. Zapewne właśnie dlatego postanowił zanieść w podarku królowi - którego nie spodziewał się nawet ujrzeć - mazidło służące do balsamowania zwłok.

Znalazł przycumowaną do brzegu łódź. Niespokojnie trącała wodę, jakby obawiała się samotności w tym zielonym pustkowiu. Gdy Baltazar zebrał się w sobie i przekonał na pół



utykającego wielbłąda do wejścia na pokład, zapadła już noc. Potem złożył niewielką ofiarę rzeczonym Bogom i odepchnął się tyczką poza trzciny, na atramentowy nurt. Niebo na wschodzie ciemniało, wokół igrały duszki wiatru, ale kiedy wzeszedł księżyc i gwiazdy rozpostarły noc, gdy przybił do przeciwległego brzegu i ruszył po ziemi, która wkrótce zmieniła się w pustynię, zachodni horyzont wciąż płonął.

O wojnie wiedział dostatecznie wiele, by rozumieć mroczne wiry i bezruch, jakie widywał po drodze, ale pobożowisko, na które się natknął, kiedy słońce wstało za jego plecami i rozrzuciło swe promienie, uznał za najmroczniejsze i najbardziej nieruchome miejsce na Ziemi. Pomyślał, że wszyscy Persowie powinni być wdzięczni przeznaczeniu, że to rebelianckie, hebrajskie królestwo skierowało swój gniew akurat przeciwko Cesarstwu Rzymskiemu. Strateg zapewne powiedziałby nawet, że wojna między potężnymi sąsiadami może przynieść jego krainie jedynie pomyślność - słyszał to już w gospodach Kuchan - podobne twierdzenie jednak zakładało pewną równowagę pomiędzy zmagającymi się przeciwnikami. Tutaj wszak żadnej równowagi nie było. Tu była tylko śmierć.

Poczerniałe czaszki. Poczerniałe rydwany. Stosy straszliwie przemieszanych kości. Rzymskie tarcze i miecze stopione jak w piecu. Hełmy noszące wgniecenia przypominające ślady ciosów gigantycznych pięści. Jeszcze gorsze wrażenie sprawiała sama wartość pozostawionych tu, porzuconych, wzgardzonych dóbr, a przecież każde pole bitwy, jakie Baltazar widział lub o jakim słyszał w pieśni, natychmiast stawało się wymarzonym terenem łowieckim dla grabieżców.

Ta wielka rzymska armia, z mrowiem maszyn oblężniczych i koni, ze stalowymi murami z nieznających strachu mężczyzn i deszczami strzał, została obrócona w perzynę, jakby uderzeniem płomienistego huraganu. A potem wszystko tu po prostu zostało. Trudno było znaleźć drogę wśród całego tego zniszczenia. Musiał zasłonić wielbłądowi oczy i uspokajać porykujące stworzenie wizjami spokojnych oaz. Żałował, że nie może założyć opaski także i sobie, choć - co dziwne - nic tutaj nie obrażało jego ust ani nosa. Gdy nurzał stopy w kałużach wnętrzości i kiedy wspinał się na góry szkieletów, nie pojawiły się nawet muchy. Jedynym zapachem była nikła woń jakiegoś dziwnego pachnidła, podobna tym, jakie można poczuć za kurtynami świątyń ukrytego bóstwa.

Południowe słońce grzało mocno, ale pożoga na zachodzie jaśniała jeszcze intensywniej. Przypomniawszy sobie gwiazdę, tę co do której Kacper był pewien, że w jakiś sposób odłączy się od sklepienia, by ich poprowadzić. Czyżby zapłonęła na nowo i osiadła na Ziemi? Czy to właśnie tam go czekało? Owinął twarz, chroniąc ją przed palącym blaskiem i dryfującymi w powietrzu popiołami. Teraz wydawało mu się, że ta druga podróż pod koniec

życia była mu pisana od zawsze. Jeśli nawet nie, to należała mu się jako pokuta. Trzej mężczyźni, którzy odbyli ją przedtem, uważali się za mędrców i byli wielbieni w swych rodzinnych stronach jako kapłani, królowie, magowie. Potem zajaśniała przed nimi, rzeczywista nawet w wąpiących oczach Baltazara, samotna gwiazda, i jako jedyna na całym wirującym nieboskłonie nie poruszała się. Zaprzeczało to wszelkiemu rozumowi. Podważało wszystko, co dotąd wiedział o świecie, ale ludzie, których napotykali, przemierzając ten prymitywny przedsiónek Cesarstwa Rzymskiego, nie byli w stanie mówić swymi szeleszczącymi językami o niczym poza niejasnymi mitami o starożytnym władcy imieniem Dawid i zbliżającym się wielkim powstaniu. Nie znali się na gwiazdach, nie pojmowali wiekowych tekstów. Rozumieli tylko mowę złota, które trzej królowie kładli im w dłonie.

Wreszcie dotarli do miasta o nazwie Jerozolima. Była to stolica administracyjna owej niewielkiej prowincji i rzeczywiście, sądząc po jej zburzonych murach i pompie, z jaką nosili się kapłani miejscowego Boga, wyglądała na pozostałość czegoś o wiele wspanialszego. Lokalny tetrarcha nazywał się Herod, a jego pałac, nawet oczom trzech królów, wydał się niezwykle wspaniały. Wzniesiono go na płaskiej, kamiennej platformie, miał wysokie, górujące nad okolicą mury, otoczone zagajnikami delikatnych drzewek, brązowymi fontannami i połyskującymi kanałami. W ten właśnie sposób - myśleli trzej królowie, gdy prowadzono ich po wyłożonych mozaiką korytarzach - Rzym odwdzięcza się tym, którzy zginają kark przed jego władzą.

Zostawiono ich samych. Otrzymali wygodne kwatery z miękkimi, czystymi łóżkami i gorącymi kąpielami. Spowite w jedwabie dziewczęta przynosiły im sorbety. Bose tancerki wyginały dla nich swe ciała. Tutaj wreszcie poczuli się wielkimi, ważnymi emisariuszami, którymi przecież w istocie byli. Herod, nadęty na swym tronie, wydał się Baltazarowi wyniesionym zbyt wysoko małym człowiekiem. Potrafił jednak rozmawiać w grece, a trzej królowie nie widzieli najmniejszego powodu, by nie poprosić go o pomoc w realizacji swej misji. I pomoc tę otrzymali - szczerze i bezzwłocznie. Wezwano astrologów. Rozwinięto zwoje świętych ksiąg, a regionalni, brodacami kapłani, którzy roili się dookoła, potwierdzili, że owszem, istnieje przepowiednia, którą królowie poznali ze starożytnego tekstu. Proroctwo nadejścia nowego króla, z rodu owego Dawida, który w dawnych czasach doprowadził to miasto do świetności. Trzej królowie zostali odesłani w dalszą drogę na świeżych wielbłądach, z pełnymi brzuchami i szczęśliwymi sercami. Herod - zgodzili się, jadąc za coraz jaśniejszą gwiazdą - jest co prawda śliską personą, ale za to znakomitym i gościnnym gospodarzem.

Na traktach było niezwykle tłoczno. Okazało się, że w prowincji ogłoszono spis ludności, mimo że trwała właśnie najbardziej uciążliwa pora roku. Baltazar nie potrafił wyzbyć się myśli, że nie jest to najszcześniejszy moment do podróży, zwłaszcza dla brzemiennej kobiety. Przeciskając się wśród tłumów, w strugach marznącego deszczu, mijając obozy centurionów i szeregi ukrzyżowanych przestępców, wdał się w jeszcze jedną dyskusję z Melchiorem.

- Przypomnij mi, proszę, czy to dziecko ma się urodzić człowiekiem, czy Bogiem?

Odpowiedź, którą otrzymał, wciąż jednak brzmiała absurdalnie. Bo jakże może być naraz tak i tak? Jak można być jednocześnie jednym i drugim? Potem pojawiły się trudności ze znalezieniem dachu nad głową, i to mimo że Herod łaskawie wyposażył ich w odpowiednie glejty. Ponadto Kacper nie był już pewien, w którą stronę powinni się kierować. Gwiazda świeciła na firmamencie - w dzień i noc - jasno jak klejnot, ale nikt nie był w stanie wskazać im drogi i nikt także, poza kilkoma wędrownymi pasterzami, jakby nie zauważał niebieskiego zjawiska.

Wreszcie dotarli do małego miasteczka zwanego Betlejem. Zapadł już zmierzch i stało się jasne, że cokolwiek to dziwne światło na niebie oznajmiało, wydarzyło się właśnie tutaj. Zaczęli rozpytywać po gospodach. Raz jeszcze pomówili z miejscowymi, tak zwanymi mędrkami, tym razem ostrożniej niż u Heroda. Nie wspominali o Bogach ani królach. Na początku podróży Baltazar wyobrażał sobie - choć tak naprawdę nie wierzył, by mogło się to ziścić - że zostanie zaprowadzony przed oblicze jakiejś świetlistej istoty, która rozedrze miałkie zasłony ułudy tego świata. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że cokolwiek odnajdą, okaże się to boleśnie skromne, i wszyscy trzej królowie zaczęli się szczerze obawiać o los rodziny.

Była to stajnia na tyłach najtańszej i najbardziej zatłoczonej z gospód. Zostaliby odprawieni z kwitkiem, gdyby nie Melchior, który - w chwili gdy zatrzaskiwano im drzwi przed nosem - wspomniął o rodzinie pochodzącej z miasta o nazwie Nazaret. W ten więc sposób dotarli do miejsca, do którego od tak dawna prowadziła ich gwiazda i przepowiednie. Trafili tu w najciemniejszą i najbardziej wyzutą z nadziei noc najzimniejszej pory roku. Oczywiście, pełno było błota i łajna. Schronienie było niewielkie, zapewniające tak niewiele cennego ciepła, oprócz tego, które pochodziło z gazów i oddechów zwierząt. Kobieta wyglądała na wciąż wycieńczoną porodem, swe dziecko złożyła na sianie w żłóbku. Mężczyzna z kolei - Baltazara uderzyło, że nie wyglądał na dumnego ojca i męża - był oszołomiony i pełen trwogi.

W zasadzie powinni po prostu odwrócić się i odejść. Może przeprosić za kłopot i obdarzyć tych biedaków niewielką sumą na następny posiłek. Baltazar odniósł wrażenie, że Melchior właśnie to zamierzał zrobić, gdy wystąpił naprzód z sakiewką złota w ręku. Wtedy jednak padł na kolana, na to obrzydliwe klepisko, przed niemowlęciem w prymitywnym kojcu. To samo uczynił Kacper ze swoją szkatułką kadzidła. W tej chwili Baltazar przypomniał sobie, że obaj od początku mówili właśnie o tych darach. Nie zostało mu nic innego, jak również rzucić się na ziemię i wręczyć prezent, którego ofiarować, prawdę powiedziawszy, się nie spodziewał. Złoto dla króla, kadzidło dla bożego człowieka - owszem, to można było zrozumieć, jeśli prorocтва były choć w części prawdziwe. Mirra jednak, o ile oznaczała cokolwiek, symbolizowała śmierć. Wtedy dziecko się poruszyło i Baltazar odczuwał przez chwilę, że stanowi część czegoś znacznie większego. I od tamtego dnia to coś pozostało w jego umyśle i snach już na zawsze.

Rozmawiał o tym momencie z leżącym na łożu śmierci - już w Persji - Melchiorem.

- Tak - zgodził się suchym szeptem przyjaciel - to możliwe, że Bóg naprawdę postanowił ukazać się w tak dziwny sposób, w tak niebywałym miejscu. Może nawet sam poruszył niebem, byśmy mogli odbyć swą podróż z tymi konkretnymi podarkami.

Ale Melchior gasł już wtedy bardzo szybko, zapadał w ból i cuchnące rozwolnienie, którego ni zaklęcia, ni modlitwy nie były w stanie powstrzymać. Widząc przyjaciela zdjętego owymi wstrętnymi spazmami, Baltazar nie mógł się zdobyć na zadanie mu jeszcze jednego pytania, tego które przyprawiło go o wiele bezsennych nocy. Jeśli to dziecko rzeczywiście było objawieniem wszechmocnego Boga, dlaczego ten Bóg postanowił uczynić ich narzędziami grozy, która nastąpiła później?

Trzej królowie opuścili stajnię rano i znaleźli się pod siąpiącym niebem. Bez słowa zdecydowali, że muszą w milczeniu i skrycie powrócić do Persji, gdzie nie będą mogli rozgłosić swej nowiny. Niestety, na skutek ich próżnych dyskusji w pałacu Heroda, było już za późno. Plotka o królu chłopcu była zdecydowanie najmniej potrzebna tej prowincji, a zastosowane przez władcę środki zapobiegawcze były błyskawiczne i na rzymską modłę skuteczne. W ślad za trzema - podobno mądrymi - podróżnikami, niczym gorzki wiatr niosły się wieści o tym, że wszyscy narodzeni niedawno w Betlejem chłopcy zostali zamordowani. Królowie powrócili do swych perskich pałaców nie do końca przekonani, czy widzieli manifestację wielkiego Boga, lecz najzupełniej pewni, że Bóg ten już nie żyje.

I z tą pewnością pozostali na wszystkie następne lata, trwała ona, gdy Baltazar niedołączył, trwała, kiedy śmierć odbierała mu kolejno wszystkie żony i najstarszych przyjaciół. Potem jednak z tych samych zachodnich krain dotarła do niego pogłoska o

człowieku narodzonym w tym samym miejscu i w ten sam sposób, jakiego byli świadkami, który dokonywał teraz wielkich cudów i ogłosił się królem narodu zwanego przez Rzymian Żydami. Baltazar obliczył, że odkąd mężczyzna ów się ujawnił, minęły cztery lata, dokładnie tak, jak głosiły przepowiednie, które niegdyś pokazał mu na zwojach Melchior. Wydało się mu teraz, że ta ostatnia podróż była mu pisana od początku i że jedynym, na co jeszcze może czekać, jest własna śmierć.

Wkroczył do zielonej krainy. Na ziemię gwarną i żyzną. W strumieniach szumiała woda tak czysta i słodka, że bał się, że ani on, ani wielbłąd nie przestaną pić. Przy drogach rozkwitały kwiaty, znacznie liczniejsze niż te, którymi się szczycił w swym pałacu. Beczały tłuste owce. Powietrze z każdym oddechem stawało się bardziej delikatne i rześkie. Kurz, ból i rozczarowanie podróżą wkrótce go opuściły.

Pierwszy anioł, którego zobaczył Baltazar, stał na rozstaju dróg. W pierwszej chwili wziął go za wysoki, złoty posąg, ale po chwili zdał sobie sprawę, że postać nie dotyka ziemi. Istota unosiła się w powietrzu nad traktem, kołysząc czworgiem złączonych skrzydeł, błyskając licznymi oczyma. Miała cztery twarze, skierowane w stronę każdego ze spotykających się tu szlaków: oblicze człowieka, lwa, wołu i orła. Nogi również miała bydlęce. W jakiś niezrozumiały sposób Baltazar uświadomił sobie, że stworzenie owo należy do pierwszego zakonu anielskiego - cherubinów. W jego uszach rozległ się śpiew. Podniósł wzrok na anioła, który był zbyt piękny, by budzić grozę. Nie wiedział, czy ma się skłonić i zalać łzami, czy gromko roześmiać z radości.

- Przychodzisz jako pielgrzym, starcze. - Zwykłe stwierdzenie, wyśpiewane przez donośny wielogłos. - Możesz przejść.

Ziemia Izraela istotnie przypominała raj. Nigdy jeszcze nie widział tak dobrze utrzymanych wiosek ani tak urodzajnych pól. Mimo że do pełni lata było wciąż daleko, drzewa gięły się pod ciężarem owoców. Wszędzie brykały jagnięta. Bydło wyglądało na tłuste i szczęśliwe. W powodzi wielu innych nawiedzających go emocji poczuł się niewiarygodnie głodny, ale powstrzymał się od zrywania dorodnych fig, dopóki nie zauważył, że inni podróżni i pielgrzymi częstują się czym popadnie, a rolnicy chętnie dzielą się swymi plonami - grubymi śliwkami, urodziwymi granatami, ciepłym chlebem, chłodnym winem i połyskującymi kawałami mięsiwa.

Ciemniejący horyzont na wschodzie zapowiadał nadejście nocy, ale niebo na zachodzie jaśniało tak bardzo, że nie było mowy o oglądaniu zachodu słońca. Ogarnęło go radosne zmęczenie. Postanowił, że ułoży się do snu tutaj, wśród żywopłotów, które na pewno okażą się równie miękkie jak najświetniejsza pierzyna. Z lśniącego, błękitnego mroku

wybiegł jednak ku niemu rolnik i zaczął nalegać, by Baltazar przyjął w jego domu gościnę. Budynek okazał się kwadratowy, świeżo pobielony, z odnowionym dachem. Wewnątrz migotały oliwne lampki, a podłoga była sucha i niedawno zamieciona. Nigdy dotąd nie widział miejsca tak prostego i jednocześnie tak wspaniale utrzymanego. Sam gospodarz był również piękny, a jeszcze piękniejszą miał żonę i dzieci, śpiewające podczas przyrządzania posiłku. W powadze wysłuchali gościa, który opowiedział o swej podróży i strasznych rzeczach, jakie w jej trakcie ujrzał, ale kiedy skończył, znów zaczęli się śmiać, wyściskali go i zmówili modlitwę.

Zapewnili go, że wszystko, co widział, to tylko smutne pozostałości świata, który wkrótce miał zniknąć, w miarę rozrastania się Królestwa ich Zbawcy. Najstarszy syn walczył w armii Jezusa Chrystusa, w wojsku zwycięzców - tego byli pewni - i przez to zupełnie nie lękali się o jego życie. Nawet w tak radosnym domu, ostatnie oświadczenie wydało się Baltazarowi dziwne, ale zatrzymał tę myśl dla siebie. Zasiedli na pięknie tkanych dywanach do kolacji, która okazała się najświetniejszym posiłkiem jego życia. Potem zabrzmiały kolejne pieśni i modły. Gdy pan domu skinął wreszcie na Baltazara - jak sądził, po to, by pokazać mu miejsce do snu przeszli przez małe, przesłonięte zasłoną drzwi. Ich oczom ukazało się wysokie łóżko, jednakże już przez kogoś zajęte. Leżała na nim uśmiechnięta stara kobieta, ze złożonymi na piersi rękoma i szeroko otwartymi oczyma, jakby pogrążona w głębokiej modlitwie.

- Proszę, przyjacielu - zachęcił gospodarz Baltazara. - To moja babka. Musisz jej dotknąć.

Tak też uczynił. Starowina miała zimną, woskową skórę. Oczy, mimo wyraźnego blasku, nie mrugały. Była najwyraźniej martwa.

- A teraz powiedz, jak sądzisz, od jak dawna trwa w tym stanie?

Zakłopotany Baltazar posłużył się swą niepoślednią znajomością spraw natury i wymamrotał coś o trzech lub czterech godzinach, może mniej, sądząc po braku charakterystycznej woni i zeszywnienia kończyn. Jego dobrodziej klasnął w ręce i się roześmiał.

- Prawie dwa lata! A spójrz tylko. Jest szczęśliwa, jest doskonała. Czeka już tylko na ostatni dotyk Pana, który wprowadzi ją do królestwa wieczystego, jakie niebawem zostanie ustanowione. Właśnie dlatego my, chrześcijanie, ze wszystkimi swymi wrogami wojujemy z uśmiechem na ustach. Wiemy, że nie musimy się niczego lękać...

Tej nocy Baltazar leżał niespokojnie wśród przygotowanych dlań miękkich dywanów i czekał, aż nadejdzie sen. To czyste powietrze, szczęśliwe porykiwanie bydła, nieustająca jasność na zachodzie...

A gospodarze znów śpiewali, jakby przez sen, i do ich głosów dołączył cichszy, należący do starej kobiety, swymi pustymi płucami z radością nawołującej bliskiego zmartwychwstania z odmetów nienaznaczonej rozkładem śmierci. Rankiem, mimo że spał krótko, Baltazar czuł się świeżo, a zwierzę wyprowadzone dla niego ze stajni w niczym nie przypominało upartej istoty, która przyniosła go tutaj aż z Persji. Sierść wielbłąda połyskiwała jak ptasie pióra. Spoglądał mądrymi, brązowymi ślepiami ze współczuciem, jakiego Baltazar nie widział u podobnych istot nigdy w życiu. Podświadomie zaczął się spodziewać, że stworzenie do niego przemówi lub dołączy do rodzinnego chóru, który zęgnął go pieśnią.

W ten sposób, obładowany słodkościami i chlebem, na grzbiecie lekko kroczącego, posłusznego wierzchowca, na miękkim siodle, Baltazar pokonał ostatni odcinek swej dziwnej, drugiej podróży do Jerozolimy. Jasność przed nim stała się tak intensywna, że gdyby tak jaskrawo świeciło słońce, zaczęłyby się obawiać o swój wzrok. Widział jednak wyraźnie, a oczy go nie bolały - prawdę powiedziawszy, nigdy jeszcze nie widział tak dobrze, nawet w najszcześniejszych dniach swej młodości.

Przed połyskującymi jaspisem murami wielkiego miasta rozłożyło się obozowisko ogromnej armii. Były tam anioły inne niż istota, którą widział przedtem - niektóre obdarzone sześciorgiem skrzydeł, migocące jak płomienie lamp - znane jako Serafimy, a także te zwane Panowaniami w koronach i z berłami. Jeszcze dziwniejsze były Trony, w postaci obracających się kół zjezonych tysiącami oczu. Te ostatnie odpowiedzialne były za musztrę i szkolenie. Wydawały rozkazy głosami lwów. Sami żołnierze, co Baltazar zauważył, jadąc pomiędzy nimi, nie przypominali żadnego znanego mu dotąd wojska. Byli między nimi zgarbieni starcy. Zobaczył utykających i kalekich. Znalazł też dzieci i liczne brzemiennie kobiety. Mimo to, nawet ci pozornie najsłabsi i najbardziej bezradni dzierżyli płonące miecze, które cięły skałę równie łatwo jak powietrze, a na ich torsach lśniły napierśniki wykonane najwyraźniej z tej samej substancji, jaka otaczała aureolą całe miasto. Widząc wszystkie te szczęśliwe, dzięki oblicza, słysząc ich wrzaskliwe pieśni i śmiechy, z którymi zajmowali się codziennymi obowiązkami, Baltazar pojął, że armia chrześcijan nie zatrzyma się, dopóki nie przepędzi swych dotychczasowych panów z powrotem do Rzymu. Potem skierują się na Wschód, i padnie Syria. A także Egipt i to, co zostało jeszcze z Babilonu. Następnie przyjdzie

kolej na Persję, Baktріę, i leżące za nimi Indie. Nie zatrzymają się, dopóki nie podbiją najdalszych krańców świata.

Do miasta wjechał jedną z jego wielkich, strzeżonych przez anioły bram. Ulice zostały wyłożone jakimś dziwnie śliskim, przypominającym mosiądz metalem. Baltazar zsiadł z wielbłąda i pochylił się, by dotknąć tego niecodziennego bruku, podobnie jak to czyniło wielu innych nowo przybyłych. I podobnie jak reszta, aż zakrzyknął, gdyż ulice tej nowej Jerozolimy zostały wylane najprawdziwszym złotem. Wszędzie było bardzo jasno, wokół wznosiły się świątynie, tak samo liczne, jak w innych miastach są liczne targowiska, domy schadzek i posterunki straży. Wątpił, czy kiedykolwiek padał tu deszcz, ale złote rynsztoki czerwieniły się strugami parującej krwi. Tłuste owce, krowy i ptaki nie czuły lęku przed śmiercią, gdy rozśpiewane i wiwatujące tłumy prowadziły je ku ametystowym, turkusowym i złotym ołtarzom. Baltazar, który w zdumieniu wypuścił z ręki lejce wielbłąda, odwrócił się zdjęty paniką. Było za późno. Mieszkańcy miasta już radośnie wiodli porykujące stworzenie ze sobą.

Większość jerozolimczyków nosiła dobrej jakości lecz anonimowo identyczne, białe szaty, niekiedy zbryzgane posoką. Baltazar jednak poznawał wśród miejscowych Aramejczyków twarze i języki przybyszy z Rzymu, Grecji i Egiptu. Co dziwne, gdy cudzoziemscy pielgrzymi o ciemniejszej lub jaśniejszej karnacji zagadywali go, odkrył, że rozumie każde ich słowo.

Historia, którą go raczyli, była mniej więcej identyczna. Opowiadali o dwóch postaciach, które pojawiły się na szczycie głównej wieży tego, co było wówczas największą świątynią miasta. Wydarzyło się to cztery lata temu, w szabasowy poranek. Mówili o tym, że jedna z postaci była odziana w jaśniejącą szatę, a druga spowita czarnymi płomieniami. I o tym, że błyszcząca istota rzuciła się prosto w gęstniejący tłum, jakby ku pewnej śmierci, jednakże niebo rozdarło się wówczas od horyzontu po horyzont i zleciały z niego najrozmaitsze anioły, które podtrzymały spadającego. Nawet najbardziej konserwatywni z kapłanów nie mogli zaprzeczyć nadnaturalnej naturze tego, co się rozegrało na ich oczach. Następnego dnia ta sama postać stanęła przed zamkniętą, strzeżoną bramą Jerozolimy, na białym rumaku, w błyszczącej szacie, i zażądała, by ją wpuścić. Piłat, rzymski prefekt, którego niedługo potem ukrzyżowano za zdradę, rozkazał, by miasto otworzyć, zanim wrota padną strzaskane.

W ciągu następnych czterech lat zmieniło się wszystko. Jerozolima stała się najpotężniejszą metropolią na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, a Jezus Christos, czy też Chrystus, był tam najpotężniejszym człowiekiem. O ile oczywiście można go było w



ogóle uznać za człowieka. Baltazar słyszał na ten temat wiele dyskusji wśród rozradowanych, sławiących jego imię tłumów. Człowiek lub Bóg, ale z pewnością nie mógł być oboma naraz? Zdał sobie sprawę, że to jest to samo pytanie, które zadawał Melchiorowi podczas poprzedniej podróży. Wtedy nie otrzymał żadnej, choćby w najmniejszym stopniu zadowalającej odpowiedzi. Także i teraz owa kwestia nie dawała mu spokoju.

Gdzieniedzie wciąż odbudowywano miejskie mury. Anioły jakiegoś potężniejszego rodzaju przenosiły tam pod jaśniejącymi chmurami wielkie bloki jaspisu. Ukończone już fragmenty imponowały szerokością i głębokością, choć Baltazar nie potrafił sobie nawet wyobrazić, by to miasto musiało się kiedykolwiek bronić. Wielu innych budynków, mimo że już teraz były spektakularne pod względem rozmiaru i zdobnictwa, również jeszcze nie ukończono; i strzelały pod niebo wsparte jedynie o nedorzecznie kruche rusztowania lub może wyłącznie dzięki mocy wiary. Rozmigotane klejnotami ściany inkrustowano kolejnymi złoceniami i drogocennymi kamieniami. Wielka Świątynia, wzniesiona na miejscu mniejszej budowli, z której rzucił się Chrystus, była najogromniejszym, zapierającym dech w piersi obiektem ze wszystkich. Wielkie sześciany kryształu tak przezroczystego, że można było w niego wejść, sądząc, że to powietrze, zdobiły wieżyczki składające się pozornie z ognia i wiatru. Tłumy - kontrolowane i nadzorowane przez anioły - płynęły po szerokich marmurowych stopniach pod bramami z jaspisu. Większość przychodzących oddać tu pokłon ludzi była cała i zdrowa, ale niektórzy jak zauważył Baltazar - nosili na ciałach straszliwe rany lub świadectwa toczącego ich trądu. Inni, może niecierpliwie wyglądając obiecane go zmartwychwstania, nieśli na prostych noszach ciała zmarłych, w różnych stadiach rozkładu, lub też dobrze zachowane. Podobnie jak w całym mieście, nie było czuć żadnej z woni, jakich można się było spodziewać. Zamiast tego panował tu inny mocniejszy zapach, ten sam, który Baltazar wyczuł po raz pierwszy na polu bitwy. Po części woń korzennego wina, po części dym z kadzideł, i coś jeszcze, czego umysł nie chciał w ogóle uznać za woń. Wnętrze świątyni również było - rzecz jasna - niezwykle, ale Baltazar czuł już zawroty głowy od nadmiaru cudowności. Chciał jeszcze tylko - podobnie jak reszta zebranych - znaleźć się w obecności samego Jezusa.

Był tam, za wszystkimi świętymi bramami i korytarzami, władający z najdalszego z ogromnych dziedzińców Najświętszego ze Świętych, które stanowiło - Baltazar nie miał co do tego wątpliwości - największe zamknięte pomieszczenie na całym znanym świecie. Pod powałą szybowały anioły, wielkie dziwaczne bestie - po części lwy, po części ptaki - strzegąc tęczy schodów, jednakże oko samo uciekało ku pozornie niewysokiemu mężczyźnie, siedzącemu na tronie z koralami, szmaragdów i lapis-lazuli.

Z jednej strony, Jezus Christos wydawał się kruchy i niewielki, przytłoczony ogromem otoczenia. Widać było, że nosi włosy dłuższe niż uznawało się to za przystające mężowi i że jego szata wcale nie jest bielsza od tych, w jakie odziewali się wierni. Na nogach miał proste skórzane sandały, a na brodzie - mimo że przekroczył już wiek trzydziestu lat - wciąż młodzieńczy zarost. Jednocześnie jednak, nawet bez patrzenia, wiadomo było, że to on stanowi źródło jasności i potęgi płynącej z tego miasta na świat. Z początku po prostu siedział i spoglądał z góry ze smutnym współczuciem na wydający dzikie okrzyki, czołobitny, składający liczne ofiary tłum. Potem wstał z tronu i zszedł po stopniach między ciżbę. Zapadła niczym niezmacona cisza.

Owiało ich przecucie wieczności. Wszyscy w tej olbrzymiej sali poczuli się ukorzeni i osądzeni. Naprawdę też wyglądało na to, że niektórzy umarli ozywają wskutek zwykłego dotknięcia ręki, a kaleki po kilku słowach odzyskują kończyny. Inni jednak, przybywający tutaj, podobnie jak reszta, w podniosłych nastrojach, padali martwi. Zanim Christos zdążył się zbliżyć do Baltazara, rozległ się chór trąb i jego postać zniknęła. Audiencja dobiegła końca.

Baltazar zdał sobie sprawę, że przebył całą tę drogę, przeżył wszystkie te lata, w poszukiwaniu jednego, jedyne, niepowątpiewalnego mgnienia absolutu. Wyłącznie po to, by się przekonać, że istnieje coś więcej niż codzienna magia - zaklęcia Ziemi i demonów - tego świata. Po błogosławioną pewność. Tego tylko chciał. Tak przynajmniej dotąd sądził. I teraz właśnie ujrzał przed sobą manifestację najwyższego bytu - on i dziesięć tysięcy mieszkańców tego miasta z kryształu i złota. Dlaczego więc - zastanawiał się, opuszczając w tłumie Wielką Świątynię - ogarnęło go tak dojmujące poczucie zawodu?

W Jerozolimie nie dało się stwierdzić, czy panuje dzień, czy noc. To, co uznawał za gwiazdy, było prawdopodobnie aureolami aniołów lub jakimiś połyskującymi elementami niewiarygodnych budowli. W narożniku szerokich zewnętrznych schodów Wielkiej Świątyni zauważył jednak ciemniejszą plamę. Ludzie omijali ją szerokim łukiem i gdy zbliżył się wiedziony ciekawością, poczuł irytująco nieprzyjemną woń. Ujrzał kształt człowieka, unoszonego i całkowicie pokrytego przez roje much.

Proszę, pomyślał, oto ktoś tak beznadziejnie zniszczony przez grzech, że wymyka się nawet pomocy Jezusa.

Baltazar wsunął dłonie do kieszeni i przetrząsnął sakiewkę, w poszukiwaniu okrawków jedzenia i pieniędzy, które po chwili rzucił w kierunku nieszczęsnego stworzenia. Oczywiście nie spodziewał się, że takie materialne datki mogą się w tym mieście przydać, lecz cóż innego mu pozostawało? Odwrócił się już i zaczął zastanawiać nad znalezieniem noclegu, gdy nadnaturalnie długa ręka chwyciła go za rąbek płaszcza.

Pozwolił się przyciągnąć. Mężczyzna miał duże ciemne oczy. Dawniej mógł być pięknym człowiekiem, co można było dostrzec, o ile zignorowało się muchy, ropiejące rany i bijący od niego straszliwy smród. Obliznął pokryte parchami wargi i podniósł wzrok na Baltazara.

- Czy wiesz, kim jestem? - spytał głosem, który był tylko cichym szeptem, ale rozległ się w umyśle Baltazara wyraźnym echem.

I - zupełnie tak samo jak w świątyni - Baltazar wiedział i rozumiał.

- Ty jesteś Christos, Chrystus, ten sam, a jednak inny od Chrystusa, który na moich oczach dokonał przed chwilą tak wielu cudów.

- Jest tylko jeden Chrystus - mruknął mężczyzna, rozglądając się wśród zbierającego się wokół tłumu. Potem spojrzął w górę na krążące nad nimi anioły. - Zawsze tu jestem.

- Oczywiście, mój Panie, jesteś wszak wszechmogący - odpowiedział teolog tkwiący w Baltazarze. - Możesz przebywać w wielu miejscach jednocześnie. I pod wieloma postaciami.

- Mogę być wszędzie i wszystkim - przytaknął Jezus i uśmiechnął się, ukazując resztki zębów w poczerńiałych ustach. - Nie mogę być tylko nigdzie. Ani niczym.

Baltazar pokiwał głową. Dookoła zbierało się coraz więcej ludzi.

- Pamiętasz mnie, mój Panie? Wraz z dwoma przyjaciółmi odbyłem niegdyś podróż... - Urwał speszony. Oczywiście, że Jezus pamiętał.

- Przyniosłeś mi w darze maść zmarłych. Może, Baltazarze, miał, jak zamierzałeś, pytać mnie, czemuś to uczynił, spytasz sam siebie.

- Mój Panie... Nadal nie wiem.

- Dlaczego miałbyś? - Jezus przesunął się na stopniu. Objął wychudzonymi ramionami jeszcze bardziej kościste nogi. Muchy wirowały nad nim brzęczącą chmurą. - Podobnie jak nie wiesz, dlaczego postanowiłeś tu wrócić. W końcu jesteś jedynie człowiekiem.

Baltazar był świadom pomruków obserwującej rozmowę cizby - „On tu jest. Tak jak powiadają. Czasami objawia się w niegodnym przebraniu”. Wiedział też, że Jezus rozumie go o wiele lepiej, niż on sam mógłby się wyrazić.

- Powróciłem, mój Panie, po prostu dlatego, że jestem człowiekiem. I dlatego, że ty jesteś Bogiem.

- Jestem Bogiem jedynym.

- Tak. - Baltazar pochylił głowę. Głos zaczął mu drzeć. - Jesteś Bogiem jedynym.

- Więc... Dlaczego wciąż wątpisz?

- Ja nie...

- Nie próbuj mnie okłamywać! - Głos Jezusa Chrystusa zabrzmiał nagle z mocą lawiny. Niebo na mgnienie pociemniało. Anioły zawyły w powietrzu. - Wątpisz, Baltazarze z Persji. Nie pytaj mnie, dlaczego, ale wątpisz. Patrzysz na mnie z trwogą, ale nie widzisz, czym jestem. Gdybyś to zobaczył, gdyby wszystko zostało przed tobą odsłonięte, twój umysł rozpadłby się na kawałki... Ponadto, zastanawiam się, czy nawet wtedy, w tej ostatniej chwili zrozumienia, nie wątpiłbyś nadal? Lub czy przestałbyś wątpić po milionie wieczności przeżytych wśród wspaniałości, przy których to miasto wyglądałoby na cuchnącą stajnię, taką jak ta, w której się narodziłem. Czy uwierzyłbyś wtedy?

- Wybacz, Panie, po prostu nie wiem. - Baltazar zamrugał. Zapięły go oczy. Było to straszne, ale wiedział, że Jezus mówi prawdę. Bez tego przekłętego zwątpienia, które nie opuściło go nawet i teraz, nie byłby Baltazarem.

- Przyszedłem na ten świat, by przynieść mu wieczny pokój i zbawienie - podjął Jezus. - Nie tylko Żydom, ale całej ludzkości. Urodziłem się tak, jak widziałeś. Moi rodzice zbiegli przed gniewem Heroda i wychowano mnie jak niemal każde inne człowiecze dziecko. Czekałem, aż nadejdzie pora mego kapłaństwa. A kiedy nadeszła... - Odpędził muchy zbierające mu się na powiekach. - Kiedy nadeszła, przez czterdzieści dni szukałem na pustyni wiedzy i ukojenia, jak uczyniłby to każdy skruszony... Pościłem, modliłem się. Wiedziałem, że mogę zniszczyć mury tego świata, zerwać gwiazdy z nieboskłonu, dokładnie tak, Baltazarze, jak to sobie wyobrażałeś w swych najdzikszych snach. Mogłem wkroczyć do tego miasta tak ponizony, jakim widzisz mnie teraz, lub też jako świętoszkowaty bufon na oślim grzbiecie. Gdybym tylko zechciał odkryć, jak niewiele współczucia noszą w sercach mężczyźni i kobiety zamieszkujący tę Ziemię, mogłem uczynić to wszystko i wiele innych rzeczy. A może... mogłem... - Much było coraz więcej. Smród jakby narastał. Na ruchomej czerni twarzy Jezusa zagrał cień innej emocji, uczucia, które niebezpiecznie zbliżało się do lęku. - Mogłem może zebrać niewielką grupę wyznawców, dokonać kilku niewielkich cudów, i zacząć głosić siebie w sposób, który kapłani mogliby zbyć bez trudu. Mogłem im pozwolić skazać się na śmierć. Mogłem uczynić to wszystko, by ludzie tacy jak ty, Baltazarze, mogli wybrać dla siebie odkupienie. Mogłem umierać w cierpieniu i z krzykiem, Baltazarze. - Uśmiechnął się smutnym, gorzkim uśmiechem. - Jeśli to miał oznaczać twój dar.

- Ale, mój Panie, ty nie możesz umrzeć.

- Nie. - Jezus zdjął muchę z warg i zgniótł ją w gnijących palcach. - Ale czuję ból. Mogłem przejść przez ten świat równie łatwo, jak wiatr wieje nad polem jęczmienia. I ludzkie życie trwałoby nadal niemal tak samo, jak to znane tobie - lub gorzej. Armie by maszerowały. Ludzie cierpieliby, głodowali i wątpili w moje istnienie, podczas gdy inni spieraliby się co do

znaczenia mych słów. Miasta z kamienia i szkła, wspanialsze jeszcze od tego, powstawałyby i upadały. Mądrzy ludzie, tacy jak ty, Baltazarze, poznaliby sekret lotu zupełnie jak te anioły. Tak, tak, to wszystko prawda, choć wiem, że wydaje się to niebywałe. Ludzie nauczyliby się nawet pokonywać mury na tej Ziemi, zatruci powietrze, zabijać żywe wody oceanów. I po co to wszystko, Baltazarze? Co by to przyniosło, poza kolejnymi pokoleniami wypełnionymi bezsensownymi wysiłkami?

- Nie wiem, mój Panie.

- W rzeczy samej. - Jezus pokręcił głową i roześmiał się. Dźwięk był straszny, pusty. Muchy wzbiły się wyjąca chmurą. - Ja też nie wiedziałem, Baltazarze. Ja też nie wiedziałem. Na tej pustyni głodowałem. I bałem się. Były tam węże i skorpiony... I jeszcze inne rzeczy... - Zadrżał. - O wiele gorsze. W ostatnich dniach mej próby, kiedy nawet kamienie jakby błagały, bym przemienił je w chleb, pojąłem wreszcie istotę wyboru, jakiego musiałem dokonać. Ujrzałem przed sobą wszystkie królestwa tej Ziemi i zrozumiałem, że mogę je uczynić swoją dziedziną. Wystarczyło tylko, bym się ukazał, rzucił ze świątynnej wieży, by wszystkie anioły niebieskie ruszyły mi na ratunek. W końcu... - wzruszył ramionami - ... musiałem podjąć decyzję. I to właśnie... - spojrzał na marmurowe stopnie i oszołomiony tłum, a potem na niebotyczne wieże i kopuły, i wreszcie na niebo - ...jest świat, który stworzyłem.

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, Baltazar i pozostali zgromadzeni zauważyli, że zaczyna blednąć. Wraz z nim zniknęły bzyczące muchy, a chorobliwy smród zastąpiły duszne, święte opary świątyni. Mógł być już gdzie indziej, lub nawet w wielu miejscach naraz. Mógł się ukazać pod postacią jaśniejszej wizji na jakimś wzgórzu lub prowadzić językiem miecza jedną ze swych wielu armii. Z Chrystusa zostało tylko to, czym Baltazar obawiał się, że może się okazać - złudzenie, igraszka światła, bezpodstawna nadzieja zrodzona z cienia, i kilka natrętnych much.

Baltazar precyzyjnie przeszedł przez tłum w dół schodów.

Szedł sam złotymi ulicami Jerozolimy. Przedtem myślał o śnie, teraz jednak wiedział, że nigdy już w tym mieście nie usnie ani nie odpocznie w żaden inny sposób. Było zbyt potężne. Było zbyt wspaniałe. A on wciąż pozostawał tylko człowiekiem. Może, kiedy reszta wiernych pozbawionych zwątpienia zmartwychwstanie, on obróci się w pył. Myśl była świętokradcza, ale przyjemnie kojąca.

Przekroczył jedną z dwunastu wspaniałych bram, niemal jej nie zauważając, i przeszedł między obozującymi batalionami, które dołączyły do anielskiego chóru świętującego kolejne nieuniknione zwycięstwo.

Oglądając się na miasto, gdy krajobraz wreszcie pociemniał i pojawiły się wzgórza, raz jeszcze zastanowił się, z jakiego powodu wszechmocny Bóg uznał za słuszne chronić je tak potężnymi i skomplikowanymi fortyfikacjami. Pytania, Baltazarze... Bezsensowne wątpliwości i pytania... Oddalając się coraz bardziej od jaśniejącego blasku, zdał sobie sprawę, że trzeba mu teraz samotności, ciszy, oczyszczenia.

Był niemal pewien, że zapadła noc, jego zmęczony wzrok pochwycił coś przypominającego połyskujące na wreszcie czarnym firmamencie gwiazdy. Ziemia była twarda, sucha i pylista. Zaczął się potykać. Czuł zawroty głowy. Upadł i stracił poczucie czasu, dopóki nie zalało go światło. Skrzywił się, krzyknął i zdjęty trwogą przesłonił twarz, ale okazało się, że to tylko jaskrawe słońce. Znalazł się na jałowym pustkowiu i było tu w pewien sposób strasznie. A zarazem pięknie - nieśmiertelną, rozedrganą w upale urodą pustki.

Baltazar szedł przez okolice pełne kamieni i wyschniętych na wiór kości. Potem, gdy nadciągnął wieczór, poszukał schronienia przed nagłym chłodem w starej pieczarze na skraju gór. Ktoś już ją przed nim odwiedzał. W powietrzu unosił się kwaśny odór, na skałach zauważył ryty. Gdy udało mu się zmusić kilka patyków do zapłonięcia, przysiadł na twardej ziemi i przesunął palcami po symbolach. Bełkot znaków z rozmaitych alfabetów, wyrażających cześć wobec różnych bóstw, z których wszystkie - teraz już wiedział to niemal na pewno - były fałszywe. Niemniej, te ślady bytności innych poszukiwaczy prawdy przyniosły mu dziwną pociechę.

Najnowsze ryty, zauważył, zostały spisane tą samą ręką, po aramejsku. Przyjrzał się im uważniej w świetle płomieni i odkrył, że naśladują słowa starych przepowiedni, które kiedyś pokazał mu Melchior. Teraz rozejrzał się po swym nędznym schronieniu świeżym okiem. Z jakiegoś powodu, mimo doświadczonych cudów, nie był w stanie uwierzyć, że ta pieczara jest miejscem, w którym Jezus Chrystus chronił się podczas swego pobytu na pustyni. A jednak, jak można było w to wątpić, po tym, co zobaczył i co usłyszał? Pismo było niewprawne i pełne błędów - biło z niego cierpienie autora - kończyło się serią nieporadnych znaków krzyża.

Drewno wypaliło się do końca. Baltazar siedział samotny w ciemności, czekając na powrót słońca i być może na koniec własnej męki. Znowu przypomniał sobie pierwszą podróż do tej krainy, w towarzystwie dwóch przyjaciół, i wynikłą potem rzeź niewiniątek. Jezus przeżył, by wypełnić spisane na tych ścianach przepowiednie, tak. Ale co z innymi? Czy to właśnie zwiastował dar mirry? Bezsensowną śmierć setek dzieci? I dlaczego - powróciło do niego dawne pytanie, choć nie zadał go w obecności Jezusa - wszechmocny Bóg przyzwolił na coś takiego? Dlaczego w ogóle dopuszczał istnienie bólu i cierpienia?

Pokręcił głową w mroku. „Zawsze jest z tobą to samo” - usłyszał w głowie słowa Kacpra. - „Zbyt wiele zwątpienia, zbyt wiele pytań”. A jednak wszystko, co widział w Nowej Jerozolimie, pozostawiło po sobie niedosyt.

Z wolna nadchodził świt, wstawał na wschodzie cienkim, gorącym cieniem. Zawył parszywy pies. Zasycał wiatr. Baltazar wyjrzał na zewnątrz i pomyślał o Jezusie siedzącym w tej samej jaskini i o ostatnich dniach jego udręki, o tym, jak się musiał czuć i co wtedy zobaczył. Potem, gdy niebo zbieleło i zrobiło się gorąco, Baltazar wyjął nadpaloną gałązkę z ogniska i zaczął stawiać na surowym kamieniu własne znaki. Od dawna nie zajmował się poważną magią, ale kształty potrzebne do spisania zaklęcia przywołania przypomniał sobie ze zdumiewającą łatwością.

# PIEŚŃ CZASU



Idę po kamienistej plaży. Na brzegu leży coś białego. Brnę w tamtą stronę przez żwir, zrywają się spłoszone mewy. Gdybym miała pewność, że to po prostu wybielony przez morską sól kawałek pnia, poszłabym dalej, ale nie mogę się tak po prostu odwrócić. Podłoże usuwa mi się spod nóg. Wysoka fala rozbija się o moje kolana. Wymachująca ręka, rozplątujące się kończyny; z cofającego się oceanu wygląda na mnie przesłonięta wodorostami twarz człowieka.

Chwytam dłoń, ramię. Nagły bałwan niemal nas pochłania, ale szarpnięciem mocniej i wraz z ciałem wydostajemy się na wolność. Rozglądam się. Pierwsze drzazgi świtu przebijają już chmury, ale dookoła nie ma nic poza mną, szarym Atlantykiem, i tym mężczyzną. Jest pokryty sińcami, zadrapaniami, rankami i wstęgami glonów. Zupełnie nagi. W oczywisty sposób młody i jeszcze żywy - choć ledwie. Z trudem przewracam go na plecy i próbuję wypompować mu wodę z płuc, jednakże wkrótce ogarnia mnie wyczerpanie. On opiera się na mnie, spina mięśnie i mruga.

- Kim jesteś? - pytam.

Jeszcze jedno mrugnięcie.

- Skąd się tu wziąłeś?

Sine wargi zaczynają układać jakiś wyraz, ale zaraz potem wymiotują do morza.

Ramię w ramię idziemy chwiejnie w stronę urwiska. Długie betonowe schody, prowadzące spod hangaru dla łodzi w górę, w stronę mojego domu, już dawno popekały ze starości. Powinnam go położyć gdzieś tutaj, poza zasięgiem fal, i pobiec do Morryn sama - powinnam powiadomić odpowiednie służby. Zamiast to zrobić, wspinam się razem z nim. Czuję na ramionach jego ciężar. Rozczarowane mewy pikują spod chmur. Bose stopy mężczyzny - co chwila źle je stawia lub w coś uderza - zaczynają krwawić.

Wreszcie docieramy pod kominy Morryn. Z trudem przemierzamy pochyły trawnik. Naciskam guzik przy drzwiach wejściowych i, ociekając wodą, wtaczamy się do holu. Dokąd go zanieść? Na górze mam pokój zarezerwowany dla gości, którzy przestali już mnie odwiedzać, ale nie mam siły na kolejną wspinaczkę, wybieram więc pokój muzyczny.

Otwieram drzwi kopnięciem i ostatkiem sił, gdy waga nieznajomego zaczyna mnie przewracać, rzucam go na czerwoną sofę.

Miotana falami bólu i wycieńczenia opadam na krzesło przy biurku. Przytomność zanika. Kiedy powraca, niedoszły topielec wciąż leży rozciągnięty na kanapie. Nie, nie jest duchem, ponieważ na dywanie widzę strużki słonej wody i czuję dochodzący od niego zapach plaży. To się wydarzyło naprawdę. Ma zamknięte oczy. Opuszczona dłoń leciutko drga. Tkwią w niej odłamki muszli, paznokcie ma splekane i połamane. Pomijając nawet obrażenia, jakich doznał podczas wspinaczki po schodach, nogi też ma poranione i otarte. Czy to po prostu dzieło skał i żwiru? Wstaję i podchodzę po zaśmieconym dywanie, by uważniej mu się przyjrzeć. Większość splątanych wodorostów zdążyła już opaść. Na skórze mężczyzny widnieją niebieskawe, poprzecinane zadrapaniami sińce, jest poszarzała i zaczerwieniona od wielu drobnych otarć, choć pod tym wszystkim wydaje się miękko, jednolicie bladeżółta. Ma dobrze rozwiniętą muskulaturę. Schnące włosy - zarówno na głowie, jak i w kroczu - przybierają barwę ciemnoblon. Mógłby być utopionym greckim bogiem.

- Dawid? Tak masz na imię?

Oczy lśnią wilgocią.

- Słyszysz mnie?

Lekko unosi nogę. Podniósł na mnie spojrzenie, ale ledwie jest w stanie skupić wzrok. Spazm spina mu mięśnie i mężczyzna opada z powrotem. Gdy ponownie zamyka powieki, dociera do mnie, że rozmyślnie odcina się ode mnie. Po chwili oddycha już spokojniej. Gałki oczne poruszają mu się na boki. Chyba zasnął...

Zostawiam go, wychodzę i opieram się o drzwi pokoju muzycznego. Zmysły mi się mącą. Co ja robię? Jestem przemoczona, pobrudzona żwirem i glonami, które oblepiły mnie podczas naszej wędrowki. Żałuję, że nie mogę pójść spać, uciec... Idę do szafki ze świeżo wypranymi rzeczami. Gdy sięgam po ręczniki i koce, urządzenie suszące i prasujące moje ubrania wyciąga ku mnie swoje srebrne ramiona. Odtrącam je i z pełnymi rękoma wracam słabnącym krokiem do pokoju. Zmagam się z drzwiami. Wewnątrz automatyczny fortepian pobłyskuje drewnianym skrzydłem, zalany napływającym przez szerokie wykuszowe okna światłem poranka.

Dlaczego umieściłam go akurat w tym pokoju, gdzie wszystko jest tak osobiste, tak bardzo moje? Ściany uginają się pod nagrodami, złotymi płytami, skrawkami wiekowych, rzadkich już ręcznie spisanych nut, programami dawnych koncertów, zdjęciami Claude'a - mojego męża - dyrygującego najlepszymi orkiestrami świata. Podłoga jest usłana rodzinnymi fotografiami, starymi kompaktami, kredkowymi rysunkami dzieci. Moje biurko stanowi

świątynię, w której piętrzy się przeszłość. W swoim futerale czekają na nim skrzypce Guarneriego. Zgromadziłam tu wszystko, czym sama jestem - przynajmniej tę część siebie, którą zdołałam odnaleźć. A teraz przyniosłam tutaj tego nieznanego...

Gdy nakrywam go kocami, drżą mi ręce. Nie wygląda na wygłodzonego i - mimo licznych ranek - wydaje się niemal dojmująco doskonały. Jego ciało nie zostało zniekształcone ani zmodyfikowane w żaden z tak popularnych współcześnie sposobów. Mimo chłodu, jego penis jest pulchny i zawadiacki. Jest tym, czym jest: człowiekiem, młodzieńcem, żywym mężczyzną. Zdażyłam już zapomnieć, jak piękni mogą być ludzie w tym czystym, zwierzęcym stanie. Dłoń przestała mu dygotać. Kiedy unoszę mu głowę, by wsunąć pod nią ręcznik, słabo się uśmiecha.

Moje myśli krążą wokół spraw oczywistych. To nie pierwszy raz, kiedy na tym kornwalijskim brzegu znaleziono ciało. Katastrofy i utonięcia zdarzały się tu od wieków, a statki i sterowce z uchodźcami ze wszystkich niedawnych diaspor często idą na dno i rozbijają się, przechwycone przez strzegące wybrzeża okręty podwodne i drony. A uchodźcy zwykle przecież bywają młodymi mężczyznami, tak samo jak zawsze. Co się z nimi dzieje, kiedy chwytają ich żywcem? Sądzę, że odsyła się ich z powrotem ku suszom Afryki i zatopionym miastom południowej Europy...

Za oknami pokoju muzycznego spękane niebo i horyzont pozostają puste. Nie ma żadnych okrętów, maszyn latających ani widocznych policyjnych automatów. Może to tylko pływak, który wybrał się na poranną kąpiel i złapał go skurcz lub nieoczekiwany prąd wodny? Choć, jeśli tak, to zrozpaczeni krewni już zaczęliby go szukać. A plaża roiłaby się od pełzających, skanujących okolice dronów i śmigaczy. Teraz ludzi odnajduje się łatwo, w każdym razie tych szczęśliwców, którzy mieszkają w moim kraju. Ciała promieniują niczym latarnie morskie i strzegące naszych granic autowskazy wychwytyją to. Gdyby był miejscowym żeglarzem z Fowey, Mevagissey czy Penzance, albo poszukiwaczem przyjemności, spacerowiczem bądź turystą zaskoczonym przez zdradzieckie morze, zostałby uratowany na długo, zanim miałabym szansę go znaleźć.

Przyglądam się jego twarzy, próbując określić jej rysy. Staram się też sobie przypomnieć, jakiej rasy powinniśmy się w tym nowym stuleciu lękać szczególnie. Pozbawionych ojczyzny Amerykanów? Maorysów? Ale te strachy należą do ubiegłych dekad. Obecnie ludzie potrafią przecież dowolnie zmieniać swój wygląd. Można zmienić kolor skóry, układ genów. Rzykuję i raz jeszcze unoszę koce. Sprawdzam, czy oddycha. Oddycha - wszystko inne też jest nadal na miejscu.

Świt minął już dawno. Za oknami snują się bursztynowe chmury, skrawki błękitu. Dziś będzie jasno, choć pochmurno. Słonecznie i deszczowo. Będzie cisza i burza. Pogoda typowa dla późnego lata w Kornwalii, typowa dla tych moich ostatnich dni. Burczy mi w brzuchu. Powinnam już była wywołać kawę i croissanty z urzędzeń wypełniających szklaną, przypominającą pazur przybudówkę nowej kuchni, przejść poranny monitoring i przyjąć leki paliatywne, które mają likwidować objawy, a następnie rozpocząć codzienne ćwiczenia na skrzypcach. A potem, potem gdyż jestem zdeterminowana, by naprawdę się za to zabrać - zaczęłabym przeglądać wszystkie te rzeczy pokrywające moje biurko i stłoczone w zacinających się szufladach. Siadam na krześle i doznaję zawrotów głowy. Nigdy nie byłam szczególnie dobra w wyrzucaniu, ale nie zamierzam też żyć w takim bałaganie. Co mogę zrobić? Jaki pozostał mi wybór?

Ten dom, te grube granitowe ściany nasiąkały westchnieniami i krzykami narodzin i śmierci oraz wszelkimi innymi wspomnieniami od bez mała czterystu lat. Dla Morryn jest to początek zwykłego dnia. Otwieram szuflady. Pamiątkowe muszelki z wakacji, starożytne kompakty, wyschnięte długopisy, samotny kolczyk, mój pierwszy kamerton, pendrive'y i tandetne prezenty, wszystko to zsuwa się i turla. Oto pocztówka, którą mama przysłała mi kiedyś z Delhi. Jeśli nachylić ją pod odpowiednim kątem i przysunąć do ucha, wciąż się uruchamia i pozwala usłyszeć pomruk ruchu ulicznego, poczuć wonie jaśminu i śmieci, posmakować kurzu tego utraconego miasta. A tutaj czerwony, plastikowy bucik lalki Barbie. I bilecik od Claude'a, pokryty jego zamaszystym, eleganckim pismem. Zapewne dostałam go wraz z jakimś podarkiem. Nad blatem biurka unosi się ekran urządzenia, które wciąż nazywam w myślach komputerem, mimo że nie ma nawet fizycznej obudowy. Gdybym go włączyła, mogłabym zanurzyć się we wspomnieniach jeszcze głębiej: mogłabym przejrzeć świadectwa i raporty szkolne, które mój ojciec dawno temu ręcznie zeskanował podczas jednego ze swoich napadów manii porządkowania dokumentów - „*Roseanna* (nauczyciele bardzo często błędnie zapisywali moje imię) *jest niezwykle żywym dzieckiem. Jeśli jednak chodzi o wykonywanie poleceń...*” - na pół nieczytelne e-maile, filmy z urodzinowych przyjęć, multisensoryczne nagrania i niemal nieskończony wybór koncertów moich i Claude'a. To wszystko tam jest. I czeka. Ale od czego zacząć? To moje własne życie, a przecież jest tego zbyt wiele, bym mogła sobie poradzić.

Umieram. Ta myśl wciąż wywołuje lodowaty szok. Czuję się śmieszna, rozczarowana i - tak! - wściekła. W końcu mam ledwie sto lat i ani przez chwilę nie planowałam zakończenia kariery swymi niedawnymi koncertami. Moje zaskakujące przemęczenie składałam początkowo na karb wyczerpującego planu dnia - trasy i występy to ciężka i

wymagająca praca. Na przestrzeni zaledwie dwóch miesięcy dałam na całym świecie dwadzieścia jeden recitali kameralnych i piętnaście koncertów symfonicznych. Znikającą ziemię i pojawiające się gwiazdy oglądałam z okien dwunastu promów. Ludzie, co odkryłam z przyjemnością, wciąż chcieli słuchać rewelacyjnego brzmienia Roushany Maitland, porównywanego niegdyś do przejrzystości południowego słońca igrającego na ścianach góry lodowej. Grałam na skrzypcach, tworzyłam nieśmiertelną muzykę, i za taką uważałam się sama. Zastanawianie się nad drgawkami, zaburzeniami widzenia, zawrotami głowy, odkładałam na czas spędzany w apartamentach, a potem ubierałam się i wychodziłam, by jadać w najlepszych restauracjach świata, w towarzystwie nowych i odnowionych znajomych, zarówno realnych, jak i wirtualnych. Pewnego razu upuściłam kieliszek. Zdarzało się, że zapomniałam imion. W Pradze nie mogłam trafić ze sceny z powrotem do garderoby, ale przecież wszystkie tego typu sprawy zwykle wiążą się ze starością. Szczerze w to wierzyłam.

Była Nowa Dżakarta. Był Bangalur - i wymuszony nocleg, podczas którego słuchałam pomruku klimatyzatora, a toksyczny deszcz łomotał o szyby mojego pokoju hotelowego. Potem było Sydney i ten ostatni triumfalny bis i późny posiłek, po którym udałam się na jeszcze późniejsze przyjęcie. Gdy drzwi apartamentu wreszcie się za mną zamknęły niczym usta kochanka, nie byłam już pewna, czy koniec trasy przyniósł mi smutek, czy szczęście. Przede wszystkim, upiłam się nostalgicznie i zanim wspięłam się na łóżko, prosząc, by ono i cały świat przestały wirować, pobieżnie się umyłam. Nic więc dziwnego, że obudziłam się dopiero tuż przed południem, nie zaskoczyło mnie nawet potworne pragnienie. Ale pościel była mokra, lepka, oślizła. Z początku wrażenie wcale nie było nieprzyjemne. Prawdę powiedziawszy, uśmiechnęłam się, leżąc w niej z bolącą głową, i przypomniałam sobie utracone chwile, kiedy Maria - moja córka - cichaczem wkradała mi się do łóżka i budziła mnie taką samą wilgocią i identyczną wonią. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, co zaszło.

Po powrocie, już w Fowey, dyskretnie umówiłam się z lekarzem. Nikomu nie powiedziałam słowa, o niczym nie wspomniałam dzieciom Marii i Edwardowi - a kto inny mi został? Maszyny w klinice prychały i fukały na mnie za to, że jestem żywym, oddychającym anachronizmem, którym się dobrowolnie stałam. I gdyby jakiś specjalny implant czy inna modyfikacja naprawdę rozwiązały sprawę moich problemów ze wzrokiem i pęcherzem, zapewne bym na to niechętnie przystała... Kiedy jednak do słonecznego gabinetu wszedł prawdziwy lekarz, człowiek, zrozumiałam, że coś jest ze mną bardzo nie w porządku. Z profesjonalną, poważną miną poprosił, bym usiadła.

Są inne kliniki. Nie takie, które zajmują się niedomaganiem żyjących, ale takie, gdzie obsługuje się tych niemal umarłych. Pośpiesznie sprawdzając ich oferty, stwierdziłam, że

swoje siedziby mają często w starych budynkach, które nowe stulecie wyzulo z poprzedniej roli. Banki. Kościoły - przynajmniej te niezniszczone przez bomby. Dawniej nowoczesne biura rządowe, które uniknęły zjadającego beton wirusa. Także muzea. Teraz - mimo wszystko - wydają się takie... solidne. Zanim się do nich wejdzie, składają poważne oświadczenie, które wciąż rozbrzmiewa echem, gdy się idzie odnowionymi korytarzami. Lśni w mosiężnych tabliczkach, chwytających twarze tych, którzy na nie spojrzą, zadziwieni, że się tu wreszcie znaleźli.

Firma, którą wybrałam, by wraz ze mną oszukała śmierć - choć jej pracownicy nigdy by tego sformułowania nie użyli - ma swoje centra w większości najważniejszych stolic świata, a także przyjemnie prowincjonalne - ale nie za bardzo - biuro w Bodmin. Byłam tam w zasadzie anonimowa - muzyka czyni ludzi sławnymi tylko w konkretnych kręgach - i poddałam się staromodnym, prowadzonym przez prawdziwych ludzi wywiadom medycznym oraz rygorystycznym badaniom psychologicznym i wszelkim innym, a także grupowym sesjom z pozostałymi pacjentami, którzy mieli niedługo dokonać przejścia. Siadaliśmy w niezręcznej atmosferze na ustawionych w krąg miękkich fotelach, pod marmurowymi popiersiami dawno zmarłych dygnitarzy. Śmierć, zapewniano nas, przestała już być ostateczną granicą. Życie może trwać. Wy możecie trwać. Nie wymaga to wiary i na pewno nie jest do tego potrzebny Bóg. Owszem, trzeba nieco wysiłku i pewnej dozy samodyscypliny, oraz określonej kwoty pieniędzy. Ale to przecież jest potrzebne we wszystkim? Niektórzy z nas, skruszonych, byli ode mnie o wiele starsi; człapiące kraby zamknięte w ochronnych skorupach i kablach swoich automatycznych chodzików. Inni byli młodszy. Część w oczywisty sposób poważnie chora. Pamiętam nawet jedno dziecko.

Zapisałam się na niezbędny zabieg na połowę sierpnia, niemal dokładnie trzy tygodnie od mojego ostatniego występu w Sydney. Chciałam, żeby się odbył wcześniej, i martwiłam się, że zbyt długo z tym zwlekałam. Wyznaczonego ranka niemal biegłam ku granitowym kolumnom dawnego ratusza Bodmin, a kiedy wreszcie zamknęły się wokół mnie ramiona leżanki, poczułam ulgę tak wielką, że niemal wcale się nie bałam. Potem, gdy kryształowe nasionko mej nieśmiertelności, zawodząc, wwiercało mi się w czaszkę, poczułam woń palonej kości.

Powtarzałam sobie - stało się to moją mantrą - że w tym, co się dzieje, nie ma nic szczególnie niezwykłego. W końcu umarli są tu od dawna. Ich twarze od stuleci przyglądają się nam z obrazów, które stały się potem fotografiami, a zdjęcia przeistoczyły się w paski obrazów, które zaczęły się poruszać. Wkrótce zaczęli do nas przemawiać z tub gramofonów, migotali widmowo w ciemności kinowych sal, po czym przenieśli się na szklane ekrany w

naszych domach. Te ekrany stały się z czasem sprytniejsze, bardziej interaktywne, aż wreszcie zniknęła sama szyba odgradzająca nas od tego, co po było po drugiej stronie. Kryształowe pola rozrosły się i my, żywi, weszliśmy do środka, lub też umarli, ci którzy dokonali przejścia, wypłynęli na zewnątrz.

Powiedziano mi, że decydujące są wspomnienia. To one nas tworzą. Przestań się zamartwiać tym, czym się staniesz - to wydarzy się nieodwołalnie - i zamiast tego pozwól się otoczyć rzeczom, które są dla ciebie ważne, nawet gdyby miały okazać się bolesne. Zanurz się w czasie. Pływaj w nim. Toń. Więc cóż, właśnie to robię, siedząc teraz przy biurku.

Łokcie ślizgają mi się na blacie. Drżące palce przeczesują łamliwe włosy. Słońce zawędrowało zaskakująco wysoko, przebija się przez chmury, igra leniwymi błyskami na grzbietach fal. Nie mogę tak po prostu siedzieć. Tak po prostu czekać. Muszę coś zrobić. Nie mogę tak po prostu umrzeć. Znałam kiedyś kompozytora - znałam ich wielu, ale tu chodzi o Karla Nordingera - który powiedział mi, że rozwiązanie każdego problemu czeka zawsze na wyciągnięcie ręki, tuż przed nami. Cóż to jednak może znaczyć w tej chwili, gdy siedzę przy tym biurku, w tym pokoju, z tym mężczyzną, którego uratowałam - czy to może mieć w ogóle jakikolwiek sens?

Odsuwam część rzeczy na bok i mój wzrok pada na coś srebrzystego, leżącego pod zwiniętym w kulkę szalikiem od Chanel. Przedmioty, które po nas zostają. „Sony Seashell”, od dawna niedziałający odtwarzacz muzyczny, obrzuca mnie spojrzeniem swego strzaskanego oka. Kiedy cię ostatnio słuchałam? Kiedy uruchomiłeś się po raz ostatni? Otwieram szufladę i w parodii pogrzebu wciskam urządzenie pod ryzę papieru nutowego, ale coś blokuje szufladę, gdy chcę ją zasunąć. Wkładam dłoń do środka, szukam po omacku i znajduję winowajcę. Stare pudełeczko po cukierkach „Smith Kendon” - takich, jakie sprzedawali na stacjach benzynowych i w serwisach samochodowych wszystkim ludziom wybierającym się w nieskończone podróże, które niegdyś odbywało się w ręcznie prowadzonych autach. W pewnym sensie - było odtrącone na bok, ale tak naprawdę nigdy nie zostało wyrzucone - pudełko przeżyło tyle samo lat, ile liczy sobie Morryn. Okragłe, brązowawe wieczko przez chwilę opiera się moim słabym palcom, ale wreszcie ustępuje. Migoce niepewnym światełkiem i wydziela słonawy, ziołowy zapach.

\* \* \*

- Wszyscy to robią, siostrzyczko. Kojarzysz ten zapach w salonie? W niedzielne poranki, po tym jak rodzice podejmowali gości? To zapach palonej trawki...

Leo i ja leżeliśmy w ogrodzie za domem, na dywaniku pod uschniętą wiśnią. Było upalne letnie popołudnie. Dotąd naśladowałam leniwy monosylabizm brata i jego pozę z dłońmi pod głową. Wpatrywaliśmy się w popękane niebo. Teraz musiałam się obrócić. Zachichotał.

- Wiedziałaś o tym, prawda? Nie pamiętasz tej sytuacji, kiedy zesłaś na dół, a mama, odprowadzając cię na górę, nie mogła opanować śmiechu?

Co prawda, nie pamiętałam, ale też niespecjalnie wątpiłam w jego słowa. Pasowały do niektórych innych poszlak. Otwarte mimo deszczu okna. Niewyraźne wspomnienie podkreślonych blaskiem świec twarzy dorosłych, które uśmiechały się do mnie promiennie w oparach dziwnej mgiełki. I owszem, ten zapach. Zawsze wydawał mi się przyjemnie domowy, swojski jak woń naszej jutowej wycieraczki czy dymu z ogniska.

- Nie jest szkodliwa. Wiesz? Niektórzy lekarze przepisują trawę na choroby mózgu.

Spokojnymi ruchami palców gładziłam suchą trawę obok dywanu.

- To z ich strony trochę oszukaństwo, prawda? Robić coś i nie przyznawać się do tego?

- Od tego są właśnie rodzice. - Leo znów zachichotał. - Tata nawet przeprowadził ze mną kilka lat temu rozmowę ostrzegawczą. „Uważaj na narkotyki, synu!”. Ciebie też to pewnie niebawem czeka. Przyznał mi się wtedy do pewnych „eksperymentów” na studiach, ale nic więcej nie powiedział. Na szafce w kuchni, obok zestawu do fondue. Tam trzymali zioło. Parę razy nawet uszczknąłem co nieco dla siebie, ale potem zniknęło, a mama marudziła coś o ludzkim prawie do prywatności, choć nie wystarczyło jej odwagi, by porozmawiać ze mną otwarcie. Dlatego Leo jest teraz dobrym chłopcem. I Leo zawsze dostaje, co mu się należy.

To była nieco mniejsza niespodzianka - w końcu mój brat miał już wtedy siedemnaście lat - aczkolwiek poczułam się tak samo uprzywilejowana jak zawsze, kiedy dzielił się ze mną czymś, co należało do jego świata. Mimo czasu, który spędzaliśmy ze sobą, zawsze miałam wrażenie, że on istnieje w jakiejś niemożliwej do zdefiniowania odległości ode mnie, że prowadzi życie rozleglejsze i bardziej zajmujące niż moje. Często miał minę świadcząca o wielkim, choć tajemnym rozbawieniu. Także i teraz.

- Wiesz co? Chyba już czas, żebyś sama spróbowała...

Wstał i ruszył spacerem do domu, a ja patrzyłam na otaczający nasz ogród mur z czerwonej cegły. Byliśmy całkiem sami. Urodziłam się konformistką, ale jak wszyscy konformiści, w skrytości ducha chciałam łamać swoje własne zasady. Poza tym, byłam przecież dzieckiem dwudziestego pierwszego stulecia. A Leo był moim bratem. No i w końcu, to tylko trawka.



Wrócił z pobrękującym kostkami lodu dzbankiem soku pomarańczowego i pudełeczkiem po cukierkach „Smith Kendon”. Otarłam z naczynia skroploną wodę i nalałam do szklanek, udając zaabsorbowaną i zupełnie niezainteresowaną tym, że Leo rozwinął bibułkę i ze stalową zapalniczką w ręku pokruszył trochę brązowej substancji. Polizał skrawek papierka i skręcił go. Kichnął.

- Nie wyszedł mi najlepiej.

Wzruszyłam ramionami, jakbym widywała już wiele skrętów, i upiłam łyk soku.

- Siostrzyczko, wiesz, jak się będziesz po tym czuła?

- Rozweselona... Zakręci mi się w głowie.

- Całe szczęście, że w tych szkołach czegoś jeszcze uczą. Ale, ale... Wrócił na dywan i kilka razy zapalił i zgasił zapalniczkę. W powietrzu rozszedł się przyjemny zapach benzyny. - Wiesz, że nie musisz tego robić? Jeśli komuś wygadasz, będę miała poważne kłopoty... Zwłaszcza gdyby się dowiedzieli rodzice. Z drugiej strony, któryś z twoich kolegów i tak niedługo ci to zaproponuje, a dzięki mnie będziesz wiedziała, czego się spodziewać i czy powiedzieć mu tak, czy nie. Roushano, słyszałaś może o Billu Clintonie? Zresztą, nieważne, chodzi o to, żeby się zaciągnąć... Papierowy skręt rozjarzył się i strzelił iskrą. Spomiędzy warg Leo wypłynął ciepły, słodki dym. - To coś innego niż picie lemoniady przez słomkę. Udawaj, że po prostu oddychasz, jakby to było zwykłe powietrze...

Pochyliłam się i otworzyłam usta. Poczułam na nich papierowy dotyk skręta. Zupełnie jakby to było powietrze, jakbym nurkowałam, zaciągnęłam się potężnie i coś we mnie eksplodowało. Zakołysałam się, zachłysnęłam i przycisnęłam do warg szklanekę. Sok wytrysnął mi z nosa i spłynął po ramieniu brata.

- Hej! - Leo się śmiał i śmiałam się ja.

Otarł się ręką dywanu i sztachnął raz jeszcze. Tym razem dym zniknął w nim na tak długo, że byłam niemal pewna, że już nigdy się nie pojawi. Kiedy zwrócił mi papierosa, bardzo chciałam, by ta próba wypadła lepiej. Staralam się sprawić, by dym wlatywał mi do ust, ale i tak większość buchała na zewnątrz, a dżoint, blant (te terminy najwyraźniej wpłynęły mi do głowy wraz z narkotykiem) był już tak zniszczony, że Leo musiał wydłubać to, co zostało w środku, i skręcić nowego. Ja jednak leżałam już wtedy na plecach i pozwalałam wiśni obracać się wokół mnie. A więc tak to jest, myślałam, jakkolwiek by to nazwać.

Nie mam pojęcia, ile dymu z marihuany faktycznie wciągnęłam w siebie tego letniego popołudnia. Dzień był tak nieruchomy, powietrze tak wypełnione bijącym od murów ogrodu gorącem, że zapewne wystarczyłoby mi samo oddychanie w pobliżu Leo. Kilka domów dalej

ktoś włączył kosiarkę. Na błękitnym niebie maleńki samolocik leciał od gałęzi do gałęzi. Pomyślałam o tych ludziach na górze, zamkniętych w długiej srebrnej rurze. Kiedy dźwięk kosiarki zamarł, przestraszyłam się, że spadną.

Potem, zachrypniętym od palenia głosem, Leo zaczął mówić o przyszłości. O tym, że Mars przestanie wisieć na niebie czerwoną kulą i zmieni barwę na soczystozieloną, a Wenus nie będzie już biała, tylko morskoniebieska. Wkrótce długie stalowe statki będą mknąć od istnienia do istnienia, z prawdopodobieństwa w prawdopodobieństwo, z jednego cudownego świata do innego. To wszystko na nas czeka, siostrzyczko, w tym stuleciu, w którym mieliśmy wielkie szczęście się urodzić. Leo z pewnością zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju wizje są już przestarzałe, ale to nie miało znaczenia: tego popołudnia liczyło się marzenie i sposób, w jaki powiedział „siostrzyczko”. Liczyło się to, że leżę obok brata na tym wytartym dywanie i myślę, że Leo, mimo swojego wiecznego „wiem lepiej”, naprawdę wyobrażał sobie wtedy, że świat jest oceanem pełnym niekończących się możliwości, dojrzałym owocem, po który niedługo wyciągnie rękę i go zerwie.

Popołudnie trwało. Twarz miałam zeszywniałą od zaschniętego soku i zbyt wielu uśmiechów. Każde ździebełko trawy rzucało cień przypominający te maleńkie kropeczki zarostu, jakie widziałam na brodzie Leo. Przyglądałam się naszym dłoniom - małości i hinduskiemu brązowi moich, i mocnym, po anglosasku bladym rękóm Leo. Wtedy trzasnęły frontowe drzwi i ktoś zawołał brata po imieniu. Poznałam ten głos - należał do Blythe Munro, jego dziewczyny. Czy to westchnienie nie było czasem lekko poirytowane, to, które wymknęło się spomiędzy jego przygryzionych warg? Zaczął sprzątać resztki naszego spalonego dżointa i zamknął szczelnie pudełeczko po cukierkach „Smith Kendon”.

- Tu jesteśmy! - krzyknął, ale Blythe już zdejmowała z ramienia futerał z wiolonczelą w drzwiach tarasu i wołała „Cześć, Roushana!” takim tonem, jakby moja obecność tu była dla niej wielkim zaskoczeniem.

- Zajęty, co? - Jej usta z wysiłkiem ułożyły się w uśmiech, gdy wzrok spoczął na bibułce i popiele. - Mówiłeś, żebym wpadła, prawda...?

- Jasne.

Obserwowałam, jak Leo wstaje, jak całuje policzek Blythe, zauważyłam matczyzny gest, którym potarł mi czuprynę. Była już wtedy piękną w dojrzały sposób kobietą - w zasadzie z trudem przychodziło mi wyobrażenie sobie, że kiedykolwiek była młoda. Uśmiechnęła się do mnie. W swojej świeżej, białej bluzce, szerokiej spódnicy i skrzypiących nowych bucikach wyglądała tak świetnie, jak dzień był gorący. Zadzwoiła trzymanymi w dłoni kluczykami. Blythe miała już własny samochód, i nie był to jakiś rozklekotany gruchot,

ale przybysz z przyszłości, pojazd w kształcie mydelniczki, z siedzeniami pamiętającymi ciała swych użytkowników i - w tamtych czasach! - niemal samodzielnie się prowadzący.

Wyplątałam się ze swojej plamy cienia i przeszłam przez trawnik do nich, do jadalni, w której rozstawiali pulpity i otwierali fortepian. Nawet w samym środku letnich wakacji, muzykowanie było dla mnie czymś naturalnym, tak po prostu żyliśmy. Leo miał stypendium w college'u króla Edwarda, a Blythe uczyła się w pobliskiej, prywatnej szkole żeńskiej. Oboje grywali w Towarzystwie Muzycznym, udzielali się w Konserwatorium w Birmingham i wielu innych zespołach, projektach, weekendach, szkołkach letnich, recitalach i konkursach dla młodych, utalentowanych muzyków. Obecnie pracowali nad pierwszą sonatą Brahmsa na wiolonczelę, którą zamierzali wykonać na koncercie w Instytucie Barbnera, a ja - jak to się często zdarzało - przewracałam im nuty. Oczywiście, co zresztą szybko zauważył Leo, Blythe powinna już była nauczyć się utworu na pamięć, ale gdy zawahała się przy pierwszym wolnym kontrapunkcie, kiedy brat rozpoczął senną melodię na fortepianie, stało się jasne, że czeka ją jeszcze wiele pracy. Mimo mej lekkiej wobec niej wrogości, wydaje mi się, że Blythe cieszyła się z mojej obecności na tych próbach. Muzyczna doskonałość Leo bywała dość ostra. Podskakiwał do niej w połowie taktu, by pokazać, w jaki sposób powinna podejść do szczególnie wymagającego palcowania. Nie chodzi o to, że nie była dobrą wiolonczelistką, ale po rzutkim sposobie, w jaki Leo podchodził do jej instrumentu, widać było, że prześcignąłby ją po ledwie kilku miesiącach nauki. Takie przynajmniej odnosiłam wrażenie.

I taki był mój brat: uzdolniony do większości rzeczy, w wielu dziedzinach zbliżający się do perfekcji. Niestety, właśnie to stanowiło źródło jego frustracji. Owszem, był w stanie grać Brahmsa i zapewne sto innych najczęściej wykonywanych utworów fortepianowych na niemal koncertowym poziomie. Owszem, wygrywał nagrody i dostał stypendium do jednej z najdroższych szkół w Birmingham, a raz nawet zagrał przed Aszkenazym, jednakże wciąż nie był pewien, czy w ogóle chce zostać zawodowym muzykiem, nie wiedział, jaką drogę obrać, jeśli się na to zdecyduje, ani czy fortepian powinien pozostać jego głównym instrumentem. Kochał jazz. Zabawiał się popularnymi melodiami. Potrafił się podczas jednej sesji przerzucić z Bacha na Chopina, a później Billa Evansa, nie kończąc przy tym żadnego utworu, po czym włączał midi do komputera i pracował nad jakąś własną kompozycją.

Tak wyglądał, świat w jaki wkraczali wszyscy, którzy zadawali się z moim bratem i z muzyką. Czasami na swój dziecięcy sposób zastanawiałam się, czy przypadkiem Blythe nie ćwiczy tak ciężko na wiolonczeli tylko po to, by go zadowolić. Tak więc siedziałam z nimi: mały, choć obdarzony kilkoma pestkami agreścik i samozwańczy przewracacz nut. Drzwi na taras były otwarte, ale powietrze w pokoju za nic nie chciało drgnąć i nawet Blythe straciła

nico ze swojej świeżo nabytej pewności, powtarzając bez końca tę samą niełatwą frazę z trzydziestego ósmego taktu. Po mniej więcej godzinie z ulgą wymknęłam się do kuchni, by przygotować kilka ulubionych kanapek Leo - grube pajdy białego chleba z unurzanyymi w majonezie czipsami kukurydzianymi.

Leo jadł, ale nie przestawał grać. Chrupał i kichał, i wydmuchiwał nos, i atakował klawiaturę, ja przewracałam strony nut, a Blythe sączyła z puszki dietetyczną pepsi, podczas gdy niebo na dworze pokrywało się plamami chmur, ciemniejących wokół anten i kominów. Czasami kończyliśmy te próby jakimś łatwiejszym utworem, do którego mogłam dołączyć na moich skrzypcach rozmiar trzy czwarte. Przy ich tempie gubiłam rytm równie często, jak go odnajdowałam, ale wspaniałość tego, że gram z Leo i Blythe, rekompensowała mi to z nawiązką. Zdarzało się nawet, że - na kilka taktów - doznawałam delikatnego wrażenia, że jestem pochłonięta przez melodię. Zwykle jednak podobne chwile przemijały bardzo szybko - samo uświadomienie sobie tego faktu powodowało, że myliłam dźwięki, które potem już nie powracały.

Leo bez ostrzeżenia przestał grać w połowie finałowej części. Blythe zatrzymała smyczek moment później i zamarła z wydętymi w oczekiwaniu wargami, ale on już przeciskał się między nami, mamrocąc, że nie nadążamy, choć prawdziwy powód tej nagłej ucieczki stał się jasny zaraz potem, gdy usłyszałyśmy szcęk haczyka zewnętrznej toalety znajdującej się za kuchnią. Drzwi do tego reliktu epoki wiktoriańskiej sięgały tylko trzech czwartych wysokości i dźwięki opróżniania jelit dolatywały nas wyraźnie. Zapobiegliwa Blythe zagrała na swojej wiolonczeli kilka przeciągniętych nut, ja tymczasem zastanawiałam się nad skutkami jednoczesnego spożywania czipsów kukurydzianych i palenia trawy.

- Przepraszam za to - powiedział, kiedy wreszcie wrócił. - Koniec z kanapkami... - Spróbował się roześmiać. - Więc na czym skończyliśmy?

Niestety, nie wznowiliśmy próby. Leo, dla którego wszystko musiało być idealne, był zbyt rozkojarzony, a Blythe okazała się o wiele lepsza ode mnie w okazywaniu współczucia i troski. W końcu sama na to cierpiała mniej więcej tydzień temu. Letnia grypa przeskakiwała z osoby na osobę. Brat zapewne zaraził się właśnie od niej...

Wieczór gęstniał. Mama i tata wrócili z konferencji związku zawodowego nauczycieli, a Blythe odjechała swoim nowoczesnym wozem w kierunku żelaznych bram i płotów, które już wtedy zaczęły otaczać Osiedle Edgbastona Calthorpe'a. Zapomniana, zmęczona, lepka, wycofałam się do ogrodu.

W tamtych czasach, tego utraconego lata, tamtego zaginionego stulecia, nad Birmingham nie wisiały prawie żadne gwiazdy. Drzwi na tarasie ciągle stały otworem i przez

chwile wydawało się, że Leo, Blythe i ja wciąż gramy w jadalni. Nie mozoląc się z trudnymi miejscami partytury Brahmsa, lecz tworząc muzykę, która przypominała spokojny nurt rzeki o północy. Niemal namacalnie słyszałam jej śliczne, niewysłowione brzmienie wybijające się ponad szwargot telewizora sąsiadów i pomruk wieczornego korka na Alcester Road.

Gdy pochyliłam się, by podnieść leżący pod wiśnią dywan, coś zagrzechotało. Potoczyło się, lśniące, ku bladym latarniom słonecznym, rozwieszonym wokół ogrodniczym błędne ogniki na mokradłach. Chwyciłam to i uśmiechnęłam się.

Gdy poszłam na górę, u Leo było już ciemno. Wiedziałam jednak, że jeszcze nie śpi.

- Masz. - Z siostrzaną dumą cisnęłam pudełeczko po cukierkach na łóżko, gdzie leżał w półmroku. - Ocaliłam ci skórę.

- Sobie też. - Przekręcił się na bok, wyciągnął dolną szufladę nocnej szafki i wrzucił pod nią puszczykę.

- Ja mogłabym powiedzieć rodzicom, że mnie zmusiłeś.

- Wyjaśniłbym, że to po prostu element twojej edukacji. Nawet nie musiałbym kłamać.

Pokój brata znajdował się we frontowej części domu, okno wychodziło na sodowo-żółtą latarnię uliczną, rzucającą na jego cienkie zasłony cienie liści. Twarz Leo lekko połyskiwała potem. Spojrzałam na jego zarost i przypomniały mi się cienie trawy, odmienne kształty i barwy naszych dłoni...

- Tak czy inaczej, dzięki - podjęłam.

- Za co?

Wzruszyłam ramionami.

- Wiesz, siostrzyczko, to, co mówiłem dziś po południu... to nie do końca prawda.

- Czyli trawka może jednak zaszkodzić?

Zachichotał z westchnieniem.

- Chodzi mi o to, co powiedziałem o przyszłości. Nie miałem racji. Przyszłość nie jest już czymś, co na nas czeka. Żyjemy w niej. Przybyła do nas. Jest wszystkim dookoła. Trwa teraz.

A więc to była przyszłość - polegała między innymi na kilkudniowym leczeniu się Leo z kłopotów żołądkowych, które przeszły potem na tatę i na mnie. Pamiętam wizyty w aptecce, smród w toalecie i pralkę mielącą niezliczone ilości zabrudzonej pościeli. Wydobrzeliliśmy wszyscy, ale mój brat chorował najciężej.

Przyszłość polegała też na wyprawie do Ikei podczas jednego z następnych weekendów po nową lampę do salonu, polegała na staniu w wielogodzinnym korku na M5, kiedy ojciec zmagał się z klimatyzacją, chłodnica prawie się gotowała, a Leo siedział ze mną

z tyłu, pocąc się i marudząc po każdym nieładnie pachnącym beknięciu. Do domu wróciliśmy dopiero pachnącym ozonem wieczorem, bez lampy, za to z kilkoma pudełkami szklanek, wieloma roślinami doniczkowymi, nedorzecznie wielkim zegarem ściennym i pobrzękującym stosem rozmaitych żarówek, które były wtedy z jakiegoś powodu bardzo potrzebne.

W tym zaginionym świecie było tak wiele przedmiotów! Nasz dom niemal pękał w szwach od starych kaset, płyt i kompaktów ojca oraz zbieranych przez mamę ozdóbek, czasopism obojga i muzycznego majdanu gromadzonego przez wszystkich. Z kolei ja i Leo mieliśmy całą masę zabawek, którymi nigdy się nie bawiliśmy, niemniej, wciąż traktowaliśmy je z wręcz totemicznym szacunkiem.

Niedomagania zdrowotne Leo ciągnęły się przez całe to gorące, irytujące lato. Zacieśniliśmy kontakty z obiema parami dziadków. Przypominam sobie pojawienie się kolorowych tac z hinduskimi łakociami i garnków pełnych zimnych, pożywnych potrawek, a także babkę w roztargnieniu podszczypującą moje policzki, zanim jej wydatne piersi nie zwróciły się z pełną atencją ku Leo. Nie chodzi o to, że niedomagał poważnie - nadal szycował się do wspólnego z Blythe wykonania Brahmsa oraz kilku innych koncertów - ale wciąż nie mógł się pozbyć tego choróbska, tego wirusa żołądkowego, dziwnego rodzaju letniej grypy, czy też lekkiego zapalenia jelit.

Wybraliśmy się nawet na nasze tradycyjne, upalne dwa tygodnie do jednego z tych długich, blaszanych prostopadłościanów o nazwie „Clarion” czy „Belviour”, które opalały się rzędami w uschniętym parku przy plaży gdzieś na południu Francji. Były to przyzwoitsze wersje post-Yellowstonowskich obozów dla uchodźców, które zakładano dwadzieścia czy trzydzieści lat później, zwykle wypełnione mniejszymi i mniej trwałymi odpowiednikami wszystkich rzeczy, jakie mieliśmy w domu. „Kieliszki do wina - 6, patelnia - 1, korkociąg...”. Pamiętam to odczytywanie laminowanego inwentarza w dzień przyjazdu, z nadzieją, że natknę się na brakującą szczotkę do ubikacji czy niedostatek puszek herbaty, zanim będę musiała przejść między szeregami bomb gazowych i zmierzyć się z wysypanym piaskiem, obowiązkowym placem zabaw, gdzie bawiły się inne dzieci. Mama potrafiła beztrąsko się opalać i ignorować spojrzenia rzucane jej przez baraszkujących wśród fal ludzi, ale ja byłam tylko dzieckiem, na dodatek często jedynym dzieckiem o azjatyckich rysach. Ojciec matki, Ram Ashar, przybył do Anglii z Gudżarat pod koniec lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, w poszukiwaniu nowego życia i przyzwoitej pracy. Podejmował się wielu brudnych zajęć, póki nie dorobił się na tyle, by założyć umiarkowany popularny sklep jubilerski w Handsworth, dzięki czemu był w stanie sprowadzić na Wyspy żonę. Moi dziadkowie ze

strony ojca także byli imigrantami, ale z innego stulecia - irlandzkimi katolikami. Los sprawił, że Leo bardzo przypominał tatę, a ja mamę. Apatycznie bujające się na huśtawkach z opon samochodowych dzieciaki o czerwonych twarzach - potomstwo gości tych zdecydowanie anglosaskich enklaw turystycznych - obracały się ku mnie i uważnie przyglądały. Co ty tu robisz? Nie musiały nawet tego mówić, pytanie samo pojawiała się w mojej głowie. Dość często więc spacerowałam wśród otoczonych płotem sosen z jedyną w ośrodku ciemnoskórą dziewczynką, albo małym Chińczykiem, podobnymi do mnie rozbitkami rzuconymi na ten słoneczny przyczółek Anglii. Potem, jak w domu, czekałam na Leo, który wracał z książką lub gitarą, porzuciwszy tłum wielbicieli, jaki zawsze przyciągał, i ratował mnie z opresji. Tego jednak ostatniego lata, które spędziliśmy w jednym z tych francuskich ośrodków, nie czułam się dobrze i najczęściej bawiłam się sama.

Z powrotem w Moseley, gdy ospale szłam pod pokrytym smugami kondensacyjnymi samolotów niebem, wracając z pobliskiego liceum na początku jesiennego semestru, często zastawałam brata wciąż w piżamie, siedzącego przy komputerze lub wściekle łomocącego w klawiaturę fortepianu, albo wręcz leżącego jeszcze w łóżku. Potem, pewnego dnia, natknęłam się na mamę - która zazwyczaj o tej porze uczyła jeszcze w szkole - klęczącą w kuchni w otoczeniu przemoczonych gazet i uwiedłych pudełek po pizzy. Rozmrażała lodówkę.

- Roushana... - Spojrzała na mnie, marszcząc brwi. Uzbrojona w drewnianą łyżkę i suszarkę próbowała oderwać kolejny kawałek lodu. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Dlaczego nie włączasz telefonu? Leo jest... - Patrzyła na topniejący szron. - Musiał pójść do szpitala. Nic poważnego, kilka badań w związku z tą jego chorobą. - Pociągnęła się za kucyk. - Nie mam pojęcia, czemu się za to zabrałam. Słuchaj, pomóż mi to wszystko powkładać z powrotem do środka. Potem go odwiedzimy...

W milczeniu, poważne, umieściłyśmy ociekające zimną wodą stopy mrożonych posiłków w lodówce i wyruszyłyśmy, przebijając się przez niekończące się miejskie godziny szczytu. Od urodzenia byłam zdrowym dzieckiem i nigdy przedtem nie oglądałam szpitala od środka. Zdumiałam się, widząc, jak wielkim przemysłem może stać się choroba. Korytarze ciągnęły się we wszystkie strony. Oddziały. Tablice informacyjne. Windy. Tysiące obrotowych drzwi. Ludzie na wózkach i utykający o kulach. Pielęgniarki nosiły na twarzach maski. Z plakatów krzyczały srogie ostrzeżenia o nieuchronnie zbliżającej się epidemii. Rzucałam bezwstydnym spojrzeniom na niechlujne ciała, plastiki i stal, miejscami inkrustowane brązowymi śladami krwi.

Leo siedział na łóżku, z wesołą miną, mimo że on także miał wbitą w ramię rurkę podłączoną do przejrzystego woreczka, kołyszącego się leniwie nad jego głową. Razem z tatą,

który przyjechał z nim karetką, komentowali prędkość, z jaką postępowały testy i badania. Zajmował pojedynczą salę, co - podobnie jak rozsuwane drzwi, otwierające się dopiero po wpisaniu specjalnego kodu - uznałam za dowód uznania, jakim służba zdrowia darzy wybitne talenty mego brata.

Tata pojechał z powrotem do domu przez gęste, zakorkowane ulice, by przywieźć wszystko to, czego zapomnieliśmy z mamą, która tymczasem wyszła do labiryntu korytarzy, żeby poszukać doktora. Zostaliśmy z Leo sami. Jak to się ostatnio działo dość często, nie mieliśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia. Sala znajdowała się wysoko w jednej z wież szpitala i z jej okien roztaczał się piękny widok na ogrody i pola golfowe jesiennego Edgbaston. Leo obrócił się na wielkim metalowym łóżku, spojrzął przez okno i zaczęliśmy się zastanawiać, czy widać stąd dom rodziców Blythe. Oboje w duchu ponagliliśmy ją, by czym prędzej się tu pojawiła, wraz ze swoją chłodną, pościelową aurą spokoju.

Potem umilkliśmy i właśnie w tej niezręcznej chwili, bardziej po to, by wypełnić czymś niepokojącą ciszę, jaka między nami zapadła, pozwalając rozbrzmiewać szpitalnym hałasom, niż dlatego, bym naprawdę chciała, powiedziałam Leo coś, co zmieniło całe moje życie.

- Tak się zastanawiam - zagaiłam - czy nie mogłabym nieco podciągnąć się na skrzypcach. To znaczy... - machnęłam nieporadnie ręką ... wiem, że nie będę nigdy tak dobra jak ty. Albo jak Blythe. Ale chciałabym grać lepiej. I pomyślałam sobie, że mógłbyś mi pomóc.

Leo zastanawiał się przez chwilę. Nieznacznie uniósł brodę.

- Wiesz co? - odpowiedział. - W zasadzie możemy zacząć od razu.

Powinnam być mądrzejsza. Wszczywanie z Leo rozmowy na jakikolwiek związany z muzyką temat przypominało wysadzanie zapory na rzece. Po chwili rozvodził się już, wchodząc w coraz głębsze detale, tłumacząc, że same ćwiczenia to nic, że praktyka muzyczna jest wręcz bezwartościowa, o ile się nie planuje i nie rozumie. Wtedy wreszcie przybyła Blythe, z naręczem kwiatów i nowym odtwarzaczem „Sony Seashell”. W tym droгим upominku czekały już ulubione utwory Leo. Zawiesił sobie srebrny łańcuszek urządzenia na szyi, posłuchał przez chwilę, po czym przycisnął maleńką, zewnętrzną słuchawkę do kostki tuż poniżej mego ucha i wlały się we mnie wspaniałe dźwięki.

- Tego się właśnie po tobie spodziewam, siostrzyczko! - Roześmieliśmy się wszyscy.

Czy byłam wtedy dobra? Czy miałam słuch? Załóżek talentu? W naszym domu muzyka była stale obecna i nierozzerwalnie z nami związana, ale dar Leo polegał na czymś innym. Ujawnił się już, kiedy mama zaśpiewała mu do snu w kołysce, a on odpowiedział jej



melodyjnym gaworzeniem, i jeszcze wtedy, gdy tata posadził go sobie na kolanach za fortepianem, i dwulatek bezbłędnie naciskał klawisze odpowiadające zagranej przez ojca melodyjce. Nie była to sytuacja, w której upiorni rodzice zmuszają swe dziecko do czegokolwiek, jak to często bywa z małymi uzdolnionymi matematykami czy tenisistami. Gdyby nie pozwolono Leo na rozwijanie muzycznych uzdolnień, byłoby to takie samo okrucieństwo, jak niedopuszczenie, by nauczył się chodzić. Ja, z drugiej strony, byłam przeciętnym muzykiem, podobnie jak przeciętna byłam we wszystkim innym. Co prawda, mama chwaliła moje piskliwe skale z takim samym zaangażowaniem, z jakim zawieszała na lodówce moje dziecinne rysunki, ale sama zdawałam sobie sprawę, że jestem średniakiem, i to zapewniało mi - mnie, która wyróżniałam się na innych polach z powodu swojej rasy - przeciętne zadowolenie.

Leo wrócił ze szpitala z kilkoma sińcami na ramieniu, zupełnie nową baterią tabletek i niewyraźnie odbitą na ksero kartką, zawierającą zasady przepisanej mu, restrykcyjnej diety. Musiał już zdawać sobie sprawę, że nie zostałam obdarzona szczególnym talentem. Kazał mi odłożyć skrzypce - tanie, z powłoką z kruchego plastiku i równie kruchym brzmieniem - i po prostu słuchać. Postęp przychodził powoli. Nadal nie dokonałam gwałtownego skoku naprzód, moje nieporadne palce nie nabrały zręczności, nie wydobywałam z instrumentu cudownych tonów. Dla mnie jednak najbardziej liczyło się to, że zyskałam szansę na spędzanie czasu z bratem.

Mimo choroby, Leo w jakiś sposób zdołał utrzymać swoje stypendium. Ostatecznie był to rok, kiedy miał, jak wszystkie inne ambitne nastolatki, podjąć decyzję co do wyboru dalszej drogi edukacyjnej. Muzyka, anglistyka czy może historia? Dwa kierunki czy tylko jeden? Akademia Królewska, Durham czy też Oksford? Potem nadszedł czas walki o granty i nowe stypendia, ponieważ rodziców nie było stać na opłacanie wysokiego czesnego. No i jeszcze nauka, ćwiczenia. Do tej pory zdumiewa mnie, że znalazł czas na to wszystko. Blythe z kolei, która stanęła przed podobnymi decyzjami i mierzyła się z mniej więcej identyczną liczbą obowiązków, postanowiła, że nie będzie się już koncentrować na wiolonczeli. Przyznała, że to raczej mało prawdopodobne, by kiedykolwiek została zawodowym muzykiem. Przyszła mi też do głowy myśl, że znalazła sobie inne metody zadowalania Leo.

Każdego wieczoru, gdy wracałam ze szkoły, sprawdzałam, czy brat jest w domu, patrząc na okno jego pokoju. Któregoś gorącego, jesiennego popołudnia, kiedy z powodu kolejnego alarmu bombowego odesłano nas wcześniej do domów, okno było zamknięte i po prostu nie wpadłam na to, że mogę go jednak zastać. Ściągnęłam sweterek i weszłam na górę. Zza drzwi jego sypialni doleciały mnie odgłosy jakiegoś zamieszania - uznałam, że może to

mysz, odwiedzały nas już przedtem - i weszłam bez pukania, nie spodziewając się jego, a już na pewno nie w towarzystwie Blythe. Ale byli. Oboje. Zupełnie nędzy w łóżku, w duchocie nasłonecznionego, niewietrzonego pokoju. Oczywiście, wiedziałam już, że uprawiają ze sobą seks. W tej umierającej, liberalnej epoce rodzice dali mi jasno do zrozumienia, że niekiedy bratu i jego dziewczynie nie należy przeszkadzać. Ale wiedzieć o seksie to jedno, a co innego ujrzeć Blythe klęczącą nad nim w tej akurat pozycji. Podniosła się, wyjęła z ust wilgotny kosmyk włosów i sięgnęła dłońmi do piersi, a Leo próbował się zakryć, ale wtedy już zdążyłam zatrzaskać drzwi, po czym zbiegłam po schodach.

Niebawem zeszli na dół. Siedziałam z kolanami pod brodą i gapiłam się tępo na telewizyjne kreskówki. Zaczęli mi tłumaczyć, że to wyłącznie ich wina, że powinni byli mnie uprzedzić, że są w domu. To jednak była przyszłość i wszystko tej dziwnej, niepokojącej jesieni stanowiło jej część, a zwłaszcza muzyka, w którą wprowadzał mnie Leo. Studiowaliśmy partity Bacha. Wygrywał je dla mnie na gitarze lub fortepianie. Wyszukał najważniejsze wykonania. Ja musiałam tylko słuchać. Brat wtedy nieco już schudł. Stał się wdzięcznie patykowaty, a jego skóra, oddech, cała jego osoba, były niezwykle gorące, co czuło się z bliskiej odległości. Zapuścił też dłuższe włosy, i kiedy nimi zarzucał, rozkładając przede mną nuty - „To wszystko tu jest, widzisz?” - swymi szybkimi, ładnymi rękoma, przypominał trochę Chopina.

Nasz dom stał się tymczasem miniaturowym polem bitwy toczonej w wojnie przeciwko chorobie Leo. Każde z nas dostało własny ręcznik, oznaczony własnoręcznie wyhaftowanymi przez mamę imionami, żaden dzień nie upływał bez przypomnień o konieczności mycia rąk i bez stale obecnej ostrej woni środków do dezynfekcji. To jednak była moja ucieczka, mój sposób na przebywanie z bratem i jeśli nawet nie nauczyłam się dobrze grać, to przynajmniej dowiedziałam się, jak należy słuchać. Leo pożyczył mi seashell, który dostał od Blythe. Wszystkie te zasłużone koncerty romantyczne - Mendelssohn, Brahms, Elgar, Sibelius i Bruch były dla mnie wielką nowością i z wypiekami na twarzy słuchałam ich, wracając ze szkoły, skulona na huczącym wietrze, mijając zalanych deszczem przechodniów. Czułam wówczas, że gdzieś wśród tych tęsknych brzmień jest ze mną Leo.

Święta wisiały w powietrzu. Brat znów spędził krótki czas w szpitalu tym razem planowo - gdzie przeprowadzono mu serię jednych badań, przełożono inne, które - wiedziałam to, ponieważ dwie koleżanki z mojej klasy cierpiały na to samo co on - trafiły na wiecznie wydłużającą się listę testów do wykonania. Kiedy wybraliśmy się na bożonarodzeniowy obiad do dziadków, nie pojechał z nami, gdyż mama, zdając sobie sprawę z zamieszania, jakie wywołałaby jego dieta, uznała, że lepiej będzie, jeśli ten dzień spędzi z

rodziną Blythe. Pamiętam, że tamtego roku śnieg utworzył niewiarygodne, zatrzymujące cały świat zaspy; że Birmingham, a nawet Handsworth podczas tej powolnej podróży wyglądały za zaparowanymi szybami samochodu bardzo pięknie, pamiętam domy przeobrażone białymi brwiami zimnego puchu i stalaktytami lodu na dachach.

Babcia Ashar nie próbowała nawet ukryć rozczarowania nieobecnością wnuka i zdobyła się jedynie na pobieżne uszczypnięcie mojego policzka w drzwiach swego bliźniaka. Podobnie jak dla większości Hindusów, święta stały się dla Asharów jeszcze jednym festiwalem, podczas którego pulchne Mikołaje, aniołki i renifery spotykały się z figurkami Siwy i Ganesza. Potem rozpoczął się obiad i siedzieliśmy stłoczeni łokciec w łokciec przy owalnym stole, wokół indyka, którego babcia podała z wielką pompą, choć zauważyłam, że ona i dziadek jedli jedynie warzywa i sosy. Był z nami także brat matki i jego rodzina. Wujek Indra mieszkał nieopodal ze swoją rozłożystą, cichą ciocią Rupą i, idąc za przykładem mego ojca, zajmował się tym, co zwyczajowo nazywaliśmy „rodzinnym fachem”.

W końcu pozwolono mi odejść od stołu i bawić się z dwójką chłopców wujostwa, którzy siedzieli w ciasnym pokoiku na górze nad zakurzonym komputerem. Starszy, Kapil, był tylko o rok młodszy od Leo i uważał się za osobę umuzykalnioną - za DJ-a. Przyglądając się paskowi ładowania na ekranie, przypomniałam sobie chwilę, gdy zademonstrował mojemu bratu to, co nazwał „swoją najnowszą kompozycją” - i co w oczywisty sposób stanowiło efekt wielu tygodni pracy, na co Leo zareagował, układając kilkoma ruchami myszki melodię nieskończenie słodsza i bardziej na czasie. Tego dnia jednak byłam z nimi sama - nawet nie dziewczyna, tylko ktoś w rodzaju gorszego chłopca, co zresztą w pewien sposób zawsze sama prowokowałam, upinając włosy, nie stosując makijażu i nosząc obszerne, workowate koszulki, często zresztą pożyczane od Leo, doskonale maskujące moje rosnące piersi. Wreszcie gra się wczytała; pełna hałaśliwych helikopterów, eksplodujących wnętrzości i głośnych zderzeń ciała z metalem. Gdy Kapil ze swoim bratem, po błyskawicznym pokonaniu kilku poziomów, pozwolili mi zagrać, odkryłam, że nie mam do tego smykałki. Niemal natychmiast rozszarpała mnie przypominająca boginię Kali wieloramienna istota i chłopcy mogli znów przejąć stery.

Sylwestra spędziliśmy w domu rodziców ojca, w Hall Green. Co prawda, tym razem był z nami Leo, ale ja nie należałam do szczególnych wielbicielek tego konkretnego święta, pełnego blichtru i alkoholu. Pozwolono mi wówczas napić się szampana, ale odmówiłam. Następnie zachęcano mnie do tańca - czynności, którą się wtedy potwornie brzydziłam. Nie podobała mi się też bijąca z ust gości woń papierosów i piwa, i w ogóle nie cierpiałam tego radosnego hałasu zamkniętego w maleńkich pokojach bliźniaka. Z niechęcią patrzyłam

również na Leo, któremu udało się wejść do kręgu tych anonimowych istot, będących w większości durnymi sąsiadami babci i dziadka Maitlandów. Jak mógł się weselić wraz z innymi, gdy wreszcie odezwał się Big Ben, jak mógł chwytać ich za ręce i obściskiwać się z kimś takim?

- Szczęśliwego Nowego Roku, siostrzyczko! - Brat chwycił mnie za ręce i podniósł z sofy, na której się ukryłam. Pił jak wszyscy i odniosłam wrażenie, że się chwieje, opiera o mnie.

Poczułam bliskość jego warg, całe to wrażenie bycia w jego ramionach. Pocałunek trwał dłużej niż powinien - i świat się wywrócił.

\* \* \*

Następnego ranka obudził mnie grzechot bijącego o szybę deszczu i muzyka Leo, który grał piętro niżej, tak pięknie jak nigdy. „Preludium deszczowe” Chopina. Tyle smutku i delikatności, tak wiele emocji, ale wycofanych, nieunaoczniających się poza odległymi grzmotami tych miękko przetaczających się przez środkową część utworu akordów. Przez chwilę, leżąc tam na piętze, mogłam sobie wyobrazić, że Leo naprawdę jest Chopinem, a ja Georges Sand, że dzielimy ze sobą ten szary, omiatany ulewami dom na Majorce, o którym brat mi kiedyś opowiadał, a którego tak bardzo nienawidził sam Chopin i gdzie mimo wszystko skomponował jedno z najpiękniejszych utworów świata.

Leo odegrał preludium raz jeszcze, tym razem ciszej i genialniej. Wyszłam ukradkiem z pokoju i przycupnęłam na schodach, zasłuchana i zapatrzona przez otwarte drzwi jadalni. Siedział w swoim wypłowiałym czerwonym szlafroku, całkowicie pochłonięty chwilą, o której wieczne trwanie zaczęłam się niemal modlić. Wreszcie rozejrzał się i kiedy mnie ujrzał, zrobił prawie zawstydzoną minę, co rzadko się widywało, gdy zasiadał do fortepianu. Wstając, zażartował, że gra tak cicho z powodu kaca, ale oboje wiedzieliśmy, że grał jak nigdy: że tego pierwszego poranka nowego roku wciąż świeżego stulecia przekroczył granicę czysto technicznej sprawności i że skorzystał z muzyki Chopina nie po to, by wyrazić uczucia kompozytora, a własne.

Rodziców nie było wtedy w domu. Wybrali się po jeszcze więcej rzeczy do jednej z prefabrykowanych katedr konsumpcjonizmu, w których ludzie wówczas spędzali większą część wolnego czasu. Leo nie czuł się zbyt dobrze. Mamrotał coś o swojej nietolerancji na gluten i połykał kolejne tabletki - mówił o tym, że z głupoty zapomniał, że zarówno piwo, jak i whisky wyrabia się ze zbóż. Porzucił fortepian i usiadł w kuchni przed komputerem. Myślałam, że zbiera materiały do jakiejś pracy rocznej, ale coś w jego skurczonej postawie

sprawiło, że mniej więcej godzinę później podeszłam i stanęłam przy nim. Na ekranie tłoczyły się strony internetowe, zdjęcia.

- Wiem, co mi dolega, siostrzyczko - szepnął, nie odwracając się ku mnie. - To biała zaraza.

\* \* \*

Podobnie jak mama, nie mogłam pić mleka. Leo i ojciec mogli. Brało się to z naszego gatunkowego dziedzictwa, jeszcze z czasów pradawnych szczepów spod wieży Babel, które ponoć rozproszyły się po całej Ziemi. Ci, którzy osiedlili się w okolicach o chłodniejszym klimacie, zajęli się hodowlą bydła i dzięki powolnej selekcji naturalnej wykształcili zdolność do trawienia mleka, którą żyjący na stepach, pustyniach i w dżunglach myśliwi i zbieracze nadal tracili po okresie niemowlęstwa. Wskutek tego, tolerancja laktozy stanowi cechę białoskórych ludzi Północy, jakiej pozbawiona jest reszta ludzkości. Oczywiście istnieje wiele wyjątków, od afrykańskich Beduinów i Tuaregów począwszy, po ludy północnych Indii. Nawet pośród rodowitych Finów istnieje licząca sobie niemal dwadzieścia procent całości grupa, która nie jest w stanie spożywać mleka, nie cierpiąc przy tym na niestrawność. Wirus zmanipulowany tak, by wpływać na produkcję laktazy - enzymu trawiennego - mógłby się stać groźną bronią w walce z bogatym wówczas Zachodem. Narzędziem prymitywnym, lecz skutecznym.

Pamiętam styropianowe kubki z sokiem pomarańczowym lub kawą, które pomagałam napelniać i rozdawać z wózków podczas spotkań na szkolnych korytarzach. Pamiętam rozkładanie specjalnych ciasteczek; płaskich, jajecznych wypieków, które smakowały trochę jak pizza, mimo że były słodkie. Pamiętam przestarzałe mikrofony, nad którymi pochylali się rodzice, występując jako członkowie założyciele połudnowobirminghamskiego oddziału Stowarzyszenia do Walki z OZNP - OZNP, czyli Ogólny Zespół Nietolerancji Pokarmowej było oficjalną nazwą białej zarazy - i prosili o pytania z sali. Leo także pojawiał się na tych spotkaniach, o ile był w stanie, z początku trzymając się z tyłu, lecz stopniowo stając się ich główną atrakcją - przykładem tego, co może osiągnąć chory na OZNP. Tematem zainteresowała się lokalna prasa. Udzielił nawet wywiadu w regionalnej telewizji, chociaż od zawsze nienawidził rozgłosu dla samego rozgłosu, zwłaszcza jeśli oznaczało to zwiększoną popularność jego fortepianowych występów, których, mimo ich wspaniałości, wciąż się wstydził, jako że cały czas porównywał się tylko z takimi tuzami pianistyki jak Glen Gould czy Alfred Brendel. Występował publicznie - jak sam mi powiedział - jedynie dlatego, że gdyby tego nie robił, nigdy nie osiągnąłby mistrzostwa. Sąsiedzi często nagabywali go, by

zagrał tę czy inną śliczną melodię, którą usłyszeli wcześniej przez okno, i tak to trwało aż do deszczowej wiosny naznaczonej niewielkimi, angielskimi monsunami, gdy nasi rodzice, pośród wielu innych zajęć, postanowili wystawić dom na sprzedaż. Zamierzali kupić coś większego, bliżej Edgbaston lub Harborne, z dala od miejsca, które w pewien sposób obarczali winą za chorobę Leo, a także - choć nigdy tego nie przyznali - z dala od otaczającej nas kolorowej biedoty Balsall Heath. Rozmawiali o znalezieniu ładnego, dużego wiktoriańskiego domu z porządnym pokojem muzycznym dla Leo i miejscem na pełnowymiarowy fortepian. Jednak tabliczka „Na sprzedaż” często padała ofiarą wandalii, nieliczni ewentualni kupcy obawiali się nowych, nieznanych chorób i właściwa oferta się nie pojawiła.

Mówiono wówczas, że na białą zarazę cierpi od jednej pięćdziesiątej do jednej dwusetnej rdzennych Anglików, aczkolwiek liczby te były mocno szacunkowe i wielu ekspertów wciąż podważało istnienie OZNP jako samodzielnej jednostki chorobowej. Wiem jedynie, że Leo czuł się dobrze aż do tego popołudnia, kiedy paliliśmy trawę w ogrodzie, kiedy to zrobiłam mu jego ulubione kanapki. Potem już nie wydobrał. Dieta mojego brata - która musiała uwzględniać rosnącą nietolerancję jego jelita cienkiego na szeroki zakres węglowodanów - stanowiła prawdziwe pole minowe, a nasza lodówka była tego pola zdalnym zapalnikiem. Biada temu, kto zabrał cokolwiek z przeznaczonej dla Leo półki. Rodzice nigdy nie przeprowadzili ze mną zapowiadanej przez brata rozmowy o narkotykach, ale kilka razy nasłuchiłam się o „ostrożności”, „zdrowym rozsądku” i „odpowiedzialności”. Oczywiście nie byli szczególnie świadomi, jak ciężkie może być życie dziewczyny z chorym rodzeństwem, choć przyznają, że się zdarzało, że mama kładła mi dłoń na ramieniu i próbowała rozmawiać, słuchać, albo nie mówiła nic. Ja jednak zawsze w takich chwilach sztywniałam, chowałam się, kuliłam.

Rodzice obwiniali za stan Leo siebie lub dom. Ja w tej kwestii byłam o wiele bardziej zdecydowana. Odpowiedzialnością za jego chorobę obarczałam Boga. Pomysł ten powzięłam z fundamentalistycznych stron internetowych, których autorzy twierdzili, że biała zaraza jest zemstą Boga, Allaha tudzież Jehowy, a także od dziadków, którzy uznali przypadłość mojego brata za karę za to, że nie został ochrzczony, czy też za to, że nie przeszedł rytuału samsary, albo po prostu za multikulturowy związek matki i ojca. Oczywiście, modlitwy i ofiary zanosili i składali w dobrej wierze, ale ja nie cierpiałam tych ponurych wizerunków przybitego do dwóch prostopadle skleconych desek Chrystusa, a hinduistyczne bóstwa babci i dziadka, z licznymi ramionami i dziwnymi środkami transportu, wydawały mi się słabo

przemysłanymi postaciami komiksowych superbohaterów. „Dlaczego?” - wciąż chciałam zapytać. „Co to ma z czymkolwiek wspólnego?”.

\* \* \*

Wiosenne burze wreszcie przeminęły, zakończone mocnym finałem prawdziwego oberwania chmury z grzmotami, i przyczłapało kolejne ciężkie i ciepłe lato, niczym lew ziejące wonią padliny. Potajemnie siadywałam przed lustrem i eksperymentowałam z kosmetykami mamy, nabawiłam się zapalenia ucha i miałam pierwszą miesiączkę. Dostałam również moje pierwsze pełnowymiarowe skrzypce, używane, liczące sobie niemal pięćdziesiąt lat dzieło jakiejś anonimowej francuskiej manufaktury, niemniej o głębokim, przyjemnym brzmieniu. Kupnem dyrygował Leo i kiedy na nich grałam, zawsze myślałam o jego głosie, dłoniach i miękkim nacisku tamtego noworocznego pocałunku. Panna Freely moja nauczycielka skrzypiec, niezamężna, roztaczająca wokół siebie nieprzyjemną woń psów - była zaskoczona czynionymi przeze mnie postępami. Jeszcze bardziej zaskakująca, jak sądzę, musiała się jej wydać pasja, z jaką zaczęłam się oddawać ćwiczeniom.

- Słyszałem, jak grałaś u siebie wczoraj wieczorem - powiedział pewnego ranka Leo, patrząc na mnie zapuchniętymi wskutek kolejnego ataku oczyma. Zszedł właśnie na dół, żeby przejrzeć resztki tego, co jeszcze wolno mu było jeść. - Miałś świetne brzmienie, ale powinnaś uważać na tempo i zwolnić, zwłaszcza przy smyczkowaniu w dół...

Tego dziwnego lata muzyka wylewała się z naszego domu jak nigdy dotąd. Leo grał już naprawdę genialnie, z ogniem i czułością. Niekiedy bałam się słuchać jego muzyki, zwłaszcza gdy zostawaliśmy sami. Wycofywałam się wówczas do swojego pokoju, kładłam na łóżku i oszołomiona słuchałam Bacha wznoszącego przerażające, niebotyczne, utkane ze światła katedry. Jak to możliwe - zastanawiałam się, przebiegając palcami po stłumionych strunach takt za taktem jego zawilej *chaconne* - by ktokolwiek dobywał takie dźwięki? Tym, czego się bałam w grze Leo, była wiedza, że mimo jej szybującej wspaniałości, tak naprawdę słyszę wyraz jego choroby. Biała zaraza była oczywiście mylącą nazwą. Jak głośiły wypisywane przez matkę ulotki, przypadłość ta nie kończyła się śmiercią, przynajmniej w krajach dysponujących rozwiniętą służbą zdrowia. Prawdę powiedziawszy, w świecie, który doświadczył już AIDS, wirusa Ebola, gorączki nilowej i kociej grypy, OZNP wydawał się większości pomniejszonym niedomaganiem - w końcu wszyscy muszą dbać o dietę. Jednocześnie panowały niewiedza i histeria. Pamiętam, jak kuzyn Kapil utrzymywał, że to wszystko przez „pieprzonych Pakistańczyków”, a w mojej szkole pobito kilku hinduskich chłopców, oczywiście pod pretekstem roznoszenia OZNP. O diecie Leo mówiono często, że

to wina mody na odchudzanie i generalnie nie ma się nad czym rozwodzić. Zupełnie ignorowano fakt, że miał problemy z wątrobą, częste infekcje nerek i bez przerwy tracił na wadze. Nikt nie przejmował się też tym, że codziennie rano musiał badać krew i mocz, nie dostrzegano jego bólów, okropnego jedzenia i faktu, że nie udało się nam sprzedać domu głównie przez jego chorobę.

Nikt się już nie zastanawiał, czy Leo ma pojechać do Oksfordu, czy może do Londynu. Stało się jasne, że będzie musiał studiować w domu.

Blythe oznajmiła, że ona także zostaje w Birmingham. Tego lata była u nas częstym gościem, czasami my wybieraliśmy się do niej. Pamiętam, jak powietrze w renaulcie taty nagle jakby się ochłodziło, gdy wjechaliśmy na przedmieścia Edgbaston, niebo straciło swój kwaśnoszary odcień, a drzewa zarzuciły głowami. Otworzyły się bramy w murze i pojechaliśmy powoli przez progi zwalniające. Pod zraszaczami zieleniały długie trawniki, ciągnąc się ku wielookiennym niby-tudoriańskim, niby-średniowiecznym, niby-współczesnym pałacom.

Choć Tim i Natalie Munro byli porządnymi i przyzwoicie niezawstydzonymi swym majątkiem ludźmi, odniosłam wrażenie, że znalazłam się w innym świecie. Bogata wyższa klasa średnia w tamtych czasach wciąż hojnie wydawała swoje pieniądze na armie pokojówek, złotych rączek, kierowców, wyprowadzaczy psów, i nianie, dzięki którym mogli się utrzymać na powierzchni życia. Tego jednak lata pojawiło się nowe urządzenie - Tim Munro nazywał je zabawką - które wyręczało ogrodników i kosiło trawniki samodzielnie. Zielona i smukła forpoczta następnej fali oszczędzających ludzką pracę maszyn mknęła w słońcu, gdy usiedliśmy wokół basenu. Leo wyciągnął się na leżaku, a Blythe z wdziękiem rozcinała wodę. Bratu nie wolno było pływać, lecz i tak włożył strój kąpielowy. Wtedy zobaczyłam wyraźnie jego wystające żebra i sterczące pod boleśnie ostrymi kątami ramiona. Stracił ciało wszędzie poza brzuchem, wydatnym jak u dziecka. Niepokojąco zaczynał przypominać głodujących ludzi, jakich wielu oglądało się wówczas w telewizji. Ja, świadoma uczuć biednego Leo i tego, że moja figura w niczym nie przypomina kształtów Blythe, pozostałam w ubraniu.

Blythe wyszła z basenu, zarzuciła sobie na ramiona cienką chustkę, skinęła na mnie i poszliśmy do ogrodu.

- Chciałam ci je pokazać. Patrz, czy nie są śliczne?

Krzew gardenii, przystrojony białymi jak panny młode kwiatami, bujnie rozkwitał w zmieniającym się klimacie. Ja jednak o wiele większą uwagę zwracałam na kropelki wody spływające z bikini i po krągłościach Blythe. Pochyliła się i odetchnęła śmietankowym



zapachem. Jedną z rzeczy, których zdecydowanie nie lubiłam w dziewczynie mojego brata, było jej bogactwo. To oczywiście nie jej wina, podobnie jak nie była odpowiedzialna za swoją urodę. W końcu, o czym niekiedy przypominali mi rodzice, nam, Maitlandom, też na niczym nie zbywało. Kiedy poszłyśmy dalej i jej skąpe odzienie przywołało mi na moment wspomnienie Blythe i Leo w tej gorącej sypialni, zrozumiałam, że tak naprawdę czuję po prostu zazdrość i nikłą, świadczącą o niezrozumieniu, odrazę.

- Leo mówił, że robisz postępy w *chaconne*. Podobno masz ucho do Bacha.

Uśmiechnęłam się - nie chciałam, żeby zrobiło mi się miło, ale komplement był szczery. Wiedziałam, że Leo nigdy nie żartuje na temat muzyki.

- Ostatnio trochę więcej ćwiczę.

- Ja wciąż mam wyrzuty sumienia, że porzuciłam wiolonczelę. - Jej palce rozdarły liść paproci. - W zasadzie jej nie porzuciłam, ale nie wydaje mi się, bym mogła grać zawodowo. Nie ma chyba w życiu nic gorszego, niż bycie tylko dobrym. Skończyłabym, grając do kotleta popowe kawałki w jakiejś prowincjonalnej orkiestrze. Ciągłe na walizkach, w hotelach. Nerwy i trzęsące się ręce. Kocham muzykę, ale nie aż tak... Dlatego zdecydowałam się pójść na prawo, choć ty pewnie uważasz, że to jedynie wymówki.

Ponownie poczułam się mile połączona, tym razem tym, że Blythe liczy się z moim zdaniem.

- Prawo to dyscyplina. Jeden z tych zawodów, które...

- ...są dobrze płatne, tak wiem - dokończyła błędnie moją wypowiedź. - Ale, Roushano, ja tego nie robię dla pieniędzy. Wiem, że zabrzmie teraz jak jakaś pusta lala z konkursu piękności, ale chciałabym coś zmienić.

Gołębie gruchały. Nawoływały się synogarlice. W oddali miarowo pomrukiwała kosiarka. Co zmienić? - przemknęło mi przez myśl. I na co?

- Poza tym, to, że zostanę w domu, nie jest pozbawione sensu. Większość studentów musi się na to decydować. Mama i tata z radością cały czas będą mnie utrzymywać. Traktują to jako inwestycję. Gdyby Leo ze mną zamieszkał, też nie powiedzieliby złego słowa. - Spojrzała na mnie z ukosa przez mokre wężyki swych włosów, niemal chytrze. - Myślisz, że mógłby?

Wzruszyłam ramionami, wciąż rozkoszując się jej chwilą zwierzeń.

- To zależy od jego zdrowia. Nie sądzę, by rodzice się sprzeciwiali, jeśli o to ci chodziło.

- Po prostu ciężko mi, kiedy wszystko jest tak niepewne. Teraz mamy lato, wszyscy się spodziewają, że ten cholerny wirus powróci. A Leo musi sobie radzić z tyloma uprzedzeniami. I ta niedorzeczna sytuacja z naszą wycieczką do Wenecji...

Po wielu latach kempingów i samodzielnie organizowanych wyjazdów, mieliśmy się w te wakacje wybrać wraz z Blythe do Wenecji. Pojawiły się jednak bezkresne, związane z OZNP przeciwności. Problemy z liniami lotniczymi, firmami ubezpieczeniowymi i hotelem, ale przede wszystkim z tym, że teoretycznie otwarte granice Europy zostały dla mojego brata zamknięte przez brytyjskie i włoskie władze.

- Ale to już załatwione, prawda?

- Twoja mama jest po prostu nieustępliwa - stwierdziła z chichotem Blythe. - Już wiem, po kim Leo to ma.

Leo oczywiście nie był nieustępliwy, przynajmniej nie w zwykłym sensie - z urodzenia był dobry we wszystkim, czego się tknął, nie musiał więc przed nikim ustępować. Przynajmniej, przyszła mi do głowy chmurna myśl, do tej pory...

Stałyśmy w błękitnym cieniu drzew okalających ogród. Niekoszona trawa wybujała tu jak łąka, choć syjących barwami kwiatów i rozłożystych krzewów było zbyt wiele i rosły w zbyt dużej różnorodności, by mogły sprawiać naturalne wrażenie. Za linią drzew znajdował się, jak sądzę, kolejny ogród, należący do jakiegoś spa lub klubu golfowego, aczkolwiek równie dobrze mogłyśmy się przechadzać pośród jakiegoś wyidealizowanego, romantycznego pejzażu wiejskiego. Blythe, w swym niewiele skrywającym stroju, przypominała nimfę lub driadę. Nieco zbyt późno dotarło do mnie, że nasz spacer i to, że znalazłyśmy się tu same, nie jest dziełem przypadku.

- To moja ulubiona część ogrodu. Czuję się tutaj tak spokojnie... Przychodzę tu pomyśleć. - Zdjęła chustkę z ramion, rozłożyła ją na kamiennej ławce i usiadła, drżąc lekko. Poklepała siedzenie, wskazując mi miejsce. - Wiesz, ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Pomyślałam, że przede wszystkim to, że obie jesteśmy kobietami, mimo że przy Blythe, ja w swoich workowatych szortach i surfingowej koszuli nie bardzo do tego wizerunku pasowałam. Obie też kochałyśmy Leo. Uznałam więc, że mówi właśnie o tym.

- Roushano, nie masz nawet pojęcia, w jaki sposób on o tobie myśli.

Było ciepło, nawet w tym idyllicznym cienistym zakątku. A jednak teraz to mnie przebiegł dreszcz.

- Nie zawsze udaje się mu wyrazić to, co by chciał. Och, wiem, że jest wygadany i czasem potrafi z pasją mówić na jakiś temat przez wiele godzin, ale to nie to samo, to raczej jak mówienie esejami...

Skóra Blythe wyschła już niemal zupełnie. Łatwo się opalała. Barwa jej cery plasowała się gdzieś pomiędzy moją a Leo - odcień, o którym marzyli wówczas wszyscy, choć na tej kwitnącej łące wydawało się, że przydaje jej nieco zawoalowanej anonimowości.

- Więc nie mam pojęcia, co on czuje - dodała.

- Do kogo?

- Żebym to ja wiedziała. - Wzruszyła ramionami. - Chyba do mnie. Ale...

- Zawsze możesz zapytać.

- To zbyt łatwe. Domyśliłby się zawczasu i wymigał.

Mimo całej mojej zazdrości i rezerwy wobec Blythe, zawsze miałam nieco wyidealizowany obraz jej związku z Leo. W końcu oboje byli świetni na tak wielu polach, że i bycie razem powinno im przyjść bez trudu. I może tak było, ale z tej dziwnie niewłaściwej - i tak przyjemnie dorosłej - rozmowy wyniosłam wrażenie, że ona się obawia, że to, co jest między nimi, nie przetrwa.

Zaczęłam się zastanawiać, czy mogę powiedzieć coś, co przyspieszyłoby ten proces, coś, co pomogłoby zniszczyć choć jedną jedyną, maleńką część wiecznego szczęścia Blythe. Bawiłam się, wyobrażając sobie wątpliwości, jakie mógł kiedyś wygłosić Leo, lub ostre uwagi na boku, dotyczące tego, jak ona mówi, chodzi czy wygląda. Nie potrafiłam jednak ubrać ich w głos brata, nie bardziej niż wyrazy szczerego podziwu. Blythe miała rację; Leo był dobry, gdy rozprawiał esejami, ale o uczuciach mówić nie potrafił. W końcu to przecież z tego powodu grał i - zrozumiałam to w nagłym przebłysku - do tego dążyłam też ja, przedzierając się z trudem przez niebotyczne krajobrazy Bacha - chciałam wysłowić niewysławialne. A Blythe, mimo całej swej biegłości i gadaniny o prowincjonalnych orkiestrach i hotelach (co *notabene* wydawało mi się wówczas wspaniałym życiem) nigdy nie pojęła, o co tak naprawdę chodzi w muzyce. Dla niej była to po prostu jeszcze jedna umiejętność, jak jazda konna czy nauka utrzymywania pozycji podczas wdzięcznych skoków do basenu rodziców. Nic dziwnego, że zaczęli się od siebie oddalać. I owszem, pomyślałam, Leo zasługuje na kogoś lepszego. Nie byłam jednak w stanie ująć tych wniosków w słowa, nawet gdybym się zdobyła na otwartą konfrontację z Blythe. Zamiast tego zrobiłam coś, o czym brat mówił mi niedawno, że większość muzyków tego nie potrafi. Pozwoliłam działać ciszy.

Byłam mocno świadoma jej obecności obok mnie, jej fizyczności. Dotąd nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że ona także została uformowana z takiego samego cielesnego budulca co ja, ale wtedy, gdy spojrzałam w dół, zauważyłam na gęszej skórcie jej ud fioletowe odciski, wyglądające na ślady dłoni, i niewielką fałdkę, linię na jej brzuchu, tuż pod pępkiem.

Blythe jakby się rozmywała i dzieliła. W połowie wciąż była sobą z tego wspaniałego domu, była tą dziewczyną, która wygłaszała mowy i przyjmowała bukiety na podium, dziewczyną, która pięknie ubrana stawała w półcieniu przed naszymi drzwiami. Ale zobaczyłam też Blythe zamkniętą w nędznej masie ciała i kości, Blythe robiącą kupę i sikającą, Blythe, która miała obrócić się w pył i niczego po sobie nie zostawić.

- Chodzi mi o to - podjęła wreszcie swym szybkim, wyraźnym, wyszkolonym głosem - że jeśli on powie lub zrobi cokolwiek, jeśli cokolwiek zasugeruje, nawet nie chcąc, by ktokolwiek się dowiedział, to powiesz mi, Roushano, prawda?

Spojrzałam na nią z uśmiechem.

- Tak. - Było to najłatwiejsze kłamstwo mojego życia.

- Świetnie! - Poklepała mnie po dłoni, znów stając się przewodniczącą szkolnych kółek. - Cieszę się, że to sobie ustaliłyśmy. A teraz może sprawdzimy, co porabiają inni?

\* \* \*

Nastał dzień przed naszym planowanym wyjazdem do Wenecji, niemal dokładnie rok po tym, jak paliliśmy z Leo trawkę. Faktura upału w naszym ogrodzie wydawała się niemal niezmienną, a rozcapierzona korona wiśni na tle nieba miała identyczny kształt. Tym razem jednak leżałam w jej cieniu sama. Tym, co różniło obie sytuacje, był również panujący w domu chaos - wszyscy się szykowali do podróży, pakowali. Zmienił się także Leo.

Od zawsze nie cierpiałam dni poprzedzających ważne wydarzenia, nie lubiłam tej ich niewyraźnej aury nieuchronności. Przez to, że wybierała się z nami Blythe, i dlatego że lecieliśmy samolotem, zamiast jak zwykle upychać wszystkie bagaże w samochodzie, powodów do niepokoju w ostatniej chwili było teraz więcej. Rodzice wybiegali do sklepów i wracali ze środkami na komary, zapasowymi bateriami do smartfonów, przypominanymi sobie w ostatniej chwili produktami spożywczymi zgodnymi z dietą Leo, i licznymi innymi rzeczami. Potem pojawili się babcia Ashar i dziadek Maitland, dokładając się do ogólnego zamieszania, załamując ręce, obdarowując nas plastikowymi pojemnikami pełnymi nieprzydatnych potraw. Blythe, co się chwali, ustępowała nam z drogi. Na wakacjach miała dzielić pokój z Leo, a ja miałam zamieszkać w oddzielnym. Nigdy wcześniej się nie spodziewałam, że kiedykolwiek zatęsknię za „Clarionami”, „Belviourami” i ich laminowanymi sprzętami, a jednak.

Leżąc w ogrodzie, gapiałam się w niebo przez gałęzie wiśni i myślałam o trudnym, pełnym pauz fragmencie trzydziestej czwartej frazy *chaconne*. Połyskujący samolot tworzył na niebie biały kilwater.

Cień Leo przesłonił mi słońce.

- Wiedziałem, że tu cię znajdę - powiedział i wyciągnął się obok na dywan, jakby nic się nie zmieniło. Dłonie wsunął sobie pod głowę. - O czym myślisz?

Przez chwilę rozmawialiśmy o praktycznej stronie muzykowania i powiedział mi, że niekiedy dobrze jest nienawidzić instrumentu, na którym się gra. „Muzyka to nie instrument. Muzyką są jego dźwięki i osoba, która je wydobywa. Czasami fizyczny przedmiot, narzędzie, po prostu przeszkadza...”.

- Tak samo jest z ludźmi - ciągnął, zwracając się mnie i pękniętemu niebu. - Bez względu na to, jak bardzo się ich lubi, bez względu na to, co sądzimy, że czujemy, nie chodzi o nich. Mam wrażenie, że oni są lustrami, i tak naprawdę wszystkim, co możemy poczuć i ujrzeć, są nasze własne odbicia i coś za nimi, czego nigdy nie można osiągnąć.

- I masz ochotę rozbić to lustro?

- Tak, to też - odparł z chichotem.

Uśmiechnęłam się wpatrzona w ostatnią, rozwiewającą się smugę kondensacyjną - cudowny symbol katastrofy Blythe.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy leżeliśmy tu w zeszłym roku? - spytał.

- Tak.

- Wiesz, przestałem palić trawkę. Miałem nadzieję, że pomoże mi na skurcze. Albo... Ale nie. Niektórzy inni chorzy na OZNP twierdzą, że trawka to najlepszy wynalazek od czasów kanapek. Oczywiście, kanapek jeść nie mogą. Mnie jednak kojarzy się głównie z tym, co robiłem tuż przed zachorowaniem. I jakąś częścią siebie, której nie mogę uciszyć, zaczynam ją obwiniać. Tak czy inaczej, wciąż mam w pudełeczku resztę haszyszu. Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć. O ile ci się przyda. Nie znam nikogo innego, kto by zechciał. Nie licząc, rzecz jasna, rodziców.

Roześmialiśmy się ze zmartwychwstania tego starego dowcipu i przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. Zamknęłam oczy. Nie chciałam, by ta chwila dobiegła końca, lecz gdy poczułam na twarzy jego cień, podniosłam powieki. Pochylał się nade mną.

- Co? - szepnęłam.

Ręka Leo spoczęła na moim ramieniu, zbadła kształt podbródka, odgarnęła zwilżony potem kosmyk włosów z czoła.

- Więc - zagaił - co wiesz o Wenecji?

Cieszyłam się, że mogę przedłużyć tę chwilę, wyznając mu prawdę, która polegała na tym, że nie wiedziałam prawie nic. I jeszcze mniej chciałam się dowiadywać. Wenecja to obrazy, kultura, historia, i wszystkie te inne rzeczy, jakimi się łatwo nużyłam i nudziłam.

Wenecja oznaczała też konieczność dzielenia się bratem z mamą, tatą i Blythe. Wenecja to niekończące się zwiedzanie. Miałam też nieprzyjemne przecucie - powiedziałam na koniec, gdy dłonie Leo mnie porzuciły i niebo zawirowało - że o tej porze roku Wenecja musi być straszliwie upalna i zatłoczona.

W ogrodzie zrobiło się cicho. Zamarł nawet bezustanny pomruk ulicy.

- Masz rację, siostrzyczko. Kiedy powiedziałem rodzicom, że chcę to miasto zobaczyć, źle to odebrali. Miałem na myśli to, że może kiedyś, jakoś... Ale potem wszystko potoczyło się własnym torem. Zaczęli spiskować z Blythe i uczynili z tego wielką sprawę, więc wydawało mi się niewdzięcznością, gdybym nie udawał zaskoczenia, kiedy podarowali mi tę wycieczkę, zorganizowaną, opłaconą i w ogóle.

- A te wszystkie kłopoty?

- Mama sama ich chciała. Podobały się jej te bitwy z konsulami i urzędem celnym, które toczyła w moim imieniu. Jak myślisz, jak by zareagowała, gdybym potem powiedział, że jednak podziękuję?

Uśmiechnęłam się do słońca.

- Nie zrozum, że nie podoba mi się pomysł ujrzenia Wenecji. Kiedy oznajmiłem matce, że to miejsce, które chciałbym zobaczyć chyba najbardziej ze wszystkich, mówiłem prawdę. Tyle że ona zmieniała to wszystko w letnie wakacje, rodzinną wyprawę. No i Blythe...

- Wydawało mi się... - Nie miałam jednak pojęcia, co mi się wydawało.

- To kosztuje prawdziwą fortunę i możesz się chyba domyślić, skąd pochodzi większość pieniędzy. Rodzice Blythe są, jacy są. Wiedziałaś, że hotel, w którym zamieszkamy, „Danieli” to ten sam, w którym zatrzymywał się Wagner i najprawdopodobniej także Proust?!

Nie bardzo wiedziałam kim był Proust, a Wagner znajdował się na samym dole listy moich ulubionych kompozytorów - gdzie zresztą pozostaje do teraz - ale Leo już po chwili opowiadał tym samym, na pół oczarowanym, na pół zrzędlwym tonem o Georges Sand, a ją znałam bardzo dobrze. Potem mówił o Strawińskim i jego kotach, o Henrym Jamesie i Hemingwayu pijącym w barze „U Harry’ego”, i o Vivaldim, i o tym, że D.H. Lawrence nie cierpiał Wenecji do tego stopnia, że kazał Lady Chatterley tam wyjechać, jakby to miasto stanowiło przeciwległy biegun pełnokrwistego romansu, podczas gdy tak naprawdę serca biją tam najmocniej...

Słuchając Leo, leżąc w narkotycznym ciepłe ogrodu, zobaczyłam inną Wenecję, o wiele bardziej mroczną i jednocześnie bardziej świetlistą niż to wesołe miasteczko dla turystów, jakie sobie dotąd wyobrażałam. W alejkach pomiędzy złotymi pałacami roily się

szczury. Szczęśliwe pary kochanków spacerowały pośród okaleczonych żebraków na placu Świętego Marka, zmierzając ku wystawie narzędzi tortur w Pałacu Dożów, a malowidła Turnera przekształcały miasto w rozmigotaną powierzchnię wody. Ujrzałam wirujących świętych i Bogów Tycjana, igraszki Veronesego, i wszystkie te filmy. Nie mam pewności, w jaki sposób Leo tego dokonał, ale kiedy gadał i śmiał się, wdając się w liczne dygresje, zobaczyłam gardenię odpływającą brudnym kanałem od dłoni Katherine Hepburn, ujrzałam Charlesa Rydera i Sebastiana Flyte płynących ramię w ramię gondolą, i łuszczącą się twarz Mahlera, który ścigał cuchnącymi alejkami pięknego chłopca, póki nie wszedł chwiejnym krokiem do opuszczonego pałacu, gnając za postacią w czerwonym płaszczu, za samą śmiercią...

Popołudnie dobiegło końca i powietrze wypełniło się benzynowym drganiem dymu z rozpalonych w sąsiednich ogrodach grillów. Potem mama wróciła w podłym nastroju ze swej ostatniej ekspedycji do sklepu i krzyżąc, kazała mi się zbierać i kończyć pakowanie. Marudząc, poczłapałam na górę. W tej chwili byłam już na poły podekscytowana perspektywą zupełnie innej wycieczki niż ta, jaką sobie wyobrażałam, ale cała reszta mnie wciąż czuła się posepna, spocona i zapomniana. Moje skrzypce czekały na krześle, gdy przebierałam wśród koszulek z krótkim rękawem i szortów, które wciskałam między szczęki suwaka plastikowej torby. Rodzice Blythe mieli po nas przyjechać o piątej następnego ranka i zawieźć na lotnisko swoim srebrnym wozem wielkości czołgu, więc musieliśmy wszystko mieć gotowe już teraz. Rozkojarzyłam się jednak, szukając pod łóżkiem okularów przeciwsłonecznych, zeszlórocznych kłapek i jakiegoś przyzwoitego kostiumu kąpielowego. Zamiast tych rzeczy odkryłam te same lalki Barbie, których zaginione buciki zaśmiecają teraz szufladę mojego biurka, i szkolne zeszyty wypełnione pismem dziecka, które już nie było mną. Nawet wtedy świetnie mi szło magazynowanie przedmiotów, a zdecydowanie gorzej pozbywanie się nawet tych najbardziej trywialnych. Na szczęście, miałam ze sobą tego seashella, który stał się o wiele bardziej mój niż Leo, choć było już chyba za późno, by ściągnąć choć kilka kawałków Monteverdiego. Na dworze ponuro ciemniało wieczorne niebo. Podejrzewam, że w którymś momencie zeszałam na dół coś zjeść, ale pamiętam jedynie chaos mojego pokoju, kwaśny upał, zapadający mrok i stare wspomnienia...

Huczały już rury prysznic. Już wołano sobie dobranoc. Mama w turbanie z ręcznika na głowie zajrzała do mojego pokoju i próbowała przeprosić za to, że na mnie wcześniej nakrzyczała. Zemściłam się, odpowiadając jej monosylabami, podobnie postąpiłam wobec ojca, który pojawił się niedługo potem. Wkrótce w domu zrobiło się cicho, ale było jeszcze wcześniej - przez ścianę słyszałam jazgot telewizora sąsiadów - i sen wydawał się czymś

niemożliwym. Wysłałam do ubikacji i na piętrze doleciało mnie chrapanie ojca. Wiedziałam, że skoro matka nie uciszyła go dźwiękiem łokcia, także i ona musi już spać. U Leo również nie paliło się światło, choć uznałam, że raczej jeszcze nie usnął, a miał przecież u siebie to obiecane pudełeczko po cukierkach. Zawahałam się tuż przed jego drzwiami, zastanawiając się, czy zapukać, zawołać go szeptem, czy może po prostu odejść.

- Nie stój tak, siostrzyczko. Wejź - odezwał się cicho, chrapliwie.

Leo siedział w plamie wpadającego przez okno światła latarni. Na jego twarzy połyskiwały smugi potu. Odniosłam wrażenie, że trwa w tej skulonej, beczynnej pozie przy biurku już od dłuższego czasu. Dziwne. Jak dotąd, zawsze mocno krytycznie wyrażał się o spotykanych w pociągach, samochodach czy kolejkach ludziach, którzy tępo gapili się w przestrzeń. W końcu zawsze było coś do zrobienia. Na zapisanie czekały notatki dotyczące poznawanego właśnie utworu. Nowe wiadomości na smartfonie. Książka domagała się przeczytania. Jeśli się tego wszystkiego nie zrobi, życie przeminie, i kim człowiek się stanie?

- Pudełeczko. Powiedziałaś, że mogę je wziąć.

- Doprawdy...? - Obrócił się lekko na krześle, ale twarz nadal trzymał bokiem do mnie.

- Chyba nie zamierzasz zrobić czegoś głupiego, siostrzyczko? Na przykład, zabrać go do Wenecji? Nie chciałbym, żeby cię zamknęli.

W nieruchomym powietrzu pokoju unosiła się jakaś nieprzyjemna, nowa woń. Nie chodzi o to, że pokój Leo, to trzeba powiedzieć, kiedykolwiek był szczególnie wonnym miejscem - ostatecznie trwało gorące lato, a on był nastolatkiem, na dodatek chorym - ale to coś cuchnęło ostro i chemicznie, oraz także w niezrozumiały sposób kojarzyło się jednocześnie z cukierniami i podróżą. Wtedy zauważyłam lśniąca na jego biurku butelkę nalewki „Pernod”, którą rodzice w nagłym napadzie sympatii do Francji przywieźli do kraju z zeszłorocznych wakacji. Nie zmusili się jednak do jej wypicia. Nigdzie nie zobaczyłam kieliszka, ale jedna trzecia alkoholu zniknęła.

- Co ty robisz?

Zbył pytanie machnięciem.

- W Wenecji będzie jeszcze bardziej gorąco. Możesz to sobie wyobrazić? Dostać zawału przed modną kawiarenką?

Stałam bez ruchu.

- Wcale nie żartowałem, kiedy opowiadałem ci o żebrakach, siostrzyczko. - Znów machnął ręką, tak zamasyście, że zaskrzypiało krzesło. - A w tych cholernych sklepikach jest pełno fabrycznie produkowanego badziewia. Tanie szkło, pornograficzne krawaty i te śmieszne maski karnawałowe. Kto to w ogóle nosi? A są jeszcze rozkrzyczane wycieczki



francuskich uczniów. Pieprzeni otyli Amerykanie i ci przekłęci miniaturowi Japońce. Plastikowe menu i jebani Cyganie, którzy tylko czekają, by cię okraść. Pierdolić Wenecję...

- Nikt cię nie zmusza, żebyś jechał, Leo.

- Nie - jego palce musnęły smukłą szyjkę butelki - chyba nie.

Nie miałam szczególnej ochoty uczestniczyć w tym konkretnym momencie życia mojego brata. Wydałam z siebie coś, co miało być afektowanym chrząknięciem, i odwróciłam się do wyjścia.

- Mówiłaś, że chcesz to pudełeczko.

Wzruszyłam ramionami i kiwnęłam głową. Wiedziałam, że jeśli rodzice kiedykolwiek się dowiedzą, będę mieć kłopoty, poza tym wcale nie zamierzałam tego palić, ale niechętnie odmawiałam przyjęcia jakiegokolwiek prezentu od Leo, zwłaszcza tak nabrzmiałego znaczeniem jak ten.

Ostrożnie manewrując kończynami - nigdy nie miał mocnej głowy i gardził rówieśnikami, którzy pili - wstał z miejsca. Krzesło wysunęło się spod niego i złapał mnie za ramię, jakby dla zachowania równowagi, choć odniosłam wrażenie, że się nieco wygłupia.

- Tutaj je chowam. Mało oryginalnie, wiem... - Zachichotał i przez chwilę brzmiał normalnie. Otworzył dolną szufladę nocnej szafki. - Jakiś czas temu bałem się, że mama będzie mnie sprawdzać. Nigdy jednak niczego takiego nawet nie sugerowała, a teraz już na pewno nie szuka. Magia białej zarazy. Zmieniła dosłownie wszystko... - Wyciągnął szufladę na zewnątrz.

Pokój zalewało jasne, sodowe światło. Drzewo, które dawniej przesłaniało latarnię, zeszło tego przesadnego lata i ponad ramieniem brata całkiem wyraźnie zobaczyłam przestrzeń pod szufladą. Poza puszką po cukierkach, wśród kłębow kurzu leżało kilkanaście buteleczek z lekami. Grzechotały, więc musiały być pełne i zupełnie nie rozumiałam, dlaczego je tu chowa i dlaczego ukrywa tam wszystkie inne rzeczy - gumki recepturki i coś, co wyglądało na starannie złożoną plastikową torebkę.

- Proszę.

Metalowe pudełeczko było rozgrzane i zwilżone dotykiem jego dłoni. Powoli, nieporadnie, wsunął szufladę na miejsce, beknął i opadł na łóżko, unosząc ręce, jakby chciał zasłonić oczy przed bijącym zza okna blaskiem.

- Podaś mi butelkę?

- Nie chcę, żeby stało ci się coś złego - powiedziałam, choć miałam na myśli tylko potężnego kaca.

- Nie chcę, żeby stało ci się coś złego - powtórzył, poruszając bezgłośnie ustami, parodiując moje słowa. - Właśnie o to, kurwa, chodzi, siostrzyczko, choć, co dość zabawne, pernod to jeden z tych niewielu alkoholi, które mogę jeszcze bezkarnie pić. Kilka dni temu łyknąłem na próbę, żeby sprawdzić, czy wywoła reakcję, a dziś wieczorem sprawdziłem to jeszcze na stronie o OZNP. Więc nie masz się czym martwić. Nie zniszczę sobie flaków, a prosty alkohol jest przyswajany głównie w żołądku, jeśli to cię niepokoi. To same zioła i piołun. Gdyby nie paskudny smak, zacząłbym ten napój polecać innym.

Leo miał na sobie tę samą koszulkę bez rękawów i szorty, które nosił przez cały dzień. Ze swymi chudymi kończynami, rozrzuconymi w szafranowym świetle, wyglądał niemal jak jakaś starożytna drewniana rzeźba Chrystusa.

- Mógłbyś przynajmniej pić ze szklanki, z wodą - powiedziałam.

- Tyle że to zwiększyłoby ilość płynów, nie sądzisz?

Podeszłam, sięgnęłam po butelkę i podałam mu.

- Dzięki, siostrzyczko. - Oparł ją sobie na piersi.

- Mówiłeś, że kochasz Wenecję.

- Bo kocham. Ale nie wybieramy się do tej Wenecji, którą znam. Wydawało mi się, że tłumaczyłem ci to po południu, siostrzyczko. Myślałem, że akurat ty potrafisz słuchać ze zrozumieniem. To miasto tonie, podnosi się poziom morza. Oglądasz czasem wiadomości? Im wcześniej zniknie pod falami, tym lepiej. Potrafisz to sobie wyobrazić? Mewy wijące gniazda w bazylice, powalona campanila, mosty łączące ze sobą już tylko mokradła...?

- Nie dopuszczą do tego.

- To się już dzieje! To jest przyszłość, siostrzyczko. - W kpiącym geście pozdrowienia uniósł butelkę i pociągnął długi łyk. Żółty jak światło, aromatyczny pernod załśnił na jego brodzie i pociękł po szyi. - Wiesz, to tak interesująca wizja, że niemal warta wysiłku, by tu zostać i zobaczyć, jak się ziszcza. Gdyby tylko nie wiązało się z tym tyle cholernych zabiegów.

Która mogła być godzina? Nie miałam pojęcia, choć zwykle dźwięki odchodzącego wieczoru - głosy bywalców pubów wracających chwiejnym krokiem do domów, ujadanie psów, trzaśnięcia drzwiczek samochodowych, powolny i niekończący się szept odległych ulic - zdążyły już zamilknąć. Trwaliśmy w jakiejś bezimiennej części nocy.

- Siostrzyczko, nie masz pojęcia, jak ciężkiej pracy to wszystko wymaga. Nikt nie ma. Myślałem, wiesz, myślałem, że jestem wyjątkowy. Wydawało mi się, że jestem w stanie przejść przez życie tak, żeby mnie to nie dotyczyło, nie krzywdziło. Sądziłem, że potrafię przyjmować krytykę i pochwały, dobre i złe recenzje, rozczarowania. Ale każdego ranka

budzę się tak cholernie zmęczony! Zupełnie jakbym nie spał już od sześciu godzin i zajmował się czymś wyczerpującym i bezsensownym, i to zanim w ogóle zwlokę się z łóżka. A te pieprzone skurcze żołądka, sraczki i wszystkie ataki? I niezliczone pigułki. Mam na ciele więcej sińców od zastrzyków niż narkoman z wieloletnim stażem. A jedzenie? Czy już o nim wspominałem, siostrzyczko? Spróbuj żyć wyłącznie na bananach i tofu. Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy wchodzisz do sklepu, bo skręca cię z głodu, i stwierdzasz, że nie ma w nim ani jednej pieprzonej rzeczy, którą wolno ci zjeść. I jeszcze ta słodycz grzeszków. Nie wiesz nawet, jak smaczny może się wydawać mars, kiedy, jedząc go, wiesz, że opłacisz tę rozkosz dwoma dniami wymiotów i gorączki, która pozbawi cię kolejnego fragmentu jelita. Mój organizm toleruje coraz mniej. Kto wie, czego zostaną pozbawiony w następnej kolejności. Może wody? To byłoby zabawne. Albo bananów. Tak, to byłaby ulga. Mówię ci, siostrzyczko, ktokolwiek stworzył tego wirusa, bardzo dobrze wiedział, co robi. Nie mógł wymyślić nic lepszego. Wyobrazili sobie niewiernych, takich jak ja, umierających z głodu pośród całego tego jedzenia, które sprowadzamy dzięki taniej sile roboczej ze wszystkich ubogich zakątków Ziemi.

- Nie wolno ci się poddać.

- A jaka według ciebie czeka mnie przyszłość? Kolejne badania, następne ataki i zupełnie zbędne konsultacje, póki służbie zdrowia nie skończą się ciekawość i pieniądze, dopóki nie pojawi się jakaś nowa choroba. Wiesz, OZNP nie przykuwa uwagi. Z AIDS wiązały się seks i narkotyki. Choroba szalonych krów mogła zmienić mózg nastolatka w gąbkę, a kocia grypa była szybka i spektakularnie śmiertelna. OZNP to gówniana choroba w każdym sensie tego słowa. Działa powoli, głupio i bez sensu. A ja stałem się tylko cholernym eksponatem. Kiedy gram koncert, gdy choć spojrzę na fortepian, ludzie widzą jedynie inteligentnego dzieciaka, który mężnie stawia czoło chorobie. Jestem dziwadłem. To takie protekcjonalne.

- A Chopin? Albo Jacqueline du Pre? Co z wszystkimi innymi artystami, którzy chorowali na suchoty, na AIDS...?

Tym razem Leo nie odpowiedział natychmiast. Był już mocno pijany - jego intelekt wymknął się gdzieś daleko. Kiedy znów zamazyście pociągnął z butelki, uznałam, że najlepiej by było, gdyby zaraz zasnął. Obudziłby się rano z potężnym bólem głowy, ale przynajmniej zdołałby wsiąść do samolotu. Była to jednak niewyraźna refleksja i chyba w tej samej chwili musiała przyjść do głowy jemu, ponieważ uniósł się nieco i ostrożnie odstawił opróżnioną w ponad połowie butelkę na nocny stolik.

- Daj mi rękę, siostrzyczko. Nie, chciałem lewą...

Palce Leo musnęły moje zgrubiałe opuszki, które - podobnie jak moja gra - stały się ostatnio jednocześnie bardziej twarde i wrażliwe.

- Teraz wszystko zależy od ciebie.

Zmienił chwyt i ujęłam jego dłoń. Poczułam niewiarygodny żar. Niewiarygodną lekkość. Nawet teraz jestem przekonana, że Leo już wtedy był daleko - poza moim zasięgiem, gdzieś, gdzie moje prośby nie mogły go osiągnąć.

- Nie zostałem stworzony do takiego życia, Roushano - powiedział. Jeśli nie stanie się to teraz, przyjdzie do mnie jakiegoś innego dnia. Tak niedługo, że nie sprawi to żadnej różnicy. Jakaś infekcja, albo spadek nastroju, bardziej przeciągły i bolesny niż ten. Dlatego muszę... - przez moment zastanawiał się nad właściwym słowem - ...odejść. Nie powiesz dziś, ani nie zrobisz niczego, co mogłoby mi przeszkodzić, prawda?

W milczeniu pokręciłam głową.

- Wiedziałem, że mogę ci zaufać, siostrzyczko.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

- Czy mogę cokolwiek...

- Nie. - Uśmiechnął się. - Poradzę sobie.

Mój brat dobrze się przygotował: zebrał właściwe tabletki w odpowiednich ilościach, sprawdzivszy uprzednio skutki zażycia różnych ich dawek. Musiał mieć pewność, że zrobi to jak należy. Taki już był. Nie wątpiłam w to ani przez chwilę. Uwolniłam jego rękę i pocałowałam go. Gdy nasze wargi się zetknęły, na sekundę zawirowało mi w głowie - zupełnie, jakbym spadała z nim tam, dokąd odchodził - potem podniosłam się i odwróciłam. Bez słowa zamknęłam za sobą drzwi.

Dom wibrował uwięzionym w ścianach upałem i ciemnością. Na dole, drzwi do jadalni stały otworem i zobaczyłam połyskliwy uśmiech klawiatury fortepianu. Nagle zafalowało powietrze, budynek szepnął i wydało mi się, że raz jeszcze słyszę - o wiele piękniej, niż kiedy robili to ostatnim razem - Leo i Blythe grających tę sonatę Brahmsa. Potem zapadła cisza.

Wróciłam do siebie i wzięłam do ręki skrzypce. Niekiedy nienawidzi się własnego instrumentu. Kiedy indziej kocha się go. Tej nocy nie potrzebowałam rozgrzewać palców ani stroić. Nie potrzebowałam też nut *chaconny* Bacha. Po raz pierwszy główna melodia i wszystkie frazy zbiegły się w jedną nieskończoną falę i zdałam sobie sprawę, że Bach - prawdopodobnie najbardziej matematyczny, wyrachowany i chłodny z kompozytorów, był

tak naprawdę najbardziej radosnym i najsmutniejszym, najcieplejszym i ludzkim. Grając tamtej nocy, nie wątpiłam, że przechadzam się po salach pałacu geniuszu.

\* \* \*

Chwilami wydawało mi się, że po prostu śpi - mój topielec. Niekiedy, gdy siedziałam przy biurku lub na pół pograżona we wspomnieniach spacerowałam po Morryn, wracałam śpiesznie do niego, do pokoju muzycznego, wiedziona nagłym lękiem, że może zapadł w śpiączkę lub umiera. Momentami nabierałam niemal pewności, że tylko udaje i w milczeniu mnie obserwuje, kiedy tak przesiewam wszystko, co zostało z mojego życia.

Czy to, że go tu przyniosłam, stanowi dowód na słabość mej woli? Z pewnością byłoby miło pozostawić po sobie odrobinę tajemnicy lub nawet niewielki skandal. „Sławna skrzypaczka znaleziona martwa w towarzystwie anonimowego mężczyzny” - jakby tego rodzaju wydarzenia kogokolwiek jeszcze interesowały. Powinnam go zgłosić, zaalarmować autowskazy. Może jest niebezpieczny. Może stanowić ucieleśnienie najgorszych strachów epoki - okazać się nosicielem nowego, zabójczego wirusa, gorszego niż wszystkie te starożytne zarazy, które tak zmieniły moje dzieciństwo. Może być ludzką bombą, cierpliwym katem, gwałcicielem, rabusiem, szaleńcem, może mnie wziąć jako zakładnika. Ale wygląda tak krucho, tak uroczo bezradnie...

Znów przy nim stoję. Cienie tłoczące się w pokoju muzycznym zaczynają tracić kontury i miękną na wieczór. Unoszę koce i słyszę, jak cicho jęczy. Przyglądam się uważniej i zauważam, że otarcia i sińce na jego ciele nie wyglądają tak, jakby spowodowało je wyłącznie bezlitośnie mlójące morze. Oświetlona promieniami nisko zawieszzonego słońca ścieżka przypominających koci trop nacięć biegnie niemal wesoło przez jego gładką, bezwłosą pierś. Na prawym udzie widnieje duży, ułożony z siniaków romb. Nie jest obrzezany. Wysechł już zupełnie. Pachnie ciepłem i czystością. Sól zapewne posłużyła jako środek odkażający. Na kolanach ma zdartą skórę. Na dłoniach także. Może się przed kimś czołgał, jak to czynią ci, którzy chcą wstąpić do jednej z tych szalonych sekt. Jest jeszcze jedno wyjaśnienie, o którym dotąd nie pomyślałam. Może chciał umrzeć...

„Teraz wszystko zależy od ciebie”. Powietrze szumi wokół mnie, spoglądam na swoje ręce, załamują się. Mam wrażenie, że spadam, ale pokonuję te odczucia. Odpływam od nich. Wydaje mi się, że mogłabym zburzyć te stare ściany, zdeptać wieczorne niebo, przekopać ziemię, ułożyć wszystko na nowo. Jak wiele z tych fug jest skutkiem mego wieku i choroby, jak wiele wynika z tego, że umieram? Moja choroba i srebrzyste korzenie zawiązku kryształu, który wszczepiono mi do czaszki, żyją teraz obok siebie - we mnie. Współpracują, zmieniając

mnie i degenerując. Pokonuję te odczucia. Pozwalam im przyjść i odejść. Nagle opada mnie wyczerpanie - osuwam się ku śmierci nawet teraz, stojąc tu, w pokoju muzycznym. Przynajmniej nie jestem sama.

- Hej... - Rzykuję i trącam go lekko. - Ty, Rip van Winkle, jak się nazywasz...?

Mamroce niewyraźnie, choć to zapewne tylko coś w rodzaju „zostaw mnie w spokoju”. Niemniej, wydaje mi się, że zaczął od „Addaaabbbmmm”. Adam? Czy właśnie mi się przedstawił? Wciąż jednak nie chcę go budzić i widzę ciężar snu, który zmiękcza jego rysy. Znów się kuli. W sposobie, w jaki zwiera nadgarstki, jest coś wzruszającego, niemal oplakanego. Dostrzegam wokół nich wzory skaleczeń i przebarwienia. Podobne ślady otaczają jego wystające spod koców kostki. Zupełnie jakby przetrzymywano go gdzieś, związanego szorstkimi sznurami.

Podchodzę do okna. Szykuje się zima - z każdym rokiem nadchodzi wcześniej. Czuję ją w kościach, swoich i Morrryn. Nawet teraz, tego pięknego wieczoru, wzmaga się wiatr, napiera na szyby, sprawdza wytrzymałość dachówek. Drzę, dotknięta przez awangardę prawdziwego mrozu, który wkrótce obróci ziemię w kamień, skuje rzeki szarością, a słońce odepchnie tak daleko, że będzie wyglądać niemal tak, jak z perspektywy tych maszyn, które wydobywają surowce na odległych planetach. Jednakże nadal zostaje muzyka. Szary prostokąt mojego niegdyś superzaawansowanego futerału na skrzypce spoczywa na swoim krześle. Wprowadzam kod, wyjmuję moje ukochane guarneri. Ścieram nieistniejącą warstwę kurzu, po czym trącam kolejno każdą ze strun. Klawiatura automatycznego fortepianu, wyczuwając spóźniony początek codziennego rytuału, odgrywa kolejno dźwięki g, d, a i e. Kręcę kluczami, stroję, raz jeszcze trącam struny, po czym opieram instrument pod brodą, sięgam po smyczek i wygrywam dłuższą serię dźwięków na pustych strunach. Fortepian umilkł, ale jego niewidzialny duch, z ręką zawieszoną nad klawiszami, przygląda mi się z szelmowską miną, w której rozpoznaję spojrzenie mojego męża Claude'a.

Robiliśmy to czasami. Ja zaczynałam jakiś utwór, a on zgadywał, rozpoznawał, doganiał mnie. To była nasza intymna gra, choć bawiliśmy się nią często i przed widownią. Od czasu do czasu nie odgrywałam nic konkretnego i po prostu radośnie improwizowaliśmy. Oczywiście, wykształcona muzycznie publiczność tym gorzej nas wówczas okłaskiwała. To była część naszego blasku, naszego sukcesu, naszego tak zwanego bigla i synergii - Claude Vaudin i Roushana Maitland ponownie zadziwiają świat! Oczywiście, w tej chwili nie czuję specjalnego bigla, nie teraz stojąc w swoim pokoju muzycznym z na wpół utopionym mężczyzną w charakterze widowni, pocierając piskliwie palcami o zimne struny. W zasadzie zawsze nadchodzi ten moment, pojawia się ta granica, za którą czuję pustkę i życie wycieka

mi z dłoni. Co będzie potem? Cisza? Pełne cierpienia dźwięki? Jedno lub drugie - wkrótce się przekonam.

Ale właśnie dlatego, jak również z powodu trwałej potrzeby i przymusu ćwiczenia, muszę codziennie odtwarzać te ruchy. Automatyczny fortepian czeka. Mogłabym zamówić dowolny utwór ze standardowego repertuaru, ustalić tempo i zaczęłby mi akompaniować. Mogę wybrać dowolny nastrój. Piano lub forte. Ale wolę to zrobić właśnie w ten sposób. Zacząć samotnie i kazać temu cholernemu ustrojstwu mnie gonić. Moje dłonie dobywają więc gładkie dźwięki - i przez jeden pusty moment sama nie wiem, co gram - ale tak, tak, to ten żelazny punkt programu. Preludium Krieslera. Wylewa się z moich skrzypiec, i ja sama, podobnie jak fortepian, muszę za nim gnać. Potem pędzimy już razem. Moje palce tańczą. Nuty furkocą, unoszą się, a na skrzydle fortepianu połyskuje odbicie kobiety, która mimo wszystko nadal potrafi grać na skrzypcach jak sam diabeł.

Dochodzę do wniosku, że może mój topielec nie lubi muzyki: przez cały czas pozostaje pogrążony w głębokim śnie, nawet gdy - przy wtórze nieco niepotrzebnego hałasu i zamieszania - odkładam instrument. Wciąż nie mam pojęcia, co o nim myśleć. Jest gładko ogolony; promienie słońca igrają na ledwie widocznych załączkach zarostu. Jego złote, kręcone włosy zostały ostatnio przycięte. Dlaczego kogoś tak zadbanego pobito, związano i rzucono na żer morzu? To nie ma sensu. Dotykam delikatnego drewna nad klawiaturą automatycznego fortepianu. Pojawia się ekran. Gdy jednak wybieram „Dziewczynę o lnianych włosach” Debussy’ego, ostrzega mnie skurcz pęcherza i - zupełnie jak mała dziewczynka, po raz pierwszy od dzieciństwa - czuję, że zaraz się zsikam.

Kiedy śpieszę coraz ciemniejszym korytarzem, z pokoju dolatują mnie pierwsze cudowne dźwięki. Tłumię je, zamykając drzwi toalety i podciągam ubranie. Sedes jest niedorzecznie nisko, absurdalnie zimny. Choć mam wrażenie, że zaraz pęknę, muszę usiąść i odczekać, aż maleńka zapora wreszcie puści i pocieknie rozczarowująco cienka strużka. Gdy wreszcie udaje mi się wypróżnić, fortepian przechodzi już do złowieszczych akordów „Zatopionej katedry”. Wycieram twarz ręcznikiem i dostaję gęsiej skórki. Kto tam gra? Claude? Ja? Po chwili zalewa mnie ulga; instrument jest dobry, ale i tak słyszeć, że to tylko maszyna.

Czując się nieco lepiej, bardziej sobą, wracam do pokoju muzycznego. Topielec siedzi, obejmując się lękliwie ramionami. Jego oczy dziko pobłyskują w półmroku. Klawisze fortepianu unoszą się i opadają. Podchodzę prędko do instrumentu i wyłączam go.

Nagła cisza. Głębokie, wystraszone oddechy.

- Myślałam, że śpisz. Przepraszam...

W jego spojrzeniu zachodzi nieznaczna przemiana. Podnosi na mnie wzrok.

- Rozumiesz, co mówię?

Wstydzi się nagości. Bezsensownie przesłania ręką miejsce, gdzie schodzą się jego uda.

- Znalazłam cię na brzegu.

Wreszcie mruga.

- Prawie utonąłeś. Uratowałam cię. Przyniosłam tutaj. Spałeś. Rozumiesz?

Niemal zdołał skinać głowę.

- Jak się nazywasz?

Jego usta zaczynają składać słowa. Czy naprawdę ma na imię Adam? Nie wydaje z siebie jednak żadnego dźwięku.

- Ja nazywam się Roushana Maitland. Mieszkam tutaj. - Nie dodaję, że sama. - Jesteśmy w Kornwalii. - W zależności od tego, skąd pochodzi, ostatnia informacja może się okazać albo niedorzecznie szczegółowa, albo zbyt ogólna.

Lekko unosi drżącą dłoń, którą dotąd przesłaniał uda, i wskazuje na pustą przestrzeń obok fortepianu. Jęczy coś rwanym głosem. Pochylam się ku niemu. Topielec próbuje raz jeszcze.

- Widziałem...

- Widziałeś? Co widziałeś?

Ręka opada. Jego oczy na powrót zwracają się ku mnie. Opornie. Cóż, obudził się sam w obcym domu, obok fortepianu, który zachowywał się, jakby grał na nim duch, co więc ma myśleć?

- Jak mówiłeś, że się nazywasz?

Lekko wzrusza ramionami.

- Wydawało mi się, że przedtem już powiedziałeś. Adam?

Powtarza, lecz zaczyna się jąkać.

- Czyli to jest twoje imię. Adam? Tak?

- Nie wiem.

- Nie możesz... - Próbuję się uspokoić, świadoma kołatania mojego serca. Oddycham głęboko. - Morze wyrzuciło cię na brzeg. Wiesz, skąd się tam wzięłeś?

Kręci głowę. I znów gest nie wydaje się do końca prawdziwy. Z jednej strony zaprzeczenie, z drugiej nie do końca zdecydowane „nie”.

- Wiesz, kim jesteś?

- Wydawało mi się... - Wciąż jest wylękniony. Patrzy na mnie pustym wzrokiem.



- Przepraszam. Zadaję za dużo pytań. Po prostu chyba nie przywykłam jeszcze do znajdowania na plaży nagich młodzieńców.

Słyszając ten nieporadny żart, niemal się uśmiecha.

- Płynąłeś statkiem? Jakaś łodzią? Kapaleś się? Spacerowałeś nad Bezant Bay? Leciałeś? Może spadłeś z urwiska?

- Nie pamiętam. - Oczy nie uciekają już ode mnie w takim popłochu.

- Cokolwiek się stało, bez wątpienia przeżyłeś silny szok. Ja zresztą też. Byłam dziś nieco... cóż... Byłam trochę zajęta. Wydawało się, że mocno śpisz... - Urywam, zdając sobie sprawę, że przebywanie pod wspólnym dachem tego domu wytworzyło już między nami pewien poziom intymności.

Rusza ręką, w górę klatki piersiowej, jakby chciał dotknąć twarzy. Potem jednak zmienia zdanie. Dłoń opada i zaciska się na leżącym obok jego nagiego uda ręczniku.

- Co więc pamiętasz?

- Brzeg. Byłaś tam. A ja... - Długa chwila ciszy. Mimo że ma otwarte oczy, nie wyrwał się do końca ze snu.

- Tak, prawie się utopiłeś. Ale co przedtem?

Marszczy czoło.

- Jesteś głodny? Chce ci się pić? Potrzebujesz może...? - Moje i jego spojrzenia mimowolnie wędrują w dół.

- Nie jestem głodny, nie. I nie...

- Świetnie. Cóż, więc... - Co mam jeszcze powiedzieć? Wciąż jest tak bardzo nieobecny. Podobne rozmowy prowadziłam z Edwardem, swoim synem, kiedy lunatykował. Ani wtedy, ani później nie było w nich nawet krzty sensu. - Trzeba, żebyś się oporządził i ubrał. Dasz radę wstać? Pójść ze mną na górę?

Wyciągam rękę. On w jednej wciąż trzyma zwinięty ręcznik, ale podaje mi drugą. Jest taki ciepły i ciężki. I taki wysoki: kiedy wstaje, odnoszę wrażenie, że rośnie bez końca. Jak ja zdołałam go tu przyciągnąć znad morza?

- Tędy. - Zapalają się światła w korytarzu. Gdy młodzieniec wchodzi za mną na górę, słyszę zaskoczony skrzyknięcia Morrbyn. - Uważaj na głowę. Tu skręcamy. Za tymi drzwiami. Jeśli możesz...

Sadzam go na stołku w jasnej łazience, po czym zaczynam przeglądać wyblakłe tajemnice mojej szafki z lekami.

- Ta muzyka... - szepce, trzymając dłonie grzecznie złożone na ręczniku, którym nadal zasłania uda i krocze.

- Poznałeś, co grałam?

- Debussy'ego. Któreś z preludiów.

- Naprawdę poznałeś? - Wpatruję się w niego uważnie.

- Nie wiem skąd to znam. - Oczy ma szaroniebieskie, niewinnie czyste. - Po prostu... - Mruga z wolna i przetyka ślinę, gdy lustrzane odbicia spoglądają na niego ze skrzypiących drzwiczek starej apteczki. Dociera do mnie, że od początku całej tej historii, po raz pierwszy może zobaczyć swoją twarz. - A nie powinienem?

- W tych czasach znajomość muzyki klasycznej nie jest szczególnie powszechna.

- Ty się na niej znasz.

- Ja jestem muzykiem. No dobrze, zobaczmy... - Z rozmysłem powoli i lekko, by dokładnie widział, co robię, dotykam otarć na jego nadgarstku, potem głębszej rany widniejącej pośród złotych włosków na jego przedramieniu. Dłonie mężczyzny rozkwitają niczym dwa kwiaty. - Wiesz, skąd masz te ślady?

- Skały? Albo morze? - Próbuje zgadywać, ale żadne z nas w to nie wierzy.

- Cóż, tak czy inaczej, trzeba się nimi zająć. - Znajduję w szafce odkażacz w sprayu, plastry, kompres z antybiotykiem, i paczkę sztucznej skóry. - Będziesz musiał siedzieć nieruchomo i wytrzymać. Jeśli zechcesz, żebym przestała, albo, kiedy zaczniesz boleć, od razu mów. Dobrze?

Nie odpowiada, tylko opuszcza swe wielkie ramiona i rozumiem, że się poddał.

Zaczynam od pleców, osuszam i pryskam, osuszam i pryskam. Jest go tak wiele. Nierówności jego kręgosłupa, szerokość barków, wszystko to jest olbrzymim i wdzięcznym dziełem architektury. Te niewielkie ślady nie mają wpływu na jego piękno, choć brak w nich przypadkowości i nie potrafię przypisać ich bezrozumnemu działaniu oceanu. Zadrapania na jego plecach zgrupowały się po cztery czy pięć ukośnych linii. Nie mogę nie pomyśleć o trzaskającym bacie. Nie wyglądają jednak groźnie, nie są też głębokie. Kojarzą się raczej z droczeniem, próbami prowokacji niż brutalnymi torturami. Ale dlaczego? Adam wypuszcza powietrze. Mięśnie ramion grają pod złotą skórą.

- Nie widzę tu nic poważnego. Bądź cierpliwy...

Osuszam i pryskam. Moje szczupłe palce tańczą jak odnóża pająka. Pracuję teraz bliżej jego pośladków. One również są posiniaczone, ale postanawiam nie posuwać się zbyt daleko. Ciało mężczyzny jest o wiele cieplejsze niż moje. Jest ode mnie bardziej żywy. Ta czynność, zapach i wrażenie odsyłają mnie do chwil, kiedy to Maria, lub raczej Edward, siadywali na tym samym stołku, z krwawiącym kolaniem lub łydką, a ja opatrywałam ich, korzystając zapewne z tego samego specyfiku.

Unoszę się do jego barków i zdejmuję z nich pasmo wyschniętych wodorostów. Prawie się nie rusza, oddycha swobodnie, w miarę jak mruga, powieki unoszą się i opadają, dociera do mnie, jak intymnie blisko policzka Adama znalazły się moje usta.

- Nie ruszaj się... - Jestem rzeźbiarką i formuję właśnie popiersie; nie, całą postać. Jestem Michałem Aniołem, a on moim Dawidem.

- Pomogłoby ci, gdybym wstał? - pyta.

- Nie, nie. Tak jest dobrze.

Teraz zajmuję się jego stopami, łydkami, otartymi i stłuczonymi kolanami.

- Tutaj to wygląda trochę gorzej. Na pewno nic cię nie boli?

- Nie.

Pracuję więc dalej, choć nigdy dotąd nie spotkałam mężczyzny, który zniósłby coś takiego bez zwyczajowych dramatów i wyrazów fałszywej skromności. Gdy zbliżam się do połowy długości jego uda i tego zwiniętego ręcznika dotykającego jego mięśni, po prostu go unosi. Zapewne skromność jest zbędna, kiedy nie wiesz nawet kim, ani czym jesteś - na szczęście, tam nic mu nie dolega. Niemniej, całe to męskie terytorium wydaje mi się jednocześnie niesamowite i swojskie. Opatruję pomniejsze ślady na jego podbrzuszu, nie zwracając uwagi na spojrzenie jego wklęsłego pępka. Tak naprawdę nigdy nie przyzwyczajamy się do wyglądu osób przeciwnej płci, a przecież nie różnią się od nas tak bardzo. Mężczyźni też mają mięśnie piersiowe i sutki. Ich szyje są potężniejsze, ale z kobiecymi dzielą tę samą kruchość i wdzięk. Wszyscy jesteśmy dziełami sztuki, a przynajmniej powinniśmy nimi być.

- Mógłbyś unieść trochę ramiona?

Kiedy je podnosi, czuję miękkie, piżmowy zapach mężczyzny. Już prawie skończyłam. Jaki mogłabyś wybrać sobie lepszy sposób, zastanawiam się mimowolnie, na spędzenie ostatka swego cielesnego czasu na tej Ziemi niż robienie czegoś takiego? Prosta, bezpośrednia fizyczność jego postaci, wszystkie te rzeczy, w których mistycy i mułowie albo się nurzają, albo którymi gardzą... Przytłacza mnie to. On tu po prostu jest, jak obraz lub symfonia...

Przechodząc do lewego boku Adama, zauważam, że to coś, tuż poniżej żeber, co uprzednio wzięłam za siniec lub pasemko wodorostów, jest w istocie głębszą raną.

- Wszystko w porządku...? - pyta cicho, kiedy się pochylam.

- Tak, tylko... - Czuję skurcz żołądka, gdy poruszył się lekko i nacięcie rozchyliło swe blade usta. - Nie ruszaj się, proszę.

Na szczęście jest czyste, lecz tak głębokie, że nie jestem w stanie zmusić się, by zajrzeć w głąb. To zdumiewające, że nie uległa zerwaniu jakaś ważna tkanka czy arteria...

Sięgam do szafki po paczkę sztucznego ciała, ugniatam porcję wielkości owocu satsuma i czekam, aż stanie się miękkie i ciepłe. Kiedy wpycham je do rany, drżą mi palce, ale on nawet nie mrugnął.

- No już. - Gestem budowlańca maskującego warstwą tynku nieporadnie ułożone cegły, spryskuję nacięcie warstwą wodoodpornego leku. Powinnam go zawieźć do kliniki. Na pewno zostanie blizna. Moja pomoc to stanowczo za mało. Czując lekkie zawroty głowy, prostuję się. - Skończyliśmy.

- Dzięki. - Wstaje i ręcznik opada na podłogę.

- Naprawdę cię nie bolało? Byłeś bardzo dzielny.

- Nie. - Znów nieznaczne wzruszenie ramion, które w wykonaniu jego wspaniałego, nagiego ciała wydaje się archetypem wszystkich nieznacznych wzruszeń ramion. - Tyle że ja chyba w ogóle nie mam czucia. To dziwne. Spójrz...

Pięknym gestem wskazując nożyczki, którymi otworzyłam pakiecik ze sztuczną skórą. Jak głupia, podaję mu je.

- O tak... - Chwyta nożyczki i powoli, lecz nieustępliwie napiera ostrym końcem na wnętrze lewej dłoni. Ciało ugina się, stal wnika w głąb i czubek znika w kropelce krwi.

- Nie możesz... - Wydaję z siebie stłumiony jęk.

I wtedy, gdy jestem pewna, że zaraz przebije sobie rękę na wylot, przestaje i skóra prostuje się natychmiast z właściwą młodości elastycznością. Prawie nie ma rany, choć na ostrzu nożyczek kołysze się szkarłatny paciorek. Oddaje mi je.

- Nie bolało cię?

- Czulem to. Ale mniej więcej tak, jakbym ranił kogoś innego. - Teraz, jakby wreszcie dotarło do niego, co właśnie zrobił, przebiega go nieporadny dreszcz.

- Znajdźmy ci jakieś ubranie.

Morryn drży, wyczuwając nowego lokatora. Nasze kształty suną w oknach, nasze cienie padają na ściany. Gdy otwieram szafy w swojej sypialni, czuję, jak ustępują kolejne warstwy intymności. Czarne, wieczorowe garnitury Claude'a, jego pomięte koszule wciąż tchną oklaskami - na jedwabiu lśnią światła reflektorów. Tych nie mogę oddać Adamowi, ale tutaj, w dolnej szufladzie leżą robocze stroje męża. Stare dzinsy. Bluzy i koszulki. Poplamione olejem, podziurawione, rozciągnięte, po czym z grubsza wyprane, by mógł je na nowo zabrudzić, pracując przy swym ukochanym astone martinie DB5. Wyjmuję luźne naręczce i podaję swojemu topielcowi. Ze skarpetami i bielizną będzie większy problem, na pewno nie zmieści się w nic, co należało do Edwarda, ale on już się zaczął ubierać. Pochylił się z cudowną swobodą, podskakuje na jednej nodze. Zauważa mój wzrok w chwili, gdy jego

głowa znika w poszarpanym swetrze, wciąż naznaczonym duchami oleju, czarnymi gwiazdami powstałych przy spawaniu przypaleń. Odwracam się i drzę z radości na myśl o tym, że mimo wszystko, nie jestem już sama.

Ubrał się. Sprane dzinsy wiszą mu na biodrach jak worek. Claude w średnim wieku przybrał nieco na wadze. Podaję pasek. Adam sięga po niego niemal nieśmiało. Przeciągając go przez szlufki, spogląda na mnie uważnie.

- Cóż - odzywam się. - Czy mogę ci mówić Adam? Wiem, że to prawdopodobnie nie jest twoje imię, ale...

- Adam... - Wzrusza ramionami, wciąż szukając ostatniej dziurki w pasie.

- Przepraszam, że dałam ci stare ubrania. Nie jestem przyzwyczajona... - Przeliłam ślinę. - To też włóż. - Gdy wręczam mu stare adidasy, czuję lekko kwaśny zapach. Ich języki kołyszają się na zewnątrz i przypominam sobie Claude'a nucącego „Wesele Figara”, gdy jego dłonie wiązały sznurówki tych samych butów.

- Musisz być głodny. I spragniony.

- Chyba tak.

- Ale najpierw, może zechcesz... - Bez słowa prowadzę go do toalety na górze.

Wchodząc do środka, kiwnął ze zrozumieniem głową. Wyposażenie ubikacji jest antyczne, jak zresztą większość sprzętów w Morryn, ale wygląda na to, że potrafi sobie poradzić z podniesieniem kłapy i spłukaniem wody - a nawet z kranami i ręcznikami - wszystko jest tu przyjemnie staromodne.

Gdy skończył, schodzi za mną na dół, z niemal psim posłuszeństwem. Mimo całej tej męskiej siły, jest nieśmiały. Tak, myślę, prowadząc go do żelazno-szklanej przybudówki nowej kuchni, możliwe, że był więziony, bity, krzywdzony. Najłatwiej mi uznać go za zbiega, uciekiniera. W końcu, gdyby nim nie był, nie musiałabym udzielać mu schronienia.

- Tę kuchnię zaprojektowała Maria, moja córka - opowiadam, gdy już usadziłam go przy blacie i podałam kubek wody, który podsunęły mi pośpiesznie poruszające się urządzenia. Pije małymi łydkami, nie haustami. - Jest architektem. Mieszka w Barcelonie. Wiesz, co to jest Barcelona?

- Miasto w Katalonii.

„Skąd ty...”. Powstrzymuję się od wypowiedzenia tych słów. Jest dzieckiem. Jest ranny. Jest bezbronny. I widziałam go nago. Tak czy inaczej, przecież w ten właśnie sposób działa amnezja - wiem to choćby ze starych, dwuwymiarowych filmów - umysł zachowuje wiadomości ogólne, ale żadnych szczegółów z własnego życia.

- Naprawdę niczego nie pamiętasz?

- Nie.

- A co ze sprawami, które... nie dotyczą bezpośrednio ciebie? Umiesz mówić po angielsku. Myślisz, że jesteś Anglikiem?

- Jesteśmy w Anglii, prawda?

- Wiesz to?

- Przecież sama mi powiedziałaś.

Teraz, kiedy powiedział nieco więcej, wyławiam w jego głosie nieznaczący akcent. Specyficzny sposób wymawiania niektórych samogłosek. I to rwące się „d”. Może nie jest Anglikiem. Choć mógłby też uchodzić za Kornwalijszczyka.

- Takie to dziwne. - Ożywił się. Odstawia niemal z trzaskiem kubek i przeczesuje ciemnoblonde włosy. Jego łokcie suną po blacie. Gesty młodego mężczyzny, przepełnione łatwą frustracją i dominującym, niezamierzonym wdziękiem. Znowu podnosi na mnie spojrzenie.

- Jesteśmy na przedmieściach kornwalijskiego miasta. Nazywa się... Urywam i postanawiam przeprowadzić mały eksperyment. - Przeliteruję ci tę nazwę i zobaczymy, jak ją wymówisz. F. O. W. E. Y.

- Chodzi ci o Fowey? - O dziwo, wypowiada to słowo poprawnie: „foj”.

- Znasz je?

- Nie jestem pewien. Po prostu... wiedziałem.

- Może pochodzisz z tej okolicy.

- Możliwe - przytakuje, choć nie wygląda na szczególnie zachwyconego tą perspektywą.

- Uznałam... - Siadam w promieniach słońca. Blisko Adama, ale nie za blisko. - Uznałam, że nie zgłoszę twojej obecności władzom. Nie zabiorę cię też do kliniki. Nie od razu. Możesz się okazać...

- Kim? Uchodzącą?

- Kimś takim. Imigrantem.

- Co znaczy, że zostałam odesłany?

- Najpierw by cię... - Staram się to ubrać w jakieś właściwe słowa. Choć właściwie po co? - Tak. Odesłaliby cię. Tam, skąd przybyłeś.

- A jeśli przybyłem znikąd? - Kolejny lekki żarcik. Albo po prostu rezygnacja?

- To raczej niemożliwe, prawda?

- Nie. - Zdecydowanie kręci głową. - Dziękuję, że się mną zajęłaś.

Chciałbym... - Wykonuje gwałtowny gest rękoma. - Chciałbym zostać. Na trochę. Jeśli mogę?

- Oczywiście - odpowiadam. - Dobrze się czujesz? To znaczy, fizycznie?

- Tak myślę. Jestem zmęczony i trochę poobijany... ale nic poza tym.

- Wiesz, który mamy rok? - Pokazuję mu datę i czas na jednym z kuchennych wyświetlaczy. - Czy to ci się wydaje dziwne, czy zwyczajne?

- To po prostu jest, prawda? Czas to czas. Moje zdanie nie ma tu większego znaczenia.

- Uśmiecha się zwycięsko.

Siedzi w mojej kuchni w ubraniach mojego zmarłego męża. Przeciąga się i ziewa. Widok robi wrażenie - wszystkie te napinające się mięśnie, krążące ramiona. Znów myślę o Michale Aniele i o Leonardo da Vincim - o tym archetypicznym człowieku rozpostartym w schludnych, koncentrycznych figurach geometrycznych, z których wtedy składał się świat. Strój Claude'a wypełnia sobą o wiele dokładniej niż Claude, nawet gdy już przytył. Widząc jego przepaściste ziewnięcie, myślę o lwach i innych drapieżnikach, potem zastanawiam się nad snami, które musiały do niego przyjść, gdy leżał przez cały dzień na czerwonej sofie.

- Na pewno jesteś głodny... hmm...

- Proszę, możesz mówić mi Adam. - Wciąż wymawia to „d” z lekkim zająknięciem.

- Na co masz ochotę? Zapewne coś prostego? Przypominasz sobie swoje preferencje?

Ulubione potrawy? Albo te, których nie lubisz?

Patrzy na mnie i widzę rosnące bariery. Jest szybki - poznaje, kiedy go testuję.

- To jak z bólem. Część mnie wie, że powinienem jeść... Ale to wszystko. A co ty chciałaś zjeść, Roushano? Może to mi wystarczy?

- Trzeba będzie chwilę poczekać.

- W porządku.

- Nie jesteś kłopotliwym gościem... Adamie.

Z każdą chwilą przestaję go postrzegać jako zagrożenie. Zaczynam za to widzieć w nim ofiarę. Sprawdzam zawartość lodówki, wybieram posiłek, po czym ostrza i ramiona urządzeń kuchennych zabierają się do pracy. Kroją paprykę w krążki, podsmażają na oliwie paski kurczaka z czosnkiem, dorzucają mięso krabów, a ja głównie się im przyglądam, rozmyślając o magicznych łyżkach i talerzach, które obsługiwały Piękną w pałacu Bestii.

- Cudownie pachnie.

- Dziękuję, to coś w rodzaju miejscowej paelli, jednej z moich ulubionych potraw, choć teraz to raczej nie mnie się należą oklaski. - Bardziej popisując się, niż z prawdziwej

potrzeby, dorzucam do bulgocącego ryżu szczyptę szafranu i morskiej soli. - Jeśli nie chcesz czekać, albo uznasz, że ryż to za dużo, w pojemniku za tobą jest chleb.

- Dziękuję, zaczekam.

- Umiesz się tym posługiwać? - Wskazuję miejsce, które zajmuje kuchenny ekran, gdy jest aktywny. - Może gdybyś obejrzał wiadomości, coś by do ciebie wróciło...

To kolejny z moich nieporadnych testów, ale Adam robi to, co zasugerowałam, ze swoją, zaczynam myśleć, że jego zwykłą, akceptacją. Dotyka srebrnej krawędzi, włącza i nad kuchennym blatem pojawiają się żywe obrazy. Gdy próbuję doskonałego sosu, on z oszałamiającą prędkością, którą kojarzę raczej z wnucętami niż dziećmi (oczywiście wiekiem jest bliższy właśnie mym wnukom) przerzuca kolejne strumienie danych. Pojawia się cały świat zewnętrzny, świat huczący poza Morryn, choć Adam przegląda informacje zbyt szybko, bym mogła nadażyć. W tym huraganie impresji dostrzegam przelotnie mroczne dzielnice biedy i jasne miasta, wszystko wrzucone i wymieszane niczym siekane pomidory na patelni. Pośród rzek roześmianych reklam zachwalających niepotrzebne przedmioty dostrzegam ropiejące niebo i lasy grobów ofiar klęsk żywiołowych. Każda z tych scen przewala się też w chmurnej szarości oczu Adama. Na jego twarzy, nagle ożywionej igrającym światłem, malują się zdumienie, przerażenie, troska. Para się kłębi, podczas gdy rzesze wiernych biją pokłony, a ich szalone usta przywołują nową apokalipsę. Gdzieś eksplodują raje. Podnoszą się oceany, burze piaskowe zamazują obraz, a wskaźniki produktu narodowego i narodowej straty pną się bezustannie w górę. Bezcelowo mieszam aromatyczny, przyrządzony przez maszyny bulion. Pojawiają się też miejsca, które jakby nie pochodziły z tej planety. Zakwaszone równiny, petrochemiczne bagna ciągną się pod niezwykle ubarwionymi i zbyt szybko kłębiącymi się chmurami. Czy to Wenus, Mars, Tytan? A może Wenecja? Za każdym razem jednak obraz zmienia się, zanim udaje mi się go umiejscowić.

- I to wszystko... Znasz to? - pytam go.

- A ty? - Oczy Adama wilgotnieją. Jest bliski łez.

Kręcę głową. Urządzenia kończą nakrywać do stołu i wycofują się do swych dyskretnych wnęk w ścianie. Po tylu latach samotności jest coś niesamowicie wzruszającego w widoku dwóch talerzy na stole. Nawet jeśli to nie jest ostatnia wieczerza, tylko prawie ostatnia.

W ciemnym upale Afryki członkowie jakiegoś kultu cybernetycznego życia po życiu tłoczą się w kolejce do śmierci.

- Może powinienem to wyłączyć? - pyta.



- Nie pomogło, prawda?

Kręci głową. Ekran znika.

- Niedobrze, że tak beczynnie siedziałem. Lepiej by było, gdybym ci pomógł w gotowaniu.

- Nie, nie. I tak nie ruszyłam palcem. Zresztą, jesteś moim gościem...

Nakładam samodzielnie. Jemu podaję średnią porcję na ciepłym talerzu, potem biorę nieco mniejszą dla siebie. Siadam naprzeciwko, nabieram na widelec i jem. Przeżuwam i przełykam, ale boli mnie szczeka i z tego powodu smak jest przytłumiony, jakby moje podniebienie cierpiało na jakiś odpowiednik głuchoty, z którą od dawna muszę sobie radzić za pomocą implantów. Czy to właśnie się ze mną dzieje? Czy staję się chłodno patrzącym widzem, obserwatorem ostatnich chwil własnego życia? Czy to przez chorobę, czy przez kryształ?

Adam je z wdziękiem. Owszem, był może głodny, ale - na co wskazuje wygląd jego ciała - na pewno nie zagłodzony. Przerzywa nawet chwilami, by wygłosić miłe uwagi, jakich można oczekiwać od każdego grzecznego gościa. Dziękuję mu ściszym głosem, ciesząc się, że jednak istnieje ktoś, komu smakuje to, co przyrządziły moje maszyny. Wciąż nie jestem w stanie umiejscowić jego akcentu ani etnicznej przynależności. Przecież musi być kimś, musi skądś pochodzić. Te piękne uszy. Ta lekko brązowa skóra. Niemal doskonale - mimo śladów po sznurze (zastanawiam się, czy je zauważył) - nadgarstki kontrastujące z poszarpanymi, steranymi ubraniami Claude'a. Próbuję znaleźć jakieś tropy kulturowe. Sposób, w jaki podaje koszyk z chlebem, jak posługuje się nożem - bardzo elegancko. Po amerykańsku odłożony widelec, niemal hinduskie maczanie pieczywa w sosie dwoma palcami, łatwość, z jaką posłużył się ekranem. Jak to możliwe, by ktoś wiedział tak wiele i jednocześnie nie pamiętał kim jest? To już nie tylko niezwykle - to absurdalne - a jednak tak miło jest gościć kogoś, z kim przyjemnie by było po prostu spędzić w Morryn kilka dni, jedząc, rozmawiając, pijąc, odkrywając siebie nawzajem... Pomiędzy kęsami mówi, że podoba mu się jego imię - macha ręką, jak mógłby to uczynić Francuz - że docenia ideę bycia Adamem. Niemniej, wciąż nie do końca poprawnie wymawia to słowo. Nadal w ten charakterystyczny sposób utyka przy „d”. Także „a” brzmi jakoś dziwnie. Nie mogę tego skojarzyć z żadnym innym słowem. Moje zmrożone myśli wiją się bezsensownie. Papka w moich ustach zmienia się w czerwie i magia kuchni znika. Kim jesteś?

Wreszcie układam jedzenie na talerzu w sposób, który może sugerować, że rzeczywiście co nieco uszczknęłam. Adam zjadł w tym czasie drugą porcję. Resztki dokładnie wytarł do czysta - choć bez przesadnej skrupulatności - kawałkiem chleba.

- Nie... - Uśmiecha się i kładzie dłoń na mojej, gdy chcę wstać. - Ja to zrobię...

Opadam na krzesło. Nie ma sensu wyjaśniać, że urządzenia same sprzątną, ponieważ widzę pełzający po blatach metal i dociera do mnie, że on już z nich korzysta. Ale przy nim nie dominują pomieszczenia, jak to czynią wówczas, gdy ja ich używam. Adam bez trudu posiadał kuchnię. Odkąd Maria ją zaprojektowała i zbudowała, zawsze czułam się w niej obco. Zupełnie jakby czekała specjalnie na niego, na tę konkretną chwilę.

Morze pociemniało. Wschodzący księżyc nakłada mu srebrne kajdany.

- Cóż... - Adam rozgląda się po kuchni. Lekko rwie mu się oddech.

Zachwiał się.

- Dobrze się czujesz?

Kiwa głową w ten swój sposób, który nie do końca jest przytaknięciem.

- To pewnie nadal zmęczenie.

Jeszcze jedno skinienie.

- Mam łóżko, pokój gościnny...

Nie jestem pewna, kto pomaga komu, gdy wspólnie, jakbyśmy robili to już wiele razy, szukujemy się do snu. To właśnie jest najdziwniejsze jak bardzo wszystko wydaje się naturalne. Szukanie pościeli, syk kranów, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, szum spłuczki. Drzwi drgają, kiedy ich dotykam. Pokoje oddychają.

- Ten pokój należał do Marii, mojej córki - wyjaśniam, gdy stajemy na progu.

I on, i światło wahają się przez moment, zanim wejdziemy, i niemal spodziewam się zastać pod oknem stertę puchatych zabawek, które Maria tak nieźnośnie lubiła zostawiać na wierzchu. Wreszcie jednak powietrze rozrzedza się i ukazuje czyste i niemal puste wnętrze.

Siada na nowym, bezgłośnym materacu. Wszystkie ręczniki i poduszki, które mu wręczyłam, zawisają mu bezwładnie w rękach. Znów wygląda na oszołomionego.

- Będę na górze. - Unoszę kciuk gestem autostopowiczki. - Gdybyś mnie potrzebował.

Uśmiecha się.

- Może rano wszystko sobie przypomnisz.

- Co...? Ach, tak. - Chciałam go uspokoić, ale uśmiech gdzieś znika.

- No dobrze... - Odwracam się. - Już wiesz, gdzie co jest.

„Teraz wszystko zależy od ciebie”.

Pokój wiruje wraz ze mną.

- Co...?

Ale Adam tylko patrzy na mnie, niewinny jak zawsze, tymi oczyma, w których można utonąć, spojrzeniem, w którego przepaść można runąć. Jest rozbitkiem - nienapisanym listem

w butelce wyrzuconej na brzeg Morryn. Raz jeszcze kojąco dotykam jego ramienia i zamykam drzwi. Choć sen i ja nie jesteśmy ostatnio w dobrej komitywie, ruszam na piętro.

\* \* \*

Pogrzeb mojego brata był świecką ceremonią i odbył się w miejscowym krematorium. Bardziej z przyzwyczajenia niż jakiegokolwiek przekonania, rodzice oparli się naciskom reszty krewnych, by zorganizować uroczystość bardziej hinduistyczną lub katolicką niż zwykle, bezbożne pożegnanie. Potem wszyscy zebraliśmy się na wietrznej, żwirowej ścieżce.

Z zaskoczeniem odkryłam, że naprawdę czuć dym. Dla mnie cały tamten dzień był pusty, pozbawiony znaczenia. Drżałam z obrzydzenia przy każdym uścisku, słysząc kolejne wyrazy żalu czy widząc łzy.

Wysoka, elegancka, opanowana Blythe Munro wyplątała się z garstki odzianych w biel hinduskich krewniaków, zajętych rozstrzygnięciem, kto wraca do domu w którym samochodzie. Coś w wyrazie jej twarzy zhardziało. Miała nową, krótką i wygodną fryzurę, buty na obcasie i przylegający, czarny kostium. Już teraz wyglądała jak prawnik.

- To chyba po prostu musiało się wydarzyć. - Westchnęła. - I takie dni trzeba przeżyć. Wzruszyłam ramionami, byłam podejrzliwa wobec wszystkiego, co mogło nas do siebie zbliżyć - Nie jestem pewna, czy będziemy się teraz często u was spotykać, Roushano. Myślę, że moja obecność niepotrzebnie przypominałaby twoim rodzicom o stracie Leo.

- To nie... - Urwałam.

Chciałam przedrzeć się przez tę mdlą pociechę, którą potrafiła przynieść nawet i sobie, ale nie mogłam. Od śmierci Leo nikt mnie nie zapytał o to, co wiem bądź podejrzewam, ani czy byłam tej ostatniej nocy u niego w pokoju. Dokładnie tak, jak tego chciał, pozostało to naszą tajemnicą. W odróżnieniu od rodziny i całej reszty świata, nie uważałam jego samobójstwa za czyn szaleńca, lecz raczej za ćwiczenie z siły woli i logiki zarazem. Niemniej, gdy tak stałyśmy z Blythe, spojrzała inaczej i rozchyliła usta. Odniosłam wrażenie, że chce spytać, dlaczego nie dotrzymałam obietnicy, którą złożyłam, kiedy siedziałyśmy na łące na skraju otaczającego jej dom ogrodu i dlaczego nie spróbowałam nawet go powstrzymać. Jednakże w tej samej chwili rozdzwoniła się jej bransoletka, a do mnie podeszła babcia Ashar. To ostatni obraz Blythe Munro, jaki zapamiętałam. Stojąca z uniesioną ręką i rozmawiająca stłumionym, naznaczonym winą głosem przez telefon, na dziedzińcu krematorium.

Babka zaczęła ostatnio chodzić wolniej i jeszcze bardziej przygięła się ku ziemi. Życie, pomyślałam, kiedy oparła się o mnie, roztaczając swą charakterystyczną woń pach i

kulek na mole, jest serią przedstawień, lub aktów jednego przedstawienia, których odgrywaniem stopniowo się nużymy. Ale przynajmniej wreszcie pojawił się przy mnie ktoś, kto wydawał się zdolny do zaakceptowania faktu śmierci Leo.

- Ludzie, biali, bez przerwy powtarzają, że nie mogą w to uwierzyć powiedziała, gdy długi czarny karawan, który przywiózł mojego brata, odjechał już bez ładunku. - Ale ja miałam w swej rodzinnej wiosce dwie siostry. Obie już odeszły. Brat mojej matki też zmarł młodo. No i jeszcze dziecko...

Teren krematorium okazał się zaskakująco rozległy. Pełno tam było czystych koszy na śmieci i dyskretnych tabliczek zakazujących pozostawiania wieńców, choć wiele kwiatów w celofanowych opakowaniach trzepotało na trawnikach.

- Czasami zastanawiam się, po co w ogóle przyjechaliśmy do Anglii. Powiedzieli nam, że chcą naszych mężczyzn na dyrygentów, konduktorów i kierowców, a potem uznali, że ich nie potrzebują. Wszystko teraz jest automatyczne, nawet autobusy. Roboty ponoć oszczędzają pracę...

Gdy przetrzymałam już kłopotliwe wyobrażenie Hindusów we frakach i z batutami w rękach, przytaknęłam skinieniem. Babcia od jakiegoś czasu zwierzała mi się coraz częściej. Byłam co prawda tylko dziewczynką, i to mieszańcem, ale z powodu mojego koloru skóry łatwo jej było udawać, że jestem pełnej krwi Hinduską.

- Cieszę się, że tak ładnie dziś wyglądasz, Roushano. Wreszcie włożyłaś przyzwoity strój, zamiast tych roboczych szmat, jakie zwykle nosisz. I na szczęście, nie ubierasz się, jak niektóre inne dziewczyny, pokazujące całe nogi i pępek. - Poglądziła mnie po ramieniu. - I masz taką cudowną skórę. Jesteś taka blada. Mężczyźni cię będą podziwiał. A to... - Zrobiła kwaśną minę i zdawkowo machnęła w stronę uginających się na wietrze jodeł. - To bez znaczenia. Nawet tutaj, w Anglii, ludzie powoli zauważają, jakie to niewłaściwe. Nie chodzi o to, czy jest się hinduistą, muzułmaninem czy chrześcijaninem. Leo był zbyt młody, za bardzo cierpiał, był zbyt niepewny swojej ścieżki, na której czekała go jedynie muzyka. Ale twój drogi kuzyn Kapil... - Cmoknęła i ścisnęła mnie nieco mocniej. - On nigdy nie zaniedbuje modlitw, potrafi wymienić święta, o których nawet ja nie słyszałam. Wierz mi, nadejdzie jeszcze odrodzenie...

Nad naszymi głowami przeleciał helikopter. Samochody odjechały w stronę domu i czekającego w nim poczęstunku, rozcinając powietrze burzami żwiru i zwiędłych kwiatów.

Leo miał rację. OZNP nie zniknął w ciągu następnych miesięcy i lat, ale z wolna przestał budzić zainteresowanie opinii publicznej, zastąpiony innymi, bardziej dramatycznymi chorobami i katastrofami. Rozprzestrzenił się na cały świat i ludzie zapadający na niego w

uboższych krajach umierali już dziesiątkami tysięcy, podczas gdy ci, którzy mieszkali w bogatym Pierwszym Świecie, żyli dłużej, tolerując stopniowo coraz mniej pokarmów. Dokładnie jak przewidział mój brat, wszyscy oni ostatecznie padali ofiarą jakiejś infekcji, poddawali się, bądź po prostu więdli.

Będąc tak osłabionym, jak pod koniec, Leo nie mógłby, sądę, nigdy prowadzić swego upragnionego życia muzyka, choć nadal żałuję, że nie porozmawiałam z nim dłużej tamtej nocy w jego pokoju. W końcu Paganini miał wadę genetyczną, cierpiał na gruźlicę i syfilis, Perlman stracił władzę w nogach na skutek polio, a o walce Beethovena z głuchotą wiedzą wszyscy. Nawet teraz, gdy słyszę o kimś, kto zмага się z ograniczeniami własnej fizyczności, by zostawić na świecie swój ślad, myślę o Leo i zastanawiam się, czy gdybym spróbowała go przekonać, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej.

Tata tymczasem został awansowany na zastępcę dyrektora szkoły. Rzucił się w wir pracy, a jego włosy - dawniej bardziej gęste i rude niż czupryna Leo - posiwiały i wypadły w ciągu tej jednej strasznej zimy. Tornada rozszarpały ulice, padało jak nigdy dotąd. Potem nadciągnął śnieg, niesiony na falach sztormów, a wraz z nim lodowcowe zimno, które raniło wargi i łamało płyty chodnikowe, aż i to minęło, i nastaly dwa tygodnie spadających kominów, pękających okiennic i trzaskających na pół drzew. Drogi i koleje przestały funkcjonować. Linie energetyczne zawiodły. Atmosfera stała się gorączkowa, a wraz z nią nadeszła nowa fala grypy. Wszyscy się obawiali, że to powrót OZNP lub coś jeszcze gorszego.

Gdy przewracałam się na łóżku - niespokojna równie jak najpierw gorące, a potem złane zimnym potem niebo - i próbowałam znaleźć pozycję mogącą przynieść mi ukojenie, przebiegając na dużych skrzypcach niemożliwe frazy, często wydawało mi się, że Leo wciąż ze mną jest, że pojawia się w tym łomotanym burzą świetle, że ma wychudłe kończyny i twarz przesłoniętą plastikowym workiem na wymioty. Wichury rozrzucały po ulicach ulotki tego czy innego ugrupowania ekstremistów, podczas gdy telewizja pokazywała jachty, które wbiły się w dachy domów na Florydzie, i bezkresne wodne pustynie Bangladeszu.

„To jest przyszłość, siostrzyczko”. Leo, który miał rację w tak wielu sprawach, nie pomylił się również co do Wenecji. Fale zatoki, skanalizowane wskutek nieprzemyślanej budowy zapory, wdarły się triumfalnie na plac Świętego Marka. Campanila runęła. Bazylika legła w gruzach. Mieszkańcy zbiegli. Wenecja zatoneła w pływowym błocie, z których kiedyś powstała, odeszła pośród wielu rozmów o odbudowie, na jaką nie było stać żadnego z państw nękanych niezliczonymi kryzysami humanitarnymi.

Podobnie jak w wypadku OZNP, wielu wierzyło, że ta katastrofalna zima jest dziełem mściwego Boga. W tym nowym świecie, w tym wciąż młodym stuleciu, coraz trudniej było się z nich naśmiewać. Potem nadszedł dzień, gdy wielkie i szare niebo nad Birmingham uleciało niczym zerwana, poplamiona markiza, a ojciec doznał nagłego przyływu energii. Hałasował w kuchni, otwierając kolejne puszki farby. Pogwizdując, ruszył z wałkami malarskimi i drabinkami do pokoju Leo. Ledwie kwaśny, domowy zapach mokrej emulsji zaczął wyciekać z sypialni mego brata, a mama wróciła z zakupów, cisnęła siatki na podłogę i pobięła na górę, pytając ojca, co takiego, do diabła, wyprawia. Reszta dnia upłynęła pod znakiem oskarżycielskiej ciszy. Jeszcze wiele lat później, na ścianie pokoju Leo białą pociągnięty wałkiem pas farby, kończący się tuż nad jego łóżkiem.

Jedynym źródłem muzyki w naszym domu stały się teraz moje skrzypce. Pewnego razu, w ramach eksperymentu, uniosłam pokrywę klawiatury fortepianu i uderzyłam, nieco nieporadnie, pierwsze akordy „Preludium deszczowego”. Zaraz pojawił się tata, przygięty, wymęczony, z jakimiś dokumentami w ręku, i zapytał czy mogłabym się powstrzymać od grania, gdy on pracuje. Nigdy potem tego instrumentu nie dotknęłam.

Wtedy jednak byłam już dobra. Przestałam pobierać lekcje skrzypiec u panny Freely i w swojej zażartej niecierpliwości, która nie pozwalała mi być tylko dobrą, zaczynałam mieć też wątpliwości co do kompetencji pana Phillipsa, który nalegał, bym mówiła mu John, i dawno już miał za sobą swój najlepszy okres życia wypełnionego harówką w prowincjonalnych orkiestrach. Nadal jednak myślałam o muzyce jak o czymś abstrakcyjnym. Zanim wybrałam się z rodzicami w pierwszą podróż do Kornwalii - na pierwsze wakacje bez Leo - nigdy nie wyobrażałam sobie, że muzyka może tkwić w morskich falach lub w granitowym nawisie. Gdy jednak uciekliśmy z miasta naszej żałoby, oddalając się od betonowych osiedli, wciąż noszących na sobie plamy zimowych burz, kiedy jechaliśmy drogami, wzdłuż których rosły poskręcane przez wiatry drzewa, szosami opuszczającymi się w głębokie, nieoczekiwane doliny, obrębające wspaniałe przebłyski morza, zaczęłam rozumieć. Pamiętam kolejkę na prom w Bodinnick i wznoszące się jedno nad drugim dachy miasteczka na drugim brzegu. Potem przemierzaliśmy dłuższą i bardziej prostą drogę. Po bokach sterczały wysokie żywopłoty i masywne dęby. Między ich koronami było widać wąski pasek nieba. I nagły zakręt, prowadzący do wynajętego domku. Pamiętam pachnący pokrzywami zmierzch, wysoką niemal do okien trawę i absolutną, rozszepowaną ciszę tej maleńkiej doliny. Postanowiłam wtedy, że pewnego dnia tu zamieszkam. Nawet teraz - mimo że graniczy to niemal ze świętokradztwem - myślę niekiedy, że Morrjn jest pod pewnymi względami gorszy niż ten domek, gdzie spędziłam swoje pierwsze kornwalijskie lato.

Co mogłabym wtedy poświęcić, by stać się lepszą niż tylko dobrą? Co, gdybym zdobyła się na zupełną szczerość, oddałabym teraz, by moje umierające palce odzyskały dawną gibkość i finezję? Gdy wędrowałam po urwiskach i odkrywałam przysadziste kościoły, kiedy czekały na mnie złe psy z rozpadających się farm, zawsze towarzyszył mi Leo. Nie ten gorączkujący Leo z długiej zimy, lecz mój towarzysz, powiernik i przewodnik. Bez końca słuchałam koncertu skrzypcowego Sibeliusa w wykonaniu Heifetza, który przerzuciłam sobie na swojego seashella - odtwarzacz cenny dla mnie sam w sobie, choć inne, mądrzejsze urządzenia już dawno przerosły go możliwościami. Kapałam się w lodowatej namiętności muzyki, spacerując niebezpiecznymi ścieżkami nad niedawno ukruszonymi klifami, z których szczytów zwracałam twarz ku słońcu. Tak właśnie, myślałam, czując drżące we mnie dźwięki i wiatr, chcę grać. Tym chcę się stać.

Oddalenie od Birmingham zmieniło też coś w moich rodzicach. Nawet jeśli nie byli już zdolni odczuwać szczęścia, zrozumieli, że przynajmniej ja doświadczam w swym domku osobistej wersji tej emocji. Zniknęły niemiłosierne, całodzienne wycieczki i lektura przewodników, jakie pamiętałam z naszych poprzednich wakacji na niegdyś gorących plażach Francji. Dla nich, którzy popadli w zbyt długo powstrzymywane wyczerpanie, Kornwalia stanowiła ucieczkę od Leo. Dla mnie była sposobem na zbliżenie się do niego.

Pewnego upalnego popołudnia pojechaliśmy z mamą do Fowey. Po tradycyjnym polowaniu na miejsce do zaparkowania, w co automatyczne samochody bawią się po dziś dzień, spacerowałyśmy nad rozbudowującym się nowym portem i myszkowałyśmy po sklepach. Odniosłam wrażenie, że ona chce ze mną porozmawiać. Będąc w swym lepszym, kornwalijskim nastroju, byłam nawet gotowa wyłączyć Heifetza i wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. Wciąż nosiłam jeden ze starych T-shirtów Leo, ale wtedy, pośród butików, których w takich miejscach zawsze było najwięcej, matka nakłoniła mnie, bym spróbowała znaleźć sobie coś bardziej kobiecego. Przykładałam więc do siebie kolejne sukienki i bluzki i osądzałam je lodowatym spojrzeniem, które odzwierciedlało nastrój wolnej części koncertu Sibeliusa.

Byłam już wtedy wyższa od matki. Po śmierci Leo zmieniła się i skurczyła. Z bagażem swego międzykulturowego małżeństwa i wiarą w skuteczność racjonalnej edukacji, mama i tata wkroczyli w dorosłe życie, sądząc, że są częścią czegoś, czym wkrótce stanie się całe społeczeństwo. Teraz, gdy podziały jedynie się pogłębiły, utracili to przekonanie. Matka często wspominała historię pielęgniarce, która podczas jednego z pobytów brata w szpitalu nie chciała jej uwierzyć, że jest matką Leo. Nawet tutaj, w Kornwalii, faceci pijący przed „Księciem Prus” obrzucili nas wyzwiskami, gdy szliśmy od portu ku dzielnicy handlowej.

Mama wciąż była aktywną uczestniczką lokalnej grupy OZNP, ale nawet i to dobiegało końca. Choroba owa, ze swej natury, ograniczała się niemal wyłącznie do atakowania białych...

- Dasz wiarę, że oni teraz modlą się przed każdym spotkaniem? - rzuciła, kiedy wynosiliśmy markowe torby z ciuchami na parking. - I to nie są jakieś ogólne modlitwy, ale wyłącznie chrześcijańskie. Wstałam więc i powiedziałam, że nie mam ochoty brać w tym udziału. I wyobraź sobie, że wydawali się zaskoczeni. Niemal widziałam ich myśli: „Uważaliśmy cię za jedną z nas!”. - Mama zdobyła się na grymas bliski uśmiechowi. - Cóż, poinformowałam ich więc, że jestem praktykującą hinduistką. Dopiero to zamknęło im gęby...

Nawet w najgorszych chwilach, i mimo że porzuciłam fortepian, rodzice przez cały czas motywowali mnie i sekundowali moim próbom stania się więcej niż tylko dobrą skrzypaczką. Nadal jednak sądzili, że wyrażam w ten sposób swój gniew i żal po odejściu Leo. Choć wciąż czyniłam niezwykle postępy, spodziewali się, że prędzej czy później stracę zainteresowanie instrumentem.

- Jeśli rzeczywiście chcesz rozważyć karierę muzyka, Roushano - podjęła temat mama, gdy jechałyśmy obrosniętą kolczastymi krzewami głogu szosą w kierunku naszego domku - musisz wziąć pod uwagę, jak trudna to jest droga.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- Oczywiście, że wiesz. Ale rozumiesz... Jest takie powiedzenie... Po prostu niedobrze jest stawiać wszystko na jedną kartę.

- Przecież tak właśnie postąpił Leo.

Dłonie matki nieco mocniej pomasaowały kierownicę. Co prawda, mój brat zajmował w naszych myślach najważniejsze miejsce, ale bardzo rzadko ktokolwiek wypowiadał jego imię na głos.

- Leo był...

- Chcesz powiedzieć, że on miał talent, a ja nie mam? O to ci chodzi?

- Wcale nie. - Jej usta drgnęły. - Ale sama widziałaś, jaką to wywierało na niego presję. Myślę, myślimy, że to po części dlatego... Że z tego powodu się zabił. A bez względu na wszystko, nie chcemy, żebyś ty cierpiała.

- Przeszłam przez to wszystko tylko dzięki muzyce, mamo.

- Rozumiem. I to jest jedna strona medalu. Nikt nie kwestionuje tego, że jesteś wyjątkowa. W końcu wygrałaś ten konkurs...

Wbiłam paznokcie w dłonie. Nienawidziłam konkursów i recitali, które odbywały się w tych samych zakurzonych salach, co spotkania grup OZNP mamy. Nienawidziłam ich,



kiedy je wygrywałam, i nienawidziłam jeszcze bardziej, gdy - jako początkująca, nowa dziewczyna, przybysz znikąd, otoczona plotkami o śmierci brata geniusza - przegrywałam.

- Roushano, chcę tylko powiedzieć, że muzyka to rzecz niepewna. A jesteś też dobra w angielskim i matematyce. Nie chcemy, byś odcinała się od tych rzeczy. Jeśli masz zamiar odnieść sukces na jakimkolwiek polu, potrzebne ci będzie porządne, ogólne wykształcenie. Oczywiście, jesteśmy dumni z tego, co osiągnęłaś na skrzypcach. To niemal cud, że w tak krótkim czasie poczyniłaś tak wielkie postępy. Więc powtarzam: nie mam nic przeciw muzyce, ale mądrze jest mieć w zanadrzu plan awaryjny.

- Nie potrzebuję żadnych innych planów - syknęłam i włączyłam Heifetza.

\* \* \*

Zamknięta w bańce arogancji i skupiona na sobie, musiałam być pod każdym względem postacią irytującą. W szkole, na seminariach i zajęciach muzycznych, siedziałam z uniesioną głową, z rozkojarzonym spojrzeniem, zatopiona w myślach. Gdybym reagowała na rasistowskie zaczepki, jakie czasem słyszałam, zapewne padłabym ofiarą prześladowań. Nie reagowałam jednak. Już wtedy byłam pewna, że zostałam przeznaczona wyższym celom.

Bycie dobrą się nie liczyło. Bycie dobrą nie wystarczało. Nocami moje dłonie puchły i bolały po czterech lub pięciu godzinach ciężkich, prywatnych ćwiczeń, na które cudem znajdowałam czas pod koniec dnia. Gdy wreszcie padałam oszołomiona i wyczerpana na łóżko, moja głowa po prostu nie chciała się wyłączyć. Bezsensowność mi jednak nie przeszkadzała. Tak, było to nienormalne, co zresztą podsłuchiwałam w rozmowie babć Maitland i Ashar, i owszem, przeciążałam się poza wszelkie rozsądne granice. Dlaczego jednak miałam chcieć być normalna? Czy ludzie tacy jak ja nie powinni właśnie przekraczać granic tak zwanej normalności?

Pośród tych rozedrganych zmęczeniem nocy, w beztelewizyjnej ciszy, między westchnieniami i szelestem pościeli, dolatującymi z dalekiej sypialni, gdzie rodzice zmagali się ze swymi snami, przy ryku wiatru, hałasie klaksonów, pomruku policyjnych helikopterów, szumie deszczu, przychodziło po mnie wiele duchów. Jako pierwsi pojawiali się moi najserdeczniejsi sprzymierzeńcy, moi najbliżsi przyjaciele, Heifetz i Perlman, Mar i Menuhin, i rzecz jasna Barbirolli i Karajan, i wszyscy wielcy kompozytorzy. Mieli zapadnięte, blade policzki, oczy puste, spoglądające z żalem i bólem. „Wszystko dobrze” - szeptali. „Jesteśmy z tobą. Czuj, słuchaj, rozumiemy”. Im bardziej byli martwi, tym lepiej. Niemal nie umiałam słuchać wykonań żyjących artystów. Był Mahler i był również Tartini. I Paganini, i Chopin, i Liszt... Sami niepokładani, kudłaci romantycy - dla mnie jednak nieskończenie wspaniali.

„Co byś poświęciła?”. Zawsze o to pytali. A ja miauczałam w swojej wymiętej pościeli w te gorące, lodowate noce, i rozkładałam ręce i odpowiadałam im, że oddałam już wszystko, a to i tak nie wystarczało. „Nie, nie, nie, nie, nie” - szeptali i śmiali się, wypełniając cienie i wypełzając spod swoich plakatów, ociekając deszczem i odpychając na bok to, co jeszcze zostało z moich własnych myśli. „Nie rozumiesz, Roushano. Wszystko jest niczym. Musi być coś więcej...”.

Byłam uwznioślona. Byłam przerażona. Czułam dreszcze. Zmuszałam się do coraz większego wysiłku, obywałam się bez snu i nie zwracałam uwagi na pojawiające się od czasu do czasu prośby matki. „To nie jest jedyna rzecz w życiu, Roushano. Jesteś przemęczona”. Jak mogła być tak głupia?! Oczywiście, że to jedyna rzecz! Chciałam męczyć się potąd, aż rozpadnę się na małe kawałki, a potem obejrzeć moje biedne ciało i dowiedzieć się, z czego się składało i co było we mnie poza nim. Dzięki temu złamałabym klątwę bycia tylko dobrą. To mogło mi wreszcie coś dać. Otaczały mnie niewyraźne postacie. Dotykały chude palce. Czułam ich płytkie oddechy. Dzieliłam zmęczenie całych stuleci. W letnie noce, gdy stawiano barykady, helikoptery mrugały nisko na niebie, gdy przewracano samochody, a ulice Balsall Heath grały czerwienią pod grzmącym niebem, wdychałam kwaśny dym stosów pogrzebowych. Kiedy szalały deszcze, rynsztoki bulgotały niczym gargulce, a białe ryby prezerwatyw pływały ulicami, w moich zębach zgrzytała ziemia nagrobków. Porankami, gdy wybijano okna sklepów, wyczerpana lecz upojona, czując jeszcze smak krwi na przygryzionym języku, przedzierałam się przez ten przeklęty świat. Moje poranione palce plamiły struny skrzypiec. Ból był konieczny. Jeśli się nie pojawiał, wiedziałam, że nie postarałam się należycie. Stałam się chodzącym stygmatem, nakręconą gotką, która nie słuchała współczesnej muzyki, z zaczerwienionymi od braku snu i umalowanymi na czarno oczami, przewiercającym człowieka spojrzeniem.

Podaję, że niewiele brakowało, bym wyrządziła sobie krzywdę. Wciąż jednak myślę, że mimo całego ówczesnego, typowego dla nastolatek dramatyzowania, moje poświęcenie i umartwianie się miało na względzie muzykę. Bycie tylko dobrą było złem. Było niczym. Było tak nieprzystające, że niemal nie do słuchania. Jedyne książki, jakie czytałam, traktowały o muzyce, zwykle o jej technicznej stronie, lub - co stanowiło moje wyłączone wytchnienie - brałam się za biografie wielkich kompozytorów i wykonawców. Biedny stary Gustav. Biedny stary Petyr, rozbijający się o beznadziejne skały apatycznej widowni. Ja jednak nie myślałam o nich w ten sposób. Śmierć dziecka, żony, kochanki, zabijająca umysł choroba, chorobliwa nieśmiałość czy ataki krytyków - w żadnym zwykłym sensie nie uważałam tych nieszczęść za coś złego, ponieważ takie właśnie jest życie i tego

należało się spodziewać. Żaloba, beznadzieja - im bardziej rozdzierające uczucia, tym lepiej - wszystkie należało uchwycić i nadać im sens muzyką, która miała przetrwać jeszcze długo po tym, jak ciało odejdzie od kości. Same emocje z kolei wydawały mi się bezwartościowymi spazmami chemii i płynącego w mózgu prądu.

Tak, grałam coraz lepiej. I nie było to jakieś złudzenie. Tu naprawdę chodziło o dzieło całego mojego życia i poświęcenia były konieczne. Ten jego chichot. I pojawiający się rzadziej śmiech. To, co zostało z jego zapachu ulatniającego się z koszulek i woni tego domu, i tego stulecia. Jego ciepłe, mocne usta na moich wargach tamtego Sylwestra. Jego pokój nadal znajdował się naprzeciw mojego, naznaczony blizną przypominającą słaby wschód słońca, białym cieniem chwilowego zrywu ojca. Poza tym pozostał niezmieniony. Czasami czekałam, by do mnie przyszedł. Długowłosy, wychudzony, w tym starym, spłowiałym czerwonym szlafroku. Chciałam, by się pojawił w towarzystwie innych wielkich romantyków. W końcu mój brat do nich pasował. Był piękny, utalentowany i martwy. Jakie to ma znaczenie, czy umarł wskutek OZNP, gruźlicy, szaleństwa czy samobójstwa? On również rozwijał się z syku mego niespokojnego oddechu i dźwięku mojego serca łomocącego o sprężynujący materac. Ślepy jak Carolan. Głuchy jak Ludwig. Wydarty z teraźniejszości, przybity do przeszłości, ale wciąż ze mną, chudy i blady, i porozumiewawczo kpiący. Im bliżej jednak podchodził, tym cieńszy i bardziej żaloszny się stawał. Leo i nie Leo zarazem. Nie potężna siła - już wcale nie siła. Stawał się kurzem i wiatrem. Brzęczeniem much. Otwartymi ranami dzieciństwa wypełnionego nieustannym głodem i cierpieniem. Był wyzutą z nadziei radością kapitulacji i esencją bólu. Był dzikim, białym światłem leżącym za najgłębszą czernią. Czasami, w najlepsze i najgorsze noce, pozwalałam się temu Leo, który nie był Leo, objąć i chciałam go coraz więcej. Poświęciłabym wszystko. Wszystko. I wiedziałam już, że on by to wziął. I może tak właśnie się stało.

Tata, wyniesiony awansem na nowe stanowisko, zajął się zdrowiem rodziny od strony praktycznej. „Prywatne ubezpieczenie medyczne” - obwieścił, gdy pewnego dnia wrócił do domu z połyskującymi broszurami - „wykupują sobie obecnie wszystkie odpowiedzialne rodziny. W końcu publiczna służba zdrowia jest niewydolna”. Mama i ja pokiwałyśmy głowami, wiedząc, że mógł się na to zdobyć tylko dlatego, że nie musiał już opłacać astronomicznych składek za Leo. Niemniej, przyjemnie było pomyśleć, że nawet w czasach niewiarygodnie wysokich opłat wreszcie było nas na coś takiego stać.

Na skraju Solihull, w nowym podmiejskim kompleksie, otwarto luksusową klinikę. Sam kompleks składał się z wielu budynków. W jednych znajdowały się sklepy. W innych biura. Jeszcze kolejne pełniły rolę magazynów, oddzielonych od sąsiadów wysokimi płotami i

tabliczkami ostrzegającymi przed automatami wartowniczymi. Było tam jezioro. Były kaczkę. Spotkania całej naszej trójki zostały wyznaczone na to samo popołudnie, ale ojciec musiał swoje odwołać, ponieważ został pilnie wezwany do szkoły w sprawie jakiegoś nagłego kryzysu. Zanim mama i ja dotarliśmy tego wietrznego, brudnego, słonecznego dnia do smętnego niebiesko-srebrnego monumentu poświęconego zdrowiu, do którego doprowadziła nas mówiąca wizytówka, byliśmy już tak podenerwowane jak skruszone grzesznice przed spowiedzią. Mama weszła przede mną. Czekałam, siedząc i gapiąc się na błyszczące na ścianach reklamy. Miejsce przypominało bardziej jakiś drogi klub odnowy biologicznej niż szpital. Nie widziałam ani jednego łóżka na kółkach, ani jednego chorego w zasięgu wzroku. Jedynymi zapachami, jakie wyczułam, były woń kawy i świeżo ściętych kwiatów.

Wreszcie wróciła.

- Cóż, zajmują się nami raczej dokładnie. - Westchnęła, opadając na krzesło.

Nadeszła moja kolej. Badająca mnie lekarka prawie nie dotykała mojego ciała. Wystarczyło, że wstawałam - lub siadałam - a rozmaite maszyny od czasu do czasu ćwierkały lub pomrukiwały dookoła. Wysoka i chuda, o słowiańskich kościach policzkowych, wydeła usta i cmokała cicho pod nosem, przyglądając się licznym informacjom na temat Roushany Maitland, które podsuwały jej ekrany. Zbliżali się już do momentu - wyjaśniła mi swym sennym akcentem - kiedy tego rodzaju wizyty przestaną być konieczne. Stalowe i ceramiczne piski mechanicznych mrówkojadów obwąchiwały mnie i badały, po czym znikwały.

Okazało się, że istnieje coś, co lekarka nazwała „znaczącą ilością danych” dotyczących moich przodków, zarówno ze strony Maitlandów, jak i Asharów, choć informacji medycznych na temat Hindusów z Gudżarat, jak i Irlandczyków z zachodniego wybrzeża, było o wiele mniej niż tych opisujących białych Anglosasów z innych rodzin. Niemniej, kobieta wspominała o odległych kuzynach, dawno zmarłych krewnych, śmierciach i narodzinach oraz falach emigracji w starym i nowym stuleciu. Powiedziała mi, że jestem przemęczona, że składa serdeczne kondolencje z powodu tragicznego odejścia brata i że muszę dłużej sypiać. Potem spytała mnie, jak wiele informacji na temat swego przyszłego życia chciałabym poznać.

Był czas, kiedy mogłam się odwrócić, poprosić o mniej lub więcej informacji, cofnąć się przed każdą prawdą, jaką miała mi wyjawić. Wtedy jednak bez zmrżenia oka spojrziałam w nadchodzące lata. Chciałam wiedzieć wszystko, na wypadek gdyby na obserwację świata zostało mi niewiele czasu. Wyrocznia jednak okazała się łaskawa, mówiła kojącym głosem. Otworzyła się przede mną otchłań dziesięcioleci.

- Jesteś w dobrej formie, Roushano. Odziedziczyłaś najmocniejsze cechy obu swoich rodzin. Przy twoim temperamencie i metabolizmie nie jest prawdopodobne, byś znacząco przybrała na wadze, nie grozi ci też poważniejszy nałóg, choć oczywiście nie oznacza to, że leki wysokiego ryzyka są dla ciebie bezpieczne. Biorąc pod uwagę normalne czynniki środowiskowe, prawdopodobieństwo, że wystąpi u ciebie złośliwy nowotwór wynosi niecałe dziesięć procent. Depresja jest mało prawdopodobna, chociaż bez trwałych bodźców, te szanse nieco wzrastają, a więc na twoim miejscu unikałabym dłuższych okresów bezczynności.

- W kim się zakocham i za kogo wyjdę?

- Jak dotąd medycyna nie rozwinęła się jeszcze do tego stopnia... Uśmiechnęła się.

Odpowiedziałam uśmiechem. Spodobało mi się to jej „jak dotąd”.

- ...jestem ci jednak w stanie powiedzieć, że możesz się spodziewać bardziej niż zadowolającego... hmm... życia miłosnego. A jeśli nie - uśmiech stał się nieco figlarny, rozmawiała ze mną jak kobieta z kobietą - będziesz mogła im uczciwie mówić, że to wyłącznie ich wina.

Czułam się tak, jakby mi podsunęła zwierciadło, w którym pojawiały się i znikwały wizje mojej przyszłości. Co mnie czeka? Czyje ręce chwycą moje i pociągną ku sobie? Co dam światu ja i co oddałam już sama?

- Chcesz może przerwać, Roushano? Resztę możemy omówić przy następnej wizycie. Możesz też sobie wszystkie wyniki w dowolnym momencie ściągnąć...

Pokręciłam głową.

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dożyjesz podeszłego wieku, i to w dobrym zdrowiu, zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Masz mocne kości, choć powinnaś unikać większych ilości nabiału. Są też pewne inne niekorzystne substancje, ale nic takiego, co mogłoby ci przeszkadzać w życiu... Przygotowałam listę.

- Dzięki.

- Oczywiście powinnaś regularnie ćwiczyć. Według mojej oceny, w późniejszych latach szczególnie przydadzą ci się ćwiczenia rozciągające, takie jak joga, zwłaszcza na krzyż i biodra, głównie z prawego boku. Przedtem jednak rodzaj ćwiczeń nie ma większego znaczenia. Perspektywy dla twojego serca i płuc są znakomite, nawet jeśli okażesz się na tyle głupia, by palić. Poza tym nie jesteś chyba osobą, która lubi siedzieć bezczynnie?

Pokręciłam głową. Zdążyła mnie już dobrze poznać.

- Jesteś muzykiem? Skrzypaczką? Ach, szczęściara z ciebie. Masz talent, coś, co cię napędza... - Spojrzała gdzieś w nieokreśloną dal. Może przypominała sobie własne marzenia,

które snuła niegdyś w swej słowiańskiej ojczyźnie i które musiała porzucić dla pieniędzy i pracy w obcym kraju?

Jedno pytanie jednak musiałam zadać.

- W jaki sposób umrę?

Przez chwilę na jej twarzy malowało się coś w rodzaju zaskoczenia.

- Tego nie mogę ci powiedzieć, Roushano. Tylko tyle, że jeśli będziesz traktować samą siebie z rozsądkiem i nie przydarzy ci się coś nieprzewidzianego, na przykład podczas przechodzenia przez jezdnię, powinnaś na własne oczy zobaczyć koniec stulecia.

Uszło ze mnie powietrze. Marne sto lat nie wydawało mi się wówczas szczególnie długim okresem. Podobnie zresztą jak teraz.

- A potem?

Na jej twarzy pojawił się zdystansowany uśmiech.

- Kto wie - powiedziała cicho - co będzie wtedy możliwe...

I jak wszystkie inne wyrocznie, miała rację, choć nie w sposób, jakiego się spodziewałam. Przeżyłam tylko nieco dłużej niż swoje wyznaczone stulecie, przynajmniej w tym ciele.

\* \* \*

Potem wybrałyśmy się z mamą do galerii handlowej, przeciskając się przez drzwi obrotowe dzięki naszym kartom identyfikacyjnym, podczas gdy inni pozbawieni przepustek zniechęceni ludzie kręcili się groźnie na zewnątrz. Rozważywszy wszystko dokładnie, cieszyłam się swoją perspektywą, matka wyglądała na równie zadowoloną. Nucila pod nosem, pędząc od jednego sklepu do drugiego, choć zauważyłam wtedy, a także w centrum medycznym, że jesteśmy jednymi z niewielu kolorowych osób nienależących do obsługi. Miała na sobie sari. Prawdę powiedziawszy, byłam wówczas tak bardzo przyzwyczajona do oglądania jej w tym hinduskim stroju, że dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, jak bardzo się wyróżnia.

Ona sama jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Mama, kiedy już przebrnęła przez lodowate pola śmierci Leo, była zdecydowanie szczęśliwa. Przybrała też nieco na wadze, zaczęła jeść palcami i rozmyślnie dryfowała ku swej hinduskości. Problemy, jakie miewała z ludźmi, którzy nie chcieli uwierzyć, że była matką Leo, pozostały - rodzice w szkole pytali, jak to możliwe, że ktoś taki jak ona uczy angielskiego - i to była jej zemsta. Gdy, siedząc w Starbucksie, dłużyła w wielkiej babeczce, zauważyłam na jej dłoniach blednące ślady henny. Coraz częściej też mówiła o miejscu zwanym „wioską”. Tamtego dnia

zdawałam już sobie sprawę, że nie ma na myśli Moseley, tylko rodzinną osadę Asharów w Gudzarat. Odwiedziła ją tylko raz, jako nadasana i zdecydowanie angielska nastolatka - przechodziła wówczas okres buntu i nie chciała się uczyć mowy rodziców - teraz jednak raz po raz wtrącała *haas* i *nas* i *ajuos*, a jej rozmów z babcią Ahsar nie rozumiałam ani w ząb.

- To kwestia fałszywości dumy - powiedziała, dojadając babeczkę i sącząc *cappuccino grande*. - Duma jest niczym. Tego musisz się jeszcze nauczyć, Roushano. Rozumiesz mnie?

Moja matka zamieniała się we własną matkę. Z drugiej strony, przez te spędzone bez Leo lata, ojciec i ja zbliżyliśmy się do siebie. On również znajdował ukojenie w smutnej i gniewnej muzyce, choć jemu pasowała raczej burza i napór heavy metalu, niż ponurzy romantycy. Nie wiem też, co mu powiedziano podczas wizyty w klinice, którą odbył w nowym terminie, ale z pewnością wywarło to na niego rozweselający efekt. Do pracy wychodził później, często piechotą. Do domu wracał spocony i szczęśliwy, a z jego teczki nie wysypywały się już naręcza papierzysek. Gdy pewnego razu zajrzałam do środka, znalazłam w niej tylko cztery kanapki. Zmienił się też jego gust muzyczny. Zawsze cenił sobie minimalistów w rodzaju Glassa lub Reicha czy Parta, których przedtem uważałam za nudnych oszustów, ale teraz, kiedy dźwięki ich kompozycji rozplywały się pomrukiem po całym domu niczym melodie rozkręcającej się pozytywki, zaczęłam rozumieć. Sekretem tej muzyki jest jej prostota. Przychodzi do nas bez żadnego bagażu emocjonalnego. Można do niej tańczyć albo płakać. Jeśli wyjść minimalizmowi naprzeciw, okazuje się objawieniem. Wszystkiego tego nauczyłam się od ojca.

On sam tymczasem wrócił nawet do komponowania. Nie był może dobrym muzykiem - dzięki temu, co o moim genetycznym dziedzictwie powiedziała mi słowiańska lekarka, zdawałam sobie sprawę, że fizyczną zręczność odziedziczyłam po mamie - miał jednak niezłe ucho i bawiło go granie, a powoli rozwijające się figuracje serialnego minimalizmu pasowały do poziomu jego zdolności. Zrobił nam prezent, kupił świetny nowy komputer i wiele godzin spędzał na digitalizacji i porządkowaniu naszych starych rodzinnych zdjęć i filmów. Z perspektywy czasu patrząc, było to ważne zajęcie, ponieważ gdyby nie ten jego wysiłek, większość danych z mojego wczesnego życia zniknęłaby zalana niekończącymi się falami nowych formatów plików i rodzajów sprzętu. Jedno szczególnie cenne nagranie znalazłam ledwie kilka dni temu, podczas pierwszej nieśmiałej wyprawy w głąb krainy pamięci. To wyłącznie dźwięk, ale niesie ze sobą cały ten ciepły, wiosenny dzień.

- Bardzo dobrze, Roushano. - Miękkie samogłoski akcentu taty rozbrzmiewają na samym początku. - Komu potrzebna cisza? Zrobimy z tego element utworu...

Nasz nowy komputer nie przyjechał do domu w plastikowej obudowie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie istniał w konkretnym miejscu, choć gdzieś znajdowało się jego źródło zasilania, a po domu rozsiane zostały jego węzłowe moduły, niczym zarodniki jakiegoś srebrzystego grzyba. Część interfejsu, z której korzystał właśnie tata, wisiała przed otwartym fortepianem, na szklanym skrzydle, i kiwnął ku niej głową, jak mógłby pokiwać osobie przewracającej strony. Tymczasem nagrane przez niego wcześniej gitarowe *arpeggio* zaczęło kroczyć od dur do moll, po czym wróciło z powrotem ku górze i swemu rozwiązaniu. Na to nałożył jeszcze prostszą melodię fortepianu, którą ozdobił jednym odmiennym dźwiękiem przy każdym powtórzeniu. W tym utworze, nagrany z balkonu głos śpiewającego ptaka staje się rechotem. Potem znika. Przez chwilę stosownym kontrapunktem okazuje się dźwięk trzaskających gdzieś na ulicy drzwiczek samochodu. Podobnie jak skrzypnięcia moich młodzieńczych dłoni, wyraźnie słyszalne, gdy unoszę skrzypce do mikrofonu. Moja kolej, by dorzucić coś do kompozycji ojca, choć wydaje się niemal, że już nic nie trzeba. I czekałam. Wtedy coraz lepiej rozumiałam potrzebę prostoty; wierzyłam w chwałę ciszy i pojedynczego, z rozmysłem dobranego dźwięku. Potem nagle, zupełnie znikąd, pojawiła się fraza i zagrałam.

Gdy utwór dobiegł końca, spojrzeliśmy po sobie w najwyższym zdumieniu. Odtwarzany teraz, wydaje się raczej ładny niż głęboki, niemniej, wtedy wiedzieliśmy, że ot tak, z powietrza, stworzyliśmy coś bliskiego pięknu.

- Cóż, jeśli... - zaczyna tata.

I wtedy nagranie dobiega końca. Nigdy więcej już nie słyszałam głosu ojca.

Następnego dnia wyszedł zapewne jak zwykle do pracy, choć ja - zwykle wstająca późno - zupełnie tego nie pamiętam. Przypominam sobie jedynie, że tuż przed lunchem wywołano mnie z lekcji i zastałam matkę siedzącą na sofie w gabinecie dyrektora. Miała bladą twarz, zupełnie pozbawioną wyrazu. Dyrektorka wydawała się zakłopotana i wymamrotała, że lepiej będzie, jeśli zostawi nas same.

\* \* \*

Dzień pogrzebu ojca wstał o wiele zimniejszy i bardziej wietrzny niż ten, kiedy chowaliśmy Leo. Na trawnikach krematorium rozłożyły się wielkie kałuże, zbierające i rozłupujące na kawałki gnające nad naszymi głowami niebo. Stawiło się wielu młodych ludzi. Ojciec zawsze był bardzo popularnym nauczycielem. Jego rodzice wydawali się skurczeni i jeszcze chudsi niż zwykle. Szczególnie patykowaty był dziadek Maitland, jego cienka szyja chyba tylko cudem podtrzymywała ciężar głowy. On także niedługo potem zmarł na zawał, podobny do tego, który powalił mojego ojca, ale w jego wypadku cały proces trwał dłużej. Za



każdym razem, gdy widziałam go z przekrzywioną głową na poduszkach, z beładnie jałowym wzrokiem i cieknącą z ust śliną, jeszcze bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że mój tata, nie poddając się żadnym kuracjom, i zmierzając ku swemu kresowi z uśmiechem, dokonał słusznego wyboru.

Przyjrzałam się wszystkim osobom na zwirowej ścieżce, szukając wzrokiem Blythe Munro, lecz nie miałam pojęcia, czy ktokolwiek ją w ogóle poinformował. Podeszłam więc do kuzyna Kapila, zaskakująco wymuskanego, ubranego w czarną marynarkę i białą koszulę bez kołnierzyka. Na twarzy wyrosła mu wrzuszająco delikatna broda. Teraz był ode mnie sporo wyższy - w zasadzie był jednym z wyższych Hindusów, jakich widziałam - i z tym swoim niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu zrobił się całkiem przystojny.

W jego klapie migotał dyskretny znaczek Krajowego Korpusu Ochotników. Każdy weekend, wszystkie wolne wieczory, poświęcał *hindutoie*. Wtórując sobie rzutkimi, zdecydowanymi gestami, tłumaczył, jak w prosty sposób można rozwiązać problemy całego świata, gdyby tylko ludzie dojrzeli prawdziwe ich przyczyny. Głównym źródłem kłopotów byli oczywiście muzułmanie. W odróżnieniu od uniwersalnego, gotowego na przygarnięcie wszystkich hinduizmu, tamci trzymali się aroganckiego twierdzenia, że wszystkie pozostałe religie są fałszywe.

- Czy chrześcijanie nie sądzą podobnie?

Wzruszył ramionami w dziwnie skomplikowany sposób.

- Ci, którzy tak myślą, są równie źli jak muzułmanie. Ale istnieje wśród nich też długa tradycja tolerancji. Weźmy katolików... - Wskazał na jeden z wieńców. - Oni także mają swoje sposoby na wyrażanie Brahmana. Trójca. Maria...

- Więc dlaczego wciąż pojawiają się konflikty?

Westchnął. Gdyby tylko ludzie dojrzeli... Ale tyle jest zajadłości. Tak wielu heretyków... Hinduizm zawiera w sobie zasadniczo wszystkie najlepsze elementy każdej z religii - mógłby z powodzeniem objąć cały świat. Ale wciąż są tacy, którzy walczą, którzy stawiają opór...

- Zaraz, Kapil, chcę się upewnić, czy rozumiem. Chcesz mi powiedzieć, że hinduizm zezwala na dowolne wyrazy wiary, ale ponieważ inne religie twierdzą, że to one posiadły jedyną prawdę, ty uważasz, że właśnie one się mylą?

Entuzjastycznie pokiwał głową.

- Cieszę się, że dostrzegłaś tę logikę. Tak wiele osób jej nie widzi... Nawet, dodało jego spojrzenie, niektórzy mężczyźni.

A ja czytałam gazety. Wiedziałam, co się działo w te weekendy, gdy wyjeżdżał do Bradford, Luton czy Derby na tak zwane pokojowe demonstracje lub marsze protestacyjne. Jak wszyscy inni, czułam nocami unoszącą się na ulicach Birmingham woń gazu łzawiącego. Widziałam meczety, świątynie i kościoły wypatroszone przez pożary lub samobójcze zamachy. Oglądałam w wiadomościach doniesienia z wojny, która wylała się z Kaszmiru, i widziałam okropności, do jakich dochodziło tam, gdzie zapewne według mego kuzyna znajdowała się nasza ojczyzna. Mimo wszystko jednak, trudno było odmówić atrakcyjności temu nowemu - rzutkiemu i zdecydowanemu - Kapilowi.

\* \* \*

Strata ojca była inna niż żałoba po Leo. Tęskniłam za nim słabiej, w bardziej zwyczajny sposób. Brakowało mi herbaty, którą zwykł mi przynosić w niedziele do łóżka, brakowało kartek z listami Spraw Do Załatwienia, które rozwieszał w kuchni i na których ja, Leo, a często też mama, wprowadzaliśmy głupawe zmiany. Zniknęły ciemne kropki zarostu, którymi po goleniu znaczył umywalkę w łazience. W dni powszednie, w przedpokoju nie stała już jego teczka.

Poddałam się żałobie jak grypie. Napuchła mi twarz. Po jedzeniu wymiotowałam. Bez przerwy czułam zmęczenie. Obrzydła mi nawet muzyka; słuchanie, granie, sama myśl o jakiegokolwiek melodii.

W jakiś niezrozumiały sposób mama utrzymała nas obie na powierzchni. W jakiś niezrozumiały sposób żyła dalej. Wstawała codziennie rano i budziła także i mnie. Porządkując sprawy ojca, odkryła, że w tajemnicy, spodziewając się śmierci, załatwił już niemal wszystko - posunął się nawet do tego, że poprzyklejał żółte karteczki z pomocnymi informacjami na co bardziej skomplikowanych dokumentach bankowych i ubezpieczeniowych. To także zniosła. Wróciła nawet do nauczania. Nie miałam i nadal nie mam pojęcia, jak to wszystko się jej udało. Pamiętam, że rozmawiała ze mną, kiedy siedziałam skulona w ciemnym zakątku własnego łóżka. Z suchymi oczyma, czołem wciąż pokrytym czerwonymi kropeczkami po wizycie w *mandirze*, powiedziała, że życie nie zawsze polega na robieniu lub mówieniu tych rzeczy, które w głębi ducha czujemy.

- Niekiedy, Roushano, czasami trzeba po prostu... udawać.

- I to ma być coś warte?

- Nic nie ma wartości. - Głęboko westchnęła i powoli zamrugowała. Nauczyłam się tego właśnie teraz... Przeszłość odeszła, kochanie. Nasze nadzieje i oczekiwania są bez znaczenia. Została nam jedynie przyszłość.

Matka nie pękła. Nie poddała się. Czasami nocą słyszałam, jak krząta się na dole, lub zastawałam ją wpatrzoną w jakiś codzienny przedmiot, który wywołał w niej wspomnienie Leo czy ojca. Kiedy jednak podchodziłam, zawsze podnosiła wzrok, wyrывała się ze swoich myśli i przytulała mnie. Jej zachowanie było dla mnie lekcją. Można się albo poddać, albo iść naprzód. Trzeciej możliwości nie ma. Pewnego dnia zaskoczyło mnie to, że gdy wzięłam do ręki skrzypce, uniosłam smyczek i poruszyłam struny osłabionymi palcami, dźwięki mimo wszystko popłynęły w powietrzu. Tak funkcjonuje świat. Przyczyna i skutek. Na podobnej zasadzie, kiedy tylko poruszałam mięśniami ust w mniej więcej właściwy sposób, wargi wciąż potrafiły ułożyć się w uśmiech.

\* \* \*

Po maturze, na której otrzymałam nie najlepsze oceny, podjęłam naukę w Sixth Form College, w Edgbaston, położonym niedaleko pięknych rezydencji Osiedla Calthorpea, gdzie, z tego co wiedziałam, nadal mieszkali rodzice Blythe Munro. Społecznie i ekonomicznie jednak szkoła należała do wewnętrznego kręgu miasta. W tej szkole moje azjatyckie rysy nie stanowiły już takiej rzadkości, choć Arabki prowadziły się wyłącznie z arabskimi chłopcami, Hinduski z Hindusami, muzułmanki z muzułmanami. Byli też Afrykanie i ciemnoskórzy przybysze z Karaibów, Nowi Radykałowie, Polacy, Birmańczycy i Kurdowie, oraz biali, wciąż historycznie podzieleni na katolików i protestantów. Ja także znalazłam sobie odpowiednią grupę znajomych, choć moja składała się z tych, którzy nie pasowali do żadnej innej - goci i metalowcy, fani piercingu, i homoseksualiści, którym z powodu niejednoznacznych strojów i urody zazwyczaj dawano spokój.

Wystawaliśmy w swych oddzielnych grupkach na chodnikach smaganych wiatrem, wzbudzonym przez przejeżdżające obok tanimi pasami samochody i ciężarówki oraz przez zgrabne, nowe autonomiczne maszyny, mknące po płatnych jezdniach. Obrazy i wiadomości migotały na naszych smartfonach, do których na stałe przyspawało się moje pokolenie. Wymienialiśmy syntetyczne spojrzenia, digitalizowane szepty, wirtualne feromony i ułożone przez komputery eseje. A także narkotyki. Popularne były również papierosy - wtedy już nielegalne. Ulubioną przez Leo marihuanę uważano z kolei za wartościową i leczniczą, palenie trawy zastąpiły więc tabletki i wirusy, aerozole i plastry, przez moment zapanowało nawet szaleństwo czopków. Nie chcę przez to powiedzieć, że używałam tego wszystkiego więcej, niż to było konieczne do zachowania jako takiej twarzy, ani że ciśnienie na to było tak wielkie. Trzeźwość była akceptowana, na każde dziecko ulicy przypadała dwójka lub trójka neokonserwatystów w ugrzecznionych burkach lub tweedowych marynarkach. Ogólnie rzecz

biorąc, wszystkie te gatunki młodzieży ścierały się ze sobą rzadko, nawet w tych trudnych czasach.

Pamiętam długie bezbarwne korytarze i długie bezbarwne zajęcia tamtej epoki. Pamiętam dojmującą niecierpliwość, z jaką czekałam na koniec kolejnego wykładu. Wiedząc, że każdy, kto robił cokolwiek ponad konieczne minimum, zostawał natychmiast wyśmiany, na ile tylko mi się udawało, oddzielałam muzykę od szkolnego życia. Jakże ochoczo godziliśmy się wtedy na te mrowiska edukacji! Wciąż z jakiegoś powodu dominowała teoria, w myśl której młodych ludzi należy na siłę karmić różnymi, losowo dobranymi informacjami, które mieli powtarzać słowo w słowo.

Często oszukiwałam szkolne systemy zabezpieczeń i wymykałam się na wyprawy po mieście. Nie miałam odpowiednich przepustek, by wejść na teren Osiedla Calthorpe'a, ale czasami wędrowałam wzdłuż jego granic i oddychałam zielonym powiewem pól golfowych i zraszaczy. Przysięgałam sobie, że pewnego dnia dostanę się do tego lub podobnego miejsca, ale na swoich własnych warunkach. Monsunowe lata Birmingham zostały zastąpione przez okresy suszy. Miasto pobłyskiwało i pomrukiwało dźwiękami ulicy, a wokół budynków publicznych wyrastały betonowe rafy, mające zminimalizować ryzyko zamachów bombowych. Upał był często nieznośny, naznaczony aluminiowym niebem, kłębami kurzu, pojawiającymi się znikąd plagami owadów, wykwitami nowych chorób. Nieco chłodniej było w mrocznym wnętrzu wznoszącego się tuż obok mojego Uniwersytetu Kościoła Oratorian, z jego rzymskokatolicką wonią kadzidła i starych kobiet, trzaskaniem drzwi i pokasywaniem. Lubiłam siadywać w nim na którejś z tylnych ławek i walczyć na spojrzenia z dymnie pozłacanymi świętymi, oświetlonymi jarmarczonymi światełkami i rozmaicie okaleczonymi. Wszystkiemu temu przewodniczył Chrystus. Rozpościerał ramiona, jakby chciał odlecieć. Uosobienie cierpienia.

\* \* \*

Pośród żółtych karteczek i dokumentów ojca mama odkryła jego opiewające na znaczną kwotę ubezpieczenie na życie. Firmy ubezpieczeniowe uginały się wówczas pod ciężarem odszkodowań za burze i wypłacanych stulatkom emerytur. Urzędnicy stwierdzili, że zawierając umowę, tata był świadomy swojej genetycznej słabości, i podważali nasze roszczenia, ale w trakcie tej - tak samo jak innych - bitwy matka się nie poddała i w końcu musieli ustąpić.

Gdy jednak przyszedł oczekiwany czek, oświadczyła, że zamierza odwiedzić rodzinną wioskę Asharów w Indiach. „Moją wioskę” - jak ją wtedy zaczęła nazywać. Chciała, żebym

się z nią wybrała, ale mnie wystarczały karcące spojrzenia i uwagi licznych ciotek mieszkających w Birmingham. Odmówiłam i dla zachowania pozorów ustaliłyśmy, że zaopiekują się mną babcia i dziadek, choć wiadomo było, że o wiele szczęśliwsza czułabym się zupełnie sama. Kiedy po trzech tygodniach matka wróciła, zauważyłam, że odzyskała zdolność uśmiechu, mimo że był nieco inny niż przedtem. Na lotnisku chwyciła mnie i wyściskała w świeży, pełen wigoru sposób. Prawie uszczypnęła mnie w policzek. Była blada wskutek infekcji jelit, ale pozbyła się cięższej jej żaloby oraz resztek angielskiej rezerwy.

Mimo że wciąż w wielu kwestiach była oszczędna jak dawniej, przejęła po ojcu umiłowanie do gadżetów i nalegała, bym włożyła kombinezon umożliwiający znalezienie się w wirtualnej rzeczywistości i doświadczyła nagranych przez nią Indii.

- Roushano, wprost nie mogę uwierzyć, że nigdy tego nie robiłaś.

Leżący na dywanie salonu czarny, spowity kablami skafander sprawiał wrażenie wypatroszonego kosmity. Niechętnie chwyciłam jego rękaw. Podobnie jak większości ludzi, tego rodzaju sprzęt kojarzył mi się przede wszystkim z pornografią.

- Nie wygląda na higieniczny...

- Oczywiście, że jest... One są samoczyszczące.

- Chcesz powiedzieć, że już ktoś go wkładał?

- Na litość boską, Roushano, tylko ja.

Rozebrałam się i włożyłam kombinezon. W ciemności pojawiły się gwiazdki - zapewne pozostałości dawnych projekcji lub zwykły elektroniczny szum - a potem, nagle, znalazłam się tam...

Wokół wysiadającej z taksówki mamy tłoczyły się dzieci o twarzach przypominających moją. Terkotały motorynki. Uśmiechnięte ciotki witały się gestem *namaste*. Ciepłe, wirtualne powietrze wypełniło mi nozdrza zapachami zbyt intensywnymi, bym mogła je rozpoznać. Usiadła w poszarpanym cieniu drzewa bel i jadła ryżowe kuleczki, a szybko prowadzone rozmowy kobiet zostały specjalnie dla moich angielskich uszu opatrzone zrozumiałymi napisami. Wówczas Indie trawił kryzys: wojna kaszmirska obejmowała coraz to nowe tereny, raz po raz odbywały się wybory, dziesiątki milionów uchodźców z zalanego powodzią Bangladeszu pojawiały się w Biharze. Życie jednak toczyło się nadal, a wioska mamy, położona około pięćdziesięciu mil od huku i wieżowców Ahmadabadu, była ładna i zielona, pełna rzek, farm i pól. Matka oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie nagrała dla mnie także innych scen. W końcu Indie to Indie, i adiwasi, członkowie prymitywnych plemion, których Hindusi wciąż nie uważali za pełnoprawnych ludzi, mieszkali w slumsach ledwie

kilka kilometrów od wioski. Widziałam też dalitów z niskiej kasty, tak zwanych nietykalnych. Wyjące chmary much, zbyt rzeczywistych, by mogły być nieprawdziwe, oblepiały mi skórę...

- Chciałam tylko, żebyś zrozumiała, Roushano - powiedziała mama, gdy nieznośne widoki i wonie uwolniły moje zmysły i odłączyła kable z powolnym wdziękiem, który zaczynałam kojarzyć z Hinduskami.

- Co miałam zrozumieć? Że tak właśnie wygląda kraj, któremu pozwala się rozpaść wskutek religijnych uprzedzeń?

Pokręciła głową, uśmiechnęła się do mnie tym nowym uśmiechem i popatrzyła na mnie pełnym cierpienia spojrzeniem, które odąd widywałam częściej; w obliczach madonn z renesansowych malowideł i hinduskich patiwratek. Wzrok mówiący, że życie jest krótkie, a Bóg litościwy, że wszelkie sukcesy są niczym, a cierpienie stanowi istotę świata i należy je po prostu znosić.

\* \* \*

W zamian za tę pierwszą z jej podróży do krainy nazywanej przez nas „Indiami mamy” następnego lata wybrałyśmy się do „Kornwalii Roushany”. Nie udało nam się odnaleźć domku, gdzie zatrzymaliśmy się po raz pierwszy - zresztą, pobyt w nim bez ojca okazałby się zapewne zbyt bolesny - i zadowoliliśmy się mieszkaniem, z którego roztaczał się widok na brzeg i sklepiki z rybą i z frytkami. Niewielki kurort nazywał się Portreath. Wtedy była to mekka surferów. Mimo że lato trwało w pełni, fale były wysokie, ponieważ topniejąca czapa lodowa Grenlandii zasilala Atlantyk świeżymi wodami. Spacerując po klifach i szerokich plażach, z fascynacją obserwowałam latające w chmurach samoloty-amfibie i wyczyny bodysurferów.

Rankami całe wybrzeże kryło się pod niewiarygodnie gęstą mgłą. Potem, gdy wciskałam się w lśniące zwoje przypominającej płyn, pozbawionej tarcia tkaniny, która przekształcała ciało w coś, co potrafiło ślizgać się po falach, pojawiały się pierwsze promienie słońca. Nauczyłam się języka morza, o wiele dziwniejszego od dialektu z Gudżarat. Zawierałam też łatwe znajomości na plaży.

Wieczorami pojawiały się ogniska, plastikowe butelki cydru i snująca się w powietrzu woń chemicznej ucieczki. Często towarzyszyła temu muzyka: brzęk gitar, ludzkie głosy odbijające się od przydymionego pohukiwania fal. Nie mogłam ryzykować ujawnienia swych skrzypiec, ale zdarzało się, że ktoś przynosił jednorazowy keyboard, który anektowałam, zaskakując towarzystwo swymi umiejętnościami. „Hej, całkiem nieźle ci idzie...”. Pamiętam,

że pewnego ranka wróciłam nad morze i znalazłam zeszlonocony keyboard porzucony na skałach, wciąż cicho grający, wyglądający jak ofiara zrodzona z obrazu Dalego.

W miarę jak noce gęstniały, pary odłączały się od reszty i znikwały w ciemności wydm. Niekiedy moja rozmowa z którymś z chłopców przeciągała się i czułam dłoń na plecach albo muśnięcie na piersi. Zawsze jednak się wycofywałam. Niemniej, zdawałam sobie sprawę, że całego tego seksu - jak go sobie nazywałam - nie powinnam unikać. Gdy wróciłam do domu na ostatni rok studiów i większą część energii poświęcałam na przygotowania do egzaminów wstępnych do Royal College of Music, pozostałą uwagę poświęciłam na rozważanie dostępnych kandydatów.

Większość moich męskich znajomych albo nie była już prawiczkami, albo pompatycznie celebrowała swój celibat. Teraz zaczęłam się im przyglądać bardziej krytycznym okiem. Mama nosiła wyłącznie tradycyjne stroje i uważano mnie za osobę do cna przesiąkniętą hinduskością, co ograniczało moją teoretyczną pulę genów do innych Hindusów, ale ten pomysł odrzuciłam od razu. Gdybym zdecydowała się na kogoś takiego, babcia Ashar od razu zaczęłaby marudzić, że usłyszała gdzieś, że mam chłopaka i że może już czas urządzić wspólną herbatkę z jego rodziną. Czy naprawdę byłam tak wyrachowana, beznamiętna i cyniczna? Myśl o uprawianiu seksu nie pociągała mnie w ogóle. Bawiłam się nawet rozważaniem, czy nie jestem lesbijką, choć i tego rodzaju myśli nie wywoływały żadnych silniejszych wzruszeń. Z równym krytycyzmem zdawałam sobie sprawę, że jestem w miarę atrakcyjna, a przynajmniej potrafię za taką uchodzić, choć moje zachowanie podczas ostatnich lat zyskało mi reputację zimnej kusicielki lub, co gorsza, kobiety zupełnie aseksualnej. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że zacznę się z kimś spotykać, sprawdzę, jak nam idzie, a potem ewentualnie wypróbuję kogoś innego. Całą sprawę traktowałam jak recital czy koncert. Wszystko musiało pójść dobrze już za pierwszym razem albo nie odbyć się w ogóle.

Moje plany skupiły się wreszcie na chłopaku imieniem Caspian, który siedział w ławce obok mnie na ćwiczeniach z geografii i z którym czasem komentowaliśmy wykładowcę, kpiąco do siebie ziewając. Caspian, z tym swoim niezmiernym, arystokratycznym imieniem, nie należał do żadnej konkretnej subkultury. Dobrze grał w tenisa, był inteligentny, a od jego poprzedniej dziewczyny dowiedziałam się - co było dla mnie istotne - że ma w seksie pewne doświadczenie.

Alarm bombowy w szkole, zimą, kiedy doszło do masakry podczas festiwalu Maha Shivratri, sprawił, że odesłano nas wcześniej do domu. Gdy wychodziliśmy tłumnie przez bezsilnie popiskujące wykrywacze metali, trzymałam się blisko Caspiana. Spadł śnieg i ulice

pokrywała gruba warstwa brązowej mazi. Poszliśmy razem. Caspian kochał książki starego typu - z okładkami i stronami - więc pojechaliśmy autobusem ku zakurzonym antykwariatom, które wciąż działały wokół uniwersytetu. Gdy chodziliśmy w mroźnym zmroku od jednej do drugiej księgarenki, opowiadał mi o pierwszych wydaniach swych ulubionych dzieł i objął mnie ramieniem. Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy całować pod latarnią, wśród spadających z nieba płatków, poczułam jednocześnie pustkę i pragnienie.

Niedługo potem mama znów wybrała się do Indii. Zamiast poświęcać się charytatywnie walce z OZNP, aktywnie wspierała teraz sierociniec w pobliżu swojej wioski. Czasami opowiadała mi o nim, jakbym tam była, a ja obiecywałam, że tak, na wiosnę, może jesienią, albo kiedy dostanę się na RCM. Oczywiście, żadna z nas nie wierzyła, że kiedykolwiek z nią pojedę.

- Niedobrze się czuję z tym, że znowu cię zostawiam, Roushano - powiedziała cicho, wciskając staniki, figi i zwoje sari do małej steranej torby, jej jedyne bagażu.

- Nie martw się. Wszystko w porządku.

- Oczywiście, gdyby udało ci się na parę dni wyrwać...

- Mamo.

- Tak. To głupi pomysł. Przepraszam. - Podeszła i przytuliła mnie. Poradzisz sobie, prawda? - Zadźwięczały bransoletki, jej oczy zbliżyły się do moich na tyle, że zlały się w jedno.

Pachniała miętą i paczuli. Nie przyszło mi do głowy, że już nigdy mnie nie zobaczy.

- Mamo, przecież to ja powinnam się niepokoić o ciebie.

- Niemniej...

I wtedy dobiegło nas z dołu trąbienie taksówki.

\* \* \*

O swoim planie dotyczącym tego, co mieliśmy zrobić naszej pierwszej samotnej nocy w domu w Moseley, powiedziałam Caspianowi otwarcie. Kupiłam nawet butelkę wina w sklepiku na rogu, a on obiecał, że przyniesie odpowiednie środki zapobiegawcze, mimo że dziwnie się czułam z przyklejonym plasterem, a żadne z nas niespecjalnie lubiło alkohol.

Wpatrywaliśmy się w butelkę i dwa nietknięte kieliszki, jak w jakąś dziwną martwą naturę. Wieczór z wolna toczył się naprzód. Skoro ustaliliśmy, że będziemy się kochać, samo tylko całowanie wydawało się pozbawione sensu. Włączyłam jakąś muzykę, ale tym razem ledwie słuchałam. Pozwoliłam już Caspianowi masować moje krocze i całować piersi.



Wrażenie było niejasne, ale przyjemne. Zauważyłam także pojawiające się i niknące w jego spodniach zgrubienie; gdy udaliśmy się w półmroku na górę, ukazało się znowu.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - wymamrotał z wargami na mojej szyi, gdy zaczęliśmy się rozbierać. Nikła księżycowa poświata zagrała na jego piersi, brzuchu, a kiedy zsunęłam majteczki, zaślniła na jego zaskakująco wykrzywionym, nabrzmiałym penisie.

Caspian nie okazał się złym wyborem; wszedł we mnie powoli i rozdarł moją - nieporuszaną w rozmowach - dziewiczość serią delikatnych pchnięć. Wkrótce skończył, a ja zostałam z cieknącą wilgocią i nagłą potrzebą znalezienia się pod prysznicem, którą powstrzymywałam z uprzejmości. Kochaliśmy się - pieprzyliśmy - jakkolwiek nazwać to, co robiliśmy - jeszcze dwukrotnie tej nocy, choć nadal w pewien roztargniony sposób. Nie szczytowałam i kiedy wczesnym porankiem leżałam, obserwując niewielkie zaczerwienienia na plecach Caspiana, ustaliłam ze sobą, że seks zapewne może stać się jedną z przyjemności mego życia, ale nigdy nie zajmie miejsca muzyki. Niełatwo mi było spać, dzieląc łóżko z drugim człowiekiem, dryfowałam w dziwnym stanie zawieszenia, póki wreszcie nie obudziłam się gwałtownie. Śniły mi się poczerwiałe i poskręcane ciała. Potem tuż przy moim uchu zagrzechotał zimny, suchy chichot i ocknęłam się wyrzucona na skraj materaca - samotna, zalana blaskiem poranka. Słyszałam Caspiana w kuchni. Trzaskały drzwi szafek, brzęczały sztucce. Poczułam nawet zapach kawy. Przeciągnęłam się i uśmiechnęłam. Tak, wtedy zrozumiałam, dlaczego ludzie porównują seks do jedzenia - to jego ciepło i nieporządek, i bezpośrednia fizyczność. Kolejnym podobieństwem okazało się to, że poczucie spełnienia trwa chwilę, a później znowu nadchodzi głód. Z salonu doleciał mnie głos dziennikarza prezentującego najświeższe wiadomości. Aż wreszcie Caspian wszedł z powrotem na górę.

- Dokąd mówiłaś, że pojechała twoja mama...? - spytał, stając w drzwiach. Ku memu rozczarowaniu nie przyniósł ze sobą kawy.

- Przecież wiesz, wybrała się do...

- Mówią o tym od samego rana, Roushano. Wybuchła wojna atomowa. Zrzucili bombę na Ahmadabad.

\* \* \*

Przez całą noc pół spałam, pół czuwałam. Nagle wysoką falą zalały mnie wspomnienia, wokół których krążyłam, których szukałam, a może i unikałam - nie można przed nimi uciec. Nawet teraz, wynurzając się w kruche światło kolejnego poranka pod

koniec lata, słyszę dźwięki otwieranych i zamykanych na dole szafek. I dolatuje mnie woń kawy.

Jak postrzegam śmierć? Nie mam żadnych głębokich refleksji, nie czuję fascynacji. Zwierzęta - wszystkie z wyjątkiem być może słoni, wielorybów i delfinów - umierają z łatwością. Nie wiedzą, że ona nadchodzi. Czy my ją przeczuwamy? Oczywiście powinniśmy. W końcu sprowadza się to do biologii, czasu i praw fizyki. Jeśli trącimy strunę, ta wibruje. Jeśli ktoś przychodzi na świat, wcześniej lub później umrze - to wszystko wiedziałam od dawna - ale daty, godziny, wszystkie szczegóły okazały się dla mnie nowością. Dziwnie było słuchać lekarza mówiącego o porach roku. Tego lata? Tak - lato byłoby zapewne do przyjęcia. Jesień również, choć obecnie jesienie są tak szybkie i ostre, że ledwie się je zauważa - ale zima była zdecydowanie nie do przyjęcia.

Majaczy przede mną czarny mur i nie mam dobrego pomysłu na to, co czeka za nim.

Oczywiście, umierali już moi znajomi: sponsorzy i biznesmeni, z którymi musiałam się zadawać, by móc występować. Na wyprzedanych koncertach pojawiały się puste krzesła, poprzednio zajmowane przez ledwie zauważane istoty. Potem był mój dawny agent, Adur Foster, który, gdy siedzieliśmy przed londyńską kawiarenką, powiedział mi, że rak, z którym od lat zmagają się implanty w jego ciele, wygrał wreszcie swoją wojnę. Oczywiście zostało mu jeszcze kilka miesięcy, ale, szczerze mówiąc, nie chciał ich marnować na zajmowanie się tymi bzdetami związanymi ze - spójrzmy prawdzie w oczy, Roushano - arogancką i niewdzięczną klientelą. Adur zrobił więc to, co robili wszyscy racjonalni ludzie - i odpowiednio się przygotowywał do swej ostatniej w życiu podróży. Rozstaliśmy się z obietnicą, że skontaktuje się ze mną, gdy tylko upora się z - jak to ujął - tym cholerstwem. Powiedział, że może nawet zdecyduje się wciąż prowadzić moje sprawy, choć nigdy potem już się do mnie nie odezwał.

Była też Daisy Kornbluth, którą poznałam przez jej męża Jorge, wyborczego wiolonczelistę. Daisy skończyła, mieszkając samotnie w Kornwalii; chodziłyśmy niekiedy na spacer, zapraszałyśmy się wzajemnie na kolacje, bądź po prostu odwiedzałyśmy się i razem złorzeczyłyśmy na cały świat. Mimo że wspólne narzekanie podobało się nam obu, to jednak Daisy cechował smutek głębszy niż mój, taki, do którego nie mogłam dotrzeć, ani ona nie umiała go wyjaśnić. Pewnego dnia, gdy raczyłyśmy się piwem w przytulnym wnętrzu „Księcia Prus”, powiedziała mi, że uznała, że już dość. Nie, nie, czuła się dobrze, dobrze, tak, absolutnie. Po prostu przyszedł czas na zmianę. Mniej więcej miesiąc później poszłam na jej ceremonię przejścia i zastanawiałam się, czy jestem jedyną osobą, która uważa, że obecność Daisy na uroczystości, która była praktycznie jej własnym pogrzebem, jest co najmniej nieco

dziwna. Gdy siedziałyśmy w cieniu ogrodowej huśtawki przed jej domem i obserwowałyśmy przechadzających się po trawniku członków staromodnie licznej rodziny, obie ze śmiechem stwierdziłyśmy, że jest coś zabawnego w słuchaniu wygłaszanej na własną cześć mowy pożegnalnej i możliwości samodzielnego poprawiania drobnych pomyłek w tekście.

- Powiedz - spytałam - jak było?

Zamrugła i dziwnie na mnie spojrzała.

- Chodzi mi o przygotowania.

- Ach... To ciężka praca. Zaskakująco ciężka.

- Naprawdę czujesz, że jesteś gotowa?

Ścisnęła moją dłoń.

- Roushano, prawda jest taka, że uświadomiłam sobie, że pewna część mnie umarła już dawno temu. - Uśmiech, tak samo drobny i zimny jak jej ręka, zadrgał na wargach Daisy. - Właśnie tego nie potrafiłam ci wcześniej wytłumaczyć.

- Więc jak to jest? Czy teraz już wiesz...?

Znów na mnie spojrzała, choć wciąż nieswoim wzrokiem.

- Mam na myśli to, że w tej chwili pewnie rozumiesz to lepiej.

- Nie sądzę, Roushano. Trochę przypomina to podróż do miejsca, o którym się słyszało i miało przecucie, że dobrze się je zna. Im jednak bardziej zbliżasz się do celu, tym bardziej dociera do ciebie, że to jednak obce miejsce. Ale obiecuję ci, że pozostaniemy w kontakcie. Jej sucha dłoń ścisnęła moją tak mocno, że prawie zabolęło.

Przysłała mi kwiaty - olbrzymi pióropusz wielobarwnych róż. Dotarły do mnie kilka dni po jej przejściu, wraz z podziękowaniami spisany mi jej własnym, delikatnym pismem. Rozmawiałyśmy raz czy dwa przez ekran w kuchni i miałam niemal wrażenie, że rozmawiam z prawdziwą, żywą Daisy. Opowiadała mi o niewiarygodnych rzeczach, których doświadczyła, i o tym, że jest szczęśliwa. Prawdziwa Daisy jednak nigdy nie była szczęśliwa w ten sposób, co ta nowa. Potem były kolejne kwiaty - na te święta dostałam poinsecję - kolejne ręcznie pisane liściki i wiadomości namawiające do utrzymania znajomości. Wszystkie konsekwentnie ignorowałam, aż wreszcie (gdyż nawet umarli bywają domyślni) przestały przychodzić...

Przewracam się na bok i wpatruję w pustą, niezmiętą poduszkę, zastanawiając się nad Caspianem, mamą i Ahmadabadem. Potem idę po plażę i jest wczoraj, i zauważam coś na mieliźnie. Martwa foka, wybielony morską solą pniak, igraszka wyobraźni? Zupełnie jak sam ocean, obraz rozplywa się i ciągnie mnie gwałtownie w dół. Znowu spadam, tonę...

Drzwi sypialni stają otworem i ktoś wchodzi do pokoju, przy wtórce pobrzękującej zastawy. Poruszają się poduszki. Pochyla się nade mną osoba, której twarz wydaje się niemal znajoma.

- Nie obraż się, że cię obudziłem. - Oblicze zawisa nade mną otulone rozpostartymi skrzydłami światła.

- I tak nie spałam.

- Nie jesteś chyba osobą, która lubi się wylegiwać, Roushano.

Kręcę głową. Adam ma na sobie ten sam strój co wczoraj, uśmiecha się też we wczorajszy sposób, choć ma wilgotne włosy, a wokół woni kawy wyczuwam też sosnowy zapach mydła.

- Brałeś prysznic?

- Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza? - Ostrożnie ustawia tacę na moich kolanach.

- Nie. Czuj się jak u siebie w domu. - Poza kawą dostałam też rogaliki i dżem, podane na najlepszych talerzach w Morryn. - To jest...

- Przepraszam, wiem, pewnie się panoszę.

- Nie, nie. - Muszę przełknąć łzy. - To jest najpiękniejsza rzecz, jaką ktokolwiek zrobił dla mnie od bardzo długiego czasu.

\* \* \*

- On był wspaniałym człowiekiem, prawda?

Adam rozejrzył się po Morryn, choć nie do końca mogę oskarżyć go o wścibstwo. Ten dom wręcz pęka od rzeczy. Nagrody i dyplomy. Moje dzieci - Edward i Maria - pozujące na ruchomych lub nieruchomych obrazach, wszystko to, co robili za młodu - wymięte projekty na zakurzonym papierze, splekane wyroby z gliny i blednące skrawki wirtualności. Liczne zdjęcia mamy i taty w staromodnych, prostych kolorach. I pocztówki z Indii lub Kornwalii, i jeszcze bardziej dziwne, nowsze pisma, które niekiedy dostają od wnucząt. Wszystkie plakaty anonsujące moje dawne recitale, niektóre wciąż jaskrawe i żywe. Ponad wszystko jednak wygląda na to, że Adam szukał Claude'a.

- Poznałeś nazwisko mojego męża? - pytam. Stoimy na dworze, na porośniętym mchem patio ponad schodzącym łagodnie ku morzu ogrodem. Burza, która go do mnie sprowadziła, zdążyła się już wycofać i nastał kolejny, jasny i ciepły, wietrzny dzień.

- Tak mi się wydaje. Dotarło też do mnie, że wiem, kim ty jesteś, Roushano Maitland. Oboje jesteście równie sławni...

Potakuję. Nie potrafię stwierdzić, czy mówi szczerze, czy tylko stara się być uprzejmy.

- Roushana Maitland i Claude Vaudin. To zupełnie jak...

- Barenboim i du Pre? - podsuwam.

- Tak - zgadza się. - Tylko znacznie lepiej.

- A kogo miałeś na myśli?

- Doktora Jekylla i pana Hyde'a. - Śmieje się do tej myśli. - Wiem, wiem. To głupie... -

Idziemy powolnym krokiem między ścieżkami i kamieniami. - Te wszystkie rzeczy... Po prostu do mnie przychodzą. Czuję się zupełnie tak, jakbym zwiedzał bibliotekę i sięgał po losowo wybrane książki. Nie mam pojęcia, co znajdę w następnej. Ale to, co zgromadziłaś w domu... ty i twój mąż. To się układa w jedną całość.

- Cóż, to jest przynajmniej czyjeś życie.

- Ale nie moje, prawda?

Idziemy dalej po trawniku i zatrzymujemy się przy niskim murku wyznaczającym granicę Morrbyn. Za nim widać morze, które wgrzyzło się w ląd, tworząc Bezant Bay. Autowskaz - kryształowy monolit - pobłyskuje na Gribbin Head, spoglądając ku Fowey po drugiej stronie wzgórza. Gdybyśmy wykonali choć jeden krok za daleko, urządzenie wykryłoby obecność Adama. Będzie o wiele bardziej bezpieczny, jeśli zostanie ze mną w Morrbyn, przynajmniej dopóki nie rozstrzygniemy pewnych kwestii. Wiem, że czas jest cenny i że muszę wrócić do tego, co się stało w Ahmadabadzie i potem, ale łatwiej jest mi stać tutaj, oddychać morskim powietrzem i opowiadać Adamowi o miejscu, w którym się urodziłam, i tym, gdzie dorastałam (oczywiście słyszał o Birmingham, choć tylko mgliście). Opowiadam mu też o Leo. „Teraz wszystko zależy od ciebie, siostrzyczko”. Wspominam nawet to zdanie, choć Adam nie wydaje się nim w najmniejszym stopniu zaskoczony, nie wykazuje też zrozumienia. Widzę po prostu ten sam smutek, który zauważyłam wczorajszego wieczoru, kiedy oglądał świat na kuchennym ekranie. Potem mówię mu o swej miłości do Kornwalii i o charakterystycznym dźwięku, jaki - o wiele bardziej niż nawoływania mew i huk fal - rozlega się tu niemal bezustannie, o syku wiatru przeciskającego się przez żywopłoty, ponad dachami i murkami, wokół wygiętych gałęzi, po kołyszącej się trawie. Słuchaj: można go usłyszeć i teraz, choć jest cichutki - niczym oddech lub bicie serca...

Uśmiecha się i bardziej zdecydowanie niż dotąd kiwa głową.

Gdy wracamy do domu, bez pomocy kuchennych urządzeń parzy dla nas kawę - moja jest słodka i czarna, wie już jaką lubię - po czym znów siada na stolku przed ekranem i zaczyna przeglądać to, czego szukał, podczas gdy ja - mam wrażenie, że to stało się niemal tradycją - idę do pokoju muzycznego, by ćwiczyć. Wyobrażam sobie oczekujące nas dni, chwile, które razem spędzimy, i wszystkie te drobne rzeczy, jakie jeszcze wspólnie zrobimy.

Morrbyn zacznie żyć innym rytmem, kurz zawiruje w powietrzu, wypełnią się pokoje. Życie, najcenniejsza ze wszystkich rzeczy, potoczy się dalej...

To dziwne i cudowne uczucie, mieć wzgląd na kogoś oprócz siebie. Gdy przebiegam kilka transkrypcji Scotta Joplina, wracam do gorączkowych dni, kiedy tu, w Morrbyn, opiekowałam się dziećmi. I jeszcze dalej, do czasów, kiedy to mama opiekowała się mną. Dotyk jej rąk, jej zapach, śmiech, wszystko to wzrusza, i wrażenie jej obecności jest tak silne, że odkładam skrzypce w pół frazy i opadam na krzesło przy biurku. Pokój muzyczny pulsuje, blednie, a moje palce, wiedzione nagłą potrzebą, przetrząsają rozgardiasz na blacie. Jest! Niewyraźny i pognieciony - niemal zbyt mały, by można go odnaleźć, i zbyt tani, by przetrwał tyle lat. A jednak. Jest tu. Skrawek taniego papieru, zabarwiony lekkim różem. Ostemplowany numerem „219”.

\* \* \*

Gasną światła. Wiatr rozwiewa chmury. Samochody zatrzymują się na drogach. W pierwszym białym błysku, który zalał Ahmadabad o dwunastej siedem czasu lokalnego, a potem Lahore i Dżajpur, i jeszcze Hajdarabad i Karaczi w odwetowym ataku Indii, giną miliony ludzi, których cienie wypalają się na ścianach. Później nadchodzi fala gorąca i wichru. Niebo pęka na kawałki, dachy wzlatują ku górze. Budynki składają się jak domki z kart. Ciała popielą się do nagiej kości. I wtedy, na długo zanim nad znikającym miastem wyrośnie atomowy grzyb, nadciąga ogień.

W odległej Wielkiej Brytanii tak wiele rzeczy przestało działać w ciągu następnych kilku godzin, że ciężko było uwierzyć, że jednak nie padliśmy ofiarą tego samego, rozrastającego się puls. Dokładnie w chwili, gdy Caspian przekazywał mi wiadomość, zamilkł głos telewizyjnego dziennikarza. Komputery przestały działać, zaatakowane przez jakiegoś drapieżnego wirusa. Psy sąsiadów szczekały na nienaturalnie ciemne niebo. Zaczęłam wciągać ubranie i krzyknęłam do Caspiana, żeby wracał do siebie, po czym samotnie ruszyłam przez Augustus Road, z niejasnym postanowieniem dotarcia do domu babci i dziadka Ashar w Handsworth.

Zupełnie jakby wszyscy od dawna czekali na tę chwilę, miasto pogrążyło się w delirycznym chaosie. Główne ulice zostały zatkane przez samochody ludzi poszukujących krewnych lub po prostu starających się uciec z miasta. Obawiali się, że i ono zostanie zniszczone. Wyły alarmy w pojazdach i mieszkaniach, widziałam leżące na boku autobusy, a chodniki już skrzyły się szkłem z tłuczonych wystaw okradanych sklepów. Zdarzały się także dziwne momenty spokoju. Pamiętam, że zobaczyłam kobietę jadącą konno po bocznej,

niezajętej korkiem jezdni. Mijając mnie, uśmiechnęła się z góry, po czym spięła wierzchowca i klusem ruszyła ku Highgate Park.

Wieści wypływały z narożników ulic i otwartych drzwi domów. Ludzie zbijali się wokół tych niewielu urządzeń, które wciąż działały, i chłonęli informacje. Nie wszystkie bomby eksplodowały, nie wszystkie osiągnęły swe cele. Wyglądało na to, że Islamabad jest nietknięty. Podobnie - przynajmniej na razie - Delhi. Fala szoku wywołanego przez skuteczne ataki, do jakich doszło tego straszliwego południa, rozchodziła się jednak coraz szerzej. Ludzie już zaczęli mówić o trzeciej wojnie światowej, bądź o apokalipsie, i wydawało się, że to jedynie kwestia godzin, minut, sekund, gdy dołączą do niej Chiny i Rosja. Potem Ameryka i Europa, i Egipt, i jeszcze Izrael i Iran. A także Tajwan, Korea i Japonia. Dżakarta tymczasem zniknęła w wybuchu, który do dziś pozostaje niewyjaśniony.

Nieco lepiej sprawy wyglądały na skraju zamkniętych osiedli Edgbaston. Tutaj niewielu mieszkańców mogło stracić kogoś bliższego niż krewnego sprzątaczkę, a wysokie płoty i znaki ostrzegawcze pobłyskiwały niecodziennie triumfalnie na tle nisko wiszących czarnych chmur. By uniknąć niechybnego w centrum chaosu, oddaliłam się od ulic i dalej poszłam ścieżkami biegnącymi nad kanałami. Powietrze nad tymi pustymi wodami osiadało miękkimi, pachnącymi dymem falami. Uświadomiłam sobie, że to zupełnie możliwe, że babcia i dziadek wyruszyli po mnie, do Moseley, ale szłam dalej.

Wątpię, czy gdyby nie kanały, w ogóle dotarłabym do Handsworth. Gdy wyszłam spod osłony mostów, ujrzałam płonące budynki i naprędce wznoszone barykady. Hindusi walczyli z muzułmanami. Czarni z białymi. Plemię z plemieniem. Od dawna tłąca się wojna wybuchła i tutaj, w Birmingham. Ciała kołysały się na latarniach. To, że byłam dziewczyną i miałam na sobie chłopięce, zachodnie ubranie, zapewne uratowało mi życie. Nikt nie wiedział, po której stronie stoję, i gdy brnęłam przez zadymione ulice w stronę domu dziadków, poczułam, że łapie mnie za rękę daleki kuzyn. Zarzucił na ramię kilof, którym wrywał przed chwilą kawały asfaltu z ulicy, i poprowadził mnie dookoła płonących, przewracanych samochodów.

\* \* \*

Babcia i dziadek kilkakrotnie próbowali się wydostać - pieszo i swoim podstarzałym samochodem - ale za każdym razem coś blokowało im drogę lub zawracali w obawie o własne życie. Na mój widok zareagowali tak, jakby zobaczyli ducha - nie dawali wiary, że ktokolwiek zdołał przebyć taki szmat drogi. W domu zastałam także wuja Indrę i rozhisteryzowaną ciocię Rupeę. Kuzyn Kapil, podobnie jak matka, pojechał do Indii, choć jego

ostatnie e-maile były na tyle enigmatyczne, że nikt nie wiedział, gdzie dokładnie się zatrzymał. Sąsiedzi i inni krewni przychodzili i wychodzili. Przez okna wrzucano cegły. Kuchenne ręczniki osuszały krwawiące czoła. Potem - wciąż nie przywrócono prądu - zaczęły się rozmrażać lodówki. Nie spuszczałyśmy wody w toalecie, obawiając się, że przestaną działać również wodociągi. W korytarzu pojawiły się wiadra i rondle. Płonęły świece, rozlegały się echa wystrzałów, a długi wieczór ciemniał, przechodząc w to, co zanosilo się na pierwszą noc w zupełnie odmienionym świecie.

Następny ranek zaświtał dziwnie cichy i pogodny. Przez naszą ulicę przetoczył się wojskowy pojazd. Działka skanowały balkony, głośny megafon napominał mieszkańców, by nie opuszczali domów, ale gdy nadeszło wczesne południe, ludzie, nie zważając na zakazy i nakazy, zaczęli się ponownie pojawiać, niczym zmartwychwstali umarli, na przeobrażonych chodnikach i jezdniach Handsworth.

\* \* \*

Pojawiły się pierwsze informacje, że zniknęło także Delhi. O hinduskiej armii mówiono, że wciąż naciera, albo że prowadzi chaotyczny odwrót. Dżajpur stało się masowym grobem. Plotka głosiła, że to samo można było powiedzieć o Bradford. Tutaj, w Birmingham, wojsko zajęło centrum błyskawicznie i zdecydowanie, co sugerowało, że realizowało z dawna nakreślony plan. Maszyny na gaśnicach rozpoczęły usuwanie barykad i stawiały nowe, własne. Nasz świat gwałtownie się skurczył. Mężczyźni w kuloodpornych strojach, z goglami optycznymi na oczach, zatrzymywali paszczami luf każdego, kto wytknął nos poza swoją ulicę. Żyliśmy stęchłym chlebem nan i wyciskanymi z tubek lodami. Ludzie nosili żałobną biel. Wielu młodych aresztowano. Staraliśmy się przekonać katatoniczną ciotkę Rupe, że być może Kapilowi w Indiach jest lepiej.

W powietrzu unosiła się woń palonej gumy i ścieków. Nastął czas papieru. Płonące gazety fruwały nad ulicami; na szyjach pobitych podpalaczy tudzież osób podejrzewanych o kolaborację z muzułmanami wieszano tekturowe tabliczki. Zdjęcia z wakacji rozlepiane na murach i latarniach ozdabiały miasto rozpaczliwymi prośbami o kontakt, pośpiesznie drukowane zdjęcia domniemyanych okrucieństw oraz wzywające do walki ulotki przekazywano z rąk do rąk. Nasze cenne, cyfrowe tożsamości, i cała ta sprytna technologia, stały się nagle zupełnie bezużyteczne. Przeglądaliśmy stare akty urodzenia i karty medyczne, których babcia Ashar - znająca się nieco na trybach i zasadach biurokracji jeszcze z czasów spędzonej w Indiach młodości - nigdy nie wyrzuciła. One, wraz z nowymi, niewyraźnymi



kartami identyfikacyjnymi, wydawanymi wszystkim tak zwanym etnicznym Brytyjczykom, stały się nagle istotne w ustalaniu, kim jesteście i co wolno nam robić.

W oknach migotały świece. Birmingham jeszcze nigdy nie było tak ciche. Nikt nie wiedział niczego na pewno. Indie pozostawały białą plamą. Mówiono, że pakistańskie bomby i rakiety okazały się niewypałami lub że hinduski rząd wybudował zawczasu tajne schrony, dzięki którym niemal wszyscy ocalili, że przetrzymują nas tu w Handsworth z powodu nowej, pleniącej się na świecie choroby, albo że osoby z europejskimi paszportami są właśnie wywożone z Indii i że angielskie władze zorganizowały dla powracających centrum kwarantanny na miejscowym lotnisku.

Czy mama żyła? Pytanie wydawało się pozbawione sensu. Jej wioska leżała prawie pięćdziesiąt mil od centrum Ahmadabadu, ale nikt nie miał pojęcia, jaką moc miała bomba ani w który punkt metropolii uderzyła. Pamiętałam także, że mama często wybierała się do miasta na spotkania związane ze swoją działalnością charytatywną i że wybuch nastąpił w południe. Poza tym, nawet jeśli przeżyła pierwszą fazę ataku, pozostawał problem jego następstw: pożary, dyzenteria, choroba popromienna, wojska - zarówno hinduskie, jak i pakistańskie - groźba kolejnych wybuchów, bezprawie... Targała mną bezkresna niepewność. O ile w ogóle byłam w stanie wyobrazić sobie cokolwiek, widziałam matkę stojącą na drodze przed wioską, przyglądającą się huczącemu, rosnącemu grzybowi, uginającym się i buchającym płomieniami drzewom, i w końcu ruszającą w ich stronę.

Niektóre z krążących historii okazały się prawdziwe. Kalkuta przetrwała, a krewni ewentualnych ofiar, dysponujący odpowiednimi certyfikatami i zezwoleniami, faktycznie byli przewożeni na lotnisko w Birmingham. Nikt nie wiedział, co nas tam czeka, ale babcia, wybierając się po przepustki, znalazła się w swoim żywiole. Przymilała się. Wyklócała. Próbowwała wyłudzać. Demonstrowała swą okazałą kolekcję dokumentów. Po długiej nocy stania w kolejkach i dyskusjach z urzędnikami, ona, ja i wujek Indra wsiedliśmy wreszcie do autobusu o zabielenych oknach, który miał nas zabrać do ośrodka kwarantanny. Reszta miasta pozostała dla nas tajemnicą, gdy, trzęsąc się i podskakując, jechaliśmy zniszczonymi ulicami. Współpasażerowie milczeli bądź cicho płakali.

Przez przednią szybę dostrzegaliśmy przelotnie czołgi i wielkie betonowe bloki grodzące skrzyżowania. W końcu autobus się zatrzymał i strażnik obwieścił krzykiem, że mamy się wynosić - my, czarne kurwy. Przez te kilka chwil, kiedy już znaleźliśmy się na zewnątrz, zauważyłam długie płoty i asfalt, a potem trafiliśmy do jakiegoś odległego zakątka lotniska. Na plecach czuliśmy lufy karabinów. Babcia i ja straciłyśmy kontakt z wujkiem Indrą. Stłoczono nas razem z kilkoma tysiącami innych Hindusów w mroźnym magazynie.

Gdy usiadłyśmy na betonowej podłodze, babcia przypomniała sobie, że w lepszych czasach kupiła w tym samym miejscu dywan.

Bez względu na porę dnia, w tej hali nigdy nie wyłączano światła. Nieliczne toalety przestały działać dawno temu. Ludzie wytyczali między sobą linie demarkacyjne, podjęto kilka nieśmiałych, bezsensownych i nieudanych prób zbudowania czegoś zapewniającego prywatność. Z wysoko zawieszzonego dachu skapywała wilgoć. Babcia wkrótce zaczęła odświeżać dawne znajomości: „Ach, moja obecna szwagierka mieszkała kiedyś w tej okolicy Bradford...”. Nad naszymi głowami często przelatywały z rykiem wielkie odrzutowce. Krążyła pogłoska, że podobna do naszej, tyle że muzułmańska grupa, jest przetrzymywana w pobliskim magazynie - tym, jak na chłodno poinformowała mnie babcia - w którym niegdyś znajdował się sklep Marksa i Spencera. Pewna kobieta popełniła samobójstwo; wspięła się na wewnętrzną ścianę budynku i skoczyła, jakiegoś młodzieńca znaleziono martwego, z kawałkiem rusztowania w sercu - zapewne był to akt zemsty. Mówiło się, że Londyn i większa część południowego wschodu kraju zostały zniszczone przez Rosjan, ale wiadomości, prawdziwych wiadomości, otrzymywaliśmy tu jeszcze mniej niż w Handsworth, a strażnicy nie odzywali się ani słowem. Potem, trzeciego dnia, w jednym z kątów sali, na sporym podwyższeniu zainstalowano potężny głośnik, z którego płynęła lista fatalnie wymawianych nazwisk.

Zaczelśmy się tłoczyć wokół tego wielkiego czarnego pudła. To śmieszne, jak bardzo poprawiły się nam nastroje, kiedy rozważaliśmy każdą zniekształconą frazę, i jak te dyskusje narastały, gdy nielicznym wybranym pozwolono opuścić ten czyściec przez niewielkie i dobrze strzeżone drzwi z napisem „PRZEJŚCIA BRAK”. Czekając, przysnęłam.

- Teraz my. - Babcia obudziła mnie kuksańcem.

\* \* \*

Za tymi świętymi drzwiami natychmiast nas rozdzielono i popędzono innymi korytarzami. Nie widziałam babki przez kilka następnych dni. Coraz trudniej przychodziło mi wspomnianie mamy, powoli zapominałam powód, dla którego się tu znalazłam. Potężnie zbudowana kobieta o sztywnym wyrazie twarzy wprowadziła mnie do pustego pokoju i kazała się rozebrać. Wreszcie, drżąc bardziej z oburzenia niż z chłodu, ponownie już ubrana, lecz wciąż bosa, otrzymałam polecenie zajęcia miejsca przed łuszczącym się biurkiem w jednym z boksów, gdzie miałam czekać na swoją kolej. Wiedziałam, że dotarłam do celu - nieopodal ktoś szlochał, ktoś inny krzyczał - ale byłam kompletnie wyczerpana.

- Nazwisko...?

Popchnęłam przez blat moje zdobyte z takim trudem dokumenty. Zostały zignorowane.

- Nazwisko...?

Przesłuchująca mnie osoba odeszła. Pojawiła się nowa. Przypominało to jakąś dziwną odmianę zabawy w „chodzi lisek koło drogi”. Przerwy były długie i siedziałam w ich trakcie bez ruchu, bosa, ze stopami na karbowanej, gumowej podłodze. Kobieta za najbliższą ścianką bez końca powtarzała ten sam numer lotu. Żałowałam, że nie mam dość energii, by kazać jej się zamknąć.

- Mówisz, że twoja matka pracowała dla organizacji charytatywnej. Pod jakim numerem jest ta organizacja zarejestrowana? Masz jakieś dokumenty podatkowe? Jak się dokładnie nazywa?

Dotarło do mnie, że informowanie ich, że mama zajmowała się w Indiach działalnością dobroczynną, równało się przyznaniu, że jest terrorystką. No i był jeszcze kuzyn Kapil.

- Plany małżeńskie, były jakieś?

Czy matka nie była - matka i ja także - brytyjską obywatelką? Czy nie przysługiwały nam jakieś prawa? Ale młody mężczyzna w rozluźnionym krawacie tylko uśmiechnął się lekko, kiedy bezsilnie próbowałam się na niego wściec. Ostatecznie, znalazł się tu zapewne z taką samą niechęcią jak ja.

Nabrałam przekonania, że prawda o tym, czy mama żyje, czy nie, zależy wyłącznie od tego niekończącego się przesłuchania. Pomyłkowo użyte słowo, źle zaznaczona opcja w formularzu, i zniknie na zawsze, zabita nie przez wojnę atomową, ale przez administrację. Gdy minęła większa część następnego dnia, dostałam różowy los loteryjny, oznaczony liczbą dwieście dziewiętnaście, a także, byle jak wydrukowany mniejszą czcionką poniżej, dłuższy numer indywidualny - czyli jeszcze więcej papierów. Wtedy mnie i parę innych osób wyprowadzono na zaskakująco jasne słońce i wsadzono do jeszcze jednego autobusu o bielonych szybach, który przewiózł nas przez kilka blokad drogowych do szklanej fasady hali odlotów międzynarodowych. Ściskając w dłoniach nasze cenne losy, weszliśmy do środka. Byłam już tu, odprowadzałam mamę, lub odwiedzałam krewnych, i na pewno tu bym się znalazła, gdyby Leo i ojciec dotarli do Wenecji. Tym razem jednak wrażenie było dziwne.

Można było pomyśleć, że w terminalu trwał ostatni długi weekend przed ostateczną śmiercią tanich linii lotniczych i otwartych granic. Ludzie spali na siedzeniach albo kulili się na wypakowanych walizkach. Inni płakali, rozprawiali, wymachiwali rękoma, kłócili się z każdym, kto zechciał ich wysłuchać. Nawet biorąc pod uwagę niedawne doświadczenia i mój

własny zapach, panująca tu woń była wprost straszliwa. W tunelu odlotów leżały szeregiem nosze i coś, co mogło być jedynie workami na zwłoki. Dookoła roili się żołnierze. Co dziwne, z głośników wciąż sączyła się typowa dla lotnisk muzyka.

Nie działała żadna z tablic informacyjnych, ale stary mężczyzna w czapeczce, jaką nosił kiedyś Nehru, powiedział mi, że samolot z Indii, lecący przez Cypr, właśnie wylądował. Nagle ludzie zaczęli krzyczeć i przeciskać się nad nową partią worków z ciałami. Uciekając przed nimi, wbiegłam po wyłączonych ruchomych schodach na galerię, stanęłam przy zamkniętych lub splądrowanych sklepach i spojrzałam w dół. Rój czarnych głów. Gdzie jest babcia? Gdzie wujek Indra? Opadłam z sił, zalana łzami i falą bezradności.

Zanim ponownie zdobyłam się, by spojrzeć w tłum, minęło kilka minut. Zrobiłam to bez nadziei na cokolwiek. I nie uwierzyłam własnym oczom - to zbyt łatwe. W niezrozumiały sposób była naraz mamą i nie mamą. Jakoś dziwnie obracała głowę. Rozpoznałam ubranie, ale poruszała się jak ktoś obcy. Oszołomiona zbiegłam z powrotem na dół. Oblało mnie morze ludzi. Ostre, niespokojne głosy. Machano mi przed twarzą starymi zdjęciami zaginionych krewnych. Odtrącałam je. Mama pojawiała się i znikwała w rytm falowania ciżby. Nadal mnie nie zauważała. Kiedy się niemal do niej dopchałam, odwróciła się wreszcie i zaczęła przeć w moją stronę, wśród napierającego tłumu. Drżącymi dłońmi dotknęła moich rąk, ramion, twarzy.

- To ty, Roushano.

Uśmiechnęła się. Patrzyła trochę w bok. Zrozumiałam, że jest niewidoma.

\* \* \*

Adam okazuje się gościem idealnym. Po odebraniu maszynom władzy w kuchni, gdy przygotował dla nas śniadanie i pozmywał po nim, znalazł w mojej skąpo zaopatrzonej lodówce dość jedzenia, by przyrządzić ten całkiem znośny obiad. Poranek upłynął wraz z rzeką wspomnień i jest już popołudnie. Usiedliśmy, jedząc odświeżony w piekarniku chleb wraz z kilkoma gatunkami w miarę przyzwoitych serów. Mamy nawet winogrona, choć nie mam pojęcia skąd je wytrzasnął, podobnie jak tajemnicą pozostaje pochodzenie plasterków soczystego salami i słoika marynowanych orzechów. Dla mnie to prawdziwa uczta, choć dziwnie się czuję, siedząc tak we własnym domu, we własnym ciele, podczas gdy jakaś część mnie rwie się z powrotem do tysięcy innych, przycupniętych na betonowej podłodze lotniskowego magazynu...

- Jesteś dziś raczej milcząca - zauważa Adam, nalewając mi wodę z karafki.

- Mam pewne... - Macham ręką, przeżuając mechanicznie. - Zamyśliłam się.

- Oczywiście. Nie moja sprawa.

Czyżby chciał to ze mnie wyciągnąć? Nie kontynuuję.

- Właściwie możemy to dokończyć. - Wystrzępiony rąbek starego swetra Claude'a unosi się, gdy mój gość kroi resztkę sera. Zauważam, że warstwa wodoodpornej maści, którą spryskałam jego bok, zaczęła tracić barwę. - Zastanawiam się - podejmuje, jakbyśmy nie zmienili już tematu - co by się stało, gdybym cię tu zostawił i poszedł dalej.

- Nie wiem... - Znow myślę o Birmingham, o chwili, gdy stałam się uchodźcą we własnym kraju. - Gdybyś skierował się w głąb lądu, w stronę drogi, albo dotarł w pobliże miasta takiego jak Fowey, zapewne wykryłyby cię autowskazy. Wtedy twoja tożsamość zostałaby, hmm, jak sądzę, używają terminu „sprawdzona”. Gdyby się okazało, że masz prawo tu przebywać, zabrano by cię z powrotem na twoje dawne miejsce, do twojego zwykłego życia. Jeśli nie, zostałbyś schwytany, uwięziony i odesłany.

- To niezbyt uczciwe, prawda? Przecież w obu wypadkach pozostałbym tą samą osobą.

- Świat nie jest uczciwy. Nie wiedziałeś o tym?

Mruga. Idealnymi zębami przygryza idealną wargę.

- Myślisz zbyt negatywnie, Roushano. - Wykonuje kobiecy gest, jednocześnie seksowny i czarujący u kogoś tak zdecydowanie męskiego. Musi istnieć jakaś nadzieja. W przeciwnym razie nie siedzielibyśmy tutaj, prawda? W przeciwnym razie leżałbym martwy na plaży.

- Masz rację. Przepraszam. Przypomniałeś sobie cokolwiek? Świetnie sobie radzisz z urządzeniami w kuchni.

- Zauważyłaś? - Uśmiecha się ukradkiem, po czym spuszcza głowę.

- A te ślady po sznurze... - Wyciągam rękę nad niedojedzonym obiadem, chwytam jego dłonie, odwracam wnętrzem do góry i odsuwam mankiety. Otarcia zdążyły już zblednąć.

- Przyjrzałeś się im? Podobne masz na kostkach. Nie wydaje ci się, że mogłeś być... no cóż... związany?

Oddychając zgodnym rytmem, dzieląc się miękkim, bijącym od jego ciała ciepłem, wpatrujemy się w jego przeguby, mimo że nie ma już nic do powiedzenia.

Wreszcie, w przeciągającej się ciszy, puszczam go.

- Nieważne - rzucam. - Dziękuję za poczęstunek. Sama nie wiem gdzie to wszystko znalazłeś. Niemniej, obawiam się, że umrzemy z głodu, jeśli nie kupię więcej jedzenia. Oczywiście... - wskazuję ekran - mogłabym zamówić coś dzięki temu i dostarczono by wszystko w godzinę, ale lubię robić zakupy i, mówiąc otwarcie, nie sądzę, by dobrze było, gdyby jakiś durny kurier cię tu zobaczył.

\* \* \*

Ubrana w płaszcz stoję na ganku. Postanawiam wprowadzić kod zamykający wszystkie drzwi i okna Morryn. Lepiej będzie - tłumaczę sobie - jeśli Adam zostanie w środku, tam gdzie jest bezpiecznie...

Ruszam starą szosą w kierunku Fowey. Omiata mnie niemal ciepły, porywisty wiatr. W jego zmiennych, huczących, szepczących, syczących powiewach wciąż słyszę echa koncertu Sibeliusa, który wypełniał mnie całą, gdy spacerowałam po urwistych brzegach Kornwalii. Kiedy mrużę oczy w cytrynowym blasku słońca, porzucone pola znów pokrywają się cętkami owiec, a odległe wiatraki generatorów znów zaczynają się obracać. A jednak, cienka jak sama bryza, blada niczym światło, olbrzymia drobinka jakiegoś lewiatana unosi się na niebie, wchłania i przetrawia trucizny, które nadciągają tu z innych, mniej szczęśliwych krajów. „To jest przyszłość, siostrzyczko”. Wystarczy przymknąć powieki, podnieść wzrok ku słońcu. To takie proste, takie bliskie...

Bezant Bay migoce tam, gdzie wiekowy asfalt urywa się, przechodząc w niedawno powstałe urwisko. Plaża w ostatnich latach zwężyła się, w wyrwach świeżych osuwisk pieni się woda. Zatrzymałabym się i odpoczęła, ale wiem, że jeśli zamarudzę, porwą mnie wspomnienia, a przecież muszę iść. Gdy ruszam dalej nadbrzeżną ścieżką, odsłania się przede mną szerszy krajobraz, widzę ujście rzeki Fowey i gotyckie wieżyczki Place House. Miasteczko nie zmieniło się zbyt wiele od chwili, gdy pojawiłam się tu po raz pierwszy z mamą i tatą. Barki nadal suną w stronę zatoki pomiędzy przypominającymi łapiące oddech ważki łodziami. Samochody pełzną po esplanadzie, a prom wciąż terkoce, płynąc z Bodinnick, choć rzecz jasna teraz to wszystko odbywa się bez udziału człowieka. Wąskie strome uliczki nawet pachną tak samo jak dawniej: węglem i rybami, lekkim posmakiem wilgoci, któremu towarzyszy nagły chłód, gdy wchodzi się w ich niemal wszechobecny cień. Jak zawsze, w pobliżu kręcą się ludzie - wielu z nich to prawdziwi ludzie - kupują, rozmawiają i gapią się staromodnymi spojrzeniami, kiedy nieśmiało obok nich przechodzę - są też jednak inne istoty, ślady głosu i barwy, przypominające jedwabne szale zbyt szybko przeganiane przez wiatr, bym mogła je zauważyć. „Och, patrzcie...!” - woła ktoś i ręce, które nie mają ciała, drżą w zachwycie. Zapewne turyści, do których Fowey od wielu lat przywykło, ale ci zostali przyniesieni tu z innego miejsca dzięki sieci srebrzystych żył, pobłyskujących na chodnikach niczym pierwszy zimowy szron.

Wchodzę na rynek i zaczynam napełniać swoją pasiastą torbę różnorodnością towarów oferowanych na straganach i w sklepikach. Leżące na lodowych łóżach śledzie toczą ze mną

walkę na miny. Podobnie czynią oliwki łypiące czerwonymi ślepiami papryczek. Gdybym przed wyjściem z Morryn zastanowiła się co kupić, byłoby mi łatwiej, ale nadal nie mam pojęcia, co Adam lubi ani jak długo zostanie. Decyduję się więc postawić na różnorodność. W efekcie kupuję większe niż zazwyczaj ilości wszystkiego co lubię - co lubiłam. Biorę więc śledzie i pastę kawiorową, brązowe jajka i bekon, świeżo zebrane pieczarki, pachnącą rosą kolendrę i bułeczki z szafranem, a także - tak! - truskawki. Handlarze zachowują się przyjaźnie, usłużnie i są śmiesznie dumni ze swych stoisk. Sami wszystko hodują, albo wędzą, albo robią czy łapią - na moim kawałku bekonu widnieje nawet uśmiechnięty świński ryj i imię. Jestem pewna, że zwierzę wiodło szczęśliwe życie, zupełnie jak ci wszyscy zadowoleni, skwapliwi ludzie, którzy ochoczo podają mi swoje wytwory, mamrocąc przy tym coś zbliżonego do mojego imienia.

Cieszę się tu w Fowey swoistą sławą, przerastającą nawet famę otaczającą Bessie, dawno już zjedzoną, ale mile wspominaną świnię-rekordzistkę. Wiecie, jestem tą kobietą-muzykiem, która gra na jakimś akustycznym instrumencie, na skrzypcach czy czymś podobnym, i mieszka w tym ładnym domu na Sithy Hill. Zwykle obiecują, że przyjdą na któryś z mych miejscowych recitali, ale najczęściej się nie pojawiają. Kiedy moje ręce zaczynają już odczuwać ciężar zakupów, cała ta wymiana wydaje mi się przesłodzona. Choćby dlatego, że nie płacę - po prostu podają mi to, o co proszę. Wiem, że odpowiednie czujniki rejestrują każdą transakcję, ale i tak mam poczucie pewnej niestosowności. Zupełnie jakbym była statystką na planie filmowym, które to wrażenie wzmacnia jeszcze fakt, że w tych czasach wszyscy wyglądają znakomicie. Pośród wysokich, atrakcyjnych, przystojnych, obdarzonych dobrym koścem i autentycznymi cechami rasowymi, jedynymi z żywych, którzy naprawdę się wyróżniają, są nieliczni starsi ludzie, tacy jak ja, i jeszcze bardziej wiekowi, podtrzymywani przez dyskretne, ale i tak rozpraszające uwagę zewnętrzne szkielety, pozwalające im na automatyczne ruchy - ci, którzy wciąż trzymają się tej Ziemi, podczas gdy już dawno powinni odejść jak należy. „To jest przyszłość, siostrzyczko”. Przyszłość nadeszła i odpłynęła. A ja wciąż tu jestem. Podobnie jak umarli.

Nie pojawili się jeszcze wszędzie. Choć wkrótce i do tego dojdzie. Współczesne miasta - Londyn, gdzie mieszka Edward, i Barcelona Marii - są pełne tych dziwnych półprzezroczystych wirów, które dostrzega się kącikiem oka. Nawet w solidnym, statecznym Fowey, odkąd główne ulice pokryto bezustannie rozrastającą się siecią kryształu, często trudno jest stwierdzić, na kogo ludzie patrzą. Przez większość mojego życia widok osoby rozmawiającej z ożywieniem z kimś, kogo nie widać, nie był powszechny. Moje wnuki, w tych rzadkich wypadkach, kiedy mnie odwiedzają, ścigają się z duchami po trawnikach

Morrbyn, a ta kobieta, tam, ze śmiechem obejmuje niemal niewidocznego przyjaciela. Stoją przed antykwariatem i zastanawiają się nad jakimś bibelotem. Pola kryształu zagarniają coraz większe terytorium. Widać je po dodatkowym połysku na schodach nad zatoką, widać w grze światła i cienia nad nimi. Od lat obserwowałam to w salach koncertowych, na pustych siedzeniach, które nie były tak naprawdę puste, i potem na bankietach, w hotelach i wspinających pałacach. „Patrzcie, Roushana Maitland... Doskonały występ... Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni...”. Wir, uśmiech, dotyk niewiarygodnych dłoni i poczucie autentycznej obecności, jakiego doznawałam, gdy witałam się z kimś, kogo tam nie było i być może nawet już nie żył. Mama, ze swymi skomplikowanymi kombinezonami do odbierania rzeczywistości wirtualnej i hinduistycznym światopoglądem, byłaby zapewne zachwycona, ale tak samo jak w wypadku dawnej przyjaciółki Daisy i agenta Adura, ja zawsze wołałam się wycofać, przeprosić, odwrócić spojrzenie...

Teraz już naprawdę muszę usiąść i odpocząć. Inaczej po prostu nie dam rady wrócić do Morrbyn. Kieruję się do kościoła Świętego Fimbarusa, który na swój ateistyczny sposób lubiłam zawsze, ponieważ jest stary i pusty, a teraz cenię go jeszcze bardziej, gdyż jak dotąd nie przejęły go duchy. Błogosławiony, trącający myszką spokój zalewa mnie, gdy tylko zamykam drzwi i siadam na jednej z pustych, błyszczących ławek.

Przychodziłam tutaj często, kiedy jeszcze dzieci były małe, choć Maria zawsze dostrzegała tu mnóstwo znaków i tajemnic. We wnętrzu nic się nie zmieniło, a pytania córki, które zadawała, dotykając kamieni i mosiężnych rzeźb na ścianach - robiła to z niepokojącą mnie wówczas czcią - nadal rozbrzmiewają mi w głowie. „Dlaczego ten pan krwawi? Co to jest rezurekcja? A co to jest to z dziurami zamiast twarzy?”. To trupia czaszka, kochanie, i właściwie jak to się stało, że muszę ci tłumaczyć te mizoginistyczne, przeniknięte obsesją śmierci czary-mary? Wiem jednak, że jednym z wyzwania rodzicielstwa jest konieczność wyjaśniania świata tak, jakby się osobiście było odpowiedzialnym za jego porządek, a Maria zawsze wyglądała na pełną nadziei i jednocześnie bezradną, zwłaszcza gdy wysuwała nieco dolną wargę. W jej miękkich i rozkojarzonych spojrzeniach widziałam coś, co dostrzegam niekiedy jeszcze i teraz. Budynki, które projektuje, mają w sobie posmak Świętego Fimbarusa. Najbardziej wyraźnie wyczuwa się go w tym, który wzniosła w Barcelonie, na placu obok tego kościoła - *Sagrada Familia*, na który zmarnował swoje życie Gaudi, kolejny religijny maniak - ale równie namacalnie widać to w szklanych i żelaznych powierzchniach nowej kuchni Morrbyn. Odlatuję, dryfuję - już najwyższa pora, żeby wracać. Motam się przez chwilę z plastikowymi uchwytami mojej niegdyś wesoło ubarwionej torby, po czym ruszam między rzędami ław. I wtedy tonę w głębokiej fali przeszłości. Muszę usiąść.



\* \* \*

Mama otworzyła kolorową torbę na zakupy, w której przyniosła wszystkie swoje przepustki.

- Ta - powiedziała, po omacku wyszukując białą kostkę, na której widniały wyblakłe napisy - jest ściśle wojskowa. Tak naprawdę nie powinnam jej mieć. Ale dzięki niej można przejść przez wszystkie posterunki, aż do podziemnych biur w NCT. Powinnam była ją oddać, ale jakoś się nie złożyło. Weź, poczuj...

Siedziałam z nią w dusznej i gorącej kafejce na Maiden Lane w Londynie. Było wczesne popołudnie i wyszłam już z zajęć w Royal College of Music. Po ulicy mknęli rowerzyści: rozmazywali się w niewyraźne smugi, a ona opowiadała o swych bezustannych podróżach do Indii. W jej ustach każda z historii rozrastała się do rozmiarów *Mahabharaty*.

- Tę z kolei dostałam podczas postoju w Adenie. A to jest owoc rozmowy - tak naprawdę przesłuchania - w Krakowie.

Niektóre przepustki były grube, niektóre cienkie. Jedne toczyły się jak kulki, inne przybierały formę znaczków, z kilku sterczały agrafki umożliwiające przypięcie do ubrania. Z niektórymi należało bardzo uważać, gdyż w chwili kontaktu natychmiast łączyły się z ciałem użytkownika, jeszcze inne były w stanie wydzielać truciznę. Matka rozpoznawała je wyłącznie dotykiem. Słuchając jej głosu, zanurzyłam się w inne myśli. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przygląda mi się uważnie swymi zniszczonymi oczyma.

- Wszystko w porządku, Roushano? Jesteś jakaś...

- Nic mi nie jest - odparłam, nieco zbyt kategorycznie.

Niedawno zakończyłam jeden ze swoich krótkotrwałych związków. Tym razem był to chłopak, choć wtedy próbowałam już także dziewczyn. Z jakiegoś powodu podobieństwa wydawały mi się duże, a różnice niewielkie. Koniec też zawsze był podobny - padałam ofiarą oskarżeń i wybuchów gniewu, których prawie zupełnie nie rozumiałam, póki nie nauczyłam się wyszukiwać osób równie jak ja swobodnych w dawaniu i przyjmowaniu fizycznych oznak namiętności. Jednakże w tamtej chwili, nawet w tej dusznej kawiarni, czułam tylko chłód.

W drugiej torbie - odmiennie ubarwionej przeciwwadze - mama miała nagrania swych podróży. Zajrzenie do nich oznaczało doświadczenie dźwięków i woni, gorącego, deszczowego i metalicznego nieba zawieszzonego nad zrujnowanymi przez wojnę Indiami. Pozwalały usłyszeć głosy mamrocące w dialekcie z Gudżarat, w hindi, niezrozumiałych lokalnych odmianach angielskiego. Przechadzając się ze swymi plecionymi torbami w szarym salwarze i sandałach, mama zawsze po piracku obwiązywała sobie głowę jaskrawymi

szalami, które maskowały jej rzędzące włosy. Ona i jej szale zyskały pewną sławę w Ahmadabadzie Dwa. Niektórzy zwali ją *nhe gooda ladya*, inni powiadali, że jest świętą, *sadhu*. Kiedy odsunęła na bok moją kawę i pokazała mi obrazy, usłyszałam ich głosy.

- Nie chcę już więcej słyszeć żadnych wymówek - powiedziała. - Następnym razem, w letnie wakacje, pojedziesz ze mną do Indii. Mogłabyś się tam teraz przydać. Coś zmienić. Słyszałam nawet tę twoją melodię w windzie na lotnisku...

„Pamięci anioła” - tytuł zaczerpnięty z koncertu skrzypcowego Berga i od tamtej pory często powodujący liczne nieporozumienia - nie wdarł się może zaraz po wydaniu na szczyty list przebojów, a dwóm moim następnym kompozycjom powiodło się znacznie gorzej, ale przyniosły mi nieco pieniędzy i dzięki nim po raz pierwszy zasmakowałam nieco sławy.

Mój idealizm doznał w Royal College of Music kilku wstrząsów, choć otaczali mnie tam najlepsi muzycy i nauczyciele w kraju. Lokale na dolnych piętrach domu, w których wynajmowałam swoje tanie mieszkanie, zostały zalane przez podnoszącą się Tamizę i przypominały bagno. Niebezpieczne owady bzycały w oknach, albo wciskały się, kryły w fałdach mojej skóry, pościeli i ubrań. Pieniądze z ubezpieczenia ojca dawno już się skończyły, nasz dom w Moseley wynajęliśmy za sumę, która ledwo wystarczała na pokrycie opłat za niego, a wszelkie inne dochody matka przeznaczała na swoje projekty.

Mimo moich osiągnięć, mimo łóżek, w których przelotnie gościłam, i mimo ciała, którym pozwalałam cieszyć się własnym, Londyn wydawał mi się niepokojąco pusty. Kiedy więc pewien promotor muzyczny zaproponował mi „lansowanie” i „możliwość nagrania kilku kawałków”, zainteresowało mnie, nawet gdy się dowiedziałam, co się za tym kryje.

Upozowano mnie więc i zdigitalizowano, tworząc marketingowy wizerunek zagubionej i ślicznej cygańskiej sierotki, po czym zawieźli mnie na drugi koniec miasta do Guiviera, bym wybrała sobie nowy instrument. Jak idiotka wzięłam coś częściowo plastikowego, częściowo metalowego, a po części wykonanego z nowego gatunku syntetycznego drewna.

Skrzypce miały około dziesięciu tysięcy trybów działania.

- Chciałam pomówić o twoich pieniądzach, Roushano - odezwała się matka, gdy twarze i dłonie z jej zdjęć zniknęły na powrót w torbie. - Mam nadzieję, że nie zrobiłaś z nimi niczego głupiego? Nie zainwestowałaś, na przykład, w nieruchomości ani nie ulokowałaś w banku?

Niespokojna, zmęczona, pokręciłam głową.

\* \* \*

Nasza podróż do Indii zajęła cztery dni. Mama, lub ta dziwna, irytująca i urocza jednocześnie osoba, którą się stała, stwierdziła, że to dobry wynik. W ogóle chwaliła wiele rzeczy, które mnie wydawały się zupełnie nie na miejscu. Na lotnisku dwukrotnie pomyłkowo uznano moje nowe skrzypce za broń. Bez przerwy czułam nudności, cuchnęłam potem i przestającymi działać chemikaliami, wydzielanymi przez moje samoczyszczące się ubrania. Brawurowe lub zdesperowane osoby, które w owych czasach wybierały się w podróż na inny kontynent, opowiadały nam swoje historie, ale wkrótce miałam już dość słuchania o zaginionych rodzinach, złościwości biurokratów, niekompetencji wojska, religijnej nienawiści. Gdy jedyne samoloty, jakie udawało nam się znaleźć, niosły nas przez kolejne strefy czasowe, zaczęłam tęsknić za lądowaniem w Indiach, tylko dlatego, że chciałam, by ta koszmarna wyprawa dobiegła już końca. Wreszcie - o północy, przy zgaszonych światłach i wyłączonych silnikach, co stanowiło środek zapobiegawczy przed systemami namierzającymi rakiet przeciwlotniczych - w niezmiernie ciszy dotarliśmy do celu.

Gdy wyszliśmy z kabiny, owiał nas smród gówna i spalenizny. Mimo że nad otaczającymi Strefę Niebieską przewodami pod napięciem i drucianymi siatkami dopiero świeciło, upał był już nieznośny. Zielonkawy smog wisiał za sennie poruszającymi się maszynami budowlanymi. Zauważyłam gęste, krążące po niebie stada wielkich ptaków. A za nimi góry niezwykle i niezwykle odległe. A więc znalazłam się w Indiach, cokolwiek ta nazwa teraz oznaczała...

Po kilku godzinach zamieszania i wypełniania rozmaitych formularzy w dusznych salkach, wyjechałyśmy z lotniska wraz z jednym z konwojów z prowiantem. Przerazające, autonomiczne czołgi przeciskały się w przód i tył pomiędzy rozklekotanymi ciężarówkami. Obawiano się głównie min, raczej nie snajperów, raczej nie radioaktywnego wiatru, raczej nie postojów spowodowanych przez bagna lub awarie sprzętu - a może przede wszystkim żołnierzy UUN, którzy mieli nas podobno chronić. Mama wyraźnie mnie przestrzegła przed UUN. Kiedy siedziałyśmy z nimi w wysokiej kabynie półgąsienicowego transportera, przyglądali się mojej bluzce i opiętym dzinsami nogom i miarowo suwali dłońmi po lufach swych poddźwiękowych karabinów. Wielu z nich było uzależnionych od oprogramowania: w ich ramionach zauważyłam wszczepione gniazda. Gdyby nie rozmaite naszywki reklamujące sponsorów UUN - Hezbollah, Nike, McDonald's - wzięłabym ich za gangsterów.

Na zewnątrz, aż po horyzont rozłożyły się plastikowe namioty i kartonowe szalasy Ahmadabadu Dwa. Dzieci i szlochające wdowy zbliżały się niebezpiecznie blisko naszych gąsienic. Kiedy zapytałam matkę o stada ptaków, wytłumaczyła mi, że te stworzenia to kanie i że gromadzą się przede wszystkim nad wysypiskami śmieci i w miejscach, gdzie Parsowie

niedawno odrodzeni - wykładają ciała zmarłych. Ale spójrz, Roushano, widzisz te ciemne kolumny wzbijające się pod niebo na wschodzie? To zapewne dymy ze stosów pogrzebowych... Byłam w Indiach, a rozmowy pokojowe w Moskwie utknęły w martwym punkcie, i kraj, oficjalnie wciąż w stanie wojny, rozpadł się na skonfliktowane ze sobą regiony. Ludzie jednak nadal zajmowali się życiem i śmiercią tak pilnie, jak to czynili od zawsze.

Konwój się rozdzielił i wraz z kilkoma ciężarówkami ruszyliśmy na południe, jadąc po tym, co dawniej było szosą do Memdabadu. Na podziurawionej kulami tabliczce zobaczyłam nazwę wioski mojej mamy, ale osada nie przypominała już miejsca, które odwiedziłam w rzeczywistości wirtualnej. Pola ryżowe i gaje drzew *banjan*, tworzące tu niegdyś prawdziwy raj na ziemi, zasiedlili uchodźcy. Wysiadliśmy i znalazliśmy się w obrębie kwadratowego kawałka terenu wyznaczonego przez pojazdy. Psy szczekały, roily się kobiety i dzieci, mężczyźni krzyczeli, gestykulowali i rzucali groźne spojrzenia. Gdy zaczęto wydawać jedzenie, wszyscy ruszyli do przodu.

Zapanował prawdziwy chaos. Żołnierze UUN zachowywali się coraz bardziej nerwowo. W obawie, że zostaniemy stratowane, spróbowałam odciągnąć matkę, ale oparła mi się, powtarzając, że ktoś to musi nadzorować. Potem, kiedy worki już zniknęły, wśród ciżby przecisnęło się ku nam stadko sari, które okazały się moimi ciotkami. Ich twarze wyglądały na chudsze, bardziej blade i starsze niż na nagraniach mamy i zdjęciach stojących na półkach u babci. Ciotka Jilli, która, co wiedziałam z opowiadań, cieszyła się reputacją szalonej i energicznej, kuśtykała o kuli. Ciotka Sinra, niewidoma jak matka, straciła dodatkowo władzę w swych pokrytych bliznami, napuchniętych rękach. Ciotka Una niedawno zmarła - napiła się zatrutej wody. Ten sam los spotkał małego Timina, którego imię zawsze bardzo mi się podobało.

Mieszkańcy Gudżarat są jednak niezmiernie dumnym narodem i wydawali się zakłopotani wszelkimi sugestiami, że nie wiedzie im się tak dobrze jak niegdyś. Gdy ciężarówki i pojazdy półgąsienicowe poturłały się w dal, starszy wioski przywitał się ze mną uściskiem dłoni i spróbował wygłosić mowę powitalną. Podobnie jak większość moich krewnych, znał angielski na tyle, by móc do mnie mówić, ale nie rozumiał moich odpowiedzi. Dzieci mnie poszturchiwały i podszczypywały. Głaskano mnie po głowie. Słyszałam zaskoczone szepty - jakie krzepkie są te angielskie Hinduski!

Pod pewnymi względami jednak osada mamy nie zmieniła się wcale. Skutery wciąż terkotały, ciągnąc za sobą śmierdzące chmury spalin, a kobiety każdego ranka myły ganki wodą z łajnem, po czym rozsypywały dekoracyjne, kolorowe popioły. Poza domem

pokazywały się zawsze skromnie ubrane. Może opiekuńcze bóstwo wioski rzeczywiście było skuteczne, nawet mimo suszy, głodu, nowotworów i rabusiów. Ahmadabad, zapewniano mnie raz po raz, zawsze był czymś więcej niż tylko miastem - był czymś, czego zwykle bomby nie były w stanie zniszczyć. Ahmadabad to sposób patrzenia na świat, sposób życia. „Pomyśl o Anglii”, mówili, „dokąd nasi kuzyni i bratankowie wyjechali z pustymi kieszeniami, a teraz każdy ma swój sklep...”.

Na noc dostałyśmy z mamą własną chatkę, z kwiatami w mosiężnej wazie ustawionej na klepisku, przyniesiono nam też wiele miseczek pełnych tak cennego tu jedzenia, które przełknęłam nękana jednocześnie nieustępliwymi mdłościami i poczuciem obowiązku. Wieczorem położyłam się na macie. Kręciło mi się w głowie, byłam wyczerpana i cierpiałam po długotrwałym locie. Mama z kolei, która nie potrzebowała niczego i mogła zasnąć wszędzie, spokojnie pochrapywała obok. Ze wzgórz stoczył się huk grzmotów lub dział jednej z lokalnych milicji. Przy każdym kolejnym hurgocie trzęsłam się jak uderzony bęben.

Pobyt w Indiach okazał się rodzajem śmierci - doznałam rozpuszczenia się tej tożsamości, którą, jak dotąd sądziłam, otrzymałam przy urodzeniu i będę mieć zawsze. Tak jednak nie jest - teraz to rozumiem. Stałam się tam po prostu spoconym, przejściowym ciałem. Starając się zasnąć, myślałam o kuzynie Kapilu, o tym, czy przeżył i czy jest gdzieś na tym wielkim subkontynencie, jak twierdziła ciotka Rupa wysiadująca bez przerwy przy swoim oknie w Handsworth i czekająca na powrót syna. Wyobrażałam go sobie w ruinach Bombaju, mężnie walczącego z potworami zaludniającymi dawniej jego liczne gry komputerowe.

Rano pojawiło się więcej jedzenia i jeszcze więcej krewnych, którzy na wieść o naszym przyjeździe przybyli z bardziej oddalonych miejsc. Zebrali się, by wysłuchać mojego występu na wioskowym dziedzińcu, osłoniętym przed słońcem wielką, niepokojącą szminką ze starego billboardu reklamowego. Nigdy przedtem nie denerwowałam się tak bardzo. Stałam oto z instrumentem, który był zapewne droższy niż cały ich dobytek. A mimo to, oklaskiwali nawet moje nieco zbyt długie strojenie, a potem głośnym aplauzem i kiwaniem głów powitali przedstawiony przeze mnie wybór popularnych, zachodnich klasyków. Choć ta muzyka musiała być dla nich zupełną nowością - zapewne nic nieznaczącą - wyczuwałam jedynie pozytywne reakcje. Następną atrakcją okazały się same moje nowe skrzypce, zwłaszcza kiedy zademonstrowałam ich funkcję samodzielnego odgrywania. Przepchnięto do mnie niewiarygodnie chudego chłopaka.

Dowiedziałam się, że on także jest skrzypkiem. Po doświadczeniach z tanim, wyschniętym instrumentem, mój musiał wydać mu się prawdziwym objawieniem. Małe palce

po prostu płynęły, gdy grał precyzyjnym staccato swoje ragi. Był dobry - lepszy nawet niż dobry - ale co to zmieniało? Jaki sens mógł się kryć w jego talencie?

\* \* \*

- Cóż - powiedziała mama, chodząc po omacku po naszym cuchnącym pokoju hotelowym, do którego dotarliśmy po dwunastogodzinnej podróży powrotnej do Strefy Niebieskiej - dobrze tu. Doskonale...

Następnego dnia miał się odbyć ambitny koncert charytatywny a może było to jeszcze dzień później? - na starym stadionie do krykieta. Zostałam do tego występu zaangażowana wraz z kilkoma innymi tak zwanymi międzynarodowymi gwiazdami i lokalnymi sławami. Chaos organizacji tego przedsięwzięcia spoczywał w rękach obdarzonego wielkimi, wilgotnymi oczyma mężczyzny o imieniu Hakim, którego niespełnione zapewnienia i protekcyjny ton wkrótce zaczęły doprowadzać mnie do szału. Wciąż czując się źle po podróży, nadal walcząc z nudnościami, dałam serię wywiadów dziennikarzom, którzy mieli równie nikłe pojęcie o tym, kim jestem i co tu robię, jak ja sama.

Koncert odbył się wreszcie o jeden dzień później, niż głosiły plakaty. Targana mdłościami, wciąż nieprzystosowana do tutejszego czasu i opuchnięta, siedziałam samotnie, czekając na swoją kolej, obok zniszczonego szeregu pryszniców w starej szatni drużyny gości. Myśl o mężczyznach siedzących na tych samych ławkach i gotujących się do walki w mitycznych, szczęśliwszych czasach, kiedy mecze Indii z Pakistanem przerywano w porze herbaty i można je było zakończyć remisem, była zarówno zasmucająca, jak i krzepiąca. Hakim ostrzegał mnie przed węzami, ale uznałam to za jeden z jego dziwacznych żarcików. Nie przejęłam się nawet, gdy zauważyłam wynurzającą się spod stosu zniszczonych kafelków lśniąca wstęgę. Kobra wydawała się zbyt piękna, zbyt gładka i dostojna, by mogła być groźna. Zmierzyłyśmy się spojrzeniami i poczułam, jak ogarnia mnie rezygnacja, co, jak się potem dowiedziałam, wcale nie jest w takiej sytuacji rzadkością. Język węża drgał w powietrzu. Na zewnątrz, w niecce stadionu huczała muzyka, widzowie tupali i buczeli, ale w przestrzeni dzielącej mnie od gada panowała całkowita cisza. Z jakiegoś powodu poczułam chęć, by kobra się do mnie zbliżyła, ale raz jeszcze poruszyła rozdwojonym językiem i odpełzła. Znowu zostałam sama, coraz bardziej zdenerwowana, zdjeta pustym rozczarowaniem.

Koncert wypadł równie kiepsko, jak poprzedzające go nieudane próby. Stojąc w plamie światła, pomiędzy kurtynami deszczu, w których stadion migotał i się roztapiał, nie słyszałam nawet, co gram, ani ewentualnych oklasków.

\* \* \*

- I to też. Musisz to wziąć.

To mój ostatni dzień w Indiach, i mama, która tu zostaje, sortuje przepustki przechowywane w jednej z jej przepaścistych pasiastych toreb.

- A do czego ja...

Trzymała w dłoni prostokątny, dawniej biały kartonik z agrafką przyklejoną z tyłu żółtą taśmą klejącą.

- Nie, nie. To nie na podróż. Musisz to sobie przypiąć teraz, dzisiaj. I kombinezon też włoż. Hakim obiecał zdobyć dla mnie drugi. Gdzie on się podziewa? Dzięki temu będziesz bezpieczna.

Skafander antyradiacyjny był wykonany z przezroczystego polietylenu, cuchnącego ciałami poprzednich użytkowników. Poczulałam to od razu, gdy wciągnęłam go przez głowę.

Za kuloodpornym oknem naszego pojazdu, na zapyłonym niebie wisiały słońce i księżyc. Ten konwój różnił się od poprzedniego, miał zdecydowanie bardziej wojskowy charakter, choć z początku mijaliśmy te same bezkresne miasteczka z kartonowych pudeł, biegające dzieci i błagające o pomoc, odziane w szmaty, wychudzone kobiety. Potem wjechaliśmy między kołyszące się ciała rabusiów, powieszonych i pozostawionych na pastwę kań. Ciężko było stwierdzić, ile z sypiących się budynków jest wciąż zamieszkałych i jak wiele zniszczeń spowodowała bomba, a ile późniejsze fale chaosu. Dalej ślady były już jednoznaczne. Pochylone ściany. Rysy wyryte w ziemi przez lecące dachy i kawały betonu, jakby ktoś rozorał grunt wielkimi dłońmi. Jeszcze dalej wszystko poczerniało od ognia, choć nadal można było zauważyć przebłyski świeżego plastiku, smugi dymów, rozwieszone na sznurach pranie, kwaśny odór ciał tych, którzy tu pozostali. Może jednak ten ostatni brał się ze mnie - siedziałam w tym upiornym kombinezonie, spocona, z bolącym brzuchem. Raz czy dwa wydało mi się, że w migocących jamach wybitych okien dostrzegam ludzkie twarze. Pojawiały się też w zasypanym popiołami cieniu murów. Pewności jednak nie miałam.

- Widziałaś tam kogoś? - spytała matka, szeleszcząc swoim własnym, niepachnącym, polietylenowym więzieniem. - To oczywiste, że nam nie ufają. Nigdy nie ufali. Nie mają powodu. - Jej palce zaskrzypiały na moim kapturze. - Porządnie się zapięłaś, prawda? Jakiego koloru jest twoja przywieszka?

Wciąż była bezpiecznie szara, ale czułam się gorzej niż kiedykolwiek. Rano dręczyła mnie biegunka i martwiłam się, że powróci, gdy wciąż będę zamknięta w kombinezonie. Zupełnie nie wiedziałam, jak sobie z taką sytuacją poradzę. W Ahmadabadzie Jeden wszystko

wyglądało inaczej, ale kanie i tu krążyły po niebie, stado chudych małąp dokazywało na skraju dawnego salonu samochodowego, szkielety drzew połyskiwały kapslami, butelkami i popsutymi diodami przydrożnych kapliczek, a na kamieniu siedziała wielka jaszczurka. W nieunikniony sposób, w zniszczonym mieście zamieszkali teraz nietykalni dalitowie. Tutaj, w Indiach, nigdy nic się tak naprawdę nie zmienia.

Zatrzymaliśmy się. Biorąc pod uwagę maski, specjalnie wzmocnione kombinezony i rozmiar karabinów, uzbrojeni w to wszystko strażnicy wydawali się dziwnie nerwowi. Wsiadaliśmy z nimi w ciszę osiadającego pyłu. Mama, która trzymała się mnie kurczowo, gdy pomagałam jej przejść przez otwór wjazdu, szepnęła, że żołnierze boją się duchów.

Lekki wietrzyk pobrzękiwał okruchami szkła czepiającymi się młodych pnączy. Sterany, ołowiany księżyc wciąż wisiał nad pokreconymi słupami kruszącego się betonu, ale słońce już zaszło. Było potwornie gorąco. Niebo przed nami, nad wypaloną równiną strefy zero, znajdującą się między rzeką a urzędem pocztowym, wydawało się jeszcze ciemniejsze.

Wreszcie z wolna zaczęli się pojawiać obywatele Ahmadabadu Jeden. Nadciągali niczym kurz, falami i szeptami, byli tak samo jak on bladzi. Mieli przerzedzone włosy. Puste oczy. Nie nosili prawie żadnych ubrań. Wydawali się też bezpłciowi i pozbawieni określonego wieku - zgrzebne szkice węglem przedstawiające zarys człowieczeństwa, na pół ukończone istoty, porzucone przez znużonego stwórcę - mówili, posługując się jedynie piskami i jękami.

Cały czas dusił mnie zaparowany, nedorzecznym, plastikowy kombinezon. Czułam też obecność zamaskowanych, ospałych żołnierzy UUN. Być może obywatele Ahmadabadu Jeden wyobrażali sobie, że tak wyglądają teraz wszyscy, i dlatego nie chcieli opuścić swego miasta. Choć, z drugiej strony, mogli się tu niezłe obłowić. Teraz wszystko - co prawda zniszczone - należało wyłącznie do nich. Pełne bezużytecznych luksusów domy i sklepy, całe ulice, których dawniej nie pozwolono by im nawet sprzątać, dostały się w ich posiadanie. Mieli dla siebie wszystko, czego nie pochłoneły pożary. Życie jednak wiedli krótkie. Spędzali je na zabawach stopionymi komórkami i bransoletkami, na przetrząsaniu ruin lepszych czasów, grzebiąc wśród kości i popiołów. Bomba, która wybuchła w powietrzu między rzeką a pocztą, została zanieczyszczona dodatkowymi szkodliwymi substancjami, i gdy dalitowie z Ahmadabadu Jeden stłoczyli się wokół nas, zauważyłam na ich gładkich, prawie gołych ciałach, liczne wola i narośle, opuchlizny i wilgotne, czerwone rany. Rzuciłam okiem na moją przywieszkę, ale wiatry były dziś pomyślne. Niemal nie zmieniła koloru. A może po prostu nie działała. A może nie miało to żadnego znaczenia.



Bardziej martwiłam się o mamę niż o siebie. W końcu ona przyjeżdżała tu regularnie, a szczelne zapięcia kombinezonu traktowała z niepokojącą swobodą. Prawdę mówiąc, kiedy obserwowałam jej rzednące włosy i skrywany żal za utraconym życiem, który w jakiś sposób dotąd ją motywował, zaczęłam się zastanawiać, czy pod moją nieobecność stosuje w ogóle jakąkolwiek ochronę. Jednocześnie jednak - gdy dalitowie z Ahmadabadu Jeden otoczyli nas i zaczęli zbierać podarki składające się z koców termicznych, środków przeciwbólowych, wody w tabletkach zrozumiałam. Nie Indie, tylko matkę. Dotarło do mnie, że jedynym sposobem, w jaki była w stanie poradzić sobie z odejściem Leo i ojca, była konfrontacja ze śmiercią. A śmierć spotkała tutaj.

Mieszkańcy Ahmadabadu Jeden wyczuli, że jestem inna. Próbowałam się nie wzdrygać, kiedy dotykali mnie kruchymi jak listki delikatnej rośliny palcami. Poblyskiwały oczy. Słyszałam jęki, cmoknięcia i cichy chichot opadający na mnie jak warstwy pyłu. Chuda, naga dłoń przycisnęła się do mojej rękawicy i spojrzałam w wydrażoną twarz młodej dziewczyny, która podała mi przekazywane z rąk do rąk zawiniątko.

- Co to jest? - spytała mama, podchodząc bliżej i dotykając go dłońmi równie chciwymi jak te dalitów. - Co tam masz?

W środku znalazłam wijące się w zwojach brudnej szmaty dziecko. Wówczas niewiele wiedziałam o niemowlętach, ale to wydało mi się niezwykle lekkie i niecodziennie młode. Przypominało nieco wcześniaki, jakie dawniej widywało się w inkubatorach. Chuda klatka piersiowa poruszała się gwałtownie jak u małego ptaszka. Widać było pulsujące pod skórą serce. Dziecko cienko miauczało. Patrzyło przedwcześnie postarzałym spojrzeniem. Czy chcieli, bym je zabrała? Czy miała to być jakaś wymiana? Nie miałam pojęcia co powiedzieć lub zrobić, więc po prostu trzymałam tego niemowlaka, aż po chwili ktoś mi go odebrał i oddał na powrót dziewczynie, która natychmiast umknęła z nim pomiędzy ruiny. Spod jej pięt strzelały chmurki kurzu.

Pozostali dalitowie również zaczęli znikać ze swymi zdobyczami w rękach. Żołnierze UUN spoglądali ku bezpiecznemu schronieniu swych pojazdów i myśleli o wygodzie Strefy Niebieskiej. Matka jednak jeszcze nie skończyła i syknęła do dowódcy, że będą musieli zaczekać. Wtedy zdałam sobie sprawę, że ci mężczyźni traktują ją z niemal takim samym przesadnym lękiem, z jakim podchodzili do dalitów.

- Słuchaj... - Mocniej ścisnęła moje ramię. - Widzisz tam tę pochyloną wieżę telefoniczną?

Przytaknęłam i po chwili zrozumiałam, że mama chce, bym ją tam zaprowadziła.

Mijałyśmy rozbite witryny sklepów, poskręcane, stojące zderzak w zderzak maruti, poranione i łuszczące się reklamy cukierków „Maha” i piwa „Kingfisher”, stare neony Starbucksa, stopy stopionych, plastikowych kubeków. Kiedy próbowałam to wszystko opisać, głos rwał mi się o wiele częściej niż matce.

- Czy jesteśmy na rogu ulicy? Czy widzisz światła w miejscu, gdzie ulica schodzi w dół? Czy naprzeciwko jest tu różowa ściana i przystanek autobusowy?

Nie brakowało niczego z tej listy. Przynajmniej dawniej.

Uśmiechnęła się.

- Tutaj właśnie byłam, kiedy to się stało, Roushano. Przechodziłam właśnie przez tę jezdnię. Widzisz? Można stąd spojrzeć wzdłuż niej do samego serca miasta. Oczywiście, wtedy myślałam o czymś zupełnie innym. Planowaliśmy podjęcie kroków prawnych - czy teraz można w to jeszcze uwierzyć? - w celu obrony małego skrawka ziemi. Przechodziłam więc przez tę ulicę, a była wówczas wspaniała, ale z jakiegoś powodu nagle się zatrzymałam. Wiesz, pierwsza rzecz jakiej się doświadcza, to błysk. Nie jestem w stanie tego opisać. Ale tuż przed nim spjrzałam w niebo, ponad budynek poczty...

Stałyśmy na rozerwanych torach tramwajowych, na środku ruchliwej niegdyś ulicy. W dole wzgórze, skłębiona w biznesowych dzielnicach i dalej ku rzece, płatanina wypalonych szczątków zlewała się w jednorodną, zbitą masę. Było tam ciemno i pewien rodzaj ciemności wzbijał się też ku niebu. Drgnąłam, gdy coś błysnęło, choć był to jedynie załazek wieczornej burzy.

Musiałam zapytać.

- Co wtedy zobaczyłaś?

- Zobaczyłam brahmana. - Wpiła się palcami w moje ramię. - Zobaczyłam Boga.

\* \* \*

Rozpalone niebo wiło się i burzyło. Stałam na pasie startowym Strefy Niebieskiej, obok mruczącego silnikami samolotu, który miał mnie unieść z Indii. Powiadało się, że w tym roku możliwe jest jeszcze nadejście normalnej pory monsunowej, co wspomogłoby uprawy, zmniejszyło poziom głodu, ale także zmusiło do ucieczki setki tysięcy uchodźców wojennych, którzy obozowali na terenach zalewowych.

- Nie jesteś już taka jak dawniej, Roushano - szepnęła mi w ramię matka, tuląc mnie na pożegnanie. - Coś się w tobie zmieniło.

- Oczywiście, mam. Sama zawsze mówiłaś, że Indie...

Jej ręce osunęły się wzdłuż moich boków na brzuch. Usta musnęły mą szyję. Potem się odsunęła. Silniki samolotu grały coraz głośniejsze, ale ręce matki trzymały mnie mocno. Przeszywała mnie błyskiem swych oczu.

- Cokolwiek teraz zrobisz, Roushano, chcę, byś na siebie uważała. Zrób to dla mnie. Nieczęsto to mówię, prawda? Nie jestem aż tak samolubna. Ale teraz to właśnie chcę powiedzieć. Uważaj na siebie. Ze względu na swoją matkę. Zrobisz to dla mnie...?

\* \* \*

Gdy wróciłam do Anglii, wreszcie zaczęłam dostrzegać symptomy bóle brzucha i opuchliznę, spóźniającą się miesiączkę, składane dotąd na karb stresu - które ciało wysyłało mi przez cały czas pobytu w Indiach. Test ciążowy miał ten sam odcień szarości co przywieszka, którą dała mi mama. A potem zmienił się w niebieski.

Ojcem dziecka - tego niemożliwego dziecka - był znajomy muzyk imieniem Snow. Spokojny, gładki i wysoki mężczyzna - a także nieco chłodny - a koniec naszej znajomości wisiał w powietrzu od samego jej początku. Nie rozstaliśmy się w zgodzie i od tamtego czasu prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie miałam zamiaru tego zmieniać. Coś musiało zawieść. Mieszanka przyjmowanych przez nas środków antykoncepcyjnych, przeterminowany implant, błąd w oprogramowaniu, lub po prostu pech. Jedynym, o czym myślałam, jedynym, co widziałam, było to chude, stracone dziecko z Ahmadabadu Jeden. Myślałam o nim i o własnej, zaprzepaszczonej karierze.

Zrobiłam to, co musiałam. Pojawiły się zaskakujące, atawistyczne bóle i wiele krwi. Potem odczułam niezmierną ulgę i myślałam tylko o tym, że uniknęłam gorszego. Powtarzałam sobie, że to wszystko i że nic się zmieniło, ale nowe skrzypce, które tak niańczyłam w trakcie wszystkich kłótni z celnikami i strażnikami, które przeniosłam przez tyle poczekalni, w jakiś sposób przestały już do mnie należeć. Znienawidziłam ich gładką masę i połyskujące, przypominające liny wiszącego mostu, struny.

Starannie umieściłam je w futerale, zaniiosłam na pocztę i wysłałam chłopakowi z wioski mamy, który na nich przez chwilę grał. Nie spodziewałam się, co prawda, że do niego dotrą, ale i tak nie były już moje, a chciałam je odesłać w szeroki świat. Wiele razy potem śniłam o cienistej postaci grającej na tych skrzypcach pośród dymu i ptaków. Nigdy jednak nie ujrzałam jego twarzy.

\* \* \*

Gdy wreszcie wyszłam z kościoła i wspięłam się na wzgórze do Morryn, zapadł już zmrok. Adama zastałam wzruszająco zaniepokojonego moją nieobecnością, ale wkrótce zajął się przygotowaniem doskonałego posiłku z wygniecionych produktów, które przyniosłam w starej, nylonowej torbie matki. Kiedy pracował, własnoręcznie krojąc, gotując - wolał tę metodę - i ignorując wszystkie urządzenia, pokazałam mu kilka wykonanych przez matkę zdjęć z Indii. Wyświetliłam je na ekranie nad blatem. Opowiedziałam o Ahmadabadzie Jeden i Ahmadabadzie Dwa i o tych absurdalnych skrzypcach. Wspomniałam nawet o swoim nienarodzonym dziecku. Tak, ból wciąż czasami powraca, ale kiedy podawałam posiłek, uświadomiłam sobie, że o wiele bardziej cierpiałam, trzymając to przez tyle lat w tajemnicy. Nie ma również wątpliwości, że Adam stał się nieodłączną częścią moich wspomnień. Słuchał, gdy jedliśmy, a danie - mimo że nie pamiętam teraz dokładnie co podałam - było cudownie pyszne. Jeśli pojawia się pytanie - zwykle i proste, typu: kiedy, gdzie i jak - po prostu je zadaje. Tak chętnie przyjmuje na siebie cały śmietnik mojego życia. Może ma nawet nadzieję, że dowie się przy okazji czegoś o własnym.

Mimo długiego dnia i męczącej drogi powrotnej z Fowey, po kolacji czułam się zadziwiająco dziarsko. Choć było ciemno, postanowiłam nieco późno - oprowadzić go po Morryn, tak jak dawniej oprowadzałam innych swoich gości. Fundamenty i piwnice tego domu pochodzą z okresu przebudowy Fowey, która nastąpiła po splądrowaniu miasta przez Francuzów w XVI stuleciu. Budynek rozrastał się potem bez ładu i składu, powiększając się o kolejne przybudówki i pomieszczenia. Podczas pierwszych dwóch wojen światowych przejmowało go wojsko - z powodu doskonałego widoku na morze. Przez moment działała tu nawet szkoła. Większość czasu jednak po prostu mieszkali tu ludzie.

Opowiedziałam Adamowi o zmianach, jakie wprowadziliśmy z Claude'em. O tym, jak wymieniliśmy brzydki, płaski dach nad fragmentem parteru i położyliśmy na nim prawdziwą kornwalijską dachówkę; o tym, jak odrestaurowaliśmy te piękne kominy. Mówiłam też o tym, że Edward spędził swe dziecińskie lata w pokoju, który wyznaczyłam teraz gościowi, pokazałam też sąsiednią sypialnię Marii. Znalazłam latarkę, zaprowadziłam Adama do ogrodu i zademonstrowałam mu stary, dwusiedzeniowy wychodek oraz garaż, w którym Claude trzymał swojego ukochanego astona martina DB5 - samochód Jamesa Bonda - i gdzie teraz mieszkają tylko pająki i kurz. Stojąc w usianej gwiazdami nocy, obok kulącego się pod księżycem Morryn, łatwiej mi było wytłumaczyć, w jaki sposób Maria przebudowała starą kuchnię na ten śmiały, szklany wachlarz wychodzący nad morze. Opowiedziałam też o innych wydarzeniach, w których ten dom, jak wszystkie stare, nadbrzeżne budynki Kornwalii, brał udział. O przybywających o północy przemytnikach, o stłumionym pluskaniu wiosel -

choć nie wiem, jak można wyciszyć chłopot wody - i o dźwięku przetaczanych beczek. Stary hangar na łodzie pod urwiskiem jest tyleż budynkiem, co pieczarą. Claude twierdził, że istnieje podziemne przejście, wiodące do niego wprost z piwnicy. Tego rodzaju historie należały do jego ulubionych. Gdy wróciliśmy do domu, poprosiłam Adama, by podniósł zardzewiałą klapę pod schodami i pomógł mi zejść w wilgotną przestrzeń po raz - który? - pierwszy od ilu lat? Światło latarki zagrało na resztkach należącej do mojego męża kolekcji win. Teraz piję rzadko, zwłaszcza po tym, co mi się przytrafiło w hotelu w Sydney, ale Adam bardzo chciał spróbować jednego ze starych roczników, zanim pójda na wieczne zatracenie, i muszę przyznać, że nie protestowałam zbyt długo.

Wróciliśmy do kuchni. Adam, który nadal nie zamierzał posługiwać się nowoczesnymi udogodnieniami, musiał przetrząsnąć ogromny zbiór staromodnych przyborów kuchennych. Wreszcie znalazł korkociąg. Wyobraziłam sobie, jak zaciskają się na nim czarne palce Claude'a, jak odrywają folię z szyjki i wciskają ostrze w korek. Z pełnymi kieliszkami przeszliśmy do pokoju muzycznego, gdzie Adam poprosił, bym coś dla niego zagrała. Teraz już się nie dziwię, że rozumie, co znaczy posiadać skrzypce Guarneriego, i że potrafi trzymać je odpowiednio, bez dotykania cennej polityry. Niemal spodziewałam się, że sam zacznie grać, ale podał mi je tylko z właściwą czcią. Zagrałam mu więc utwór Kreislera - tak żywo, że automatyczny fortepian z trudem nadażał - a następnie *Les Escaliers de Montmartre*, które zakończyłam, już bez akompaniamentu, odmianą gigi. Grałam diabelnie szybko i dobrze. Potem jeszcze wykonałam kilka szkockich tańców. Adam klaskał do rytmu. Muszę przyznać, że szło mu to znakomicie i zachęcał mnie do coraz większych ekstrawagancji. Wstał i nienagabywany zaczął tańczyć. Pomyślałam, by zakończyć koncert czymś z poważniejszej, popisowej klasyki - być może Paganiniem - ale to jedynie popsułoby nastrój. Muzyka nie musi być trudna ani skomplikowana. Muzyka może służyć do zabawy. Jakaż byłam głupia, że o tym zapomniałam!

Wydaje mi się, że Adam wypił więcej ode mnie, choć nie jestem pewna. Nigdy nie byłam szczególnym koneserem win, niemniej, tej nocy smakowało mi niezwykle. Wciąż czuję, jak we mnie wpływa, bogate i ciemne jak nocne niebo za oknami. Nie robiłam tego od lat. Gdy skończyła się muzyka, chichocąc niczym podłotek, prawie wyfrunęłam na schody, a przeprowadzenie wszystkich testów i przyjęcie leków, które przepisano temu mojemu głupiemu, starzejącemu się ciału, wymagało więcej wysiłku niż zwykle. Wreszcie położyłam się do łóżka. Jutro czeka mnie cotygodniowa wizyta w klinice w Bodmin. Jutro jednak może zaczekać. Tak dobrze jest leżeć i słuchać, jak ściany Morryn rozbrzmiewają echem naszej

muzyki, i dobrze jest czuć na języku smak wina, który dla mnie na zawsze pozostanie smakiem Paryża.

\* \* \*

Jak tam było? Przez wszystkie lata, jakie upłynęły od tamtych chwil, to pytanie zadawało mi tak wielu ludzi, tak wiele razy. Z ich ust padają nazwy i nazwiska. Oczywiście, Harad Le Pape i Karl Nordinger ze swymi wzruszającymi melodiami. Ale być tam - w Paryżu - i to akurat wtedy. Ty i Claude Vaudin. Claude Vaudin i ty. Skradziona Gioconda. Zamieszki w d'Orsay. Koncerty. Dekonstrukcje. Śmierć. Słynna kupa psiego gówna przed Pompidou. Bicos. Max Rochereau. Czulaś ten zapach? Ten smak? Jak tam było?

Po Londynie Paryż został ogarnięty jeszcze dziłszym zamętem. Miasto było bliższe - jak zawsze - sercu Europy, ale to serce nie znajdowało się w najlepszym stanie. Wspaniałe nowe, obleczone wirtualnością budynki, ogromne ekspresje obywatelskiej dumy, taplające się w smogu i deszczu. Okaleczeni, chorzy żołnierze powracający z ostatniej północnoafrykańskiej przygody zebrali i kradli na ulicach. Moje mieszkanie w dziesiątej dzielnicy dzień i noc rozbrzmiewało toczonymi w kilkudziesięciu językach kłótniami.

Wyświetlane pod chmurami reklamy wzywały: „Kup to, kup tamto. Inwestuj, inwestuj”. Właśnie wtedy sprzedawano prawa do wydobycia korporacji „Ocean Burz”. W rzadkie pogodne noce lasery obmacywały swymi promieniami księżyc, jakby w oczekiwaniu na kolejną katastrofę. Można sobie było wyobrazić, jak stacza się z nieboskłonu z całą wagą zawiedzionych oczekiwań i z pluskiem ląduje w Sekwanie. Przed meczetami wybuchały bomby. W kościołach krzyżowano ludzi. Codziennie rano, gdy szłam do metra, którym jeździłam do konserwatorium, nagabywali mnie sprzedawcy Biblii, prorocy, matki z dziećmi i ludzie handlujący skradzionymi parasolkami i używanymi protezami. Byłam jednak młoda i miałam sprawne łokcie, dzięki którym ich odpędzałam. Potrafiłam też odpowiedzieć pokaźną liczbą francuskich przekleństw. Po niedługim czasie nauczyłam się nosić skrzypce na widoku zamiast w futerale. Uznawano mnie wtedy za zwykłego ulicznego grajka.

Czy byłam wtedy lepsza niż dobra? W końcu wiele już osiągnęłam, prawda? Byłam rozkwitającą solistką, nazwiskiem, którego wypatruje się na afiszu, mimo że z ledwością ciulałam pieniądze na jedzenie. Przepychając się przez dymy bijące ze stoisk sprzedawców kasztanów, w żywym paryskim tłumie, unikając furgonetek o zamalowanych szybach, jęczących, okładających się biczami fanatyków i handlarzy wodą, siedząc w dusznych kafejkach i stojąc w kolejkach po wejściówce na koncerty, nosiłam swoje nagie skrzypce, jakby były naczyniem, w którym zawierał się cały mój talent, jakby były świadectwem moich

planów. „Teraz wszystko zależy od ciebie, siostrzyczko”. W końcu dowiedziałam, że mogę czegoś dokonać.

Wreszcie czułam się szczęśliwa, choć to raczej nie uniesienie, a niepokój wypełniał mi głowę, gdy niosłam skrzypce pod płaszczem przez lodowate, styczniowe deszcze - omijając ryksze, rowerzystów, kałuże i ciężarówki - w drodze do mieszkania słynnego Harada Le Pape. Harad był osobą, której nie mógł nie znać nikt, kto wówczas w Paryżu interesował się sztuką. Owszem, były inne wewnętrzne kręgi i peryferia, znajomości potwierdzone skinieniami, najnowsze gwiazdy sezonu, ci, którzy się sprzedali lub zostali odrzuceni - byli nawet tacy, którzy za nic nie wymieniliby nazwiska Harada Le Pape - ale znaleźć się zupełnie poza horyzontem jego wpływów, o ile coś takiego było w ogóle możliwe, równało się kulturalnemu samobójstwu. Palec Harada bezustannie badał puls miasta. Harad był tym pulsem.

Wreszcie i ja zostałam zauważona. Moja bransoletka zadzwoniła, przynosząc wiadomość, że zostałam zaproszona na spotkanie z Haradem Le Pape. Wydawało się to nieprawdopodobne - nieuchronne - albo był to głupi kawał. Gdy przemoczona i prawie spóźniona spojrzałam w górę na eleganckie okna mieszkania w Marais, poczułam, że wreszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście, a jednocześnie miałam wrażenie, że to po prostu mi się należy. Tutaj nawet wszechobecne reklamy nie plamiły podbrzuszy chmur, a deszcz umył chodniki niemal do czysta. Ten Paryż był inny od miasta nędznych squatów, do którego przywykłam, był miejscem, do którego dążyłam, bez względu na panujące w nim zasady gry.

Przy wejściu do budynku, gdzie mieścił się apartament Harada, siedział młody mężczyzna, przemoczony i zapłakany. Kiedy go mijalam, spojrzał na mnie z miną, która mogła wyrażać zazdrość lub współczucie. Pokonałam obrotowe drzwi i znalazłam się w marmurowym holu, przypominającym atrium dużego banku, choć naznaczonym zapachami - gotowanego jedzenia, rozmaitych zwierząt, i mniej wyraźnym, toalet - wcale nie tak odległymi od tych, jakie witały mnie każdego wieczoru w domu. Ociekając i chlapiąc wodą, podeszłam do windy i wcisnęłam ceramiczny guzik.

Drzwi na piątym piętrze stały tajemniczo otworem i przeszłam przez szereg rozbrzmiewających echem pokoi, w których zdobione wizerunkami cherubinków sufity i złożone meble zmagaly się w walce o uwagę z podartymi płótnami i sprzętem do wirtualnych projekcji. Harad Le Pape siedział zupełnie sam, w ostatnim szarym i pustym pomieszczeniu. Spodziewałam się tu zastać nieustającą imprezę - przychodzących i wychodzących pisarzy, tancerzy i artystów innych dziedzin - ale wśród nagich ścian rozlegał się tylko dźwięk deszczu.

Potężne ciało Harada balansowało nieporadnie na dużej sofie, ustawionej przed wielkim, wygaszonym kominkiem. Masywna szczęka, przenikliwe oczy, gładko zaczesane do tyłu rudawe włosy - wszystko było na swoim miejscu. Dłonie miał delikatne. Na długich stopach nosił półbuty z ułożonymi w wymyślny wzorek otworkami. Miał także ciemnoniebieski garnitur, po części męski, ale ozdobiony wokół dekoltu kwiecistymi erupcjami jedwabnych kokard. Mogłabym się mu przyglądać całymi minutami, godzinami, sekundami. Poza sofą, którą Harad wypełniał całkowicie, nie było tam żadnego innego siedzenia.

- Więc... - Maleńkie jak główka szpilki źrenice skupiły się prawie dokładnie na mnie. Przypomniała mi się mama. Mimo że mówiono, że temu spojrzeniu nie umyka nic, Harad patrzył intensywnie i niepokojąco jak ślepiec. - Masz ze sobą instrument?

Wyciągając skrzypce spod wilgotnego płaszcza, zaczęłam drzeć.

- Nie przyniosłam ze sobą żadnej muzyki. Ale mogę zagrać.

- Nie, proszę. Tylko nie muzyka. Przynajmniej nie dzisiaj. Słyszałem cię już, prawda? Nie jesteś jakąś małpką ze skrzypkami. Wiem, że masz możliwości.

Gdy tak stałam, tuląc do siebie instrument, najwięcej miejsca w mych myślach - nic na to nie mogłam poradzić - zajęła szeroko dyskutowana kwestia płci Harada Le Pape. On - lub ona - stanowił nieokreśloną mieszankę cech zdecydowanie męskich i delikatnej kobiecości. Oczywiście, zmiany płci, a nawet obojnactwo, nie były w ówczesnym Paryżu rzadkością, lecz tu chodziło o coś bardziej skomplikowanego. Dwa lata temu, jak mnie zapewniano, Harad nosił się z przesadną manierą mężczyzny na wakacjach. Przedtem przeszedł fazę sukienek z wzorzystym nadrukiem. Spryt triku Harada - którego zresztą nikt nie śmiałyby nazwać trikiem polegał na tym, że podlegał bezustannym zmianom.

- Mówiono mi, że jesteś Angielką.

- Bo jestem. - Wzruszyłam ramionami. - Tyle że...

- Tyle że nie jesteś, prawda? Nie wiesz, gdzie jest twoje prawdziwe miejsce. A jak ci się żyje tutaj? Czy czujesz się tu u siebie? - Znów niemal uśmiech. Harad mówił czystą, pozbawioną naleciałości francuszczyzną, wdzięcznym altem, wydychając zimne obłoczki pary. - Oczywiście nie pytam o to mieszkanie. Miałem na myśli Paryż.

- Chyba nie. A przynajmniej jeszcze nie.

- Bardzo dobrze. Artysta nie powinien mieć domu. Pomyśl o tym, co spotkało Moneta w Giverny. Płótna porosła pleśń. Lepiej żyć jak Conrad. Becket. Igor. Pisać, żyć w obcym języku. Obalać mury. Oślepnąć jak Joyce. Pić jak Hemingway. Smakować wyobcowanie. Dopiero wówczas można powiedzieć coś wartościowego o własnym domu. Albo jeszcze



lepiej, zrozumieć, że nie zostało już nic do powiedzenia, i zrezygnować. Aż szkoda, że jeszcze nie potrafimy podróżować do gwiazd, prawda?

Jak się wkrótce przekonałam, była to rozmowa jak najbardziej dla niego typowa: nie do końca zrozumiała, chaotyczna, jednostronna. Zawsze miało się wrażenie, że w jego słowach kryje się jakiś głęboki sens, choć nie można go było osiągnąć i zrozumieć. Przypomniała mi się ta słynna recenzja - z czasów, gdy Harad się jeszcze nimi parał - nowej wystawy zapachów i kształtów w Centrum Pompidou, opisująca w iście proustowskich detalach fakturę i wygląd psiej kupy, leżącej na chodniku na zewnątrz. Ekspozat ów, odchody - skradzione i z miłością po wielokroć odtwarzane - z łatwością przyćmiły swą sławą i wpływem muzealną wystawę.

Łatwo byłoby wykpić Harada Le Pape, nazywając go błaznem, czy dowodem na ostateczny upadek kultury. I owszem, wąpiliśmy i podśmiewaliśmy się niekiedy, choć nigdy w jego obecności. To w końcu Harad odkrył Karla Nordingera, to Harad spopularyzował Jane Affray, a jeśli Harad miał rację i kultura rzeczywiście zbankrutowała i poza pustymi, zewnętrznymi manifestacjami sztuki nie zostało już nic, w co warto byłoby wierzyć, to właśnie on (lub ona) stanowił nasze jedyne zbawienie.

Jego odpowiedzią na wyraźną bezcelowość sztuki była decyzja o porzuceniu zawodu krytyka, a potem, po odpowiednio dramatycznym okresie milczenia, zaskoczenie Paryża oświadczeniem, że teraz on (lub ona) sam zostanie artystą. Nad nami, na szóstym piętrze budynku, Harad szykował coś, co miało się stać definiującym epokę manifestem kulturalnym. W pewnym sensie nie było wielką tajemnicą, czym ów manifest - owo oświadczenie - jest. Sam autor szeroko opowiadał o postępach prac i zatrudnił do pomocy wielu innych artystów. Dzieło miało być multisensoryczne. I bez wątplenia duże. Wielkie żywe obrazy, renesansowe sufity nasączone rzadkimi woniami, kości z Pere Lachaise, znaki drogowe i zniekształcone teksty wielkich dzieł prozy.

Czy to dzieło, ta instalacja, ten świat, unoszący się tuż nad nami na szóstym piętrze, mógł zredefiniować naszą percepcję i obdarzyć nas świeżym poczuciem celu? Czy może okaże się ostatecznym wyrazem absolutnego bezsensu? Harad sugerował obie te rzeczy naraz, a także liczne inne interpretacje. Niekiedy twierdził, że dzieło jest już bliskie ukończenia. Pojawiały się nawet daty premiery. Ale wiele z tych dni przeminęło, zanim po raz pierwszy odwiedziłam budynek przy rue de Turenne.

Zapadła cisza. Deszcz nie ustawał.

- Powiedz mi, Roushano. Dlaczego uczysz się muzyki?

- Ja... - To pytanie zadawano mi już po wielokroć. Miałam na nie kilkanaście różnych odpowiedzi, z których żadna nie uwzględniała Leo.

- Chyba dlatego, że to jedyna rzecz, w której jestem dobra.

- I zadowala cię to, że jesteś w czymś dobra? - prychnął Harad. - Gdybyś była świetna w kładzeniu parkietów, robiłabyś to, zamiast grać?

- Oczywiście. To znaczy... Może.

- Dobrze... Nie lubisz tego słowa, więc dlaczego go używasz? A ten twój koncert. Ten utwór Ibrahima? Zagrałaś lepiej niż tylko dobrze.

- Dziękuję.

- Zagrałaś strasznie dobrze.

- A co - warknęłam, wreszcie sprowokowana - to ma znaczyć?

Po tym moim małym wybuchu nawet deszcz zamarł zaskoczony.

- Cóż... - Niewzruszony jak zawsze Harad ściągnął (lub ściągnęła) wargi. - W samą porę, jak sądzę, wykroczyłaś poza ograniczenia własnego talentu. Wy, muzycy... wy, i to wasze nadęcie. Poznałaś może Karla Nordingera?

- Nie.

- To nie poznawaj. Zresztą mam już dość muzyków. Muzyka sama w sobie to dźwięk grzechoczących, martwych przedmiotów. Nikt tego nie rozumie. Może poza Claude'em Vaudinem. To martwy teren, pustkowie i cmentarz, a Claude jest jego nocnym stróżem. Powinnaś go poszukać. Może czegoś byś się nauczyła.

\* \* \*

Klub „Le Chien Heureux” był jednym z tych miejsc, które odwiedzało się, by nabyć najnowsze rodzaje narkotyków, trudne do zdobycia nawet tu, w Paryżu - można też było popatrzeć na kopulujących ludzi czy zwierzęta. Pierwszej nocy, gdy się tam wybrałam, muzyka zachęcająco wylewała się w górę, po mokrych schodkach. Ktoś grał na pianinie. I to bardzo dobrze, a nawet genialnie. Zeszłam w zapachy i mgłę.

Z powały kapąło. Ludzie kołysali się, klaskali. Na niewielkiej scenie tańczyła naga kobieta o ciele pokrytym tygrysimi pasami. W odpowiedzi na jej dzikie ruchy na ścianach rozpałały się barwy. Jednakże, mimo wysiłku tancerki, uwagę przykuwał głównie mężczyzna przygrywający na keyboardzie. Wysoki, gibki, o hebanowej skórze, stał za klawiaturą i również tańczył, potrząsając głową w niejednoznacznym rytmie, który w jakiś sposób wydobywał z instrumentu. Muzyka nie przestawała rozbrzmiewać - łała się z niego - a tłum podskakiwał i falował. Wytracono mi drinka z dłoni. Posiniaczono mi żebra. Obmacano moje

pośladki. Potem, wreszcie, gdy dziewczyna, zarzucając błyszczącymi od potu włosami, wpadła w derwiszowski trans, akompaniament ześliznął się w swój finał ostatnim rozbłyskiem mamiących dźwięków. Pierwsze oklaski były dość sporadyczne, ale po chwili rozległy się hałaśliwie. Claude Vaudin kiwał głową i się uśmiechał. Wziął na ręce leżącą tancerkę, po czym cofnął się i uklonił komuś, kto rzucił im ręczniki. Ze zwierzęcym wdziękiem zeskoczył ze sceny i ruszył w stronę baru. Otrzeputując się z kiści wielbicieli - w większości gejów, kobiet albo transseksualistów - podszedł ku mnie z butelką wina i dwoma kieliszkami, które umiejętnie trzymał w dużej dłoni.

- To ty jesteś tą skrzypaczką, prawda?! - zawołał po angielsku, gdy zapowiadano następny punkt wieczoru.

- A ty jesteś tym dyrygentem. - Staralam się nie pokazać po sobie, że mi schlebił.

- Dlaczego nie tańczyłaś?

Żeby słyszeć, co mówi, musiałam się przysunąć bliżej.

- A po co? Słuchałam.

Dotknął miejsca tuż pod moją lewą piersią. Jego twarz lśniła potem. Pachniał samczo i ciepło.

- Przepraszam.

- Za co?

- Nie możesz być Roushaną Maitland. Nie, jeśli nie tańczyłaś. Słyszałem jak grasz. - Wskazał stół. - Napijmy się...

Byłam przyjemnie świadoma zmiany w równowadze towarzyskiej klubu, spowodowanej tym, że Claude Vaudin usiadł właśnie ze mną. Tygrysia kobieta - o prozaicznym imieniu Jill i wciąż pozbawiona garderoby poza ręcznikiem - podeszła i kocim głosem wymruczała znad swych piersi kilka komplementów. Claude zachowywał się wobec niej ciepło, uprzejmie, czarująco, podobnie jak wobec innych znajomych, którzy podpływali do nas z tłumu, choć coś w jego sposobie bycia sugerowało im, że wolałyby zostać sam na sam ze mną.

- To - powiedział ostatniemu z takich odwiedzających, z łatwością przechodząc z naznaczonej lekkim akcentem wschodniego wybrzeża angielszczyzny na zupełnie plebejski francuski, gdy te same palce, które utkały tyle magii z pianina spoczęły na moim karku i zagrały w moich włosach - jest skrzypaczka Roushana Maitland. Nie słyszałeś o niej? Cóż, teraz już ją znasz i uwierz mi, jeszcze usłyszysz...

- Wydawało mi się - odparłam, gdy znów zostaliśmy sami - że powiedziałaś, że nie umiem grać, albo że nie słucham lub nie tańczę, czy coś. - Zamówił już kolejne wino i moja głowa i język walczyły, by utrzymać się na powierzchni.

- Nie, nie, nie... - Pogroził mi żartobliwie palcem. - Roushano, jesteś najlepsza ze wszystkich, których słyszałem. I naprawdę nie jest tak, że mówię to każdej. - Fantastycznie wymierzone spojrzenie i krótka pauza. - A jeśli nawet, to nie na serio. Ale uważam, że powinnaś nauczyć się tańczyć.

Uśmiechnęłam się. Nie zamierzałam powiedzieć „nie” Claude'owi Vaudinowi, który wyglądał i brzmiał równie elegancko we własnej osobie, jak w licznych wywiadach i w trakcie występów, które oglądałam wcześniej. Miał subtelnie rzeźbione rysy i ciemne oczy. W brodzie miał dołeczek. Jego nos był negroidalny i zarazem orli.

Odpowiedział uśmiechem.

- Ustępujesz mi, bo myślisz, że tak wypada, prawda?

- Nie, nie. Oczywiście że nie. Ale...

I wtedy mnie poderwał. I tańczyliśmy. A raczej to Claude tańczył, a ja próbowałam dotrzymać mu kroku, co okazało się niemożliwe, choć bycie tu z nim - i wszystkie te drinki, do których nie byłam wówczas przyzwyczajona, i halucynogeny dym bijący z ust tak wielu ludzi, i unoszące się w powietrzu feromony - wydatnie pomagało. Muzyka, o ile dobrze pamiętam, była północnoafrykańska. Miała złożone metrum, zmieniające się z 4/5 na 4/4, ale płynęła w sposób zupełnie naturalny dla serca i bioder. Podejrzewam jednak, że to, że liczyłam takty oraz myślałam o tym, jak świetnie wygląda tańczący Claude, już samo dowodzi, że byłam jeszcze bardzo daleka od zatracenia się w chwili.

Ale tańczyć z Claude'em Vaudinem?! Oczywiście wielokrotnie spotykałam już osoby sławne i próżne, i wiedziałam, jacy są najczęściej dyrygenci. Ale Claude nie miał żadnej z cech, jakie powinien mieć. Jak na kogoś tak męskiego, jego delikatny wdzięk, lekkość tonu, były niebywale kobiece. Powtarzałam sobie, że jest zapewne gejem, że to tłumaczyłoby ten jego nieskazitelny, dopracowany wygląd i otaczający go przy barze tłumek.

Wieczór mijał. Na scenie pojawiły się zwierzęta. A także mężczyźni i kobiety.

- Nie gorszy cię to, prawda?

Wzruszyłam ramionami i czknęłam. Wszędzie dookoła łączyły się ludzkie kończyny. W każdej ze swych czterech rąk trzymałam kieliszek.

- Masz, napij się jeszcze.

- Nie, i tak już za dużo wypilałam.

- Nie masz zbyt mocnej głowy, Roushano.

- Lepiej idzie mi taniec...
- Cóż, tu można dyskutować...

\* \* \*

Zrobiło się już bardzo późno - nawet reklamy zdezerterowały z nieba - i bardzo ciemno. Przekroczyliśmy Canal St-Martin i szliśmy przez Saint Denis.

- Gdzie mieszkasz, Roushano?

- Ja nie mam domu, tak mi powiedział Harad Le Pape. - Czknęłam i beknęłam. - On lub ona ma rację. A tak przy okazji, jesteś gejem, prawda? - Stopy same uciekły spode mnie i padłam na lodowaty chodnik.

- Zdecydowanie powinnaś się częściej upijać - odparł i ze śmiechem pomógł mi wstać.  
- Jesteś w tym straszna. A mogłabyś się nauczyć. Może wtedy lepiej byś tańczyła. Wystarczy, że się otworzysz, że odpuścisz, że się poddasz.

- Tobie to nieźle idzie. Nie jestem pijana. Przynajmniej nie bardzo...

- Wreszcie się w czymś zgadzamy...

Potem wjechaliśmy na górę windą towarową, jej kraty trzęsły się i klekotały. Jakiś magazyn? Nie, to było jednak typowe mieszkanie, choć zajmowało ogromną przestrzeń.

- Ty tu mieszkasz?

- Jasne. Dlaczego nie? Co innego można tu robić?

Pomógł mi podejść do sterty pościeli. Rzuciłam się na nią, skuliłam i jęknęłam, gdy metalowe belki sufitu zaczęły się kręcić. Co jakiś czas wyczuwałam obecność Claude'a krzątającego się gdzieś na skraju mych zmysłów. Coś brzęczało. Odległe szuflady otwierały się i zamykały. Przykryłam sobie głowę.

- Jestem pewien, że mam tu gdzieś wytrzeźwiacze...

- Nie trzeba. Wszystko w porządku. Nic mi nie będzie.

- Nie powinienem był pozwalać ci tyle pić.

- Nie... Jest...

- Masz. Weź to.

\* \* \*

Potem, niemal natychmiast, zrobiło się rano. Claude zdążył wstać. Pościel, w której leżałam, pachniała imbirowo i słodko - bardziej mną niż nim - i dotarło do mnie, że wciąż jestem całkowicie ubrana, że mam na sobie nawet buty, choć nie byłam pewna, czy to dobry, czy zły znak. Zaryzykowałam otwarcie oczu. Buchnęło w nie światło i zanim po raz kolejny

uniosłam powieki, upłynęły całe eony. Co dziwne, paryski deszcz ustał i liczne wysokie okna otaczające to przestronne, mniej więcej prostokątne atelier, były wypełnione mgłą, pulsującą nie tylko przez to, co działo się w mojej głowie. Reklamy porno i sieciowych wirtualności rzuciły swe obrazy na chmury wiszące tak nisko, że aż wdzierały się do pomieszczenia. Czerwienie, róże i żółcienie migotały i gasły. Pióropusze ciemniejszych pikseli zapadały się i wzbijały...

I było słychać muzykę. Oczywiście, że grała muzyka. U Claude'a zawsze wtedy grała. Poznałam *So what?* z albumu *Kind of Blue* Milesa Davisa, płynące z drogiego odtwarzacza z tak oszałamiającą precyzją i wyrazistością, że dopiero po chwili przekonałam się, że jednak nie odwiedzili nas żywi muzycy. Oczywiście, wówczas nie znałam się zbytnio na dwudziestowiecznym jazzie, ale nawet moje ignoranckie uszy wychwyciły, że słyszę coś wyjątkowego, mimo że moja uwaga skupiła się bardziej na samym Claudzie. Był nagi i tańczył, jakby wczorajszy wieczór jeszcze się nie skończył. Kiedy jeden z solistów wykonał szczególnie piękne przejście, odrzucił głowę do tyłu, klasnął w dłonie i zaśmiał się w radosnym zachwycie. Obok stał fortepian, wielki stary Bechstein, i co jakiś czas Claude przemykał obok niego w jaśniejącej mgle, by uderzyć któryś z klawiszy, w odpowiedzi na zasłyszany właśnie dźwięk. Mimo że konkurował z samym Billem Evansem, wszystko perfekcyjnie ze sobą harmonizowało. Jego długie, ładne ciało błyszczało falami zmieniających się barw. Miał erekcję, nabrzmiąły członek podskakiwał i obracał się pod brzuchem mężczyzny w swoim partnerskim, lecz niezależnym tańcu. Wyglądał tak doskonale uroczo, że nawet mój upiorny kac jakby ustępował. Po chwili zauważył, że nie śpię, i przytańczył do mnie, dokładnie w chwili, w której rozpoczęło się nieśmiertelne solo Coltrane'a.

- Cześć. - Nie wstydził się niczego. - Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie... Wszystko w... - Udało mi się przetoczyć na bok i podnieść na niego wzrok, ale nie zdobyłam się na to, by dodać „w porządku”.

- Dobrze się spało?

- Nie jestem pewna. - Przesłoniłam oczy. Kłębiła się mgła. Jego penis połyskiwał.

- Ach... To... - Spojrzał w dół. - Wiesz, tak to już jest, kiedy chłopcy się budzą. To przez sny.

Przełknęłam ślinę. Czulałam się fatalnie, ale Claude naprawdę wyglądał fantastycznie. Muzyka cichła i chciałam, by znalazł się ze mną w jednym łóżku.

- Teraz już nie śniesz - odparłam i otworzyłam ramiona, by powitać go w swej kompletnie odzianej chwale. Dokładnie w tej samej chwili ogarnęła mnie nagle fala mdłości i zwymiotowałam obficie na pościel.

\* \* \*

Czy pokochałabym Claude'a Vaudina, gdyby nie otaczała go wówczas sława i muzyka? Nie mogę tego stwierdzić. Gdyby nie to, nie byłby przecież Claude'em Vaudinem. Wychowanym w Georgetown, w Waszyngtonie, w rodzinie liberalnych, zamożnych naukowców, od urodzenia otoczonym przez wirtualne gwiazdy, muzyków i ambasadorów. Od najmłodszych lat nie było wątpliwości, że jest wybitnie utalentowany i że nie zmarnuje swych uzdolnień. Nastął więc czas bractwa Phi Beta Kappa i letnich obozów, i Princeton, i Julliarda, i wygranego Leeds, zdobytej *prix d'Excellence* i Licencjatu, i odrzucania ofert z Berlina i San Francisco, po to by zostać najmłodszym w historii głównym dyrygentem Orchestra du Paris. Nie nękały go żadne z wątpliwości, które nawiedzały mojego Leo, nie zastanawiał się, czy być wykonawcą, czy kompozytorem, czy zająć się popem, muzyką klasyczną, czy jazzem, ani czy prosty muzyk może odcisnąć jakiegokolwiek piętno na losach świata. Claude potrafił to wszystko pogodzić.

Arogancy są wyłącznie ludzie dręczeni niepewnością. Tylko ci, którzy nie są wyjątkowi, troszczą się o opinię innych. A wtedy - w Paryżu - Claude'a cechowała szczodrość i pokora prawdziwego geniusza. Owszem, zdarzały się krzyki, napady szału i odwoływane zniechęcające występy. Owszem, czasem jakiś dźwięk wypadł nieszczególnie, Claude spotykał niekiedy ludzi, z którymi się nie dogadywał, i wieczory przy fortepianie w „Le Chien Heureux” lub prowadzone przez niego koncerty, gdy muzyka nie płynęła tak, jak powinna, ale geniusz - co zaczęłam wtedy rozumieć - jest wrogiem doskonałości. By móc zrobić coś pięknego, należy być gotowym na koszmarne pomyłki i błędy. I należy również nauczyć się tańczyć.

\* \* \*

Claude zachichotał. Jego ręce nadały kształt moim piersiom, jaśniejące chmury kłębiły się i cienie kropli deszczu zagrały wspólnie z potem pokrywającym mu boki.

- Wyprostuj się... - Objęły mnie jego ramiona. Głos Sinatry brzmiał bardziej świeżo niż w najwspanialsze noce, podczas których mógł zostać nagrany. - Po prostu ruszaj się... Kołysz...

Jego dłonie znalazły się na moim brzuchu, na biodrach. Przebudzający się na powrót penis musnął me udo. Czy to był seks, czy taniec?

- Słuchaj muzyki. Nie wieszaj się teraz na mnie. Słuchaj tego, co ten facet mówi.

Poczułam ślizgające się po mnie koniuszki palców Claude'a.

- Wpuść to pod skórę. Nuć wraz z nim. Śpiewaj. Poczuj to we krwi. Przesunął się i znalazł za mną. Pokazał mi biodrami, jak powinnam się poruszać. - Czy to boli?

- Nie... Tak, teraz zabolęło. Trochę.

- Ale nie za bardzo?

- ...nie.

- Nie bój się, rozluźnij. Wpuść to w siebie.

Na zewnątrz, naznaczony deszczem i chmurami Paryż odpływał gdzieś daleko.

\* \* \*

Granie oznaczało rezygnację. Granie oznaczało dobywanie niewłaściwych dźwięków i zapominanie wstępów. Oznaczało pozwolenie na to, by uniesienie lub zmęczenie, lub pomyłkowy ślizg spoconych, zbolętych palców, poprowadziły mnie ku jakiemuś nowemu lub nieoczekiwanemu miejscu. Granie skupiało się na trwającej chwili, lub nie było go wcale i zupełnie nie miało przy tym znaczenia, czy grałam dla miliona słuchaczy, czy samotnie w głębi lasu. Jeśli grało się samolubnie i nieuważnie, jeśli grało się wyłącznie dla siebie i nie dbało przy tym o nic innego - wówczas, i tylko wtedy, pojawiała się szansa na to, że wykonanie wypadnie genialnie...

Muzyka była dla Claude'a świętością większą niż seks, niż taniec, choć trzeba przyznać, że wszystkie te czynności często zlewały się ze sobą, gdy piliśmy, i graliśmy, i słuchaliśmy, i tańczyliśmy, i pieprzyliśmy się, i rozmawialiśmy, i słuchaliśmy, i tańczyliśmy, i znów się pieprzyliśmy przez całą tę deliryczną wiosnę w naszym atelier nad Boulevard de Clichy, na skraju Montmartre'u. Potem wychodziliśmy na wiosenny grad świeżo rozbudzonego Paryża. Jedliśmy dania hinduskie lub chińszczyznę albo coś kurdyjskiego, bądź też nie jedliśmy wcale i tylko piliśmy, i rozmawialiśmy ze sobą. Dołączali do nas artyści wszelkich wyznań i szkół z ogrodów Gare de l'Est. Czyż to nie Claude Vaudin? A czy to nie jest ta Roushana Maitland? Zanim dotarło do mnie, co się dzieje, staliśmy się najpopularniejszą parą w mieście.

Wszystko działo się tak szybko, tak zawrotnie. Jednego dnia jestem obiecującą, ale nieznaną solistką. Następnego udzielam wywiadów, *Le Monde* prowadzi ze mną wirtualne sesje, a Claude - dzięki kilku odwołanym w podejrzenie odpowiednich momentach



występom, załatwił mi wykonanie koncertu Sibeliusa w operze, w ramach jednej z jego licznych akcji charytatywnych.

\* \* \*

Pamiętam dzień, gdy siedzieliśmy w kawiarni po długiej i niezbyt udanej próbie w starym budynku radia. Claude, jak zawsze, miał wiele do powiedzenia.

- Zapomnij o wszystkich tych bzdetach, które ludzie wygadują o Sibeliusie, Roushano. Zapomnij o paplaninie o fiordach, nordyckich bóstwach, lasach, śniegu, i roztańczonych niedźwiedziach polarnych. Nie to jest w jego muzyce ważne. Jeśli to ci pomoże, wyobraź sobie, że był Hiszpanem. Myśl o tym, że te dźwięki są gorące, nie zimne...

Wtedy otworzyły się drzwi wejściowe i błądy mężczyzna z hitlerowską grzywką otrzepał z brudnego płaszcza krople deszczu.

- Ach... - syknął w nietypowo akcentowanej angielszczyźnie, ignorując zupełnie Claude'a, i patrząc wprost na mnie. - To ty jesteś tą artystką, prawda? Grasz, kurde, na... - wytrzeszczył przekrwione oczy - skrzypkach?

Rzuciłam Claude'owi spojrzenie w nadziei, że uda się nam wykonać jeden z tych nagłych odwrotów, w których zaczęliśmy się od jakiegoś czasu specjalizować. Claude jednak po prostu siedział i - w serii wulkanicznych kichnięć, które po serii zimowych pandemii przepędziły z naszego bezpośredniego otoczenia innych klientów kawiarni - dziwny przybysz przysunął sobie krzesło i usiadł z nami.

- Nie, nie chcę niczego zamówić - syknął do kelnera. - Podaj tylko jeszcze jeden kieliszek, okej? - Otarł nos grzbietem dłoni, którą następnie osuszył o spodnie. Pachniał jak schorowany, mokry pies. - Wiesz, kim jestem, nie?

Pokręciłam głową.

- Cóż... - Claude się pochylił, lecz nasz gość huknął dłonią w stół.

- Nie jestem aż takim idiotą! A wy, gołąbeczki, czy to nie jest wasza najnowsza sztuczka? Najnowszy trik? - Jego oddech i uśmiech były równie mdlące. Musiałam gwałtownie cofnąć nogę, gdy chwycił mnie pod blatem za udo. - Najlepiej sprzedawać się głupiej publiczności, udając, że jest się wszystkim, czym się nie jest. Kurwy.

- Zawsze to powtarzasz, Karl - mruknął Claude, który całą sytuację przyjmował z zaskakującą tolerancją.

Przybysz raz jeszcze uderzył w stół. Tak mocno, że aż podskoczył jego kieliszek.

- Mówiłem ci tyle razy. Żadnych, cholera, nazwisk. - Spojrzał na mnie, a rozlane wino spłynęło mu na płaszcz. - Więc co? Zamierzasz zmienić świat muzyki? O to ci chodzi? Czy

prowadzasz się z Claude'em tylko po to, by móc się pieprzyć, upijać i wykroić dla siebie porcję oślizłej sławy?

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym się przed tobą spowiadać. Kimkolwiek jesteś...

- Kimkolwiek jestem! Ha! To dobre! - Wybuchnął śmiechem, który przerodził się w mokre charczenie. Splunął, tuż obok mnie i blatu. Podejrzewam, że wiesz, jak to jest być dobrym. Claude, słyszałeś może o... jak to się nazywa... - Przekreślił głowę. - To coś tam coś tam muzyczne coś tam?

- Projekt? O to ci chodzi?

Nawet nie postarał się przytaknąć.

- Przygarnianie tych dzieciaków z północnej Afryki. Ratowanie ich przed handlarzami żywym towarem i kultami... I po co to? - Szczerząc się, udał, że gra na skrzypcach. - Spodziewacie się, że dzięki temu się utrzymają? Że w ogóle przeżyją? O wiele lepiej by im się wiodło, gdyby je chłostano, ruchano w dupę lub składano w ofierze najmodniejszemu w danym sezonie bóstwu. I znacznie lepiej by im to wychodziło. Właśnie po to są młode ciała, czy może nie zdawaliście sobie z tego sprawy? Należy je maltretować, zanim stracą jędrność i pokryją się zmarszczkami.

Szło mu to sprawnie. Wkrótce byliśmy jedynymi gośćmi w kawiarence, a ja zaczynałam prawie rozumieć spokój Claude'a w obliczu tej niepowstrzymanej tyrady, choć nie do końca wiedziałam, czemu musimy ją znosić.

- No dobrze, ale kim jesteś? - spytałam. - Nadal się nie przedstawiłeś.

- Jezu mój... - Rozpostarł ramiona i spojrzał na obwieszony butelkami sufit, jakby szukając pomocy. - Ta mała ściśnięta pipa nadal nie wie.

Równie nieoczekiwanie jak przyszedł, podniósł się z miejsca, rozejrzał gniewnie po pustym lokalu i chwiejnie wyszedł na deszcz.

Gdy drzwi znieruchomiały, Claude się uśmiechnął. Roześmiał.

- Roushano, naprawdę nie wiesz, kto to był?

- Nie, a ty zaczynasz mówić jak on!

- Przepraszam... - Zamrugał i uspokoił się. - To był Karl Nordinger. Największy kompozytor świata. Powinnaś się cieszyć, że miałaś okazję z nim porozmawiać.

\* \* \*

Ulewne deszcze nie przestawały padać i wciąż było lodowato, ale Paryż się ocieplał - w Paryżu zrobiło się gorąco. Improwizowałam z Claude'em w „Le Chien Heureux”. Nauczyłam się techniki pytania i odpowiedzi, dowiedziałam się, jak psuć utwór. Słuchałam

Grapellego i odkryłam - zamiast po prostu je poznać - rock i jazz. W nocy leżeliśmy na pół pijani lub na pół śniący, zawieszeni w stanie dziwnej równowagi, napędzani koktajlem wytrzeźwiaczy, środków pobudzających, dopalaczy lub depresantów. Nasze ciała splatały się ze sobą tak blisko, że często nie wiedziałam, czyją skórę liżę. Było to piękne, grzeszne i onanistyczne - nawet smakowaliśmy tak samo. Grałam dla Claude'a *chaconne*. Opowiedziałam mu o Leo i o straconym dziecku, a on odwdzieczył się historiami o swoich kobietach i mężczyznach - i tak, też o Jill Tygryscy - i o tym, że teraz już nikogo z nich nie chce. „Tylko ty, Roushano... Tylko my...”. Tańczył. Bezwstydnie, w samotności robił różne rzeczy dla mnie, a ja dla niego.

Imprezy ciągnęły się bez końca. Uderzył mróz. Sekwana na krótko pokryła się lodem. A potem, nagle, poranki spowiły się wieńcami słońca i pary. Graliśmy na ulicach Montmartre'u, gdzie spontanicznie wykonywaliśmy utwory, które wkrótce nucił cały Paryż. Spacerowaliśmy po Polach Elizejskich, gdzie manekiny wiły się jak aktorzy w „Le Chien Heureux”. Potem szliśmy na Boulevard de Clichy i podziwialiśmy fantastyczne, sztucznie ulepszone ciała kurew, oraz ciekawi i zdumieni przyglądaliśmy się gadżetom sprzedawanym w tamtejszych sex shopach. Na górze, na Montmartrze czekały na nas inne pokusy. Jedliśmy *homard persille* i piliśmy *pastis*. Te strome uliczki znów stały się modne i zaroilo się na nich od mniej lub bardziej egzotycznych sklepików i antykwariatów. Zastanawialiśmy się, czy ta szafka projektu Gallego będzie pasować do kąta atelier lub czy ta kryształowa buteleczka naprawdę zawiera perfumy Lalique'a. Oglądałam nasze odbicia płynące w lustrach i gablotach: Claude, w swoim czarnym płaszczu i czerwonym szaliku, z pulsującą na szyi żyłą i zmarszczką na policzku, która pogłębiała się, kiedy promieniał uśmiechem. Widziałam, że w jakiś dziwny sposób po prostu do siebie pasujemy. Zawsze uważałam wszystkie te opery i musicale o miłości i zakochanych za nedorzecznie śmieszne, za zwykły chwyt artystyczny, ale wówczas zrozumiałam, dlaczego nawet w pozornie zwykłych momentach życia można mieć ochotę zaśpiewać.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- A dlaczego ty się uśmiechasz?

Ręka w rękę, ramię w ramię, machając siatkami, przeciskając się między derwiszami i demonstrantami na schodach Sacre-Coeur, zauważani, lecz obojętni - sławni i jawnie szczęśliwi - poszliśmy dalej. Znaleźliśmy sklepik z pierwszymi wydaniem, rycinami, planami architektonicznymi i dagerotypami przedstawiającymi obsługujące wąsatych mężczyzn służące z *La Belle Epoque*. Na przeciwległej ścianie, niemal pogrzebany przez złoconą umywalkę, wisiał obraz.

- Nie jest na sprzedaż - wymamrotał ciemnoskóry właściciel, widząc, że idę ku malowidłu.

Powstało dzięki jedynie kilku pociągnięciom pędzla na delikatnym błękitno-różowym tle, ale w oczywisty sposób przedstawiało Wenecję, widzianą być może z wyspy Świętego Marka lub jakiegoś bardziej oddalonego miejsca. Nie było na tej akwareli niemal żadnych szczegółów, alei tak emanowała atmosferą letniego świtu wstającego nad tym utraconym, zatopionym miastem.

- Ile za to?

- Już powiedziałem. Nie jest na sprzedaż.

Wtedy jednak dobrze już znaliśmy Paryż. Paryż i jego sprzedawców, ja naprawdę byłam Roushaną Maitland, obok mnie stał Claude Vaudin, a pieniądze to tylko pieniądze, ale sztuka zawsze pozostaje sztuką.

- Chcesz to kupić, prawda? - Wargi Claude'a musnęły me ucho.

Czy to naprawdę był Turner? Biorąc pod uwagę cenę, do jakiej wkrótce doszedł targujący się Claude, wydawało się to możliwe, choć po dziś dzień nie mam pewności.

- Cóż... - Jego ramiona otoczyły mnie po raz kolejny. - Teraz już naprawdę będziemy wiecznie biedni i szczęśliwi.

\* \* \*

Budynek Opera de Paris Bastille majaczył pod rozbłyskującymi chmurami. Ze zniszczonym przez kwaśne deszcze szkłem i zzieleniałym betonem wyglądał na stworzenie wyrzucone z głębi odległego morza na brzeg - wielki ukwiał, który wchłaniał soczyste prądy paryskiej socjety w swoje połyskujące jelita z szarego granitu i czarnej skóry.

Pierwsza połowa *Eine Alpensinfonie* huczała już z głośników, kiedy pokazałam przepustkę i przepuszczono mnie przez zaporę z drutu kolczastego. Nie miałam prawie czasu na przebranie się i nastrojenie instrumentu, ale właśnie w ten sposób zawsze wszystko planowałam. W garderobie znalazłam kwiaty i liściki od wielbicieli, pudełka cukierków i czekoladę. Już miałam to wszystko stracić na podłogę, gdy dotarło do mnie, że na szafce leży futerał na skrzypce. Westchnęłam. Ale obciach. Weszłam do cudzej garderoby. Na klamce, zawieszony na wstążeczce, wisiał jednak bilecik.

*to dla ciebie*

*zasługujesz na to*

*nie będę życzyć ci powodzenia*

*nie chcę słyszeć żadnych wymówek*

*po prostu graj*

C

x

Wyposażony w ekrany i panele, dzięki którym można było kontrolować panującą wewnątrz temperaturę i wilgotność, futerał sam w sobie stanowił imponujący widok. Był zupełnie niepodobny do mojego, starego i poobijanego. Powietrze, którym westchnął po kilku szczęknięciach i syknięciach, pachniało kalafonią i lakierem. Na widok spoczywającego w środku instrumentu westchnęłam też i ja, ale zaraz wyciągnęłam po niego rękę. Dotyk skrzypiec i smyczka był niezwykły. Nigdy przedtem niczego takiego nie czułam. Były już nastrojone - były już przygotowane na wszystko - a ich dźwięk i wrażenie towarzyszące dobywaniu go okazały się równie wspaniałe. Jej... Czy ja to naprawdę robię? Zagrałam - jak to zawsze czyniłam, próbując nowy instrument - kilka fraz Bacha. Nigdy jeszcze nie brzmiały tak pięknie.

Uniosłam skrzypce do światła. Drewno miało zdumiewająco bladą barwę, a efy nie były symetryczne. Podobnie jak dźwięk, wykończenie było piękne i jednocześnie ekscentryczne. Chwilę potem, jak każdy ignorant trzymający w dłoniach wspaniałą rzecz, zajrzałam do wnętrza.

*Giuseppe del Gesu Guamerius.*

Guarneri. Dostałam gęziej skórki. Oczywiście każdy mógł podrobić znak firmowy, ale byłam bardziej niż w przypadku Turnera pewna, że trzymam w dłoniach oryginał. W porównaniu z przyzwoitym, lecz anonimowym francuskim instrumentem z połowy dziewiętnastego wieku, którym posługiwałam się wówczas na koncertach, dotyk tych skrzypiec przypominał muskanie ręki Boga.

Z góry doleciał mnie szum hucznych oklasków. Drzwi garderoby stanęły otworem. Claude nawet nie zaczekał, bym odłożyła ten niewiarygodny przedmiot, tylko od razu chwycił mnie w objęcia.

- Skąd ty je wytrzasnąłeś? - jęknęłam, próbując uratować skrzypce od zmiżdżenia.

Przysiadł na krawędzi szafki i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Podobno jest to *Duc de Camposelice* z tysiąc siedemset trzydziestego czwartego, cokolwiek to znaczy. Posiadali je i grali na nich Ricci, Kessler i Lin, a przecież nie ma nic gorszego od kieszonki takich rzeczy w bankowym skarbcu, prawda? Kiedy więc usłyszałam, że są na sprzedaż, od razu pomyślałam o tobie. Próbowałaś już coś zagrać?

- Oczywiście, że tak. To...

- I jak? Dobre? Złe? Ponoć takie wyrafinowane skrzypki mają czasem o wiele gorsze brzmienie, niż głosi fama. Jeśli jest jakikolwiek problem, możemy coś wymyślić. Zawsze znajdzie się kolejny głupi bogaty kolekcjoner. Jeśli ci się nie podobają, mów śmiało.

- To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam, jakiej dotykałam, czy jaką widziałam, Claude. Jak, do diabła...

- Nie, nie... - Pokiwał palcem. - Nigdy nie pytaj o prezenty. A może u was w Anglii to nieznana zasada?

Uległam. Oczywiście bardzo chciałam mieć te skrzypce. Niemniej, gdy spojrzałam na zegar, niechętnie umieściłam je z powrotem w ich skomplikowanej czarnej muszli. Musiałam zagrać jeszcze jeden koncert na starym instrumencie, zanim mogłam pozwolić, by moje guarneri opętały mą duszę...

- Hej, co robisz?

Domyślając się, co chce powiedzieć, pokręciłam głową.

- Nie masz pojęcia, ile pracy wymaga oswojenie nowego instrumentu. Będzie wspaniale, będzie cudownie, ale...

- Zagraj na nich, Roushano. Zagraj na nich dziś wieczorem. Działają przecież, prawda? Nie są pęknięte, nie brzęczą ani nic?

- Kurwa, są nawet nastrojone, ale nie... - Gapiłam się na niego: spoglądał na mnie z tym swoim wyrazistym uśmiechem, którym potrafił mnie nakłonić do wszystkiego. - Mówię poważnie, Claude. Nie rozumiesz skrzypiec. To nie są maszyny. Każde są inne. Te są wspaniałe i kocham je. Kocham też ciebie i nie mam pojęcia, w jaki sposób udało ci się je dostać. Ale absolutnie, zdecydowanie nie.

Dziesięć minut potem stałam przy wyjściu na scenę z guarnerim w ręku i patrzyłam na Claude'a, który dyrygował kwartetem dzieciaków ze swojego Projektu, hałaśliwie odgrywającym *Les Escaliers de Montmartre*, a słuchacze radośnie klaskali. Oblał mnie zimny pot. Claude po stokroć zapewniał mnie, że w tym koncercie liczy się tylko show i pieniądze, a muzyka nie jest tak istotna jak zwykle. Gdy jednak członkowie paryskiej orkiestry wrócili na swoje miejsca, zrozumiałam, że to moja wielka chwila. Mogłam z niej albo skorzystać, albo ją odrzucić. Najgorszą możliwością byłoby wykonanie przeciętne - po prostu dobre. Wszyscy by wówczas pomyśleli, że występuję tu dziś ja, a nie któryś z innych sławnych skrzypków, tylko dlatego, że pieprzę się z Claude'em. Już lepiej by było zagrać fatalnie. Albo nie pojawić się w ogóle...

Wreszcie muzycy skończyli stroić instrumenty. Claude wyszedł zza kulis, stanął za pulpitem, przywitał się z orkiestrą i audytorium, po czym wskazał na mnie. Nogi mi się ugięły. W głowie rozległo się dziwne dzwonięcie. Ludzie klaskali, po chwili zapadła cisza. Widziałam pulsowanie wpadającego przez szklany sufit światła, słyszałam bicie własnego serca. Dlaczego się na to zgodziłam - choć byłam przekonana, że wcale się nie zgadzałam - czemu uległam tej niedorzecznej prośbie, by zagrać dziś na guarnerim? Brzmienie, głośność, ton, samo choćby wyważenie i ciężar tych skrzypiec, wszystko było zupełnie inne niż w instrumencie, na którym dotąd ćwiczyłam. Claude spojrzał na mnie. I mimo że była to ostatnia czynność, na jaką miałam w tej chwili ochotę, uniosłam wiekowe skrzypce do brody, mocniej chwyciłam smyczek i skinęłam głową.

Claude oczywiście zdawał sobie sprawę z mojego zdenerwowania. Ale czekał i czekał. W sali zapadła cisza. Wyczuwałam już pierwsze fale zdziwienia. Czy coś się stało? I wtedy, w ostatniej możliwej sekundzie, pośród zmieszania i pokasływań, odliczył, i mgła dźwięku poniosła się ze strun, a ja - wiedziona bardziej instynktem niż myślą - dołączyłam w trzecim takcie. Melodia zaczęła się rozwijać, zagrały instrumenty dęte, membrany zahuczały, i najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że nigdy w życiu nie byłam tak bardzo świadoma swych skrzypiec. Słyszałam tylko muzykę. Wówczas zatonęłam w chwili za bardzo, by myśleć, ale efekt przypominał zapewne ten, którego doświadczyć może bokser czy biegacz, kiedy po miesiącach treningu, nawet obciążony ciężkimi rękawicami, pozbywa się poczucia odpowiedzialności i ciężaru występu. Leciałam. Guarneri należał do mnie i - jak od dawna powtarzał mi Claude - zrozumiałam, że ten koncert mówi o sercu i namiętności, a nie o lodzie i śniegu. Zanim ukończyłam pierwszą kadencję i wyłonił się potężny temat orkiestry, wiedziałam, że dzieje się coś cudownego. Oczywiście, muzycy byli zaskoczeni zmianami brzmienia i tempa, wynikającymi z tego, że grałam na guarnerim, ale zareagowali genialnie. Mrocznie, dynamicznie, energetycznie - dźwięki lały się prosto z dusz, a kołyszący się na swym podwyższeniu Claude zachęcał ich jeszcze bardziej.

Graliśmy lepiej i lepiej. Wolniej i smutniej. Lżej i ciężej. Bardziej wulkanicznie i - tak! - przerażająco. W tej muzyce znalazł się cały świat. Gdy zabrzmiał wirujący taniec trzeciej części, wyczułam, że wszyscy na widowni aż podskoczyli. Chciałam im pokazać. Chciałam, by się śmiali i płakali. Chciałam, żeby zrozumieli. Wszyscy dzieliliśmy to uczucie - cała orkiestra. Struny brzmiały wyraziście. Przejęłam melodię, zakreśliłam ją w powietrzu i cisnęłam z powrotem w nich. Byliśmy razem i nie chciałam, by to się skończyło. Nigdy. Basy warczały, a ja unosiłam się wśród nich. Potem zebrałam wszystkie wątki w swoim staccato i

wielka bestia muzyki, z którą się zmagalam, bestia będąca czymś więcej niż orkiestrą i Claude'em Vaudinem, ryknęła, po czym padła i zdechła, przebita moim ostatnim, wysokim C.

Przez moment byłam tak oszołomiona tym, co się właśnie stało, że ledwie usłyszałam oklaski. Czułam jedynie smutek na myśl, że wszystko, czego przed chwilą doświadczyłam, dobiegło końca, zastąpione przez potrzebę, by jak najszybciej to powtórzyć - pośród swych wielu innych zalet, wykonywanie muzyki na tym poziomie jest niezwykle uzależniającym narkotykiem - aż wreszcie dotarł do mnie aplauz. Wszyscy na widowni stali, także muzycy z orkiestry. Spojrzałam na Claude'a, ale on wskazywał mi już ręką, w uszach mi huczało i przypominałam sobie, że powinnam się uklonić. Gdy do mnie podszedł, kiedy ujął moją dłoń, gdy zniknęłam za bukietami kwiatów, wrzawa nie ustawała. Mogliśmy ich uciszyć jedynie grając coś jeszcze. Przebiliśmy się przez fantazję *Carmen* Ravela, która nie była naszym zwykłym bisem, nie po to, by wreszcie zapłonęły światła, a siedzenia opustoszały, lecz dla zwykłej radości z tworzenia muzyki. I znów wszyscy klaskali. Rzuciłam Claude'owi spojrzenie. Odwrócił się ku słuchaczom i wykonał gest, dał sygnał. Zrobiło się dziwnie cicho, jak na tak dużą salę. Kontrolował ich z równą łatwością, z jaką panował nad orkiestrą.

Gdy podszedł do umiejscowionego na środku sceny fortepianu, jego kroki rozbrzmiały głośnie, dźwięcznym echem. Zaprosił mnie ruchem ręki.

- Co mamy zagrać? - syknęłam, ale on tylko się uśmiechnął i pocałował mnie w rękę.

Zapadła jeszcze głębsza cisza. Po raz pierwszy tego wieczoru byłam w pełni świadoma tysięcy obserwujących mnie twarzy i milionów wirtualnych gości. Tego momentu naprawdę nie planowaliśmy. Niemniej, dzięki serii skinień, znaków, które mogły być wcześniej ćwiczone lub też nie, Claude dostał do rąk dwie pałeczki perkusyjne. Pochylił się nad fortepianem i przeciągnął końcem jednej z nich po odsłoniętych strunach. Rozległo się glissando dźwięków. Spojrzał na mnie. Zdażyłam już unieść skrzypce. Poznałam tę melodię, choć w naszym atelier zagraliśmy ją tylko raz, i to samotni i nadzy. *She Moved Through the Fair* - angielska ludowa piosenka - muzyka, którą kojarzyłam z wiejskimi tańcami i Vaughanem Williamsem. Ten jednak konkretny utwór mówi o śmierci i żałobie, a melodia jest o wiele bardziej lodowata i niezwykła niż cokolwiek, co napisał Sibelius. Gdy wydobyłam ze skrzypiec pierwszy dźwięk, a Claude odpowiedział nieziemskim stukaniem i rezonansami swego fortepianu, zdjął mnie zimny lęk. Nie tylko dlatego, że wątpiałam w swoje zdolności, lecz z powodu bijącej z tej muzyki samotności, która wydała mi się odzwierciedleniem wszystkiego, co działo się na zewnątrz tej ciepło oświetlonej sali koncertowej, w całym gwarnym Paryżu i w naszej niepoznawalnej przyszłości, w stronę której zmierzaliśmy. Dryfując ku dysonansowi, przypominającemu koniec wszystkich rzeczy,



ponownie scalając melodię w najboleśniejszy, prosty sposób, nadawaliśmy kształt powietrzu. Drżałam. Byłam wyczerpana. Gdy utwór się skończył, wiedziałam, że nie jestem już w stanie zagrać ani jednego dźwięku.

Claude i ja stanęliśmy obok siebie. Gmach Opera de Paris Bastille wypełniła cisza. Słuchacze po prostu siedzieli w bezruchu, niemal nie oddychając. Pozostali w tym stanie o wiele dłużej, niż można się tego było spodziewać. Aż wreszcie wybuchnęli.

\* \* \*

Każdy, kto był kimś - zarówno ci, którzy byli na koncercie, i ci, których tam zabrakło, ale już teraz twierdzili, że siedzieli na widowni - pojawił się później tego wieczoru u Harada Le Pape. Wysokie, puste pokoje wypełniły się nagle po sufit gestami, głosami, twarzami, sławami, biustami, sporami, gwiazdami, reputacjami i rozbuchanymi ego. Oczywiście przewodził temu Harad - ale ja także. Wszyscy chcieli ucałować mnie w policzek, pogratulować i zaraz potem przypomnieć, że szepnęli komuś słówko w mojej sprawie, że zawsze wiedzieli, że należy uważnie mi się przyglądać. Umawiałam się na wywiady. Moje słowa i gesty były nagrywane o wiele bardziej pieczołowicie niż mój występ. Claude, zwykle najważniejsza persona na tego typu bankietach, okazał się szczególnie wdzięcznym aktorem drugoplanowym. Przyjmowałam toasty. Rwącym się głosem wygłosiłam mowę. Fakt, że jedyne, co się zmieniło, to moje nowe skrzypce - że wskutek zdenerwowania i braku doświadczenia, bez guarneriego zagrałabym ledwie poprawnie i że Claude genialnie poprowadził orkiestrę i że to on wymyślił ten kataklizm drugiego bisu - został przez mojego kochanka przemilczany, i za to uwielbiałam go tym bardziej.

Harad wybrał na ten wieczór jedwabne kapcie i haftowany chiński szlafrok. Rezultat był bardziej kobiecy niż afektowany i w ogólnej opinii on (lub ona) dryfował właśnie ku jednej ze swych żeńskich faz. Obdarzył mnie ciepłym uśmiechem, a potem uściskał, co było zaskakujące, ponieważ nigdy i wobec nikogo się na takie gesty nie zdobywał. I to - wraz z całym obserwującym mnie Paryżem - było lepsze niż jakiegokolwiek recenzje.

- Tak bardzo, bardzo mi cię szkoda, skarbie - szepnął potem na tyle głośno, by usłyszeli to sąsiedzi. - Wydawało mi się, że poniesiesz cudowną klapę. Wydawało mi się, że przeżyjesz swe życie w jakimś koszmarnym wieżowcu i przedwcześnie umrzesz otoczona butelkami absyntu i różnymi pastylkami. A ty, biedactwo, odniosłaś właśnie sukces. Pamiętaj tylko, że to dopiero początek. - Wciągnął mnie w kolejny nieprawdopodobny, pachnący Chanel uścisk. - I dbaj o Claude'a... - Tym razem szeptał naprawdę. - Jest bardziej delikatny niż myślisz.

Okazało się też, że dysonansowa fraza z naszego wykonania *She Moved Through the Fair* miała, podobnie jak muszelki z proustowskiego Balbec i co druga strona odczytywanego wspak *Finnegans Wake*, stać się częścią wielkiego dzieła Harada, wciąż powstającego piętro wyżej. A czy to nie Max Rochereau? A to przecież musi być Agnieszka Perrot. Wkrótce rozmawiała ze mną nawet Jane Affray. Podekscytowanym głosem opowiadała, że bardzo chce napisać cykl piosenek bez słów. I czy zechciałabym je wykonać? Zechciałabym, prawda? I zechciałabym być tu, przeczytać to, posłuchać tego, posmakować tamtego i zajrzeć tam? Upuszczone wizytówki, spadające liście sławy, szeptały na zachlapanej winem podłodze. Po niedługim czasie goście zaczęli się gromadzić przy windzie, w nadziei że znajdą drogę na słynne szóste piętro domu Harada.

W pewnej chwili zastałam Claude'a rozmawiającego z ożywieniem z wysoką, ładną kobietą tuż po trzydziestce - choć akurat w Paryżu coraz trudniej było trafnie ocenić wiek nieznanym. Okazało się, że jest to Mathilde Irissou, niedawno nominowana przez PS, francuską partię socjalistyczną, na kandydatkę w wyznaczonych na najbliższe lato wyborach prezydenckich.

- Musisz być już zmęczona tymi wszystkimi gratulacjami - zagaiła ciepło doskonałą angielszczyzną. - Niemniej, zasługujesz na nie. Wiesz, połowa sali zalała się łzami.

- Ależ skąd. Wyrazy uznania nigdy mnie nie męczyły. I mam nadzieję, że nigdy nie zaczną.

Włosy miała proste, barwy bursztynu, starannie i równo przystrzyżone tuż ponad ramionami. Wybierając styl, którego zresztą sama była pionierką - po kilku sezonach, kiedy królowały epolety i firyki - ubrała się surowo, ale elegancko w ciemny kostium, zdradzający gdzieś zarys jej doskonałej figury. Pochodziła z algiersko-polskiej rodziny, wyrosła na biednym i niebezpiecznym osiedlu poza Peripherique, na szczyt dostała się wyłącznie dzięki ciężkiej pracy, i w powszechnej opinii stanowiła ucieleśnienie ideału udanej kariery polityka, mimo że dotychczas była znana głównie ze zdjęć reklamowych, na których występowała jako Wolność z nagą piersią wiodąca lud na barykady. W Anglii traktowano by ją z tego powodu protekcjonalnie, we Francji odwrotnie, zyskała dzięki temu na wiarygodności.

- Jestem pewna, że wiesz już, jak bardzo podziwiam Claude'a. - W tym wieku końca makijażu usta Mathilde były naturalnie nienaturalnie czerwone, zęby miała doskonale białe, a jej oczy lśniły jasno niczym brylanty. - Czy jesteś podobnie jak my oddana idei sprawiedliwej i socjalistycznej Szóstej Republiki?

- Jestem zwolenniczką idei równości, jeśli o to pytasz. - Zdążyłam już uznać, że nie lubię tej kobiety i że nie podoba mi się sposób, w jaki patrzy na Claude'a, lecz odsunęłam te myśli na bok.

Mathilde Irissou i tak była o miliard razy lepsza niż tłustawy, wiecznie zadowolony z siebie Blaise Boullard, obecny lokator Pałacu Elizejskiego. A dzięki Claude'owi zrozumiałam, że polityka nie polega na poszukiwaniu doskonałości przy jednoczesnym odtrącaniu wszystkiego poza nią. „To sztuka czynienia tego, co możliwe, Roushano. Tego, co możliwe tu i teraz, w tym niedoskonałym świecie...”.

- Potrzebujemy poparcia ze strony ludzi takich jak ty, Roushano. Mam nadzieję, że cię nie urażę, ale ty i Claude jesteście bardzo ważną parą. I nie mam tu na myśli jedynie waszej sztuki, choć gracie przecież wspaniale. Ważne jest też to, że on jest czarnym Amerykaninem, ty azjatycką Angielką, i oboje wybraliście Francję.

- Prawdę mówiąc, mój ojciec był biały.

- Naprawdę? Cóż, tym lepiej. A twoja matka i to wszystko, co robi w Indiach dla ubogich i cierpiących na chorobę popromienną... Stanowisz fantastyczny przykład, Roushano... - Chwyła oburącz moją dłoń, uściśnęła ją i przeszła na pełen pasji francuski. - Tak między nami, możemy zmienić świat. W tych wyborach nie chodzi tylko o to, której stronie uda się zgromadzić wokół siebie silniejszą koalicję i wybrać kompromisowego przywódcę na następne pięć lat. Może sądzisz, że wiesz, jaki jest Boullard, ale to nieprawda. Oczywiście rozgrywa różne interesy, nie panuje nad korupcją i szalejącą niekompetencją. Oczywiście przymyka oczy na zawieranie kontraktów na budynki, które nigdy nie powstaną. Lecz to tylko wierzchołek góry lodowej. A sytuacja cały czas się pogarsza. To będą najbardziej brutalne z dotychczasowych wyborów. Patrz, spójrz tam...

Mimo wszystko, jej namowy sprawiły mi przyjemność. Czy ona naprawdę powiedziała „zmienić świat”? W tych czasach dziwnej, błyskawicznej erupcji mojej kariery, w gorąccze Paryża, tamtego przedwiośnia wszystko wydawało się możliwe.

- Ach! - Claude wrócił do nas ze świeżo napełnionym kieliszkiem wina w ręku. Zauważył, na kogo spoglądamy. - Ten oszust i łajza. Wiem, jak bardzo Harad ceni sobie ironię, ale zapraszanie takich kreatur to lekka przesada.

Cechą najbardziej wyróżniającą mężczyznę, który stał na uboczu, była jego absolutna przeciętność. Wszyscy pozostali goście cieszyli się jakąś kombinacją talentu, sławy, władzy, wyglądu lub pieniędzy. On jednak, niechlujnie ubrany w dżinsy, przemoczone trampki i luźną, przybrudzoną koszulę, stanowił ich antytezę. Skórę miał pokrytą dziwnymi plamami i przebarwieniami, wyglądało to jakby uległ w przeszłości poważnemu poparzeniu. Był też

gruby i zupełnie nieatrakcyjny. Pod rzednącymi, tłustymi włosami było widać nawet połyskującą czaszkę, choć w niemal wzruszającej próbie ukrycia łysiny czesał się z pożyczką. Był tak mało pociągający, że jego obecność na tym przyjęciu wydawała się absurdalna. Jednocześnie jednak emanował od niego pewnego rodzaju spokój, może nawet arogancja. Co więcej, odniosłam wrażenie, że skądś go znam...

- Hej, Christos! - zawołał Claude ponad otaczającymi nas głowami. Może wody?

Mężczyzna nie usłyszał i swym lekko kulawym krokiem ruszył ku innej obojętnej grupce. Teraz jednak, gdy Claude wymienił jego imię i wspomniał o wodzie, elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Wykrzykiwał już o wiele gorsze rzeczy i ciskał różnymi przedmiotami w tego tak zwanego Christosa, gdy leżeliśmy w łóżku i skakaliśmy z kanału na kanał tego, co wciąż nazywano telewizją. W ówczesnym Paryżu żyło wielu proroków i mesjaszy, ale Harad Le Pape wykazał (lub wykazała) się swym zwykłym wyczuciem, wybierając spośród nich akurat Christosa. Był sensacją sezonu. Niemal na każdej ulicy spotykało się jego wyznawców, rozdających apokaliptyczne ulotki i sprzedających tanią, butelkowaną wodę.

- Zrozumcie - szepnęła Mathilde - jest spora szansa, że fundamentaliści staną się języczkiem u wagi w nowo wybranym Zgromadzeniu. Jeśli tak, i jeśli Boullard zostanie na następną kadencję, będą zapewne w stanie samodzielnie wskazać premiera. A potem zakazą antykoncepcji i aborcji w jakiegokolwiek formie. Wprowadzą cenzurę. Kobiety stracą prawo do pracy. Czeka nas średniowiecze...

- Naprawdę uważasz, że Boullard pozwoliłby na coś podobnego? - spytałam.

Claude zarechotał, a Mathilde uraczyła mnie uśmiechem z rodzaju tych, jakie zwykle rezerwuje się dla osób żyjących w błogiej nieświadomości.

- Roushano, Boullard zrobi wszystko, co pozwoli mu się utrzymać przy władzy - podjęła znów po angielsku. - Dlatego właśnie musimy go powstrzymać. Wiem, że łatwo jest podchodzić do polityki cynicznie, ale niekiedy naprawdę pojawiają się sytuacje, w których myśl i działanie są bardzo istotne, momenty, gdy ważą się losy prawdziwej duszy kraju. I teraz właśnie mamy z jednym z nich do czynienia. Francja jest bliska rozpadu. Musimy dać ludziom nadzieję. Musimy się przeciwstawić. A jeśli to będzie oznaczać... - Gestem niewiniątka wzruszyła ramionami. - Jeśli będziemy musieli się uciec do standardowych trików i medialnych gier, jeśli będę musiała się łączyć do kamer i wypinać pierś, to trudno. Są na świecie gorsze rzeczy. A skoro o tym mowa... - kolejna pauza, jedna z tych, którymi posługują się politycy, by sprawić wrażenie, że ich słowa nie zostały wcześniej przećwiczone

- ...to chciałabym was oboje o coś poprosić. Ta melodia, ta którą dziś w operze zagrały te dzieciaki...

- *Les Escaliers de Montmartrei* - podsunęłam, jakby moja pomoc była jej naprawdę potrzebna.

- Właśnie. Od tygodni próbuję się jej pozbyć z głowy. Ale bez przerwy spotykam kogoś, kto ją gwizdże lub nuci. Szukamy motywu muzycznego dla kampanii i moi doradcy twierdzą, że potrzebujemy czegoś chwytliwego i bez słów. Szczerze powiedziawszy, ta melodyjka byłaby doskonała. Korzystalibyśmy z niej wyłącznie do dnia wyborów. Potem, jeśli wygramy, co przy waszym poparciu jest niemal pewne, kto wie, jak kraj mógłby się wam odwdziżyć...

Przypominało to doskonałą jazzową improwizację. Zmiany tempa i tematów były zaskakujące, ale gdy już następowały, wydawały się nieuniknione. Claude jednak nadażał.

- Nie wiem, jak wygląda sytuacja z prawami autorskimi, Mathilde. Muszę porozmawiać z agentami, ale jestem pewien, że do weekendu coś się uda wymyślić. Pasuje?

- Doskonale... - Mathilde stanęła na palcach i wyciągnęła szyję. Jej wargi dotknęły jego policzka. Moment później, pozornie tak samo chętnie, choć samo wrażenie okazało się dość mrozące, pocałowała mnie. Potrzebuję was... - szepnęła. - Obojga... Pamiętajcie... Nie zapomnijcie, proszę.

Godziny mijały kierowane nielogiką imprezy. Paryż mógł już wstać lub kłaść się właśnie do łóżek - mógł żyć lub umrzeć - ale każdy, kto był w tym mieście kimś, wciąż bawił się u Harada. Wiedzieliśmy, że ci, którzy wyjdą jako pierwsi, natychmiast padną ofiarą plotek całej reszty. Bankietu nie opuszczał więc nikt. Pojawiła się nawet plotka, że Harad może zdecydować się na wyłączny, prapremierowy pokaz swego projektu z szóstego piętra, aczkolwiek od początku wydawało się to przesadnym optymizmem. Potem Karl Nordinger - którego z powodu naszego spotkania w kawiarni unikałam przez cały wieczór - dopadł mnie z tym swoim charakterystycznie rozpraszającym, przszytym do twarzy uśmiechem i mdlącym powiewem pernodu.

- Naprawdę bardzo mi się podobał twój dzisiejszy występ, Roushano.

- Wydawało mi się, że ty... - Ale to nie było możliwe, by akurat on wzgardził muzyką.

- Mogę ci coś pokazać?

Przemknęła mi przez myśl długa lista niechcianych możliwości, ale skinęłam przyzwalająco. Grupki rozmówców zgęstniały i coraz bardziej zawzięcie ze sobą rywalizowały. Dalsze pokoje mieszkania Harada, pełne leżących w bezładzie kieliszków i zdeptyanych inhalatorów po narkotykach, wyglądały jakby przeszło przez nie tornado. W

pobliżu nie było nikogo. Nordinger zaprowadził mnie do stojącego pod oknem keyboardu. Za szybą było szaro i padał deszcz. Pogmerał przez moment przy ustawieniach i zaczął grać.

- Właśnie nad tym teraz pracuję - oznajmił. - Nie brzmi szczególnie, wiem, wiem...

Przez długie minuty stałam i po prostu słuchałam. Nawet po tym krótkim fragmencie, który mi wtedy zademonstrował, zaczęłam podejrzewać, że *Czwarta symfonia* Karla Nordingera okaże się arcydziełem. Mimo, a może właśnie z powodu naszego pierwszego spotkania, wiedziałam o nim wówczas już nieco więcej. Jego rodzice pracowali dla jakiejś organizacji humanitarnej i dzieciństwo spędził w krajach trzeciego świata, przyglądając się przez druciane siatki obozów biedzie i przemocy. Domyślałam się, że tłumaczyło to wiele, między innymi jego cynizm i niemożliwy do umiejscowienia akcent. Karierę zaczął jako komputerowy maniak, komponując muzykę taneczną, po czym obwieścił niezbyt zainteresowanemu światu, że zamierza na nowo zdefiniować muzykę symfoniczną. Oczywiście była to absurdalna pretensja i te parę osób, do których jego manifest dotarł, potraktowało go ze śmiechem. Wkrótce jednak pojawiła się *Pierwsza symfonia* i jego suita *Zakochany Swann*, której gorącym orędownikiem był objeżdżający wtedy świat z koncertami Claude. Teraz słuchali go już wszyscy. Muzyka Nordingera była bogata i w pewnym sensie wsteczna, choć wiele brzmień i odniesień nawiązywało do świata Wschodu. Niektóre fragmenty naruszały granice tonalności, podczas gdy inne huczały tak ostro, że wydawały się rozpisany na orkiestrę utworem jakiegoś heavymetalowego zespołu. Jego utwory brzmiały tak - jak zauważył Harad Le Pape w czasach, gdy parał się jeszcze pisaniem recenzji - jakby Beethoven pisał muzykę transową. Ale mnie Nordinger przywodził na myśl Mahlera. Nie tyle z powodu struktury i brzmienia, ile tej pozornie nedorzecznej ambicji, w myśl której utwór muzyczny może zawrzeć w sobie cały świat. Nordinger był też w stanie dokonać czegoś, co znajdowało się poza zasięgiem wszystkich kompozytorów z poprzednich wieków, choć wielu igrało z podobną ideą. Dzięki sztucznej, programowalnej inteligencji, tworzył kompozycje ewoluujące, samodzielnie się zmieniające. Środkowa część *Zakochanego Swanna* na przykład, dawniej była przetkana ironicznymi wstawkami instrumentów dętych, a teraz przenikała ją atmosfera proustowskiego zmierzchu.

- Spójrz na to... - Wyciszył klawisz i wywołał sekcję z partyturą na wyświetlacz. - Wiem... - Zachichotał. - Sibelius, grałeś to dzisiaj. Bezczelna zrynka.

Nie był to do końca plagiat, choć biorąc pod uwagę nagromadzenie tych smyczków D mollu, zrozumiałam, co ma na myśli.

- To wszystko. Jeszcze nie skończyłem.

Poczułam mrowienie. Po raz pierwszy w życiu patrzyłam na rozpisane nuty trzeciej części słynnej *Pieśni czasu*.

- Oczywiście, ten fragment jest grany flażoletami. Ostatnia fraza kończy się jednocześnie na pierwszej i na drugiej strunie.

- Wygląda... pięknie.

Skrzywił się.

- Nie chodziło mi o piękno, raczej o... - próbowałam wytłumaczyć.

- Nieważne, o co ci chodziło. Mogłabyś to zagrać?

- Nie wzięłam ze sobą skrzypiec.

- Nie teraz. Miałem ma myśli premierę, choć, kurwa, nigdy nie wiadomo co wtedy będzie.

- Tak - odparłam. - To jest bardzo proste, ale...

- Ale co?

- Nic. Będę zaszczycona.

Był to niezmierny przywilej i musiałam odwołać wszystko, co kiedykolwiek pomyślałam, bądź usłyszałam na temat Karla Nordingera. Nikt poza geniuszem o niebywałej wrażliwości muzycznej nie mógł stworzyć dźwięków o takim ładunku współczucia i smutku. Czystość jego melodii pozostała ze mną nawet wtedy, gdy wróciłam już do rozbawionego towarzystwa. Nawiedzona - tak, być może to byłoby najlepsze słowo do określenia jej. Wtedy jednak bankiet w mieszkaniu Harada naprawdę zaczął dobiegać końca. Żegnano się okrzykami. Ponownie łączyły się pary i inne grupki - niektóre postanawiały się rozdzielić. Nigdzie nie widziałam Mathilde Irissou ani Maksa Rochereau, ani Karla Nordingera, ani żadnej z dwóch Susi Broadsmere, ani osobnika zwącego się Christos, czy nawet Harada Le Pape. Czy to naprawdę byli - zastanawiałam się, gdy wyszliśmy z Claude'em na ulice Paryża - ludzie, z którymi bawiłam się na imprezie uświetniającej mój sukces? Wyglądali teraz na tak zagubionych i pozbawionych celu. Przemoczeni mężczyźni, bose kobiety dźwigające w rękach swe niewiarygodne buty, odbijające się w lśniących chodnikach.

\* \* \*

To był bardzo długi dzień. Nawet śniadanie, które - z głową wciąż wirującą od wina i pędu paryskiej nocy - zjadłam ubrana w szlafrok w towarzystwie Adama, okazało się ciężką pracą. Także mój gość wyglądał na zmęczonego. Może wczoraj wieczorem wypił więcej wina niż sądziłam. A może chodziło o coś innego.

- Mam spotkanie - powiedziałam, gdy dolał mi kawy, choć dobrze wiedziałam, że nie będę w stanie jej wypić. - W Bodmin. Rutynowa sprawa. Przyjedzie po mnie samochód, więc byłoby lepiej, gdybyś nie rzucał się w oczy.

- W klinice?

- W klinice? Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzruszył nieznacznie ramionami - w zasadzie przypominało to dreszcz - i odstawił dzbanek.

- Wspominałaś wczoraj w nocy.

- Tak, chyba można to nazwać kliniką - przyznałam. - Przechodzę... rozmaite kuracje. Jak zapewne zauważyłeś, nie jestem już młoda. Łatwo się męczę. Miewam też... zawroty głowy. Muszę pilnować diety, uważać na siebie, odpoczywać popołudniami.

Powiedziałam zbyt wiele - Adam przybrał minę, którą zwykle nazywam miną chłopca przyłapanego na gorącym uczynku - ale i tak poczułam się zła. Na niego. Albo na kogoś innego. Odkąd się tu pojawił, nie wystąpiło jeszcze między nami tak wyraźne napięcie. Wrażenie nie zniknęło nawet wtedy, gdy poszłam na górę, żeby się ubrać, i kiedy siedziałam, czekając na samochód. Zatrzymał się przed bramą, którą zostawiłam zamkniętą, by nikt nie zauważył Adama. Była punktualnie dziesiąta. Pojazd osiadł na grubych oponach i wyglądał na wielce zadowolonego z siebie, dysząc parą z silnika. Czy i tym razem zamknęłam Adama w Morryn? Czy powinnam to robić, czy nie? Te właśnie pytania zadawałam sobie, wsiadając do plastikowej bańki, ale nie byłam w stanie udzielić na nie odpowiedzi.

Kolejny piękny dzień pod koniec sierpnia. Rosnące w meandrującej dolinie jarzębiny przystroiły się w ekstrawaganckie suknie owoców. Połowa Lostwithiel porosła bluszczem: zaginiona wioska w zaginionej dolinie. Po niebie szybowały jastrzębie. Wpatrywały się we mnie puste spojrzenia okien zamku. Kornwalijski krajobraz stał się obecnie bardzo dziki, ale Bodmin, a przynajmniej jego centrum, wciąż jest zamieszkane, cywilizowane i z determinacją wciąż pozostaje granitowoszare. Gdy samochód odjechał, rozejrzałam się po rynku, mimo nagłego kołatania serca, powtarzając sobie, że znam przecież to miejsce od dawna. Tutaj, w tym budynku z czasów Tudorów, znajdowała się kawiarnia, w której często jadałam ze swoją dawną przyjaciółką Daisy, jeszcze w czasach, kiedy bycie żywym uznawałam za coś naturalnego. Dzień właśnie się rozpoczynał i ktoś wystawił na zewnątrz tabliczkę z wypisanym kredą menu. To zabawne, jak jedne rzeczy odchodzą, a inne wciąż trwają...

Budynek stojący przy St Nicholas Street nosi teraz zapewne wiele nazw, lecz uspokajająco miejskie słowo RATUSZ wciąż widnieje wyryte w kamiennym nadprożu nad wejściem. Klinika, strzelająca ku górze dwoma piętrami wysokich okien i ciężkich, żelaznych



elementów, jest zwieńczona zgrabnym dachem. Gdy stanęłam przed otaczającą ją barierką, emanowała posępną szarością, choć nie była bardziej ponura ani bezbarwna od wielu innych większych budynków Bodmin. Wewnątrz trwa nieustanna, przyjemna krzątanina. Ludzie pracują, przychodzą i wychodzą. Powietrze pachnie tu dobrze wypolerowanym, starym drewnem i wielkimi koszami kwiatów, a drobinki kurzu płoną w promieniach słońca wpadających przez okalające recepcję szyby.

W gabinecie Lianga Ho nie ma biurka, w każdym razie nie takiego prawdziwego. Szczerze mówiąc, nic tu nie wygląda jak w tradycyjnym gabinecie - ludzie pracują teraz inaczej - lecz, podobnie jak gospodarz, pomieszczenie zachowało swój profesjonalny charakter. Są dwa krzesła i ani przez chwilę nie mam wątpliwości, na którym powinien usiąść Ho, a które mam zająć ja. Podchodząc do niego, wyobraziłam sobie ubranego w garnitur księgowego, czy może prawnika, który zapewne dawniej pracował w tym samym miejscu.

Uśmiechnął się i pochylił, składając razem koniuszki swych doskonale zadbanych palców, jakby w geście niecierplivej modlitwy.

- Tak się cieszę, że znów panią widzę. Dobrze pani wygląda.

- Prawdę powiedziawszy - mówię, przeprowadzając w głowie szybki bilans - rzeczywiście czuję się lepiej.

- Kuracja nie powoduje żadnych problemów? - To zwykła uprzejmość; gdyby cokolwiek poszło nie tak, umieszczone w mojej głowie urządzenie natychmiast by go o tym poinformowało.

- Najmniejszych. To był dobry tydzień. Choć... pełen ciężkiej pracy.

- Co więc pani robiła?

- W zasadzie to, co pan sugerował. Myślałam o przeszłości.

- I bardzo dobrze. - Uśmiechnął się szerzej.

- Cóż... - Wyrażenie, którym się posłużyłam, „ciężka praca”, powróciło do mnie niczym kwaśny posmak odbijania. Czyż nie to powiedziała kiedyś Daisy Kornbluth? - Szczerze mówiąc, to dość dziwne. Straszny ze mnie chomik. Pozbywanie się rzeczy nigdy nie było dla mnie łatwe. Ale przeglądanie tego wszystkiego, co zgromadziłam w Morryn, okazało się o wiele bardziej intensywnym przeżyciem, niż się tego spodziewałam.

- Morryn?

- Tak się nazywa mój dom.

- Słyszała pani o Matteo Riccim?

Pokręciłam głową.

- Był jezuitą. Podróżował do Chin i wynalazł metodę zapamiętywania tamtejszych ideogramów. Wyobrażał sobie wielki budynek o wielu pokojach. W każdym z nich umieszczał wspomnienie i wyposażał je w przedmioty przywołujące właściwe skojarzenia. Po niedługim czasie był w stanie spacerować korytarzami, skręcać, wchodzić po schodach, i dzięki temu potrafił zlokalizować dowolną informację. Nazwał to pałacem wspomnień. Technikę tę stosuje się szeroko po dziś dzień.

- I to właśnie robię? Buduję w Morryn pałac wspomnień?

- Rzecz jasna, pomaga w tym pani kryształ. Ale z pewnością zauważyła już pani, że pewne przedmioty wywołują swoiste wspomnienia. - Ho wzruszył ramionami. - Oczywiście, Roushano, proszę nie traktować pojęcia „przedmiotu” zbyt dosłownie. Komnaty pałacu wspomnień nie muszą być wypełniane wyłącznie rzeczami. To może być cokolwiek. Zapach, smak, może kilka połączonych wrażeń... W pani wypadku także melodia. Wszystkie mogą wywołać nowe wspomnienia.

- Zauważyłam. - „Rzecz jasna pomaga w tym pani kryształ”; jeszcze jedno nieprzyjemnie wracające odbijanie się. - Ale nie można przypomnieć sobie wszystkiego, prawda? Poza tym, skąd mogę być pewna, że pamiętam wydarzenia dokładnie tak, jak się wydarzyły?

- Ach, nieadekwatność prawdy! Racja, coś takiego jak wiedza pewna, po prostu nie istnieje. Wszyscy żywimy własne złudzenia, iluzje dotyczące przeszłości. Część wspomnień okazuje się bolesna, może nawet do tego stopnia, że nie chcemy ich przeżywać po raz drugi. Proszę się jednak nie martwić. Celem tego procesu nie jest stworzenie bezosobowej, obiektywnej historii, liczy się wyrażenie pani prawdziwej natury.

Z taką samą zawodową swobodą, z jaką zapewne pracujący tu niegdyś adwokat pytał klientów o treść testamentu - choć teraz ludzie ich już niemal nie piszą, wiele precedensów ustanowiło zasadę, że umarli zachowują prawo do własności - Ho zaczął mnie wypytywać, czy zastanawiałam się nad szczegółami dotyczącymi własnego przejścia.

- Nie bardziej niż przedtem.

- Powiedziała pani komukolwiek? Przyjaciołom? Kolegom? Ma pani dzieci, prawda?

- Nikomu o tym nie mówiłam.

Pokiwał głową i znów się uśmiechnął.

- A przygotowania?

- Nie chcę żadnych ceremonii. Żadnego zamieszania.

- Oczywiście. Nie musi się wydarzyć nic poza samym przejściem. A to może się odbyć niemal wszędzie. Mam na myśli Bodmin, ale nadaje się do tego niemal każde miejsce. Jeśli

zechce pani przejść na przykład na szczycie wzgórza, odpowiednie pole kryształu będzie można stworzyć w dość krótkim czasie. Co więcej, gdyby przyszła pani dziś do mnie i powiedziała, że jest gotowa, moglibyśmy to zrobić właściwie od ręki.

Trawię tę myśl przez chwilę.

- Ho, ale co, gdybym tak naprawdę nie była gotowa? Przecież nie przemyślałam jeszcze całego życia.

Postukał palcami.

- Roushano, to jest o wiele prostsze. Gotowa będzie pani wtedy, kiedy poczuje się gotowa. To, co ze sobą zabieramy, i to, co zostawiamy, to tylko aspekty nas samych. Jedyne, czego pani potrzebuje, to gotowość do pozbycia się części wspomnień - zwykła decyzja.

- W pańskich ustach to przerażająco łatwe.

- Tak. - Na moment Ho pozwolił zniknąć swemu uśmiechowi. - Proste i przerażające.

Gdy szykowałam się już do wyjścia, oświadczył:

- Ach, jest ktoś, kto chciałby się z panią dzisiaj spotkać. O ile ma pani czas?

Zaprowadził mnie do drzwi na drugim końcu białego korytarza. Kłaniając się nieznacznie do wtóru kolejnego uśmiechu, otworzył je dla mnie i pozwolił wejść.

Szczęknięta klamka i zostałam sama. Poczułam dziwny wewnętrzny dreszczyk - wrażenie, że wkroczyłam na jakiś zakazany teren - choć pomieszczenie wyglądało bardzo przytulnie. Ściany wyłożono dębową boazerią, wisiały na nich zabytkowe gobeliny. Zauważyłam kilka minimalistycznych, współczesnych mebli, które wcale nie wydawały się nie na miejscu, ale zanim dotarło do mnie, kto ten pokój zajmuje, zrozumiałam, że to nie może być rzeczywistość. Wszystko tchnęło zbyt intensywnością - barwy, promienie słońca, wrażenie, że jest się w stanie policzyć wszystkie nitki na gobelinach, dziwna przejrzystość powietrza. Zbyt autentyczne doznania. Prawdziwy świat, zwłaszcza dla osób w moim wieku, nie jest tak wyraźny.

Obok błyszczącego, kamiennego kominka, w dopasowanej białej bluzce i świetnie skrojonej spódnicy do kolan, jakby czekając na mnie już od jakiegoś czasu, stała iluzja Blythe Munro. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam - zadziorna, młoda i ładna.

- Nie chcę jeszcze umierać - powiedziałam.

- Oczywiście, że nie. Oczywiście.

- Ale ty nie żyjesz, prawda?

- Jeśli chcesz obstawać przy tej terminologii, to tak. Mam zostać?

- Potrzebujesz mojej zgody?

Blythe rozejrzała się, jakby po to, żeby zapamiętać pokój. Zauważyłam, że za oknem widok nie otwiera się na dachy i wzgórze w Bodmin, lecz na jakąś piękną łąkę. Drzewa i trawa były takie same jak to pomieszczenie: wszystkie otaczała aura nierealności.

- Tak naprawdę, to tak.

- Zapewne wspomniałam kiedyś Ho, że gdybym z kimś porozmawiała, mogłoby mi to pomóc. Ale dlaczego akurat ty, Blythe? Przecież nigdy specjalnie za sobą nie przepadałyśmy.

- Jak powiedziałam, jeśli chcesz, żebym odeszła, to odejdę.

- Możesz zostać. Ale muszę ci powiedzieć, że nie sądzę, byś była prawdziwą Blythe Munro, tą, którą kiedyś znałam.

- Rozumiem. Ostatecznie jednak to nie twoje przekonania decydują o tym, co jest prawdziwe.

- Masz rację. Umieram i nikt mnie nigdy nie zapytał, co o tym myślę.

- Przykro mi, Roushano. Naprawdę wolałabym znaleźć się tu z innego powodu.

- A jednak tu jesteś.

Nieco teatralnie udała, że przygląda się swym długim palcom, tym, które dawniej próbowały opanować struny wiolonczeli.

- Bez wątpienia. Pomogłoby ci, gdybym opisała ci swoją historię?

Żywi czy martwi, jedno nie zmienia się nigdy. Spotyka się kogoś po długiej przerwie i wymienia z nim bezużyteczne historyjki, zastanawiając się jednocześnie nad tym, jak bardzo lub jak niewiele rozmówca się zmienił. Czy umarli urządzają koktajle? Czy pojawiają się na zjazdach klasowych? Czy przechwalają się i kłamią tak samo jak my, żywi? Niemniej, po prostu słuchałam Blythe, która opowiadała mi o swoim życiu. O tym, jak - zgodnie z planem - została prawniczką, choć już wówczas większość zadań wielu zawodów przejmowały komputerowe systemy eksperckie, a pojęcia takie jak wolności obywatelskie i prawa człowieka - cała ta idea, że każdemu człowiekowi pewne przywileje należą się z urodzenia - traciły swą moc. W ramach rekompensaty zaangażowała się w kilka głośnych procesów dotyczących tych właśnie kwestii.

Nasze życia biegły po bardzo bliskich torach. W Paryżu był pewien profesor, którego obie znałyśmy, Blythe uczestniczyła w konferencji na temat praw jednostki, na której - jestem pewna - przemawiał Claude, siedziała na widowni London Festival Hall, gdzie dałam dobroczynny koncert na rzecz ofiar Yellowstone.

- Nieomal wysłałam ci bilecik za kulisy, ale uznałam, że lepiej będzie, jeśli tego nie zrobię. Ale śledziłam twoją karierę. Zawsze miałam poczucie, że stoimy po tej samej stronie.

Nie mogłam się nie roześmiać.

- I naprawdę myślisz, że jesteś teraz tą samą osobą?  
- Oczywiście, że nie. Ale wciąż jestem Blythe. O to właśnie chodzi.  
- Na czym spędzasz czas?  
- W tej chwili spędzam go, rozmawiając z tobą.  
- A potem?  
- Będę robić coś innego.  
- Podoba ci się to, prawda?  
- Inaczej bym tego nie robiła.  
- Ale czy to cię nie obraża? Ten upiorny sposób, w jaki my, żywi, upieramy się, by nazywać was umarłymi?

- Wciąż pokutują pewne przesady. Musieliśmy walczyć o swoje prawa, tak samo jak walczyły o nie wszystkie inne grupy społeczne.

- A teraz rządzą światem.  
- Po prostu dbamy o własne interesy.  
- Od jak dawna jesteś w tym stanie? W jaki sposób umarłaś?  
- Tylko żywi o to pytają.  
- Nie powiesz mi, prawda? Czy jestem w tej chwili nieuprzejma?  
- Wiem, że to wydaje się bardzo ważnym pytaniem. Ale wierz mi, nie jest. Istotne jest natomiast to, co czeka po drugiej stronie, to, co przyniesie przyszłość.

Patrzyłam Blythe w oczy - a Blythe mi się przyglądała. Mnie, albo tej umierającej, zasuszonej istocie, w którą się przeistoczyłam. Wciąż roztaczała - byłam tego niemal pewna - ten sam czysty i delikatny zapach ciała i kwiatów, jaki zawsze znaczył powietrze wokół niej. Wciąż miała tę swoją postawę dziarskiej dziewczyny, która wszystko chce zrobić sama. Nagle ujrzałam ją, tak wyraźnie, że aż zaboląło, wchodzącą do naszego ogrodu, gdzie leżałam na dywanie z Leo. „Ach, Roushana...”. Przyplątała się do mnie uspokajająca i zarazem straszna myśl, że to naprawdę jest Blythe Munro.

- Pamiętasz - spytałam - ten moment, kiedy nakryłam cię z Leo w jego pokoju?  
- Baliśmy się wtedy o wiele bardziej o ciebie niż o siebie. - Skrzywiła się lekko.  
- Zawsze tak było. I tego nie może znieść żadne normalne dziecko.  
- Ty jednak zniosłaś... - Blythe pochyliła głowę i popatrzyła na mnie z pewną dozą współczucia. - Nigdy się tak naprawdę nie poznałyśmy, prawda? Byłyśmy jak krążące wokół Leo kocice, jakby to on wyznaczał nasze terytoria. Ale to nie była rzeczywista konkurencja. On zawsze należał do ciebie.

- Wciąż winisz mnie za jego śmierć? Bo winiłaś, mam rację? Tylko ty uznałaś, że byłam w stanie go powstrzymać.

- Ale co mogłaś zrobić, Roushano? Zapominasz, jaki był uparty i jak silną miał wolę. A ty byłaś bardzo młoda.

Coś we mnie zapłonęło. Nawet w tej chwili traktuje mnie z góry, pomyślałam.

- A ty co zrobiłaś - syknęłam - ze wszystkimi latami swojego życia? Czy kochałaś, nienawidziłaś, przeżywałaś namiętności, rodziłaś dzieci? Czy może prawo stanowiło dla ciebie wygodne alibi? Może praca pozwalała ci udawać, że coś robisz, zamiast wieść prawdziwe życie, kiedy jeszcze w twoich żyłach krążyła krew, a nie liczby i światło?

- Nie, nie miałam dzieci, Roushano... - odparła. Z zadowoleniem zauważyłam lśnienie w jej oczach i pokrywający policzki rumieniec. - Podobnie jak wielu innych ludzi, którym przyszło żyć w ubiegłym stuleciu. To była moja decyzja. A co do kochania i kochanków...

- Blythe, czego ty ode mnie chcesz?

Zbliżyła się o krok. Usłyszałam jedwabisty szept jej ciała.

- Jesteś prawie gotowa. Nie wiesz o tym - nikt nigdy nie wie - ale tak jest. Klejnot w twojej głowie jest teraz czymś więcej niż tylko przemyślnym urządzeniem. Stał się częścią ciebie. Odbija, przewiduje. Istnieje. I kiedy tak na mnie patrzysz, robi to samo. Gdy się śmiejesz, on także się śmieje. Och, wiem, że to niełatwe, ale musisz się poddać. To wszystko, czego doświadczam po tej stronie...

- Możesz mi pokazać? - Choć wciąż wolałabym, żeby to był ktoś inny, nie mogłam nie zadać tego pytania.

- Sama możesz to sobie pokazać. - Podeszła jeszcze bliżej. Poczułam, byłam tego pewna, jej oddech na twarzy. - Weź mnie za rękę.

Tak uczyniłam. Jej dotyk był ciepły, gładki, pełny, bezpieczny. Wydawała się żywa - nie było sensu powtarzać sobie, że to jedynie kwestia przepływu energii i sugestii, efekt był zadziwiający, ale trudniej mi sobie przypomnieć, co się wydarzyło potem. Działo się to tak szybko, tak jasno, tak prawdziwie. Nagle znalazłyśmy się na przestronnym placu, wokół którego stały długie, eleganckie budynki. Po przeciwległej stronie wznosiła się zwieńczona kopułą katedra, a za nią połyskiwała woda. Biły dzwony. W powietrzu krążyły stada gołębi. Znałam to miejsce, te domy...

- Pomyślałam - szepnęła - że Wenecja będzie równie dobrym miejscem jak każde inne.

Roześmiałam się i w tej samej chwili poczułam dreszcz powracającej do mojego ciała lekkości i młodości. Z otwartych drzwi bazyliki dolatywały urywki chóralnej pieśni. Sam kościół wyglądał na szczerzoty. To również było zbyt piękne. Niebo pokrywał błękit z

obrazów Belliniego, budynki jak z płócien Canaletta, chmury zaczerpnięte od Veronesego. Ludzie jedli, uśmiechali się. Na murach Arsenału płonęły kinkiety, kochankowie widoczni przez wysokie okna wyrafinowanych domów zajmowali się ekstrawaganckimi rodzajami miłości. Zauważyłam małe dziecko, ni to chłopca, ni to dziewczynkę. Podeszło ku mnie z promieniającą buzią i nagle znaleźliśmy się razem w gondoli. Z pałaców wypływały echa piosenek, odbijające się od wilgotnych ścian.

- Wiem - odezwało się dziecko, wysokim, ostrym i bezpłciowym głosem. - Nie wyglądam jak Harad, nawet nie jak wtedy, gdy byłem młody... Ale ty akurat rozumiesz, jak ciężko było po Paryżu. Bycie naraz krytykiem i artystą uczy przede wszystkim tego, że oba te farchy są pozbawione sensu. Och, nie będę cię zanudzać okolicznościami, Roushano, ale gdy tylko przeszedłem na drugą stronę, dotarło do mnie, że istnieje inna droga.

Obok naszej łodzi, w złotych falach kanału, pływali nadzy ludzie. Wszyscy byli piękni i roześmiani.

- Największym absurdem świata jest to, co nazywamy życiem! Dasz wiarę, Roushano? Musiałem umrzeć, by to pojąć.

Dłonie chwyciły za burtę, gondoli i rozkołysały ją na boki. Przewróciła się i spadłam przez naszyjniki złotych ramion w ciemność i zimowy chłód kanałów. Patrzyłam z góry na zatopione, zniszczone budowle innej Wenecji. Kopuła bazyliki była wypełnionym szlamem kraterem. Pomiedzy strzaskanymi kolumnami „Caffe Florian” ścigały się węgorze.

- Ha! Myślisz, że to właśnie tak wygląda? Jest o wiele gorzej...

Mój dawny agent, Adur Foster, przypominający swym pokrytym łuskami ogonem raczej morsa niż syrenę, wypłynął ku mnie z półmroku. Choć przecież nie mógł mówić pod wodą, z jego ust wydostał się pióropusz srebrnych bąbelków powietrza.

- Pozwól, że zgadnę, Adur. Prowadzisz teraz interesy obiecujących martwych artystów?

- Szczerze mówiąc, Roushano, wciąż prowadzę interesy sporej grupy żyjących. W twoim wypadku chodziło tylko o to, że... - Wzruszył włochatymi ramionami. - Myślę, że nasza znajomość się po prostu wyczerpała. I spójrzmy prawdzie w oczy, coraz trudniej było sprzedawać muzykę umarłych na zawsze kompozytorów.

Adur machnął potężnie ogonem i odpłynął, zatopiona Wenecja zadrgała, opadła i po raz kolejny poczułam obecność Blythe. Unosiłyśmy się, póki ciemności nie zastąpiło błękitne światło, i uświadomiłam sobie, że znalazłyśmy się wysoko ponad Ziemią. Stąd wszystko wyglądało pięknie i czysto. Przez nasze niewidzialne ręce przepłynął śnieżny obłoczek.

- Przeszłość nie dotyczy Ziemi, Roushano. Linie brzegowe zmieniają kształty, kontynenty dryfują, a morze niedługo się podniesie i zaleje najwyższe góry. Nie ma ucieczki przed zmianą i chaosem. Żywi będą umierać bez końca, a tam na dole nawet umarli nie będą bezpieczni. Ach, ale to tylko początek! Ty i ja możemy stać się oddechem słońca - możemy posłać impuls ku najdalszym sondom. Nie tylko w pobliże planet. Układ słoneczny to jedynie ganek naszego domu. Możemy uciec od materii, sięgnąć gwiazd...

Morryn.

To łóżko.

To ciało.

Ta noc.

Mój umysł powraca do terażniejszości. Nie mogę spać - nie wtedy, gdy wypełniają mnie te absurdalne sny. Ale to nie są po prostu zwykłe nocne marzenia, a ja i tak już od wielu dni nie sypiam dobrze. A Blythe... Blythe Munro okazała się dokładnie taka, jakiej się mogłam spodziewać. Rzutka jak zawsze i tradycyjnie sztywna. Mimo swego wyglądu wcale nie młoda, choć ona nigdy nie była tak naprawdę młoda. Bardziej niż wszyscy ludzie, jakich poznałam, urodziła się po to, by stać się tym, czym jest teraz. Rozczarowało mnie, że to nie Daisy Kornbluth mnie odwiedziła, w końcu tyle sobie obiecywałyśmy. Ale może była po prostu zajęta, a ja przecież nigdy nie podziękowałam jej jak należy za wszystkie te kwiaty. Adur z kolei zniósł to chyba dobrze i zachował swoje poczucie humoru, mimo że postanowił cichaczem usunąć mnie z listy swych klientów. Ale tacy są przecież agenci, zarówno żywi, jak i umarli. A Harad Le Pape...!

Gdy z Blythe wróciłyśmy do tego czarującego, wirtualnego pokoju, w którym się spotkałyśmy, znów zwróciłam uwagę na widok z okna. Zauważyłam, że to nie tylko nie jest Bodmin, ale że łąka nie była po prostu jakimś przewidywalnym, miłym i anonimowym krajobrazem. Od początku wydawała mi się dziwnie znajoma. I po chwili zrozumiałam. Patrzyłam na odległy zakątek ogrodu państwa Munro, gdzie Blythe dzieliła się ze mną swymi dotyczącymi Leo wątpliwościami.

- Cóż... - powiedziała i niemal skrzywiłam się, gdy znów wzięła mnie za rękę. Tym razem jednak był to gest pożegnania. - Życzę ci przyjemnego przejścia.

Zniknęła, a ja zostałam z tysiącem pytań bez odpowiedzi i dziwnym, wilgotnym ciepłem w kroczu. Gdy wyszłam z pokoju, poczułam jeszcze jedno szczególne drgnięcie w głowie. Odwróciłam się i zanim drzwi zdążyły się zamknąć, ujrzałam pustą, pozbawioną okien salę, zimną i nieumeblowaną. Nagie betonowe ściany były ozdobione jedynie błyszczącymi ścieżkami kryształu.



Gdy wyszłam ze starego ratusza niebo wyglądało już inaczej. Wiatr próbował zawrócić na północ i ciepło, które poczułam chwilę wcześniej, zaczęło wędznąć. Przebierając nogami, drżąc, z mokrymi udami, tęskniąc za powrotem do Adama i Morryn, gdzie mogłabym się przebrać i wziąć prysznic, stałam i czekałam na samochód. Kredowe menu przed herbaciarnią zaczęło się rozplýwać w strugach deszczu.

„Jesteś prawie gotowa”.

„Rzecz jasna, pomaga w tym pani kryształ”.

Teraz, pod kocami, wciąż się trzęsę. Kryształowa meduza w mojej głowie, nie możesz się doczekać, aż mnie przejmiesz bez reszty.

„To jest przyszłość, siostrzyczko”.

\* \* \*

Lato dobiega końca, a te nowoczesne jesienie są coraz krótsze. Wielkie, syczące kurtyny zórz polarnych wypełniają zimowe niebo, nawet tak daleko na południu. Świat się zmienia, umarli wstają z grobów, i naprawdę już czas, bym odeszła. Ale ja i tak odchodzę - to nie moja decyzja. Wirus, który już dawno rozgościł się w moim organizmie, zniszczy wkrótce nawet i te myśli. Wszystko odejdzie. Już odchodzi. Moje ujarzmiane staranną dietą nietrzymanie moczu nie będzie już powodem do wstydu. Stracę wzrok. Moje dłonie, wszystkie kończyny i język wymkną się spod kontroli, aż wreszcie przestaną działać i zaczną zanikać. Przeobrażę się w worek suchych kości, pomarszczonej skóry, bezdusznego bólu.

Nie ma sensu czekać, nie ma sensu grać na zwłokę. „Zabierz się za to, Roushano”. Mama, która śmierci bała się najmniej ze wszystkich niedogodności świata, wybrała się tam jak na wycieczkę. Także Leo - on odszedł niemal bez trudu. Gdyby to oni na mnie czekali, gdyby czekał na mnie Claude i gdyby przeszedł także tata - zamiast tych innych ludzi, tych bezużytecznych przyjaciół i znajomych, cały proces byłby o wiele łatwiejszy...

Opieram się na poduszce, po czym powoli zsuwam nogi z łóżka. Morryn zalewa cisza. Idę do drzwi, a potem schodzę na dół. Adam zapewne śpi, jak powinni o tej porze czynić żywi, ale dom obserwuje i czeka. W ciemności zmierzam do pokoju muzycznego i opadam na stołek przy automatycznym fortepianie, lekko błyszczącym wśród szumu wzburzonego morza. Z wolna, bardzo cicho, zaczynam grać kolejne dźwięki *Les Escaliers de Montmartre*.

\* \* \*

Jednonogi handlarz z tekturową plakieta, głoszącą, że jest ofiarą wojen algierskich, grał naszą piosenkę, gdy czekaliśmy z Claude'em na lot do Waszyngtonu. Ta melodia, jej

podnoszący na duchu rytm został uchwycony niemal doskonale przez jego akordeon rozsiewający echo po prawie zupełnie pustych halach lotniska Charlesa de Gaulle'a. Kiedy Claude spróbował zagrać na tym instrumencie, niemiłosiernie zepsuł piosenkę i z pokorą zwrócił akordeon właścicielowi, otoczyły nas uśmiechy i serdeczne oklaski. Nawet w tym na pół opuszczonym monumencie zebrał się tłum gapiów - innych podróżnych, sprzedawców i kieszonkowców. Migotały obiektywy aparatów. Ten obrazek, całkowicie spontaniczny i tym bardziej cenny, miał trafić wieczorem do wszystkich głównych kanałów wirtualnych. Odprowadzały nas wesole pożegnania i machanie rąk.

Po wszystkich skanach i badaniach, oraz po zupełnie niezaskakującym dwugodzinnym oczekiwaniu na pasie startowym, podstarzały Eurobus oderwał się wreszcie od ziemi i ruszył nad Atlantyk. Wyglądając przez okno, ścisnęłam Claude'a za rękę. Ekscytująca była nawet myśl o tym, że możemy do Stanów nie dolecieć. Miałam wrażenie, że błękit nieba i słońce widzę po raz pierwszy od lat.

Rozmawialiśmy o naszych rodzinach. Wstawiliśmy się, sącząc wino z plastikowych buteleczek, i bawiliśmy się popsutymi pilotami telewizorów: mówiliśmy o rodzinie Claude'a, ale także o mojej. Ja rzadko spoglądałam w przeszłość, ale Claude był w stanie prześledzić historię swojego nazwiska aż do niewolniczych plantacji w Karolinie i do kobiety z Senegalu, z którą łączyło go mitochondrialne DNA. Wierzył, że dla muzyka poznanie wrodzonych źródeł radości i cierpienia jest kwestią kluczową.

- Jak bardzo kochałaś Leo? - spytał nagle, gdy brnęliśmy po niebie ku miastu, które nazywał rodzinnym.

Wcześniej wysłuchał już z powagą nagrań mojego brata i wygłaszał uwagi na temat jego techniki, zupełnie jakby Leo był w stanie go usłyszeć. Obejrzał też wideo z jakiegoś naszego szkolnego koncertu (potwornie piłowałam te tanie skrzypki), które umieścił w sieci jeszcze mój ojciec. Zadawał mi pytania o sprawy związane z moim irlandzkim pochodzeniem - o katolicyzm, o Wielki Głód Ziemniaczany, o ciągłe konflikty Północy z Południem - o których nie miałam bladego pojęcia. Rozmawiał też zdalnie z mamą, która z radością opowiedziała mu o licznych kuzynach i stryjach. Całe to zainteresowanie sprawami rodziny wydało mi się niezwykle zwyczajne, nieprzystające do wizerunku Claude'a, jaki nosiłam w głowie.

Samolot ścigał słońce przez całe to bezkresne popołudnie, a my zapadliśmy w sen.

\* \* \*

Lujah, matka Claude'a, czekała w wieczornym smogu otulającym lotnisko Dulles. Korpulentna, żywiołowa, niezmiennie radosna kobieta, z takimi samymi jak u syna, złoto-brązowymi oczyma. Wyściskała nas oboje, zabrała torby i trzymając nasze ręce, oświadczyła tonem niedopuszczającym sprzeciwu, że musimy być nieziemsko zmęczeni. Przeszliśmy przez pas asfaltu i wsiedliśmy do wyłożonego skórą wnętrza wielkiego pojazdu, którym kierowała własnoręcznie. Pojechaliśmy wśród promieni zachodu w stronę miasta.

To było moje pierwsze doświadczenie, zarówno Ameryki, jak i Waszyngtonu. Mimo wszystko, wiele z tych mglistych i bujnych początkowych wrażeń zostało ze mną i przypominam je sobie nawet teraz, gdy tak wiele innych rzeczy dawno już utraciłam. W chmurach było coś kojarzącego się ze starymi zdjęciami w sepii, coś niespiesznego i teatralnego w słońcu, które na długo zawisło na horyzoncie i pobłyskiwało w Potomacu, migotało między wysokimi budynkami, zupełnie jakbyśmy nadal przekraczali coraz to nową linię zmiany daty, lub jakby czas i cała reszta świata mogły zaczekać, aż zachód słońca, który został z nami tylko po to, by zademonstrować swą cudowność, postanowi się dopełnić.

Po zamieszaniu na zatłoczonych ulicach, mostach i wokół kordonów bezpieczeństwa, dotarliśmy wreszcie do domu Vaudinów w Georgetown. Wsiadłam w fioletowy półmrok w zapachy kwiatów i mokrej ziemi, w łagodną poświatę eleganckich okien budynku z czerwonej cegły.

Tony, ojciec Claude'a, był naukowcem z gatunku tych, o których zwykle czyta się czolobitne artykuły. Pasowały mu i siwe włosy, i naznaczone zmarszczkami uśmiech. Lujah także była osobą utalentowaną - amatorska piosenkarka, która mogłaby z powodzeniem przejść na zawodowstwo pracowała jako lobbystka dla dużych organizacji charytatywnych działających w ramach tego, co nazywała „Towarzystwem”. Ich dom był istną wspaniałością składającą się z przestronnych pokoi, teatralnie krętych schodów i zdobnych kominków, a wypełniali go przychodzący i wychodzący akolici Vaudinów i kurierzy oraz niemal niezauważalna krzątanka służby.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. - Tony Vaudin uśmiechnął się do mnie z drugiego końca oświetlonego blaskiem świec stołu, podczas gdy ja, przyjemnie oszołomiona winem i zmianą czasu, próbowałam wszystko to wchłonąć. - Wy, Brytyjczycy, zawsze to mówicie o nas, demokracjach, i o naszych wielkich domach. Uważacie, że mamy się za socjalistów, i w pewnym sensie macie rację, choć tutaj od nikogo tego określenia nie usłyszysz.

- Nie wolno też mówić, że jesteśmy liberałami - wtrąciła dźwięcznie Lujah siedząca obok męża.

- Nie myślałam...

- Oczywiście, że nie, moja droga. - Tony Vaudin pochylił się nad obrusem i zastawą, by uściskać moją dłoń. Dotyk się przeciągnął. Podobnie jak jego uśmiech, arcydzieło i hołd dla waszyngtońskich stomatologów. - Ale ty, z tym swoim czarującym akcentem, możesz powiedzieć co ci się żywnie spodoba. Nikt nie będzie miał ci za złe, nawet jeśli użyjesz słów na S i na L.

- A jakich słów użyłby pan?

- Sami siebie nazywamy umiarkowanymi chrześcijanami. - Teraz w tej sztuce dla dwojga wypadła kolej na kwestię Lujah.

- Oczywiście nie jesteśmy chrześcijanami, ale określenie „umiarkowani” pozwala nam się zbliżyć do akceptowanych tu pozycji agnostycznych.

- A to już zupełnie inna bajka! - stwierdził ze śmiechem Tony.

Uśmiechnął się też Claude. Wszystko w tym domu - jedzenie, służba, porcelana, wspianiały, przeznaczony dla nas pokój pełen ręczników, kwiatów i czekoladek - składało się na jedną, doskonałą całość. Potem zaprowadził mnie wreszcie na górę i po kilku szklaneczkach wybornej whisky przeszliśmy do innego, mniejszego, tonącego w mroku pomieszczenia, gdzie rozebrał mnie na sprężynującym łóżku. Na zewnątrz dryfowały głosy Tony’ego i Lujah, wykrzykujące do służących polecenia na jutrzejszy dzień, ale my nie mogliśmy się już powstrzymać.

- To był dawniej mój pokój - wyszeptał, staczając się ze mnie. Wreszcie zaczęłam dostrzegać szczegóły. Połyskujące puchary, jedwabne proporczyki i pomięte plakaty. - Dlatego chciałem cię tu wziąć.

Pocałowałam go, ale głosy rodziców wciąż dolatywały z dołu. Nie czułam się komfortowo. Sięgnęłam śpiesznie po ubrania, ale Claude złapał mnie za rękę.

- Nie, nie. Zostaw to tutaj. Ktoś to rano posprząta. - Dotknął mych piersi. - Zaryzykujmy i wyjdźmy tak. Będzie fajnie...

Tak więc pierwszej nocy w domu rodziców Claude’a, nadzy przebiegliśmy przez korytarze i rzuciliśmy się ze śmiechem na łóżko we własnym pokoju, wciąż opętani przez tego nienasyconego ducha, i kochaliśmy się raz jeszcze.

\* \* \*

Ocknęłam się wcześniej, zmęczona i szczęśliwa, jak każdego z naszych waszyngtońskich dni. Leżałam zasłuchana w ciszę tego wielkiego domu. Czułam się tak, jakbym zamieszkała w jakimś idealnym hotelu - codziennie pojawiały się upominki, nowe mydełka, kwiatowe niespodzianki i innowacyjne przekąski. Zostawiłam śpiącego Claude’a,

wzięłam prysznic i włożyłam świeżo wyprane ubranie, po czym wybrałam się na przechadzkę po urokliwych ulicach budzącego się Georgetown. Oczywiście to nie był prawdziwy Waszyngton, ani nawet prawdziwa Ameryka, ale przeglądając się w odsłanianych witrynach sklepów, odczułam dumę mieszkańców. Chodziłam pośród kwiatów nad kanałem i sama także byłam dumna. Dotarłam tu samodzielnie i na własnych warunkach.

Ani jedna cegła eleganckich budynków nie wydawała się nie na miejscu, drzwi pyszniły się mosiężnymi ozdobami, a ptaki śpiewały w koronach nieskazitelnych drzew. Nawet otaczające miasto płoty wyglądały uroczyście i godnie.

Claude, który spał o wiele dłużej niż kiedykolwiek w Paryżu, obudził się leniwie i gdy wróciłam, kochaliśmy się w bursztynowych promieniach słońca, po czym znów się umyłam i ubrałam. Wstała już także Lujah, a Tony włożył jeden ze swoich eleganckich garniturów i przygotował się do dzisiejszej rundy seminariów, posiedzeń zarządów i komitetów. Czas przybierał tu zupełnie nowy, nieznan mi kształt: podobnie jak wspaniałe budynki państwowe, stroił się w kolumny, frontony i gzymsy.

Poza granicami złotej klatki Georgetown wciąż czekało prawdziwe miasto, na tyle rzeczywiste, jak Waszyngton mógł być kiedykolwiek. Tymczasem jednak odbywały się spokojne przyjęcia w wielkich salach oraz żwawe próby przed koncertem, który mieliśmy zagrać z Claude'em w JFK. Oczywiście były też wywiady, obiady połączone z dobroczynnymi zbiórkami pieniędzy. Claude wygłaszał pełne żaru mowy, a ja nauczyłam się udzielać ciętych, amerykańskich replik. Widywałam sławne twarze - mężczyzn i kobiet - z których część ozdabiała okładki starych, wydanych jeszcze przez Deutsche Grammophon kompaktów z kolekcji ojca. Spotykałam kongresmenów, ostatnie gwiazdy umierającego Hollywood - i wyglądało na to, że wszyscy oni wiedzieli, kim jestem, i chcieli poznać moje zdanie nie tylko na tematy muzyczne, lecz także o stanie świata. Ponad wszystko fascynowała ich myśl o mieszkaniu - oraz pracy i sukcesach - w Paryżu, który większość uważała za pewne marzenie o mieście pełnym wyłożonych brukiem ulic, sprzedawców cebuli i biedujących na poddaszach artystów. Jeśli nawet traktowano mnie z góry, to zupełnie tego nie zauważyłam.

W bańkach tkwiły inne bańki. Pianka liberałów okazała się jedynie częścią wielkiej politycznej piany Waszyngtonu, do tego zagrożoną wyschnięciem. Trzy lata wcześniej, po wyborze Hardy Yasso na prezydenta, istniała nadzieja, że fundamentalistyczne doktryny, popularne w większości stanów, wciąż da się pogodzić z liberalnymi zasadami, do których nadal było przywiązane wiele miast Wschodniego Wybrzeża. Przymknięto oczy nawet na jej jedyny poprzedni skok po sławę, kiedy to grała rolę matki w tasiemcowej serii reklam kawy.

Teraz jednak, w warunkach galopującej recesji i niedawnej krwawej farsy, jaką była utrata Tajwanu i zatopienie przez Chińczyków amerykańskiej trzeciej floty, przepaść pomiędzy oboma światopoglądami otwierała się coraz szerzej. Mówiło się, że teraz o nominację będzie się ubiegać jedna z nowych wirtualnych gwiazd - wcale nie człowiek, tylko cyfrowa zbitka szerokich, lśniących uśmiechów i zabawnych min - występująca w popularnej serii średniowiecznych romansów. Niewielu uważało to za dowcip. Jeszcze mniejsza liczba ludzi wątpiła, że on - czy też „to” - poradzi sobie lepiej niż Yasso.

Przypomniało mi się, co mama mówiła o ruinach New Delhi. Od ukruszonego wierzchołka monumentu Waszyngtona, po ślady fal na Mauzoleum Jeffersona, od migotania skrzydlatych policyjnych dronów, które bezustannie krążyły wokół Białego Domu, po bezkresne chmary komarów wirujące za cukierkowym Georgetown, całe miasto było podobnie omdlewająco umierające. I New Delhi, i Waszyngton były starymi stolicami dawnych imperiów, ale stolica USA, nadal pozostając sobą, wciąż stroiła się w pozłotę, która - co można było sobie wyobrazić - miała nigdy nie odpaść.

- Jesteśmy szalenie dumni z osiągnięć Claude'a - wyznała Lujah, prowadząc mnie pomiędzy stolikami ku kolejnej ważnej osobie, jaką musiałam poznać pod koniec przyjęcia w Wardman Park. - Choć dla nas nigdy nie liczyła się wyłącznie muzyka czy nagrody. Tego rodzaju rzeczy nie są prawdziwe bez pewnej moralnej podbudowy.

W Lujah nie było nic, co nie miałyby pewnej moralnej podbudowy.

Tego popołudnia pracowała w sanatorium dla ofiar gorączki kostnej. Zbieranie funduszy, twierdziła z naciskiem, jest czynnością bez znaczenia, o ile nie wkłada się w to pracy własnych rąk i całego serca. Ta kobieta stanowiła chodzącą, przesadnie rozgadaną reklamę współczucia. Pod wieloma względami kojarzyła mi się z mamą - gdyby tylko matka nosiła grube złote naszyjniki i zasiadała do śniadania w ręcznie malowanych jedwabnych szlafrokach.

- I tak bardzo się cieszę, że wreszcie sobie kogoś znalazł - dodała w przerwie między oklaskami. - Wszystko w tobie, Roushano...

Wtedy jednak nadeszła jej kolej na zajęcie miejsca na podium, obok siedzącego za fortepianem Claude'a. Zaśpiewała piosenkę Cole Portera tym swoim słodkim, niemal zawodowym kontraltem, przyglądając się ludziom wypisującym przy stolikach czeki. Następnie ja wykonałam Porgy i Bess w aranżacji Heifetza, a karuzela uprzywilejowanych mieszkańców Waszyngtonu nie przestawała się kręcić.

- Mama i tata robią wszystko co w ich mocy - powiedział Claude, gdy wybraliśmy się potem, jeszcze tego samego popołudnia, na przejażdżkę. Sama to zresztą widzisz. A babcia -

poznałaś ją - jest taka sama. Ja jednak musiałem dokądś wyjechać. Znaleźć sobie miejsce bardziej... - Skinął głową za okno wynajętego samochodu, przemierzającego szerokie, obrębione urwiskami wysokościowców ulice.

Miejsce mniej, pomyślałam, byłoby lepszym określeniem. Paryż, mimo swego gwaru i ulew, wydawał się w porównaniu z tym miastem mały i prosty.

Czułam też jednak, że mój pobyt tam sprawił, że bardziej się do niego zbliżyłam. Jego filozofia - pewna odmiana radosnego egzystencjalizmu, w myśl którego poza ideami nie liczyło się nic - wydawała się chłodniejszą, uwspółcześioną wersją demokratycznych zasad państwa Vaudin, które z kolei wywodziły się ze staromodnego, wspólnotowego chrześcijaństwa, dawnego poglądu pokolenia jego babki. Lujah było tak naprawdę skrótem od „hallelujah”, co wówczas wydawało mi się raczej słuszne niż komiczne. Niemniej, obecne pokolenia, w GWC, Georgetown i Virginii, demonstrowały na ulicach swe poparcie dla wojny w Indochinach z taką samą zaciekłością, z jaką ich pradziadkowie protestowali przeciwko poprzedniej, a wielu ludzi „mówiło językami” podczas niedzielnych mszy w katedrze narodowej...

Gdy sygnał prowadzący pojazd zanikł, Claude przejął kierownicę, a budynki stały się niższe i zaniedbane, zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak szybko zaakceptowali mnie Lujah i Tony. Nie pojawiły się żadne wątpliwości ani zastrzeżenia. Czy Claude nie przyprowadzał do domu innych dziewczyn? Mimo dawnych związków, do których się przyznał i które znałam z prasowych doniesień, jego wcześniejsze życie seksualne wciąż pozostawało dla mnie tajemnicą. Kiedy mijaliśmy wypalone i zabite deskami sklepy, bez przerwy mówił o spacerach z przyjaciółkami po zniszczonych promenadach Virginia Beach. Ale wymieniał przy tym zbyt dużo imion i zbyt prędko. Zarówno tutaj, jak i w Paryżu, jego życie przypominało dom państwa Vaudin. Zawsze pojawiali się w nim nowi goście, kolacje, recitale, próby, tańce, spotkania...

Samochód podskoczył na leżących na ulicy kablach telefonicznych.

- Pomyślałem - powiedział - że pokażę ci inną twarz Waszyngtonu.

Siedzące na plastikowych krzesłach stare kobiety, babcie w wieku nieprzekraczającym czterdziestki, przyglądały się nam z podcieni. Białe chmury plastikowych naklejek zerwanych z plastrów z narkotykami, inny rodzaj kwiecista przedmieść tego innego Waszyngtonu, ścigały się ze sobą nad gorącymi ulicami. Nasz samochód, w Foggy Bottom wyglądający na mały i podniszczony, nagle stał się nowym, drogim wozem.

- Jesteś pewien, że tu jest bezpiecznie?

Claude wybuchnął śmiechem.

- To moje rodzinne miasto, Roushano. Myślisz, że go nie znam?

Słońce wisiało nisko, jak niemal zawsze tutaj. Pod jego surowym spojrzeniem zmatowiała Anacostia River połyskiwała ściekami i plamami ropy. Butwiejące mola chyliły się ku na pół zatopionym łodziom i niepewnym pomostom z żelazobetonu. Gdy Claude skręcił w alejkę i wyhamował obok spalonego humvee, nie chciałam uwierzyć, że mamy tu wysiąść.

- No chodź, nic się nam nie stanie.

Obserwowało nas dwoje dzieci w wyposażonych w silniki chodzikach inwalidzkich. W jakiś sposób udało się im wyglądać żałośnie i groźnie zarazem. Claude podszedł do nich, uśmiechnął się, przybił piątki, powiedział coś. Potem wrócił.

- Dałeś im pieniądze?

- Nie, nie. - Zaśmiał się z mojej naiwności. - Albo nie tylko pieniądze. Powiedziałem im, że zamierzam się spotkać z moim starym kumplem, Burger Kingiem. Jeśli to nie pomoże, to już nie wiem, co by mogło...

Rzeczywiście, nieopodal widniała strzaskana fasada dawnej sieciowej restauracji. Idąc ku niej pośród śmieci, powtarzałam sobie, że przecież chadzaliśmy bez problemów po najbardziej niebezpiecznych dzielnicach Paryża. Tutaj jednak wszystko było inne. Wewnątrz, kilku osobników budzących o wiele mniej zaufania niż żołnierze UUN, których pamiętałam z Indii, siedziało na wciąż przyśrubowanych do podłogi plastikowych kanapach. Mieli przy sobie broń typu wystrzel-i-zapomnij, taką samą, jaka zawiodła Amerykanów podczas ostatnich wojen. Od razu zrozumiałam, że żaden z nich nie zna Claude'a.

- Hej...

Nie rozumiałam ich slangu, nie miałam nawet pojęcia, o czym mówi Claude, ale po kilku rzuconych w staccato pytaniach i paru niepokojących spojrzeniach w moją stronę, atmosfera się rozluźniła. Wkrótce pojawiły się śmiechy i smutne skinienia głów na wspomnienie wspólnych znajomych, z których - takie odniosłam wrażenie - większość już nie żyła.

Za kontuarem, za starymi maszynami do smażenia frytek i ostatnimi ulotkami reklamującymi nowe zestawy, za stalowymi schodami, nie było już dziennego światła i huczało naraz kilka piosenek. Zobaczyłam ciemne zasłony, współczująco pulsujące kurtyny z tanio nadrukowanymi obrazkami. Z wnek przyglądali mi się kolejni mężczyźni z nowoczesną bronią i kilka złowieszczo rozpustnych skąpo ubranych kobiet. Potem, burza wietrznych dzwonek, wiatraków i wirujących plastikowych wstążek, ostatnie niepewne interludium ciemności, i znaleźliśmy się przed obliczem osoby, która mogła być tylko Burger Kingiem.



Harad Le Pape w porównaniu z nim był niczym. Zdezorientowani, instynktownie pochyliliśmy głowy. Naprawdę poczułam się jak na audyencji u członka królewskiego rodu. King był bardzo gruby, co samo w sobie stanowiło deklarację statusu. Wiedzieliśmy przecież, że bez trudu zyskałby dostęp do kuracji wyszczuplających. On i niepoliczalne warstwy lśniących jedwabi, bawełny i aksamitu, a także rzadkich zwierzęcych skór, w które się odziewał, przelewali się na oszałamiającym, rokokowym, pozłacanym - a może naprawdę złotym? - tronie. Kobiety, jedne prawdziwe, inne wirtualne, a wszystkie odziane jeszcze bardziej skąpo niż te, które minęliśmy, wiły się wokół niego i miauczały. Dookoła nas i z tyłu, w bardziej odległych, ciemniejszych kapliczkach i jaskiniach, jakie zauważyliśmy dopiero po chwili, wylegiwali się mniej znaczący potentaci.

- Niech mnie, Claude Vaudin... A ta twoja...

- Nazywa się Roushana Maitland. Jest słynnym muzykiem.

- Muzykiem...! - Skóra na twarzy Burger Kinga była zbyt mocno napięta i zanadto lśniła, by dało się odczytać prawdziwe emocje, lecz jego głęboko osadzone oczy, kolejne pieczary w tym pomieszczeniu, zabłysły czymś, co wzięłam za rozbawienie. Otaczające go istoty zacwierały w odpowiedzi. - Czasem o tobie słyszę... Jak się to wasze miasto nazywa? - Uniósł drobną dłoń z fałd jedwabiu i pstryknął palcami.

- Paryż.

- Paryż... - Kiwnął głową, składając przy tym w fałdy swe liczne podbródki. Wydawał się niemal orgazmicznie zaspokojony brzmieniem tej nazwy. Burger King mówił wyraźnie, choć jak na osobę jego postury i w tak oczywisty sposób potężną, dość cicho. Trzeba było się mocno wsłuchiwać, ignorując łoskot muzyki, by mieć pewność, że się rozumie. - Nie wiem, po co ci to zamieszanie z podróżami. Tutaj można dostać wszystko...

Gdy Burger King rozmawiał z Claude'em w ten swój zawoalowany sposób, ukradkiem rozejrzałam się dookoła i dotarło do mnie, że otacza nas cała masa akcesoriów do zażywania narkotyków. Były tam fajki, fiki, nano-żelaza, hydroponiki, stare pecety, fiołki superkrwi i pełno ezoterycznej elektroniki. W słojach migotały roje pasożytów nerwów. Z mszalnych kielichów unosiły się przyjemne, nieokreślone wonie. Pokrywające podłogę perskie dywany i pulsujące ekrany wirtualne jeżyły się przewodami. W ciemniejszym kącie pomieszczenia znajdowało się coś, co początkowo uznałam za świetlistą otchłań jakiegoś nowoczesnego telewizora. To jednak było coś więcej. Jaśniejsze i ciemniejsze, kolejny krok w kierunku całkowitej wirtualności. Nawet w obecności Burger Kinga trudno było się temu nie przyglądać.

Poczułam mrowienie i pulsowanie skóry. Kobiety tańczyły wokół Burger Kinga niczym smugi dymu i uświadomiłam sobie, że rozumiem, co on mówi, zupełnie bez odwoływania się do słów. Przypominało to telepatię i wkrótce dotarło do mnie, że on również rozumie. Dla Burger Kinga realmiejsce, którym to słowem oznaczał wszystko znajdujące się poza tym cennym i pilnie strzeżonym ekranem, było szare i rozczarowujące pożyteczne jedynie w charakterze środka dostępu do prawdziwego świata narkotyków i drogich, wirtualnych technologii. Nawet pod względem fizycznego bezpieczeństwa, o wiele bardziej obawiał się inwazji wirusów wrogiego monarchy niż pistoletów, bomb-pułapek czy nalotów policji. Chichotał, śmiał się, dotknął mej dłoni, po czym, kiedy się przed nim ukloniłam, pogładził delikatnymi palcami moje włosy i ramiona. Tłumaczył, że to jest jedyna droga naprzód, a on sam, jak wszyscy apostołowie i poszukiwacze prawdy, po prostu nią kroczy...

Ścisnęło mnie w gardle. Chciałam zaśpiewać, zatańczyć, zrobić cokolwiek. Burger King pamiętał dawne czasy, gdy drzwi do nieskończonej wirtualności były ledwie tylko uchylone. Pamiętał heroinę, kokę i całą resztę. Wytatuował sobie ciało implantami. Próbował wszystkiego - rzeczy najgorszych i najlepszych. „Tak”, westchnął, „odbyłem długą podróż”. Potem jego dłonie skierowały mój wzrok tam, gdzie pragnęłam patrzeć przez cały czas.

- Znasz to?

Jego palce masowały moją głowę, a falujące dywany tego wirtualnego pałacu jakby się ześlizgiwały, ku tej chętniej, cieplej jamie. Ku ponownym narodzinom lub śmierci - w obliczu Burger Kinga to rozróżnienie nie było istotne.

\* \* \*

Wkrótce długie poranki, złote południa i niekończące się wieczory naszego pobytu w Waszyngtonie dobiegły końca. Nadeszła pora ostatniego dużego koncertu i powrotu do Paryża, do prawdziwego życia i kariery, do nadchodzących wyborów i Projektu Claude'a.

Kiedy Lujah Vaudin zobaczyła, co zamierzam włożyć na występ w JFK, zabrała mnie swoim przypominającym czołg samochodem do ekskluzywnego sklepu w Chevy Chase i wyszukała mi wieczorową szkarłatno-niebieską suknię.

- Przekonasz się - powiedziała, oglądając mnie, gdy stanęliśmy przed kaskadą luster - że w życiu będziesz mogła mówić i robić rzeczy o wiele bardziej radykalne, jeśli ubierzesz się zgodnie z konserwatywnymi oczekiwaniami.

- Radykalne? Czy to nie jest kolejne z zakazanych tu słów?

Zachichotała i wygładziła materiał na moich biodrach.

- Ty, dziewczyno, możesz mówić i robić co tylko zechcesz, pod warunkiem, że będziesz wyglądać tak jak teraz...

W tamtych czasach nigdy nie traktowałam koncertów jako zobowiązań, które należało wypełnić, nie zauważałam ludzi ziewających czy tępo wpatrujących się w wyjścia. Byłam szczęśliwa i podekscytowana, gdy ostatniego długiego popołudnia przed występem wróciłam po próbie do Georgetown i nuciłam pod nosem Mendelsshona, chodząc po domu w turbanie z ręcznika, szykując się na wizytę fryzjera, manikiurzysty i masażysty, którzy mieli niebawem przybyć.

- Ach, Roushana!

Tony Vaudin rzadko bywał o tej porze w domu i zupełnie nie przypominał siebie, kiedy ubrany w koszulkę i dzinsy wyszedł ku mnie od strony pokojów zajmowanych przez niego i żonę. Dla nich jednak to też było ważne wydarzenie. Claude co prawda już wcześniej dyrygował i koncertował w JFK, ale nigdy przy takim zainteresowaniu mediów.

- Wyglądasz na bardziej gotową niż Lujah!

Roześmiałam się. Oboje wiedzieliśmy, że jego żona nigdy, przenigdy się nie spóźnia.

- Bez was w tym domu robi się bardzo cicho. - Stał we wstydlivej, chłopięcej pozie, którą często widywałam też u Claude'a. Obie wielkie dłonie wcisnął do kieszeni.

- Na pewno jeszcze tu przyjadę.

- Naprawdę? - Wyglądał na zaskoczonego i jednocześnie zadowolonego. - A my koniecznie musimy się wybrać do Paryża. Wiem, wiem... Wyjął ręce i machnął nimi. - Nie jest taki, jak opisują go ludzie.

- Waszyngton też nie.

- No właśnie. Dwa stare miasta przyglądające się sobie ponad Atlantykiem. Ale Paryż jest przynajmniej na tyle stary, że mógłbym się w nim poczuć znowu młody. Claude dobrze zrobił, przeprowadzając się tam. Uśmiechnął się kąciem ust. - Zresztą, mój syn rzadko podejmuje złe decyzje, prawda?

- Tak myślę...

Wskazał na drzwi, obok których staliśmy.

- Pokazywał ci ten pokój?

Kiedy je otworzył, dotarło do mnie, że to dziecięca sypialnia Claude'a. Nie chcąc przywoływać okoliczności, w których ją zwiedziłam, wzruszyłam tylko ramionami.

- Chodź, chodź... - Skinął na mnie. - Może dowiesz się czegoś nowego. - Zamknął za nami. - Nie wiem, dlaczego cię tu nie przyprowadził.

Claude nigdy nie miał żadnych tajemnic, choć potrafi być nieco skryty.

W dziennym świetle dawny pokój Claude'a nie wydawał się już tak mały. Pod wieloma względami, ze swoimi plakietkami futbolowych i baseballowych drużyn, pucharami i trofeami (Claude był niemal profesjonalnym sportowcem, dokładnie tak, jak jego matka była prawie zawodową piosenkarką) i z długimi wnękami, pełnymi półek zastawionych zabawkami, gramy i gadżetami wyglądał jak wyidealizowana wersja pokoju amerykańskiego nastolatka. Claude nie potrzebował srogo spoglądających ze ścian Ludwiga ani Stockhausena, by pamiętać, że muzykę należy traktować poważnie, zamiast nich więc ozdobił sypialnię delikatnie seksownymi plakatami kobiet z ubiegłych dekad. Wszystko tu było bardzo schludne, zupełnie jakby, porzucając to miejsce, wiedział, że inni będą je odwiedzać niczym kapliczkę. Leżące na parapetach wysokich okien kamyki i muszle, które zebrał podczas jakichś nadmorskich wakacji wydawały się muzealną ekspozycją. Wzięłam jedną do ręki. Wypolerowana przez fale skamielina. Pod spodem wciąż tkwiła przyklejona etykieta z ceną.

- Cóż... - Tony poklepał ręką łóżko, na którym usiadł. - I jak wrażenia?

- À propos czego? - Zajął miejsce obok niego. - Tego? Waszyngtonu? Ameryki?

- Opowiedz o czym chcesz.

- Nie jestem pewna, czy potrafię. Było cudownie. Ale... Może kiedy wrócę do Paryża...

Tony przytaknął skinieniem, jakbym powiedziała coś pełnego głębokiego sensu. Sprężyny materaca się ugięły i pochyłiliśmy się nieco ku sobie.

- Mam prośbę od nas obojga, uważaj na Claude'a, dobrze? On bywa... - Pokręcił głową. - Cóż, zawsze wiedzieliśmy, że to szczególny chłopak, tak wyjątkowy, że nigdy nawet nie pomyśleliśmy o drugim dziecku. Niemniej, to sprawia, że wszystkie nasze oczekiwania dotyczą wyłącznie jego. Claude jest dobry we wszystkim, lecz to wciąż spacer po linie i czasami obawiamy się, że w końcu spadnie. Ale teraz oprócz nas ma jeszcze ciebie. Nie zawiedziesz go, prawda?

Pytanie wywołało nieprzyjemne wspomnienia. Skinęłam z poważną miną. Tony Vaudin posługiwał się takim tonem i dobierał słowa w taki sposób, który zmuszał rozmówcę do zaakceptowania niemal wszystkiego. Dawniej bez trudu zostałby senatorem. W innych krajach, i gdyby nie był czarny, mógłby nawet zasiąść na fotelu prezydenta.

- Podobno ten facet, jak on się nazywa, Northanger? Napisał nową symfonię, którą masz wykonać?

- Taki jest plan. Choć ja zagram tam tylko kilka fraz.

- Pisać muzykę za pomocą sztucznej inteligencji! - Zachichotał. - Połowa moich studentów robi to samo ze swoimi pracami. Szczerze mówiąc, wolę chyba te, które powstają dzięki tradycyjnym mózgom. Komputery nadal są fatalne w popełnianiu błędów. Wiesz?

Musieliśmy zakazać stosowania ocen celujących, ponieważ wszystkie takie prace były tworzone przez maszyny. Tym samym zakazaliśmy doskonałości, to jeszcze jedno słowo, którego obecnie nie wolno używać w Waszyngtonie.

Też się zaśmiałam. Tony i Lujah nigdy nie tracili humorystycznego podejścia do kierunku, w którym toczył się świat.

- Te rzeczy, te inteligencje... Wydaje mi się, że coraz bardziej zbliżamy się do momentu, kiedy będą w stanie naśladować ludzkie emocje i uczucia. Co się wtedy stanie z nami?

Rozejrzałam się po półkach pełnych dziecięcych skarbów Claude'a.

- Pewnie będziemy musieli pozostawić doskonałość im, a sami skupić się na ludzkich słabościach i ułomności.

Tony raz jeszcze pokiwał głową, poważnie i zachęcająco. Pomyślałam, że tak się właśnie zachowuje, kiedy uczy. Teraz jednak stykaliśmy się już nogami, a mój szlafrok zawinął się nieco ku górze i rozsunał w połowie długości ud. Gdy na nie spojrzałam, zastanawiając się, jak je zasłonić, nie wydając się przy tym nadto pruderyjną, zauważyłam, że Tony również tam patrzy.

- Masz rację - powiedział cicho, z zaskakującą pasją w głosie. - Musimy pozostać ludzcy. Musimy być gotowi na własne błędy. - Sięgnął po pyłek leżący na narzucie. Jego palce, pozornie przypadkiem, musnęły moje ciało. - Nie wszyscy mogą być tacy jak Claude, Roushano - szepnął. - Musimy poszukiwać na własną rękę, mylić się po swojemu...

Nie wiem, co wtedy powiedziałam, ale udało mi się wstać i zostawiłam Tony'ego Vaudina w pokoju jego syna. Zająłam się przygotowaniami. Następnego dnia, po dobrze ocenionym przez krytykę koncercie, wylecieliśmy z Waszyngtonu i wróciliśmy do Paryża, do naszego prawdziwego życia.

\* \* \*

Na śniadanie śledzie, ich zapach wypełnia dom. Wczorajszy deszcz okazał się złudzeniem i lato nadal trzyma się mocno. Później, w rześkim świetle poranka, przechadzam się po skalniaku, wrywając chwasty choć może są to jakieś inne rośliny - jakby to miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Może nie potrzebuję też już snu ani marzeń, gdyż nawet po tych długich, burzliwych nocach wspomnień, nie czuję się szczególnie zmęczona. Adam siedzi w nowej kuchni, którą zawłaszczył w o wiele większym stopniu niż ja - nawet te zbędne maszyny - i przygląda się światu przez ekran. Później wynosi nam na dwór sok pomarańczowy na tacy - dawno już zauważył, że nie lubię pić dużo kawy - brzęk szklaneczek

ściąga mnie do ogródka w Moseley i do Leo. Ale nie przenosi mnie już wstecz. Przeszłość jest z nami. Czuję ją dookoła, kiedy siedzimy i rozmawiamy. Adam proponuje, że zajmie się ogródkiem. Obserwuję go, gdy z łatwością, z młodzieńczym zdecydowaniem porusza się pośród więdnących hortensji, wciąż nosząc ubrania Claude'a. Wreszcie wracam do środka, a słońce omiata i ogrzewa meble i dywany Morryn. Tak właśnie współistniejemy teraz z Adamem, na bliskich, ale odrębnych orbitach.

Znajduję go w pokoju muzycznym. W jego dłoni kołysze się sony seashell.

- Nie działa - zauważa.

- To stary sprzęt, nic dziwnego - rzucam ostro.

- Ale czy to nie jest to, co Leo dostał od Blythe, ten odtwarzacz z nagraniami...?

Zabieram mu go i odkładam na miejsce.

- Ja tylko...

- Co tylko?

- Cóż, z tego wszystkiego, co mi opowiedziałaś, zrozumiałem, jak ważny był dla ciebie Leo. Te zdjęcia, nagrania, nagrody, o jakich wspominałaś. Ale tak mało widzę tu, w Morryn, pamiątek po nim.

- Wspomnienia nie mają nic wspólnego z przedmiotami - odpowiadam.

Tak właśnie jest z Adamem. Połowa jego pytań, spojrzenia, jakimi obdarza rzeczy, sposób, w jaki ich dotyka, wydaje mi się natrętna, ale cała reszta zdejmuje mi ciężar z barków, sprowadza na mnie błogosławioną ulgę. Oto pokazuję mu, odsuwając na bok moje dziecinne rysunki - te z płaskimi słońcami i ludźmi ściśniętymi w ich domkach o spadzistych dachach, które muszą istnieć gdzieś w rzeczywistości poza głowami wszystkich maluchów świata - program charytatywnego koncertu, który zagrałam z Claude'em w Waszyngtonie. Zapisany kaligraficznym pismem papier, wcale nie pożółkły, upstrzony plamkami po winie...

Rozmawiamy, dzielimy się - a przynajmniej ja się dzielę - bo na tym polega życie, prawda? Nie jesteśmy wyspami. Gdybyśmy byli, umarlibyśmy, utonęli.

- Więc - próbuję wrócić do tematu - przypomniałaś coś sobie?

- Wiele rzeczy. Ale nic osobistego. Nic, co należy do mnie. Zupełnie, jakbym... - Na jego twarzy maluje się niemal cierpienie.

- Nawet w snach nic?

Po raz kolejny kręci głową, bardzo zbliżonym do hinduskiego gestem.

- Ale słyszałaś o symfoniach Nordingera? Wiesz, co się stało z Wenecją? Umiesz sobie wyobrazić kopułę katedry Świętego Pawła?

- Tak, wszystko to pamiętam. Poznają te rzeczy, zanim jeszcze wyświetlę je sobie na ekranie. Tyle że nie wydają mi się do końca prawdziwe. Są po prostu informacjami. Jakbym o nich dotąd wyłącznie czytał.

- Teraz nikt już nie czyta.

- Więc... jakbym je sprawdził w sieci.

- Cóż, wygląda na to, że wciąż cię będę musiała nazywać Adamem.

- Tak. Abaddonem.

Wciąż siedzi w ten dziwny sposób. Nagle pochyla się i z jękiem chwyta za prawy bok.

- To twoja rana, prawda? Ta duża? Chodźmy na górę, rzucę na nią okiem.

Kiwa głową i ulega. Na piętrze siada na tym samym stołku w łazience, na którym siedział... ile dni temu? Pozostałe otarcia i skaleczenia - przynajmniej te, które widzę na jego nadgarstkach i szyi - zdażyły się już zagoić. Przykucam i unoszę starą koszulkę Claude'a. Adam ma złocistą skórę, a jego brzuch naprawdę przypomina średniowieczne malowidło. Tylko czy włócznia nie ugodziła Chrystusa z innej strony? Za nic nie jestem w stanie sobie tego przypomnieć. Niemniej, w odróżnieniu od tego drugiego Adama, ten ma przynajmniej pepek.

Wodoodporna powłoka, którą nałożyłam sprayem na jego ranę, odchodzi bez trudu. Podobnie cała reszta opatrunku. Powtarzam sobie, że wszystko będzie dobrze. Poradzę sobie. Bułka z masłem. W końcu to tylko ciało i lekarstwa. Wtedy Adam znów jęczy, tym razem głośniej. Ostatni z przesłaniających rozcięcie plastrów opiera się moim palcom.

- Jeszcze chwileczkę. Nie ruszaj się.

Jest posłuszny, choć jego brzuch gwałtownie faluje. Muszę jednak spojrzeć - jaką mam alternatywę? - i moje dłonie, te same, które nadawały kształt najbardziej intymnym uczuciom Bacha, Mozarta i Beethovena, nagle stają się zimne, zdecydowane, spokojne i apodyktyczne. Mocno szarpię za białą taśmę i Adam głośno syczy. Próbuję ponownie. Jego brzuch zeszywniał, całe ciało wygina się w łuk, mięśnie tężeją. Jeszcze jedno pociągnięcie zmagające się z gwałtownym, chwilowo silniejszym oporem. Rozlega się odgłos rozrywania, po czym spomiędzy moich palców wypada coś dużego i wilgotnego. Rana jest otwarta, połyskuje. Porcja sztucznej skóry, którą wsunęłam w rozcięcie, nie zrosła się z ciałem.

Nie czuję jednak żadnej nieprzyjemnej woni, a to już coś, nieprawdaż?

- I jak to wygląda? - syczy po chwili Adam.

Ciemnieje mi w oczach, choć wpadające znad morza światło słońca jest wręcz klinicznie jasne. Obrębiona nim rana wygląda na szerszą niż ją zapamiętałam. Mam wrażenie, że ktoś jej nadał nowy kształt, jakby rozciągnęły ją czyjeś ciekawskie palce, a wewnątrz...

- Wdało się zakażenie?

- Trudno powiedzieć... Wygląda jak... - Nie rana, lecz jakiś nowy otwór anatomiczny, na przemian zamykający się i rozszerzający w rytm wznowionego oddechu Adama.

- Coś poważnego? Co tam widzisz?

Widzę tunel, lśniący, ale co dziwne, nie krwawy. Niczym niewierny Tomasz, mam niemal ochotę wsunąć tam palce, ale się powstrzymuję. Mój oddech - nadal nie odsunęłam twarzy od brzucha Adama - pulsuje na jego skórze. Tak, tak, to mogłaby być prawie pochwa. Nie jest, ale nie jest to też rana. A wewnątrz, migocące dziwnymi wzorami, znajdują się kolumny i pieczary, grotty o ścianach z kryształu.

- Nie wiem. - Wstaję. - Trzeba czasu. Ale nie widzę oznak infekcji. - Kładę mu rękę na ramieniu. - Niemniej, dobrze będzie to czymś opatrzeć.

Oddycha teraz spokojnie, a jego uśmiech, jego nieskończenie wdzięczny uśmiech, zaczął już powracać. Na powrót zaczął udawać tego, za kogo się uważa, a ja czuję się jak uczennica bawiąca się w pielęgniarkę. Leo nie jestem w stanie zatrzymać tego wspomnienia, które zalewa mnie, gdy otwieram świeży opatrunek - nigdy nie był dobrym pacjentem, nawet jeszcze przed OZNP. „Daj spokój, Roushano, byłbym już dawno martwy” - mimo, że za rekwizyty mieliśmy tylko keczup i stare bandaże. Świat musiał się kręcić wyłącznie wokół niego, zwłaszcza gdy nie czuł się stuprocentowo dobrze. Nic dziwnego, że mama została *sadhu*, świętą...

Gdy najlepiej jak umiałam zabezpieczyłam ranę, wróciliśmy na swoje oddzielne, lecz przecinające się orbity. Jest już popołudnie i może to pora, bym zadzwoniła do dzieci. Próbuję sobie wyobrazić Edwarda, siedzącego przy tym, co nazywa swym biurkiem, w przypominającym ogród biurze. Słysząc śpiew ptaków, szelest drzew. Londyn jest teraz o wiele bardziej zielony - przynajmniej te okolice, które nie zniknęły pod wodą. Nawet jego dom, dawniej część drogiego bliźniaka w Chelsea, wygląda jakby opanowała go dżungla. W salonie rośnie trawa, a w kuchni pracują pożyteczne owady. Z bólem serca myślę o tym, co ta biomoda uczyni z Morryn, kiedy zamieszka tu ktoś obcy.

Ostatnim razem, gdy widziałam syna w jego własnej osobie, przybył tu z rodziną wodnosamolotem, który osiadł na morzu niczym origami Picassa. Ayana i Cornell - moje wnuki - nie są do końca bliźniętami; urodzili się w odstępie sześciu miesięcy od siebie. Są tacy duzi, tacy młodzi. Tacy doskonali. Rozmawiają ze sobą, posługując się dźwiękami, których nie potrafię odcyfrować. Poruszali się po Morryn niczym dzieci olbrzymów, bawiąc się i ganiając za rzeczami, których nigdy nie mogę dostrzec w tym ogrodzie, w którym Adam teraz przycina i uwiązuje rośliny, szykując je do nadchodzącej zimy. Była też partnerka



Edwarda, Ivy, która, ubrana w jaskrawe, jarmarczne kolory wyglądała jak elf, choć zaskakująco rosły.

Pewnego popołudnia - jedyne, jakie spędzili w moim towarzystwie - Ivy zabrała dzieci na spacer nad klifami i w Morryn zrobiło się nagle niezwykle cicho. Szukając syna, zauważyłam, że drzwi do garażu są uchylone, i znalazłam go stojącego w cieniu, najwyraźniej głęboko zamyślonego.

- Och, nie wiedziałam, że tu jesteś - odezwałam się głośno, by nie pomyślał, że za nim węszę.

- To miejsce... - Zachichotał. - Nie byłem tu od... Chyba od śmierci taty.

Sama także nie zachodziłam tu od wielu lat. Ten garaż, wszystkie narzędzia i cienie, nadal należą wyłącznie do Claude'a. Puste jest jedynie miejsce, które zajmował, bez końca majsterkując przy swoim DB5. Pamiętam jeszcze, jak kiedyś wymontował i rozebrał cały silnik, a potem mówił o tym przez długie miesiące - twierdził, że to równie trudne zadanie jak mistrzowskie opanowanie *Das Wohltemperierte Klavier* Bacha. Wołał mnie niekiedy i musiałam trzymać ssanie lub zwiększać obroty silnika, podczas gdy on nurkował pod maską, lub leżał pod podwoziem. „Jeszcze troszkę mocy... Nie, nie, nie, nie... Wolniej, kurwa...”. Garaż wypełniał się dławiącym, błękitnym dymem i wychodziłam z niego cuchnąca spalinami, z rodzącym się bólem głowy. Niemniej, wszyscy kochaliśmy DB Claude'a, jego samochód Jamesa Bonda. Wówczas był wart pokaźną sumkę, teraz kosztowałby jeszcze więcej. Nie znosiłam jedynie tego całego oleju i zamieszania i „Stój, stój, przestań, co ty, do licha, wyprawiasz?”. Potem przychodził Edward, który uwielbiał tacie pomagać, a ja z zadowoleniem mu na to pozwalałam.

- Nigdy nie udało mu się uszczelnić przewodów olejowych - zauważył Edward.

Oboje spojrzeliśmy na plamę ciemniejącą na starych kamieniach podłogi.

- Z drugiej strony, wyobraź sobie, co by było, gdyby tata doprowadził ten wóz do idealnego stanu?

- Co byśmy, biedactwa, poczęli?

Uśmiechnęliśmy się do tej myśli.

- Z tatą było fajnie - przyznał Edward. - Wiesz, czasem łatwiej się rozmawia z ludźmi, kiedy tak naprawdę nie skupiasz się na tym, co mówią. Znasz to uczucie? Z nim było podobnie. Powiadał, że w najlepszych silnikach można znaleźć poezję i muzykę. I wierzyłem mu. Wciąż w to wierzę. Sama muzyka, prawdziwa muzyka, cała jej moc i te emocje, przychodziła mi z o wiele większym trudem. Ale to... - Wskazał palcem między pasmami

wirującego w promieniach słońca kurzu, z taką milczącą pasją, że niemal spodziewałam się ujrzeć lśniące srebrem boki DB. - To...

Mój syn jest co najmniej tak samo przystojny jak Claude. Świetnie wygląda i jest mocno zbudowany, w odróżnieniu od Marii, z której geny naszych odmiennych ras stworzyły frustrującą, niezbyt piękną mieszankę o mocno kręconych włosach i haczykowatym nosie.

- Wydajesz się - odezwałam się w ciszy, którą pozwolił mi wypełnić - jakiś rozkojarzony. Coś nie tak w pracy?

Nie odrywając wzroku od miejsca, gdzie dawniej stał DB, odpowiedział:

- Czasami mam wrażenie, że straciłem jakąś część siebie. Wspaniale było pracować z ojcem, na przykład, przy tym samochodzie, ale przez większość czasu go jednak nie było. I nawet, kiedy się pojawiał... - Pokręcił głową. Zatupała spacerująca po falistym dachu mewa. - Chciałbym wiedzieć. Ty jesteś dla mnie po prostu mamą. Ale kiedy wychodziłaś na scenę i unosiłaś skrzypce, stawałaś się kimś innym. Widziałem, jak się zmieniasz. Tata nigdy się nie zmieniał. On cały czas żył na scenie. Zawsze występował przed jakąś widownią. Może właśnie z wyjątkiem chwil spędzanych tutaj, przy wozie. A potem wydarzył się ten głupi wypadek i było już za późno na cokolwiek...

Teraz go widzę: DB wylania się spośród kurzu i mroku. Czuję zapach skóry, cennego paliwa i oleju. Słyszę bulgocący ryk silnika. Pod koniec naprawę był w idealnym stanie. Claude naprawił nawet ten wyciek. Naprawił wszystko.

Milczymy oboje. Patrzymy po prostu w pustą przestrzeń, wydartą w naszym życiu przez ten utracony wóz. Edward jest uśmiechnięty i poważny, swobodny, lecz zamknięty w sobie. Chaos światowej finansjery był ostatnim miejscem, w którym widziałam swojego syna. Podejrzywałam, że zostanie jakimś projektantem, twórcą, lecz tą drogą poszła Maria - która nigdy się nie przejmowała wyglądem niczego i zawsze myślała wyłącznie w kategoriach abstrakcyjnych.

Maria dzieli swój czas pomiędzy niewielkie, prestiżowe projekty, i te większe, zbliżone raczej do inżynierii wodno-lądowej niż prawdziwej architektury. Realizując je, naraża swe życie w krajach trzeciego i czwartego świata. Niemniej, nic z tego nie przynosi poważnych pieniędzy. Jestem bardzo dumna z córki, choć jednocześnie wyczuwam w niej pewną nieśmiałość. Jej CV głosi, że jest osobą godną zaufania, taką, której można zlecić stworzenie lub przebudowę tego czy tamtego budynku, ale Maria powstrzymuje się tam przed ostatecznym stwierdzeniem, że jest architektem. Może gdyby wreszcie znalazła sobie odpowiedniego partnera... To dopiero byłaby odmiana. Ale zaniedbany kucyk, w który wiąże swoje faliste, afrykańskie włosy, nie zmienił się od lat, podobnie jak nie zmieniły się - niemal

dosłownie - jej przykurzone ubrania. Wszystko w niej - nawet moja myśl o tym, by do niej zadzwonić - krzyczy: zostawcie mnie w spokoju...

Co miałabym powiedzieć? W jaki sposób mogę poinformować dzieci, że umieram? Zrobiłabym wszystko, naprawdę wszystko, by uniknąć martwienia ich. Czymkolwiek jest miłość, wciąż ją chyba do nich czuję i jestem niemal pewna, że i oni żywią do mnie podobne uczucie. Ale Edward to Edward, a Maria to Maria. A ja to ja. To miłość pomiędzy przedstawicielami różnych gatunków. Nie mogę do nich zadzwonić. Nie teraz.

Zostawiam syna w garażu z duchem DB i wracam do Morryn, który ukazuje mi swoje zapachy, dźwięki i sprzęty. Przechadzam się po pokojach. Dotykam wspomnień. Niebo ciemnieje. Dom ponownie zajmują cienie. Nadchodzi przyływ. Potem jemy z Adamem kolację. Posiłek, który przygotował samodzielnie - poznaję to po smaku - jest niebiański, choć samo jedzenie stało się teraz elementem procesu przypominania - podróżą w tę wiecznie obecną przeszłość. Gram dla niego. Sonata Prokofiewa. Kilka utworów Chopina. I oczywiście Bach. Automatyczny fortepian milczy. To prawdziwie solowy recital. Kolejne utwory same do mnie przychodzą. Adam siedzi i słucha. Teraz to już nieodłączna część naszego planu dnia; część tego, czym sami jesteśmy. Uważny, potrafiący docenić, jest wybornym słuchaczem. Jeśli gram coś wesołego, wystukuje nogą rytm i się uśmiecha. Kiedy przechodzę do smutniejszego repertuaru, w jego pięknych oczach wzbierają łzy. A inne emocje, te, które potrafi wyrazić jedynie muzyka, również przemykają po tej wyrazistej twarzy. Niekiedy odnoszę wrażenie, że wie o muzyce więcej niż chce to przyznać. Ale przecież zna się na wszystkim - dlaczego więc i nie na niej?

Bezsenna, pozbawiona marzeń, bezradna, kładę się w gęstniejący mrok swego łóżka.

\* \* \*

Gdy wróciliśmy do Paryża, na ścianach naszego atelier znaleźliśmy całe kontynenty wilgoci. Atlantydy brązowego i zielonego grzyba pojawiły się w prowadzącym do kuchni korytarzu, a nad łóżkiem krążyły po swych orbitach dziwne szare i kosmate planety. Pościel, którą zostawiliśmy w nieporządku i niewypraną, porosła futerką pleśni. Śmialiśmy się i narzekaliśmy, ale właścicielka mieszkania, Mme Loic tylko wzruszyła swą wydatną pierś i pogłaskała kota. W końcu to Paryż w środku lata, więc czego się spodziewaliśmy?

Powietrze cuchnęło gnijącym gipsem i niedrożną kanalizacją. Zaczęłam eksperymentalnie palić gitany, raczej dla zapachu, który podobał się nam obojgu, niż dla jakichkolwiek innych efektów. Gdy pojawiały się nagle słoneczne wyrwy w chmurach, siadywałam, kaszląc, na wąskim balkonie, otoczona pościelą, ubraniami, dywanami i

ręcznikami, które bezskutecznie próbowaliśmy wywietrzyć. Poniżej, pod czterema piętrami wywieszzonego w podobnej nadziei prania, tętniły życiem mokre, lśniące ulice. Dzwony, wystrzały, syreny, nawoływania mułłów, ryk megafonów i trąbiące, tupiące parady.

Nuty zawilgły, książki się rozsypały, mleko skwaśniało. Silnik lodówki był wniebogłosy. Moje guarneri napuchły. Ćwicząc, myślałam o tygrysach Rousseau i o rozkołysanych palmach. Popołudniami zawsze huczały grzmoty, a deszcz łomotał w trzaskające okna. Mimo że wiedzieliśmy, że ulewa nadejdzie, za każdym razem zbieraliśmy pranie nieco zbyt późno i jeszcze jeden dzień spędziliśmy w przemoczonych ubraniach. Kochaliśmy się w zagrzybionej pościeli.

Na Sorbonie wybuchł strajk, w konserwatorium zarządzono lokaut. Koncerty wstrzymywano, odwoływano, lub przekładano w rytm alarmów bombowych, rządowych nakazów bądź nagłych, nowych mód na żywych i martwych kompozytorów. Wagner pojawiał się i znikał, swoją godzinę miał Boulez, a ja przestałam się już uczyć i po prostu starałam się utrzymać z pracy zawodowej solistki. W tamtym okresie sumy, które oglądaliśmy z Claude'em na swoich wyciągach bankowych, były tak wysokie, że pojawiające się przy nich znaki plusa lub minusa wydawały się nic nieznaczące. Tymczasem nadchodziły przecież wybory. Podczas naszego pobytu w Waszyngtonie Mathilde Irissou wybiła się na czoło sondaży, po czym jej popularność spadła wskutek działania sił, których nikt nie potrafił wytłumaczyć - może tylko komputery odpowiedzialne za jej wizerunek, te jednak milczały. Gazety tego lata drukowano na interaktywnym plastiku i ich elastyczne płachty, które znosiliśmy do domu, pulsowały jak grzyb na naszych ścianach w miarę pojawiania się kolejnych prognoz politycznych i skandali.

Gdy dotarło się na dół strony, można było zacząć czytać ponownie u góry, a wiadomości, artykuły, nawet reklamy, były zupełnie nowe. Jeszcze wyraźniej niż w Waszyngtonie, tutaj, we Francji - a szczególnie w Paryżu - panowało przecucie, że właśnie w tym kraju zdecydują się losy demokracji. I w pewnym sensie tak właśnie było. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak mało w istocie jest ważna demokracja.

Pewnego wieczoru odwiedziła nas Mathilde Irissou i przechadzała się po atelier, podczas gdy na dole flota jej samochodów pancernych blokowała ulicę. Ona także paliła gitany, wymachiwała swym papierosem z godnym pozazdroszczenia wdziękiem, po czym gasiła go w jednej z naszych stłoczonych pod oknami doniczek z orchideami. W sondażach przodowali socjaliści, ale maszyny wyborcze twierdziły, że wybili się stanowczo za wcześniej, i właśnie teraz jeden z brukowców dotarł do jej wczesnych zdjęć, które, choć w zasadzie niewinne, były o wiele mniej podniosłe i godne niż te słynne, przedstawiające ją jako

Wolność z nagą piersią. Czy naprawdę kobieta nie mogła zaistnieć w polityce bez tego głupiego podglądactwa? Najgorsze ze wszystkiego okazały się jednak wyrazy poparcia, jakie zaczęła nagle otrzymywać od swych towarzyszy - socjalistów. Dla nich, napędzanych egoistycznymi snami o awansie, najlepszą możliwością była wyborcza porażka Irissou. Nacisnęła włącznik kolejnego papierosa. Jej zwinne usta spowiły się pióropuszem dymu. Otoczona nim perorowała z zacięciem.

- Spójrzcie na ludzi, którymi otacza się Boullard - tego militarystę Le Fale, tego oszusta Christosa. Wykorzystuje dzięki nim ludzkie lęki, ale nie będzie w stanie ich kontrolować bez końca. Hindenburg też nie opanował Hitlera... Musimy ich atakować, a ci ludzie nie są nawet politykami. Cokolwiek powiem o inicjatywach podatkowych, czy na temat poszerzenia praw jednostki, zostanie po prostu zbyte. Dlatego potrzebuję was. Oboje jesteście ważni. Reprezentujecie coś prawdziwego, coś, w co ludzie wierzą.

Dotąd swymi podchodami i uśmiechami osaczała nas oboje, ale teraz podeszła do Claude'a, który siedział na swym ulubionym stołku przy fortepianie, i zatrzymała się blisko niego, między jego nogami. Zadarła brodę. Zabłyśły jej kolczyki. Na moment - gdy rozległa się kolejna kanonada grzmotów i zatrzęsły się szyby - otoczona barykadami chmur naprawdę stała się Wolnością wcieloną. Nie mogłam nie czuć się poruszona.

- Chcę, byście zdobyli dla mnie tych kretynów - szepnęła. - Jesteście w stanie dotrzeć do nich na sposób dla mnie niedostępny. Pokażcie im, że nie są ważne ich głupie przekonania. Pokażcie im, że istnieje coś poza lękiem i przesądami. Pokażcie im, że liczy się prawda...

\* \* \*

Le Fale nie przetrwał kampanii. Następnego ranka, albo jeszcze dzień później, w obrocie pojawiły się jego zdjęcia, o wiele bardziej skandalizujące niż te, którymi chciano zniweczyć szanse Mathilde Irissou. W weekend, zupełnie tak samo, jak jego idola Mussoliniego, znaleziono go powieszzonego na ulicznej latarni. Christos był jednak inny. Przed nim nie dało się uciec.

Nikt do końca nie wiedział, skąd przybył ani czy naprawdę od dziecka nosił to nedorzeczne imię. Swój marsz ku sławie rozpoczął jako uliczny żebrak-handlarz, jeden z tych, których armie nagabywały na ulicach Paryża coraz mniej licznych turystów. Christos sprzedawał butelkowaną wodę, ale także swe wizje i filozofię stanowiącą kombinację judaizmu, chrześcijaństwa i islamskiej eschatologii. Jego głównym twierdzeniem było to o nadchodzącym wielkimi krokami końcu świata, którego ogłosił się ostatnim prorokiem.

Mimo że podobnych jemu było wielu, to właśnie on skupiał wokół siebie największe tłumy. A woda opatrzona jego wizerunkiem i imieniem sprzedawała się wyjątkowo dobrze.

W ciągu roku Christos stał się nie tylko prorokiem, ale i przedsiębiorcą. Nabył stary browar w Marne la Vallee, gdzie wykorzystał źródło i butelkownię oraz swych wyznawców w charakterze darmowej siły roboczej, dzięki czemu pokonał konkurencję ilością. Jego ludzi, uginających się pod ciężarem worków, często widywało się na ulicach. Paryżanie, nawet liczni niewierzący, kupowali produkt Christosa, ponieważ w tych zwrotnikowych dniach każdy potrzebował czystej wody, a ta z kranów była skażona cholera typu B.

Wielu innych jednak wierzyło mu szczerze; kościoły, księża i mułowie unikali jasnych wypowiedzi, a papież nazwał go - co odnotowały wszystkie media - świętym głupcem - gdyż, prawdę powiedziawszy, cóż było złego w rozdawaniu ubogim pieniędzy w zamian za coś tak ważnego jak woda? Ludzie pili produkt Christosa. Trzymali butelki przy łóżkach, by odpędzić złe sny. Kąpano się w tej wodzie, a liczni twierdzili, że zostali dzięki niej oczyszczeni, zbawieni, uzdrowieni...

Nauki Christosa - o ile można powiedzieć, że krył się w nich jakikolwiek sens - opierały się na założeniu, że żyjemy w epoce końca dni. Lada chwila, choć prorok ostrożnie wzbierał się przed podaniem dokładnej daty, na Ziemi miało powstać Królestwo Niebieskie. Tymczasem jednak wszyscy musimy żyć w strachu i posłuszeństwie wobec nakazów Jehowy, Boga i Allaha - o których twierdził, że są tym samym bóstwem - tak jak nigdy dotąd. Znaczyło to między innymi, że żony powinny pokornie słuchać mężów, rodzić dzieci i nie pracować poza domem. Homoseksualizm z kolei, podobnie jak wszelkie formy swobody seksualnej, nie wspominając nawet o antykoncepcji, aborcji i kuracjach opartych na manipulacji genami, nazywał złem, podobnie jak mianem heretyków określał wszystkich wątpiących w słowo Boże - czyli jego własne. Oczywiście nie popierał przemocy otwarcie, ale jego słowa niosły w sobie wystarczająco zapalny ładunek, który popychał innych do wysadzania barów dla gejów i atakowania kobiet mających czelność pojawić się na ulicy w stroju uznawanym za seksualnie prowokujący.

Pojawiły się też dziwne furgonetki, stare ciężarówki i samochody dostawcze, pokryte wypisanymi sprayem cytatami z Talmudu, Biblii i Koranu, którymi to pojazdami wyznawcy Christosa krążyli po mieście, szukając zagubionych dusz. Leżący na chodnikach pijacy, śpiący na parkowych ławkach bezdomni - wszyscy, którzy chwilowo nie byli zdolni poradzić sobie sami - byli przymusowo wcielani do jego tak zwanej Wspólnoty Boga. Żandarmeria zupełnie nie reagowała, a pravicowi politycy, uradowani, że ktoś wykonuje za nich brudną robotę i czyści ulice z niepożądanego elementu, patrzyli w przyszłość z uśmiechem.

Prezydent Boullard, doskonale wyczuwając nastroje, zaprosił Christosa do Pałacu Elizejskiego i pozował z nim do sesji rozpowszechnionej przez wirtualne media. W porównaniu z członkami dokonujących zamachów bombowych sekt biczowników tudzież podżegaczy wojennych, Christos wydał mu się zapewne człowiekiem środka. Boullard ogłosił, że on również jest bogobojnym człowiekiem i cała jego polityka - wzmocnienie cenzury, zapewnienie zatrudnienia mężczyznom dzięki nakłanianiu kobiet do pozostawania w kuchni, niechęć do jednopłciowych małżeństw, a nawet jego wątpliwości wobec tego, co określił „tak zwaną teorią ewolucji” - była przesiąknięta odtąd naukami świętego. Co do kwestii końca świata, cóż, on jest jedynie prezydentem Francji i do tego momentu postara się rządzić najlepiej jak potrafi, aczkolwiek zachęca ludzi do modłów i wsłuchania się we własne sumienia, również nad urną wyborczą. Wtedy Christos uściśnął Boullardowi dłoń i ten jeden gest zyskał politykowi dodatkowy milion głosów.

\* \* \*

Claude przewodniczył kolacji w prywatnej sali w Gagnaire, w wieczór, gdy w popularnym programie politycznym „Rapport” miała się odbyć jego transmitowana na żywo debata z Christosem, którą zorganizowali mu doradcy Mathilde. Wydawał się zadowolony i pewny siebie. Mimo nękających Francję kłopotów, nam wiodło się dobrze. Jego wciąż otaczała aura nagrody, którą otrzymał za nagrania symfonii Brahmsa, a melodia *Les Escaliers de Montmartre* rozbrzmiewała we wszystkich kawiarniach. Ja tymczasem dowiedziałam się, że otrzymałam doktorat honoris causa, który miał zostać mi nadany, gdy tylko oblężona Sorbona na powrót otworzy swe podwoje. Boczyłam się już wówczas na krytyków, którzy porównywali mnie do dojrzałego Heifetza, młodego Menuhina, czy Ojstracha ze średniego okresu. Nie chciałam być podobna do nikogo, bez względu na to jak wielkiego. Chciałam być po prostu Roushaną Maitland.

W Gagnaire był z nami Harad Le Pape. On (lub ona) wrócił do krytyki, choć teraz zajmował się raczej życiem pojmowanym ogólnie niż konkretnymi dziełami sztuki. Tej nocy szeleścił swym czarnym strojem, pełnym falbanek i kokard, a pod nosem zapuścił sobie niewielki, jedwabście kobiecy wąsik. Jakiś czas temu napisał o niedawnych zabójstwach kilku osób związanych ze skrajną prawicą, określając je jako dadaistyczną tragedię dorównującą Godotowi. Pozostałe jego prace skupiały się na rozważaniu koniunkcji reklam i chmur nad Chaillot oraz estetyce zaschniętych na talerzu plam sosu pomidorowego. Harad ogłosił także, że jego wielkie dzieło z szóstego piętra zostało ukończone. Walka dobiegła

kresu, ale teraz, niczym dobre wino bądź ser, jak noworodek, instalacja musiała nauczyć się oddychać. Nam zostało tylko czekanie.

O ile Harad wyglądał tej nocy na odprężonego i zagarniał dla siebie całe towarzystwo, to Karl Nordinger ledwie przypominał owego zgorzkniałego mężczyznę, którego kiedyś poznałam. Oprogramowanie, które miało stworzyć wiecznie zmieniającą się, ostateczną wersję *Czwartej symfonii* było już w pełni funkcjonalne i jego koncepcja została niedawno sprzedana międzynarodowej firmie software'owej. Po latach, kiedy bogacił się jedynie o kolejne świetne recenzje i akceptację środowisk artystycznych, Nordinger stał się niebywale zamożny i chyba bardzo mu to odpowiadało. Wyjechał do Monako z dwiema soczystymi dziedziczkami starych, arystokratycznych rodów, a do Paryża wrócił w towarzystwie trzech.

Teraz wydaje mi się, że niemal każdy, kto był kimś w kręgach paryskiej inteligencji, zasiadł z nami tamtego wieczoru przy długim stole w Gagnaire. Piliśmy i śmialiśmy się. Jestem pewna, że pojawiła się tam Nadia Kakkousis, świeżo po swym genialnym *Rosenkavalier*. Podobnie jak Max Rochereau, typowo żywiołowy i radośnie rozprawiający o powrocie od wirtualności do farb. Pamiętam Alaina Ribouda, znajdującego się wtedy u szczytu krótkotrwałej sławy, której kres położyły skandale z ustawianiem wyników meczów. Była również Dorina Trzy, przewyższająca swym bezbarwnym pięknem poprzednie dwie wersje.

Gdy Claude wznosi toast za humanizm, patrzę ponad stołem i rosnące w lesie butelek świece sprawiają wrażenie jakby się mnożyły. Bez wątpienia bawił się z nami także Picasso, jak zwykle jadający na mieście - jedyny uczciwy artysta, który pozostał w Paryżu po wejściu nazistów. Byli też Scott i Zelda Fitzgeraldowie, oczywiście kompletnie zalani, ale również w swoim przelotnym okresie świetności, kiedy słowa płynęły szerokim strumieniem, a oboje zażywali prawdziwego szczęścia. I Hemingway: gdzie indziej mógłby być nasz papa? Także Marcel Proust zdobył się na jedną z rzadkich wypraw poza obity korkiem pokój i wszyscy się zastanawiamy, czy nasze zabawne i głębokie uwagi zostaną umieszczone w tej niekończącej się książce, którą podobno pisze. Nieco z tyłu widzę Diagilewa i Moneta, oraz, tak, tak, Georges Sand i Fryderyka Chopina, zakochanych i sławnych jak nigdy przedtem i potem. Tuż obok nich siedzi jeszcze bardziej znajoma postać. Wszystko wiedzący i rozumiejący Leo uśmiecha się do mnie i unosi kieliszek, odpowiadam podobnym gestem.

Jedliśmy *truffel feuillette* i *croustillant de lamb*, popijane chateau beychevelle, winem, które narodziło się wraz ze mną i wciąż smakowało opromienioną słońcem ziemią dawniej wspaniałych, a teraz wymarłych winnic Bordeaux. Wszyscy podsuwali Claude'owi sugestie chwytów, jakimi miał zmiażdżyć Christosa podczas zbliżającej się debaty. Na przykład, te tak



zwane cuda. A liczba żon, które ponoć utrzymywał w swym wielkim obozie w ruinach Disneylandu? I w jaki sposób godzi nawoływania do powszechnej miłości z wrogim stosunkiem wobec gejów i kobiet? Był siedzącą kaczką, rybą pływającą w beczce. - łatwym do upolowania, oczywistym celem...

Wieczór trwał: pora na zmianę wiatrów, pora, by stworzyć historię.

Nie martwiąc się rachunkiem, którym zajęła się nasza firma od PR, Claude i ja wytoczyliśmy się na spływające wodą ulice. Mimo licznych zapewnień o wsparciu, pozostali goście wkrótce rozmyli się we mgle wymówek - ktoś przecież musiał tworzyć wszystkie te arcydzieła, dopilnować czekających w łóżkach nowych kochanków, zająć się pustymi jeszcze płótnami, czy zajrzeć do nowego, niesprawdzonego jeszcze klubu. Do studia Le Monde dotarliśmy sami.

\* \* \*

Claude zażył kilka wytrzeźwiaczy, a potem - co było jak na niego dość niezwykle - garść środków uspokajających. Czekaliśmy w green roomie, a na ekranach pojawiały się dzisiejsze wiadomości. Rząd w Tokio był bliski upadku, płyty wydarte z chodników podczas manifestacji leżały pod pokrytymi fluorescencyjną farbą murami. Potem wparował jeden z doradców Mathilde. W siedzibie partii zapanowała lekka panika - maszyny wyborcze przeliczyły wszystkie możliwe scenariusze i zaczęto się obawiać, że ta rozmowa może się okazać zbyt wpływowa. W końcu Claude nie powinien pokonać Christosa w pojedynkę. To miała być zwykła filozoficzna, apolityczna debata. Producent jednak obwieścił już, że zostały tylko dwie minuty. W Indiach na transmisję czekała mama, podobnie jak rodzice Claude'a w Waszyngtonie. A wraz z nimi, wydawało się, pół świata.

\* \* \*

Studio w niczym nie przypominało tego intymnego pomieszczenia, do którego wkraczało się, oglądając „Rapport” przez domowy ekran. Słynny kominiek, piękne malowidła - cała ta ciepła aura kultury, jaką roztaczał wokół siebie program - w rzeczywistości nie istniały. Asystenci i charakteryzatorzy przemykali w lśniącej siatce sensorów i plastiku, nad nami świeciło kilka punktowych reflektorów, odległych i zimnych niczym gwiazdy. Zgarbiony Christos zajął już jeden z dużych skórzanych foteli. Środkowa część tryptyku była przeznaczona dla gospodarza programu, wiecznie uśmiechniętego siedemdziesięciolatka o nazwisku Micel i twarzy tak rozciągniętej licznymi operacjami, że wyglądała jak to, co

Francuzi nazywają *Le Chinois*. Claude siedział po lewej. Operatorzy sensorów gestykulowali. Rozległa się muzyka czołówki.

Christos od początku wydawał się niepewny. Roztaczał jednak - uznałam, przyglądając się mu uważnie - ten sam kompulsywny hipnotyzm, jakim cechowali się zapewne wszyscy słynni szaleńcy w historii. Taki na pewno był Rasputin. Podobnie Hitler i Napoleon - Chrystus i Mahomet również posiadaliby ten sam rys, gdyby byli prawdziwi. A przy tym był brzydki i spocony. Nawet pominawszy jego plamistą skórę, wyglądał jakby się nie mył, nie przebierał ani nie spał od wielu dni. Jąkał się i bełkotał dziwnym głosem, który nie miał jednej określonej wysokości czy akcentu, i wykonywał wiele rozmaitych gestów, którymi naśladował operatorów sensorów, co sugerowało, że ledwie panuje nad własnym ciałem. Rzucony na niebezpieczne ulice, szalejący przed turystami stojącymi w kolejce do wieży Eiffela, zbierający tłumy wyznawców pośród zgorzkniałych i ubogich - bardzo łatwo było w to wszystko uwierzyć. Wydawało się, że Claude, elegancki i przystojny, ze swoim amerykańskim akcentem, naprawdę pochodzi z innego świata.

Zachęcony do potępienia przemocy, Christos wykręcił się cichym pomrukiem. Zapytany, czy naprawdę uważa, że kobiety są stworzeniami gorszymi od mężczyzn, uśmiechnął się tylko i powiedział, że Bóg stworzył Adama jako pierwszego. Idąc w ślad za naszymi wskazówkami z Gagnaire, Claude spróbował podważyć jego zdolność czynienia cudów. Czy naprawdę potrafi uzdrawiać, sprowadzać śmierć na umierających? Które z tych historii są prawdziwe, a które zmyślane? Christos jednak powtarzał jedynie to, co słyszeliśmy już po wielokroć. Że świat się wkrótce skończy, że czas ugiąć się przed mądrością świętych ksiąg, pogodzić z Bogiem i pomóc w kładzeniu fundamentów jego ziemskiego królestwa. W przeciwnym wypadku - dodał ochryłym szeptem - zaprzańcy będą się przez wieczność smażyć w piekielnej otchłani.

Kiedy Claude lub Micel używali przeciw niemu logicznych argumentów, odpowiadał rozwlekle i bezsensownie. Potem przyjął pozę znudzonego. Opadł głębiej w fotel i rozejrzał się po studiu. Jego spojrzenie na moment zatrzymało się na mnie. Poczułam - nie miałam najmniejszej wątpliwości - dziwną siłę. Co to? - zastanowiłam się, walcząc z impulsem odwrócenia wzroku. Wtedy uświadomiłam sobie coś, czego nie oddawały żadne wizerunki jego twarzy - ani reklamy, ani etykiety na butelkach. Jego lewa tęczęwka była brązowa, a prawa niebieska.

W tej chwili było już dla mnie zupełnie oczywiste, że cała debata skończy się takim samym brakiem rozstrzygnięcia jak wszystkie podobne. Jacy głupi byliśmy, wyobrażając sobie, że coś równie prostego jak prawda ujawni się w programie politycznym! Gdy Micel

podsumowywał to wydanie „Rapportu”, spojrzął na Christosa, choć nie spodziewał się raczej niczego poza ostatnim wzruszeniem ramion. Wtedy jednak, oszłamiająco szybkim ruchem, prorok wyprostował się i wstał. Pochylił się nad Claude'em i szepnął mu coś, czego nie wychwyciły mikrofony ani moje ucho. Odniosłam jednak wrażenie, że było to coś bardzo osobistego. „Ty taki i owaki...” albo: „Jesteś...” - coś w tym rodzaju. Claude ściągnął twarz, zacisnął pięści i również podniósł się z miejsca. Było jasne, że gdyby nie rozdzielił ich Micel, Claude uderzyłby Christosa. Wtedy pokazały się napisy końcowe.

\* \* \*

Tej nocy w łóżku wyraźnie czułam bijącą od Claude'a frustrację i gniew.

- No dobrze - szepnęłam, kładąc mu dłoń na piersi, w której mocno biło serce - co on ci powiedział?

Claude zaczerpnął głęboko powietrza.

- Co to w ogóle za facet? Przecież on tylko sprzedaje butelkowaną wodę, do kurwy nędzy! Twierdzi, że nic już nie ma znaczenia i że powinniśmy się wszyscy poddać i kupować jego produkt, ponieważ świat dobiega końca. I zbija na tym fortunę - a tymczasem jego ludzie porywają niewinnych do tych swoich cholernych furgonetek! Jak ktokolwiek może to przełknąć?

- Ale oni mu wierzą. - Poglądziłam jego brzuch. - Widziałeś jak to robi. Odwołuje się do niewiedzy, strachu i braku nadziei. I jest przy tym chytry jak lis.

Wyczułam w ciemności, że Claude skinął głową.

- Więc co ci powiedział?

- Nie jestem pewien, Roushano. Naprawdę nie wiem...

\* \* \*

Ostatni kadr programu - Claude niemal rzucający się na zgarbionego Christosa i nieporadna interwencja staruszka Micela - w nieunikniony sposób zdecydował o wydźwięku debaty. Pokazywały to wszystkie media. Zdjęcie rzucono na poranne niebo. Ludzie, nawet ci liczni, którzy nie wierzyli w nadchodzącą apokalipsę, poszli do pracy z tym jednym urywkiem programu, wyświetlającym się na ich koszulkach. Jednakże większość uznała to po prostu za śmieszny ciekawostkę i wkrótce opinia publiczna zainteresowała się świeżymi tematami. W porze obiadu ściągnano już zupełnie inne nagrania.

Tego samego popołudnia, o ile dobrze pamiętam, udaliśmy się z Claude'em do pobliskiego, opuszczonego magazynu tytoniu. Claude rozważał jego kupno na potrzeby

swego Projektu, który miał wówczas siedzibę w ruderach za pogrzebanymi pustkowiami *Peripherique*. Ludzie bali się wyjeżdżać tak daleko z Paryża, przez co dziecięce koncerty nie gromadziły wielu słuchaczy. Przeniesienie imprez do centrum miasta było więc jak najbardziej sensowne.

Claude otworzył metalową bramkę w alejce, ledwie kilka przecznic od naszego mieszkania. Dach wysokiego budynku o przeżartej kwaśnymi opadami fasadzie nie wyglądał na uszkodzony, ale okna były zniszczone, a na betonowej podłodze lśniły kałuże i wszędzie wałały się śmieci. Claude zawsze lubił duże, przestronne pomieszczenia. Podobał mu się także widok na Notre Dame, jaki za zasłoną deszczu ukazał się naszym oczom, gdy weszliśmy po rozklekotanych, przerdzewiałych szerokich schodach na górę. Był naprawdę niesamowity. Wyglądaliśmy przez szeroką wyrwę w ścianie ostatniego piętra. Nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego przez tak długi czas nikt się tym miejscem nie zainteresował.

\* \* \*

Deszcz wreszcie ustał na kilka godzin. Wyjrzało słońce. Ulice odetchnęły parą. Dawałam recitale. Bywałam na przyjęciach. Udzielałam wywiadów i prowadziłam chaotyczne warsztaty dla lewicujących studentów, którzy nie mieli czasu na takie burżuazyjne dyrdymały jak sformalizowany uniwersytet. Reklamowałam rozmaite produkty i usługi. Grałam serenady miliardrom. Unikałam prób uwiedzenia. Chodziłam na kolejne imprezy. Bycie rozpoznawaną wkrótce mi spowszedniało, zwłaszcza gdy - podobnie jak inne nowocześnie wyglądające kobiety - padłam ofiarą wulgarного ataku sprzedawców wody Christosa, którzy nazwali mnie bezbożną kurwą. Zaczęłam więc nosić okulary przeciwsłoneczne i chustkę od Chanel, przez co często brano mnie za muzułmankę i w moją stronę leciały zupełnie inne wyzwiska.

Dzień pierwszej tury wyborów nadszedł i przeminął. Kandydaci chrześcijan i sunnitów, oraz marionetkowy faszysta, którego promowano w miejsce Le Fale'a odpadli. Zgodnie z powszechnymi przewidywaniami, ostateczna walka miała się rozegrać między Pierre'em Boullardem a Mathilde Irissou. Nastął już czerwiec i niebo nad Paryżem przejaśniło się - choć wciąż zasnuwała je niebieskawa mgiełka, na której kampanijne sztaby wyświetlały swoje zorze. I zrobiło się bardzo gorąco. Asfalt zaczął się rozpuszczać, miejskie elektrownie gonili ostatkiem sił, wycieńczane milionami klimatyzatorów i lodówek. Pasażerowie dusili się w metrze, ale sprzedawcy wody wciąż nawoływali i niezmordowanie wędrowali po migocących ulicach. Zwyczajowo kupowało się dwie butelki: jedną do picia,

drugą do polania sobie głowy. Nawet ja uległam temu nawykowi. Cokolwiek by mówić o ludziach Christosa, byli świetnie zorganizowani, a ich furgonetki o zamalowanych na biało szybach, bezustannie grożąc porwaniem, pełzały niezmordowanie w nieznośnym upale.

W powietrzu unosiła się woń dymu. Nie była to już kwestia pojedynczych zamieszek czy demonstracji, lecz nieustannego, krwawego karnawału protestów, blokad, barykad, tak zwanych eventów i podpaleń. Claude i ja, solidaryzujący się z mieszkańcami obozowiska powstałego wokół zamkniętej fabryki Renault, jednocześnie pozostający w opozycji wobec podobnie okopanej manifestacji fundamentalistów wokół Musée de Evolution, przyzwyczajaliśmy się do grzechotu policyjnych tarcz, deszczy kamieni i gumowych kul. W tej gorącej porze strzał z działka wodnego wydawał się nawet przyjemnością, o ile oczywiście nie dostało się w brzuch, a niespieralna pomarańczowa farba, którą nasączano strugi, wkrótce stała się rodzajem medalu i najmodniejszym dodatkiem.

Kierując tłumami z równą łatwością, z jaką prowadził orkiestrę, Claude stawał na spalonych wrakach samochodów i wygłaszał improwizowane przemówienia. Dwukrotnie sam został aresztowany, choć ku jego rozczarowaniu CRS wypuszczało go, gdy tylko funkcjonariusze orientowali się kim jest. Ja jednak zaczynałam czuć się tymi nieustannymi demonstracjami zmęczona i często spędzałam samotne wieczory w naszym atelier. Wiedziałam, że Claude gdzieś tam dyskutuje, prowadzi kolejną pikietę lub pije w tym czy innym barze ze swymi nowymi politycznymi kolegami. A przecież oboje byliśmy muzykami, czyż nie? Żyliśmy dla sztuki - nie dla czegoś takiego. Mimo że za nic nie przyznałabym się do tego przed Claude'em, z niecierpliwością wyglądałam końca wyborów. Kiedy wracał wreszcie do domu, był przepocony, zmęczony, naćpany lub do pewnego stopnia pijany i nerwowo nadaktywny. Namawiałam go, by przestał chodzić w tę i z powrotem, wyciszył się i położył - nie po to, by się ze mną kochał, ale by złapał choć trochę snu. Wiedziałam, że następnego ranka musi wstać równie wcześnie jak sprzedawcy wody, że czeka go kolejny dzień wypełniony próbami i nagraniami. Claude jednak znajdował czas na wszystko - taki właśnie wtedy był. Wciąż chętnie eksperymentował z nowymi rodzajami narkotyków czy wirtualności, przynajmniej z tymi, które nie były w oczywisty sposób niebezpieczne. Ja sama, mimo że uwielbiałam pić wino, spróbowałam ich tylko kilku i czułam się potem skołowana i wylękniona. Obawiając się o swoją muzykę, zaczęłam odmawiać. Pewnego razu, pamiętając moje opowieści o Leo, Claude zdobył trochę prawdziwej marihuany, ale i ona nie była taka jak dawniej: po wypaleniu stałam się zubożniała, nie byłam w stanie rozmawiać i zmarzłam.

O naszym atelier - tej dużej przestrzeni i jej dwóch centrach grawitacji: fortepianie i łóżku - zaczęłam myśleć jak o bezpiecznym schronieniu przed wzburzonym światem. Nie

mogę powiedzieć, bym czuła się samotna, ale w upalne wieczory, pełne krzyków i wycia syren wpadających rykoszetami przez nasze okna, zrozumiałam, że mój związek z Claude'em wkroczył w nowy etap. Niemniej, grając na guarnerim, nadal byłam czysta i skupiona, a dźwięki Paryża tworzyły gwałtowny kontrast do partit Bacha. Wciąż przez większość czasu pozostawałam szczęśliwa i głęboko zakochana.

Niekiedy wpadał Karl Nordinger. Raczej częściej niż rzadziej, Claude'a bowiem zwykle nie było i siedziałam sama. Nosił już wówczas kolonialne, jedwabne garnitury i fedory, które miały stać się jego znakiem firmowym. Posługiwał się też hebanową laseczką, która, jak twierdził, należała niegdyś do Debussy'ego. Mieszkał w nowoczesnym, luksusowym domu w pobliżu Fontainebleau, gdzie, jak głosiła wieść, trwała niekończąca się orgia.

- Wiesz, wszystko może obrzydnąć, nawet smak dupy i cipki. Wierz mi, jeśli widziałas choć jedną bogatą pizdę rozkładającą nogi na sofie w stylu Ludwika XIV, widziałas je wszystkie...

Jego kolejne próby zaszokowania mnie nie działały już zupełnie. Prawdę powiedziawszy, polubiliśmy swoje towarzystwo. On siadał przy pianinie, przegrywał utwory, nad którymi pracował po ukończeniu *Czwartej symfonii*, a ja obserwowałam, jak zmiany w muzyce wyrażały się na jego zadziwiająco plastycznej twarzy. Czasami to mnie namawiał, bym coś zagrała, i słuchał w absolutnym bezruchu.

Zapytałam go kiedyś, co planuje napisać. Roześmiał się i pokręcił głową.

- Może operę. Coś o obecnych wydarzeniach, a może o Merowingach. Potem uznam pewnie, że to zbyt duża skala, i zajmę się serią miniatur. Oczywiście nie mogę skomponować po prostu następnej symfonii, więc jakaś część mnie pyta: dlaczego, kurwa, nie? Coś wspaniałego, głupiego i komicznego. Albo zredefiniuję dysharmonię. Najbardziej chujowe jest to, że mógłbym zrobić dowolną rzecz z tej listy równie łatwo, jak stawiam klocka. - Znów się zaśmiał i zagrał śliczny, zajadły dyskord. - Dlatego też pieprzę to wszystko, poza pieprzeniem i wydawaniem kasy.

Niekiedy logowaliśmy się do jego symfonii i przesłuchiwaliliśmy ją w całości, uśmiechając się i czując dreszcze przy każdej z subtelnych zmian, jakie zaczęła już przechodzić. Naprawdę ożyła własnym życiem.

- Jesteś wolna - spytał pewnej nocy z dziwnym jak na niego wahaniem - w trzecią niedzielę lipca?

- To przecież dzień wyborów.

Postukał w podłogę swoją kretynską laską.

- Właśnie.

- Chyba nie myślisz o zorganizowaniu wtedy premiery, co? I czy to nie jest przypadkiem dzień, na który Harad planuje prezentację swojego szóstego piętra? Nie boisz się, że twoje dzieło zostanie przyćmione wszystkimi tymi wydarzeniami?

- A jeśli nawet, to co? I kogo obchodzi ten bajzel Harada? Harad to zwykły pieprzony teoretyk. Chciałby stworzyć coś kreatywnego, co objęłoby nasze gówniane czasy, ale nie jest w stanie i niczego nie zrobi. Wybory zapewne okażą się punktem zwrotnym, dokładnie tak, jak wieszczycie wy wszyscy, polityczne *groupies* - tyle że raczej w jakiś sposób, którego nikt nie jest w stanie przewidzieć. Symfonia będzie przez cały czas inna, więc równie dobrze mogę ją przyszpilić do konkretnego momentu historycznego. Kto wie, może ten koleś, który uważa się za Boga, ma rację. To może być pierwsze i zarazem ostatnie wykonanie. I to w gruncie rzeczy byłby całkiem piękny koniec!

Klimatyzator cicho westchnął. Karl opierał się o framugę jednego z wysokich okien, pół jego twarzy kryło się w mroku, drugą część zalewała czerwona poświata zza szyby.

- Rozmawiałeś już z Claude'em? Zarezerwowałeś salę? A co z orkiestrą?

- Rozmawiałeś już...? A co z...? - Skrzywił się, powtarzając bezgłośnie moje słowa. - Hej, co z ciebie wyrosło? Mała nadęta suczka, zakreślająca daty w swoim jebanym kalendarzyku? Jeśli mówię, że odbędzie się to wtedy, to oboje wiemy, że tak się stanie. I arogancja nie ma z tym nic wspólnego. Ani głupkowata skromność. Ta symfonia to pieprzone arcydzieło. Twórz geniusza. Ty to wiesz i ja to wiem, więc dorośnij wreszcie i przestań zgrywać Barbie. Zabrzmi wtedy, gdy ja powiem, że ma zabrzmieć, i koniec. A Claude poprowadzi orkiestrę, choćby miał już nigdy więcej nie dyrygować w całym swoim napuszonym życiu. Jedyną rzeczą, Roushano, jakiej nie byłem pewien, byłaś ty...

Claude wrócił niedługo po wyjściu Karla. Pachniał gitanami, które ja zdążyłam już rzucić. Westchnął poirytowany na myśl o chaosie, jaki *Czwarta symfonia* zaprowadzi w jego i tak już przeładowanym terminarzu. Karl miał jednak rację: nie opierał się. Dla Claude'a muzyka zawsze była na pierwszym miejscu. W tamtych dniach stronnictwo polityczne, do którego było mu najbliżej, skupiło się wokół agitpropowej grupki artystów. Wielu z nich pracowało po prostu na ulicy - byli wśród nich połykacze ognia, linoskoczki, chodnikowi pornograficy: sama za nic nie określiłabym ich mianem ludzi sztuki. Ogłosili manifest, w myśl którego ich celem było wykonanie przed wyborami serii happeningów. Niektóre z nich - jak uwolnienie pingwinów z miejskiego ZOO - faktycznie wypaliły, choć nie byłam w stanie wyczytać z nich jakiegokolwiek znaczenia. Rozebrałam Claude'a i pomogłam mu wziąć prysznic, słuchając jednocześnie o ewencie z dzisiejszego wieczoru. Wywiesili na całej ścianie

Centrum Pompidou transparent z hasłami popierającymi utrzymanie prawa do rozwodów - najwyraźniej odnieśli wielki sukces, mimo że zamocowali płachtę do góry nogami. Gładząc jego miękkiego, niemrawego penisa, usunęłam z niego pasemko średniej długości bursztynowych włosów.

\* \* \*

Kilka razy dzwoniła do mnie mama, która raz po raz ogłaszała, że wybiera się do Paryża. Skomplikowane jednak okazało się już samo znalezienie odpowiedniej kombinacji połączeń lotniczych, a potem zawsze wydarzało się coś nagłego - ktoś ją zawiódł albo Indie ogarniał kolejny kryzys. Po wielu złamanych obietnicach i odwołanych lotach, uznałam, że zapewne nigdy jej się to nie uda. Pewnego dnia jednak moja bransoletka zabrzęczała i nadeszło kolejne połączenie.

- To ty, Roushano?
- Oczywiście, że ja, mammo.
- Nie mam pojęcia, jak się do ciebie dostać.
- Nie przejmuj się, kiedyś się uda.
- Chodzi o to, że trochę tu pobłądziłam.
- Poblądziłaś?

- Cóż, zupełnie nie rozumiem, co do mnie mówią. A ten mężczyzna nalega, bym kupiła od niego... Co to jest? Ach! Ale to chyba nie może być po prostu woda? Próbowałam znaleźć drogę do jakiegoś znanego miejsca. Co to jest? To, co przypomina wieżę w Blackpool?

\* \* \*

Odnalezienie małej, zagubionej, ociemniałej hinduski w mieście rozmiarów Paryża zajęło mi nieco czasu, ale mama dopracowała się w postholokaustowych Indiach pewnego poziomu sławy i nie rozstawała się z nią ani na chwilę. Gdy ją wreszcie znalazłam, odmówiła zamieszkania w naszym atelier, podobnie nie chciała się przenieść do porządnego hotelu i zamiast tego zatrzymała się w podupadłym hostelu w pobliżu opery, gdzie tłoczyły się rodziny imigrantów z Algierii. Mamy jednak nie dało się przekonać, nie można było się jej sprzeciwić. Mama była mamą, więc przez całą wizytę towarzyszył mi niepokój o jej bezpieczeństwo i o to, czy nie zapłacze się gdzieś i po raz kolejny nie zgubi. Jej to jednak oczywiście nie przeszkadzało. Co z tego, że ją napadną, porwą, albo przejedzie ją samochód?



W końcu, moja droga Roushano, czy naprawdę sądzisz, że nie poradzę sobie w Paryżu, skoro nieźle radzę sobie całkiem sama w Gudżarat?

Jej wizyta wywołała spore poruszenie w mediach, które - nie ustając w pozyskiwaniu funduszy - wykorzystwała starannie do maksimum.

Udzielała wywiadów. Urządzono bankiet, na którym poznała Harada Le Pape i zapytała go (lub ją) na całą salę, czy jest transseksualistą. O jej pracy wspomniał nawet przelotnie prezydent Boullard, wygłaszając mowę w Arles, a Mathilde Irissou przyjęła ją na nagłośnioną do przesady kolację. Zapewne spodziewała się słodkiej, ślepej i starej Hinduski, ale mamie potrzebne były pieniądze, a nie dwuznaczne wyrazy wsparcia. „Jak wiele” - pytała - „pieniędzy w swoim pierwszym budżecie będzie gotów przeznaczyć socjalistyczny rząd Francji na pomoc zagraniczną, ze szczególnym uwzględnieniem Indii?”. Mathilde, która na wstępnej sesji zdjęciowej rozpyływała się w uśmiechach, błyskawicznie została zmuszona do odwrotu.

Tymczasem ja i Claude pokazywaliśmy mamie Paryż. Nalegała na zwiedzenie wszystkich słynnych, dobrze znanych miejsc, z których wielu sama jeszcze nie odwiedziłam. Tak więc stanęliśmy z kilkoma innymi turystami na szczycie wieży Eiffela, spacerowaliśmy po opustoszałym Luwrze, gdzie poprosiła, byśmy opisali sławetny uśmiech Giocondy. „Jak on wygląda? Co widzicie?”. Jak na osobę niewidomą, podchodziła do świata w zadziwiająco wzrokowy sposób. Szczególnie upodobała sobie „Śniadanie na trawie” Maneta i uparła się, byśmy urządzili własny piknik w tym samym miejscu, co przedstawione na obrazie, i zupełnie nie przejęła się ostrzeżeniami o grasujących w okolicy gangach nożowników. Nie byłabym zdziwiona, gdyby się tam rozebrała.

Claude polubił mamę od samego początku. Jego ckliwa, emocjonalna amerykańskość o wiele bardziej pasowała do jej hinduskiej zachłanności niż moja angielska rezerwa, jaką od jakiegoś czasu zaczynałam w sobie odkrywać. Bez przerwy brał ją w objęcia, pomagał jej i prowadził nawet w sytuacjach, w których mnie by od siebie odgoniła. Ryczał ze śmiechu, słuchając jej opowieści z życia rodzin Maitlandów i Asharów, w których rzadko kiedy rozpoznawałam rzeczywiste wydarzenia. „Byłaś tam, Roushano, nie pamiętasz? A ta twoja mina!”. Mama chichotała i wymachiwała rękoma z podobnym zachwytem, gdy Claude opowiadał anegdoty z Waszyngtonu oraz o wszystkich tych nedorzecznych przygodach, jakie spotkały go tu, w Paryżu, lub podczas którejs z tras koncertowych. Rzucona między to ich wzajemne uwielbienie, pośród posiłków w knajpkach i niekończących się wycieczek łodzią po Sekwanie - „Powiedz mi, Roushano, gdzie teraz jesteśmy. Tylko dokładnie. A co to za hałas dolatuje z lewej?” - czułam się niekiedy odsunięta na boczny tor, a twarz bez przerwy

mnie bolała („Co to za mina, Roushano?”) od natarczywego dotyku palców matki i sztywnych uśmiechów.

\* \* \*

- Tak bardzo się cieszę, że poznałam Claude'a i zobaczyłam Paryż. Mama westchnęła, wyciągnięta na leżaku na piaszczystej łasze nad Sekwaną, ostatniego popołudnia przed jej długim lotem powrotnym do Indii. - Naprawdę do siebie pasujecie. Jest taki czarujący. I nie trzeba być ślepym, żeby wiedzieć, że to kawał przystojniaka.

- Dzięki, mamó. Claude jest...

- Musisz tylko pamiętać - przerwała mi - że to nie jest Leo.

\* \* \*

Próba symfonii Nordingera odbyła się w Opera de Paris Bastille, kilka dni po wyjeździe mamy. Mimo dodatkowych kosztów, Claude zawsze twierdził, że klimat i akustyka tradycyjnych sal nie są w stanie oddać charakteru utworu, a teraz chodziło przecież o premierę arcydzieła. Z wysokości łoży obserwowałam, jak pracuje przy swoim pulpicie. Zaśmiewał się i poważniał. Te zamaszyste gesty. Niemal niezauważalne sygnały.

Wydruki zapisu nutowego *Czwartej symfonii* bez przerwy się zmieniały i ostateczna wersja miała się ukazać dopiero w dniu wydarzenia. Żadna normalna orkiestra nigdy by się na coś takiego nie zgodziła, ale kompozycja Nordingera była bez wątpienia czymś szczególnym, a poza tym, muzycy ubóstwiali Claude'a. Nowe fragmenty wykonywali z prawdziwym nerwem. Wiele akordów i barw pociemniało. Podobnie jak we wszystkich wielkich dziełach sztuki, nawet tych niezmiennych od stuleci, bez przerwy dokonywano nowych odkryć i interpretacji...

Sam Karl Nordinger przeszedł między pustymi fotelami, przywitał się ze mną, unosząc swoją głupią łaskę, i usiadł w pewnej odległości, by posłuchać. Gdy zeszałam, by odegrać swoją partię w trzeciej części, członkowie orkiestry wydali mi się podenerwowani. Nie rozumieli, po co potrzeba solisty do wykonania tych kilku krótkich fraz, i chcieli iść na obiad. Znałam jednak Claude'a na tyle, by wiedzieć że wybrał ten moment z rozmysłem. „Najlepiej grają, kiedy są wkurzeni i głodni” - żartował często. Teraz, kiedy podniosłam smyczek do strun guarneriego, uśmiechnął się do mnie. Te skrzypce, w większym stopniu niż jakiegokolwiek inne, na których przyszło mi grać, miały swoje humory. W tej chwili także wydawały się nieposłuszne, zwłaszcza gdy orkiestra wpadła w swoje ściszone tremolo i dźwięki *Pieśni czasu* wyszły kanciaste i surowe. Każdą nutę tej zbolalej melodii oddałam za

pomocą zagniewanego, niemal skrzypiącego tonu. Wypadło to wręcz nieporadnie, ale doskonale pasowało do całości i graliśmy dalej, prowadząc fragment do jego wygaśnięcia.

Claude spojrzał mi w oczy. Podniosłam na niego wzrok.

- Nieczęsto się to zdarza - odezwał się w końcu. - Wystarczy, że zagrasz tak jak dzisiaj i mamy ich w garści...

Gdy zakończyłam swój udział w próbie, Karl Nordinger wezwał jedną ze swych limuzyn, która miała zawieźć mnie z powrotem do atelier. Pojechał ze mną. Paryski gwar, oglądany z chłodnego wnętrza samochodu, wydawał się równie odległy jak życie mieszkańców akwarium. Był już czwartek i do wyborów zostały jedynie trzy dni. Właśnie opublikowano najnowsze sondaże, które jak zwykle nie wskazywały żadnego rozstrzygnięcia. Claude pojechał wygłosić kolejną mowę na kolejnej demonstracji, a ja czułam, że nie mogę zrobić już nic.

Otwierając okna, wykładając na stół chleb, ser i najlepsze angielskie winogrona, zanurzona w ćwierkaniu, skarżących się bezradnie klimatyzatorów, opowiedziałam Karlowi o mojej zeszlotygodniowej wyprawie na festiwal w Avignon. Nie tylko Paryż cuchnął spalenizną. Tego lata południe kraju ogarnęły najgorsze od dziesięcioleci pożary lasów. Zginęły tysiące ludzi, ogień pochłaniał całe miasta. Ewakuowano przedmieścia Marsylii.

- Kiedy wyjedzie się z Paryża - zauważyłam - o wiele łatwiej jest zrozumieć, dlaczego ludzie, racjonalne jednostki, słuchają takich jak Christos.

- Ach. - Karl uśmiechnął się nietypowo szeroko. - Zupełnie nie ma znaczenia, kogo wybiorą w niedzielę. Wiesz o tym, prawda? Boullard nie wyczaruje deszczu. Irissou nie sprawi, że pola wszędzie plonami. Żadne z nich nie jest w stanie pokonać cholery B. Nic dziwnego, że ludzie zwracają się ku Bogu. Dotarło do nich, że politycy są w istocie bezużyteczni. A muszą kogoś obwiniać...

- Nie wolno ci... - Postawiłam na blacie miseczkę oliwek.

- Czego mi nie wolno? - Nie przestając się uśmiechać, wrzucił jedną do ust. - Stracić nadziei? Pozwolić wygrać siłom zła? Ustąpić sile przesądów? Przestać wierzyć w lepsze jutro człowieka? Położyć się brzuchem do góry? Coś w tym stylu? - Wyjął pestkę spomiędzy warg. - Czy nie to właśnie powiedziałby Claude?

Po raz kolejny przypomniałam sobie, dlaczego pod żadnym pozorem nie należy rozmawiać z Karlem Nordingerem o polityce bądź filozofii. Usiadłam, ukroiłam sobie kromkę chleba i posmarowałam ją masłem. Był tak bardzo negatywnie nastawiony. A przecież musiała istnieć jakaś nadzieja, prawda? Jeśli przestaje się wierzyć w miłość i nadzieję, co pozostaje?

- Claudeowi przynajmniej na coś zależy - rzuciłam, odkrawając i nadziewając na nóż gruby plaster brie. - On w coś wierzy. A ty? Możesz mi powiedzieć, w co ty wierzysz?

- Spodziewasz się, że odpowiem: „w nic”.

- Karl, słyszałam już to od ciebie wiele razy. - Wściekle wgryzłam się w kanapkę.

- To nie ma najmniejszego znaczenia... - Wstał i podszedł do nowoczesnego ekranu.

Na poły zaciekawiona obserwowałam, jak uruchamia bazę danych własnej symfonii, przebiega przez unoszące się w powietrzu menu, aż wreszcie włączył odtwarzanie. Sprytnie odegrana przez wirtualną orkiestrę, brzmiała zupełnie inaczej - różnica była taka jak między zdjęciem jakiegoś miejsca a jego rzeczywistością - wciąż jednak poruszała i wywierała silne wrażenie. Karl stał przez chwilę, patrząc na przesuwany się zapis nutowy, oceniał niedawne zmiany, jakie wprowadził w siebie utwór. Spojrzałam na jego szczupłe ramiona, na półksiężyc potu odznaczający się na plecach wymiętej jedwabnej koszuli. Ubrany, jak zawsze ostatnio, w niby formalnym stylu, Nordinger przypominał jakiegoś urzędnika kolonialnego z czasów, gdy Afryka była rządzona przez Europejczyków. Można go sobie było wyobrazić zgarbionego pod wirującym wiatrakiem w tropikalnym biurze, otoczonego dokumentami, które nie miały dla niego żadnego znaczenia. Życie wypełnione ginem i łatwą nudą doskonale pasowałoby do jego cynizmu. Zamiast tego otrzymał dar pozwalający na komponowanie genialnej muzyki, co jednak nie zmieniło go ani trochę...

- Chyba dość się już nasłuchałaś - powiedział, wracając do stołu, choć nie wyłączył symfonii.

- Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek miała tego dosyć. Tak przy okazji, czy to właśnie to?

- Co?

- Czy w to właśnie wierzysz?

Zakrztusił się okruczem.

- To byłoby zbyt proste, nie sądzisz? - Odsunął od siebie talerz. - Ja jestem jedynie przekaźnikiem.

- Już to kiedyś mówiłeś.

- Nie rozumiesz. Muzyka pisze się sama, na długo, zanim trafi na scenę. Nie obchodzi jej ja ani to, kim jestem. Ona po prostu ze mnie wypływa. Dlaczego więc mnie miałyby zależeć na niej? - W tle dobiegała końca, naraz posępna i kpiąca, pierwsza część utworu. - Posłuchaj, zauważyłaś, jak zmienił się nacisk na waltornie? Jeszcze na dzisiejszej próbie brzmiały inaczej.

Skinęłam głową. Efekt był subtelny, lecz znaczący.

- Gdybyśmy odsłuchali od początku, cała część brzmiałaby inaczej. Zmienia się bardzo szybko. To cholerstwo jest żywe, Roushano. Ludzie często to powtarzają, ale umyka im sens. Symfonia nas teraz nie potrzebuje, nie potrzebuje nawet Claude'a i jego koncertu. Po prostu jest. Na własny sposób dąży do nieśmiertelności.

Muzyka zabrzmiała katastrofą. Tematy zderzały się ze sobą. Gdy przeszła w drugą część, połączoną z poprzednią jedynie cienką żyłką samotnego dźwięku, poczułam na ramionach gęsią skórę.

- To chyba nic szczególnie złego, prawda? - zauważyłam. - Przecież wszyscy artyści chcą tworzyć nieśmiertelne dzieła?

Karl Nordinger po prostu na mnie patrzył. Masło plamiło jego kosztowną koszulę. W nabiegłych krwią oczach widziałam ból. Wszystkie sukcesy i zarobione pieniądze tylko uwypuklały pustkę jego życia. Świat, podobnie jak grająca w tle muzyka, płatał mu nieskończonego i niewytłumaczalnego figla.

- Przepraszam - powiedziałam cicho. - Życie mnie ostatnio... rozprasza.

- Twoje dzisiejsze wykonanie tego tematu, Roushano. Byłaś zdumiewająca.

Niemal zalałam się rumieńcem. Wtedy byłam już przyzwyczajona do pochwał, lecz nie z ust Karla Nordingera.

- Nie uważasz, że zagrałam nieco zbyt szorstko. Wydawało mi się, że...

- Zagrałaś doskonale. Może na koncercie już tak nie zagraasz, może już nigdy ci się to nie udać. Ale kiedy wejdiesz na scenę, chciałbym żebyś przypomniała sobie to, co sprawiło, że na próbie zagrałaś tak perfekcyjnie. Zrobisz to?

Powiedział to tak bezpośrednio, tak prostolinijnie - akurat on - że nie byłam pewna, jak sobie z tym poradzić.

- Tak, ale dla kogo mam to zrobić? Dla ciebie, Karl, czy dla symfonii?

- Zrobisz to dla siebie, Roushano. Dla tej siły, która sprawia, że grasz. Bo nie jest nią Claude, prawda? Nawet nie ta cholerna, pieprzona muzyka. I z pewnością nie jestem to ja.

Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Skończyliśmy już jeść, lecz nie wstaliśmy od stołu. Po chwili pochyliłam się ku niemu, on nachylił się do mnie i pocałowaliśmy się. Jak na kogoś tak chorowitego i zgorzkniałego Karl Nordinger smakował zaskakująco słodko: poczułam winogrona i oliwki. Była to jedna z tych chwil, w których, choć nasz umysł nie nadąża za wydarzeniami, nasze ciała reagują z właściwą sobie prędkością. Zepchnięte na podłogę talerze potoczyły się, roztrzaskały. Pestki oliwek wbiły się w moje uda, gdy wdrapałam się na stół. Zmagaliśmy się z jedwabną koszulą Nordingera - ramiona uwięzły mu w rękawach, których nie potrafiliśmy zsunąć - po chwili

drogi, ręczny szew ustąpił pojedynczemu kataklizmowi szarpnięcia i jego dłonie znalazły się na moich piersiach, po czym łapczywie zaczęły pomagać mi pozbyć się reszty ubrania. W tle, niczym kontrapunkt do gorącego hałasu Paryża, pisku klimatyzatorów i skrzypienia stołu, dobiegła końca druga część symfonii, a trzecia wspinała się już na swój rozedrgany szczyt.

Ta chwila ze wszech miar należała do Karla Nordingera. Ta melodia kontrastująca z naszym niewypowiedzianym pragnieniem i tania komedia dwójki ludzi próbujących się kochać na zastawionym blacie. Pozostaliśmy jednak w objęciach i przenieśliśmy się do łóżka, gdzie ze śmiechem zdejmowaliśmy sobie z ciał okruchy chleba i zmiążdżone winogrona. *Czwarta symfonia* weszła w długie crescendo własnego szczytowania dokładnie wtedy, gdy doszliśmy my. Kiedy opadłam na plecy, rozległy się potężne finalne takty, które rozplynęły się w rezonującym dyskordzie. Miałam wrażenie, że dźwięki same układają się wokół nas, w całym tym przestronnym pokoju. Potem muzykę zastąpiła niezwykle cisza, będąca niemal kontynuacją utworu. Ruch uliczny jakby zamarł. Nie było słyhać nawet wrzasków sprzedawców wody.

- Słuchaj... - szepnął Karl.

- Tak. - Absolutna cisza. - To dziwne, prawda?

- Chciałbym, żeby ta symfonia stała się właśnie tym.

Upał napierał. Leżeliśmy spoceni, zasłuchani w bicie serc i zmienny rytm oddechów. Ale Karl to Karl i zdawałam sobie sprawę, że ta chwila nie może trwać długo. Mimo swych niemal autystycznych wybuchów, nie był głupcem i wiedział, że Claude i ja wciąż jesteśmy parą. Gdy więc przerwał ciszę serią stłumionych chichotów, poczułam prawie ulgę. Zasłonił usta dłonią, jakby po to, by powstrzymać staccato śmiechu. Bez powodzenia. Przysunęłam się do niego z uśmiechem, zastanawiając się, kiedy wróci Claude i jak szybko uda mi się wypracować pościel. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Karl Nordinger płacze.

\* \* \*

Ostatniego wieczoru przed wyborami spacerowałam po Pere Lachaise z Haradem Le Pape. Od wizyty mamy w Paryżu - Claude był ciągle zajęty - wciąż zwiedzałam wszystkie dotąd ignorowane miejsca, a on (lub ona) okazał się wesołym przewodnikiem. Oczywiście nie planowałam wyjazdu z Paryża, ale już wówczas podejrzewałam, że po weekendzie to miasto nigdy nie będzie takie samo. Zmianę dawało się przeczuć nawet w ciszy tego wielkiego cmentarza, w czasach gdy umarli nie nękali jeszcze żyjących.

- Moja droga Roushano, nie masz pojęcia, jak ciężkie jest życie krytyka - odezwała się ta słynna, nadęta osoba, niepewnie przestępując z nogi na nogę pod czarnym parasolem. - W

porównaniu z tym, w porównaniu z walką, odtrąceniem i zwykłym niezrozumieniem, z którymi prawy krytyk musi się zmagać w każdej sekundzie każdego dnia, żywot artysty jest wręcz śmiesznie łatwy. Im wystarczy wykonywać. A biedni krytycy muszą rozumieć i tłumaczyć.

Tutaj pochowano Marcela Prousta, Jima Morrisona, Fryderyka Chopina i Oscara Wilde'a, tutaj złożono prochy Isadory Duncan. Tutaj, upamiętnione o wiele wspanialszymi erupcjami pomników, leży szczątki bogatej paryskiej burżuazji. Tutaj - co jest bardzo, bardzo francuskie znajdował się grób poskramiacza lwów, Jeana Pezona, ukazanego dłutem rzeźbiarza na grzbiecie lwa, który go pożarł. Harad, chodząca encyklopedia, prowadził mnie alejami i ścieżkami. Pokazał mi grób człowieka, który sprzedał ziemię, na której stworzono ten modny cmentarz, a potem musiał zapłacić o wiele więcej, by wykupić dla siebie kwaterę. Czarujące, kojące miejsce.

Harad wynajął budowlańców, mających tak przerobić jego mieszkanie, by zapewnić odpowiedni dostęp tysiącom Paryżan, którzy z pewnością zechcą obejrzeć jego arcydzieło z szóstego piętra. Narzekał (lub narzekała) na brak manier fachowców i grube warstwy pyłu, lecz nie pozbył się swej wstydlivej powściągliwości co do szczegółów tego, co zamierzał przedstawić wieczorem, po premierze Nordingera. Wszyscy w mieście gubili się w domysłach. Mówiło się, że całe piętro będzie po prostu puste, lub nawet - ktoś wiedział podobno z pewnego źródła, od znajomego pracującego w ratuszu, mającego dostęp do planów budynku - że szóste piętro wcale nie istnieje. Pojawiła się też teoria, w myśl której Harad planował zakończyć wieloletnie spekulacje i wyjawić, czy ma cipę, czy fiuta. W tych gorączkowych, przedwyborczych dniach, cała reszta Francji, nie wspominając o Europie i świecie, jakby nie istniała.

- Może powrócą Gog z Magogiem i wyciągną szatana z jego ognistej otchłani. - Harad westchnął. Oslaniałam się parasolką przed białym słońcem. Wspinaliśmy się na ostatnie wzniesienie. - Ponoć astronomowie nadal przeszukują niebo w poszukiwaniu komety... A Karl Nordinger, gdy go ostatnim razem spotkałem, wydawał się obrzydliwie wesoły. Była to jak sądzę nasza pierwsza cywilizowana rozmowa, odkąd powiedziałem to, co należało powiedzieć o tej złej, gnuśnej katastrofie - o lenistwie myśli - o tej potwornej aborcji ducha, którą niektórzy wciąż nazywają jego *Trzecią symfonią*. To naprawdę dziwny, bardzo dziwny czas...

\* \* \*

Nad Bezant Bay, na piknik. Adam niesie wiklinowy kosz, z którego mężnie przegnał pająki, i który widziałam ostatnio, gdy dzieci sięgały mi o, dotąd. Ledwie znaleźliśmy się w połowie prowadzących na brzeg schodów, poczułam ból i zakręciło mi się w głowie. Przez resztę drogi pomaga mi Adam, niemal mnie niesie, nie wypuszczając koszyka z dłoni. To nie do wiary, jaki jest silny. Nie mam też pojęcia, w jaki sposób udało mi się go przetransportować na górę te kilka - ciekawe, ile minęło dokładnie? - dni temu. A może to po prostu ja osłabłam.

Łapiemy oddech - cóż, ja łapię - po czym idziemy kamienistą plażą, zostawiając za sobą hangar na łodzie. Oboje zapewnialiśmy się, że tu, na dole, Adam będzie bezpiecznie schowany przed wzrokiem autowskazów i choć do pokonania mamy ledwie kilkaset metrów, cała wyprawa ma posmak ucieczki, niebezpiecznej eskapady. Niebo próbuje przelicytować morze swoim błękitem, wiatru prawie nie ma. Jest tak ciepło, że pogoda prawie nie wydaje się kornwalijska. Adam znajduje dla mnie kawałek wyrzuconej przez fale gałęzi, którą posługuję się jak laską. Opowiadam mu o znanym pisarzu, który mieszkał nieopodal, na wzgórzu, w Menabilly. Słucha mnie, wymachując piknikowym koszem. To miłe uczucie - powiedzieć mu coś, czego nie wiedział.

Siadamy na skałach pod zębatym urwiskiem. Zdejmuję buty i poprawiam na głowie dziewczęcy, słomiany kapelusz. Mimo wszystko, po przytłaczającym zaduchu Paryża ten żar i słońce wydają mi się mizerne i odległe.

- Nie tęsknisz za miastami? Za miejscami takimi jak Paryż? - pyta Adam, rozpakowując prowiant.

- Brakuje mi chyba dawnego Paryża. Tęsknię za Claude'em. Ale zmieniło się tak wiele - i tak nagle. Potem nic już nie było takie samo.

- Niemniej, niektórzy z twoich znajomych... To niezwykle osoby. Słuchając cię, mam wrażenie, że siedzę na lekcji historii, to znaczy... - Kręci głową, krojąc zieloną gruszkę. - Harad Le Pape. Nie chodzi mi o jego niepewną płęć, ale to przecież taka wyrazista postać.

- Powinieneś zobaczyć, jak wyg... - Nie kończę.

Adam podnosi wzrok, uśmiecha się, i wraca do odsłaniania mączystego miąższu gruszki.

Jemy. Mamy serowe zapiekanki. I faszzerowane pasztetem pieczarki. Czy to ja je kupiłam, kiedy wybrałam się do Fowey? Czy może zrobił je Adam? Gdy unoszę połyskujące kapelusze z jaskrawo białego talerza, moje dłonie tracą kontury. Znajduję się w gabinecie luster. Jest samo jedzenie i wszystkie te rzeczy, którymi jedzenie może się stać. Cichy szum fal tłumi krzyk moich dzieci. Czy przed wszczępieniem kryształu wzrok płatał mi podobne



figle? Butelka lemoniady, mętnej, słodkiej i gorzkiej, sprawia, że sztywnieją mi wargi. Odległy pojazd, skręcający, połyskujący, przecina tarczę coraz silniejszego słońca. Adam wstaje i zaczyna zdejmować z siebie ubrania Claude'a. Po chwili jest nagi. Jego piękna sylwetka przeciąga się bez wstydu. Siedzę i patrzę na jego pośladki, kiedy brodzi w morzu.

Czy potrafi pływać? Naturalnie. Jego kończyny gładko rozcinają wodę zatoki i wkrótce jest już daleko. Płynie, macha do mnie. Ja macham do niego. Sprawia, że wydaje się to takie proste. Pamiętam własne próby pogodzenia się z tym żywiołem. Od zawsze, od dziecka, nie cierpiałam basenów, tego ich hałasu i smrodu. Rodzice próbowali nauczyć mnie pływać, gdy wyjeżdżaliśmy na nasze francuskie wakacje, choć ojciec niechętnie wyprowadzał mnie poza płycizny, a mama z kolei robiła to tak gwałtownie, że uciekałam z krzykiem. Zadanie przypadło więc w udziale Leo. On nie przejmował się ruchami ramion i nóg. Po prostu starał się mnie przekonać, że gdy tylko przestanę się wzbraniać, morze uniesie mnie samo. „To kwestia poddania się” - tłumaczył mi, gdy siedzieliśmy na gorącej plaży. „Morze chce cię unieść, siostrzyczko. Musisz mu na to pozwolić. Przecież właśnie z morza wyszliśmy. Nasza krew jest dokładnie tak samo zasolona jak ocean, w chwili gdy opuścili go nasi przodkowie...”. Spojrzałam na rowery wodne, na krążące po niebie mewy i spróbowałam sobie wmówić, że właśnie tam jest moje miejsce. Mama, która wyszła orzeźwiona ze swej porannej kąpieli, ze słońcem igrającym na wilgotnym ciele, naprawdę wydawała się stworzona z morskiej wody, a ojciec, pluskający, taplający się, sam przypominał rower wodny. Leo, oczywiście, pływał lepiej od rodziców. Przed odkryciem swego muzycznego powołania należał do szkolnej reprezentacji. Zdobywał nawet nagrody.

Przeszliśmy po rozgrzanym piachu i weszliśmy na usianą małymi dziećmi płyciznę. Potem, gdy szok zanurzenia oblał mi żebra, uniosłam stopy. Leo mnie podtrzymał. Pozwalał mi się unosić na plecach, na tej łaskoczącej, rozkołysanej tafli. W uszach szumiały mi chaotyczne, morskie dźwięki, lecz między nami trwała intensywna cisza. Gdy fale podkradły się ku mojej twarzy, pomyślałam o słonej krwi płynącej w moich żyłach i o tym, że muszę po prostu nic nie robić, choć wyraźnie czułam siłę ramion Leo, które niczym kołyska podtrzymywały moje plecy i uda. Wydawał się o wiele silniejszy od samego morza. I to właśnie pokochałam: słońce, niebo, delikatną wodę, poczucie bezpiecznego zawieszenia. Wszystko jednak było inne, wysiłek niezwiązany z niewykonywaniem wysiłku, poddanie się czemuś niematerialnemu, czego zupełnie nie rozumiałam, było dla mnie nieosiągalne. Poczulałam, jak chwyt brata się rozluźnia, i chwilę potem pociągnęło mnie własne, bezużyteczne ciało. W jednej chwili zaczęłam tonąć, bulgotać, łapać powietrze. Moment później - wydawało się, że minęła wieczność - na powrót pojawiło się niebo i roześmiana,

przejęta, pocięta promieniami słońca twarz Leo. Moje stopy wróciły na gorący, nabrzmiały poczuciem winy piasek, i kichając, pokaszując, wycofałam się do swojej plażowej fortecy z ręczników i okularów przeciwsłonecznych.

I tak trwało to dalej, dzień po dniu, przez całe wakacje. Leo się nie poddawał. Lekcje pływania powtarzały się tak często, że wkrótce stały się czymś w rodzaju rytuału: wizjonerskie słowa mojego brata, jego spokojna lecz nieustępliwa perswazja i nagabywanie. Tata już w morzu, prychający wodą pomiędzy rowerami wodnymi. Mama stojąca na brzegu niczym ciemnoskóra Afrodyta. Niechybnie, nieśpiesznie, zbliżała się chwila, gdy Leo brał mnie za rękę. Chichocząca woda robiła się coraz głębsza, w miarę jak prowadził mnie po płyciźnie, aż zimno oblewało me płuca, a ja poddawałam się jego rękóm, i nakazywałam swemu niechętnemu ciału poddać się, póki nie nadchodził moment, w którym po raz kolejny morze wdzierało się do moich ust i piekących nozdrzy, gdy zamykała się nade mną słona ciemność.

Nie mogłam zrezygnować - Leo nigdy nie dał mi na to szansy - ale wyjazd nie mógł przecież ciągnąć się w nieskończoność, a ja bałam się sprawić mu zawód o wiele bardziej, niż obawiałam się samej myśli o pływaniu. Ćwiczyłam nawet we śnie. Wyobrażałam sobie, że latam, szybuję. Codziennie naprawdę wierzyłam, że morze mnie podtrzyma. Tak się jednak nie stało i nadszedł wreszcie nasz ostatni dzień na plaży. Schodząc po drewnianych schodach na wydmy, wiedziałam już, że powtórzy się to, co nastąpiło wczoraj i jeszcze wcześniej, chyba że zrobię coś radykalnie innego. I wtedy, gdy rozłożyłam ręcznik i położyłam się w gorącym świetle, zrozumiałam prostą rzecz. Dziś naprawdę się poddam, oddam się falom tak całkowicie jak nigdy przedtem, pozwolę, by morze mnie pochwyliło. Położę się na plecach i utonę.

Leo chyba wyczuł, że zmieniłam nastawienie, i prowadząc mnie ku pianistej płyciźnie, nie odezwał się słowem. Wiedziałam, że ludzie, których widziałam dookoła, pływacy, urlopowicze na rowerach wodnych, opalające się kobiety, już niedługo zbiegną się, by popatrzeć na oblepione piaskiem, wyciągnięte z wody ciało dziewczyny, która się utopiła, by udowodnić, że jest niezdolna nauczyć się pływać. Woda tego dnia wydawała się szczególnie żywiołowa i rozdokazywana. Pluskała wokół pasa Leo i odebrała mi powietrze z płuc. Położyłam się i poddałam. Głowę Leo, który prznosił mnie na głębszą wodę, otoczyła migocząca aureola słońca. Pewna, że zaraz umrę, uśmiechnęłam się do brata, zachęcając go, by uwolnił mnie na zawsze, a fale zaśpiewały mi w uszach. Puścił mnie i tym razem doznałam uczucia prawdziwego wyzwolenia. Leżałam pośród rozkołysanej wody, czekając, aż zabierze mnie śmierć. Nie miałam pojęcia, że unoszę się swobodnie, dopóki nie chwycił mnie za

ramię. Zaskoczenie spowodowane jego obecnością sprawiło, że jak dawniej zaczęłam bezładnie wymachiwać kończynami. Zrobiłam to - pływałam! - ale kiedy oboje wróciliśmy na płyciznę, poczułam na barkach ciężar rozczarowania. W końcu chciałam umrzeć, a zamiast tego nauczyłam się pływać...

Swoje dzieci nauczyłam tego podczas wakacyjnych pobytów tutaj, w Bezant Bay. Wchodziłam z nimi po pas w morze i przyglądałam się bladym i smukłym ramionom i nogom, myśląc, że Leo miał rację - my, ludzie, rzeczywiście zostaliśmy stworzeni do przebywania w tym żywiole. Zastanawiało mnie również to, jak bardzo mi oboje ufali, kładąc się z głowami otoczonymi wachlarzami włosów, dziwiłam się łatwości, z jaką unosilo ich morze. Próbowalam nawet z Claude'em, który jednak nigdy nie zdołał się nauczyć, mimo że za jego rodzinnym domem w Georgetown migotały liczne baseny. Czegoś mu brakowało. Uwielbiałam go podtrzymywać, podobała mi się lekkość jego długiego ciała, ale potem, kiedy go puszczałam, zawsze szedł na dno jak kamień. Wolał siedzieć na skałach, przeglądając jakieś nowe nuty albo zaskakując nas nową potrawą, którą sam wybrał i kupił na lunch.

Kiedy Claude przychodził tu z nami, nazwa „piknik” przestawała mieć sens. Było białe wino, doskonale schłodzone, znakomitego starego rocznika, co starannie tłumaczył dzieciom, którym pozwalał zamoczyć w napoju usta. Mieliśmy dywany i jedwabne poduszki. Unosząc kieliszek, rozdając nam kanapki z krabami na świetnym chrupiącym chlebie posmarowanym złotym kornwalijskim masłem, opowiadał najnowsze anegdoty o ekscentrykach z jakiejś orkiestry z drugiego końca świata to był prawdziwy żywioł Claude'a. Pewnego dnia, gdy przyglądaliśmy się dzieciom płynącym ku odległej skale, uznałam, że powodem, dla którego nie potrafił sobie poradzić z morzem, jest jego niezdolność do uległości. Ośmielona winem, opowiedziałam mu o własnych trudach nauki pływania i o tym, jak się skończyła, dzięki dziecinnemu, choć szczeremu przekonaniu, że zaraz utonę. Claude spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Przecież właśnie temu się dziwię - powiedział. - Dlaczego mam się temu poddawać...?

Claude nie nauczył się co prawda pływać, ale i tak kochał tę zatokę, a szczególnie upodobał sobie widok roztaczający się z tutejszych klifów. Często zatrzymywał swojego DB po to tylko, by podziwiać ów widok... W burzowe noce stawał na samej krawędzi urwiska i śmiejąc się, dyrygował rozszalałym wiatrem niczym Myszka Miki w znanej scenie z *Fantazji*. Dla Claude'a Bezant Bay była *Liebestod* Izoldy, wyglądającej powrotu swego kochanka z właśnie tych brzegów. Dla Claude'a była legendą o hiszpańskim korsarzu wiozącym ładunek złotych monet - zwanych właśnie bezantami - które ponoć spoczęły gdzieś w tych błękitnych

głębinach, co zostało upamiętnione złotymi punkcikami na herbie Kornwalii. Dla Claude'a wszystko zawierało się w abstrakcjach. Całe życie stanowiło dla niego nieprzerwany występ. Nie był w stanie oddać światu kontroli nad najdrobniejszymi błahostkami.

\* \* \*

Adam stoi na płyciźnie, ocieka wodą i lśni.

- Chodź. - Kiwa do mnie ręką. - Mogłabyś sobie chociaż pobrodzić.

Dźwigam się. Zakasuję nieco sukienkę. A potem - bo co mi jeszcze zostało do ukrycia? - podciągam ją odważnie. Ramię Adama jest zimne, mokre i silne. Moje - cienkie i suche jak dryfująca gałązka. Z jego ciała zniknęły wszelkie otarcia. Jest czysty i jasny z wyjątkiem miejsca pod żebrami, które wczoraj pokryłam wodoodpornym sprayem i które wydaje się zasłonięte z równie fałszywą skromnością z jaką trójką jego włosów pokrywa - z trudem - krocze bestii. Trzymam się skalnej półki, ledwie pokrytej przez morze, nieśmiało wołając, że woda jest znacznie zimniejsza, niż oczekiwałam - mimo że zawsze tak jest - i że boję się pośliznąć i upaść. Naprawdę jestem zdenerwowana. Adam brodzi w głębszej wodzie poniżej, unosi ramię, by nie wypuścić mojej dłoni. Jest piękny, dziwny, anonimowy, zrodzony z morza. Bez trudu mógłby mnie utopić. Mógłby mnie zaciągnąć na dno. Mimo chłodu fal, jego penis jest zaskakująco duży. Kołysze się w rytm fal obmywających męskie uda. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek zauważyła, że penisy unoszą się swobodnie na wodzie.

„Przecież właśnie z morza wyszliśmy. Nasza krew jest dokładnie tak samo zasolona jak ocean, w chwili gdy opuścili go nasi przodkowie”.

Nagle otaczają mnie pazury wraku i teraz już naprawdę się boję. Adam ostrożnie prowadzi mnie z powrotem na ląd. Zbliża się pora przyływu. Słońce zachodzi. Upłynęło kolejne popołudnie i kiedy wracamy po plażę, zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę Bezant Bay. Schody wiodące do Morryn, rozmyte w grze światła i cienia, skracają pod iście escherowskimi kątami. Dotarcie na szczyt wymaga ode mnie tak wielkiego wysiłku, że na górze muszę usiąść i odpocząć. Adam pomaga mi dojść do ławki na skraju trawnika. Kiedy już siedzę, zaczynam marudzić. Nie chcę wstawać. Jak zawsze pełen zrozumienia, śpieszy do domu po koce. Czy nie zamknęliśmy Morryn, wychodząc? Skąd wie, jak wejść do środka? Gdy wraca, przestaję sobie zadawać te pytania, a późne promienie słońca opadają mi błogosławionym ciepłem na twarz. Do wtóru zapewnień, że tak, wszystko jest w porządku i czuję się dobrze, przekonuję go, by mnie zostawił, i mogę się nacieszyć ostatkiem tego wspaniałego wieczoru...

Ogarnia mnie pustka. Nie zasypiam, nie. A jeśli nawet przychodzą do mnie sny, to są snami o niczym. Słońce już niemal zniknęło. Niebo barwi się kolorem bzów. Morze czerwieni się jak krew. To jest przyszłość, siostrzyczko, przyszłość, w której umarli wzlatają ku gwiazdom na skrzydłach światła. Jest mi zimno, sztywnieję. Niejasne poczucie irytacji na Adama za to, że mnie tak porzucił, przychodzi i odchodzi wraz z sykiem przypływu. Gdy wreszcie zwlekam się z ławki, ciągnąc za sobą lodowate, wilgotne koce, i drepcę przez trawnik, jest już zupełnie ciemno.

Morrzyn świeci jak papierowy lampion. Błyszczą wszystkie okna. Czy Adam naprawdę jest w środku? Czy zamknęłam drzwi? Świeży wiatr szarpie gałęziami drzew. Wiele lat mieszkałam w tym domu zupełnie sama, teraz jednak wracają do mnie właśnie te chwile, kiedy Morrzyn zasiedlały jeszcze inne istoty. Oczywiście, dzieci. Woń spleśniałych ciast i letniego potu. Jeszcze częściej Claude. On nigdy nie tolerował pustki. Zawsze odpychał od siebie ciszę. Słyszę to wszystko ponownie. Gra te dziwne, nowoczesne, multisensoryczne utwory - ciężko to nawet nazwać muzyką - do których dotarł, porzucając prawa wieku, gustu i zdrowego rozsądku - wypełniając Morrzyn automatycznymi perkusjami, niezwykłymi zapachami, światłami, szeptami w martwych językach, wrzaskami przypominającymi głosy torturowanych wielorybów. Żadnej melodii, żadnej ekspozycji czy rozwiązania. Po prostu brzmienia zmieszane razem w chaos, który podobno mu się podobał - jemu, Claude'owi, dawniej słuchającemu do upojenia Milesa Davisa, Elli i Sinatry.

Drzwi Morrzyn drgają. Nawet teraz ten wygasły hałas nie chce odejść. Marszczy mi się skóra. Naprawdę słyszę głosy, zakłócenia, przebłyski dotyku i smaku. To dość niesamowite. Resztki włosów stają mi dęba.

Ale to nie jest żaden obcy ryk. To głos Claude'a - nie, to jego głosy - nie jeden, lecz wiele, splecione w upiornej parodii krzyków i łopotu, którymi dawniej wypełniał te wnętrza. Kuśtykam po korytarzu ku sercu tego niepokoju, w stronę pokoju muzycznego.

Adam siedzi przy moim biurku, otoczony wzburzonym morzem informacji. Zdjęcia mego zmarłego męża - wywiady, występy, fragmenty wiadomości, nominacje, przemówienia, przymilne sylwetki artysty, złośliwe recenzje, reklamy - wszystko to tańczy i wiruje wokół niego. Claude stary i Claude młody. Claude w chwilach zwątpienia i momentach triumfu. Zawrotne to. Wiruje jak wypływająca z wanny woda.

- Co ty, do cholery, robisz? - udaje mi się wychrypieć.

Adam zatrzymuje obrazy i obraca się ku mnie. Tysiąc Claude'ów blednie.

- Bardzo przepraszam, Roushano. Nie miałem pojęcia, że jest już tak późno, powinienem był po ciebie wyjść. Ale przecież sama powiedziałaś, że mogę na tym ekranie szukać czego zechcę. - Macha ręką. - Zasiedziałem się. Mówiłaś, że to może mi pomóc...

- Widzę, że jednak nie pomogło, prawda?

Patrzy zbolalym wzrokiem.

- Chodzi tylko o to... Wiedząc, kim jesteś, wiesz... Jest tyle informacji. Na twój temat. I o Claudzie. Oczywiście nie miałem prawa. Oczywiście.

Z trudem łapię oddech. Cała się trzęsę. Wciąż ciągnę za sobą te koce, jak przemoczone skrzydła.

- To wszystko publicznie dostępne dane.

Kiwam głową i zastanawiam się, jak staromodny musi mu się wydawać ten gest.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam. Pochłoneło mnie to. Nie chciałem...

- Nieważne. Nie ma o czym mówić.

- Roushano, nie przeglądałem tych osobistych rzeczy z...

- Zapomnijmy o tym.

- Nie szuka...

- Powiedziałam, że to nieważne!

Adam się krzywi. Mój głos brzmi jak wrzask morskiego ptaka.

- Przepraszam - słyszę własny szept. - Wiem, że nie możesz tak po prostu beczynnienie siedzieć. Wiem, że musisz mieć zajęcie.

Wciąż patrzy z bólem.

- Ostatnio nie jest mi... lekko - przyznaję.

- Wiesz, mogę odejść. - Słyszę, jak przelyka ślinę. - Może tak będzie łatwiej. Chcesz, żebym odszedł z Morrryn? Wystarczy że powiesz, a zniknę.

- Nie. Nie. Nie rób tego. Prawdę mówiąc, cieszę się że tu jesteś. Cieszyłam się już wtedy, gdy byłeś półprzytomny.

Oboje spoglądamy na czerwoną sofę, jakby jego duch wciąż na niej leżał.

- A to, co robię - podejmuję - wszystko, co opowiedziałam ci o swoim życiu, moje wspomnienia i pamiątki. To nie jest szaleństwo starej kobiety ani wynik głupiej próżności. Te wspomnienia... Są częścią mnie. A prawda jest taka, Adamie, że ja umieram. I prawda jest taka - ta druga prawda - że nie chcę, by śmierć stała się końcem. Bo przecież, dlaczego? Ty, Adamie - czy jakkolwiek się nazywasz - jesteś młody. Jesteś młody, a młodość... Cóż, młodość polega na zapominaniu, choć zapewne w tej chwili akurat ty widzisz to inaczej. Oczywiście, że w twojej sytuacji nie jesteś w stanie tego pojąć. Chodzi mi o to, chcę

powiedzieć... Chcę powiedzieć, że ustalam fakty ze swojego życia po to, by mnie nie opuściło...

- Roushano, ja to rozumiem.

- Rozumiesz?

\* \* \*

Kiedy wszystko się już uspokaja, biorę prysznic, przebieram się i udaje mi się porządnie rozgrzać, zastaję Adama krzątającego się w kuchni. Stół czeka spokojnie, zastawiony serwetkami i kieliszkami.

Wdzięczna, siadam na krześle.

- Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę - mówi, a jego ręce wyczyniają różne cuda z dwoma pęczkami szparagów, których chyba nie kupowałam. Ciach, ciach. Jego zadbane, starannie opiłowane paznokcie odbijają się w nożu. - Mówiłem ci już, prawda? Proste fakty, sposób, w jaki działa ten świat... Nie jest to dla mnie żadną nowością.

- W takim razie masz więcej szczęścia ode mnie.

Uśmiecha się i związuje szparagi nitką.

- Wiesz, o czym mówię. - Wyciera palce i spogląda mi w oczy. - Ale wcześniej wcale nie żartowałem. Mój pobyt tutaj to po prostu najście. Nic z tego, co się tu dzieje, nie jest moją sprawą. Nie jestem nawet Adamem. Nie mam prawdziwego imienia.

Upadły anioł Abaddon. Wciąż to powtarza w ten swój dziwny sposób. Bardziej niż kiedykolwiek dociera do mnie poczucie fizycznej inwazji, jaką stanowi jego obecność w Morryn. Może być wszystkim i niczym, każdym i nikim, a ja wpuściłam go, zaprosiłam do resztek swojego życia. Ale tak bardzo cieszę się, że nie jestem sama, że nagle po moich policzkach spływają łzy.

- Nie odchodź.

- W takim razie nie odejdę. - Kręci głową. - Kim jestem, by się wtrącać w twoje sprawy? Akurat ja?

- To dobre pytanie, nieprawdaż?

Oboje się uśmiechamy.

- Ile masz jeszcze czasu, Roushano? Jeśli to nie tajemnica.

- Nie. - W zasadzie czuję prawdziwą ulgę. Opowiadam mu wszystko, co wiem na temat mojej choroby i o przejściu. Nie jest tego wiele. On tymczasem posypuje warzywa tartą bułką, a potem pyta, czy mam może morele albo rodzynki lub jakiegokolwiek inne owoce.

- I nie czujesz się gotowa? - Ma na sobie fartuch Claude'a. Soli.

- Nie sędę, bym kiedykolwiek mogła być. Czy ktokolwiek może? Ale nie, jeszcze nie. I wcale nie czuję się źle. Przynajmniej nie w tej chwili. Jeszcze się trochę pomęcę. Muszę rozprawić się ze swoimi wspomnieniami.

Rozstawia talerze. Otworzył nową butelkę wina - tym razem białego, pasującego do szparagów - pochodzącego z miejsca i rocznika, które sugerują, że to ostatni egzemplarz na świecie.

- To dziwne - odzywa się - wszystko, o czym opowiadałaś, jest takie wyraziste. Całe twoje życie. Oczywiście, Claude Vaudin, ale również historie z dorastania w Birmingham. I o mamie. Podróż do Indii. Leo i Paryż. Paryż szczególnie. Prawie cię widzę, Roushano, w tym płaszczu z czerwonej skóry.

- Jakim płaszczu z czerwonej skóry?

- Hmm, nie wspominałaś o nim?

Kręcę głową.

Uśmiecha się ze smutkiem, jego jasne odbicie rozpościera się wachlarzem we wszystkich ciemnych szybach.

- I ty narzekasz na swoją amnezję? - rzucam.

Piję wino, myśląc o umarłych krainach, umarłych winnicach. Jedzenie i wino wkrótce się kończą. Obserwuję Adama, który zbiera naczynia i myje je ręcznie. Zastanawiam się, jaki teraz rytuał rozpoczęliśmy, i czy on nie zniknie, czy nie ucieknie...

- Może więc jednak mogę ci pomóc. - Zwraca się ku mnie. - Tyle dla mnie zrobiłaś. Czuję się twoim dłużnikiem. Mógłbym ci choć trochę odplacić...

- Co ja dla ciebie zrobiłam?

- Ocaliłaś mi życie. Znajdując mnie na brzegu, człowieka w bardzo nietypowej sytuacji, niewiele osób postąpiłoby tak jak ty. Jestem Abaddonem upadłym aniołem - jestem niczym i nikim, nie należę ani tu, ani tam. Gdybyś mnie nie przyjęła, nie miałbym najmniejszych szans. I nie chodzi tu tylko o jedzenie, opiekę i gościnność, lecz także o wszystko, czym zdecydowałaś się ze mną podzielić. W zamian mogę jedynie słuchać, Roushano. Wiem, że to niewiele...

- Naprawdę uważasz, że potrzebuję twojej pomocy? Nie sądzisz, że ktoś żyjący samotnie przez tak długi czas jak ja, potrafi sobie poradzić z własnymi wspomnieniami?

- Ale czemu nie mogłabyś mnie do tego wykorzystać? Jaki inny sens możesz nadać odnalezieniu mnie? Być może ludzkie ścieżki nie przecinają się zupełnie przypadkowo. Jestem pewien, że w głębi duszy też w to wierzysz, prawda?

- I chcesz, żebym opowiedziała ci o wszystkim?



- Po prostu pozwól pomóc sobie dokończyć to, co i tak zaczęłaś. Do niczego innego się nie przydam.

Jest już jednak późno i pozwalam temu stwierdzeniu zawisnąć w próżni. Człapię po schodach do sypialni, w której wciąż czeka otwarta szafa Claude'a. Czując gwałtowny przypływ irytacji na bałaganiarstwo Adama, zamykam ją z trzaskiem. Rozbieram się. Czeszę swoje przeredzone włosy. Myję twarz. Wkładam piżamę, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Czy wzięłam prysznic? Skorzystałam z ubikacji? Nie pamiętam, ale mam wiele innych, nowych ważnych zadań do wykonania. Dotykam leżącego na nocnym stoliku bursztynowego koralika, sączącego moją krew i porozumiewającego się z innym koralikiem - tym wyglądającym jak tygrysie oko - który kładę na dłoni i poddaję się lekkiemu ukłuciu. Urządzenie wprowadza do mojego organizmu środki uśmierzające, których potrzebuję, by spokojnie, choć bez snu, przetrwać tę noc.

Gdy kładę się do łóżka, Morrryn wygasza światła. Przez jedną, piękną chwilę widzę jeszcze kreskę światła wpadającego z korytarza pod drzwiami i słyszę, jak Adam wchodzi po schodach i zabiera się do mycia. Potem zapada cisza, którą podszczypują westchnienia wiatru. Pomysł opowiadania własnego życia sobie samej wydaje mi się nagle równie smętny jak zima. Powinnam być Adamowi wdzięczna - i jestem - ale jestem też Szeherezadą: im więcej opowiem, tym bardziej zbliżę się do końca.

\* \* \*

Coś trwa, coś zdecydowanego i mrocznego. Silnego, ale pozbawionego istoty. To czas - bezkresny strumień terażniejszości - który wciąż nie chce mnie uwolnić. Potem wyczuwam zmianę gęstości i uświadamiam sobie obecność kogoś obok. Oddychającego tak samo jak ja, czującego jak ja, słuchającego i myślącego jak ja. Kiedy się porusza i sprężyny materaca dostosowują ciężenie, niemal krzyczę. Ale to tylko Adam. Bierze mnie za rękę i czeka, by powrócił Paryż.

\* \* \*

O poranku w wyborczą niedzielę zabrakło wody. Musiałam wyjść z domu i kupić kilka butelek tylko po to, by zaparzyć kawę, a potem raz jeszcze, byśmy mogli się umyć. Sprzedawcy zbijali fortunę. Tworzyły się już kolejki, a kościelne dzwony, minarety, megafony, klótnie domowe, klaksony, stłumione wystrzały i syreny rozbrzmiewały wśród dachów, kiedy spóźnieni niemal wbiegliśmy na wzgórze za cmentarzem, by wykonać *Les Escaliers de Montmartre* przy samych tych tytułowych schodach. Spodziewaliśmy się

dziennikarzy, wywiadów, oklasków, ale metro nie działało, a do miasta zjechali z całej Francji protestujący rolnicy, by zademonstrować swą słabnącą siłę. Centrum Paryża zostało odcięte od świata i skończyliśmy, występując przed szczerzącymi się dzieciakami, kilkoma babkami i rumianym aparatczykiem socjalistów, który raz po raz spoglądał na swą bransoletkę, czekając na wyniki dostarczane przez maszyny wyborcze.

Kolejną okazję, by zaistnieć w mediach, mieliśmy, kiedy udaliśmy się zagłosować, a przynajmniej stanąć w długiej kolejce obywateli, chcących uczynić to samo. Tak, były to już czasy nowoczesnych technologii, ale także epoka pewnej *grande dame*, siedzącej za rozkładanym stolikiem, pod wiekowym portretem de Gaulle'a, która postanowiła cały proces prowadzić po swojemu, między innymi drobiazgowo sprawdzając tożsamość. Szczególnie uwzięła się na Claude'a. W oczywisty sposób wiedziała kim jest i właśnie z tego powodu kontrolowała go tym bardziej szczegółowo. Za to prawo ginęli ludzie, w jego imieniu powstawały i upadały imperia i nawet ja musiałam stoczyć potężną batalię, ponieważ wciąż nie zrezygnowałam z brytyjskiego obywatelstwa. Oglądając się przez ramię na liczne niezadowolone twarze, podobnie jak my ściśnięte między cudzymi ramionami i biurokracją, zastanawiałam się, kto z nich przyszedł oddać głos na Boullarda, a kto na Irissou. Claude i ja zabawialiśmy się tym kiedyś, siedząc w kafejkach, ale teraz nie byłam w stanie niczego wywnioskować.

W drodze na spotkanie dotyczące wieczornej premiery zeszliśmy przez Tuileries, mijając parujące kupy gnoju, przegrzewające się korki i wielkie jak budynki maszyny rolnicze. Konsultanci, księgowi, pierwsi skrzypkowie, oświetleniowcy, dostawcy jedzenia i drukarze pojawiali się i znikali z biura dyrektora generalnego, gdzie siedzieliśmy. Claude wśród tego zamieszania sprawiał wrażenie, że odpoczywa i jest szczęśliwy. Ja obserwowałam. Wciąż kochałam te jego lwie ruchy, jego wygląd, jego swobodny, kojący śmiech, który rozbrzmiewał tym weselej, im bardziej inni się denerwowali. Potrafił być atrakcyjny nawet w tym dusznym gabinecie. I nie, to nie była poza. To był on prawdziwy, podobnie jak wtedy na scenie, gdy grał na fortepianie z Jill Tygrysią, tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Im poważniejsza, bardziej rozgorączkowana, napięta i chaotyczna stawała się sytuacja, tym silniejszy się wydawał i z tym większą łatwością nad nią panował. Kiedy sprawdzał bransoletkę, miałam wrażenie, że czeka na kolejny kryzys.

Obiad zjedliśmy na Rue de Lappe, w ogródku na zewnątrz, gdzie chodnik płonął pod jednym z tych stalowych kapturów nadmuchujących chłodzone powietrze. Pamiętam, że tamtejsze czerwone wino było szczególnie dobre i że wypiliśmy je, posilając się koszykiem chleba i butelką wody nie od Christosa. Claude włączył bransoletkę, wywołując kształty i

barwy układające się nad zasypanym okruchami stolikiem w zdjęcie jego rodziców. Tony i Lujah przywitali się z nami, uśmiechając się z ławki, za którą majestatycznie wznosiły się góry. Wiadomości z Paryża wcale ich nie uspokajały, a poza tym tak bardzo się cieszyli, że umknęli przed latem w Waszyngtonie. Realizując dawne, stanowczo amerykańskie marzenie, wybrali się na turystyczną wycieczkę do starego, dobrego Winnebago! Jechali na zachód przez Wyoming, gdzie było wyjątkowo pięknie - gdzie Bóg błogosławił puszystym sosnom, bobrom w strumieniach, dokąd nie docierał nawet delikatny powiew brudnej polityki. Nie zdejmując z twarzy gładkich, stołecznych uśmiechów, wyblakli i zgaśli. Koniec połączenia.

Wtedy bransoletka Claude'a zadzwoniła raz jeszcze. Z wolna okazało się, że najświeższy kryzys nie ma nic wspólnego z muzyką, a raczej z magazynem, który kupował na potrzeby swojego Projektu. Chodziło o to. Chodziło o... Cóż, ktoś to musiał zaplanować, ktoś musiał zawiązać spisek. Jeden z eventów, jeden z happeningów, tak bardzo charakterystycznych dla tych wyborów, skończył się bardzo źle...

Nie było sensu wzywać samochodu, więc znów poszliśmy pieszo. Budynki ugiwały się pod upałem. Dachy lśniły jak węgle w ognisku. Na skrzyżowaniach rozmieszczono automaty z wodą, ale wszyscy i tak częstowali się butelkami, dziś rozdawanymi przez wyznawców Christosa za darmo. Jak sobie wyobrażałam scenę, którą miał mi pokazać Claude? Mimo tych wszystkich wygłupów i happeningów, do których przyzwyczaili mnie jego agitpropowi przyjaciele, trudno było sobie wyobrazić, że są dostatecznie zorganizowani i subordynowani, by porwać człowieka, którego twarz widniała na każdej porcji wody w mieście.

Claude oczywiście nie był w to zamieszany. A w każdym razie niezbyt głęboko, choć zapewne wydawało mu się to pomysłem wartym zainteresowania lub zbyt zabawnym, by go tak od razu odrzucić. Porywacze musieli też mieć dokąd zabrać swoją ofiarę - dlaczego więc nie skorzystać z magazynu, który i tak miał niedługo stać się siedzibą Projektu?

Dolne partie budynku wciąż wyglądały na opuszczone, ale na ostatnim piętrze, w okrutnym upale, urządzono studio nagraniowe. Była tam także Jill Tygryśca, choć włosy, którymi wymachiwała w „Le Chien Heureux”, gdy Claude wygrywał swoje cudeńka na fortepianie, miała teraz krótko przycięte. Obecny był też Thibaut Effram, powieściopisarz z czasów, kiedy powieść jeszcze istniała - mężczyzna noszący siwą brodę, długie płaszcze i otoczony atmosferą zubożalego artysty. Gdy podszedł i obdarzył mnie kwaśnym pocałunkiem, jednym z tych, których moja angielskość chronicznie nie znosiła, wydał mi się o wiele bardziej przekonującym mesjaszem niż ten, który siedział skulony pośród trójnogów multisensorycznych kamer. Jednakże nawet przykuty do krzesła, z głową przesłoniętą kaskiem wprowadzającym w wirtualną rzeczywistość, nie przestał być Christosem.

- Niedobrze to wygląda, prawda? - szepnął Claude. - Jak myślisz, jak to wpłynie na nasz wizerunek?

Jill Tygryśca przeczesła palcami krótkie włosy.

- Koleś twierdzi, że jest Synem Bożym - prychnęła. - A kości ma kruche jak kurczak skrzydełka.

- Nie tknęliśmy go palcem - dodał Thibaut. - Po prostu, zaczął się szarpać i pośliznął, kiedy ładowaliśmy go do samochodu... Potem spuchła mu ręka. Ale to na pewno nic poważnego. Lekarka, która w milczeniu zajmowała się Christosem, była siwowłosą kobietą, weteranką dawnych, anarchistycznych zamieszek z okazji szczytów G8, i wyglądała tak, jakby postanowiła, że jej anarchistyczno-sytuacjonistyczne dni muszą wreszcie dobiec końca. Zmęczona, mówiąc szeptem, mimo że Christos nie widział ani nie słyszał niczego poza wrażeniami nadawanymi przez swój kask, potwierdziła, że ma złamaną kość ramieniową. Oczywiście, nic strasznego się nie stało; złożyła ją, podała mu środki przeciwbólowe, okleiła plastrami przeciwzapalnymi i była pewna, że prorok wyzdrowieje. Niemniej, sytuacja była rzeczywiście kiepska...

Wydaje mi się, że w tamtej chwili wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z porażki, ale Claude od razu zajął się przearanżowaniem własnego nastawienia. Patrząc na niego, gdy zadawał coraz to nowe pytania i dzwonił bransoletką do znajomych, przypominałam sobie jego zachowanie za pulpitem, w chwilach, kiedy wszystko się rozlatywało. Dysonansowa fraza, źle brzmiące organy - to wszystko było dla niego jak tlen. Pierwotny plan podania Christosowi jego własnego lekarstwa, wsadzenia go do ciężarówki i nagrania wygadywanych przezeń głupot, wydawał się równie głupi jak nasza ofiara. Ale pozwolić mu pojawić się publicznie, ze śladami przemocy na ciele... Nie trzeba było sprawdzać wyników w maszynach wyborczych, by wiedzieć, jak bardzo ucieszyłoby to spin doktorów Boullarda. Natychmiast zmartwychwstałyby opowieści o brudnej, dzikiej lewicy. Socjaliści mogli stracić co najmniej pięć procent, zwłaszcza biorąc pod uwagę te koszarne kolejki i dotychczasowy dystans między konkurentami.

- Nie mamy zbyt wielkiego wyboru. - Claude pstryknął palcami, przechadzając się pomiędzy kamerami. - To się nie może wydostać na zewnątrz. Musimy go tutaj przetrzymać, ukryć aż do ogłoszenia wyników...

- A co potem?

- Mathilde zdobędzie władzę. A Christos będzie mógł sobie mówić, co zechce. To nie będzie już miało żadnego znaczenia.

Christos uniósł głowę. Miałam wrażenie, że wacha gorące powietrze.

- Ach! - krzyknął. - Myślicie, że nie widzę, tylko dlatego, że założyliście mi ten kaptur? - Wygiął plecy i szarpnął krepującymi go łańcuchami. - Ta kobieta... Ta, która opatrywała mi ramię. Cuchnęło od niej strachem. Ale niepotrzebnie się boi. Lęk należy już do przeszłości. To koniec wszystkiego, rozumiecie to?

\* \* \*

Claude, chcąc nie chcąc, udał się na bankiet w siedzibie partii. Przyjęcie miało się przeciągnąć do późnej nocy, a mieliśmy nadzieję, że i dłużej, w razie ogłoszenia zwycięstwa socjalistów. Ja jednak czułam się nieswojo. Mimo dzielących nas różnic, żał mi było człowieka uwięzionego w smrodzie i upale magazynu.

Christos złorzeczył. Christos przysypiał. Christos wysuwał żądania lub narzekał, że jest głodny, jest mu niewygodnie lub coś go boli i że jesteście świadkami końca wszystkiego i że niczego już od nas nie chce. Wróciłam do naszego atelier, skąd zabrałam ręczniki i talerze. Wpadłam do sklepiku na rogu i nabyłam coś do jedzenia. Na ulicach roilo się od białych furgonetek Christosa. Pełno też było sprzedawców wody, więc kupiłam kilka butelek od chudej, bladej dziewczyny ubranej w podkoszulek z animowanym nadrukiem krwawiącej, cierpiącej twarzy Chrystusa.

Gdy wróciłam do magazynu, Christos wciąż gderał, ale Jill Tygrysica i Thibaut nie zwracali na niego uwagi. Włączyli jeden z ekranów i oglądali wiadomości. Zobaczyłam Mathilde - zadowolona, pełna nadziei i elegancka stała na stopniach partyjnej siedziby. Potem pokazali Boullarda, pewnego siebie, chytrego, lizusowskiego - w zasadzie archetyp francuskiego polityka - całującego dłonie zakonnic z jakiegoś podmiejskiego klasztoru. Fakt, że ludzie akceptowali tak jawnie cyniczne zagrania, przyprawiał o depresję. Potem, gdy wokół nas migotały twarze, pożary lasów, suche pola, zakorkowane lub opustoszałe drogi, zaczęliśmy nasłuchiwać, czy ktokolwiek podaje newsa o zaginięciu Christosa. Prorok jednak nie należał do osób często zapraszanych do wypowiedzi, nie otaczały go kordony policyjne i nie urządzał konferencji prasowych ani nie uczestniczył w skandalach, którymi karmiły się stacje informacyjne. Jediną nieco związaną z jego osobą wiadomością była ta, że według rzeczników licznych apokaliptycznych kultów, dzisiejsze wydarzenia jeszcze bardziej przybliżą nas do końca świata. Pokazywano przebitki ludzi tańczących w kręgach, biczących się w którymś z opuszczonych wesołych miasteczek, a potem przeniesiono widzów do Afryki, gdzie odbywała się ceremonia upamiętniająca zniknięcie resztek śniegu ze szczytu Kilimandżaro.

Podeszłam do Christosa i skinęłam na Jill, by wyłączyła jego hełm. Wyczuwając obok siebie człowieka, uniósł brodę. Uśmiechnął się.

- Przyniosłam ci jedzenie - powiedziałam. - Ale pewnie zechcesz się najpierw napić...

- Czy wiesz, w jaki sposób pojмали mnie twoi przyjaciele? Nie? Czasami wychodzę, by sprzedawać wodę. Ludzie, ci, którzy twierdzą, że mi doradzają, nalegają, bym tego nie robił. Ale czuję, że powinienem. Właśnie po to, by ktoś mógł mnie schwytać. Od zawsze wiedziałem, że to się wydarzy. Mówi o tym przepowiednia.

Łańcuchy spowijały jego pas i nogi, przytwierdzając go do krzesła. Dolną część hełmu zamknięto na rodzaj kłódki. Ręce miał jednak wolne. Ostrożnie, jakbym podchodziła do węża, położyłam mu na kolanach butelkę i czym prędzej się wycofałam.

Christos wziął ją lewą dłonią i uśmiechnął się, rozpoznając kształt.

- To moja woda, prawda?

- Tak, a to ma jakieś znaczenie?

- Masz rację. Żadnego. - Spróbował otworzyć butelkę złamana ręką, skrzywił się i wyciągnął ją ku mnie. - Musisz mi pomóc.

Odkręciłam. Kiedy podawałam mu ją z powrotem, nasze palce przelotnie się zetknęły.

Christos pił szybko i niechlujnie. Woda spływała po jego zarośniętych policzkach i tłustej szyi. Wsiąkała w brudny kołnierzyk koszuli. Soczyscie beknął.

- Nie jesteś Francuzką, prawda?

- Co to za różnica? Teraz podam ci talerz z jedzeniem.

- Nie chcę. Nie jestem głodny.

- Powinieneś coś zjeść.

- Mówisz jak matka.

- Nie jestem niczyją matką.

- Nie, nie jesteś - powtórzył ze złowieszczym naciskiem. Znów się uśmiechnął, lecz tym razem inaczej, gorzko. - Muszę zejść z tego krzesła.

- Nie jestem pewna...

- Nie rozumiesz. Muszę się wysrać. Mógłbym i tak, ale wy tu musicie zostać...

Wymieniłam zmęczone spojrzenia z Jill Tygrysią i Thibautem. W rogu stała stara puszcza po farbie. Żadne z nich nie pomyślało o załatwieniu tej sprawy w inny sposób, więc musiała wystarczyć. W końcu uwolniliśmy Christosa z krzesła, ale łańcuch pętający jego lewą kostkę przymocowaliśmy do tkwiącej w podłodze śruby, tak że mógł się poruszać w kręgu wyznaczonym przez bezużyteczny już sprzęt nagraniowy.

Nie miałam szczególnej ochoty przyglądać się wydalającemu Christosowi, więc podeszłam na skraj szerokiej wyrwy w murze, z której roztaczał się widok na Paryż. Zróżnicowany, popołudniowy smog - owoc zmieszanych wydzielin wszystkich tych podobno ekologicznych paliw nieopartych na ropie - wisiał nad miastem, a ja poczułam wilgotne ciepło własnego ciała, przy każdym oddechu unoszące się z mojej bluzki. Porywając Christosa, Jill Tygrysica i jej grupa spodziewali się zapewne czegoś więcej: może oczekiwali, że zacznie śpiewać psalmy, stawiać opór bądź przeklinać. Może mieli nawet nadzieję zobaczyć cuda. W miarę upływu czasu stracili zainteresowanie swą ofiarą, ja jednak wciąż byłam ciekawa. Kiedy skończył, nie przykuliśmy go z powrotem do krzesła, uznając, że i tak nic nie jest w stanie zrobić. Kazałam też Jill wyciszyć dźwięki, które nadawała do jego hełmu.

- Nie boisz się mnie? - spytał, lub raczej stwierdził.

- Dlaczego miałabym?

- Reszta się mnie boi. Zwłaszcza ten tam... - Poruszył głową.

Thibaut rzucił mu nieprzyjemne spojrzenie, ale się nie odezwał.

- Przecież jesteś tylko... - Przez chwilę szukałam słowa. - Jesteś tylko człowiekiem.

- Dziękuję.

- To nie miał być komplement.

- Boisz się Boga?

Pokręciłam głową i dopiero potem przypomniałam sobie, że Christos mnie nie widzi. Powinnam być mądrzejsza, przemknęło mi przez myśl, mam ociemniałą matkę.

- Dlaczego powinnam się go bać?

Roześmiał się.

- Bałabyś się, gdybyś wiedziała to, co wiem ja.

- A co takiego wiesz?

- Słyszałaś moje przemówienia. Nie muszę ich chyba powtarzać po raz kolejny. Zwłaszcza teraz, kiedy już jest za późno.

- Więc to koniec, tak? Przypominasz tych wszystkich *sadhu*, świętych mężów i moją matkę...

- Mów dalej. Opowiedz mi o swojej matce. Nie jestem w stanie pomóc światu, ale może pomogę tobie. Jesteś zagubiona, pochłonął cię grzech. Ale została ci jeszcze nadzieja. Zatem opowiedz mi. Myślisz, że nie wiem, kim jesteś?

- Skoro wiesz, to powiedz, jak się nazywam?

Milczał.

Minuty wlokły się jedna za drugą. Robiło się coraz bardziej gorąco. Godziny znieruchomiały. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie wrócić do atelier i nie spróbować odpocząć przed występem, ale zrezygnowałam. Wymuszona, przepocona intymność magazynu wydała mi się w dziwny sposób częścią przygotowań do wykonania tej upiornej melodii. Symfonia wciąż się przeobrażała. Jeszcze na spotkaniu dzisiejszego ranka Claude nie zdecydował się na jedną, ostateczną wersję. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę z roli reklamy i tego, że balansujemy na cienkiej linii. Chcieliśmy mieć pewność, że wieści, które rozniosą się po całym mieście z Opery, przyćmią te towarzyszące odsłonięciu dzieła Harada.

Zagrzechotały łańcuchy Christosa. Oddychał nieregularnie, astmatycznie.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytałam, odrywając wzrok od panoramy Paryża.

- A jakie to ma znaczenie?

- Jeśli cię boli, jeśli to ręka, jeśli...

- Nic mi nie jest! - ryknął tak wściekle i nieoczekiwanie, że omal się nie cofnęłam.

Stał, napinając łańcuch do granic, głowę miał uniesioną w geście nadziei, zupełnie jakby na coś czekał. Powietrze cuchnęło więzieniem.

- Wiesz, wypuścimy cię pod koniec dnia.

Zaśmiał się krótko.

- Nie jesteśmy potworami.

- Wszyscy jesteśmy potworami, grzesznikami, demonami. Właśnie o to chodzi.

- Kiedy z tobą rozmawiam, mam wrażenie, że ciągle chodzi o coś innego. A tam są ludzie, tacy, którzy cię słuchają, i... - Poczułam taką samą frustrację, jaka musiała ogarnąć Claude'a w trakcie telewizyjnej debaty. Mizoginizm.

Pieniądze. Kłamstwa. Zaprzeczenia. I - tak - porwania. Fundamentalne sprzeczności. Ale od czego zacząć, skoro wiadomo, że każdy argument może zostać po prostu zignorowany lub odwrócony?

- Jeśli martwisz się tym, co zrobię, kiedy stąd wyjdę - odezwał się wreszcie - to niepotrzebnie. Powiedziałem ci już, nie wyjdę stąd żywy.

- Przestań tak mówić.

„Przestań tak mówić”. Jego tłuste wargi, w dziwny sposób niezależne od reszty twarzy, bezgłośnie i kpiąco powtórzyły moje słowa.

- Przepraszam, że psuję ci humor - rzucił już na głos.

- Ty się z tego cieszysz, czekasz na to, prawda? Na ten swój ogień i płonąca siarkę?

- Tak czy inaczej, to się wydarzy. - Wzruszył ramionami.



- Dlaczego więc... - Podałam się, wróciłam do dziury w ścianie i oparłam dłońe o rozgrzane cegły. Po niebie przetoczył się odległy grzmot. Gdzieś tam mógł nawet padać deszcz. Ale nie tutaj.

- Wiem kim jesteś. - Teraz głos Christosa był bardziej natarczywy.

Wstydliwie nieprzyjemny.

- To też już mówiłeś.

- Dlaczego więc wątpisz? Niektórzy twierdzą, że otrzymałaś od Boga talent. Nie jestem pewien co to znaczy, bo przecież wszystkie uzdolnienia pochodzą od Boga, nawet te do czynienia zła. Ale nie znam muzyki, którą grasz, nie obchodzi mnie ona. Jestem zupełnym ignorantem. Dlaczego mi o niej nie opowiesz?

Spoglądałam na zewnątrz, rozważając, czy rzeczywiście mógł coś o mnie wiedzieć. W końcu w moim francuskim wciąż było słyhać angielski akcent.

- Nadaśałaś się - mruknął. - Ale ja nie mam ci niczego za złe. To nie twoja wina. To początek końca wszystkiego, świt dnia, w którym każdy zostanie osądzony, a umarli zmartwychwstaną...

Sprytnie, pomyślałam. Bawi się mną, a przecież to ja powinnam bawić się nim. Ruszyłam wokół statywów i z ruchu wydętych ust i skrytej w hełmie głowy wyczytałam, że śledzą mnie jego oczy. Od mamy wiedziałam, że niewidomi posiadają pewną szczególną zdolność patrzenia, która bardzo niepokoi widzących. Ona sama wykorzystywała ją bezwstydnie. Podobnie jak on teraz. Tyle że on to wszystko dobrze zna, powiedziałam sobie. Znajdował się już w zamkniętych pomieszczeniach z pozbawionymi nadziei poszukiwaczami wiary, których zaciągnięto pod przymusem lub pod wpływem narkotyków do tych furgonetek z zabielonymi szybami. Dlatego właśnie wydaje się taki rozbawiony, dlatego czuje się tu u siebie.

Chmury na zewnątrz zaczęły ciemnieć. Podeszłam na sam skraj wyznaczonego przez łańcuch Christosa koła. Prorok stanął blisko mnie. Oddychaliśmy unisono. Czulałam zapach jego ciała, jego ciepło.

- Czym wypełnimy te ostatnie godziny? - odezwał się. - Co możemy sobie powiedzieć? Zapewne moglibyśmy porozmawiać o tych twoich głupiutkich melodyjkach. Mógłbym stwierdzić, że cała ta wasza tak zwana sztuka jest dziełem diabła. Że słowa, którymi opowiadacie o uczuciach, władzy, chwale i uczciwości, są mylne. W tym, co myślisz i w co wierzysz, jest tyle samo prawdy, co w wiejącym na cmentarzu wietrze. To grzechot kości tańczących potępieńców...

- Kim ty naprawdę jesteś? - szepnęłam.

Suchy chichot.

- Naprawdę chciałabyś to wiedzieć?

Nagle strzeliła błyskawica. Poczułam, jak włoski na przedramionach stają mi dęba. Thibaut zasnął przy migocącym ekranie, ale Jill Tygryśca wciąż czuwała i bacznie nas obserwowała. Jej twarz połyskiwała potem.

- Tak - odpowiedziałam.

Znów zaczął się przechadzać w kółko. Głosem przetykanym łoskotem piorunów i grzechotem łańcucha na betonowej podłodze, Christos zaczął mówić:

- Trzeba ci wiedzieć, że nie jest kłamstwem, że nie pamiętam niczego z okresu poprzedzającego te ostatnie lata. Na początku - to znaczy wtedy, gdy wydawało mi się, że to mój początek - ocknąłem się w świeżej pościeli, w czystym, białym pomieszczeniu. Czułem ból. Wokół widziałem przewody, rurki, sprzęt monitorujący. Opiekowali się mną ludzie w maskach. Ocierali moje ciało, poili wodą... - Uśmiechnął się i zachichotał. - Pamiętam, że pokochałem ulgę, jaką przynosił mi jej chłód. Czasami dolatywały mnie krzyki. Najwyraźniej moje własne. Pewnego razu usłyszałem, że ktoś woła coś, co brzmiało jak „Christos”. Uczępiłem się tego imienia. Z wolna ból malał. Jednego dnia siedziałem na skraju łóżka. Następnego już chodziłem, a przynajmniej uczyłem się chodzić. Podobnie było z mówieniem, to znaczy, wypowiedaniem słów, które już wówczas wypełniały mi głowę. Otaczający mnie ludzie wciąż nosili maski, ale wydawali się zaciekawieni - a nawet zafascynowani - tym co nazywano „moimi postępami”. Kiedy im powiedziałem, że mam na imię Christos, zaczęli się śmiać... Często się śmiali. Z ich pomocą zacząłem wychodzić z białego pokoju i odkryłem, że z korytarza można było wejść do podobnych pomieszczeń, a także, że ich lokatorzy cierpieli pośród przewodów i rurek tak samo jak ja. Powoli uświadomiłem sobie, że miejsce, w którym przebywam, znajduje się na skraju wielkiego miasta zwanego Paryżem. Czasami pozwalano mi wyjść na zewnątrz. Widziałem tam zniszczenie i druty kolczaste. Wiele z pobliskich budynków było spalonych, ale ujrzałem też wirujące projekcje odległych reklam, czytałem przynieszone przez wiatr ulotki, opowiadające o innych miejscach, nazywanych niebem i piekłem. W głowie wciąż kołatały mi prośby i wrzaski ludzi z innych białych pokoi. Tamci jednak przychodzili i odchodzili - niekiedy żywi, czasem umarli: zamaskowani zapewniali, że to nie ma znaczenia - a ja, Christos, trwałem. Znałem tylko tych w maskach. Chciałem żeby mnie podziwiali, chętnie się uczyłem. Pomagałem robić zastrzyki. Ocierałem rany. Śmiałem się, kiedy i oni się śmiali pod maskami. Zacieśniałem lub rozluźniałem pasy, którymi pętali żywe obiekty swych badań. Pchałem wózki z ciałami...

Wtedy zaczęłam już rozumieć, co opisuje Christos. Dotąd nie bardzo wierzyłam w istnienie nielegalnych klinik, których pracownicy mieli porywać ubogich i pobierać z ich ciał narządy, sprzedawane potem na czarnym rynku, lecz to wiele tłumaczyło - między innymi białe furgonetki Christosa...

- Potem jeździłem do Paryża - kontynuował. - Zamaskowani zabierali mnie swymi czarnymi samochodami, szukając osób, które nazywali „nowymi dawcami” a czasem wręcz „świeżym mięsem”. Tam zobaczyłem wszystkich tych mieszkających na ulicach nieszczęśników. Ha! Sam pomagałem ich chwycić i wiązać...

Christos był coraz bardziej rozgorączkowany: opowiadał o wizjach, których nie odebrała mu nawet ta straszliwa klinika: wizjach pływających w rynsztokach martwych dusz i nieba nad Notre Dame, po którym szybowały roje aniołów. Zawsze jednak na korytarzach czy paryskich ulicach widział tylko upadły świat. Nieosiągalne niebo tchnęło reklamowymi obietnicami innego ciała, złożonych z metali i plastików nowych skór, ubrań, perfum, kosztujących więcej niż życie wielu ludzi. Zrozumiał więc, że ten świat dobiega końca, i to na długo, nim zapoznał się ze świętymi księgami, którymi się wkrótce otoczył. Ale zamaskowani ludzie wciąż się tylko śmiali. Komplementowali to, jak świetnie zagoiły się jego rany, i pytali, czy nie zechce im pomóc przy kolejnej operacji...

Zagrzechotała błyskawica. Ciemne popołudnie parło naprzód. Christos garbił się lub czołgał po podłodze. Czasami przysiadł i łkał, jakby nie był już w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Tak, tak, spójrz na mnie. Rozdarł na sobie koszulę i dźgnął się kciukiem w chudą pierś. Widzisz to serce? Słyszysz ten głos? Wydaje ci się, że rozumiesz. Zaczął mówić po angielsku, zdaniami, w których przebijały słowa z różnych innych języków, być może niemieckiego, holenderskiego, gudżarackiego, suahili...

Powiedział, że pewnego razu zabrano go do miejsca, gdzie wszystko było tak zimne, że dotknięcie czegokolwiek groziło zerwaniem skóry. Tam właśnie, ułożone na półkach, zapakowane w pomarszczony plastik, leżały mrożone kawały mięsa. „Nie, nie” - powiedzieli mu ludzie w maskach - „to nie do jedzenia, spójrz...”. Rękawice podniosły jeden z pakietów, w którym Christos, znający się już wówczas na anatomii, rozpoznał ludzkie serce. Obok, spoglądająca na niego niczym utopiona pod lodem pływaczka, lub kwiat za szklaną taflą, spoczywała twarz pięknej kobiety, czekająca na zamówienie jakiejś zamożnej staruchy...

- Tutaj jednak pojawia się problem - warknął, klęcząc w łańcuchach. Porwanym ludziom można odebrać dość ograniczoną liczbę organów. Kiedy się ją przekroczy, umierają. Tak po prostu zostaliśmy stworzeni, a mrozonki to jednak marna alternatywa dla stosowania świeżego ciała żywego dawcy. A może o tym nie wiedziałaś? Co jednak, jeśli... jeśli... jeśli...

- Owadzie spojrzenie martwych oczu jego hełmu wbiło się we mnie. - Pozwól, że powiem ci, czym jestem. Byłem bardziej żartem niż poważną próbą... Tak w każdym razie powiedzieli mi zamaskowani. Co jednak, jeśli... - Skinął głową, jakby do siebie, jakby dopiero teraz pojął prawdę. Roześmiał się chrapliwie i znów pokiwał głową. - Co jednak, jeśli kilka części zamiennych - organów i tak, kończyn, i wszystkiego innego - połączyć razem w coś przypominającego żywą całość? Czyż nie pomogłoby to zachować je na dłużej w idealnym stanie?

- Chcesz powiedzieć, że tym właśnie byłeś?

W magazynie znów rozległ się brzęk łańcuchów Christosa.

- Tym właśnie jestem. Zostałem stworzony z fragmentów organizmów dziesiątek bezbronnych dawców. Noszę pożyczoną skórę. We mnie jednoczą się plemiona rozproszone po upadku wieży Babel...

- Co się z tobą potem stało, w jaki sposób...?

- Tego rodzaju miejsca - takie jak to, które nazywałem domem - nie działają bez końca. Istnieje silna konkurencja. Są siły rynku. Groźna może być nawet żandarmeria, o ile nie zapłaci się jej odpowiednio dużo za przymykanie oczu. Pewnego dnia obudziłem się i okazało się, że zamaskowani zniknęli. Nie było już słycać wózków. Zamilkł pomruk generatorów. Nie trzaskały drzwi. Słyszałem jedynie jęki i wrzaski więźniów. Wyszedłem na korytarz. Pomogłem części dawców. Uwalniałem ich z pasów, przynosiłem im lekarstwa i kule. Nie miałem z tym problemu umiałem to robić. Potem, gdy wychodziłem, zauważyłem w przejściu kilka skrzynek z butelkowaną wodą. Przypomniałem sobie słodycz i ulgę, jaką przyniosła mi po przebudzeniu, w mojej najczarniejszej godzinie bólu. To wtedy postanowiłem zanieść ten dar światu...

Rozpromienił się w błogim, anielskim uśmiechu.

- Tak się tu znalazłem. Tym właśnie jestem. Spójrz na mnie. Co widzisz? Jednego czy wielu?

Grzmot wstrząsnął powietrzem - poczułam jego siłę na skórze - było już jednak późno, a ja musiałam się przygotować do wieczornego koncertu. Roztrącając czujniki i trójnogi, cofnęłam się. Naga pierś Christosa, jego przesłonięta twarz, lśniły w mrocznym upale. Wydawało się, że się przeobrażają, zmieniają w świetle błyskawicy, która odśloniła coś nowego, ciemnego i tytanicznego znajdującego się pod nimi. Naprawdę się przestraszyłam, ale Jill Tygrysica tylko się roześmiała.

- Pieprzony Michael Jackson, rozpada się na kawałki! - Zachwycona, zaklaskała w dłonie.

Zbiegłam po stalowych schodach.

\* \* \*

Prysznic w naszym atelier nadal nie działał, więc zdjęłam ubranie, wyjęłam z lodówki ostatnie butelki wody Christosa i polałam się nią. Przez kilka wspaniałych chwil czułam się czysta i żar ustąpił. Zaczęłam krążyć po mieszkaniu, przyglądając się rzeczom, które kupiliśmy w Paryżu z Claude'em. Gdy patrzyłam na akwarełę Wenecji, spod szkła uniosła się ku mnie zamrożona twarz kobiety. Kiedy uderzyłam w kilka klawiszy fortepianu, rozległ się fałszywy brzęk.

Lokale wyborcze zostały zamknięte, ruch na ulicach zmalął. Gdy jechałam taksówką do opery, miasto wydawało się dziwnie opustoszałe. Nie zniknęli tylko sprzedawcy wody. Uniosłam wzrok ku niebu i ujrzałam wieczne reklamy, wciąż wyświetlane pośród nieustannie trzaskających błyskawic. Kup to lub tamto. Wszystko było „Ulepszone, Poprawione, Następnej Generacji, Skuteczniejsze” albo „Klasyczne”, przygotowane na nadejście nowej ery, w którą przestałam już wierzyć...

Na scenę miałam wyjść dopiero po przerwie, więc mogłam się pojawić już w trakcie trwania koncertu. Od jakiegoś czasu przemawiała do mnie idea przybywania na miejsce, odgrywania swojej partii i odjeżdżania, tak jak to robił Kreisler. Ledwie zdążyłam się przebrać w szkarłatno-niebieską sukienkę, którą pomogła mi wybrać w Waszyngtonie Lujah Vaudin, pojawił się Claude. Jak zwykle elegancki, w swym czarnym jedwabnym fraku, pocałował mnie delikatnie w usta, po czym oparł się o krawędź toaletki.

- Pięknie wyglądasz, Roushano.

- Podobno wszystko idzie jak z płatka.

- Jest świetnie, choć nie genialnie. Na razie trzymam ich w niepewności. Widziałas może Karla? W końcu to jego premiera.

Pokręciłam głową.

- Powinnaś zobaczyć, kto siedzi na widowni!

- Zapewne Mathilde?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się do mnie. - I ten facet, który jest tak zwanym ministrem kultury i sztuki w rządzie Boullarda.

- Czyli jesteśmy kryci z obu stron?

- Może nie aż tak, ale... - Między nami zapadła krótka lodowata cisza, jakiej nigdy dotąd nie zazналиśmy.

- Dlaczego jesteś...

- To ty jesteś...

Umilkliśmy oboje.

- Powiedz - podjął Claude. - W magazynie... Z Christosem wszystko w porządku? Nie chodzi o to, że nie ufam Jill, ale...

- Spędziłam tam prawie całe popołudnie. Wydaje się... - Nie byłam w stanie znaleźć właściwego określenia. - On nie myśli ani nie zachowuje się jak normalny człowiek. Claude, on powtarza, że umrze i że świat się skończy. Nie jestem pewna, co ma nastąpić wcześniej... Opowiedział mi też dziwną historię. Twierdzi, że został stworzony z fragmentów ciał pobranych nielegalnie od porwanych dawców. W jakiejś podziemnej klinice.

- Coś jak potwór Frankenstein...?! - Claude roześmiał się niemal tak, jak przedtem Jill Tygrysica. - Chyba mu nie uwierzyłaś, co?

- Nie, ale on w to chyba wierzy.

- Nic dziwnego. To pasuje. - Claude skinął głową. - Imię moje Legion i tak dalej.

- Co?

- To takie religijne hasło, Roushano. Chyba z Apokalipsy. Możesz tego nie znać, w końcu to Biblia, a nie któraś z tych... - machnął ręką - świętych ksiąg hinduizmu. Tak czy inaczej, chyba nie ma powodu, byśmy musieli go tam trzymać, kiedy już poznamy u Harada wyniki, prawda?

- Nie możemy go więzić bez przerwy.

- Nie, oczywiście, że nie. - Claude zdmuchnął pyłek z rękawa. - Takie rzeczy dzieją się przy każdym wyborach. Trzeba było słyszeć historie, które opowiadał mi tata. A Mathilde powiedziała...

- Wydawało mi się, że nikt nie miał się o tym dowiedzieć?

- I nikt nie wie.

Zakręciło mi się w głowie. Byłam zmęczona. Przed żadnym koncertem nie czułam się jeszcze tak fatalnie.

- Tak, przy okazji, Claude, możesz mi wreszcie powiedzieć, co usłyszałeś od Christosa na zakończenie debaty?

Claude wzruszył nieznacznie ramionami.

- Chyba coś o zniszczeniu. Zostaniesz zniszczony, czy coś podobnego. Wiem, to było żalodne.

Przez moment myślałam, że za „żałosną” uznał własną reakcję, więc przytaknęłam skinieniem.

- Tak czy inaczej, ta historia będzie mu na rękę - mruknął Claude. Pojawi się na powrót po tajemniczym zniknięciu, na dodatek z ranną ręką. Na takich nie ma sposobu, wszystko jest dla nich pożywką. Zrobi z tego kolejną ze swoich rozlicznych tajemnic. Nie zasługuje na...

Pukanie do drzwi obwieściło, że do wyjścia na scenę zostało nam pięć minut.

\* \* \*

Siedząc na skraju proscenium, czekałam na swoją kolej. Patrzyłam na Claude'a wchodzącego za pulpit. Ponad szklaną kopułą opery zajaśniała błyskawica. Jej blask rozświetlił białe koszule i chirurgicznie poprawione biusty. Z widowni było poczucie oczekiwania. Claude nie musiał ich sobie zdobywać. Czekali na coś dobrego. Niemniej, zrobił coś niezwykłego. Odwrócił się ku nim. Wytłumaczył, że to, co za chwilę usłyszą, to tak naprawdę jeden z kształtów, jakie przyjmuje nowa symfonia Nordingera, i że utwór będzie inny z każdym wykonaniem. Rozległy się słabe oklaski, wyciągnęły się szyje szukające samego kompozytora, który wciąż jednak się nie pojawiał. Zapadła cisza. Znow zaślniła błyskawica, w doskonałym momencie podkreśliła sylwetkę Claude'a zwracającego się z powrotem ku orkiestrze. Ponaglałam go w myślach, podobnie jak wszyscy pozostali.

Przed premierą pojawiły się przecieki, dzięki którym słuchacze wiedzieli mniej więcej, czego powinni się spodziewać. Z pewnością oczekiwali pięknych melodii, zawrotnych fajerwerków, dzikich uniesień, smutku i radości. Gdy utwór wreszcie zabrzmiał, pojawiły się wszystkie te elementy - ale od pierwszego dźwięku zostały przefiltrowane przez zakłócenia pomyłek i błędzącego tempa. W miejscach, gdzie *Czwarta symfonia* Karla Nordingera powinna tańczyć, powłóczyła nogami. Kiedy powinna pobrzmiwać stałą, cienko szemrała. Pod koniec kakofonicznej pierwszej części nastrój w *Opera de Paris Bastille* zmienił się zupełnie. Oczywiście, dla Claude'a podobne sytuacje nie były czymś nowym i spodziewałam się, że wszystko naprawi, lecz, gdy kończyła się część druga, słuchacze już nerwowo przebierali nogami, a kilka osób wyszło, głośno trzaskając fotelikami. Wchodząc na scenę, usłyszałam pełne współczucia wołania. Zwykle dzięki nim mój udział nabierał dodatkowego dramatyizmu, ale w tych okolicznościach wyglądało na to, że odcinam się od całości utworu. Ostre, gniewne brzmienie *Pieśni czasu* także nie pomogło. Gdy rozpoczynając czwartą część, pomylili się zarówno orkiestra, jak i dyrygent, po czym zaczęli raz jeszcze, nie rozległy się zwykle w takich wypadkach zachęcające, dodające otuchy oklaski. Tym razem słuchacze nie wykazali się zrozumieniem. Zaczęli buczyć.

Wyszło na to, że *Czwarta symfonia* Nordingera stała się jedynie dodatkiem do zagranych wcześniej klasycznych utworów. Niemniej, aplauz po nierównym finale, zabrzmiał zaskakująco głośno. Paryż stawiał się w operze, by wysłuchać nowego arcydzieła, a otrzymał jedynie kolejną opowieść o ukaranej pysze.

\* \* \*

Recenzje ukazały się w sieci jeszcze zanim dotarliśmy do Marais, na otwarcie szóstego piętra mieszkania Harada Le Pape.

„Cóż może krytyk napisać o nowym utworze, skoro nie dano mu szansy na wysłuchanie go...”.

„Za pulpitem stanął Claude Vaudin i jedyną dobrą stroną występu jego, jak i orkiestry, było to, że wreszcie stamtąd poszedł...”.

„Od początku zastanawialiśmy się, dlaczego Karl Nordinger nie stawiał się na premierze własnego utworu. Na odpowiedź nie musieliśmy czekać zbyt długo...”.

„Jedynym jasnym punktem tego wieczoru straconej szansy była Roushana Maitland, której interwencja w trzeciej części okazała się, jakby zapewne powiedzieli Anglicy, powiewem świeżego powietrza...”.

\* \* \*

Doświadczałam już złej prasy, ale to było po prostu złośliwe. Claude jednak całował policzki ludzi, którzy rozpowiadali o nim najgorsze rzeczy, odkąd tylko zjawili się w gorącym mroku przed apartamentem Harada. Miał na sobie elegancki garnitur i piękną koszulę. Wyglądał świetnie jak zawsze. „Nie, nie” - tłumaczył wszystkim pytającym - „oczywiście, że to nie wina samej symfonii. To w końcu bez wątpienia arcydzieło. Na pewno nie wolno też oskarżać orkiestry, ani tym bardziej Roushany, która swój epizod odegrała genialnie”. Chciał, by wszyscy rozumieli, że odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na jego barkach. Przyglądając się mu, kiedy poklepywał ramiona, śmiał się i ze smutkiem kręcił głową, zrozumiałam, że próbuje wszystkich przekonać, że była to tak gigantyczna wpadka, iż można ją było wręcz uznać za sukces.

Pojawiły się wstępne wyniki wyborów. Na czoło wysuwał się Boullard, nie Irissou. Komputery pracowały w pocie czoła, aż wreszcie poddały się i pojawiła się ewentualność, że o północy nie dowiemy się niczego. Byłam już tym dniem zmęczona. Niektórzy powiadali, że lepiej mieć teokrację, despotyzm, anarchię, stan wojny domowej. Jednakże najsilniejsza fala



plotek, które zalały foyer Harada i czekającą na windę paryską elitę, dotyczyła błędu w działaniu maszyny liczącej głosy.

Pojawili się wszyscy, przystrojeni w jaskrawe piórka, w delikatne futra, nieco przywiędli, owszem, lecz szczęśliwi i niepowstrzymani, gdy wjeżdżali ku kanapkom i szampanowi.

Dzwoniły bransoletki. Dłonie unikały ciał, lub osiadały niczym motyle na piersiach i pośladkach. Tak wiele było tematów do omówienia. Awaria wodociągów to koszmar - przynajmniej dla tych nieboraków, którzy nie mają prywatnego ujęcia. Tak czy inaczej... A przy okazji... A widzieliście już...? Słyszałaś może o...? Zdziwiająco było przypatrywać się tym ludziom, gdy rozprawiali o arogancji i pysze. Ale ty, moja droga Roushano. Ty zagrałaś oszałamiająco. Tym bardziej, że w takiej sytuacji. To było jak przebłysk nieba pośród chmur z siarki i gówna...

Spoglądając w lustra pokrywające rokokowe ściany w całym mieszkaniu Harada, z trudem zauważałam sama siebie. Stałam się jedną z wielu lśniących sukienek, kolejną śliczną buzią - skrzypaczką, tak, która zagrała ten fragment: wiecie, tą, którą pieprzył ten biedak, Claude Vaudin... Sława, stroje, sama obecność w tym miejscu najwyraźniej liczyły się o wiele bardziej niż to, kim się naprawdę jest. Wielu mężczyzn miało na sobie zapinane na plecach garnitury z wysokimi kołnierzykami, które - co nagle mnie uderzyło - naśladowały krojem koszule Christosa i jego wyznawców. Wszystko na tym przyjęciu zostało zredukowane - lub wyniesione - do poziomu plotki i mody.

O jedenastej, po krótkiej i niewyraźnej przemowie Harada Le Pape, nowo zbudowane drzwi na drugim końcu apartamentu jęknęły, roztaczając dookoła zapach świeżej farby. Wreszcie nadszedł ten największy moment - wielki przynajmniej do kolejnego głośnego wydarzenia - i kiedy wypełniliśmy szerokie, nowe schody, wszyscy się zgodzili, że jedynie nasz drogi, kochany Harad mógł przekonać taki tłum do stania w kolejce jak na jarmarku. Co za dziwne uczucie, móc wreszcie wejść na to słynne szóste piętro, na którym miała zostać zredefiniowana sztuka, a być może i samo życie. Harad tak wiele mówił o swym dziele, że nikt już tego nie pamiętał, ale gdy znaleźliśmy się w labiryncie nagich białych ścian, od razu stało się jasne, że ów projekt jest dokładnie tak ambitny, jak się spodziewano, i że jest multisensoryczny. W labiryncie instalacji i eksponatów było wiele do podziwiania, wiele z tych prac intrygowało świeżością, lub ciekawiło swojskością. Część była po prostu dziwaczna.

Dziennikarze i komentatorzy byli zadowoleni - w świetle tego wydarzenia przerabiali swoje recenzje premiery Nordingera, oceniając ją jeszcze gorzej - z pewnością nie było w

mieście innego miejsca, w którym należało się pokazać, przynajmniej do powyborczych bankietów. Wkrótce jednak uświadomiłam sobie, że ogarnia mnie coraz silniejsze poczucie rozczarowania. Tutaj, na przykład, znalazłam tę samą psią kupę, która leżała niegdyś przed Centrum Pompidou i którą w słynnym tekście opisał Harad. Wszyscy rozpływali się w „ochach” i „achach”, lecz to było przecież jedynie niedorzeczne samoodniesienie. A tam z kolei znajdowały się cenne okulary, w których krótkowzroczny Joyce pisał „Ulissesa”. Teraz były rozbite - tylko co z tego? A tam impresjonistyczne sceny uliczne, smugi dźwięków i woni, i złowieszczy głos odczytujący coś wspaniałego. Czy ta kobieta wymiotująca do wazy z epoki Ming stanowiła jeden z eksponatów, czy była tylko gościem? Harad zapewne uznałby obie możliwości za równie ważne przejawy sztuki, ale ja nagle przestałam rozumieć. Wszystko zostało zaprezentowane sprytnie i przy wykorzystaniu drogich środków, lecz w końcu była to jedna wystawa z wielu...

Gdyby przejrzeć ocalałe do tej pory recenzje, można by odnieść wrażenie, że szóste piętro Harada zostało uznane za arcydzieło, lecz prawda wyglądała tak, że już w noc odsłonięcia powszechna uwaga szybko zaczęła się od niego odwracać. Błąd, usterka, awaria komputerów czy łączy, o której przedtem wspominali niektórzy w kontekście wyborów, okazała się prawdziwa. Przestały działać bransoletki. Było to bardzo frustrujące, zwłaszcza dla tych licznych osób, które lubiły przejrzeć recenzje przed wydaniem sądu o czymkolwiek. Przez moment założyliśmy, że to Harad zablokował przekazy lub że to po prostu skutek nieustannie huczącej na zewnątrz, suchej burzy z piorunami. Może też nawet był to efekt ataku złośliwego wirusa. Tyle że żadne z tych wyjaśnień nie miało najmniejszego sensu.

Claude wciąż grał. Claude był niepowstrzymany. Jego głos rozbrzmiewał niczym trzaskanie bicia. W porównaniu z nim Harad wydawał się niemal katatonicznie wycofany. Niemniej, wszyscy byliśmy na jego (lub jej) szóstym piętrze i dziwne było to, że mimo narastającego marazmu i rosnącego przyciągania powyborczych imprez, niewielu zdecydowało się na wyjście. Rzuciłam okiem na własną bransoletkę. Milczała. Rozglądając się za Claude'em, usłyszałam głos jakiegoś mężczyzny. Jęczał i z początku uznałam to za wyraz seksualnej ekstazy, ale po chwili dźwięk przeszedł w cienkie zawodzenie. Rozległy się chichoty. Wymieniano spojrzenia. To bardzo dziwne. Może Harad ma w rękawie jeszcze jednego asa...

Coraz trudniej było powiedzieć, gdzie kończy się ekspozycja, a gdzie zaczyna rzeczywistość. Następna wirtualna projekcja, na którą się natknęłam, wyglądała jak usiane błyskawicami paryskie niebo, lecz już następna była bardziej ognista i stanowiła być może ironiczną odpowiedź na apokaliptyczne wizje Christosa i jemu podobnych. Zbliżyłam się do

plamieni i dymu i dopiero wtedy dotarło do mnie, że to, co widzę, nie jest wcale dziełem sztuki. Obraz rozświetlonego napuchniętym słońcem nocnego nieba nad jakimś wielkim miastem był opatrzony logo jednego z kanałów informacyjnych. Ci ludzie, którzy jeszcze nie zrozumieli, że oglądają transmisję na żywo, prowadzoną dzięki resztkom naziemnych kabli, uśmiechali się i klaskali. Reszta jednak zamilkła lub odwracała wzrok.

Wersje wydarzeń nieustannie się zmieniały. To Chińczycy. Nie, to Amerykanie wystrzelili swoje pociski. Ależ skąd - to asteroida lub kometa. Powtarzał się jedenasty wrześnie, lub dwunasty października, tylko że większy, mniejszy, lepszy, gorszy. Kątem oka zauważyłam Harada Le Pape, stojącego wśród coraz bardziej pobudzonego tłumu. Na jego (lub jej) grubych policzkach błyszczały łzy, choć nie można było stwierdzić, czy płacze z żalu, z powodu tego, co się działo na świecie, czy przez los, który spotkał jego wielkie artystyczne przedsięwzięcie.

Z innego z drogich wirtualnych ekranów wypłynęły rowery z zeszłorocznego Tour de France i ludzie krzyknęli, gdy zostały po chwili zastąpione potężną, niekończącą się falą skłębionego dymu i gruzów.

Co dziwne, bardzo często pojawiała się nazwa Yellowstone, którą jeszcze wówczas kojarzyliśmy przede wszystkim z gejzerem Old Faithful i Misiem Yogi. To nie jest wojna atomowa - zaczęły wyjaśniać gadające głowy, pojawiające się pośród obrazów zniszczenia - tylko klęska żywiołowa, wulkaniczna erupcja na skalę bezprecedensową w historii ludzkości. Gdy ta wieść rozeszła się po szóstym piętrze mieszkania Harada, zapadliśmy w dziwną mieszankę współczucia i ulgi. Tak, to straszne, ale to przecież tylko jakiś wulkan. Poza tym wybuchł w Ameryce, przez co wtedy jeszcze rozumiano USA. Tak bardzo daleko od nas...

Goście zaczęli wreszcie wychodzić na ulicę. Na zewnątrz, wśród hałasu i samochodów, znalazłam też Claude'a. Paryż się obudził i zagrał kolorami i chaosem. Było już po północy i choć ogłoszenie wyników wciąż się opóźniało, odbył się zaplanowany wcześniej pokaz sztucznych ogni. Rozrywały się nad nami ich wściekłe salwy. Po nich odezwały się dzwony. Zrobiło się tak głośno. Wciąż było słychać burzowe grzmoty. Były też krzyki, klaksony, łopocące flagi i prowizoryczne transparenty. Ludzie tręcili nas, a rozświetlone niebo odbijało się na zaniepokojonej twarzy Claude'a. Było tak, jakby cała zawartość szóstego piętra Harada wylała się na Paryż jedną, karnawałową falą. Kto w tej chwili przejmowałby się wyborami? Wyniki, w najlepszym razie, mogły zaczekać. Na budynkach wyświetlano projekcje kataklizmu. Poszłam za Claude'em na północ i na zachód. Na ulicach grała muzyka. Psy szczekały na balkonach, kawiarnie pękały od gości. Sprzedawcy wody

głośno nawoływali. Szaleńcy i prorocy wszelkich możliwych religii snuli się dookoła lub szaleli...

Mnie ten dzień przypominał chwilę, kiedy próbowałam się przebić przez Birmingham do domu babci Ashar, wzdłuż kanałów, pod płomieniami i barykadami. Nawet chodniki były zasłane takim samym tłuczonym szkłem, takim samym ogniem i dymem wzbijającym się pod ciemne niebo. Gdy ruszyliśmy, spodziewałam się, że Claude zamierza zdobyć jakieś godne zaufania informacje. Potem uznałam, że chce po prostu uciec przed światłem i gwarem. Domyślałam się już, że jego ojczyzna legła w ruinie, a rodzice najprawdopodobniej zginęli, ale wszędzie było zbyt głośno, by porozmawiać, i wszystko działo się zbyt szybko, by cokolwiek zrozumieć.

Brnęliśmy przez morze obrazów. Claude trzymał mnie za rękę. Paryż tej nocy kataklizmu rozpadł się na kilka oddzielnych miast. Mijaliśmy dzikie grupki imprezującej młodzieży. Obok przejeżdżały samochody, z których wychylali się ludzie z transparentami i butelkami, z podpalonymi amerykańskimi flagami. Płaczące kobiety tłoczyły się wokół coraz mniej licznych źródeł informacji, obrazów ognia i płomienia, wywołujących na ich wilgotnych twarzach kolejne fale emocji. Wciąż trzaskały błyskawice i wystrzały. W jednej z bocznych alejek - jestem pewna, że to widziałam stało rozgdakane stado pingwinów. Huczała burza. Ulicami przemykały furgonetki. Z zamontowanych na ich dachach megafonów obwieszczano zwycięstwo tej czy innej strony, choć słowa były zniekształcone. Claude wciąż nie puszczał mej dłoni, ciągnął mnie za sobą, a ja poddałam się jego prowadzącym na Montmartre ramionom. Wiedziałam, że mnie potrzebuje, i trzymałabym się go nawet, gdyby rozluźnił uścisk.

\* \* \*

- Zatem? - Adam przygląda mi się ze stojącego pod oknem krzesła.

Leżę na czerwonej sofie w pokoju muzycznym, dokąd na pół zaprowadził, na pół zaniósł mnie dziś rano. - Poszliście do tego magazynu. I co się stało? Był tam jeszcze Christos?

Skulona pod warstwą koców, wpatruję się w belki sufitu. Czuję jeszcze ten hałas i dym.

- Nie rozumiesz. To nie takie proste. Życie nie składa się tylko z jednej opowieści. Dokonuje się w nim wielu wyborów... Albo przynajmniej takie się ma wrażenie. Tak czy inaczej, idziesz chwiejnie ulicami, po schodach... I gdzieś po drodze, coś się dzieje... Ale potem, kiedy się obejrzyysz, widzisz nie jedną rzecz, lecz wiele.

Mówiłam przez całą noc i potem cały poranek. Adam słuchał. Teraz, na zewnątrz, z dala od Paryża, chmury przesłaniają swymi burzowymi ramionami światło słońca, a wiatr wzmógł się na tyle, że maści odbicia Adama w drgających szybach okien od zatoki.

- Sprawdziłem informacje o Christosie - odzywa się cicho - kiedy wyszukiwałem materiały na temat Claude'a. Jest świetnie zdokumentowany. To wręcz totemiczna postać. Wtedy, mniej więcej w dniu wyborów, zaginał. Pojawiały się rozmaite spekulacje, ale nic konkretnego. Jednego dnia był, a następnego zniknął. Oczywiście, bez przywódcy, upadła cała jego organizacja. Nigdy potem się już nie pojawił.

Powietrze tamtej nocy smakowało alkoholem, oszałamiało. Towary z obrabowanych sklepów wysypywały się na ulice, spłonął młyn nad wejściem do „Moulin Rouge”. Wszyscy szukali winnych.

- Nie musisz mi tego mówić, Adamie, nie sądzisz?

- Więc ty mi powiedz.

- Christos zniknął.

- I to wszystko?

- A czego się jeszcze spodziewasz? Dotarliśmy z Claude'em do magazynu i weszliśmy po schodach. Jill Tygrysica i jej sytuacjoniści zdążyli już jednak wyjść na ulice. Tam było ich miejsce, zwłaszcza w taką noc.

Christosa też nie znaleźliśmy. Zostały po nim tylko łańcuch i hełm. Czego się spodziewałeś? W końcu Jill i jej ludzie nie byli specjalnie pilnymi strażnikami. Zapewne wypuścili go, gdy tylko się dowiedzieli, co się stało. Wszedł więc w tę niebezpieczną noc i jak sam powiedziałaś, zaginał. Akurat ty, Adamie, powinieneś lepiej od innych rozumieć, że człowiek może zniknąć. Ludzie mogą zmienić tożsamość, zmienić się, albo po prostu wyparować. Przykro mi, że cię rozczarowuję, ale naprawdę nie mam pojęcia, co spotkało Christosa. Mógł zostać zabity podczas zamieszek - wierz mi, wielu chciało jego śmierci. A może zginął anonimowo jak wielu innych. A może, po wybuchu Yellowstone, uznał, że jego dzieło dobiegło końca. Może po prostu zrezygnował. Albo naprawdę był tym, o czym mi opowiedział, i jego ciało się w końcu rozpadło...

- I nic więcej?

- Nic.

Adam wstaje z miejsca. Wygląda na bardziej niezadowolonego niż powinien. Przecież to historia mojego życia. Wychodzi z pokoju. Gdy w kuchni rozlegają się dźwięki zapowiadające obiad, podnoszę się i podchodzę do biurka. Coś spada z grzechotem na podłogę. To pusta plastikowa butelka wody Christosa, którą bawił się Adam. Zbyt zmęczona,

by ją podnieść, opieram się o szybę. Kiedy, próbuję wyjrzeć na zewnątrz, zauważam niewyraźne odbicie zamrożonej maski, jest zasuszona nie do poznania. Czuję wiatr, który przeciska się przez szczeliny w oknach. Morze szczyrzy zęby. Zapowiada się kolejna dzika noc na tej zdziczałej Ziemi.

Jak to możliwe, że w Paryżu tak bardzo zaangażowaliśmy się w politykę? To nie miało przecież większego znaczenia. Jesteśmy tylko żalonymi ludźmi, a Matka Ziemia to Matka Ziemia. Całe miasta mogą znaleźć się pod wodą lub ocaleć, dzięki błyskawicznemu zrządzeniu cyklonu. Mogą nam zagrozić zbyt blisko przelatujące komety. Całe kontynenty mogą zamienić się w pustkowia. Wszystko to może się wydarzyć i będzie to mieć znaczenie jedynie dla nas, ludzi: tego nauczyło nas Yellowstone.

Przedtem jedynie kilku lubujących się w apokaliptycznych wizjach naukowców rozumiało, że jedna z okresowych erupcji z olbrzymiego rezerwuaru magmy znajdującego się pod większą częścią stanu Kolorado, musi nastąpić niebawem. Niebawem przynajmniej w skali geologicznej. Dla całej reszty nas był to tylko szum informacyjny, kropla w morzu innych problemów, innych wizji masowej zagłady. Superwulkan jednak wybuchł, a wyrzucone przez niego pyły skaziły niebo całej planety, zabiły uprawy i sprowadziły pięć najdłuższych, najbardziej zimnych i naznaczonych najstraszliwszym głodem zim w historii ludzkości. Sekwana zamarzła - podobnie jak Dunaj i część Amazonki. Na Kilimandżaro powróciły śniegi. Na Gobi i Saharę spadły deszcze. Ameryka i Kanada przestały istnieć jako samodzielne państwa. Lodowce już się nie cofały. Światowa gospodarka, bezlitośnie pompująca do atmosfery dwutlenek węgla, weszła w okres niebywałej recesji. Przedtem nie podlegało nawet dyskusji to, że poziom mórz wciąż będzie się podnosić, że pustynie nie przestaną się rozrastać, że wiele z wielkich miast - zarówno najbogatszych, jak i najuboższych - jeśli takie rozróżnienia mają jakiegokolwiek znaczenie - ulegnie zniszczeniu. A jednak podczas tych długich zim zaczęto mówić o nowej epoce lodowcowej.

Wielu oczywiście twierdziło, że wybuch Yellowstone był sposobem, w jaki Ziemia odzyskiwała swoją naturalną równowagę, ale ci akurat nie sięgali wzrokiem wystarczająco daleko wstecz na długą listę wcześniejszych katastrof, zalewów i wymierań. Planeta nie dba o to, czy jest zimna, czy gorąca, sucha czy wilgotna. To po prostu wirująca skalna kula, na której musimy - przynajmniej ci żywi - tkwić.

Adam wychodzi do kuchni i jakby po mgnieniu oka wraca z obiadem na tacy - ten luksus wkrótce zmieni się w przekleństwo - którą stawia na moich kolanach, uprzednio pomagając mi usiąść. Nie zwracam na posiłek większej uwagi, choć nie wątpię, że jest doskonały. Adam mówi o Yellowstone, o którym - oczywiście - wie wszystko. Opowiada mi

o pokoleniu moich rodziców, które żyło w lęku przed krzywdami, jakie my, ludzie, możemy wyrządzić samym sobie - przed terroryzmem, wirusami, bombami - zapominając o niebezpieczeństwach grożących ze strony samej natury. Nie mam ochoty się z nim spierać. Widzę, że zależy mi, bym ciągnęła opowieść o swoim życiu przez resztę popołudnia. Ja jednak wolałabym odpocząć. Dlaczego tak bardzo chce, bym mówiła jeszcze dziś? Przecież do jutra ten nadchodzący sztorm - który słyszę już w coraz głośniejszym huku fal - na pewno się skończy. Kto wie, może nawet powróci lato i będziemy mogli się wybrać nad Bezan Bay? Mogłabym powrócić do dzieciństwa. Mogłabym opowiedzieć mu więcej o swoim życiu w Moseley - albo o dziadkach, czy wakacjach we Francji. Mogłabym nawet - jeśli poczuje się dobrze - pójść raz jeszcze do Fowey, by uzupełnić zapasy. Potem, tak jak wczoraj wieczorem, zagrałabym mu coś przed snem.

- Mam prośbę - mówi po obiedzie Adam. - Czy zechciałabyś mi zagrać kawałek *Czwartej symfonii*?

- To symfoniczny utwór. Poza tym nie mam go tu. Na tym polegał pomysł. Nigdy nie było jednego, ustalonego zapisu.

- Ale mogłabyś zagrać tę melodię z trzeciej części. Jak ją nazywałaś? Pieśń czasu?

- Nawet ona jest już inna - mruczę niezadowolona.

- Ale czy nie to właśnie powtarzał Leo? Że pomiędzy wykonaniami każdy utwór pozostaje taki sam?

Poddaję się. Wstaję ciężko z sofy, odrzucam koce i przetrząsam stare nuty i wspomnienia. Otwieram futerał. Podnoszę guarneriego. Dotykam strun palcami. *Pieśń czasu...* Czy to Karl wymyślił tę nazwę? A może Harad lub Claude? Nie pamiętam teraz, gdzie i kiedy powstała. To jeden z tych tytułów, które pojawiają się znikąd. Tak samo było na przykład z *Koncertem cesarskim* Beethovena. Zaczerpuję tchu. Skup się, Roushano, skup się... Wizualizuję sobie kształt dłoni i muzyki, nieśmiertelny, lecz wiecznie zmienny. Podnoszę smyczek. Wszystko się miesza. Powolny rytm. Drżenie strun. Raz, dwa i...

Chwila rozpada się na kawałki, zdradzone palce się ślizgają, a guarneri ze zbolałym krzykiem wyskakuje mi z dłoni.

\* \* \*

Nie jestem w stanie się opanować - płaczę. Kiedy Adam ostrożnie, z szacunkiem odbiera mi niemy instrument i chowa go do futerału, mąci mi się wzrok, a w uszach wzbiera głośny szum. Potem odprowadza mnie z powrotem na czerwoną sofę i układa, poprawiając przy tym poduszki, aż wreszcie - ja wciąż się trzęsę, oddycham ciężko - nakrywa mnie tymi

samymi kocami, którymi ja opatuliłam jego kilka dni temu. Leżę z bolącą twarzą. Pokój wiruje. Mimo że zawsze obawiałam się tej chwili, chyba nigdy do końca nie wierzyłam, że nadejdzie. Nie w ten sposób. A teraz, kiedy przyszła, uświadamiam sobie, że już nic nie będzie jak dotąd. Odebrano mi rzecz, która definiowała, określała całe moje życie. „Teraz wszystko zależy od ciebie, siostrzyczko”. Leo zawsze chciał, bym zrozumiała, że muzyka - wspaniałe, uporządkowane dźwięki, które przemijają zbyt szybko, by można je dogłębnie przemyśleć i zanalizować - jest zawsze najważniejsza, a wszystko inne to nic więcej jak przeszkadzający, pusty szum...

Adam wysuwa krzesło spod biurka i siada obok mnie. Jego palce lekko odgarniają szorstkie włosy z mojej mokrej, zasuszonej twarzy.

- To nic. Po prostu musisz spróbować jeszcze raz...

Kręcę głową.

- Co mogę zrobić?

- Samo to, że tu jesteś...

- Nie odejdę.

Pokój pulsuje. Pusta cisza dzwoni.

- Życie upłynęło tak szybko, wiesz...

- Nie mów tak.

- Ale to prawda. Zupełnie jak przejażdżka na karuzeli. W jednej chwili nie możesz się doczekać, kiedy się rozpocznie, a zaraz potem...

Bierze mnie za rękę.

- Opowiedz mi jeszcze o Paryżu, Roushano. Powiedz mi, co się działo po Yellowstone...

Przełykam ślinę, oblizuję słone wargi.

- Niedługo potem wyjechaliśmy z Claude'em. Zaraz kiedy nadeszła pierwsza z tych długich zim. Och, to nie była świadoma decyzja. Nadal wracaliśmy, gdy tylko udało się załatwić jakiś środek transportu, zachowaliśmy też nasze atelier...

- Ale co z ludźmi?

Śmieję się cicho.

- Powinieneś zobaczyć Harada Le Pape teraz!

- Co?

- Nic, nic. Harad wrócił do dziennikarstwa, a jego (lub jej) poglądy straciły dawną ostrość, choć z tego co wiem, ogromnie się wzbogacił. A pozostali, cóż, sława jednych urosła, inni stali się bardziej mieszczańscy, albo zrezygnowali zupełnie, jak to często bywa z



artystami. Zapewne wiesz, że Jane Affray popełniła samobójstwo w ten swój niezwykle sposób. Jeszcze inni zaczęli pić, ćpać, poumierali z głodu, zginęli podczas epidemii grypy, albo poddali się własnej pysze. Wybory oczywiście wygrała Mathilde Irissou, ale większość z obiecywanych przez nią reform roztrzaskała się o skały trudnych czasów. Zresztą, kto o niej teraz pamięta? Choć zdaje się, że istnieje jeszcze to śmieszne miasteczko, pełne jezior i biur - kontrapunkt dla La Defense, kolejny z monumentów jej prezydenckiej impotencji i próżności. Wątpię, by ktoś tam jeszcze zaglądał... A Karl Nordinger... Karl ukrył się wśród bogactwa, którego dostąpił dzięki swej muzyce i programom komputerowym. Przez lata mówiło się, że pracuje nad jakimś wielkim oratorium, cyklem pieśni, operą lub symfonią czy też nowym rodzajem oprogramowania. Nic jednak nie ujrzało dziennego światła. *Czwarta symfonia* pozostała jego ostatnim, zamykającym dziełem - symbolem nowej ery - a katastrofalne premierowe wykonanie Claude'a to po prostu jedna ze stron całej tej historii. Jeśli cię to ciekawi, Adamie, to nie utrzymałam z nim znajomości. Karl nie kontaktował się z nikim. Czasem tylko widywano go gdzieś - jednego roku był zaniedbany, długowłosy, a następnego elegancki i kwitnący. Znając go, w stopniu, w jakim to było w ogóle możliwe, podejrzewałam, że opłacał niekiedy ludzi, którzy się pod niego podszywali, a sam żył gdzieś w ciszy i przynoszącym mu perwersyjne zadowolenie nieszczęściu. Wiesz, tęskniłam za nim - za nim jednym z całego Paryża. Ale tego zapewne domyśliłeś się sam... Pozostała za to muzyka Karla, a przecież większość ludzi chciała od niego przede wszystkim jej. Ja też czułam zadowolenie, odwiedzając ponownie tę wspaniałą symfonię. To zapewne jego największe osiągnięcie. Zawsze jest świeża i zaskakująca. Tak, nawet teraz, nawet dziś...

Razem z Claude'em bez końca podróżowaliśmy po tym świeżo zniszczonym świecie. Staliśmy się wędrownymi grajkami na skalę globalną. Przemawialiśmy. Organizowaliśmy festiwale. Występowaliśmy w obozach dla uchodźców w Georgii i na Florydzie. Ludzie w tamtych czasach szukali w muzyce ukojenia i byliśmy potrzebni wszędzie, tak często, że nasze publiczne życie, wywiady, próby i koncerty, a także wieczne podróże i zimno, cuchnące namioty i zrujnowane hoteliki często wydawały się nam całym światem. Kiedy pobraliśmy się pewnego deszczowego dnia w Santiago, prawie nikt tego nie zauważył. Już wcześniej byliśmy przecież Claude'em Vaudinem i Roushaną Maitland. Pamiętam rozczarowanie na twarzach ludzi, gdy się dowiadawali, że nie możemy przyjechać do nich we dwójkę. Tworzyliśmy wspaniały duet i dobrze o tym wiedzieliśmy.

Och, mogłabym bez końca mówić o festiwalu w Pradze, o występie Claude'a w Bayreuth, lub o naszym długim pobycie we Florencji, ale to wszystko jest nagrane i ogólnodostępne. Na ścianach tego pokoju wiszą zresztą programy i plakaty z tamtego okresu.

Życie publiczne, życie poświęcone byciu osobami, za które chciał nas uważać świat, pochłonęło nas wtedy oboje, a sprawy prywatne - kilka rozstań, dom kupiony w Pekinie i ten drugi, który Claude postanowił zachować w nowo powstałym Dominium Waszyngtonu, na pamiątkę jego rodziców - wszystko to wydawało się w porównaniu nieistotne i blade. Tworzyliśmy muzykę, wszyscy chcieli jej słuchać, i to bardzo często nam wystarczało. Przebywanie z Claude'em na scenie, solowe występy, lub siedzenie i przyglądanie się temu, jak wynosi jakąś krnąbrną orkiestrę na niedostępne jej przedtem wyżyny - tego rodzaju chwile są otoczone w mojej pamięci takim blaskiem, że ciężko o nich teraz mówić. Wszystkie zlewają się w jedno, przez co tym trudniej mi to zrozumieć. Czy naprawdę byłam tak zaabsorbowana, tak nieuważna, tak poświęcona wydobywaniu dźwięków ze swoich skrzypiec, podczas gdy planeta głodowała i cierpiała? Czy Claude naprawdę pozwolił sobie być tak wspianym interpretatorem, że nie przestawał nim być nawet kiedy przeglądał się w lustrze? Ale Leo - jak zawsze - miał rację. Muzyka najpierw jest, a mgnienie potem już jej nie ma. Tego się nie da zanalizować. A teraz, kiedy ogarnia mnie ta ostateczna cisza, mam wrażenie, że tak to powinnam zostawić.

Mama, mimo swego niezdrowego trybu życia, wciąż mieszkała w Gudżarat i miała się świetnie jeszcze długo po erupcji Yellowstone. Niemniej, od chwili jej wizyty w Paryżu, oddaliła się ode mnie. Jeśli już dzwoniła, to bez pytania wiedziałam, że potrzeba jej jakiejś przysługi. Trzeba było coś zatwierdzić, udzielić praw do wykonania, szepnąć słówko komuś, z kim chciała się spotkać, zorganizować charytatywny koncert lub wywiad. Mama w tych latach po wybuchu, podobnie jak Claude i ja, dała się pochłonąć tej osobie, za którą uznał ją świat. Czasami odwiedzałam ją w Gudżarat Dwa i zwykle ciążył jej wtedy taki natłok zajęć, że ledwie byłyśmy w stanie porozmawiać. Mnie zapewne odbierała podobnie jak ja ją - wykonywałam niezliczone telefony, załatwiałam hotele i koncerty. Potem, dziesięć niewyobrażalnie krótkich lat po Yellowstone i po Paryżu, gdy przeglądając kanały informacyjne, zabijałam czas przed koncertem w jakimś hotelu w Mexico City, przypadkowo dowiedziałam się, że mama umiera.

Nie udało mi się do niej dodzwonić. To jednak nie było wówczas niczym niezwykłym, poza tym, wszystkie fakty zostały upublicznione i pojawiały się na ekranach co piętnaście minut. „Obrończyni hinduskiej biedoty” zapadła na nowotwór limfatyczny. Kuracja była oczywiście możliwa, ale matka mogła liczyć jedynie na kilka dodatkowych lat życia w coraz gorszym stanie zdrowia, i to za sumę, która mogła posłużyć na opłacenie opieki zdrowotnej i wyżywienia tysięcy ubogich Hindusów. Siedząc samotnie w tym anonimowym hotelu, poczułam mieszanek irytacji i smutku. Matka postanowiła zrobić to, co umiała najlepiej, i

przeobraziła własną śmierć w zbiórkę funduszy na cele dobroczynne. Udzielała wywiadów, publikowała skany i prognozy lekarskie. Prowadziła w sieci dziennik, w którym opisywała kolejne objawy. Znacząco, publicznie i wytrwale odmawiała poddania się jakimkolwiek zabiegom leczniczym. Ludzie, zupełnie obcy, przychodzili do mnie po koncertach i referowali mi kolejne etapy jej odejścia, opowiadane przez nią szeptem licznym dziennikarzom. Media, co było do przewidzenia, pozostały jednak zainteresowane bardziej historią śmierci znanej osoby niż nagłaśnianym przez nią cierpieniem milionów.

Pod koniec jej życia udałam się do Indii. Claude wybrał się ze mną. Loty samolotami nie stanowiły dla nas nowości, ale dla większości ludzi widok ziemi z powietrza był wówczas odległym wspomnieniem. Często się zastanawiałam, czy zdawali sobie sprawę, jak wiele się zmieniło. Morza były bardziej dzikie i ciemniejsze, a kiedy patrzyło się przez iluminator, często widywało się wypukłe grzbiety wielorybów. A lądy, one również były inne, choć może my sami patrzyliśmy na nie inaczej, już bez takiego zaufania w dobroć planety, podziwialiśmy Ziemię tak, jak można podziwiać piękną, wysadzaną klejnotami skórę niebezpiecznego węża. Ta metafora nigdzie nie była tak trafna jak właśnie w Indiach. Lecieliśmy długo i nisko nad ich zachodnimi połaciami kraju. Miasta i osady przestały przypominać kubistyczne malowidła na terakocie, a pola, łowiska i zagrody dla bydła straciły swoje wyraźne granice. Wszędzie rozpościerały się piękne w swej nieregularności plamy błękitu i zieleni. Przesłonięci cieniem samolotu ludzie unosili ku nam głowy i machali. Było ich jednak niewielu i prawie zawsze pojawiali się pojedynczo. W jakiś dziwny sposób było jasne, że to nie oni pasą stada białych i brązowych krów, przemierzających bezkresne krajobrazy. Nasz świat oblekał się pięknem dziczy, a wonie Indii, które wdychało się, wychodząc we wspañały żar starej Strefy Niebieskiej, nie były już naznaczone kwaśnym odorem kurzu, odchodów i gnijącego mięsa. Poczulałam się tak, jakbym wachała doskonale perfumy. Wszędzie dookoła kwitły kwiaty.

Sama Strefa Niebieska również się rozpadła. Ogrodzenia z drutu kolczastego zniknęły, a stare czołgi i transportery UUN zostały przemienione przez roślinność w wielkie, dziwaczne donice, gniazda błyszczących jaszczurek, ptaków i węży. Hotelik, w którym zatrzymałyśmy się z mamą podczas mojej pierwszej wizyty, wciąż próbował wiązać koniec z końcem, naprędce reperując to, co się akurat zepsuło. Ludzie robili to w wielu innych miejscach na świecie, choć mnie nadal wydawało się to specyficznym hinduskim sposobem życia. Gdy spojrzałam na ten zapuszczony budynek, po części marmurowy, po części z betonu i prefabrykatów, nad którymi wisiał neon, wciąż sprawiający wrażenie, że świeci w żywym świetle poranka, przypomniały mi się waszyngtońskie wieżowce, obok których niedawno z

Claude'em przejeżdżaliśmy w drodze na koncert w odnowionej Katedrze Narodowej, z której przepędzono lemury - zbiegów z pobliskiego ZOO. Cały świat zmienił się tak bardzo. Odniosłam wrażenie, że jedynie Indie pozostały mniej więcej takie jak dawniej.

W środku hotel przypominał biuro. Ekrany kwitły zmieniającymi się kolorami. Wszędzie stały biurka, nieustannie było słychać pomruk prowadzonych spotkań. Po wspinaczkę na długie schody - winda oczywiście nie działała - i po przejściu kilku korytarzy, Claude i ja, oboje w eleganckich, zachodnich strojach, stanęliśmy twarzą w twarz z wielobarwną grupą kobiet. Gdy tylko dotarło do nich, że jestem córką słynnej *sadhu*, ukloniły się i uśmiechnęły. Ta wizyta u matki bardziej niż kiedykolwiek przypominała audiencję. Jeszcze jedne drzwi, pośpieszna rozmowa i zostaliśmy wpuszczeni do pomieszczenia, które dawniej było apartamentem, lecz teraz, wypełnione ofiarami i przyniesionymi przez odwiedzających statuetkami hinduskich bożków, wyglądało raczej na świątynię. Cicho grała muzyka. Tliły się kadzidelka. Pod sufitem pyszniły się flagi i jedwabie. W samym środku anielsko uśmiechnięta do grupki wychodzących dziennikarzy z Republik Niemieckich, niemal zbyt mała, by mogła być prawdziwa, siedziała wysuszona łupina kobiety.

Wygląd mamy mnie nie zaskoczył - przywykłam już do widoku jej umierającego ciała pokazywanego w informacjach - niemniej, dziwnie się w jej obecności poczułam i nie podeszłam zbyt blisko. Zatrzymałam się w nogach wielkiego, wyłożonego poduchami łóżka, podczas gdy Claude, zawsze lubiący jej towarzystwo, pochylił się i ucałował jej dłoń. Kiedy się uśmiechnęła, jej oczy i kości policzkowe wyraźnie się zaznaczyły. Była tak blada, że przypominała dalitów z Ahmadabadu Jeden, lecz wciąż emanowała z niej gorąca energia, napędzająca wszystko, co działo się w tym hotelu. Odwróciła wzrok od Claude'a. Nie ku mnie, ale ku trójnogom kamer sensorycznych, ciasno opasujących ten zagracony pokój. One były centrum wszystkiego, to przez nie mama relacjonowała cierpienie własne i całego kraju na szeroki świat. Mimo upływu dziesięciu lat, postęp technologiczny po Yellowstone wyhamował i sprzęt wyglądał niemal identycznie jak ten, którym niegdyś otoczono w paryskim magazynie zaginionego Christosa.

- Podejź, Roushano - szepnęła mama kiepską, naznaczoną silnym akcentem angielszczyzną. - Stań obok nas.

Zostałam z tyłu. Gdy ściszym głosem zapytała Claude'a o naszą podróż, wyczułam że myśli o kontraście, jaki tworzą, i o tym, jak to wypadnie w przekazach. Słynny czarny dyrygent przybył odwiedzić świętą *sadhu*. Jeszcze lepiej by było, gdybyśmy stworzyli tryptyk, gdybym dołączyła do nich ja - znana skrzypaczka. Tak bardzo różniła się od Claude'a. Kochałam ich oboje, lecz kiedy on ujął dłoń mamy, zauważyłam, że wolną ręką

wybija na czerwonej jedwabnej pościeli rytm, a wzrok mgli mu się jak zawsze, kiedy rozważał jakiś muzyczny problem. Można było spędzić całe życie, próbując przeniknąć serca tych dwojga, a i tak nie miało się żadnej nadziei na powodzenie.

- Cóż... - westchnęła, gdy wreszcie przysiadłam obok. - Oto jestem. Zupełnie jak John Lennon w Hiltonie w Toronto, tyle że bez Yoko.

Skinęłam głowę, choć nie rozumiałam aluzji, dopóki jej później nie sprawdziłam. Tak naprawdę chodziło o Amsterdam. Potem zapytała mnie o pracę i podróż, i po chwili musiałam zabronić jej naciskania guzika, którym raz po raz przyzywała sekretarzy, by omówić szczegóły spontanicznie organizowanego koncertu - wedle hinduskich standardów musiał się wydawać starannie zaplanowany.

Zmieniłam zdanie. To był szok. Mama skurczyła się nawet od ostatniego swego nagrania, na którym ją oglądałam, i malała z każdym oddechem, zapadając się w haftowane złotymi nićmi prześcieradło i poduszki. Sama skóra i kości. Zapłonął we mnie gniew. Co chwila rzucałam okiem na wścibskie sensory. Zupełnie jakby to one - i oko opinii publicznej, którą mama nauczyła się wykorzystywać o wiele lepiej, niż ja i Claude - były winne tej chorobie. Bardzo ją bolało. Powiedziała mi to sama, swym zwykłym rzeczowym tonem, ale i o tym wiedziałam już wcześniej, gdyż każdy szczegół cierpienia odnotowywała na blogu. Patrząc w przeobrażoną twarz tej niegdyś młodej, niegdyś pięknej kobiety, która machała do mnie ręką na francuskiej plaży, zrozumiałam, że to ostatni raz, kiedy oglądam ją żywą. A najsmutniejsze było to, że w ogóle nie chciało mi się płakać.

Zapadła oschła cisza. Mimo całego swego wyczerpania, mama wydawała się niespokojna i sfrustrowana. Domyśliłam się już, że nasza wizyta uniemożliwiła jej spotkanie z kimś innym lub sprawdzenie postępów któregoś z przedsięwzięć. Przysięgłam sobie, że kiedy będę umierać, zrobię to w samotności i ciszy. Poczułam, jak lekko drgają kości jej dłoni.

- O czym myślisz, Roushano?

Wzruszyłam ramionami.

- Znalazłaś już to?

- Co?

Przymknęła powoli powieki, w ten sposób, w jaki zwykle to robiła, gdy uznawała, że coś zbyt wolno do mnie dociera.

- To co chciałaś. W życiu. W muzyce.

- Myślę, że tak - odpowiedziałam w zamyśleniu.

Wydała z siebie dziwny cichy dźwięk. Najpierw pomyślałam, że dostała jakiegoś ataku, lecz po chwili uświadomiłam sobie, że to śmiech.

- Pamiętasz jak spierałyśmy się co do twojego talentu? Gdy wybrałyśmy się w Fowey na zakupy?

- Tak. - Spojrzałam jej w oczy. Przez chwilę szłyśmy znów obie tymi wilgotnymi, pachnącymi rybami ulicami, przymierzałyśmy ubrania i tak, kłóciłyśmy się. A z nami był tam nie wspomniany tak jak i teraz, duch Leo. Nie musiałyśmy nawet wypowiadać jego imienia. Towarzyszył nam jak zawsze. - Tak, pamiętam.

Niedługo potem wyszliśmy, a Claude zajął się załatwianiem spraw związanych z naszym recitalem. Ja, wiedząc, że mój mąż - zawsze obawiający się o swoje zdrowie - nie czułby się tam dobrze, zaczęłam się dowiadywać o najłatwiejszy sposób dotarcia do Ahmadabadu Jeden. Pytałam w recepcji hotelu, próbowałam nawet znaleźć jakieś niedobitki UUN i zadzwoniłam do swojego agenta na subkontynent indyjski. Potem wyszłam na dwór. Południe już minęło. Panował wonny upał, a główne drogi były zatłoczone zrywami ruchu. Pełzły po nich rowery i autobusy. Kilka ciężarówek. Również taksówki. Zatrzymałam jedną z nich. Gdy spytałam, czy zawiezie mnie do Ahmadabadu Jeden, kierowca dotknął swych modlitewnych paciorków. Po czym skinął głową.

Dawne tymczasowe miasteczka slumsów nabrały aury trwałości. Kruche namioty i szałaszy zostały zastąpione przez beton, błoto i tynk, choć i tak przetykały je zaskakujące znaleziska wygrzebane ze zniszczonego miasta. A to okno, a to tył furgonetki, które razem przydawały scenerii wyglądu kolazu. Wszystkie te budowle były oddzielone od siebie szerokimi pasmami kwiecistej zieleni. Spojrzałam w niebo, szukając padlinożerców, krążących kiedyś nad cmentarzyskami Parsów, ale zobaczyłam tylko wróble i stado flamingów wzbijające się niczym różowy dym ponad niezbyt odległym jeziorem.

Natężenie radioaktywnego promieniowania zdążyło już w znacznym stopniu zmaleć i skurczył się martwy obszar w centrum Ahmadabadu Jeden, zamieszkały dawniej przez dalitów. Wciąż jednak było widać granicę, za którą nie było już domów, a droga stała się mniej równa, aż wreszcie taksówkarz zatrzymał wóz na niewielkim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na stare miasto. Słońce paliło nas promieniami. Wysiedliśmy i kierowca usiadł na głazie, a potem przetarł spocone czoło. Przeszłam na drugą stronę wzniesienia. W rozległej niece poniżej, otwierającej się ku błękitnej zatoce, nie zobaczyłam niczego poza miękko parującą zielenią. Jeśli dalitowie nadal tam mieszkali, musieli stać się zaginionym w nowej dżungli plemieniem.

Wybuchnęłam głośnym śmiechem. Pomyśleć, że to najsmutniejsze z miejsc przystroić się w takie barwy. Za kilka dni łupina ciała mamy miała zostać wykąpana, ubrana w biel i otoczona girlandami kwiatów. Potem ją pochowają i wszystko bez wątpienia rozegra się na oczach sensorów. Ale tak naprawdę myślałam o tym, co spotkało te absurdalne, nowoczesne skrzypce, które niegdyś wysłałam do Indii. Może gdzieś tam leżą, pogrzebane przez owady i oplecione pnączami. A potem przypomniałam sobie o dziecku, którego nie chciałam urodzić, dla dobra kariery, dla dobra muzyki. Zapłakałam i zrozumiałam, że występ, który właśnie organizował Claude, będzie moim ostatnim na wiele lat, oraz że chcę znaleźć dom, w którym naprawdę moglibyśmy zamieszkać. Razem z własnymi dziećmi.

\* \* \*

Claude był dość zaskoczony, gdy po pogrzebie mamy oświadczyłam, że musimy znaleźć dom w Kornwalii. Nigdy jednak nie był człowiekiem uciekającym przed zmianami i podobały mu się wycieczki rozpoznawcze po niewielkich, schludnych wioskach rybackich, które trwały na swym miejscu zbyt długo, by niedawne kłopoty świata mogły je obejść. Nic nie mogło być bardziej odmienne od prostych linii balkonów i syczących autostrad naszego mieszkania w Pekinie, ale to również było dobre. Powiedział, że okolica przypomina mu Cape Cod. Czytał „Oberżę Jamajka” i „Psa Baskerwilów” (Devon, nie Kornwalia, Dartmoor, nie Bodmin, ale przecież pochodził z innego kraju) i na powrót odkrył dla siebie dzieła Arnolda Baksa. Nie byłam w stanie dotrzymać złożonego po śmierci matki przyrzeczenia i grałam nadal. Poszukiwania domu - prowadzone w przerwach pomiędzy wypełnianiem moich zobowiązań i honorowaniem tych Claude’a - zajęły nam wiele miesięcy, większość których zmarnowaliśmy, szukając chatki pod Fowey, gdzie po raz pierwszy zatrzymaliśmy się z mamą i ojcem. Nie mogłam uwierzyć, że miejsce z pozoru tak trwałe mogło po prostu zniknąć. Claude był jednak na miejscu i pocieszył mnie. W Kornwalii odkrył nową przyjemność - własnoręczne prowadzenie samochodu po wąskich i krętych drogach. Już wtedy kupił sobie jakiegoś wiekowego MG czy austina healeya.

To był dla nas szczęśliwy okres. Kornwalijski krajobraz, w którym kości jesieni zawsze przebijają nawet przez najcieplejsze dni, sprawnie poradził sobie z latami ciemnego nieba po Yellowstone, a starożytne pejzaże pełne omszałych kościołów i mokradeł wciąż otwierały się przed nami, gdy badaliśmy porzucone farmy, nadmorskie wioski i niedorzecznie rozległe posiadłości. Spodobało się nam Padstow, Claude’a kusilo Saint Ives, które stało się na tyle tanie, że na powrót osiedliła się w nim gwarna kolonia artystów, lecz przez moje bezustanne marudzenie i obietnice, że gdy tylko skręcimy w prawo, na pewno natkniemy się

na ten dawny dom, raz po raz wracaliśmy do Fowey. I wtedy, pewnego dnia, znaleźliśmy Morryn, z dawna opuszczony i absurdalnie romantyczny, ciemniejszy na tle szkarłatnego nieba. Gdy tylko minęliśmy niski kamienny murek i podeszliśmy do czekających na nas okien, zrozumieliśmy że to miejsce dla nas. Gawrony krakały. Wrzeszczały mewy. Powiedzenie, że do własnego domu nigdy nie przychodzi się po raz pierwszy, nie jest prawdziwe. Właśnie wtedy to zrobiliśmy. Wydało się, że roześmiane, wyczekujące, już powstające, nasze nienarodzone dzieci wybiegają ku nam w ciemniejszym oddechu morza i charakterystycznym bukcie zapachów Morryn - woni zbutwiałego drewna i starych kamieni. Widziałam ich twarze, wąchałam zapach poduszek, na których leżały ich uspione głowy. Byłam pewna, że odziedziczą po nas to co najlepsze.

Mianowałam się nadzorczą remontu tego nowego gniazda. Po abstrakcjach muzyki cieszyło mnie to praktyczne wyzwanie. Claude wyjeżdżał i wracał. Jak się umówiliśmy, kontynuował światową karierę, podczas gdy ja swoją zawiesiłam. Gardząc myślą o powoływaniu dzieci na świat dzięki nowoczesnym technologiom, po minimalnej liczbie badań i medycznych interwencji, z przyjemnością zajęliśmy się staromodną metodą rozmnażania. Dla Claude'a, dla nas obojga, badawcze ekspedycje po Kornwalii stały się wręcz nałogiem. Teraz, gdy mieliśmy już dom, zaczęliśmy szukać samochodu. Stare sportowe wozy, jakie szczególnie sobie upodobał, były wówczas niebywale rzadkie. W którymś z pubów usłyszeliśmy historię o tym, że ktoś, gdzieś zostawił tego rodzaju maszynę w zapomnianej stodole, lecz niespecjalnie w to wierzyliśmy. Zadawaliśmy kolejne pytania, stawialiśmy dodatkowe kolejki, odwiedzaliśmy inne bary i tajemniczy samochód zyskał nawet konkretną markę - aston martin DB4 lub DB5 - od Claude'a wiedziałam, że różnica jest pomijalna - porzucony w niemal idealnym stanie przez miejscowego ekscentryka, odganiającego ciekawskich za pomocą strzelby - gdzieś pod St Austell, nie, nie - dorzucił inny głos w następnym pubie - pod Penzance.

Trafialiśmy w ślepe zaułki. Ryzykowaliśmy jazdę po osypujących się nad urwiskami szosach. Zatrzymywaliśmy się na wrzosowiskach i kochaliśmy. I wreszcie, pewnego szarego popołudnia, znaleźliśmy go. Dom był duży i zniszczony, ale zamiast zarośniętego starca, którego sobie wyobrażaliśmy, drzwi otworzyła nam młoda kobieta w rozpiętym kaftanie, ozdobiona srebrnymi drucikami wplecionymi w jej ciało. Miejsce okazało się rodzajem komuny, której członkowie udzielili nam bardzo niejasnych wskazówek co do samochodu. Domyśliliśmy się, że niespokojne lata naruszyły nie tylko stan własności rezydencji, lecz także wszelką pewność co do miejscowych dziejów. Niemniej, w podmokłym brzozowym młodniku, zupełnie jakby wyrosła z ziemi, a nie została tam przywieziona, wznosiła się



omszała górka, z której wystawało coś przypominającego boczne lustro. Następnie okazało się, że mieszkańcy domu dobrze znali wartość tego, co ponoć do nich należało, i zaśpiewali sobie mocno wygórowaną cenę.

DB przyjechał do Morrbyn tydzień później. Claude tymczasem kazał robotnikom wzmocnić konstrukcję starej stajni. Aston martin osiadł właśnie w niej - ledwie przypominał samochód, a co dopiero legendarną, niemal nieskazitelną gwiazdę motoryzacji, lecz mój mąż i tak był wniebowzięty. Uśmiechałam się wraz z nim, gdy badał poplamione boki, a rozbite i ślepe reflektory wpatrywały się w rzędy nowych stalowych narzędzi. Nie w pełni rozumiałam, jak można chcieć starożytny samochód nie po to, by nim jeździć, lecz by odbudowywać go praktycznie od zera. Pachnąc mchem i zgnilizną, sypiąc jesiennymi liśćmi rdzy, wiekowy DB gwizdał i skrzypiał, kiedy Claude oparł mnie o wgiętą maskę i zaczął pieścić i rozbierać.

Czy kobieta wie? Czy to musi być jakiś specjalny moment? Mogło się to zdarzyć za którymś razem na przestrzeni kilku poprzednich dni, zanim Claude wyjechał do nowej pracy, ale to właśnie była chwila, którą w naszej prywatnej mitologii uznaliśmy za moment poczęcia Edwarda. Wieść o ciąży okazała się dla mnie szokiem. Zawsze przedtem uważałam swe ciało za coś wyłącznie, najbardziej własnego i sama obcość objawów mdłości, opuchlizna i zmiana intensywności zmysłów - była dla mnie niepokojąca i irytująca. Co prawda, nigdy nie dotarłam do punktu, w którym życzyłabym sobie, by dziecko dojrzało w brzuchu jakiejś maszyny, ale byłam blisko, a nigdy bliżej niż podczas samego porodu i następujących po nim dni. Claudeowi udało się odwołać koncerty i inne zobowiązania, by być ze mną, choć wykazał się zaskakująco słabym żołądkiem. Nigdy nie uważałam, by mężczyźni i kobiety szczególnie mocno się od siebie różnili, ale teraz, gdy z otworów mego ciała wypływały krew i mleko, odniosłam wrażenie, że należymy do dwóch różnych gatunków. Prace w Morrbyn nie zostały jeszcze ukończone, Claude niedługo potem wyjechał do Sztokholmu, a ja żyłam we mgle tynku, kurzu i zmęczenia, potykając się o niebezpieczne elementy ambulatoryjnej maszynierii, próbując zaopiekować się piszczącym kawałkiem świeżego ciała, któremu nadaliśmy imię Edward, upamiętniając w ten sposób jednego z największych angielskich kompozytorów.

Maria przyszła na świat rok później, choć nawet gdy oboje mieli ile? - trzy lub cztery lata, to właśnie ona wydawała się tą starszą, bardziej odpowiedzialną i poważną. Dzieci. Rosną i zmieniają się tak szybko. Wystarczy mrugnięcie i siedzi się w starej kuchni z syczącą nową kuchenką, która na wystawie prezentowała się tak wspaniale, lecz w Morrbyn nigdy nie pracowała jak należy, a woń wilgoci, której próbowaliśmy się pozbyć przez całe lata, zniknął

sam z siebie. Kolejne mrugnięcie i wszystko to znika. Nikt jednak nie powiedział mi, że macierzyństwo będzie doświadczeniem samotnym i wypełnionym zajęciami - wirującym kalejdoskopem radości, wyczerpania, irytacji i chwil, gdy świadome ja zanika zupełnie i kiedy, sprząając resztki dawno porzuconych śniadań, uświadamiasz sobie, że całe dni minęły bez nawet jednej refleksji.

W pomieszczeniu, które stało się teraz częścią tej nowej kuchni, urządziliśmy pokój gier. Dzieci uwielbiały się w nim bawić o wiele bardziej niż na drabince, którą, świszcząc i sapiąc, jak zwykle przy tego rodzaju zajęciach, zbudował im Claude. Wspaniałość tego, co było wówczas najnowocześniejszą technologią, okazała się dla ich pokolenia odpowiednikiem telewizji czy Internetu, była też podobnie inwazyjna. Edward i Maria pławili się w oceanie holograficznej, kreskówkowej papki. Część owych programów - spora część - była bardzo zabawna. Wciąż mam sentyment do tych wesołych twarzy i dziwacznych głosów. Ale były też głośne, duże, natarczywie radosne i było ich tak wiele. Staralam się być uważnym rodzicem i nie używać pokoju zabaw w charakterze opiekunki do dziecka. Wchodziłam więc z nimi do tej celi o miękkich ścianach i pływałam w cukierkowych snach na jawie, aktywnie włączałam się do wszystkich ich gier, śpiewałam wraz z nimi. Już wówczas wiedziałam, że nie będę tak wspaniałą matką, jak zamierzałam, ale to robiłam przynajmniej z wielką pilnością - śmiałam się z nimi z ich cyfrowych przygód. Potem udawaliśmy się do Fowey, gdzie siadywałam na zwijanych matach z tymi kilkoma innymi samicami o pustym wzroku, które podjęły coraz rzadszą na świecie decyzję o posiadaniu potomstwa. Z powrotem w domu wydawałam zmiksowaną papkę, która była jedynym pokarmem, jaki Edward i Maria chcieli jeść aż do dwudziestego roku życia. Zbyt zmęczona, by gotować cokolwiek innego, jadłam to wraz z nimi.

Każdego wieczoru z pokoju zabaw dobiegały różne dziwne odgłosy, a ja czekałam, aż ta głupia nowa kuchenka przynajmniej wpadnie na pomysł, by zagotować wodę. Potem pora kąpieli - połączona z pościgiem przez cały dom - i ostatnie przed snem piętnaście minut (ani sekundy więcej) w pokoju zabaw. I hop-siup po schodach na górę. I do łóżka, łóżka, łóżka, łóżka, łóżka... I - tak - bajka. Tylko jedna. A potem, gdy wreszcie spali spokojnie, z drugiego końca świata dzwonił Claude, odgrywając czulego ojca, którym rzeczywiście był. Dzieci budziły się, podekscytowane jego żartami, obietnicami prezentów i gier. Ostatnią rzeczą, jakiej chciały, gdy wreszcie rozmowa dobiegała końca, był powrót do sypialni. Okej. Jeszcze jedna bajka. Buziak. Ich słodki zapach talku. Ich oczy, błyszczące w ciemności jak ślepie dzikich, nieujarzmionych zwierzątek, którymi przecież byli. I ja, wracająca na dół, z

pewnością, że niedługo z chichotem zakradną się za mną. Nie byłam doskonałą matką, nie - i to bolało - ale wreszcie mogłam się poświęcić wytęsknionym skrzypcom.

W uszach mi huczało. Piekły mnie oczy. Palce i mózg drętwiały. Widziałam tylko świecące modele dinozaurów. Słyszałam jedynie krzyki i świergocący rytm mojego wyczerpanego serca. A chciałam przecież tylko chłodnych, wyrazistych konstrukcji Mozarta i Bacha. Boże, jak ja tęsknię za tymi czasami. Boże, jak nienawidziłam uczucia, że nie jestem tą osobą, którą chciałam być. Wydzielając papkę w pokoju zabaw lub zaparowanej, niewielkiej kuchni - zagraconym centrum naszego domu, z kuchenką martwą lub wściekle ryczącą, porozrzucanymi wszędzie papierami i zabawkami - bo Claude wystawiał właśnie w Cape Town *Pierścień Nibelungów* i zostałam sama z dziećmi. Ta pieprzona, bezużyteczna kuchenka. Nigdy nie byłam tak zmęczona, tak spragniona ani tak szczęśliwa.

\* \* \*

Adam wciąż siedzi obok mnie. Miętko zakreśla palcami kształt mej kruchej, pustej skroni i pyta:

- Chcesz teraz skończyć?

Wiem, że robi się późno. Pogoda szykuje coś bardzo paskudnego - czuję to w swych kornwalijskich kościach. To będzie jedna z tych nocy, gdy okna grzechoczą i zasypia się ze sztormem w duszy. Białe pędzące chmury dostają się do snów. Czuję, jak morze kąsa i szarpie brzegi. Pewnej nocy, długo po tej, kiedy nie będzie mnie to już obchodziło, także i Morryn da się pożreć. Ale nie czuję smutku na myśl o tych starych murach i wszystkim, co należało do mnie, targanym przez wyjące ramiona wichru. Moje wspomnienia, wszystko to, czym jestem, przetrwają o wiele dłużej niż jakikolwiek kamień.

Kręcę głową.

- Nie mam już zbyt wiele do opowiedzenia.

- Jesteś tego pewna? W końcu zostało tyle lat.

- Nie liczą się lata, Adamie. Czas nie zwraca na nie uwagi. Płynie szybko, potem zwalnia. Są też szare okresy, gdy wydaje się, że w ogóle nie mija.

Przygląda mi się z niepokojem. To sztuczka, którą nauczyłam się przeciw niemu stosować - mówię o czasie i pamięci, a on nie jest w stanie znaleźć na to odpowiedzi.

- Przepraszam... - wzdycham.

- Za co mnie przepraszasz?

- Żałuję, że nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Życie nie jest jedną, niepodzielną historią. Zwłaszcza kiedy się starzejesz - choć, by to zrozumieć, wcale nie trzeba osiągnąć

mojego wieku. Nie można go zawrzeć w jednej opowieści, nie wyraża się jedną prawdą. Powiedziałam, że nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa niż wtedy, gdy moje dzieci były małe. I to była prawda. Ale mogłabym też powiedzieć, że ich nienawidziłam, a ten dom stał się dla mnie więzieniem, i również bym nie skłamała.

- Posiadanie dzieci wywołuje złożone emocje - potakuje. - Tyle rozumiem.

- Ale to, co ja o nich myślę, co pamiętam, nie ma żadnego znaczenia... Urywam, zdumiona dziwnym echem własnego głosu. - Moje dzieci wciąż chodzą po świecie. Żyją. Och, mogłabym opowiedzieć o nich wiele więcej. Mogłabym cię zanudzać ich studiami, ich rysunkami i niezliczonymi zdjęciami z rodzinnych albumów. Mam całe półki prac Marii - szkice węglem przypominające jesienne, mgliste krajobrazy, kolaże wyglądające jak witraże. To wszystko czeka gdzieś tam, w rogu pokoju. Mogłabym mówić o szczęśliwych chwilach nad Bezzant Bay, ale o tym już chyba opowiadałam...? Adamie, chodzi o to, że oni oboje jeszcze nie umarli i są w stanie sami o sobie opowiedzieć. Mają też własne wspomnienia i oceny. Nie potrzebują mnie do porządkowania tego wszystkiego. Nie mogę się mianować ich kronikarką. A kiedy już... - Wysuwam dłoń spod koca i wykonuję nieznaczny gest. - Kiedy już przejdę na drugą stronę, wciąż będziemy mogli ze sobą rozmawiać. Co więcej, będziemy rozmawiać częściej. Ja stąd zniknę, ale oni pozostaną. Ty również. Pomyślałeś o tym, Adamie? Stałeś się teraz częścią mnie. Taką samą jak... - waham się przez moment - ...jak wszyscy inni. Tyle że ty jesteś tutaj. Nie musisz nabierać realności za pośrednictwem tej rzeczy w moim mózgu.

Adam przytakuje skinieniem. Znów patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Ale powiedziałas - odzywa się tak cicho, że ledwie go słyszę - że nie chcesz przerywać...

\* \* \*

Claude zajmował się wieloma sprawami. Nigdy nie było to tylko jedno miejsce, fascynacja czy projekt, lecz zawsze kilka naraz. Zawsze, bez przerwy parł naprzód. Gdyby to on tutaj siedział, gdyby robił to, co ja, działałoby się to w zamieci informacji, przyjaciół, zainteresowań, teorii, koncertów. Morryn nie byłoby puste, urządziłby jedną ze swoich słynnych imprez, które ciągnęły się przez wiele dni, a śpiących lub robiących co innego ludzi znajdowałabym w najbardziej zaskakujących zakątkach domu. Dla niego śmierć byłaby kolejnym występem, jak wszystko inne...

Oczywiście miał swojego DB, który spędził długie lata rozłożony na miriady części i jeszcze mniej przypominał samochód, niż wtedy, kiedy się tu po raz pierwszy pojawił.

Zupełnie jak goście jego imprez, dziwne metalowe elementy, nowe narzędzia, drogie szyby, pojemniki z farbą i niebezpiecznymi substancjami, trafiały na korytarze i do szafek Morryn. Kiedy dzieci były małe, narzekałam na to, twierdząc, że cały ten sprzęt stwarza dla nich zagrożenie. Im jednak nigdy to nie przeszkadzało - lubiły bałagan. Szczególnie Maria. Wydaje mi się nawet, że to charakterystyczne dla niej wyczucie przestrzeni, unaoczniające się teraz w jej budynkach, zrodziło się właśnie podczas tych długich popołudni, spędzanych na gapieniu się na jakąś niesamowitą część silnika, którą Claude akurat zostawił w kuchni. Dla nich był to po prostu jeden z aspektów osoby ojca, a zatem ich własnego życia.

Czy znienawidziłam DB? Oczywiście, cholera, że tak - każdy by go znienawidził. Musisz jednak zrozumieć, że czasami nienawidziłam też Claude'a. Niekiedy nim gardziłam. Ale kochałam go równie głęboko, podobnie jak ten samochód. Wtedy, kiedy wreszcie po raz pierwszy włączył silnik, albo w ten letni dzień, gdy znaleźliśmy odpowiedni gaźnik na złomowisku w Truro: tego rodzaju momenty nie były szczęśliwe, tylko dlatego że Claude był zadowolony. Ja także byłam wówczas szczęśliwa. Czasami śmiałam się w głos na wieść o kolejnym absurdalnie małym sukcesie, który wprowadził w zachwyt nas oboje. Niemniej jednak, gdy po wielu nieudanych próbach, udało się wreszcie uruchomić DB, nastąpiło święto nad świętami - co prawda, mechanizmu nigdy nie udało się doprowadzić do idealnego stanu, ale przynajmniej można było tym samochodem wyjechać z garażu i przejechać kawałek po kornwalijskich szosach.

Z tej szczególnej okazji przyjechały do domu dzieci. Edward oderwał się od londyńskiej pracy, skąd wyniósł swą nonszalancję, która tak bardzo działała na dziewczyny, a Maria pojawiła się, by odetchnąć po pierwszym z wielu krótkich, lecz intensywnych związków z kobietami. Ten akurat rozpadł się podczas jakiejś akcji charytatywnej w slumsach Nowego Jorku. DB lśnił. Na powrót stał się samochodem. Wybornie pachniał czystym metalem i świeżym olejem. Wszyscy wokół niego chodziliśmy, szczerze zaskoczeni i zdumieni. Claude, dumnie stojący przy masce, otworzył butelkę szampana i opryskał nim srebrny lakier, a potem rozlał napój do naszych kieliszków. Śmiałyśmy się - nawet Maria - upojeni jedynie tą chwilą, a potem z powagą wygłosiliśmy toasty na cześć samochodu.

Wreszcie nadeszła pora, by otworzyć drzwiczki i wśliznąć się na miękkie siedzenia, w świeży aromat orzechów i skóry. Maria i ja wcisnęłyśmy się na tylne siedzenie niczym rozchichotane podlotki, a obaj panowie zasiedli z przodu tego pozbawionego wieku, staromodnego wozu. Pokonanie drzwi garażu okazało się o wiele większym wyzwaniem, niż którekolwiek z nas przewidywało. Przedtem, przez długie lata, nikt nie otwierał ich na oścież - chyba nawet od momentu przyjazdu DB. Wskutek ich oporu całej imprezie groziło fiasko,

lecz Claude, kreatywnie posługując się kluczem francuskim, zdołał je wreszcie rozewrzeć i - jeśli nie liczyć siwych pasemek w jego włosach - wyglądał w tej chwili na równie wysokiego i silnego jak tej pierwszej nocy, gdy ujrzałam go na scenie paryskiego klubu. Machnął tym kluczem niczym policjant pałką i zgiął się przed nami w wyrafinowanym, kpiarskim ukłonie. Chwila doskonała.

Dzieci mogły zostać z nami tylko na dwa dni, choć były to jedne z najlepszych dni w dziejach ludzkości. Najczęściej prowadził Claude, ale, naturalnie, swych sił próbowaliśmy wszyscy. Samochód śledziły ludzkie spojrzenia. Nigdy przedtem nie widzieli - dosłownie - niczego podobnego do DB. A małe samochody, te straszne nowoczesne pojazdy samobieżne - podobne do tego, którym udam się jutro do Bodmin - zatrzymywały się lękliwie, gdy tylko zauważały szeroki uśmiech aston martina. Jeździliśmy nim na pikniki. A może to on nas tam zabierał? Podejrzewam teraz, że nie było aż tak pięknie ani łatwo, nie zawsze bowiem udawało się DB uruchomić, a zdobywanie benzyny nigdy nie przychodziło bez trudu - tak je jednak zapamiętałam i takimi zostaną na zawsze.

Jeśli chodzi o muzykę, znów nastał dla mnie pomyślny okres. Wtedy, gdy dzieci wyszły z domu i wiodły już własne życie, mogłam wrócić do grania. Po latach wypełnionych galaretkami, godzinami w pokoju zabaw i nastoletnimi napadami szału i niepewności, okazało się, że naprawdę lubię podróże, zamieszanie i hotele. Świat się odradzał i występy, momenty, kiedy ludzie słuchali moich skrzypiec, wydawały mi się przedłużonymi wakacjami. Claude był wówczas zajęty swą słynną współpracą z LSO, więc często grywałam z innymi akompaniatorami, nowymi dyrygentami i poznawałam świeży repertuar. Cieszyły mnie nawet pojawiające się z tej okazji napięcia, dzięki którym tym bardziej radowałam się na kolejny występ z Claude'em. Wiedzieliśmy już wówczas, że jesteśmy wspaniałym duetem - nie wątpił w to nikt - i nasza muzyka pieczołowicie to odzwierciedlała, choć w owym okresie byłam słynna już sama, nawet bez tych zimnych fajerwerków mojego poprzedniego wcielenia, z którym objechałam świat. Zauważyli to również recenzenci - pisali o nowej świeżości i człowieczeństwie.

Dla Claude'a były to lata mahlerowskiego cyklu, który od dawna sobie obiecywał. Jako pianista solowy, oderwał się od instrumentów perkusyjnych. Solowy recital Claude'a Vaudina z tamtego okresu nie mógł nie zawierać...

\* \* \*

- Po co mi o tym opowiadasz? - przerywa mi Adam. Wstaje i przechadza się po pokoju muzycznym, pozbywając się napięcia, które wkradło się w jego wielkie ramiona.

- Wiem, że interesujesz się muzyką. Wiem też, że wyobrażasz sobie, że to rozumiesz, ale to naprawdę była najważniejsza część naszego życia. Oczywiście, nie licząc dzieci...

- Tak, rozumiem to. Dlaczego miałbym nie rozumieć, zwłaszcza po wszystkim, co usłyszałem? Nie pytam o to. - Wskazuje na nagrody, książki, nagrania i inne starożytne media, którymi ozdobiła ściany. - Jak myślisz, co robiłem przez cały zeszły tydzień? Czytałem wywiady, Roushano. Słuchałem nagrań. Znam wszystkie wasze ważniejsze koncerty i wiem, gdzie się odbyły. Znam dobre i złe recenzje. Twoje życie, jego publiczna część, jest dostępne dla wszystkich.

- Skoro tak...

- Skoro tak, powinnaś mi powiedzieć prawdę.

- Prawda nie jest...

- Prawda nie jest czymś, czym można się zabawiać i interpretować na różne sposoby.

To nie koncert!

Za jego plecami wzbiera deszcz, może nawet ze śniegiem, lepi się do okien. Adam nabiera sił na wietrze.

- Co dokładnie chcesz ze sobą zabrać, Roushano? Te błyskotliwe wywiady - wspaniałe momenty z najlepszych i najgorszych występów - czy może te, o których zapomniała już widownia i ty sama? W końcu, w muzyce nie chodzi jedynie o rozrywkę, tylko o granie, prawdziwe granie na instrumencie nie jest po prostu pracą. To tak jak z książkami i obrazami. Cholera, jak sama powtarzasz, muzyka to tylko dźwięk. Tak jak ten dom, w którym tak przy okazji, cuchnie nieco szczynami, czy ten samochód ze swoim... - sztorm zagłusza jego słowa, wiatr krzyczy i szaleje - metalem i marką i aluminiową karoserią. Zresztą, jak żeście się we czworo zmieścili na dwóch siedzeniach? Niemniej, myślę, że jeśli się coś kocha tak bardzo, to sam ten przedmiot ulega zmianom. A przecież ten wóz, o ile dobrze pamiętam to, co przeczytałem, stał się trumną Claude'a. A może to również wolałabyś magicznie przemilczeć? Lub obrócić w jeden z podrabianych klejnotów swojej pamięci?

Wicher huczy i dmie w Morryn. Ostro, bardzo ostro.

- Co mam ci powiedzieć?

- Chcę, żebyś mi powiedziała - szepcze Adam na tle burzy - co się stało z Claude'em.

\* \* \*

To wszystko wina Beethovena. Przed nim, wielcy kompozytorzy, jak Bach czy Haendel, prowadzili orkiestry, grając na swych instrumencie. A potem pojawił się Ludwig. Był niezdarny, wiecznie zdezorganizowany, miał tendencje do napadów wściekłości i płaczu,

a poza tym - o czym wiedzą wszyscy - był głuchy. Jasne więc stało się to, że inni lepiej poprowadzą wykonania jego coraz bardziej złożonych utworów.

Nie, nie wdam się tutaj w przydługi wykład na temat roli dyrygenta w procesie odtwarzania muzyki klasycznej, ale jeśli chcesz poznać Claude'a, musisz jedną rzecz zrozumieć. Dyrygenci to wytwór epoki Romantyzmu - dzieci wielkich gestów, rozbuchanego ja, wielkich kontraktów, potężnych czupryn. W jakiś sposób, nawet gdy Romantyzm przeminął, udało im się pozostać w centrum wydarzeń. Wciąż wymachiwali rękoma za pulpitem, nadal fotografowali się z prezydentami, co miało nam przypominać jacy są ważni. Poza jednak rozmyślnie skomplikowanymi dziełami romantyków - z których każdy był również i dyrygentem - nie istnieje zbyt wiele kompozycji, do których wykonywania byłaby niezbędna obecność prowadzącego. Słyszałam doskonale wykonania utworów Bacha, wspaniałe nagrania dzieł Messiaena i oszałamiające koncerty muzyki Nordingera, grane przez orkiestry, przed którymi nie stał mężczyzna z batutą. Bo to zawsze jest mężczyzna. Tacy właśnie są dyrygenci - są wielcy, romantyczni, próżni i męscy. Zrozum jednak, że w głębi tego ogromnego ego zawsze kryje się zwątpienie, niepokój, może nawet ta nieprzyjemna pewność, że muzyka trwałaby i bez nich.

Claude wkroczył na tę scenę dość późno. Przed nim było tak wielu wielkich do naśladowania, tak wiele kluczowych interpretacji, że obranie konkretnego kierunku nie mogło mu przyjść bez trudu. To właśnie, jak sądzę, tłumaczy jego wieczne nieukojenie. Bez względu na to, czego dokonał, jak daleko się posuwał, zawsze ktoś inny, jakiś facet we fraku, zrobił to już wcześniej. Z tego więc powodu Claude postanowił swym znakiem firmowym uczynić ciemną skórę, amerykańskość, społeczne zaangażowanie, urodę, posługiwanie się francuskim, granie jazzu, włączenie się po tanich barach i mieszkanie w Paryżu. Poza barwą skóry, której sobie nie wybrał, nie były to cechy szczególnie wyjątkowe, lecz Claude zanurzył się w nich, jakby należały tylko do niego. Poza tym miał szczęście znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Yellowstone zmieniło wszystko, ale kilka lat potem - choć wydaje się to zdumiewające - muzyka klasyczna znów stała się modna, i to w stopniu, jakiego już zapewne nigdy nie osiągnie. Ludziom znudziły się wirtualne rozrywki i mocne uderzenie. Zapragnęli ładnie się ubierać i wychodzić wieczorami, by przyglądać się żywym muzykom, grającym coś, co mimo wieku brzmiało świeżo. Istnieli też trendsetterzy w rodzaju Harada oraz wszyscy inni muzycy, w większości dawno już zapomniani, lub pamiętani wyłącznie dzięki swym dziwactwom, a nie sztuce. Na szczęście, mieliśmy Nordingera, a nie sądzę, by można było oczekiwać, że na przestrzeni jednego pokolenia pojawi się dwóch ponadczasowych geniuszy.



Tak więc Claude, który nigdy nie zajmował się niczym, jeśli nie pochłaniało go to bez reszty, uczynił swym leitmotivem Paryż, a jeśli Paryż kojarzył się wówczas z czymkolwiek - gdy mijały lata, mity się rozrastały, a ludzie zaczęli przychylnie spoglądać na ten złoty wiek - kojarzył się z Karlem Nordingerem i jego doskonałą *Czwartą symfonią*. Claude oczywiście kochał ten utwór, ale z równą mocą go nienawidził i - gdy inni dyrygenci uczyli się na jego błędach, które popełniał, podchodząc do ewoluującego dzieła, a generacja krytyków o wiele mniej obrazoburczych niż Harad Le Pape ogłosiła je, słusznie zresztą, arcydziełem - czuł się przez *Czwartą*... udręczony o wiele bardziej, niż kiedykolwiek śmiał to przyznać.

Mimo jego nowatorskich reinterpretacji Elgara i ponownego odkrycia Blorega, to właśnie z tą symfonią kojarzyli go wszyscy, których spotykał na swej drodze. Był tym słynnym Claude'em Vaudinem, który zepsuł premierę jedyne arcydzieła muzyki symfonicznej z dwudziestego pierwszego stulecia.

Claude czuł się rozdarty. Ta paryska era pasowała mu tak bardzo, że nie potrafił się od niej odciąć. Z drugiej strony, często próbował stworzyć jakieś nowe środowisko, które zastąpiłoby mu tamto, ale wtedy historia się powtarzała - zawsze pojawiał się jakiś nowy trend, inna filozofia, nowy sposób życia lub nowa moda - a efekt tracił swą moc, w miarę jak Claude się starzał. Poza tym nieco przytył. Czasami, mimo mojej niesłabnącej bliskości, nie zauważałam nawet jego nowej fascynacji, aż do momentu, gdy wygasła. Ze mną sprawy wyglądały o wiele prościej. Miałam swoje skrzypce, a potem miałam dzieci. On jednak był na stałe przykuty do Paryża, do tych wspaniałych czasów niebotycznej klapy i fantastycznych sukcesów, których nie chciał zostawić za sobą.

Po Yellowstone, po wyborze Mathilde, po aferze z Christosem i po fiasku premiery symfonii, coś musiało się między nami zmienić. Teraz o wiele lepiej niż wówczas rozumiem, że zaczęłam się szykować na to, że go stracę. Schemat już znałam. Claude podchodził do kochanek tak jak do swoich pozostałych pasji i chwile, kiedy zaszczycał którąś swoją uwagą, były wspaniałe, lecz - jak się wydawało w nieunikniony sposób - krótkie. Po tamtej nocy jednak coś się w nim zmieniło. Pod wieloma względami stał się bardziej hałaśliwy i nadęty, stał się w większym stopniu słynnym Claude'em Vaudinem, a ten Claude, którego znałam ja, spokojniejszy, prawdziwy mężczyzna, ukryty za parawanem władzy i blichtru, stracił pewność siebie i bardziej potrzebował innych. Można pewnie powiedzieć, że miałam szczęście, o ile było to szczęście. Gdyby w Paryżu cokolwiek potoczyło się inaczej, mogłabym go stracić. Zamiast jednak odkochać się we mnie i zatracić w jakiejś nowej namiętności, Claude Vaudin zaczął mnie traktować jak schronienie, do którego wracał z ogarniętego zimą świata.

Wciąż nie jestem pewna, czy naprawdę byłam dobra w pocieszaniu. Nie wiem, czy mój umysł, serce i ciało wystarczały do uleczenia go ze wszystkich frustracji i cierpień. Miłość, czymkolwiek naprawdę jest, zawsze stanowiła dla mnie tajemnicę: to coś, co się czuje - o ile w ogóle jedynie wtedy, gdy już prawie umknęło. Czy kiedykolwiek byłam ciepła i kobieca? A może naprawdę jestem zimna jak ton, który ludzie zawsze słyszeli w mojej muzyce. Może dlatego nie potrafię obdarzyć Edwarda i Marii taką samą bezwarunkową miłością, jaką darzyli mnie rodzice. Czy Claude został ze mną, ponieważ kochałam go wystarczająco mocno, czy może dlatego, że bał się, że go nie Kocham wcale? To mogłoby wiele wyjaśnić. Napady gniewu, pretensje, zerwania...

Poza tym, Claude lubił się napić. I to w niemałych ilościach. Ja zresztą też. Nawet po Paryżu, nawet gdy już mieliśmy dzieci, alkohol pozostał częścią życia z Claude'em. Prawdę powiedziawszy, porządne wspólne upicie się stało się naszym rytuałem, nieodmiennie towarzyszącym nostalgicznym powrotom do siebie. Pewnego dnia jednak zdałam sobie sprawę, że wytrzeźwiacze przestały na mnie działać i że ta rozrywka niekorzystnie wpływa na moją muzykę. To wystarczyło. Przestałam, ot tak, po prostu. Od tego momentu alkohol stał się kolejną z dzielących nas barier, której Claude nie był w stanie pokonać. „No proszę, Roushano. Spróbuj tylko. To jedno z ostatnich na świecie kalifornijskich win. Czuje się w nim tamto utracone słońce”. Jednakże, im droższe trunki wędrowały do jego piwniczki, tym mniej byłam skłonna mu ulegać. Tak więc Claude wypijał te kosztowne wina - często po kilka butelek - sam.

Wiesz, to nie jest łatwe. Życie, sława, bycie wielkim talentem, przystojnym mężczyzną, świadomość, że najlepsze czasy bezpowrotnie już przeminęły. No i bycie Amerykaninem, to także. I nie chodziło tylko o to, że stracił rodziców. Umarli z pewnością szybko i był to rodzaj błogosławieństwa. Gdy między dawnymi stanami USA rozgorzała ta straszna, brudna wojna, nie miało znaczenia to, po której stronie się opowiedziałeś. Wkrótce nie istniał już kraj, który można było nazywać Ameryką, a przecież dotąd stanowiło to część prawdziwego ja Claude'a. Ta pasja, ten optymizm i przekonanie, że można dokonać wszystkiego. I wszystko to odeszło, zniknęło miejsce, do którego mógł powracać, szczególnie że odwiedziny w tym, co zostało z jego ojczyzny, były dla niego bardziej bolesne niż indyjskie wycieczki dla mojej mamy.

Musiały więc mu wystarczać nowe pasje, nowe orkiestry. Urządzał też owe sławetne imprezy i, tak, miał swojego DB. Pamiętam jego krótki, płomienny romans z muzyką Bowiego z okresu *Thin White Duke*, gładkie, bezduszne dźwięki, melodie wyśpiewywane przez białego londyńczyka zagubionego w kokainie i Los Angeles, pożąta i blichtr, nic

więcej. Claude nie chciał słyszeć ani jednego krytycznego słowa na temat tych piosenek. Zdobył też gdzieś tę maszynę - rodzaj odtwarzacza kaset zwany magnetofonem. Zainstalował go w desce rozdzielczej swojego DB. Najczęściej włączał jedną konkretną piosenkę - *Young Americans*. Śpiewał ją na cały głos, śpiewał o tym, że żyje się przez dwadzieścia lat, a przez następne pięćdziesiąt już tylko umiera. Śpiewał, prowadząc, niebezpiecznie trzymając kierownicę jedną ręką. Często podpity.

I nie był to tylko alkohol. Od samego początku. W swym pędzie, by nadążyć, Thin Black Duke, który nie do końca mieścił się już w swoich eleganckich garniturach, ponieważ hormony dietetyczne przestawały działać pod wpływem wytrzeźwiaczy, Claude nigdy nie rezygnował z kolejnego odlotu. Owszem, nie ryzykował nadmiernie - zawsze kierował się pewną dozą rozsądku - ale nie potrafił pominąć żadnej szansy na ciekawe doznania. Kiedy pojawiał się tu, w Morryn, musiałam przywyknąć do wielu różnych Claudeów. Zawsze znajdował jakąś furtkę i wszystko tłumaczył, ale potem pojawiał się ten inny Claude. Nigdy jednak nie usprawiedliwiał się po prostu tym, że narkotyki upośledziły jego zdolność myślenia. Zresztą, niektóre substancje działały wręcz odwrotnie, na przykład te, które pozwalały ujrzeć własną, prywatną wersję Boga.

Claude próbował wszystkiego, a przynajmniej tak twierdził, ponieważ snucie opowieści, popis zawsze był dla niego wart przynajmniej tyle samo, co prawda. A był w stanie - był w stanie zażyć wszystko. Był wielki i silny, i był Claude'em Vaudinem. Ja tymczasem, będąc sobą, wycofałam się, mówiłam niewiele i pozwalałam mu to robić, wiedząc, że jakiegokolwiek inne podejście jedynie wszystko pogorszy. Bez względu na to, jak daleko wyjeżdżał, wiedziałam, że i tak wróci, mimo że niektóre jego podróże były bardzo dziwne. Pamiętam pewien jego powrót z Singapuru, z czymś, co - był o tym absolutnie przekonany - miało pozwolić nie tylko na wzmocnienie kreatywności, ale także na poznanie duszy drugiego człowieka. Siedząc obok niego na łóżku, modląc się, byśmy się po prostu pokochali i zasnęli, zobaczyłam, jak otwiera niepozorną, metalową puszczkę wielkości paczki zapalek. W środku znajdowało się coś, co przypominało dwie niewielkie pistoletowe kule. Po chwili zaczęły się nieznacznie poruszać.

- Nie wygląda obiecująco - przyznał - ale doznania, jakie się po tym ma, są zupełnie wyjątkowe. Nie zmieniają świadomości, tylko zbliżają do siebie dwa umysły. Dzięki nim można dzielić się snami...

Wiedziałam już, że tego nie spróbuję, zwłaszcza że Claude uprzedził, iż należy pozwolić tym „pociskom” wpelznąć do ucha.

- To po prostu małe nadajniki. Tworzą całościowy obraz, skan śpiącego mózgu, i przesyłają go do odbiornika drugiej osoby. Wyobraź sobie, jak to wpłynie na świat. I będzie fajnie, Roushano. Będzie super.

Nie mogłam się nie zastanawiać, z kim Claude zdążył już wypróbować te rzeczy, skoro wiedział, jak cudowne doznania oferują. I dlaczego miałabym ryzykować zdrowie własnego umysłu i słuchu, tylko po to, by sprawdzić jakąś techniczną nowinkę? Ale Claude oczywiście musiał mi to zademonstrować. Pochylił głowę i pozwolił jednemu z „pocisków” wwiercić się do ucha, jakbym po tym pokazie mogła poczuć się pewniej. Potem, z początku w żartach i stopniowo ostrzej, próbował mnie nakłonić, bym zrobiła to samo. Wybuchła kłótnia i pamiętam, że pod koniec wściekle deptałam urządzenie. Zaciekle miażdżyłam obcasem delikatną elektronikę, która próbowała uciec przede mną, pelzając po podłodze.

Tę noc spędziłam na dole, na sofie. Leżałam, wpatrując się w sufit, i myślałam o tej rzeczy w jego głowie, o tym, że wysyła sny, których nikt nie mógł odebrać, że wysyła je na przeobrażony i wrogi świat.

W tamtym okresie Claude, po raz pierwszy od lat, podjął publiczne koncerty fortepianowe. Zniknęły jednak paryskie jazzujące, perkusyjne eksperymenty ze strunami. Wtedy zależało mu na nowej prostocie i zajął się przede wszystkim najwspanialszą dla solisty muzyką, czyli oczywiście Chopinem. Nieco schudł, otrzeźwiał, kupił kilka bardziej pasujących fraków, włosy uczesał z pożyczką, która zasłaniała łysinkę (był zbyt próżny, by pozbyć się jej medycznie) i wyruszył na ponowny podbój świata.

Zaskoczyło mnie, że krytycy pamiętali jeszcze Chopina i Claude'a na tyle, by wydać tak surowy werdykt. W skrócie, uznali go za dyrygenta udającego pianistę, a najgorsze z tego było to, że Claude zdawał sobie sprawę, że mają rację. Wrócił oklapnięty do domu, odwoławszy połowę występów. Był tak przygnębiony jak nigdy. Pokorę i trzeźwość diabli wzięli. Rozwinęło się w nim wówczas też pewne uczucie wobec Leo. Rodzaj zazdrości, jak sądzę. Zapewne opowiedziałam mu kiedyś o tym, jak słuchałam *Preludium deszczowego* w noworoczny poranek, więc Claude upił się do tego stopnia, by zasiąść do fortepianu i zagrać je dla mnie, a potem spytał, czy był równie dobry jak mój zmarły brat. Oczywiście, że nie był - jak mogłam mu powiedzieć cokolwiek innego, skoro, jeśli chodzi o muzykę, zawsze byliśmy wobec siebie absolutnie szczerzy? W najgorszych momentach Claude uznawał Leo za swego największego muzycznego konkurenta: Aszkenazego, Barenboima, Previna, Goulda i Keitha Jarreta w jednym...

Co jeszcze mogę powiedzieć? Ile opowieści o Claudzie chciałbyś usłyszeć? Wiesz przecież, co się stało - wiesz, ku czemu to wszystko zmierza. Teraz, kiedy wszystko już się

dokonało, łatwo powiedzieć, że można to było przewidzieć. Claude pił. Claude kochał swojego DB tak bardzo, że czasem, gdy nie było go w domu, wsiadałam do tego samochodu i wdychałam woń skóry, by poczuć się bliżej męża. Zdarzały się niebezpieczne noce, kiedy zgadzałam się z nim pojechać, z obawy przed tym, co mogłoby się stać, gdyby wyruszył samotnie. Planował - i niekiedy wydawało się, że rzeczywiście w to wierzy - zainstalować w DB karabiny maszynowe i siedzenie z katapultą, co spełniłoby marzenie o wozie Jamesa Bonda. Pojawiły się wszystkie te szalone teorie - takie, które za młodu nazywał reakcyjnymi nonsensami. Za najlepszy lub najgorszy uważałam jego pomysł, że eksplozja Yellowstone została wywołana przez podłożoną przez Arabów bombę atomową. Ale to nie był Claude, to nie był mój Claude, mężczyzna, którego nadal kochałam i z którym wciąż chciałam żyć do końca. Pamiętam też drogocenne chwile - miękkie poranki, spacery po plaży, wspólne koncerty w pokoju muzycznym czy zwykły seks, kiedy tamten Claude się jeszcze pojawiał.

Claude nie musiał zginąć. Śmierć po niego przyszła, ale nie musiała. Miał jeszcze tyle do powiedzenia, a ja kochałam go tak bardzo... To była zwykła noc - przynajmniej w Morryn, pogoda bowiem była wtedy równie paskudna jak teraz. Wróciłam z miasta dość późno, zmarznięta i przemoczona deszczem. Przebrałam się i zjedliśmy w starej kuchni. Claude - jak zwykle - napił się wina. Byłam zmęczona. Teraz myślę, że dopadła mnie jakaś choroba - jedno z tych głupich, podstępnych przeziębień, których nigdy nie nauczyli się leczyć. Siedzieliśmy tu przez chwilę, ale powiedziałam, że chcę się wcześniej położyć, wstałam z sofy i podeszłam do stojącego przy biurku krzesła. Pochyliłam się i pocałowałam go w czoło. Gdy dotarłam na górę, wciąż słyszałam, jak się krząta, a potem podnosi skrzydło fortepianu. Zaczął grać. Nic szczególnego. To nie był żaden konkretny utwór. Zapewne nie myślał nawet, a tylko sączył wino i brzdąkał, choć Claude często grał piękniej i z duszą, właśnie w takich razach, a nie wtedy, gdy bardzo się starał. Jeśli udałoby się komuś uchwycić i zatrzymać tę chwilę, zdobyłby istotę tego, kim był mój mąż. Spokojny, zrelaksowany, czarujący, kompletny. Męczył mnie katar i ból głowy i z jednej strony, chciałam, by po prostu przyszedł do łóżka, a z drugiej, cieszyłam się z tego, że mogę leżeć i słuchać delikatnych dźwięków fortepianu na tle wzbierającej poza Morryn burzy.

Muzyka płynęła, potem ustała - zapewne poszedł po kolejną butelkę. Gdy znów zaczął grać, prawie już spałam, lecz byłam pewna, że wykonuje jakąś połyskliwą wersję *Les Escaliers de Montmartre*, która sprawiła, że chciało mi się naraz śmiać i płakać. I zasnęłam uśmiechnięta, pociągając nosem. Claude, jak myślę, grał i pił i w pewnej chwili uznał, że wybierze się na przejażdżkę swoim DB. Gdybym nie spała, spróbowałabym go zatrzymać. Ale wyjechał sam, prosto w sztorm, co jemu - pijanemu romantykowi - musiało się wydawać

czymś najzupełniej naturalnym. Pewnie chciał się zatrzymać nad Bezant Bay. To było jedno z jego ulubionych miejsc, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Stawał nad urwiskiem niczym Myszka Miki w *Fantazji* i dyrygował burzą. A jednak się przeliczył, źle ocenił sytuację - droga już wtedy była w fatalnym stanie, na dodatek źle oznaczona - i kiedy obudziłam się następnego ranka, Claude wraz ze swoim DB i wszystkim, co warto pamiętać, zniknęli.

\* \* \*

Adam przeszedł przez pokój, kucnął przy mnie, wstał i ruszył do okna, gdzie zatrzymał się otoczony rozbłyskami burzy. Spojrzał na automatyczny fortepian, na którym grywał Claude, jakby instrument mógł zacząć grać z własnej woli, co zresztą nie byłoby w tej chwili specjalnym zaskoczeniem dla żadnego z nas. Sposób, w jaki zareagował - ruchome, gnane przez deszcz cienie na jego twarzy wyglądają dokładnie tak, jak wtedy, gdy mnie słuchał. Jest kimś więcej niż tylko widz. Jest tutaj. Jest zaangażowany...

- I to już koniec?

- Nie chcę powiedzieć, że śmierć Claude'a stała się również moim końcem. Podróżowałam. Edward i Maria dorosli. Występowałam. Życie toczyło się dalej. Świat się zmieniał... Mogłabym ci opowiedzieć o roku, który spędziłam w Boliwii, pomagając utalentowanym muzycznie dzieciom rozwijać umiejętności. Brzmi to bardzo szlachetnie, ale tak naprawdę wypełniałam po prostu ciemne luki pozostawione w moim życiu przez mamę i Claude'a. A poza tym starałam się odzyskać entuzjazm do skrzypiec, który osłabł po pięciu latach bezustannego koncertowania. Widzisz, tak właśnie jest z nami artystami, z muzykami. Nie mamy obsesji na własnym punkcie - mamy za to obsesję na punkcie naszego powołania. Mogłabym ci też opowiedzieć o mowie, którą wygłosiłam - co wtedy robiłam już bardzo rzadko i byłam potwornie stremowana - na jednej z pierwszych konwencji Zreformowanej Ligi Narodów. Oczywiście, światu w niczym to nie pomogło i, stojąc tam, przyglądając się twarzom słuchaczy, zrozumiałam, że nie znalazłam się przed nimi dlatego, że jestem Roushaną Maitland, tylko dlatego, że jestem wdową po słynnym Claudzie Vaudinie. A Claude zyskał sławę nie z powodu swych muzycznych triumfów, ani nawet nie poprzez fiasko premiery *Czwartej symfonii* Nordingera, lecz właśnie z powodu przemówień, jakie wygłaszał w podobnych miejscach. Właśnie takim zapamiętali go ludzie - był gwiazdą wspierającą przegrane sprawy. I to właśnie największa, najbardziej smutna ironia naszego życia...

Adam staje nade mną.

- Co się stało z jego ciałem?

- Pytasz jak detektyw. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Jestem taka zmęczona. Naprawdę chcę się położyć do łóżka i wolałabym, żeby dał mi spokój. Chętnie bym zasnęła, gdyby tylko sen jeszcze do mnie przychodził. Niemniej, słusznie, że zapytał - potrzeba wskrzeszania przeszłości nie zniknie, póki nie doprowadzę historii do końca.

- Claude wymieniał wiele miejsc, w których chciał zostać pochowany lub poddany kremacji, gdzie miałam rozsypać jego prochy. Aż ciężko w to uwierzyć. To jedno z jego małych dziwactw - opowiadał o tym, kiedy był szczęśliwy, czyli zazwyczaj po szczególnie udanym występie. „Chcę żebyście mnie pochowali właśnie tutaj”. I to były żarty jedynie po części, choć Claude zawsze żartował szczerze. Więc mógł to być Paryż, Morryn, Bayreuth, Sydney i jeszcze dziesiątki innych miejsc - w tym kilka poza naszą planetą. Ale ja nie zastanawiałam się zbyt długo. Zawiozłam jego prochy do Waszyngtonu. To miasto przypominało mi New Delhi z okresu zaraz po wojnie, oraz naszą wycieczkę do Luksoru. Takie same widoki, takie same muchy i wonie, tacy sami bezzębni przewodnicy... Monument Waszyngtona wciąż stoi - wiedziałeś o tym? A przynajmniej stał jeszcze wtedy. I nadal otaczają go zardzewiałe siatki i wielkie betonowe ściany, wały powstrzymujące dawniej szalonych mesjaszy, których Amerykanie podejrzewali o chęć zniszczenia ich kraju. Oczywiście nie mieli racji. Zniszczyła ich sama ziemia ojczysta. Na szczycie tego pomnika wieją silne wiatry. Szyby zostały usunięte - zapewne rozgrabione. Prochy Claude'a po prostu się rozleciały, poszybowały wysoko nad ruinami i mokradłami utraconej stolicy utraconego kraju, w którym mój mąż marzył kiedyś o naprawie świata...

- To bardzo poetyckie.

- Na tym polega problem z pamięcią, Adamie. Prawda wygląda tak, że byłam wyczerpana męczącą wspinaczką i bałam się, że podejrzany, mały człowieczek, który mnie tam zaprowadził, rzuci się na mnie z nożem. O perspektywie drogi powrotnej nawet nie wspomnę. Cuchnęło moczem, zupełnie jak pod piramidami i w New Delhi. To zabawne, że ludzie zawsze czują potrzebę sikania na pomniki dawnych imperiów, o czym Shelley zapomniał wspomnieć, pisząc swój słynny wiersz. Ale nie to jest ważne. Widzisz, wszystko już odeszło. Nie tylko Waszyngton, lecz wszystko co się liczyło. Jestem teraz tym, czym byłam kiedyś. Ludźmi, których kochałam, tamtymi czasami... A reszta to po prostu... słowa.

- Chcesz przez to powiedzieć, że już skończyłaś? - pyta po długiej chwili milczenia.

Przytakuję skinieniem. W końcu Liang Ho powiedział mi, że ten moment przyjdzie sam i że może się to odbyć od razu, na miejscu, dokładnie tak, jak chciałam, bez zamieszania. A więc to już - i nie czuję nic. Choć może przypomina to finał ostatniego koncertu, ostatni

dzień trasy. Pakowanie się w hotelowym apartamencie bądź wędrówkę przez pustą widownię. Najpierw jest tyle starań, tyle planowania. Tyle bezsennych nocy, nerwów i krwawiących palców. Olbrzymia góra wysiłku, która przed tobą wyrasta i przesłania swym masywem całą resztę życia; ogrom wysiłku, którego się boisz i nienawidzisz i chcesz zakończyć jak najszybciej. A potem zniemacka nadchodzi kres i czuje się pustkę. Zapewne mogłabym tę opowieść ciągnąć, powiedzieć coś o Boliwii i tych dzieciakach przesiadujących ze mną pod drzewami jacaranda, aż tętniących swym talentem i wyczekiwaniem. Czasami miałam ochotę kazać im zrezygnować. Powiedzieć: „Zapomnijcie o muzyce, jeszcze nie jest za późno. Zajmijcie się lepiej życiem...”.

Spoglądam na Adama. Stoi teraz cicho, obrębiony skrzydłami burzy. A przecież jeszcze niedawno widziałam w nim tyle pasji...

- Zostań tu - mówię. - Zostań tu, kiedy odejdziesz. To znaczy, nie odejdziesz do końca, wciąż będziemy mogli rozmawiać, zastanawiać się nad wszystkim. Moje dzieci nie chcą tego domu. Same mi to powiedziały. Nie trzeba im też pieniędzy. Mogłabym zostawić je tobie. Zachowasz Morrryn lub sprzedasz, zrobisz co zechcesz. Jeśli będziesz mieć swoje miejsce, przestanie być ważne, kim jesteś lub nie jesteś.

- Naprawdę chcesz zostawić mi dom?

- Dlaczego nie? Wiesz, w końcu teraz nawet umarli mogą zmieniać swoje testamenty.

Co to za emocja, która nieznacznie maluje się na jego twarzy? Jest smutny czy rozbawiony? Ma prawie taką minę, jakby nie rozumiał. A to przecież rozwiązałyby wszystkie problemy i uratowało nas oboje. Ocaliłoby również Morrryn. Edward nie mógłby go uznać za kolejną zyskowną inwestycję, a Maria nie miałaby szansy wyładować na tym domu swoich architektonicznych frustracji.

- To nie jest jakiś ulotny kaprys, Adamie. Naprawdę przekażę ci Morrryn na własność.

- Obcemu przybyszowi znikąd, który tak raptem zaprzyjaźnił się ze starą, umierającą kobietą?

- Oboje wiemy, że to nie tak.

- Przepraszam, Roushano. To twoja chwila, nie moja. Może powinniśmy się po prostu położyć?

Pokój muzyczny na powrót staje się tym zaśmieconym, swojskim pomieszczeniem, które znam od dawna. Gdy nakazuję ciału się poruszyć, nie dzieje się prawie nic. Stare pudełeczko po cukierkach „Smith Kendon” pobłyskuje na biurku. Może powinniśmy je z Adamem otworzyć - wypełnić ten pokój wiekowym dymem i cofnąć lata, jak próbował to kiedyś uczynić Claude? Tylko że zawartość pudełeczka na pewno jest już zeschnięta,



wyjałowiona z wszelkiej mocy. Przeszłość odeszła. Podobnie jak przyszłość. Zostałam tylko ja.

- Mógłbyś mi pomóc? - pytam.

Adam pochyła się i siła jego ramion wpełza między mnie a sofę. Trudno to nawet nazwać podnoszeniem. Jestem taka lekka, a on taki sprawny. Wszystkie plany, które miałam na te ostatnie godziny - muzyka, jakiej chciałam posłuchać, jedzenie, którego chciałam skosztować, rzeczy muskane dotykiem na pożegnanie, wiadomości do napisania - wydają się teraz bezwartościowe. Jestem tylko łupiną, wyrzuconym przez fale kawałkiem drewna, jestem niczym i taka rezygnacja jest o wiele lepsza. Płyń nade mną sufit korytarza. Płyń szybko, ale tutaj, w ramionach Adama, czuję się bezpieczna, szpony burzy są daleko. Moje ciało się zmienia. Niektóre części mnie unoszą się jeszcze na wodzie, ale większość już się zanurzyła. Claude miał rację - a może to był Leo? - umieranie nie jest trudne. Jest łatwe, to kwestia decyzji, akt woli. Muszę się po prostu poddać...

Gdy Adam opuszcza mnie na szerokie, zimne łóżko, wydaję z siebie pełne rozczarowania miauknięcie.

- Chcesz, żebym został? - pyta.

Odpowiadam uśmiechem, jestem zbyt zmęczona, by mówić. Raz jeszcze wciska pode mnie swoje dłonie. Przetacza mnie i popycha. Kręci mi się w głowie. Ramiona Adama i morskie falowanie materaca nie dają mi spokoju. Śmieję się cicho i cicho płacząc z bólu.

- Kogo chcesz? - słyszę jego pytanie.

- Słucham?

- Otwórz oczy, Roushano. Spójrz na mnie. Skup się i powiedz, kim chciałabyś, żebym się stał?

Dziwne, bardzo dziwne pytanie. Czy ja śnię? Może już umarłam? Rozwieram powieki i burzowy cień, który może nadal być Adamem, wpływa nade mnie w ziarnistym świetle.

- Powiedz mi! - krzyczy. - Mogę być każdym!

Krzywię się. Sztorm przybiera na sile. Zagarniają mnie niewiarygodne ramiona. Kształt nade mną rozciąga się, rozmywa - mógłby to być Claude, tańczący nago do muzyki Milesa Davisa w tym wielkim, paryskim atelier. Mógłby to być Leo. Albo nawet zagubiony duch dziecka, którego nie urodziłam. Mam wrażenie, że cała ludzkość, wszystko, co głosił Christos, zostało tu przyniesione przez burzę. I wtedy moment dobiega końca, znika. Morrbyn odzyskuje konkretność, pod nami bije nieregularnie serce morza; widzę, że Adam siedzi skulony w ciemności na przeciwległym krańcu łóżka.

- Co to było? - szepczę. - Kim ty jesteś?

Słyszę chichot.

- Jestem każdym i nikim, chyba już ci to kiedyś powiedziałem?

Cofam się jak najdalej od niego.

- Dlaczego tak bardzo się teraz boisz, Roushano? Nic się między nami nie zmieniło. Prawda zawsze wyglądała tak samo. Jestem pustym naczyniem, imię moje Legion. Jestem nieuformowanym ciałem. Ale może naprawdę nie rozumiesz?

Wstaje. Burza szaleje, Adam zaczyna przechadzać się po tonącym w mroku pokoju.

- Spójrz na to w ten sposób, Roushano. Sądzisz, że umarli naprawdę chcą pozostać umarłymi? Uważasz, że nie czują nienawiści, pożądania i zazdrości na myśl o tym, jak żywi srają, śpią, pieprzą się i oddychają? Kto, do diabła, chce być częścią nieskończonej potencjalności? Cóż mogłoby być lepszego niż żyć w ciele - w świeżym, nowym i młodym organizmie? Takie ciała można do tego celu hodować w jakichś próbkach, lub po prostu porywać w zalanych miastach. Życie jest tanie, więc kto zwróci uwagę? Kogo to obchodzi? Potem możesz wymazać wszystko z umysłu, oczyścić ciało z jego nędznej tożsamości, wypełnić kryształem, który wchłonie wszystko, czym kiedykolwiek było. Ty masz tylko tę rzecz w głowie, Roushano, ale spójrz, spójrz na to - mnie zajęło całego. Ja się tym stałem...

Adam przetrząsa szuflady, roztrąca kieliszki, szukając jakiegoś długiego i ostrego narzędzia, które połyskuje białym łukiem, kiedy unosi starą bluzę Claude'a i wbija je w ranę na swoim brzuchu, a potem - oddychając ciężko, gniewnie - zaczyna ją pogłębiać i poszerzać.

- ...spójrz...

Rozciąga skórę palcami.

- ...patrz...

Spoglądam głęboko w jego tkanki - w migocącym świetle widzę nawet lśniące organy wewnętrzne, ale wszystkie pokrywa gęsta siatka kryształu, płynie w nim krew, jakby przez warstwy ubitego szronu. Wewnątrz prawie nie jest człowiekiem.

- Takim cię... stworzono?

- Po to jestem. Podejrzewam, że w jakiś sposób musiałem im uciec. Domyśliłem się tego już dawno temu, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ślady na nadgarstkach i kostkach - ale dlaczego morze przyniosło mnie do ciebie i do Morrryn? Nad tym się właśnie zastanawiam, o to pytałem przez te wszystkie dni. I nie wiedziałem aż do teraz...

Mimo wszystko, jego słowa nie są pozbawione sensu. Nie trzeba być na bieżąco z wiadomościami, by zrozumieć, ile może być wart zdrowy, młody organizm, wyzuty z wszelkiej osobowości i tożsamości. I może umarli rzeczywiście zazdroszczą żyjącym. Może próbują wrócić do świata w skradzionym ciele. Adam bez wątplenia jest pustym naczyniem,

tak jak powiedział. To wszystko składa się w jedną, sensowną całość - wszystko, co wie, co potrafi zrobić. Jest wszystkim, ale nie jednym umysłem, nie jest zbiorem wspomnień... Skulona w zbroczonej jego krwią pościeli, przyglądając się krążącemu po pokoju mężczyźnie, wierzę.

Adam kiwa głową i się uśmiecha. Śmieje się. Rozkłada ręce.

- Jestem niczym. Spojrzałem w swe serce, Roushano, i okazało się puste. Ale nie musi tak być. Naprawdę jeszcze nie rozumiesz, dlaczego fałe wyrzuciły mnie akurat tutaj?

- Co chcesz powiedzieć?

- Nie musisz jutro jechać do tej kliniki. Nie musisz pozbywać się ciała, nie biorąc niczego w zamian. Albo możesz... ale możesz zrobić to tutaj, teraz, razem ze mną, i otrzymasz w zamian wszystko. Spójrz na mnie, Roushano, jestem wszystkim, czego mogłabyś zapragnąć. Możesz mnie sobie wziąć, możesz we mnie wejść. Możesz stać się wszystkim, czym nie jestem ja. Te dni w Morryn... Dostałem od ciebie nieustający wir twarzy, miejsc i pamięci. I muzykę, ją także... Nie musisz z niczego rezygnować. Popatrz na te dłonie - wyciąga je ku mnie, wciąż ciemne od krwi - dotknij ich. Poczuj, jakie są silne. Wyobraź sobie, że trzymasz guarneriego właśnie nimi, pomyśl o słuchaniu tymi uszami, o czuciu tym sercem i, tak, o pieprzeniu tym kutasem... Wyobraź to sobie, wyobraź sobie, czym możesz się stać...

Podaje mi ręce, ale gdy wygłodniała wyciągam swoją dłoń, cofa je. Przez jeden straszny moment mam wrażenie, że zmienił zdanie, ale oto ściąga starą bluzę Claude'a, zdejmując koszulkę i zbliża się ku mnie na łóżku. Po piersi spływają mu strużki potu. Cały lśni i drży.

- ...proszę...

Spomiędzy jego ramion wybiega ku mnie coraz większa przestrzeń potencjalności. Zawiera się w niej wszystko, czym jest on - jego słodkie ciało, świeży oddech, miarowo bijące serce - i mogę to mieć. Mogłabym dostać wszystko. Mogę stać się nim. Adam ma rację - jest jedynie naczyniem, wirem niepowiązanych informacji. Nie ma nic do stracenia, a ja chcę uciec z tego głupiego, szwankującego ciała i żyć dalej. Wystarczy akt woli. Już widzę siebie jego oczyma - zasuszoną wiedźmę sięgającą po życie swymi bezradnymi rękoma. Czuję jego oddech. Smak jego języka. Mogłabym wykonać ten krok. Mogłabym. Żyć dalej. Ale coś się załamuje i chwila odchodzi z głośnym szumem.

- Nie mogę tego zrobić. - Głos, który być może należy do Roushany, próbuje zakrzyknąć, lecz dobywa się jedynie pod postacią nikłego szeptu.

- Musisz...

- Nie rozumiesz. Wszystko, co ci powiedziałam, to nie byłam ja. Pamiętasz, gdy mówiłam, że nie ma jednej prawdy, Adamie? Jest jeszcze prościej... Ja kłamałam.

\* \* \*

Roushana Maitland klęczy na łóżku w swym zniszczonym ciele. Patrzy gasnącymi oczyma na niewyraźną postać Adama. Ja jestem nią, a ona jest mną. Tylko że to już nie jest takie proste - wszystko stało się aż nazbyt jasne. Widzę też rozciągniętego obok Adama, jego ziejącą ranę i zasychającą na dłoniach krew. W jego niedowierzającym głosie słyszę schrypniętą urazę. „Co jest prawdą, Roushano? Kim tak naprawdę jesteś?”. Pytania, pytania i ta stara, krucha istota skulona obok niego - stworzenie, które wciąż jest częściowo mną - mamroce coś o Morryn, o tym, że dom wie i zawsze wiedział, i potrafił dochować tajemnicy, strzeżonej w jego piwnicznym sercu, w jego granitowych kościach... I ona ma rację. Ja też to czuję. Czuję jednak także wiatr, gnający mnie w dal, ku zatopionym miastom, połączanym iglicom, kryształowym kopułom. Teraz byłoby tak łatwo się poddać. Ale jestem również Adamem. Mogę odejść, mogę nim być, mogę stać się wszystkim. Tylko że ja także muszę się dowiedzieć...

To, co wydarzyło się w Paryżu, nie jest szczególnie tajemnicze. Christos naprawdę zniknął z magazynu i nie było go tam, kiedy w noc Yellowstone dotarliśmy z Claude'em na miejsce. Zostały tylko łańcuchy. Claude oczywiście bardzo się wściekł. Na to, że wszyscy odeszli, podczas gdy cały świat się bawił, a jego ojczyznę zniszczyły siarczane płomienie. Chwycił leżący łańcuch i cisnął nim o ścianę. Potem zrobił to samo z wirtualnym hełmem. Kopał i rozbijał drogi sprzęt do nagrywania. Wszystko fruwało, odbijało się i spadało na ziemię. Nie po raz pierwszy musiałam uciekać przed jego gniewem.

W paryskim atelier też czasami coś się w ten sposób niszczyło. Potem, sprzątając, żartowaliśmy, że to nasz sposób na utrzymanie mieszkania w porządku. Claude oczywiście nie był jakimś szaleńcem - zawsze zachowywał się ostrożnie. Nigdy, na przykład, nawet w najpodlejszym nastroju, nie podniósł ręki na tę akwarelę Turnera. Ani na swojego Bechsteina, ani na ukochany sprzęt stereo czy płyty Milesa Davisa. Zawsze wiedział, czego nie niszczyć. Ja zresztą też miewałam podobne chwile. Nie chodzi o to, że dorównywałam Claude'owi, on robił to z pasją, zawsze namiętnie. Kochał, nienawidził, gromadził, dzielił się, tworzył i niszczył z równą miarą. Był tym jeszcze bardziej, niż był Amerykaninem. Często wylewał swą wściekłość na muzyków z orkiestry - nigdy nie potrafił utrzymać frustracji w sobie, nigdy nie milczał. Kiedy go poznałam, krążyła o nim pewna opowieść - rzecz jasna, już wtedy pojawiło się o nim wiele historii, ale według tej, pewnego razu tak się rozgniewał na próbie,

że wyrwał drugiemu skrzypkowi - kobiecie - instrument i rozdeptał go w drobny mak. Następnego dnia wrócił z wielkim bukietem kwiatów i nowymi skrzypcami, o wiele lepszymi niż poprzednie. Oczywiście, poszkodowana grała potem jak anioł. Nie mam pojęcia, czy ten incydent rzeczywiście nastąpił - nie o to chodzi - ale jeśli tak, to Claude musiał zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jeszcze zanim zniszczył te skrzypce, i musiał wiedzieć, że stać go na kupno droższych.

Claude był ostrożnym huraganem, wybiórczym poltergeistem i po niedługim czasie wspólnego życia nauczyłam się, kiedy powinnam wkraczać, a kiedy się wycofać. Niekiedy całymi dniami wyczuwałam wokół przedmiotów, które miał zniszczyć, narastającą, wyostrającą się aurę. I tak, czasem trochę się bałam - kto by się nie bał? - ale gdy on miotał meblami, kiedy ja wrzeszczałam, miałam pewność, że to nie ja pofrunę. Tak, czasami fruwały też kieliszki. Tak, pięści niekiedy wybijały dziury w kruchych ścianach. Ale ból zawsze kierował do siebie. Najlepiej pamiętam chwile, gdy zajmowałam się siniakami i otarciami Claude'a. Pamiętam, że je lizałam, całowałam, smarowałam maściami i obserwowałam, jak ich barwy zachodzącego słońca rozlewają się po jego czarnej jak noc skórze. A jeśli nawet latające talerze, stłuczone kieliszki i uderzenia w ściany raniły przypadkiem i mnie, to był to jedynie kolejny element naszej wspólnoty. Dopóki nie było tego widać, dopóki nie przeszkadzało mi grać, dopóki całował te tajne ślady później, kiedy się kochaliśmy, nosiłam je z dumą. Bardzo długo, przez całe to magiczne lato, które spędziliśmy w Paryżu, czułam się bezpieczna, czułam jego zaufanie i miłość, i kochałam Claude'a bezgranicznie i nie wątpiąc.

Prawda - żyliśmy jak na karuzeli - ale nie spodziewałam się po nim niczego innego. Kiedyś wybraliśmy się na wakacje. Rok lub dwa po Yellowstone, choć niebo nad większością planety wciąż pozostawało ciemne i trudno było wyobrazić sobie cokolwiek bardziej luksusowego niż ciepła plaża, ciepłe niebo czy ciepłe słońce. To miejsce wydawało się snem, nawet gdy już tam dotarliśmy - oczywiście było przemienione w fortecę, otoczone zasiekami, betonem i zabezpieczeniami przeciwko trzęsieniom ziemi, tsunami, wybuchom wulkanów, huraganom, wirusom i terrorystom. Z okna naszego pokoju słyszeliśmy jednak tylko niewinny szum morza i palm. Kapaliśmy się nago. Przed pójściem z nim do łóżka ozdabiałam się henną i koralikami. Niczego więcej nie pragnęliśmy, to była ucieczka, którą sobie z dawna obiecaliśmy, choć Claude wciąż musiał trzymać rękę na pulsie kilku swoich projektów. Ja byłam gotowa się wyłączyć i powierzyłam sprawy agentowi, ale on przez cały czas pozostawał własnym agentem, nawet jeśli dodatkowo kogoś jeszcze zatrudniał. Urlop zbliżał się już do końca, kiedy do Claude'a dotarły wieści o jakimś przewidywalnym kryzysie. Nie

pamiętam nawet o co chodziło, ale wpadł w szal. Chodził po plaży z własnymi czarnymi chmurami nad głową, wirował w prywatnym tropikalnym tornadzie.

Czekając w pokoju, popijając kolorowy koktajl, patrzyłam na wielką białą konchę leżącą na szafce przy łóżku. Wnętrze miała wyściełane różową macicą perłową i dostrzegłam wokół niej tę charakterystyczną aureę, z którą byłam już wtedy za pan brat. Wiedziałam, co się wydarzy, gdy Claude wróci, i w głębi ducha uznałam, że to bardzo rockandrollowe, zniszczyć taki pokój, tutaj w raju. Czekałam. Zostałam.

To był wypadek - Claude oczywiście nie chciał, by do tego doszło - ale ta muszla trafiła mnie w twarz. Pamiętam, że przyglądałam się sobie, gdy kurortowy lekarz przechylił lustro, by obejrzeć opuchliznę. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że prawdziwe wypadki nie są czymś, co można przewidzieć na dni czy tygodnie naprzód. Zaczęłam się nawet przez chwilę zastanawiać, czy nie stałam się ofiarą. Ale myliłam się, zawsze się myliłam. Następnego dnia Claude był już całkiem innym człowiekiem: słodkim i czułym. Przepraszał mnie bez końca. Wspaniale się upiliśmy. Pieprzyliśmy się i pieprzyliśmy, i pieprzyliśmy. Wtedy już wiedziałam, że to zwykły wypadek, który nie ma prawa się powtórzyć, i że Claude beze mnie stałby się zupełnie bezradny. Z drugiej strony, dziwiłam się temu, że po prostu siedziałam i czekałam na niego, przekonana, że do czegoś podobnego dojdzie. To zapewne była po prostu wina mojej głupoty.

Złe momenty, te naprawdę złe, pojawiały się rzadko. I prawdę powiedziawszy, okazywały się zaskakująco znośne, zwłaszcza że wiedziałam, że wszystko będzie lepiej, kiedy burza już przeminie. Najgorsze było jej przeciągłe, szorstkie narastanie. Chciałam w takich sytuacjach coś zrobić, sprawić, byśmy się lepiej poczuli, zmienić świat. I chciałam kochać go jeszcze bardziej - pokazać mu, co naprawdę czuję, by przestał się wreszcie krzywdzić. Ale to było trudne: stąpanie po cienkim lodzie. Nie zrozum mnie źle. Bywały miesiące, tygodnie, całe lata, gdy Claude prowadził szczęśliwe, pracowite i produktywne życie. Ja zresztą też. Idea życia bez męża wydawała mi się wręcz komicznie absurdalna, więc w chwilach, gdy go przy mnie brakowało, tęskniłam za jego miłością i związaną z nią ekscytacją. Pojawienie się dzieci też wiele zmieniło, czego się przecież spodziewałam. Bez względu na to, jak mroczny ogarniał go gniew, jakaś jego część zaczęła odkładać przedmioty, odwracał się, nalewał sobie po prostu kilka dodatkowych drinków, bądź wychodził do garażu dłubać przy swoim DB. Gdybym kiedykolwiek się dowiedziała, że Maria czy Edward poznali tę jego wybuchową stronę, zostawiłabym go bez chwili wahania. Ale, podobnie jak w tamtym tropikalnym hotelu, czekałam, zostałam.

Po urlopie macierzyńskim podjęłam karierę na nowo. Claude wciąż rozwijał swoją. Wszystko układało się dobrze, zwłaszcza moje sprawy. Jak zauważyli krytycy, dojrzałam wraz ze swoją grą i po niedługim czasie zaczęto o mnie mówić, nie wymieniając przy tym nazwiska Claude'a. A kiedy już go wspomiano, to nie zawsze na pierwszym miejscu. Dla mnie zbitka „Roushana Maitland i Claude Vaudin” zawsze brzmiała nieco dziwnie, więc możesz sobie wyobrazić, jak czuł się on. Zawodowa zazdrość, ta okrutna bestia, wciskała między nas swoje pazury. Claude zaczął występować z innymi skrzypkami - często skrzypaczkami, zawsze młodymi - próbował reinterpretować Ligetiego, popularyzować Schoenberga. Było też oczywiście to fatalnie przyjęte tournée z muzyką Chopina. Wreszcie jednak pogodził się z faktem, że ludzie chcą oglądać mnie pod jego batutą. Zresztą, całkiem słusznie. Daliśmy kilka zupełnie magicznych koncertów - parę kluczowych wykonań, które nieliczne osoby interesujące się jeszcze muzyką, wciąż uznają za dorównujące największym - im więcej jednak uczucia wkładaliśmy w sztukę, tym mniej nam go zostawało na codzienne życie. Claude narzekał. Claude niszczył sprzęty i się wściekał, lecz ja już to wtedy znałam i wahania nastroju oraz tygodnie nerwowego wyczekiwania zaczęły mnie nużyć. Przestałam czekać. Po prostu wycofałam się i pozwoliłam mu robić co chciał. W najciemniejszych zakamarkach serca zaczęłam mu najpierw współczuć, by po jakimś czasie coraz mocniej nim gardzić.

Te wszystkie humory rozumiałam o wiele lepiej, niż sam Claude. Po sezonie spędzonym w Glyndebourne, gdzie wykonywał *Der Rosenkavalier* dla znudzonego, niewykształconego tłumu, dla widowni, która nigdy nawet nie pomyślała o Straussie jako seksualnie wyuzdanym modernście, wiedziałam już dokładnie co nastąpi. Nawet kiedy wrócił do Morryn jakby nigdy nic i trwał w tym stanie przez kilka dni, i tak zdawałam sobie sprawę, że burza wreszcie wybuchnie. Stawałam czasem w garażu, gdy Claude wybierał się na przechadzkę nad urwiskiem - to było długie, późne lato - i gładziłam jedwabisty lakier DB, wdychałam jego zapach i przyglądałam się ostrym iskierkom słonecznego światła, wlatującym przez szparę w drzwiach. To już nie było przecucie. To była wiedza.

Pewnego popołudnia, gdy błękitne niebo zasnuło się wreszcie skłębionymi ciemnymi chmurami, wybrałam się na targ w Fowey i przemokłam do suchej nitki. Wlokąc się z zakupami z powrotem nadbrzeżną drogą, brnąc przez deszcz w zimnej od wody letniej sukience, widząc Morryn, tak ciepły i przytulny ze swymi kominami i rozświetlonymi oknami, niemal zaczęłam biec, tak się śpieszyłam do domu. Jednakże, gdy wiatr zatrzasnął za mną drzwi, uświadomiłam sobie, że nie będzie to zwykły, wspólny dzień. Claude zachowywał się równie dziko, jak dzika była wzbierająca burza. Korytarz wypełniały

dźwięki, zapachy i chrzęszczące pod butami szkło. Wyglądało to zupełnie jak jeden z owych sensorycznych kolaży, które ponoć wciąż lubił. Kiedy jednak w pełni dotarło do mnie, co się dzieje, zrozumiałam, że to dzieło Claude'a. Z ekranów nawoływały głosy, w szeregach wiszących na ścianach obrazów pojawiły się puste miejsca. Grała muzyka - kilka melodii naraz - istna kakofonia w stylu Charlesa Ivesa. Na schodach słała się masa rozmaitych przedmiotów...

- Wszystko to gówno! - ryczał Claude. - Czy nie możesz żyć samodzielnie, Roushano? Czy musisz udawać jakiegoś pieprzonego zółwia i ciągnąć za sobą całą przeszłość? Jak ty, do cholery, oddychasz z takim ciężarem na grzbiecie...?

Zaczynałam rozumieć. Te rzeczy należały wyłącznie do mnie - a przynajmniej tak sądził on. Moje ubrania - stare, których się nie pozbyłam, bo za bardzo je lubiłam, albo takie, na które mogła powrócić moda. Moje pamiątki i drobiazgi - wiele związanych z dziećmi i życiem w Morrbyn. Obrazy i przedmioty, część jeszcze z Paryża. Dziwne instrumenty, które znajdowaliśmy podczas naszych podróży. Ogarnięta nagłym zmęczeniem, odkładam ociekające wodą siatki. Oczyma duszy widzę już bałagan, który będę musiała rano posprzątać, i widzę odmienionego Claude'a, Claude'a, który mi w tym pomaga. Ze wszystkich emocji, najsłabszą było zaskoczenie. Ale w powietrzu unosił się też dym, co było niecodzienne nawet jak na niego. Na powrót chwyciłam siatki - mimo że zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie zjemy tego, co w nich przyniosłam - i ruszyłam do starej kuchni. Piekarnik kuchenki stał otworem, wypchany trzaskającymi w ogniu papierami. Coś wypadło, połyskując nadpalonymi rogami. Stare, płaskie, dwuwymiarowe zdjęcie Leo stojącego z uśmiechem w naszym ogrodzie. Chwyciłam za pogrzebacz i wyciągnęłam resztę. Tylko Leo. Jego nagrody, świadectwa szkolne. Jego książki, niektóre wciąż z zaznaczonymi miejscami, gdzie przerwał lekturę. I kolejne zdjęcia. Zrozumiałam. Wściekając się w milczeniu, wyszłam z kuchni. W całym Morrbyn było tak samo. Nawet cenne cyfrowe dane o bracie, nagrania jego występów, szkolne wywiady, stare e-maile, rodzinne wideo zostały niedawno usunięte z ekranu w pokoju muzycznym.

I teraz wreszcie ogarnęło mnie zdumienie. Przede wszystkim jednak byłam wściekła - wściekła na Claude'a, a jeszcze bardziej na siebie, bo przecież powinnam była to przewidzieć. Mój mąż wypracował sobie ten absurdalny kompleks niższości wobec Leo długoletnim wysiłkiem. Wydawało mi się, że umiem sobie z nim radzić. Za każdym razem, gdy mówił coś nieprzyjemnego lub obrzydliwego, wycofywałam się w milczenie i pozwalałam mu wrzeć, a potem, kiedy znów wyjeżdżał, w akcie cichej zemsty umieszczałam na ścianie kolejne zdjęcie



czy pamiątkę po bracie. Teraz oboje dostaliśmy to, co nam się należało, i była to największa awantura ze wszystkich.

Tak bardzo byłam przyzwyczajona do wybuchów szału Claude'a, że ledwie zwracałam uwagę na to, co mówił, na to, że próbował mnie zatrzymać siłą, gdy wyskoczyłam na korytarz. Targana lodowatą furią, wybiegłam na dziedziniec i otworzyłam drzwi garażu. Od zawsze fascynowały mnie narzędzia Claude'a. Były naoliwione, wypolerowane, najlepsze, najdroższe, ale mnie dziwnie się kojarzyły z estetyczną precyzją bólu, który można też dostrzec w narzędziach chirurgicznych. Włączyłam światło, chwyciłam jedno z nich - zdaje się klucz dynamometryczny, który wydał z siebie słodki dźwięk i zagrały na nim wyświetlacze. Był wykonany ze świetnej jakości stali, która - przeczułam to, zanim się wydarzyło - mogła bez trudu rozorać piętnaście warstw lakieru DB i wdrzeć się o wiele głębiej. Gdy zabrałam się do dzieła, sztorm otworzył drzwi garażu i zaczął szarpać dachem. Nie zdołał jednak zagłuszyć pracującego klucza. Był to rodzaj zgrzytu - coś jak zęby trące o szkolną tablicę, czy stal drapiąca o kamień - lecz niósł ze sobą niezwykle zadowolenie. Ruchami malarki wymachiwałam ostrym narzędziem nad maską, w tę i z powrotem. Ryłam hieroglify na chłodnicy. Miałam wrażenie, że zmieniam DB w coś innego: nie był już samochodem i stawał się totemem, symbolem tej poranionej istoty, jaką okazało się nasze małżeństwo. Mąż patrzył. Widziałam jego sylwetkę. Stał przygarbiony przy wejściu, oświetlony błyskami piorunów. Wiatr szalał i wirował. Powietrze było szorstkie. Ostre. Intensywne. Elektryczne. Zadając DB kolejne ciosy, przygryzłam wargę. Poczułam przedsmak krwi.

- Roushano, co ty, kurwa, wyprawiasz?! - wrzasnęła wreszcie.

Cóż za dziwne przejście z patosu do banału, pomyślałam, gdy wszedł chwiejnie, prawie tonąc w deszczu.

- A jak myślisz? - Moja uwaga nie była wiele lepsza, ale to nie była odpowiednia chwila na wyrafinowane słowa.

- Niszczysz coś ważnego dla nas obojga!

- Nie, Claude. Ty coś takiego zniszczyłeś w domu. - Wciąż dzierżyłam ten klucz w dłoni. Uniosłam go wyżej i mocno uderzyłam w maskę DB.

Metal ustąpił z przeciągłym jękiem.

- Na litość boską, przestań! Tu nie chodzi o ten samochód, tylko o ciebie i o mnie. Nie mogę tak dłużej żyć, nie mogę żyć w pieprzonym mauzoleum!

- Dlaczego nie? - Obdarzony własną wolą klucz uderzył raz jeszcze.

- Bo... Czym mam dla ciebie być, Roushano? Kim mam się stać? Wystarczy, że mi powiesz, a tak się stanie... Zmienię się w kogokolwiek zechcesz, ale muszę to wiedzieć. Nie potrafię czytać ci w myślach. Nigdy tego nie umiałem. Chcesz, żebym przestał się z kimś pieprzyć? O to ci chodzi? A może właśnie mam zacząć? To także zrobię. Tylko wyjaśnij mi, kogo chcesz, żebym przeleciał, Roushano, bo na pewno nie chodzi o ciebie, cholera...

Kiwam głową. Klucz łomocze po raz kolejny. Mój mąż ma rację co do naszego życia seksualnego. Ostatnimi laty uwiędło. Energia, którą kiedyś na nie poświęcaliśmy, skanalizowała się gdzie indziej. Był ten samochód. I Morryn. Potem dzieci. I zawsze, zawsze - muzyka. Burza szaleje, klucz spada. Brzęk kaleczzonego metalu jest równie ostry i słony jak krew w moich ustach.

- Powiedz mi, Roushano. Jeśli o to ci chodzi, to mogę być Leo. Bardzo się starałem. Mógłbym też stać się twoją matką. Kurwa, mogę nawet być tym facetem, którego poznałaś w Paryżu, albo kimkolwiek innym, kogo nosisz w sobie. Kimkolwiek, Roushano, tylko powiedz mi, kim.

Jest taki słaby. Czuję lekką odrazę - do siebie i do niego. Robi mi się niedobrze, choć zapewne to po prostu skutek połączonego smaku morza, krwi i stali. Wiatr wpada do garażu. Samochód traci kontury, zaczynam widzieć go podwójnie. Podobnie jak postać, która może być Claude'em, lecz równocześnie może być kimś innym. Nie mylił się. Naprawdę mógłby się stać dowolną osobą - każdym.

- Chcę jedynie - odpowiadam cierpliwie - byś był tym mężczyzną, którego kiedyś kochałam. To chyba niezbyt wygórowana prośba, prawda? Nie chcę, żebyś był słabą ofiarą - w miarę przyzwoitym pianistą, nieudacznym dyrygentem z brzuszkiem i nadmierną skłonnością do picia. Nie chcę, żebyś był żaloszny, Claude. I mam dość tego, że jesteś po prostu dobry, i męczy mnie to, co uchodzi za nasze wspólne życie, i to, że w większości spraw jestem od ciebie lepsza, co powoduje, że mam ochotę cię przeproszać. A przede wszystkim, mam dość tego samochodu. Dorośnij wreszcie, albo odejdz i zabij się, jak czasami zapowiadasz. Ale ciebie nie byłoby stać nawet na to, prawda? Nic ci się nie udaje...

Postać przede mną garbi się jeszcze bardziej, patrzy złowrogo. Czas zwalnia. Chwila przypomina tę, kiedy, grając, staję się jednością z utworem, z muzyką. Ma ten sam posmak czystej nieuchronności i jednocześnie posiadania absolutnej kontroli. Tak musi się czuć Bóg. Mogę zrobić cokolwiek zechcę. Mogę go odtworzyć lub zniszczyć - jego i siebie. Jestem krystaliczna, jestem wszystkim i zamieram w tej nieruchomej chwili, nieskończenie patrząc z góry na swoje dzieło.

- Jesteś niczym, prawda, Claude? Jesteś bezsilny. Nie masz nawet tupetu ani pewności siebie, by... Dlaczego nie mógłbyś choć raz zrobić czegoś porządnie i nie porzucisz tego swojego pozerstwa? Tęskniłeś za tym od lat, prawda? To ciskanie przedmiotami, te wszystkie napady szału i przepychanki. Wszystkie te: „tak, Roushano”, „nie, Roushano”, „Roushano to”, „Roushano tamto”. Te żałosne płacze i potłuczone kieliszki. Dlaczego choć raz w życiu nie zrobisz tego, czego sam chcesz, Claude? Dlaczego nie przestaniesz się rozpraszać, próbując być wszystkim naraz? Może wreszcie zrób coś do końca. Może mnie po prostu uderz?

Świat traci ostrość - ukąszenia deszczu, łoskot burzy, coraz intensywniejszy smak soli. Dzwoni mi w uszach. Uczucie jest zbyt znajome, by mogło być obce, lecz ból wydaje się równie odległy jak ja sama od siebie. Oddaję mu - moja ręka jest zadziwiająco ciężka, obdarzona własną wolą - Claude pada natychmiast i spoglądam na niego i na siebie. Stoję z dźwięczącym kluczem w dłoni.

Nadal unosi mnie ta chwila, wciąż zachowuję całkowitą kontrolę, ale teraźniejszość nie ma końca, przeszłość i chwila obecna zlewają się w jedno. Morryn widzi to wszystko i znosi dzięki swym granitowym kościom. Ja też to widzę - stara kobieta i młody mężczyzna wydostają się z trudem z labiryntu wspomnień i wychodzą na burzę, jakby mogła posłużyć im schronieniem. Być może zmierzają do garażu, który przecież - wiem to - od dawna stoi pusty, podobnie jak ta krucha i ledwie rozpoznawalna stara istota, jaką się stałam. Wiatr i błyskawice trzaskają, gdy ona i Adam ślizgają się na mokrej trawie. Roushana słabnie, lecz on znosi ją po wilgotnych stopniach ku wrzącemu morzu, tak samo jak ona niosła kiedyś jego. Beton pęka, niemal spadają. Potem stoją na dole, przy rozwścieczonych falach, przed hangarem dla łodzi - po części z kamienia, po części z urwiska, po części z jaskini. To najdalszy posterunek Morryn, lizany i szarpany przez morze. Z ciemności wynurza się oślepiająco biała piana, wycofuje się i znów naciera. Sypią się kamyki. Stara grobla zniknęła już prawie bez reszty, lecz budynek wciąż trzyma się swych przegniłych drzwi. Mięśnie Adama pęcznieją, gdy szarpie za ich oplątane pasmami wodorostów łańcuchy, aż wreszcie coś ustępuje i drzwi padają między kamień i granitowe niebo niczym sucha gałąź.

Chciwy sztorm i wiatr wpadają do środka, wypełniając ledwie zasłoniętą przestrzeń. Coś jednak jest wewnątrz - kształt odmieniony, lecz wciąż znajomy, oświetlony przez huczącą fosforescencję morza. DB ma teraz oczy z małży. Gnijące rośliny tworzą brodę na zniekształconym uśmiechu chłodnicy. Oblepiona ostrygami maska unosi się i zniszczone wnętrzości silnika wysuwają swe poranione wargi. Przednia szyba stała się zielonozębą paszczą jakiegoś martwego, podwodnego drapieznika, wiszące drzwiczki są jego płetwami.

Lśni i ciemniej w rytm ciosów fal. Morskie stworzenie, zbyt piękne, by być brzydkim, zbyt cudowne, by wydawać się dziwnym. Ten roztrzaskany samochód jest esencją, istotą czegoś - i ja, i Morryn wiedzieliśmy to od dawna...

W tak uwznioślonym stanie nie trzeba niczego sprawdzać - stojąc w tym garażu, wiem, że Claude nie żyje, jeszcze zanim pochylam się i dotykam jego pozbawionego pulsu, nagiego i zimnego karku. Krwi jest niewiele - w ogóle prawie nic nie widać, poza niewielkim wgłębieniem, śladem klucza na jego czaszce. Niemniej, wydaję z siebie dźwięk - szloch lub chichot - na myśl o tym, jak niedorzecznie zła jest ta cała scena. Nie mogę zostawić takiego bałaganu! W końcu on jest Claude'em Vaudinem, a ja Roushaną Maitland i nigdy jeszcze tacy nie byliśmy. Ani dla dzieci, ani wobec świata, dla nikogo, a już na pewno nie dla siebie nawzajem...

Poruszając się to szybko, to wolno, udaje mi się go podnieść i wrzucić na siedzenie pasażera DB, którego drzwiczki otwieram łokciem. Kiedy je zatraskuję i przechodzę na drugą stronę wozu, doznaję dziwnych przeblysków. Deska rozdzielcza DB już teraz wygląda na zniszczoną przez fale, te pozieleniałe szyby. Morze jest wszędzie, wlewa swoje lśniące palce, gdy siadam za kierownicą i na oślep szukam zapłonu. Włączam ssanie i nagle rozlega się, puszczone na pełny regulator, piosenka *Young Americans*. Wielki silnik ryczy. Tłukę dłonią w przyciski, by wyłączyć muzykę.

Teraz biegi. Teraz sprzęgło. Taniec stóp i dłoni. „Do kurwy nędzy, Roushano, zniszczysz skrzynię...!”. To nigdy nie było łatwe i DB odbija się od słupka bramy, gdy wyjeżdżam na drogę. Rozlega się wrzask metalu. Ciało Claude'a opada na mnie - jest bardzo ciężki, nie mam pojęcia, w jaki sposób go tu wniosłam - nic nie widzę. Tam. Wycieraczki. Światła. Nie udało mu się zamontować tej katapulty ani karabinów maszynowych. Wreszcie, za młócającymi ostrzami wycieraczek pojawia się zamazana szosa. Ledwie oświetlona. Pisk opon. Kierownica stawia opór i DB wciąż się ślizga, gdy zatrzymuję go na urwisku nad Bezan Bay. Tracę panowanie. Jednakże zatrzymuje się, a światła reflektorów wpatrują się już tylko w miotany wichrem deszcz.

Wysiadam i uderza we mnie burza. Samochód znieruchomiał tak blisko krawędzi klifu, że nie mogę obejść go od przodu. Silnik wciąż warczy, gdy zmagam się z wiatrem, by otworzyć drzwi pasażera. Pochylam się i chwytam Claude'a pod rękę, próbując przesadzić go na fotel obok. Mój mąż krwawi - skórzane obicia i dywaniki połyskują czarno w świetle deski rozdzielczej - przeszkadza mi dźwignia zmiany biegów i hamulec ręczny. Jeszcze jeden potężny wysiłek i wreszcie zaczyna się przesuwać. Teraz jest już prawie lekki, choć czuję, jak na mnie napiera. „Nie szarp tak, cholera, za ten hamulec, Roushano, uszkodzisz go...”. Staram

się uchwycić tę dźwignię i zwolnić ją, ale mam przemarznęte i śliskie od krwi dłonie. Wreszcie przeskakuje jednym, dzikim ruchem i samochód wznawia swą podróż ku gniewnemu morzu, w tej samej chwili, gdy wypadam na zewnątrz, a Claude wydaje z siebie bulgocący jęk.

Młóćąc światłami, DB żegluje w noc. Trwa przypyływ, wspomagany przez jesienny księżyc i dzisiejszą burzę. Wóz wbija się w wodę maską, opada na dach, z rur wciąż buchają spaliny. Ocean go unosi, obraca. Ruszam na dół przez rumowisko i skały. Tylne światła plamią morze czerwienią. Nie mam pojęcia, ile czasu mi to zajmuje, ale nagle znajduję się wśród fal. Jest mi zimno, bardzo, bardzo zimno. Leżałam tutaj, na letnich skałach, kiedy przyjeżdżały dzieci, ale teraz uderzam o nie, wstrząsana, siniaczona. Zagubiona, zdyszana, nurkuję. Jest, DB jest tam, nie tak daleko, ale wciąż tonie, zmierzając ku wirującemu piaskowi na dnie. Świecą się wszystkie światła, chromowane koła nadal się obracają. Srebrzysty, atakowany przez skłębione cienie, kołysze się i chwieje w rytmie przyboju. Szyba poszła w pobłyskującą rozsypkę. Odbijam się nogami, unoszę się w ryk nocy i ponownie zanurzam. Gdy DB uderzył w morze, Claude wypadł do połowy na maskę, otacza go teraz ciemna mgła. Wymachując rękoma, próbuję chwycić cokolwiek - ciało, włosy, ubranie - ale głowa mi niemal pęka. Zaraz rozerwie mi płuca. I wtedy, gdy zaczynam się wynurzać, coś twardego i zimnego łapie mnie za nogę. Spoglądam w dół i widzę jedynie wir krwawej ciemności i migocącą paszczę szyby. Czuję się jak ofiara drapieżnika, który zaciągnie mnie do mego ostatniego, straszego miejsca. Dzikim szarpnięciem, resztkami sił uwalniam się i płynę ku górze.

Fale jeszcze ze mną nie skończyły, lecz w końcu wyczołguję się spomiędzy nich na kamienie. Leżę tam bardzo długo, dygocąc i dysząc, a morze rozbija się dookoła, niekiedy prawie zagarniając mnie z powrotem. Patrzę na mknące niebo. Sztorm powoli ustępuje. Myślę tylko o tym, że to bardzo trudne - że ciężko jest się poddać, umrzeć, utonąć...

\* \* \*

Są inne kliniki - miejsca, gdzie ludzie zajmują się żywymi zamiast umierającymi. Tego ranka odwiedziłam w takiej mojego przyjaciela Adama. Pojechałam jednym z tych dziwnych, przypominających kształtem bańkę, samochodów, które w tych czasach widuje się wszędzie. Podpierając się laską, wysiadłam na szeroki, oszalałający zwirowy podjazd. Prawdę powiedziawszy, to nie tyle jest klinika, ile duży, przyjemny dom, wzniesiony w tym samym, niedocenianym stylu, co wiele budynków z dawnego Osiedla Calthorpe'a. Ten jednak tkwi u wylotu wąwozu wijącego się w dół ku morzu. Wiatr wzdycha w nagich wierzchołkach drzew

swym kornwalijskim oddechem. Jak sędzę, powitała mnie ta sama kobieta, co poprzednio. Chyba lekarka, a przynajmniej przedstawicielka jakiejś specjalizacji wymagającej prawdziwego człowieczeństwa. Zaprowadziła mnie do holu i usadziła przy trzaskającym kominku. Czekałam, a ona, w jakiś niedostępny zmysłem sposób, zaczęła szukać Adama.

- Wciąż nie macie pojęcia, kim on był? - spytałam, choć wyraz jej twarzy świadczył o tym, że zadaję to pytanie stanowczo zbyt często.

- Nie sędzę, byśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli, Roushano - odpowiedziała głośno, powoli, cierpliwie, stanowczo, tak jak mówi się do dzieci. - I wcale nie jestem pewna, czy wyszłoby nam to na dobre. Ciało Adama zostało pozbawione wszelkich cech tożsamości, podobnie zresztą jak umysł. Ktoś doprowadził go do tego stanu celowo. Jeśli nawet ma jakieś ukryte wspomnienia, z pewnością nie należą do niego, tylko do tej nowej, rozrastającej się w nim osobowości...

Kiwnęłam głową. Siedząc przy tym cudownym ogniu, dryfowałam w ciepłej mgiełce, ale owszem, słyszałam to wszystko już przedtem. Oczywiście nie jest to dozwolone ani legalne, jeśli te terminy mają jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, ale słyszy się opowieści, plotki - ba, kilka przypadków zostało nawet potwierdzonych - o umarłych próbujących wejść w posiadanie nowego, żywego ciała. Podejrzewam, że coś takiego można kupić bez trudu. Ciało zawsze było tanie, a potem, gdy pozbawi się je wszelkich śladów tego, kim poprzednio było, przechodzi bardziej inwazyjny proces, taki jakiemu poddano mnie. Kryształ rozrasta się w pustych synapsach, wrasta między kości i ścięgna, a potem wlewa się w niego wspomnienia i osobowość nowego właściciela. Z tej perspektywy nie wydaje się to takie trudne. Czyż nie byłam o krok od zrobienia tego samodzielnie - to po prostu nowy rodzaj własności. I wystarczyłby mi do tego zwykły wysiłek, akt woli. Przecież dokładnie to proponował mi Adam naszej ostatniej wspólnej nocy w Morrryn.

- Ale co się stało z tą zmarłą osobą, która przejęła Adama...? - Pozwoliłam sobie na złośliwą pauzę. - Bo chyba nie wypada teraz mówić po prostu „z trupem”, prawda? Och, znów użyłam tego słowa!

Gdy oświetlona blaskiem kominka twarz kobiety rozpromieniła się w zrozumieniu, dotarło do mnie, że teraz wszystko może mi ująć na sucho. Mogę bezkarnie powiedzieć „jebać”, „srać”, „sikać”, posłużyć się dowolnym z dawnych przekleństw lub na przykład wstać i zatańczyć, gdybym tylko była w stanie to zrobić.

- Jak już mówiłam, to wbrew wszelkim przepisom. Żywe ciało nie może stać się własnością kogoś, kto dokonał przejścia. Zresztą, z tego co wiem, ta technologia jest jeszcze w powijakach i rezultaty są co najwyżej niepewne. Jest wysoce prawdopodobne, że nowa

osobowość została po prostu... cóż, najprościej będzie chyba powiedzieć „odrzuciona”. Jak przeszczep. Jej dane zostały utracone na zawsze.

- Dlaczego więc przyszedł do mnie...?

- Zapewne był to zwykły przypadek, choć, jak sądzę, istnieje również możliwość, że osobowość zmarłej osoby pozostawała w jakimś związku z tobą lub miejscem, w którym mieszkasz. Tego rodzaju ślady pamięciowe mogły go tam zaprowadzić. Kilka dni wcześniej, zanim spotkałaś Adama, w Mevagissey widziano dziwnego, młodego mężczyznę. Ślady po sznurze, które widziałaś na jego rękach i nogach, i ta paskudna rana w boku mogą świadczyć o jakimś ostatecznym kryzysie, który nastąpił, gdy resztki nowej osobowości walczyły o utrzymanie się w ciele gospodarza. Wtedy po prostu dotarł na brzeg, gdzie go znalazłaś. A potem już wykryliśmy was i uratowaliśmy podczas burzy. Ale, Roushano, jeśli masz jeszcze jakieś inne pytania, nie musisz zadawać ich mnie...

Adam jest o wiele chudszy, ma nieco wyostrome rysy, a także wygląda trochę starzej. To dziwne, widzieć go bez starych ubrań Claude'a. Pomaga mi wstać od kominka i prowadzi przez dom, do chłodnego ogrodu.

- Jak się czujesz, Roushano?

Zachichotałam, kołysząc się między nim a swoją laską.

- To ja powinnam spytać ciebie.

- Ze mną wszystko dobrze. Mówią, że już niedługo będą mnie mogli zwolnić.

- Dokąd pójdziesz?

- Pomyślałem, że może rozejrzę się po okolicy, to znaczy, po Konwalii. Chciałbym też pojechać na północ. Zamierzam dużo spacerować i wspinać się, zobaczyć szkockie lodowce. Potem pewnie odwiedzę Paryż.

- Nie będzie taki sam.

- Nie. - Zatrzymaliśmy się przy schodach prowadzących w głąb wąwozu, gdzie, w miejscu niedostępnym dla słabych promieni słońca, gruba warstwa szronu wciąż opatulala drzewa. - Dlatego właśnie chcę go zobaczyć.

Przy wtórze towarzyszącego naszym krokom chrzęstu zeszliliśmy na dół, między cienie i lód. Lód - inny rodzaj kryształu. Pomyślałam o tej obcej istocie, o jej dziwnej obecności, której doświadczyliśmy oboje i jakiej jesteśmy teraz oboje pozbawiani. Wobec mojej zmiany decyzji Liang Ho wykazał się z równym zrozumieniem, z jakim traktował wszystkie wcześniejsze wątpliwości i wahania. Realizacja mej prośby wymagała jedynie niewielkiej zmiany w zestawie lekarstw, potem około doby nudności i dziwnego smaku w ustach, który czuję nawet teraz. Za to znowu porządnie śpiam - śpiam i śnię - i gdy szliśmy z Adamem

przez ten zmrożony jar, wybuchnęłam głośnym śmiechem na myśl o pokręconej wersji przeszłości, która powróciła do mnie wtedy w nocy.

- Wiesz, nie robię się młodsza - mruknęłam, gdy szum morza stał się wyraźniejszy.

- Ani ja - odparł Adam, choć nie może wiedzieć, co miałam na myśli. Jest na to stanowczo zbyt młody.

Stopnie urwały się na splechotku zmarzniętej trawy. Widniejące nieco dalej morze i niebo były niesamowicie blade i wyraziste. Pośród białych palmowych liści zauważyłam ruiny niewielkiego budynku i rozejrzałam się raz jeszcze, próbując zlokalizować w myślach to obce, ale dziwnie znajome miejsce.

- Jak daleko stąd do Fowey? - spytałam.

- Sama powinnaś to wiedzieć, Roushano. Czy nie stamtąd właśnie przyjechałaś...?

Nasze oddechy unosiły się białymi chmurkami, rozwiewały się i zmieniały wszystko, ale w tej chwili byłam już najzupełniej pewna, że patrzę na pozostałości domku, w którym mieszkaliśmy z rodzicami podczas naszych pierwszych wakacji w Kornwalii.

Adam znów mówił. Przypomniwał, że cała historia, gdyby nie ja, skończyłaby się zupełnie inaczej. Uciszyłam go, kładąc mu rękę na dłoni.

- Morryn jest twój. Wszystko załatwione. Kobieta, z którą rozmawiałam, nim się pojawiła, mówiła, że mogłeś trafić na ten brzeg przez pewien fragment tego, kim jesteś lub byłeś. Dzięki śladom pamięciowym...

Adam spogląda na mnie - ma teraz dłuższe włosy, a jego oczy, na tym zimowym mrozie, przybrały lodowato szarą barwę. Coś - zniesmaczony grymas, może nawet przerażenie - przemyka mu przez twarz.

- Nie chcę wiedzieć, Roushano. Dlaczego miałbym? Dokąd by mnie to zaprowadziło? Osobowości, które kiedyś posiadałem, zniknęły. Nie da się ich odzyskać.

- Ale nie zastanawiasz się? Nawet czasami...? Nie żałujesz...? To znaczy... Nie chciałbyś mieć prawdziwych wspomnień?

- Zapominasz, Roushano, że ja mam prawdziwe wspomnienia. Większość nich dotyczy ciebie.

Właśnie o to chodzi, tak myślę. Naszej ostatniej wspólnej nocy w Morryn był moment, kiedy Adam chciał oddać mi swe ciało w charakterze naczynia na wszystko, czym mogłabym się stać. Wciąż nie do końca wierzę, by taki akt poświęcenia był możliwy, i wydaje mi się, że podobnego zdania jest teraz i Adam. Jest w końcu młody, planuje wyprawę do Paryża, wycieczki po Szkocji i chyba tak to powinno wyglądać. Tylko mnie dręczy obsesja odkrycia dawnej tożsamości Adama. Przyglądając się igrającemu w jego oczach światłu, gdy



siedzieliśmy tam, w tym zapomnianym miejscu, a blade słońce wysuwało głowę znad białych drzew, myślałam o tym, jak mnie słuchał w czasach, gdy jeszcze potrafiłam opanować skrzypce, i o żywości emocji pojawiających się wtedy na jego ruchliwej twarzy. Nawet teraz opowiada mi o tym, że poświęca wiele czasu na odkrywanie - być może ponowne - muzyki. Sposób, w jaki Adam słucha, to, jaki wtedy jest, wykracza poza zwykłą postawę słuchacza. Potrafi już zagrać na fortepianie złożone melodie - wyłącznie ze słuchu - zaczyna rozumieć struktury akordów i krzywi się na wszystko, co brzmi atonalnie. A ja lubię ten jego grymas. To część jego osoby, choć kojarzy mi się z... cóż, z dawnymi czasami w Paryżu, kiedy grałam nocami na skrzypcach w atelier, gdy Claude próbował przearanżować świat i Karla Nordingera, a ja zostawałam sama.

Nic na to nie poradzę. Z klejnotem w głowie czy bez niego, czy jestem w Morrynn, czy spotykam się w tym mroźnym miejscu z Adamem, nie potrafię uciec przeszłości. Ledwie wczoraj - a w każdym razie niedawno - otwierając starą szafę z ubraniami, których nigdy już nie włożyłam, zauważyłam coś czerwonego. Wyjęłam to i najpierw ogarnęło mnie zdumienie, a potem sobie przypomniałam...

„Paryż. Paryż szczególnie. Prawie cię widzę, Roushano, w tym płaszczu z czerwonej skóry...”.

Wtedy, gdy Adam to powiedział, pokręciłam głową i zdecydowanie zaprzeczyłam, bym kiedykolwiek miała taki strój, ale bardzo się myliłam, ponieważ ten płaszcz i ja byliśmy tej deszczowej, paryskiej wiosny w zasadzie nierozłączni. Miałam go na sobie, gdy po raz pierwszy odwiedziłam apartament Harada Le Pape na piątym piętrze w Marais, i tamtego popołudnia, gdy razem z Claude'em siedzieliśmy w barze po pełnej spieć próbie w starym budynku radia i gdy wpadła do lokalu samotna, ociekająca wodą postać. To takie absurdalne, że o nim zapomniałam...

Adam spojrzał na mnie tymi oczami, z jednej strony chłodnymi jak zima, ale przepełnionymi otwartością i wiarą, które - mam nadzieję - nigdy się nie zużyją, jak w wypadku Karla Nordingera. Ale tak, mogę sobie bez trudu wyobrazić, jak Karl trzymał się życia, mimo że czuł jego gorzki smak, aż wreszcie był w stanie wykonać ten krok, który umożliwiło mu między innymi jego własne oprogramowanie. Rozumiem też, w jaki sposób Karl mógł po drugiej stronie dorosnąć i wyzbyć się iluzji, i tak samo jak stałoby się to gdzie indziej - a może nawet bardziej - w otoczeniu grozy nieskończonej potencjalności, nie mając wymówek, by czuć cokolwiek poza czystą radością. Karl musiał pozostać Karlem i zacząłby wkrótce zastanawiać się nad metodami ucieczki.

Karl, czy to ty...?

W głębi ducha chciałam i wciąż chcę zadać Adamowi to pytanie, ale zdaję sobie sprawę, że ma rację. Kimkolwiek był, cokolwiek się z nim działo w przeszłości, już tego nie ma. Nie pozostało nawet we wspomnieniach. Było mi coraz bardziej zimno - gdy stałam oparta o niego, drętwiały mi wargi, oczy zamieniały się w lód - i wciąż pozostawało coś jeszcze, coś ważnego, co zamierzałam powiedzieć.

- Wiem, że zapewne pomyślisz, że i tak dałam ci już wiele, ale mam dla ciebie coś jeszcze. Chcę, żebyś to miał, i to nie jest prezent - nie do końca. To raczej spadek, lub może nawet zobowiązanie. Wiem, czuję, że masz w sobie zadatki na wyjątkowego muzyka, i jestem pewna, że jeśli tylko zechcesz, możesz się nim stać. Tak czy inaczej... - Nabieram powoli powietrza i kornwalijski chłód wlewa się we mnie jeszcze głębiej. - Chcę ci zostawić swojego guarneriego.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Potem po prostu skinął głową i objął mnie nieco mocniej.

- Tak - odezwał się. - Bardzo bym chciał nauczyć się grać.

- Musisz tylko pamiętać, że nie wolno ci oczekiwać poklasku. Ani też natychmiastowych rezultatów. Na początku będzie ci pewnie potrzebny prostszy, mniej zwodniczy instrument. I musisz bez przerwy słuchać. Same ćwiczenia to nic. Musisz zaplanować... - Mój oddech zawisł na mrozie. Zaczęłam przemawiać jak Claude lub Leo. - Nie, nie. Zapomnij. Po prostu ciesz się tymi skrzypcami. Tyle mi wystarczy.

Wkrótce znów usadowiono mnie, drżącą, przed kominkiem w holu kliniki. Ludzie krążyli dookoła, a Adam trzymał moje zgrabiące dłonie i pytał, czy wszystko w porządku i czy czuję się dobrze. Potem okazało się, że samochód, który miał mnie zawieźć z powrotem do Morryn, czekał już na zewnątrz, lub nawet wcale nie odjechał. Rozstaliśmy się z uśmiechem, z uściskiem, który pogrzebał mnie w jego szerokiej i ciepłej piersi, i z obietnicą, że następnym razem Adam oszczędzi mi podróży i odwiedzi mnie w domu. Na tę myśl poczułam ulgę, jako że ostatnio wystarczająco dużo się już najeździłam i nie jestem pewna, czy mam dość energii na jeszcze jedną wyprawę.

Wracając do domu w tym okrągłym pojeździe, przez ten świeżo rozbłyskujący świat z jego zamarzniętymi wodospadami i osypującymi się szosami, rozwijającymi się przed nami niczym brudne bandażę, myślałam o Blythe i przypominałam sobie niedawny wyjazd do Birmingham, gdzie zastałam zupełnie inne miasto. Birmingham zdziaczało - nie potrafię posłużyć się tu żadnym innym słowem. Wieżowce zgniły i się zawaliły, dachy bliźniaków zarzuciły jezdnie swymi dachówkami i innym śmieciem. Krajobraz - wietrzny i pogodny - na powrót staje się otwartym wrzosowiskiem, jakim był przed inwazją ludzi. Nawet z pomocą

urządzeń, które umożliwiły mi dotarcie do celu, znalezienie obszaru dawniej zwanego Moseley i odszukanie Augusta Road okazało się męczącym zadaniem. Nasz dawny dom pachnie teraz lisami, schwytanym w pułapkę deszczem, dzikimi kotami, i skurczył się jeszcze bardziej niż ja. Zagląając z porośniętych bluszczem korytarzy do maleńkich pomieszczeń, nie byłam w stanie uwierzyć, że mogły niegdyś pomieścić w sobie tak wiele życia. Schody są zbyt niepewne, by na nie wchodzić, dach butwieje, klawisze fortepianu szczerzą się w krzywym zielonym uśmiechu, a wanna, w której mama szukała schronienia po długim dniu nauczania, zapadła się do salonu. Stoi tam niczym przybysz z kosmosu, a jej dawniej biały brzuch wypełniają liście i mech.

Byłam co prawda wyczerpana podróżą, ale chciałam odwiedzić jeszcze jedno miejsce i dopiero potem pozwolić maszynom odwieźć się do Kornwalii. Osiedle Calthorpe'a, gdzie mieszkali państwo Munro, zawsze było zielone, choć drzewa i palmy, które dawniej rosły tak bujnie, poddały się zimnemu klimatowi, a domy, i wówczas kryjące się za długimi murami i żywopłotami, wycofały się jeszcze bardziej i dały się pochłonąć dziczy. To zdumiewające, że ja przetrwałam tak wiele, podczas gdy to, co wydawało się niezmiennie, rozpadło się i rozsypało. Niemniej, basen za ich domem wciąż można było rozpoznać, choć woda zzieleniała, a plastikowe leżaki tkwiły wśród wrzosów na dawnych trawnikach niczym dziwne rzeźby. Zmagając się z jeżynami, ruszyłam ku miejscu, w które tamtego letniego popołudnia zaprowadziła mnie Blythe. I znalazłam je - te cieniste drzewa i tę samą kamienną ławkę. Ogarnęła mnie podejrzliwość i rozejrzałam się za śladami kryształu, by sprawdzić, czy wszystko jest rzeczywiste. Żadne inne miejsce przecież nie wyglądało tak jak w moich wspomnieniach. Teraz panowała inna pora roku, ale ta łączka nie straciła swego czaru. Siedząc na ławce, świadoma pustego miejsca obok, które zajęła kiedyś żywa Blythe, wspinała leśna nimfa w bikini, słuchająca moich obietnic, że zaopiekuję się Leo, zauważyłam wreszcie coś innego. Podniosłam się, i rozgarniając szeleszczące liście, sprawdziłam. Kamienna płyta, może kawałek ogrodowej rzeźby, tyle że duży, szary i kwadratowy. Zanim pochyliłam się na tyle, by odczytać inskrypcję, wiedziałam już na co patrzeć. Tak bardzo nie przystawało to do Blythe, było też dziwnie gotyckie - pochowano ją właśnie tutaj. Ale może nawet umarli odczuwają potrzebę żałoby.

Teraz siedzę w Morryn, przy biurku w pokoju muzycznym, i wciąż otaczają mnie wspomnienia. Polaroidowe zdjęcie rodziców, wykonane w dniu moich narodzin, w jednym rogu pobielone duchem nieostrożnie umieszczonego kciuka. Mama wygląda na dokładnie tak zmęczoną i ogarniętą poczuciem ulgi, jak powinna wyglądać każda młoda matka. Lampa błyskowa zaczerwieniła jej oczy. Ojciec został uchwycony w jednym z jego nieustannych

momentów zaskoczenia - trochę siedzi na łóżku, trochę z niego wstaje. Mnie nie widać prawie wcale; tylko niebieski szpitalny koc i maleńka rączka. Jest też fotografia Leo - później, tego samego dnia, w tym samym błękitnym pokoju, wyciągnięty prosto ze szkoły, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie zapinanych na rzepy szortów, udający brak zaskoczenia nową osobą, która przecież nieuchronnie zmieni cały jego świat.

Oczywiście jest o wiele młodszy niż ten, którego zapamiętałam - ma brudny nos i rozczochraną chłopięcą fryzurę. A potem już ja - raz po raz ja - na dywanie, w fotelikach, śpiąca i rozbudzona, wiercąca się niechętnie w ramionach ciotek, które patrzą na mnie z taką nadzieją, jakby oczekiwały, że zapamiętam ich imiona. Byłam wiosennym dzieckiem, więc wiele zdjęć przedstawia ogród za domem przy Augusta Road. Żółte forsycje, mech, porośnięty młeczami trawnik, a to, czego nie widzę na fotografiach, łatwo uzupełniam z pamięci. Błysk licznych pierścionków na palcach babci Ashar, pomruk jej głosu, gdy przechodzi na dialekt z Gudżarat, pochylając się nade mną z tym spojrzeniem naznaczonym żalem, którego nigdy się nie zdołała pozbyć. Dźwięki dzwonek sprzedawców lodów odbijające się od niebieskiego nieba, poznaczonego śladami maleńkich samolotów. Zapach kota sąsiadów.

A tutaj, na ekranie unoszącym się nad biurkiem w pokoju muzycznym, nagranie wideo z moich pierwszych urodzin. Nasza stara jadalnia, zastawiona kredensami i talerzami. Nie zmieniła się prawie wcale przez całą moją młodość. Znowu jasny wiosenny dzień. Promienie słońca igrają w obiektywie kamery ojca, który tanecznym krokiem obchodzi zastawiony galaretkami stół. Dwóch kolegów Leo przybyło, by go pocieszyć. W końcu dzisiaj to ja - nie on - jestem królową dnia. Pojawiły się również obie moje babcie, podsuwają niechciane rady mamie, która z wstążkami we włosach krąży między jadalnią i kuchnią, aż wreszcie grzechoce drewniana okiennica, disneyowskie piosenki z odtwarzacza CD milkną i pojawia się tort, z samotną, wspaniałą świeczką i uroczymi lukrowymi Teletubisiami. Zaniepokojona tym, że cała uwaga nagle skupiła się na mnie, rozglądam się podejrzliwie ze swego wysokiego fotelika - mam starannie przyciętą czarną czuprynkę i zaczerwienione od ząbkowania policzki. Oczywiście, zaraz zaczynam płakać i kamera opada na stół, ukazując zbliżenie niedojezionej parówki. Ojciec bierze mnie na ręce i scena się kończy. Potem jesteśmy już na ulicy, idziemy w stronę parku. Kamery przejęła mama i robi zbliżenie na ojca, w akcie zemsty za niezliczone chwile, kiedy to on natrętnie ją filmował. Uśmiecha się, ale widać, że po tej stronie swojego panasonica czuje się niezręcznie. Rozlega się bezcielesny, ciepły i bliski głos mamy:

- Nie będzie żadnej mowy?

Tata kręci głową i omija wózkiem leżącą na chodniku psią kupę. Ma krótkie rude włosy, przerzedzone na szczycie czaszki, która połyskuje w słońcu, gdy pochyla się nade mną.

- Pewnego dnia to sobie obejrzysz, Roushano - mówi.

A tam, za nami, biegnie Leo. Jego koledzy zapewne już poszli do domu, podobnie jak moje babcie. Zostaliśmy tylko my, Maitlandowie, to wchodzący, to wychodzący z cienia drzew rosnących wzdłuż chodnika prowadzącego obok wysokich, czerwonych, wiktoriańskich domów. Nim docieramy na piknik, scena śnieży, ale Moseley nie znika. Pamiętam okrągły barometr na ścianie pubu „Fighting Cocks” na Alcester Road, kołyszącą się za jego przybrudzoną szybką strzałkę, wskazującą któreś ze słów BURZA, DESZCZ, ZMIANA, POGODNIE. Pamiętam też rozdrażniony syk autobusów. Pamiętam wysoki sufit naszego domu i odłazące płatki farby, zakurzone, papierowe abażury z Ikei i muchy cierpliwie kreślące w powietrzu zygzyki, pamiętam ciepło bojlera wyczuwalne nocą w ścianie obok mojego łóżka, burzowe cykle starej pralki. Pamiętam pomarańczowe twarze w telewizorze i zeszyty z pracami do ocenienia, które ojciec przynosił z Selly High, leżące jak opadłe liście na tylnym siedzeniu Citroëna. Pamiętam, jak mama pozwoliła mi zjeść tyle czekoladek, które wyciągałam z magicznego słoika, ile tylko zdołam, pod warunkiem, że je prawidłowo policzę. Pamiętam brzęk bram i trzaskanie samochodowych drzwiczek, pamiętam smak strupów, które zrywałam sobie z kolan, i pamiętam biały dom na łodzi, inne urodzinowe pikniki, wędkarzy łowiących ryby, ważki zawisające jakby na linkach, zieloną woń ciepłej, stojącej wody. Leo miał rację - chwila nadchodzi, a potem nieodwołalnie ginie - sądził jednak, że mówi tylko o muzyce, podczas gdy to dotyczy całego życia.

To wszystko wciąż istnieje, przynajmniej większa część. Myślę, że Claude zdawał sobie sprawę, nawet tamtej straszliwej nocy, że nie jest w stanie zniszczyć mojej przeszłości, nie niszcząc zarazem mnie, czego nie potrafił zrobić. Jediną osobą, której sprawiał ból, rzucając przedmiotami i wściekając się, był on sam. W głębi serca zawsze był uzdrowicielem, twórcą, lecz wniósł do swego dorosłego życia coś, co przybyło wraz z nim z tych opuszczonych przedmieść dawniej złotego Georgetown, utraconą pewność swych rodziców, której nie mógł stawić czoła ani rozwiązać. Och, jakżebym chciała mieć go teraz przy sobie - chciałabym się znów wtulić w jego ramiona - ale chyba przywykłam do samotności i do tego, że kocham go za tańczenie nago ze spektakularną erekcją przy dźwiękach Milesa Davisa, wtedy, w Paryżu, kiedy wydawało się, że musimy napełniać kieszenie kamieniami, by nie wzbic się do lotu; i że kocham go za to, że grał z dziećmi w jakąś absurdalną grę własnego pomysłu; i za to, że jeździł tym pięknym samochodem, którego nikt poza nim nie potrafiłby

odremontować. Claude jest teraz taki jak Leo, taki jak ojciec i mama, jak wszyscy, którzy kiedykolwiek żyli, poza tymi najpóźniej urodzonymi, i taką stanę się niedługo ja - i bardzo mnie to raduje. Życie, przeżywanie, to taka ciężka praca. Tyloma sprawami trzeba się zajmować, rozważyć tak wiele wyborów, twarzy, miejsc, zobowiązań i bólu, że naprawdę nie przeszkadza mi, że wkrótce dołączę do całej reszty tych, którzy odeszli już dawno temu, tam gdzie się znaleźli, czy okaże się to niebem, piekłem, czy zatraceniem. W moim wieku zasłużyłam już chyba na odpoczynek.

Pogodzenie się ze stratą Claude'a zabrało mi wiele okaleczonych lat i wymagało zbliżenia się do śmierci. Zresztą, nawet wtedy raczej by mi się to nie powiodło, gdyby nie Adam. Sprawdziłam, co znaczy słowo Abaddon. Okazuje się, że to jakiś anioł z ognistej otchłani piekieł, istota ze średniowiecznych mitów i koszmarów, lecz aż tak naiwna nie jestem, nawet teraz. Nie wierzę też w cuda, choć jeśli jakikolwiek wydarzył się w moim życiu, to właśnie był on, i naprawdę mam nadzieję, że przyjedzie do mnie i zostanie w Morryn, zanim będzie za późno. Chciałabym usiąść z nim i po raz ostatni posłuchać *Czwartej symfonii* Karla Nordingera. Oczywiście nie spodziewam się, że będzie dla niego bardziej znacząca niż jakikolwiek inny utwór, ale chciałabym, żebyśmy wspólnie, po raz kolejny, sprawdzili, jak się ten utwór zmienił. Dawniej burzliwy i namiętny, równie gorzki i ironiczny jak sam Karl, przeistoczył się w coś o wiele bardziej spokojnego. Prawdę powiedziawszy, w trzeciej części symfonii są fragmenty, szczególnie tyczy się to *Pieśni czasu*, gdzie smyczki są tak przytłumione, a orkiestra tak wycofana, że ledwie ją słyszeć i można odnieść wrażenie, że dzieło usuwa się w ciszę. Jeśli sobie przypomnę, wyznam też Adamowi, że ta druga historia, którą mu opowiedziałam, ta o mnie leżącej w łóżku i słuchającej gry popijającego męża również jest prawdziwa. Prawie...

W tamtym okresie od dawna już pojawiały się między nami różnice i spory. Claude miewał swoje przygody i romanse, ale i tak się ucieszyłam, gdy, zamiast wyjechać swoim DB - czego się obawiałam - wszedł na górę. Gdy położył się w naszym łóżku, bez wahania obróciłam się, by wpaść w jego ramiona. Tamtej nocy kochaliśmy się chyba jeden z ostatnich razów i mam wrażenie, że oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że zaciążyło nad nami coś finalnego, i tym bardziej przez to chwytałyśmy się siebie, a chwila smakowała tym słodziej. Od dawna przestałam stosować wszelkie zabezpieczenia, jakimi posłużyłaby się młodsza, aktywniejsza seksualnie kobieta. Szansa poczęcia kolejnego dziecka była bardzo niewielka - a jeśli nawet, nie miałabym nic przeciwko. Co do innego rodzaju ryzyka, cóż, w głębi ducha zawsze zdawałam sobie sprawę, że z Claude'em ryzykuję, bo on także ryzykował. I być może to tej właśnie nocy, albo jakiejś bardzo podobnej, zaraził mnie wirusem, który niczym

nieodślonięta tajemnica winy, pozostał uśpiony w moim organizmie przez wiele kolejnych lat, zanim się zbudził i zaczął niszczyć resztki tego ciała, tych myśli.

Jesteś tam jeszcze, klejnocie, kryształe? Czy mnie słyszysz? Wiem, że umierasz, rozpuszczasz się, ale pewnie jeszcze mnie słyszysz. Na zewnątrz wieczór zaciemnia morze i pochłania niebo. Kończy się kolejny dzień, a urzędnicy, które dbają o mnie w tym zakętym domu, zajmą się niebawem przygotowaniem kolacji. Ja jednak mam jeszcze kilka zadań do wykonania. Muszę porozmawiać z Marią, a potem z Edwardem. Oboje niedługo do mnie przyjadą, a kiedy ustalaliśmy daty i godziny, coś w wyrazie ich twarzy powiedziało mi, że spodziewają się tego, co zapewne i tak jest już dosyć oczywiste. Prawdę powiedziawszy, ledwie rozumiem, dlaczego tak długo odkładałam tę chwilę. Na pewno swoją rolę odegrało to, że wiedziałam, iż Edward chciałby, abym się udała do kliniki takiej jak w Bodmin, a Maria byłaby temu przeciwna. To, i jeszcze sposób, w jaki straciłam mamę, ojca, Claude'a i Leo. Nie, nie boję się śmierci - teraz to do mnie dotarło - ale od dawna obawiałam się umierania.

Wciąż się boję.

Prawie nic się nie zmieniło, i to wciąż jest moje życie, ta jego niewielka resztką. Maria i Edward mogą sobie myśleć co chcą, mogą robić co chcą, ale - teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem - uświadamiam sobie, że czas już się poddać. Świat należy do nich i mogą go sobie zabrać - zresztą, już zabrali - i ponieść dalej ku nieznanej i niepoznawalnej przyszłości. Zrozumiałam, że jedną ze spraw, jaką rodzic jest winny dzieciom, jest uczciwość. Zaprowadzę ich więc do starego hangaru na łódzie i pokażę im, co zostało z DB, nim zabierze go zimowy sztorm. Nie obciążę ich szczegółami śmierci Claude'a, ponieważ to straszliwe brzemie należy tylko do mnie. Czuję jednak, że jestem im winna część tej gorzkiej, niewypowiedzianej prawdy o tym, jakim ostrym i drażniącym - podobnie jak czarującym, zabawnym i kochającym - człowiekiem był ich ojciec, mój mąż. Podzielę się tym z nimi i powiem im, jak bardzo oboje kocham i że wiem, że nie potrafiłam im tego okazywać, i że jestem bardzo dumna z tego, kim się stali.

„To jest przyszłość, siostrzyczko”. Ale ona już także odeszła - i ten dzień umiera, kryształe, podobnie jak ty i ja. Jeśli uda mi się zebrać energię i wstać z krzesła, może uda mi się też odnaleźć ciepły płaszcz. Być może wystarczy nam czasu na ostatni spacer po plaży.